

Jonathan Kellerman

Teatr Rzeźnika

Stopnie policji izraelskiej

Raw nicaw:	komisarz
Nicaw:	komendant
Tat nicaw:	zastępcą komendanta
Nicaw miszneh:	asystent komendanta
Sgan nicaw:	naczelný nadinspektor
Raw pakad:	nadinspektor
Pakad:	naczelný inspektor
Mefakeah:	inspektor
Mefakeah miszneh:	podinspektor
Sgan mefakeah:	zastępcą inspektora
Raw samal riszon:	starszy sierżant sztabowy
Raw samal:	starszy sierżant
Samal riszon:	sierżant
Samal szeni:	kapral
Raw szoter:	starszy szeregowy
Tura'i:	szeregowy

KSIĘGA PIERWSZA
Rozdział 1

Wiosna roku 1985

Yaakov Schlesinger mógł myśleć wyłącznie o jedzeniu.

Idiota, zganił siebie w duchu. Żeby w tak pięknym otoczeniu troszczyć się o własny brzuch.

Odczepiając latarkę od paska, skierował snop światła na południową bramę kampusu. Zadowolony, że kłódka jest nienaruszona, podciągnął spodnie i ciężkimi krokami ruszył przed siebie w ciemność, usiłując nie zwracać uwagi na nękający go głód.

Droga Mount Scopus stała się nagle stroma, ale on dobrze znał to wzniesienie – który to już patrol, dwusetny? – i pewnie kroczył naprzód. Skręciwszy w lewo, poszedł ku wschodniej krawędzi pasma i z miłym zawrotem głowy spojrzął w nicość na nieoświetloną przestrzeń Pustyni Judzkiej. Za niecałą godzinę nastanie świt i promienie słońca zaleją pustynię niczym spływająca do glinianej misy gęsta owsianka z miodem. Ach, znów to sarno. Jedzenie.

Jednak, rozmyślał, teren wygląda dokładnie jak misa. Lub może głęboki talerz. Rozległy, wklęsły dysk pustym, kredowobiały, żłobkowany miedzianymi bliznami, upstrzony mesquitem* i usiany dziobami jaskiń – gigantyczny, popękany głęboki talerz, nachylony ku Morzu Martwemu. Każdy terrorysta dość głupi, by przeprować się przez pustynię, stanie się widoczny jak mucha na papierze, i z pewnością, na długo przed dotarciem do osady Ma' ale Adumim, namierzy go patrol przygraniczny. Co, jak przypuszczał, czyniło jego prace czymś więcej niż zwykłą formalnością. Niż zadaniem starego człowieka.

Z roztargnieniem dotknął kolby założonego na ramię karabinu M-1, co przywołało nagłą falę wspomnień. Bolesną melancholię, którą stłumił, mówiąc sobie, że nie ma powodów, by się uskarżać. Że powinien być wdzięczny za możliwość odbywania dobrowolnej służby. Wdzięczny za gimnastykę w chłodnym i pachnącym powietrzu nocy. Dumny z M-1, który poklepuje go po łopatkach oraz z szorstkiego munduru Hagany,* dzięki którym znowu czuje się jak żołnierz.

Gdzieś poza urwiskiem rozległ się odgłos kroków, sprawiając, że serce Yaakova żywiej zabiło. Zdjął karabin z ramienia, chwycił go obiema rękami i czekał. Cisza, a potem znowu kroki, tym razem łatwe do rozpoznania: szaleńczy bieg gryzonia lub sorka.* Odetchnąwszy, ściskając w ręce karabin, ujął latarkę lewą dłonią i oświetlił zarośla. Światło wydobyło z mroku wyłącznie skały i krzaki. Kępę chwastów. Mglisty wir nocnych owadów.

Odstąpiwszy od krawędzi urwiska, ruszył na południe. Na grzbiecie góry droga wiodąca przez pustkowie przecinała zbiorowisko dachów, stłoczonych wokół wysokiej, spiczastej wieży: Szpital Amelia Catherine, arogancko kolonialny w stylu, tkwiący na owym lewantyńskim szczycie góry. Ponieważ teren szpitala stanowił własność Narodów Zjednoczonych, został wyłączony z jego marszruty, lecz Yaakov czasami lubił przystanąć i odpocząć właśnie tutaj. Zapalić papierosa i patrzeć, jak aromat tureckiego tytoniu podniecał kozy i osły stłoczone w zagrodzie za głównym budynkiem. Dlaczego, zastanawiał się,

* Mesquite (*Prosopis glandulosa*) – krzew o owocach obfitujących w skrobię i stanowiących cenną paszę.

* Hagana – utworzona po pierwszej wojnie światowej półlegalna organizacja samoobrony osiedli żydowskich w Palestynie. W okresie tworzenia się państwa Izrael (1947-1949) uczestniczyła w walkach z Arabami, stając się trzonem regularnych sił zbrojnych Izraela.

* Sorex, *Sorex soricius* – ryjówka, owadożerny ssak, wielkości myszy, o długim tułowiu i wydłużonej głowie zakończonej wydatnym ryjkiem.

pozwalają Arabom trzymać tam zwierzęta? Jak to świadczy o higienie miejsca?

Zaburczało mu w brzuchu. Bzdura. Zjadł o ósmej solidną kolację i spędził następne cztery godziny, siedząc na balkonie i powoli trawiąc jedzenie, które Eva przygotowała dla niego, zanim poszła spać: suszone morele i jabłka, krążek tłustych fig kalimyrnyjskich, herbatniki, ciasteczka marcepanowe, mandarynki i kumkwaty*, prażone *gar'inim**, ząbkowane kawałki gorzkiej czekolady, galaretki, chałwa. A na koniec litrowa butelka soku grejpfrutowego i syfon wody sodowej – ostatnia nadzieja, że bąbelki gazu sprawią to, czego nie zapewniły ciała stałe: nasycą go. Daremnie.

Od przeszło czterdziestu lat żył z tym głodem i z jego współniczką – bezsennością. Wystarczająco długo, by zaczął o nich myśleć jak o parze żywych, oddychających stworzeń. Istoty zaszczipione w jego brzuchu przez tych drani w Dachau. Bliźniacze demony, które pozbawiły go spokoju ducha, powodując nieustające cierpienia. Prawda, nie był to rak, ale nie była to także błahostka.

Ból przychodził falami. W najlepszym razie tępe, doprowadzające do szału, abstrakcyjne poczucie pustki; w najgorszym – prawdziwe, miazdzące uczucie, jakby wokół wewnętrznych organów zaciskała się żelazna dłoń.

Nikt już nie traktował go serio. Eva powiedziała, że ma szczęście, bo może jeść cokolwiek zechce i pozostaje chudy. Podczas gdy ona obciska swoją pęczniejącą talię i przegląda najnowszą broszurę dotyczącą diety, otrzymaną w klinice Kupat Holim. A lekarze z zachwytem powtarzali, że nic mu nie dolega. Że doświadczenia nie pozostawiły żadnych widocznych blizn. Jest wspaniałym okazem, upierali się, posiadającym przewód pokarmowy i ogólną konstytucję fizyczną człowieka o dwadzieścia lat młodszego.

„Ma pan siedemdziesiąt lat, panie Schlesinger” – wyjaśniał jeden z nich, zanim z pełnym zadowolenia uśmiechem na twarzy rozsiadł się w fotelu. Jakby to wyjaśniało sprawę. „Szybka przemiana materii” – stwierdził drugi. „Powinien pan być zadowolony, że jest pan taki aktywny, *adoni*”. Jeszcze inny słuchał go z wyraźnym współczuciem, budząc w nim nadzieje, które następnie rozwiął, doradzając, by odwiedził Wydział Psychiatrii w Hadassah. Dając tym samym dowód na to, że jest kolejnym idiotą w służbie państwowej – tępy ból odzywał się bowiem w trzewiach, nie w głowie. Ślubował, że więcej nie będzie miał do czynienia z kliniką i, nie dbając o koszty, znajdzie sobie prywatnego lekarza. Kogoś, kto potrafi zrozumieć, co to znaczy umierać z głodu pośród obfitości jedzenia, kto uwierzy w bezmierny ból, który go dręczy od czasu, gdy Amerykanie znaleźli go, ledwie dyszący szkielet, leżący bezwładnie na stercie cuchnących, rozkładających się ciał...

Dosyć, głupcze. Stara historia. Teraz jesteś wolny. Jesteś żołnierzem. Mężczyzną na służbie, uzbrojonym i władczym. Mającym zaszczyt patrolowania najpiękniejszego spośród miast w najpiękniejszych godzinach. Patrzenia, jak się budzi skąpane w lawendowym i szkarłatnym świetle, niczym księżniczka, wstająca z łoża pod jedwabnym baldachimem.

Schlesinger poeta.

Odetchnął głęboko, napełnił nozdrza ostrą wonią jerozolimskiej pinii i odwrócił się od majaczącej sylwetki szpitala. Powoli wydychając powietrze, spojrzął na stromo opadające tarasy Wadi el Joz i dalej na panoramę roztaczającą się od południowego zachodu, którą zawsze pozostawiał sobie na koniec.

Stare Miasto, bursztynowo podświetlone, wieżyczki i blanki przeszywające płomienny skraj czystej czerni nieba. Za murami, niewyraźne, tajemnicze zarysy kopuł, iglic, wieżyc i minaretów. Na zachodnim krańcu pionowy uskok Cytadeli. Na północy dominujące wzgórze Haram esh-Sharif, ponad którym usadowiła się Świątynia na Skale,* ze złotym dachem

* Kumkwat (*Citrus aurantium*) – owoc w rodzaju pomarańczy wielkości śliwki, ze słodką skórką i kwaskowatym miąższem, używanym do sporządzania konfitur.

* *Gar'inim* – pestki słonecznika.

* Świątynia na Skale – Kubbet es-Sachra, meczet Omara na wzgórzu Moria, ośmiokątna budowla z półsferyczną kopułą, zbudowana w latach 687-691 na Świętej Skale, na której miał złożyć ofiarę Abraham.

połyskującym różowawo w półmroku, usadowiona w obrębie uspiętego miasta niczym brosza wpięta w szary aksamit.

Zanurzony w takim pięknie, jakże mógł myśleć o własnym brzuchu? A jednak ból się wzmagał, galopował, pulsował własnym tempem.

Rozzłoszczony, Schlesinger przyśpieszył kroku i przeszedł na drugą stronę drogi. Zaraz za asfaltem zaczynał się płytki wąwóz, prowadzący do pustych pól, który niżej zmieniał się w wadi.* Od niechcienia powiódł światłem latarki po znanym terenie. Te same cholerne zarysy, te same cienie. Drzewo oliwne, rząd kamieni granicznych. Porzucony zardzewiały grzejnik, który leży tu od miesięcy, lśnienie potłuczonego szkła, ostry smród owczego łąjna...

I jeszcze coś.

Podługowaty kształt, mierzący mniej więcej półtora metra, wepchnięty w zagłębienie tarasu niedaleko szczytu północnego brzegu wąwozu. Leżący bezwładnie u stóp młodego drzewka oliwnego. Nieruchomy. Bomba? Niemożliwe – przedmiot sprawia wrażenie zbyt miękkiego. Ale ostrożności nigdy za wiele.

Podczas gdy rozważał wszelkie możliwości, jego ręka zaczęła się poruszać, pozornie z własnej woli, kierując snop światła na ów kształt. W górę i w dół, w przód i tył. To bez wątplenia coś nowego. Pasiasty materiał? Nie, dwa odcienie tkaniny. Ciemny na jasnym. Koc na prześcieradle. Całun. Wokół brzegów połyskujący ciemną wilgocią.

Światło nadal obmywało kanion. Nic. Nikogo. Zastanawiał się, czy nie wołać o pomoc, zdecydował jednak, że byłby to niepotrzebny alarm. Najpierw należy sprawdzić.

Z karabinem w dłoni zbliżył się do krawędzi wąwozu, zaczął schodzić, a potem stanął. Nogi mu ciążyły. Brakło mu tchu. Zmęczenie. Wiek. Po chwili zastanowienia zbeształ samego siebie: niedołęga. Stos koców przyprawia cię o drzenie? To pewnie nic takiego.

Ruszył w dół, zygzakami, ku kształtowi, wyciągając poziomo wolną rękę, aby utrzymać równowagę. Zatrzymując się co kilka kroków, aby ustawić światło latarki. Kierując się wzrokiem. Nasłuchując podejrzanych odgłosów. Przygotowany na to, by w każdej chwili rzucić latarkę i ustawić karabin w pozycji do strzału. Lecz nic się nie poruszało, panowała niezmacona cisza. Tylko on i ten kształt. Nieznany kształt.

Schodząc niżej, natrafił na zagłębienie. Zachwiał się, łapiąc równowagę, zagłębił obcasy w podłożu i utrzymał pionową pozycję. Dobrze. Bardzo dobrze, jak na starego człowieka. Szybka przemiana materii...

Był już prawie na miejscu, jeszcze tylko kilka stóp. Stój. Sprawdź, czy w pobliżu nie ma innych nieznanymi kształtów. Poruszył się nieznacznie. Nic. Poczekaj. Dalej. Dobrze się rozejrzyj. Uważaj na kupę łąjna. Omiń pierzchające w popłochu rojowisko połyskliwych karaluchów. Małeńkie odnóża przemykające po bobkach łąjna. Na coś bladego. Coś wystającego spod płótna. Blade tabletki.

Już stał nad kształtem. Uklęknął. Z piersią naprężoną od wstrzymywanego oddechu. Kierując światło w dół, zobaczył je, miękkie i plamiste jak małe białe ogórki: ludzkie palce. Miękką poduszkę dłoni. Cętkowana. Czernią. Obrzeżona szkarłatem. Wyciągnięta ręka. Błagalnie.

Ująwszy w palce róg koca, zaczął go unosić z przecuciem i przymusem, z jakim dziecko odwraca kamień, dobrze wiedząc, że pod spodem żyją te śluzowate stworzenia.

Już. Zrobione. Odrzucił tkaninę i patrzył na to, co odsłonił.

Zacisnął szczęki i nieświadomie jęknął. Był – jest – żołnierzem, widział niejedno paskudztwo. Ale to było coś innego. Coś niezdrowego. Coś nasuwającego przeraźliwą myśl o czymś innym...

Odwrócił wzrok, poczuł, że sam powraca i lgnie do zawartości koca, napawając się okropnością. Nagle poczuł, że balansuje bezsilnie w morzu obrazów. Wspomnienia. Inne ręce, inne koszmary. Ręce. Ten sam błagalny gest. Tysiące rąk, góra rąk. Daremnie

* Wadi (ued) – suche łożyska rzek na pustyniach, wypełniające się wodą tylko w porze deszczowej.

blagających o zmiłowanie.

Wstał niepewnie, chwytając się konaru oliwki, gwałtownie wydychał bolesny gniew. Przejęty dojmującymi mdłościami, zdawał sobie sprawę z ironii chwili.

Bo to, co leżało wśród prześcieradeł, zniszczyło demony, uwalniając go od nich po raz pierwszy od ponad czterdziestu lat.

Poczuł, że jego trzewia zaczynają kipieć. Żelazna dłoń ustępuje. W przelyku wznosi się niepokonana fala piekącej żółci. Targany nudnościami, wymiotował wielokrotnie na piasek, podczas gdy jakaś jego część pozostawała dziwnie oderwana, jakby obserwował własne splugawienie. Uważając, by nie zbryzgać koców. Nie chcąc pogorszyć tego, co już zostało dokonane.

Opróżniwszy żołądek, spojrział w dół z nadzieją właściwą magicznemu myśleniu dziecka. Wierząc przez chwilę, że jego emezis* spełniły rolę rytualnej, ofiarnej pokuty, która sprawiła, że okropieństwo zniknęło.

Ale zniknął jedynie jego głód.

* Emezis (gr.) – wymiociny.

ROZDZIAŁ 2

Ford escort przejechał na czerwonym świetle skrzyżowanie na wprost wejścia do Parku Dzwonu Wolności. Skręciwszy w lewo na King David, wziął ostry zakręt w Szlomo Hamelekh, dojechał do Zahal Square, a następnie, trzymając się obwodu Starego Miasta, pomknął na północny wschód Sultan Suleiman Road.

Obietnica brzasku została właśnie spełniona przez gorejące słońce pustyni, które wschodziło wolno nad Górą Oliwną, ogrzewając ranek i, z brakiem powściągliwości szalonego malarza, miotając rozbryzgi miedzi i złota na popielate mury miasta.

Escort mknął po jaśniejących ulicach wybrukowanych kocimi łbami, mijał chodniki i alejki upstrzone przechodniami: beduińscy pasterze zaganiający swoje stada ku północno-wschodniemu narożnikowi murów Starego Miasta, na piątkowy targ żywego inwentarza; zakwefione kobiety nadciągające z pobliskich wiosek, niosące barwne sztuki materiałów i kosze z produktami na bazar przy wejściu do Bramy Damasceńskiej;* chasydzi* w długich czarnych płaszczach i białych skarpetach, idący parami i trójkami ku Bramie Jafskiej, ze wzrokiem utkwionym w ziemię, śpieszący pod Ścianę Płaczu, by dołączyć do pierwszego *minjanu*,* który będzie odmawiał *szacharit*;* przygarbieni tragarze w jarmułkach, dźwigający na wąskich plecach masywne skrzynie; chłopcy z piekarni, niosący obsypane sezamkami bajgle, zwieszające się z grubych żelaznych sztab.

W innych okolicznościach kierowca escorta zauważyłby to wszystko, a nawet więcej. Jego uczucie dla miasta nie słabło – zawsze jednakowo go zachwycało, bez względu na to, jak często je oglądał, wahał i słuchał. Lecz owego poranka jego myśli błędziły gdzie indziej.

Poruszył kierownicą i skręcił w Szmuel Ben Adaja. Szybki zwrot w lewo i znalazł się na drodze na Górę Oliwną, wiodącej na szczyt góry Scopus. Najwyższy punkt miasta. Oko

* Mury Starego Miasta Jerozolimy posiadają osiem bram: Damasceńską, Nową, Jafską, Syjońską, Gnojną, Złotą, Lwów i Heroda.

Brama Damasceńska wyróżnia się ozdobami i uważana jest za jest najpiękniejszą. Stanowiła początek drogi do Damaszku. Brama Nowa – otwarto ją w 1887 roku jako połączenie między dzielnicą chrześcijańską a instytucjami katolickimi poza murami miasta. Brama Jafska stanowiła początek drogi do Jaffy, ważnego miasta portowego, a równocześnie rynku zbytu. Brama Syjońska łączy dzielnicę ormiańską z górą Syjon. Brama Gnojna znajduje się w pobliżu Ściany Płaczu. Stanowiła wąskie przejście (górną luk bramy) stosowne dla osła i jego właściciela. Pod jej strukturą przebiega ściek w kierunku doliny Cedronu. Brama Złota prowadziła na dziedziniec świątynny od strony wschodniej. Zwano ją również Bramą Miłosierdzia. Pozostaje zamurowana od czasów Saladyna. Tradycja żydowska głosi, że Mesjasz wejdzie do Jerozolimy przez tę bramę. Brama Lwów (częściej Brama Lwa) – swoją nazwę zawdzięcza płaskorzeźbie strzegących jej lwów. Zwie się również Bramą św. Szczepana od imienia męczennika, który miał zginąć w pobliżu. Brama Heroda – nazywa się tak z powodu błędnej identyfikacji pałacu Heroda Antypasa w tej części miasta. Ze względu na ozdobne płaskorzeźby kamienne w języku hebrajskim nazywano Bramą Kwiatów. Była zamknięta do 1875 roku.

* Chasyd (hebr. *hasid* – „prawy”, „sprawiedliwy”, „bogobojny”) – zwolennik żydowskiego ruchu religijno-mistycznego, powstałego w latach trzydziestych XVIII w. na Podolu.

* *Minjan* – kworum dziesięciu Żydów płci męskiej powyżej trzynastego roku życia, nieodzowne do odprawiania wszelkich nabożeństw publicznych i do czytania ze zwoju Tory (*sefer Tora*).

* *Szacharit* – modlitwa poranna.

Jerozolimy, gdzie stała się rzecz oburzająca.

W poprzek drogi ustawiono migacze i metalowe zapory. Za barierą stał policjant służby granicznej – Druza* znany jako Salman Afif. Afif sprawował niewzruszony dozór, stał na pewnie rozstawionych nogach, z jedną ręką spoczywającą na pistolecie w futerale, drugą skręcając koniuszki ogromnych czarnych wąsów. Gdy escort się zbliżył, policjant zatrzymał go gestem, podszedł do otwartego okna i skinął głową, rozpoznawszy kierowcę. Po szybkiej wymianie pozdrowień rozsunęto zapory.

Przejeżdżając, kierowca escorta obejrzał szczyt wzgórza, lustrując pojazdy parkujące wzdłuż drogi: wóz techniczny, karetka z laboratorium patologii w Abu Kabir, samochód patrolowy z błyskającym kogutem, jeep Afifa, białe volvo 240 z policyjną rejestracją. Technicy już dotarli, byli także dwaj umundurowani funkcjonariusze policji. Obok volvo stali zastępca komendanta Laufer i jego kierowca. Ale nie było żadnego rzeczownika policji, nikogo z prasy i ani śladu patologa. Zastanawiając się nad tym, kierowca zaparkował w pewnej odległości od pozostałych pojazdów, wyłączył silnik i zaciągnął ręczny hamulec. Na miejscu obok niego leżał notes. Chwycił go cokolwiek niezręcznie lewą dłonią i wysiadł z samochodu.

Był to mały, ciemny, schludnie wyglądający człowieczek, wysoki na pięć stóp i siedem cali, ważący sto czterdzieści funtów, liczący sobie trzydzieści siedem lat, lecz sprawiający wrażenie o dziesięć lat młodszego. Miał na sobie zwykłe ubranie – białą bawełnianą koszulę z krótkimi rękawami, ciemne spodnie, sandały na stopach bez skarpetek – i żadnej biżuterii z wyjątkiem taniego zegarka oraz niestosownie ozdobnej obrączki ze złotego filigranu.*

Włosy miał gęste, czarne i silnie skręcone, przystrzyżone do średniej długości i uczesane we fryzurę, którą Amerykanie nazywają afro. Na głowie miał małą czarną *kipa sruga** – jarmułkę z dzianiny – oblamowaną czerwonymi różami. Twarz pod fryzurą afro była szczupłą i gładką, o skórze koloru kawy hojnie zakropionej śmietanką i wyrazistych rysach: wydatne kości policzkowe, silny nos z rozdętymi nozdrzami, szerokie usta, pełne i wygięte. Skóra na wierzchu lewej dłoni była szarawobiała, pofałdowana i błyszcząca, pocięta bliznami.

Łukowato zarysowane brwi nadawały jego twarzy wyraz nieustającego zdziwienia. *W głębokich* oczodołach tkwiły oczy w kształcie migdałów, o tęczęwkach dziwnej złocistobrazowej barwy i o rzęsach długich jak u kobiety. W innej sytuacji można by go było wziąć za kogoś o latynoskim lub karaibskim pochodzeniu albo za Ibera ze znaczną domieszką krwi Azteków. Co najmniej raz wzięto go za jasnoskórego Murzyna.

Nazywał się Daniel Shalom Sharavi i w rzeczywistości był Żydem pochodzenia jemeńskiego. Czas, okoliczności i protekcja – przypadkowe powiązania – sprawiły, że został policjantem. Inteligencja i pracowitość wyniosły go do rangi pakada – naczelnego inspektora – w Okręgu Południowym Policji Państwowej. Przez większość życia zawodowego był detektywem. W ostatnich dwóch latach wyspecjalizował się w przestępstwach, podlegających Wydziałowi Zabójstw, który w Jerozolimie rzadko zajmował się sprawami w rodzaju tej, która tego ranka przywiodła go na Scopus.

Podszedł bliżej. Pracownicy transportu siedzieli w swojej furgonetce. Funkcjonariusze policji rozmawiali ze starszym mężczyzną w mundurze Straży Obywatelskiej. Daniel przyjrzał mu się uważnie: pod siedemdziesiątkę lub tuż po siedemdziesiątkę, chudy, lecz masywnej budowy, o krótko ostrzyżonych włosach i szczeciniastych siwych wąsach. Wyglądało na to, że poucza policjantów, wskazując w kierunku wąwozu na zachód od drogi,

* Druzowie – sekta z południowego Libanu, południowej Syrii i północnej Jordanii, utworzona za kalifa fatymidzkiego al-Hakima (996-1021) przez Hamzę i Daraziego (od jego imienia pochodzi nazwa sekty). Religia Druzów łączy cechy islamu, chrześcijaństwa i dawnych religii Bliskiego Wschodu. Druzowie uznają Nowy Testament i Koran.

* Filigran – misterny, ażurowy ornament złotniczy z cienkich drucików, często z granulacją.

* *Kipa sruga* – mała płaska czapeczka zwana również jarmułką lub kapelem, którą mężczyźni przykrywają głowę podczas modłów, a wielu ortodoksów nosi ją przez cały czas.

gestykulując rękami i szybko poruszając ustami.

Laufer stał oddalony o kilka jardów, pozornie nie zwracając uwagi na ten wykład, paląc papierosa i spoglądając na zegarek. Zastępca komendanta miał na sobie czarną trykotową koszulę i szare spodnie, jak gdyby zabrakło mu czasu, by przywdziać mundur. W cywilnym ubraniu, pozbawiony baretek, sprawiał wrażenie bardziej pękatego i z całą pewnością mniej imponującego. Zauważywszy zbliżającego się Daniela, rzucił papierosa na ziemię, a następnie powiedział coś do swego kierowcy, który się oddalił. Nie czekając, aż Daniel podejdzie, ruszył ku niemu szybkimi krótkimi krokami, poprzedzony wydatnym brzuchem.

Spotkali się w pół drogi i wymienili zdawkowy uścisk dłoni.

– Okropne – powiedział Laufer. – Prawdziwa rzeź. – Gdy mówił, jego policzki drgały jak puste bukłaki. Daniel spostrzegł, że oczy komendanta były bardziej zmęczone niż zwykle.

Laufer pogrzebał ręką w kieszonce koszuli i wyjął paczkę papierosów. English Ovals. Bez wątpienia pamiątka z ostatniej podróży do Londynu. Zapalił papierosa i wydmuchnął przez nos dwie jednakowe smużki dymu.

– Rzeź – powtórzył.

Daniel wskazał głową człowieka w mundurze Hagany.

– On to znalazł?

Laufer przytaknął.

– Schlesinger Yaakov.

– Patruje to miejsce?

– Tak. Od Starego Hadassah, dookoła uniwersytetu, w dół poza Amelia Catherine i z powrotem. W tę i z powrotem, pięć razy w ciągu nocy, przez sześć nocy w tygodniu.

– Sporo chodzenia jak na kogoś w jego wieku.

– To twardziel. Były palmachaj.* Twierdzi, że nie potrzebuje wiele snu.

– Ile razy przeszedł swoją trasę, nim na to natrafił?

– Cztery. Robił ostatnią turę. Wracał na drogę, a potem miał wsiąść do samochodu na Sderot Churchill i pojechać do domu. Na Francuskie Wzgórze.

– Zdarza mu się zdrzemnąć?

– Po służbie. W samochodzie. Chyba że znajdzie coś niezwykłego. – Laufer uśmiechnął się gorzko.

– Więc możemy dokładnie określić, kiedy to podzucili?

– Zależy, jak poważnie go potraktujemy.

– Są powody, by go nie brać serio?

– W jego wieku? – odparł Laufer. – Twierdzi, że jest pewien, że wcześniej tego nie było, ale kto tam wie? Może nie chce się wydać niedbały.

Daniel popatrzył na starego mężczyznę. Skończył swój wykład i stał prosty jak struna pomiędzy policjantami. Nosił M-1, jakby karabin stanowił część jego ciała. Mundur starannie odprasowany na kant. Typ starego wiarusa. Ani śladu niedbalstwa.

Zwracając się z powrotem w stronę Laufra, uniósł notes pokiereszowaną ręką, otworzył go i wyjął pióro.

– Mówi, że o której to znalazł? – zapytał.

– O piątej czterdzieści pięć.

Całą godzinę wcześniej, niż go zawiadomiono. Opuścił pióro i pytającym wzrokiem spojrzał na Laufra.

– Chciałem uniknąć rozgłosu – wyjaśnił zastępca komendanta rzeczowym tonem. Ani śladu przeprosin. – Przynajmniej do czasu, gdy zorientujemy się, jak to zaszufładować. Żadnej prasy, żadnych oświadczeń, minimum personelu. I nie ma potrzeby roztrząsać tematu z ludźmi spoza ekipy śledczej.

* Palmachaj – członek Palmachu, organizacji wojskowej Żydów w Palestynie za czasów Mandatu brytyjskiego, przed powstaniem państwa Izrael.

– Rozumiem – powiedział Daniel. – Był tu doktor Levi?

– Był i odjechał. Przeprowadzi autopsję po południu i zatelefonuje do pana. – Zastępca komendanta zaciągnął się głęboko dymem z papierosa i wypluł drobinę tytoniu, która przylgnęła mu do wargi. – Myśli pan, że wrócił? – zapytał. – Nasz posepny przyjaciel?

Przedwczesne pytanie, pomyślał Daniel. Nawet w ustach kogoś, kto zrobił karierę w administracji.

– Fakty pasują? – zapytał.

Laufer skrzywił się, bagatelizując pytanie.

– Miejsce pasuje, prawda? Wcześniej znajdowano je w tej samej okolicy.

– Jedną z nich... Marcovici. Nieco niżej. W lesie.

– A pozostałe?

– Dwie w Sheikh Jarrah, czwarta...

– Właśnie – przerwał mu Laufer. – Wszystkie w promieniu pół kilometra. Może ten łajdak ma coś do tego miejsca. Coś, co ma związek z psychiką.

– Możliwe – zgodził się Daniel. – Jakie obrażenia?

– Niech pan zobaczy na własne oczy – powiedział zastępca komendanta.

Odwrócił się, paląc i kaszląc. Daniel zostawił go i zwinnie szedł do wąwozu. W pobliżu nakrytego białym prześcieradłem ciała pracowało dwoje techników, mężczyzna i kobieta.

– Dzień dobry, pakad Sharavi – powiedział mężczyzna z udawanym szacunkiem. Spojrzał pod słońce na trzymaną w dłoni próbkę, potrząsnął nią delikatnie i umieścił w otwartym pojemniku na dowody rzeczowe.

– Witaj, Steinfeld – odpowiedział Daniel. Rozejrzał się po najbliższej okolicy. Szukał rewelacji, lecz dostrzegł jedynie szarość kamieni, burą barwę gruntu. Z pylastej ziemi wyrastały poskręcane pnie drzew oliwnych, ich korony lśniły srebrzystą zielenią. Kilometr kamienistego pola na zboczu; dalej głęboka, wąska dolina Wadi el Joz. Sheikh Jarrah, z płataniną uliczek i domkami koloru wanilii. Migotanie turkus: kraty z kutego żelaza pomalowane na odcień, który według wierzeń Arabów odstrasza złe duchy. Wieże i wieżyczki kolonii zamieszkaney przez Amerykanów, szczipione płataniną anten telewizyjnych.

Żadnych bryzgów krwi ani śladu pogniecionych liści, żadnych strzępków ubrania wiszących na sterczących konarach drzew. Żadnego geograficznego wyznania. Tylko biały kształt leżący pod drzewem. Samotny, podługowaty, nie na miejscu. Niczym jajo upuszczone z przestworzy przez jakiegoś olbrzymiego, niedbałego ptaka.

– Czy doktor Levi miał coś do powiedzenia po oględzinach? – zapytał.

– Cmokął językiem. – Steinfeld uniósł następną próbkę, obejrzał ją i odłożył.

Daniel zauważył w pojemniku kilka gipsowych odlewów i spytał:

– Są wyraźne odciski palców?

– Tylko mężczyzny z Hagany – odparł technik z niesmakiem. – Nawet jeżeli były jakieś inne, zatarł je. I wymiotował. O, tam. – Wskazał suchą, bielejącą plamę o metr w lewo od prześcieradła. – Nie trafił na ciało. Niezły cel, co?

Drugim technikiem była nowo zatrudniona kobieta o imieniu Avital. Klęczała w pyłe, pobierając próbki liści, gałązek i łajna, wkładając je do plastikowych woreczków; pracowała szybko i w milczeniu, z napiętym wyrazem twarzy. Gdy zamknęła woreczki, spojrzała w górę i skrzywiła się.

– Nie chciałby jej pan oglądać, *adoni*.

– Szczera prawda – powiedział Daniel. Przyklęknął i uniósł prześcieradło.

Twarz pozostawiono nietkniętą. Głowa spoczywała nienaturalnie przekrzywiona; ujrzał półprzymknięte, zamglone oczy. Przerazająco ładna, jak głowa lalki przytwierdzona do okaleczonego tułowia. Młoda twarz, smągła, okrągława, lekko usiana przyszczami na czole i brodzie, faliste czarne włosy, długie i lśniące.

W jakim mogła być wieku? – pomyślał. Piętnaście lat, może szesnaście? W jego

trzewiach rozgorzał płomienny gniew. Avital przyglądała się mu, a on zdał sobie sprawę, że zaciska pięści. Szybko je rozwarł, poczuł łaskotanie w czubkach palców.

– Miała takie włosy, gdy ją znaleziono?

– Znaczy jakie? – spytał Steinfeld.

– Gładkie. Uczesane.

Technicy spojrzeli po sobie.

– Tak – odparła Avital.

Steinfeld skinął głową i milczał wyczekująco, jakby się spodziewał następnego pytania. Gdy nie padło, wzruszył ramionami i wrócił do pracy.

Daniel pochylił się niżej i pociągnął nosem. Z ciała zaczął się dobywać odór śmierci, ale oprócz niego dał się wyczuć czysty, słodki zapach mydła. Ktoś ją umył.

Daniel uniósł głowę i znów przyjrzał się twarzy. Usta były lekko rozchylone i odsłaniały brzeżek białych, szeroko rozstawionych górnych zębów. Dolne były ściśnięte i wyszczerbione. Brakowało górnego zęba. Dziewczyna nie była zamożna. Miała przekłute uszy, ale żadnych kolczyków. Żadnych plemiennych tatuaży, blizn, znaków szczególnych czy oszpeceń.

– Znaleźliście coś pozwalającego ustalić tożsamość?

– Nie ma tak dobrze – odparł Steinfeld.

Daniel przyglądał się jeszcze chwilę, po czym zakończył inspekcję poszczególnych rysów. Zmienił perspektywę i spojrzał na twarz jak na całość, szukając cech etnicznych. Miała wygląd orientalny, ale to niewiele znaczyło. W Jerozolimie rzadko zdarzały się twarze, z których można było wyczytać pełną historię pochodzenia – Arabowie, Aszkenazyjczycy,* Druzowie, Bucharyjczycy, Ormianie. Każdy miał swój prototyp, ale istotne były domieszki. Daniel widział zbyt wielu jasnowłosych, niebieskookich Arabów i smagłych Niemców, by polegać na cechach rasowych. Jednak byłoby miło znaleźć coś na początek.

Na dolnej wardze dziewczyny przysiadła lśniąca zielona mucha. Spędził ją i zmusił się, by obejrzeć resztę.

Gardło rozcięto głęboko, od ucha do ucha, przeznając przelyk i tchawicę, oddzielając kręgi o barwie kości słoniowej; do całkowitej dekapitacji zabrakło milimetrów. Każda z małych piersi otoczona była ranami klutymi, zadanymi nożem. Brzuch został rozplątany poniżej żeber z prawej strony, aż po biodro, i z powrotem ku górze w lewo. Spod brzegu rany wystawały lśniące kawałki tkanki. Okolica łona stanowiła masę zakrzepłej krwi.

Ogień w trzewiach Daniela wzmógł się. Okrył ciało po szyję.

– Nie zabito jej tutaj – powiedział.

Steinfeld potwierdził jego słowa ruchem głowy.

– Za mało tu krwi. Właściwie w ogóle nie ma. Wygląda na to, że spuszczone z niej krew.

– Jak to?

Steinfeld wskazał na brzeg rany.

– W ciele nie ma krwi. To, co widać poniżej cięcia, jest blade... jak okaz z laboratorium.

Całkowicie wykrwawione.

– Co ze spermą?

– Nic wyraźnego, wzięliśmy próbki. Więcej powie badanie organów wewnętrznych przez Leviego.

Daniel pomyślał o spustoszeniach poczynionych w narządach płciowych.

– Sądzisz, że doktor Levi będzie w stanie wydostać coś z pochwy?

– Musisz zapytać jego. – Steinfeld zatrzaskał pojemnik na dowody rzeczowe.

– Ktoś ją dokładnie wymył – powiedział Daniel bardziej do siebie niż do pary techników.

* Aszkenazyjczycy – pierwotnie Żydzi wywodzący się z Niemiec. Obecnie terminu tego używa się w odniesieniu do Żydów z Europy zachodniej, środkowej i wschodniej, ponieważ większość z nich jest spadkobiercami Żydów franko-niemieckich.

– Tak przypuszczam.

Obok pojemnika leżał aparat fotograficzny.

– Zrobiliście zdjęcia?

– Takie jak zwykle.

– Zróbcie jeszcze trochę. Na wszelki wypadek.

– Wypstrykaliśmy już trzy rolki – odparł Steinfeld.

– Zróbcie więcej – powiedział Daniel. – Żeby się nie powtórzyła katastrofa jak z Aboutboul.

– Nie miałem z tym nic wspólnego – zaprotestował Steinfeld z wymownym wyrazem twarzy.

Jest przerażony, pomyślał Daniel, i stara się tego nie okazywać.

– Wiem, Meir – powiedział łagodniejszym tonem.

– Jakiś detektyw z Okręgu Północnego odkomenderowany do Sztabu Państwowego – skarżył się technik – wziął aparat i otworzył w oświetlonym pokoju, no i zegnajcie dowody.

Myśli Daniela biegły w innym kierunku, lecz pokręcił głową ze zrozumieniem, zmuszając się do współczucia.

– Protekcja?

– A cóż by innego? Czyjś siostrzeniec.

– Można się było spodziewać.

Steinfeld przejrzał zawartość pojemnika, zamknął go i otarł dłonie o nogawki. Spojrzał na aparat i podniósł go z ziemi.

– Ile dodatkowych filmów sobie życzysz?

– Zrób jeszcze dwa, dobrze?

– Dobrze.

Daniel zapisał coś w swoim notesie, wstał, otrzepał spodnie i znowu spojrział na martwą dziewczynę. Nieruchome piękno jej twarzy... profanacja. Taka młoda, jakie były twoje ostatnie myśli, śmiertelna udreka?

– Czy na ciele był piasek? – zapytał.

– Ani trochę – odparła Avital – nawet pomiędzy palcami stóp.

– A we włosach?

– Też nie – odpowiedziała. – Rozczesałam je. Przedtem były idealnie umyte i uczesane. – Zamilkła. – Po co?

– Fetyszysta włosów – powiedział Steinfeld. – Świr. Kiedy ma się do czynienia ze świrami, wszystko jest możliwe. Prawda, pakad?

– Pewnie. – Daniel pożegnał się i wrócił na górę. Laufer siedział w swoim volvo, rozmawiając przez nadajnik. Kierowca stał przy barierze, gawędząc z Afifem. Stary człowiek w mundurze Hagany nadal tkwił pomiędzy dwoma policjantami. Daniel pochwycił jego wzrok i mężczyzna oficjalnie skinął głową, jakby go przyzywał. Daniel skierował się ku niemu, ale powstrzymał go głos zastępcy komendanta.

– Sharavi.

Obejrzał się. Laufer wysiadł z samochodu i przywoływał gestem dłoni.

– No i? – zapytał zastępca komendanta, gdy znaleźli się twarzą w twarz.

– Tak jak pan powiedział, rzeź.

– Wygląda na robotę tego łajdaka?

– Na pierwszy rzut oka nie.

– To znaczy?

– Ta jest jeszcze dzieckiem. Ofiary Szarego Człowieka były starsze, po trzydziestce i pod czterdziestkę.

Zastępca komendanta machnął ręką, odrzucając tę odpowiedź.

– Może zmienił mu się gust – powiedział. – Nabrał apetytu na młode kurewki.

– Nie wiemy, czy dziewczyna się puszczała – odrzekł Daniel, zaskoczony własnym tonem.

Laufer chrząknął i spojrział w inną stronę.

– Rany także są inne – dodał Daniel. – Szary Człowiek robił nacięcie z boku, po lewej stronie gardła. Przecinał główne naczynia krwionośne, ale nie ciął tak głęboko jak ten tutaj – co jest logiczne, bo Gadish, która przeżyła wystarczająco długo, by zeznawać, opisała jego nóż jako niewielki. A tej nieszczęsnej dziewczynie omal nie ucięto głowy, co wskazuje na większe, cięższe narzędzie.

– Co może sugerować, że rozzłościł się bardziej i lepiej uzbroił – powiedział Laufer. – Staje się coraz gwałtowniejszy. To typowe dla maniaków seksualnych, nieprawdaż?

– Czasami – odparł Daniel. – Ale różnice sięgają dalej niż sama intensywność. Szary Człowiek koncentrował się na górnej części tułowia. Uderzał w piersi, ale nigdy poniżej pasa. I zabijał swoje ofiary na miejscu, gdy go rozgniewały. A ta została zamordowana gdzie indziej. Ktoś umył i uczesał jej włosy. Wyszorował całą do czysta.

Laufer się ożywił.

– Co to oznacza?

– Nie wiem.

Zastępca komendanta wyjął następnego papierosa, wetknął go do ust, zapalił i z wściekłością wydmuchnął dym.

– Inny drań – powiedział. – Jeszcze jeden szalenięć grasujący po ulicach naszego miasta.

– Są inne możliwości – rzekł Daniel.

– Co, nowy Tutunji?

– Nie można tego odrzucić.

– Cholera.

Faiz Tutunji. Daniel w myśli wypowiedział nazwisko i wywołał obraz związanej z nim twarzy: długa, o zapadniętych policzkach, połamanych zębach, z tym samym leniwym spojrzeniem na wszystkich zdjęciach. Drobny złodziejaszek z Hebronu, z talentem, by dać się złapać. Wkrótce po podróży do Ammanu zmienił się w rewolucjonistę. Powrócił, by recytować slogany, zgromadził sześciu bandziorów i na bocznej uliczce niedaleko portu Hajfa porwał żołnierkę. Na górze Karmel dokonano na niej zbiorowego gwałtu. Następnie Tutunji udusił ją i pociął, tak aby wyglądało, że morderstwa dokonał maniak seksualny. Patrol Północnego Okręgu złapał ich za Acre, gdy grożąc bronią, usiłowali zmusić następną *chajelet*,* by wsiadła do ich furgonetki. Nastąpiła strzelanina, w której zlikwidowano sześciu spośród siedmiu członków bandy, w tym Tutunjiego, a ten, który został przy życiu, ujawnił pisemne rozkazy od Centralnego Dowództwa Fatahu.* Błogosławieństwa od przewodniczącego Arafata dla zgodnej z nakazami honoru nowej strategii walki z syjonistycznym intruzem.

– Uwolnienie przez okaleczenie – splunął Laufer. – Tylko tego nam potrzeba. – Skrzywił się w zamyśleniu, po czym dodał: – Dobra, przeprowadzą odpowiednie śledztwo, dowiem się, czy nie słyhać o nowych krzykaczach. Jeśli się okaże, że to sprawa dla służb bezpieczeństwa, przyłączy się pan do ludzi z Latam,* z Szin Bet* i Mosadu.* – Ruszył drogą w kierunku południowej granicy pogrążonego w ciszy kampusu starego Uniwersytetu Hebrajskiego. Daniel szedł obok.

* *Chajelet* – żołnierka, kobieta odbywająca służbę wojskową.

* Fatah – ugrupowanie Jasera Arafata walczące w obronie autonomii palestyńskiej. Jego siłą zbrojną jest Brygada Męczenników al Aksy.

* Latam – Wydział do Zadań Specjalnych.

* Szin Bet – skrót od *Szerut Bitachon* – Urząd Bezpieczeństwa.

* Mosad (hebr. *Mossad* – „Instytut”) – służby specjalne założone przez D. Ben Guriona, działające poza granicami Izraela i wypełniające sekretne misje.

- Co jeszcze? – zapytał zastępca komendanta. – Powiedział pan, że jest wiele możliwości.
- Zemsta krwi. Odtrącona miłość.

Laufer się zastanowił.

- To trochę zbyt brutalne, prawda?

- Gdy do głosu dochodzi namiętność, sprawy wymykają się spod kontroli – odparł Daniel. – Ale racja, uważam, że to mało prawdopodobne.

- Zemsta krwi – zastanawiał się Laufer. – Wygląda na Arabkę?
- Trudno powiedzieć.

Laufer zirytował się, jakby Daniel posiadał jakąś szczególną wiedzę na temat tego, jak wyglądają Arabowie, i chciał to zachować dla siebie.

- Naszym najważniejszym zadaniem – powiedział Daniel – powinna być identyfikacja zwłok, a potem musimy znowu tu wrócić. Im szybciej zbierzemy zespół, tym lepiej.

- Jasne, jasne. Ben-Ari jest wolny, tak samo Zussman. Którego z nich pan chce?
- Żadnego. Wezmę Nahuma Shmelzera.
- Myślałem, że odszedł na emeryturę.
- Jeszcze nie, dopiero na wiosnę.
- Najwyższy czas. Jest skończony, wypalony. Brak mu kreatywności.

- Jest twórczy na swój sposób – odparł Daniel. – Bystry i wytrwały, w sam raz do prowadzenia dokumentacji. W tej sprawie będzie tego mnóstwo.

Laufer wydmuchnął dym w niebo, odchrząknął i w końcu przemówił:

- Bardzo dobrze, weź go. Ale jako podinspektora...
- Chcę też Josefa Lee.

- Ten żółtek, pieczeniarsz, prawda?

- Jest dobry w zespole. Zna miasto i jest niezmordowany.

- Doświadczenie w sprawach zabójstw?

- Miał wkład w śledztwo dotyczące starej kobiety z Musrary, uduszonej za pomocą knebla przez włamywacza. I dołączył do śledztwa nad Szarym Człowiekiem, niedługo zanim... zmniejszyliśmy aktywność. Razem z Daoudem, którego także chcę.

- Arab z Betlejem?

- Ten sam.

- To może być niezręczne.

- Zdaję sobie sprawę. Ale korzyści będą większe niż straty.

- To znaczy?

Daniel mówił, a zastępca komendanta słuchał z szyderczym wyrazem twarzy. Po chwili zastanowienia powiedział:

- Chce pan Araba, w porządku, ale znajdzie się pan w trudnej sytuacji. Jeżeli się okaże, że sprawa podpada pod bezpieczeństwo, trzeba go będzie natychmiast oddelegować – dla jego dobra i dla pańskiego. A w pańskich aktach znajdzie się adnotacja o popełnionej gafie.

Daniel nie przejął się tą groźbą i postawił następne żądanie.

- W sprawie tak istotnej przyda mi się jeszcze jeden samal. W dzielnicy rosyjskiej jest dzieciak o nazwisku Ben Aharon.

- Nie ma nawet o czym mówić – przerwał mu Laufer. Obrócił się na pięcie i ruszył z powrotem do volvo, zmuszając Daniela, by szedł za nim, jeśli chce słyszeć dalsze jego słowa.

- Sprawa jak każda inna... wystarczy jeden samal... i już go wybrałem. Nowo zatrudniony Avi Cohen, właśnie przeniesiony z Tel Awiwu.

- Co sprawiło, że tak szybko go przeniesiono?

- Jest młody, silny, pełen entuzjazmu, odznaczony w Libanie. – Laufer zamilkł. – Jest trzecim synem Pinniego Cohena, członka Partii Pracy z Petah Tikwa.

- Czy ten Cohen niedawno zmarł?

- Dwa miesiące temu. Na atak serca, z powodu stresu. Na wypadek gdyby pan nie czytał

gazet, dodam, że był jednym z naszych przyjaciół w Knesecie,* sprzymierzeńcem podczas walk o budżet. Dzieciak ma nieskazitelną przeszłość, a my robimy przysługę wdowie.

– Dlaczego został przeniesiony?

– Z przyczyn osobistych.

– Jak osobistych?

– Nic wspólnego z pracą. Miał romans z żoną przełożonego. Z blondyną Ashera Davidoffa, kurwą pierwszej klasy.

– To wskazuje – powiedział Daniel – na wyraźny brak zdrowego rozsądku.

Zastępca komendanta zbył tę obiekcję machnięciem ręki.

– To jej stały numer. Wynajduje sobie młodzików i zachowuje się wyzywająco. Nie ma powodu, by skreślać Cohena, bo uległ pokusie. Damy mu szansę.

Jego ton wskazywał, że dalsza debata jest niemiłe widziana, i Daniel uznał, że gra nie jest warta świeczki. Uzyskał prawie wszystko, czego chciał. Znajdzie się mnóstwo roboty dla tego Cohena. Wystarczająco dużo, żeby go zająć, by nie sprawiał kłopotów.

– Dobrze – powiedział, nagle zniecierpliwiony rozmową. Spoglądając przez ramię na mężczyznę w mundurze Hagany, zaczął w myśli formułować pytania wywiadu, najlepszego sposobu, by podejść starego żołnierza.

– Absolutnie żadnych kontaktów z prasą – mówił Laufer. – Dam znać, jeśli i kiedy przeciek informacji będzie wymagany. Sprawozdania będzie pan kierował bezpośrednio do mnie. Mam być o wszystkim informowany.

– Oczywiście. Coś jeszcze?

– Nic – odparł Laufer. – Po prostu niech pan wyjaśni tę sprawę.

* Kneset – Parlament izraelski.

ROZDZIAŁ 3

Po odjeździe zastępcy komendanta Daniel podszedł do Schlesingera. Poleciał funkcjonariuszom, by poczekali w samochodzie, i wyciągnął rękę do człowieka w mundurze Hagany. Jego dłoń była mocna i sucha.

– *Adon* Schlesinger, jestem pakad Sharavi. Chciałbym panu zadać kilka pytań.

– Sharavi? – Głos mężczyzny brzmiał głęboko i ochryple, jego hebrajski miał naleciałości akcentu niemieckiego. – Jest pan Jemeńczykiem?

Daniel skinął głową.

– Znałem kiedyś jednego Sharavigo – powiedział Schlesinger. – Mały, chudy facecik, Moshe, piekarz. Mieszkał na Starym Mieście, zanim je utraciliśmy w czterdziestym ósmym. Wyjechał, żeby się przyłączyć do załogi budującej wyciąg linowy ze Szpitala Okulistycznego na górę Syjon.* – Wskazał na południe. – Ustawialiśmy go co noc, by zdemontować przed świtem. Dzięki temu przekłęci Brytyjczycy nie mogli nas przyłapać na wysyłaniu żywności i lekarstw naszym wojownikom.

– To mój wuj – powiedział Daniel.

– Ach, jaki ten świat mały. Co u niego?

– Miał udar.

– W jakim jest wieku? Siedemdziesiąt? – Twarz Schlesingera stężała z napięcia, krzaczaste siwe brwi opadły na wodniste niebieskie oczy.

– Siedemdziesiąt dziewięć.

– Siedemdziesiąt dziewięć – powtórzył jak echo. – Mogło być gorzej. Mały człowieczek, a robota paliła mu się w rękach, nigdy nie chorował. Pochodzi pan z dobrego rodu, pakad Sharavi.

– Dziękuję. – Daniel wyjął notatnik. Schlesinger śledził jego ruchy, utkwiał wzrok w wierzchu jego dłoni. Przyglądał się bliźnom. Spostrzegawczy, pomyślał Daniel.

– Nich mi pan opowie o swoim patrolu – powiedział.

Schlesinger wzruszył ramionami.

– O czym tu mówić? Chodzę drogą w tę i z powrotem, pięć razy w ciągu nocy, płosząc króliki.

– Jak długo jest pan w Haganie?

– Czternaście lat, pierwszej wiosny w rezerwie. Przez trzynaście lat patrolowałem Rehawiję, za domem premiera. Rok temu kupiłem mieszkanie w wieżowcach na Francuskim Wzgórzu, niedaleko waszej kwatery. Żona nalegała, abym patrolował teren bliżej domu.

– Jaka marszruta?

– Od północy do wschodu słońca Od poniedziałku do soboty. Pięć razy od Starego Hadassah do skrzyżowania Ben Adajah i z powrotem.

– Piętnaście kilometrów w ciągu nocy-powiedział Daniel.

* Syjon – warownia na południowym stoku wzgórza Ofel w Jerozolimie. Po sprowadzeniu Arki Przymierza przez króla Dawida – miejsce pobytu Jahwe; miejsce, na którym stała świątynia Salomona.

- Wziąwszy pod uwagę krzywizny drogi, raczej dwadzieścia.
- Sporo chodzenia, *adoni*.
- Jak na starego piernika?
- Dla każdego.

Schlesinger roześmiał się sucho.

– Wyżsi oficerowie Straży Obywatelskiej myślą tak samo. Boją się, że padnę trupem, i zostaną zaskarżeni. Usiłowali mnie namówić na połowę zmiany, ale przekonałem ich, żeby mi pozwolili spróbować. – Poklepał się po piersi. – Minęły trzy lata i wciąż dycham. Nogi jak z żelaza. Dobra przemiana materii.

Daniel z uznaniem skinął głową.

– Ile czasu zajmuje jedna tura?

– Pięćdziesiąt minut do godziny. Dwa razy zatrzymuję się, żeby wypalić papierosa.

Odlewam się raz w ciągu zmiany.

– Inne przerwy?

– Żadnych – odparł Schlesinger. – Według mnie można regulować zegarki.

Może ktoś tak właśnie uczynił, pomyślał Daniel.

– O której godzinie znalazł pan tę dziewczynę?

– O piątej czterdzieści siedem.

– Co za dokładność.

– Spojrzałem na zegarek – powiedział Schlesinger z zakłopotaniem.

– Coś nie w porządku?

Stary mężczyzna rozejrzał się wokoło, jakby sprawdzał, czy nikt ich nie podsłuchuje. Dotknął kolby M-1 i poskubał wąsy.

– *Jeżeli nie jest pan pewien dokładnego czasu, wystarczy podać w przybliżeniu* – dodał Daniel.

– Nie, nie. Piąta czterdzieści siedem. Dokładnie.

Daniel zapisał, co jeszcze bardziej wzmogło zakłopotanie Schlesingera.

– Prawdę powiedziawszy – zniżył głos – wtedy wezwałem pomoc. Znalazłem ją wcześniej.

Daniel przyjrzał mu się.

– Dużo minęło czasu?

Schlesinger unikał jego wzroku.

– Kiedy... kiedy ją zobaczyłem, zrobiło mi się niedobrze. Zwymiotowałem kolację.

– Zrozumiała reakcja, *adoni*.

Stary człowiek zlekceważył słowa współczucia.

– Chodzi o to, że na chwilę straciłem przytomność. Zawroty głowy, omdlenie. Nie jestem pewien, ile czasu minęło, zanim wróciłem do siebie.

– Więcej niż kilka minut?

– Nie, ale nie mam pewności ile.

– Kiedy poprzednio mijał pan miejsce, w którym potem znalazł zwłoki?

– W drodze powrotnej z czwartego obchodu. Mniej więcej godzinę wcześniej.

– Wpół do piątej?

– W przybliżeniu.

– I nic pan nie zauważył?

– Tam nic nie było – twardo rzekł Schlesinger. – Ten jar zawsze sprawdzam bardzo dokładnie. Doskonałe miejsce, by się ukryć.

– A więc – powiedział Daniel, znów zapisując w notesie – przyniesiono ją tam pomiędzy czwartą trzydzieści a piątą czterdzieści siedem.

– Z całą pewnością.

– Czy w tym czasie widział pan lub słyszał jakieś samochody?

- Nie.
- Kogoś jadącego na koniu lub na ośle?
- Nie.
- A od strony kampusu?
- Kampus był zamknięty. O tej porze jest jak wymarły.
- A piesi?

– Ani jednego. Zanim znalazłem to... ją, usłyszałem coś w pobliżu, od strony pustyni. – Obrócił się i wskazał wschodnie pasmo. – Pełzanie, szelest liści. Może jaszczurki. Albo gryzonie. Poświeciłem tam latarką. Kilka razy. Nic.

– Jak długo przedtem, nim ją pan znalazł?

– Kilka minut. Potem przekroczyłem jar. Ale nikogo nie było. Zapewniam pana.

Daniel uniósł dłoń, by ochronić oczy przed słońcem, i spojrzął przed siebie na pustynię: postrzępione złociste wzgórza pocięte starymi tarasami o barwach rdzy i zieleni, opadające bez ostrzeżenia ku białemu jak kość Rowowi Jordanu; w oddali majaczył niewyraźny elipsoidalny kształt, Morze Martwe. Nad wodą unosiła się ołowianoszara mgła, przysłaniająca linię horyzontu.

Daniel zapisał, że należy wysłać kilku mundurowych, aby pieszo przeszukali zbocze.

– Nic i nikogo – powtórzył Schlesinger. – Ani chybi przyszli od strony miasta. Sheikh Jarrah albo wadi.

– Oni?

– Arabowie. To bez wątpienia ich brudna robota.

– Dlaczego tak pan uważa?

– Była pocięta, prawda? Arabowie uwielbiają noże.

– Powiedział pan: Arabowie – zauważył Daniel. – W liczbie mnogiej. Są ku temu jakieś przesłanki?

– Po prostu myślę logicznie – odparł Schlesinger. – To w ich stylu, mentalność tłumu. Rzucić się kupą na kogoś bezbronnego i go pokroić. Dawniej takie rozruchy były na porządku dziennym, jak w Hebronie, Kfar Etzion i Bramie Jafskiej. Kobiety i dzieci szły na rzeź niczym owieczki. A przekłęci Brytyjczycy przyglądali się temu beczynn timer. Pamiętam, jak raz, pod koniec czterdziestego siódmego, aresztowali czterech chłopców i oddali na pastwę tłumu przy Bramie Damasceńskiej. Arabowie rozszarpali ich na kawałki. Jak szakale. Nie było co pochować.

Schlesinger zmrugał oczami i ponuro zacisnął usta; jego twarz przybrała drapieżny wyraz.

– Jeśli chcesz rozwiązać tę sprawę, synu, to stukaj do drzwi we Wschodniej Jerozolimie.

Daniel zamknął notes.

– Jeszcze jedno, *adoni*.

– Tak?

– Powiedział pan, że mieszka na Francuskim Wzgórzu.

– Zgadza się.

– To niedaleko trasy patrolu.

– Zgadza się.

– Twierdzi pan, że jest dobrym piechur em. A jednak dojeżdża pan samochodem i parkuje na Sderot Churchill.

Schlesinger zmierzył go kamiennym wzrokiem.

– Czasami po ukończonej pracy nie jestem gotowy na powrót do domu – powiedział. – Robię sobie wtedy przejażdżkę.

– W jakieś szczególne miejsce?

– Tu i tam. Czy to coś złego, pakad? – Gardłowy głos starego mężczyzny chrypsał z oburzenia.

– Nic a nic – odparł Daniel, ale w głębi duszy pomyślał: *Ben adam afor*. Wyszepiała to

Carmellah Gadish, gdy ją znaleźli. „Szary człowiek”. Trzy ledwie zrozumiałe słowa wybulgotane przez skrwawione usta. A potem utrata przytomności i śpiączka. Wreszcie śmierć.

Ben adam afor. Strzępek informacji, być może tylko majaczenie. Ale było to jedyne świadectwo, jakim dysponowali, i jako takie traktowali poważnie. Szary człowiek. Pseudonim czy jakiś szyfr ze świata przestępczego? Kolor ubrania rzeźnika? Barwa niezdrowej cery? Rys charakteru?

A może posiwiałe włosy?

Spojrzał na Schlesingera i uśmiechnął się. Siwe włosy i wąsy. Błękitne oczy obrzeżone siwymi rzęsami. Biel i jasny błękit. W nocy mogły wyglądać jednakowo. Szare. Szaleństwo, a nawet herezja, pomyśleć, że stary palmachaj mógłby coś takiego zrobić. Przecież sam zwrócił uwagę Laufrowi na różnicę pomiędzy tym zabójstwem a pozostałymi pięcioma. Nigdy jednak nie wiadomo. Schlesinger zaczął patrolowanie Scopus niedługo po ostatnim morderstwie dokonanym przez Szarego Człowieka. Trzydzieści lat w tej samej okolicy, a potem nagła zmiana. Może krył się tu jakiś związek, coś niewyraźnego, co należało wyświetlić. Daniel postanowił zapoznać się z przeszłością starego mężczyzny.

– Walczyłem o to miasto – powiedział Schlesinger z urazą. – Nadstawiałem karku. Wydawałoby się, że zasługuję na coś lepszego niż podejrzenia o morderstwo.

Daniel zastanawiał się, czy jego myśli były aż tak czytelne. Spojrzał na Schlesingera i doszedł do wniosku, że stary jest przewrażliwiony.

– Nikt pana o nic nie podejrzewa, *adoni* – rzekł, starając się załagodzić sytuację. – Dałem się ponieść ciekawości, zboczenie zawodowe.

Schlesinger spojrzał na niego wilkiem i spytał, czy może odejść.

– Oczywiście. I dziękuję za poświęcony mi czas. Policjanci odwiozą pana do samochodu.

– Mogę tam pójść piechotą.

– Nie mam co do tego wątpliwości, ale przepisy wymagają, byśmy pana odwieźli.

Daniel przywołał funkcjonariuszy, podczas gdy stary zrzędził na temat biurokracji, zlecił jednemu z nich odprowadzenie Schlesingera do samochodu patrolowego, po czym odprowadził drugiego policjanta na bok.

– Obejrzyj jego samochód, Amnon. Nie szukaj niczego konkretnego, po prostu rzuć okiem. Powiedz, że karabin należy trzymać w bagażniku, i umieść go tam własnoręcznie. Przy okazji sprawdź bagażnik.

– Szukać tam czegoś?

– Interesuje mnie wszystko, co odbiega od normy. Ale rób to od niechcenia, tak aby stary się nie zorientował.

Oficer spojrzał na oddalającego się Schlesingera.

– Jest podejrzany?

– Nie chcemy nic przeoczyć. Mieszka na Francuskim Wzgórzu. Pojedź za nim do wieżowców i wezwij jeszcze dwóch policjantów. Niech przywiozą wykrywacz metalu. Przyjedźcie tutaj wszyscy czterej i dokładnie przeszukajcie zbocze od strony pustyni. Skoncentrujcie się na najbliższym sąsiedztwie grzbietu. Promień dwóch kilometrów powinien być wystarczający. Szukajcie śladów stóp, krwi, odpadków, opakowań żywności.

– Wszelkich śladów pobytu człowieka?

– Otóż to. I ani mru-mru. Góra nie życzy sobie rozgłosu.

Oficer skinął głową i odszedł, porozmawiał ze Schlesingerem i odprowadził go do auta. Niebiesko-biały samochód patrolowy odjechał. Wkrótce potem ruszył za nim wóz techniczny. Ludzie z samochodu transportowego zniknęli w jarze, niosąc na noszach złożony plastikowy worek na ciało, po czym pojawili się znów z pełnym workiem. Umieścili go w furgonetce Abu Kabira, wsiedli do niej, zatrzasnęli drzwiczki i odjechali. Daniel podszedł do Afifa, razem odsunęli zapory i załadowali je do jeepa.

– Powiedz mi, Salman, jakie są szanse na to, że ktoś przemknie chyłkiem przez pustynię we wczesnych godzinach rannych?

– Panuje całkowita cisza – odparł Druza ze stoickim spokojem. – Wszystko jest pod kontrolą.

– A od strony Isawiji?

– Spokój. W stacjach policyjnych w Rowie Jordanu mamy czujniki podczerwieni. Na wozach patrolowych i na niektórych jeepach także. Wychwytujemy wyłącznie węże i króliki. Mała grupa Beduinów znajdująca się na północ od Ramot nie zejdzie stamtąd aż do lata.

– A co w Ramallah?

– Miejscowe zamieszki, niewarte wzmianki.

– A sektor Betlejem?

– Od czasu pogrzebu dziewczyny wzmocniono patrole. Żadnych podejrzanych zdarzeń.

Dziewczyna. Najwa Sa'id Mussa. Czternastoletka w drodze na rynek została schwytana w dwa ognie pomiędzy tłum ciskających kamieniami Arabów i dwóch dziesiętnastoletnich żołnierzy, ostrzeliwujących się w obronie. Pocisk, który trafił ją w głowę, uczynił z niej bohaterkę. Plakaty z jej wizerunkiem przymocowywano do pni drzew figowych, rosnących wzdłuż drogi do Hebronu. Na ścianach domów i na gładziach wypisywano graffiti nawołujące do zemsty. Pogrzeb zmienił się nieomal w powstanie, a potem znów zapanował spokój.

Ale czy na pewno?

Daniel pomyślał o innej zabitej dziewczynie.

O siódmej czterdzieści pięć do kampusu zaczęli napływać studenci, wszczynając hałas. Daniel przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył w stronę szpitala Amelia Catherine. Przechodził tędy wiele razy, ale nigdy nie był w środku. Podczas śledztwa w sprawie Szarego Człowieka ludzi z ONZ osobiście przesłuchiwał Gavrieli. Dobry zwierchnik. Niestety niezbyt uważny.

Zbliżając się do ogrodzonego terenu, Daniel zdał sobie sprawę, jak bardzo szpital nie pasował do tego miejsca. Przycupnięty na szczycie Scopus, z fasadą z różowego kamienia, dzwonnica, ziewającymi gargulcami i spiczastymi dachami. Niczym nazbyt strojna wiktoriańska wdowa obozująca na pustyni.

Do głównego budynku wiodło łukowato sklepione, porośnięte bluszczem wejście. U jego szczytu znajdowała się obramowana wapieniem granitowa płyta z wykutym po angielsku napisem: AMELIA CATHERINE PRZYTUŁEK I LECZNICA DLA PIELGRZYMÓW, WZNIESIONA PRZEZ HERMANNA BRAUNERA, 15 SIERPNIĄ 1898. Poniżej przytwierdzono białą emaliowaną tabliczkę z niebieskimi literami: „Stowarzyszenie Pomocy i Prac Organizacji Narodów Zjednoczonych. Współadministrowane przez Światowe Zgromadzenie Kościołów”. Po angielsku i po arabsku, ani słowa po hebrajsku. Po obu stronach łuku stały smukłe kolumny, po których pięły się krzewy białych róż o płatkach brązowiejących od gorąca. Wejście prowadziło na wielki, zasypany pyłem podwórzec, którego środek ocieniony był przez rozłożysty dąb, równie stary jak budynek szpitala. Wielkie drzewo otaczały rabaty zjawiskowych kwiatów: tulipanów, maków, irysów, róż. W jednym z narożników podwórza przycupnęła rzeźbiona fontanna, sucha i milcząca, o marmurowym basenie pokrytym warstwami pyłu.

U wejścia, na lichym plastikowym krześle, siedział korpulentny dozorca arabski, o opuszczonych powiekach. Tkwił nieruchomo, z wyjątkiem palców, którymi zwinnie przesuwiał bursztynowe paciorki różańca. Mężczyzna miał na sobie szare spodnie robocze i szarą koszulę. Pod pachami widniały ciemne kręgi potu. Na ziemi, obok jednej z nóg krzesła, stała szklanka tamarindy z kostkami lodu, które topniejąc, nabierały kulistego kształtu.

Na odgłos kroków dozorca uniósł powieki; przez jego twarz przemknęły mieszane emocje: ciekawość, nieufność i odrętwienie człowieka gwałtownie wyrwanego ze snu.

Daniel pozdrowił go po arabsku i pokazał odznakę. Dozorca zmarszczył brwi, uniósł z

krzesła swą zwalistą postać i sięgnął do kieszeni po dokumenty.

– Nie trzeba – powiedział Daniel. – Proszę tylko podać nazwisko.

– Hadżab, Zia. – Dozorca unikał kontaktu wzrokowego i patrzył w jakiś odległy punkt nad lewym ramieniem Daniela. Przeczesał dłonią obcięte po wojskowemu włosy o kolorze i teksturze opiłków żelaza i niecierpliwie tupnął nogą. Pod czarnymi jak smoła, szpeciniastymi wąsami widoczne były blade i wąskie usta. Daniel spostrzegł zrogowaciałą skórę palców i połamane, brudne paznokcie.

– Pochodzi pan z Jerozolimy, panie Hadżab?

– Z Ramallah. – Dozorcę rozpierala lokalna duma. Biedny człowiek szcycący się bogatym miastem.

– Chciałbym panu zadać kilka pytań.

Hadżab z rezygnacją wrzucił ramionami i nadal unikał wzroku Daniela.

– Niech pan pyta, ale ja o tym nic nie wiem.

– O czym?

– O waszych policyjnych sprawach. – Hadżab wciągnął powietrze i zaczął przesuwać paciorki obydwojma rękami.

– O której przyszedł pan dziś do pracy?

– O szóstej trzydzieści.

– Zwykle o tej porze zaczyna pan pracę?

– Nie zwykle. Zawsze.

– Którą drogą przyszedł pan z Ramallah?

– Żadną.

– Słucham?

– Żadną drogą. Mieszkam tutaj.

– Tutaj, w szpitalu?

– Tak.

– Dlaczego?

– W Ramallah utrzymuję piękny dom – powiedział dozorca. – Duży ogród, drzewa figowe, winorośl. Ale ze względu na moje umiejętności muszę być zawsze pod ręką, więc szpital przydzielił mi pokój. Ładny, czysty, świeżo odmalowany i wygodnie umeblowany.

– To piękny szpital – powiedział Daniel. – Dobrze zbudowany.

– Tak – potwierdził Hadżab żarliwie.

– O której zazwyczaj się pan budzi?

– O szóstej.

– Co pan zwykle robi po wstaniu z łóżka?

– Ablucje, poranne modły, lekkie śniadanie i prosto na stanowisko.

– Od jak dawna mieszka pan w szpitalu, panie Hadżab?

– Od trzynastu miesięcy.

– A przedtem?

– Przedtem mieszkalem w Ramallah. Już mówiłem – odparł rozdrażniony.

– W Ramallah także był pan strażnikiem?

– Nie. – Hadżab zamilkł i potarł paciorki. Jego czoło pokryło się kropelkami potu, więc otarł je dłonią. – W Ramallah byłem... inżynierem od samochodów.

Daniel zapisał „mechanik”.

– Co sprawiło, że zmienił pan zawód?

Mięsista twarz Hadżaba pociemniała z gniewu.

– Warsztat, w którym mnie zatrudniano, został sprzedany. Nowy właściciel dał mi pracę u swego zięcia. – Spojrzał na paciorki, zakaszlał i zaklął cicho po arabsku: – *Zaijel te'ban*. Jak wąż.

Zakaszlał jeszcze raz, oblizwał wargi i spojrzał tęsknie na tamaryndę.

– Proszę – powiedział Daniel, wskazując napój, ale dozorca pokręcił głową.

– Niech pan pyta dalej.

– Rozumie pan, dlaczego zadaję te pytania?

– Wypadek – odparł Hadżab z wymuszoną obojętnością.

Daniel czekał, że powie coś więcej, a nie doczekawszy się, zapytał:

– Wie pan coś o tym wypadku?

– Widziałem zapory na szosie i samochody, więc przypuszczam, że zdarzył się wypadek.

– Hadżab uśmiechnął się ponuro. – Nic nie myślę na ten temat. Zawsze zdarzają się wypadki. Zawsze zadają mi pytania.

– Tutaj, w szpitalu?

– Wszędzie.

Ton dozorczy zabrzmiał wrogo i Daniel odczytał ukryte przesłanie: Odkąd władzę przejęliście wy, Żydzi, życie stało się nieustannym pasmem kłopotów.

– Mocno pan sypia, panie Hadżab?

– Mam spokojne sny. Słodkie jak róże.

– Ostatniej nocy miał pan słodkie sny?

– A niby czemu nie?

– Widział pan lub słyszał coś niezwykłego?

– Nic a nic.

– Żadnego zamieszania? Żadnych głosów?

– Nie.

– Jak to się stało, że dostał pan pracę w Amelia Catherine?

– Kiedy straciłem stanowisko inżyniera, doświadczyłem choroby i leczono mnie w klinice prowadzonej przez szpital.

– Jaka to choroba?

– Bóle głowy.

– Gdzie jest ta klinika?

– W Bir Zeit.

– I co dalej?

– Jakże dalej?

– Jak trafił pan do tej pracy?

Hadżab zmarszczył brwi.

– Lekarz z kliniki zalecił mi przeprowadzenie badań w szpitalu. Kiedy tu przyszedłem, zauważyłem na jednej ze ścian ogłoszenie, że potrzebna jest pomoc. Dozorcostwo i naprawy. Zainteresowałem się tym i gdy pan Baldwin odkrył moje talenty inżynierskie, poprosił mnie, abym się przyłączył do personelu.

– Łut szczęścia.

Hadżab wzruszył ramionami.

– *Al Maktoub* – powiedział nonszalancko. – Mam to wypisane na czole.

– Jak pańska głowa?

– Bardzo dobrze, niech będzie błogosławiony Prorok.

– To dobrze. Niech mi pan powie, panie Hadżab, ile osób mieszka w szpitalu?

– Nigdy ich nie liczyłem.

Zanim Daniel zdążył rozwinąć temat, nadjechała czarna, lśniąca lancia beta. Sportowy samochód wydał czknięcie, a następnie zadrgał i jego silnik zgasł. Otworzyły się drzwi i wysiadł kierowca, wysoki, jasnowłosy mężczyzna ubrany w kurtkę safari koloru khaki oraz brązowe, aksamitne spodnie. Pod kurtką miał białą koszulę i krawat w zielono-czerwone pasy. Mężczyzna był w nieokreślonym wieku, jeden z tych typów o gładkich twarzach, którzy mogą mieć gdzieś pomiędzy trzydziestką a czterdziestką, o szerokich barach i wąskich biodrach, z mocnymi i długimi rękami, które luźno zwisają wzdłuż ciała. Jego jasne proste

włosy były tłuste, a ku górze przerzedzały się, otaczając łysinę na czubku głowy. Wąską i opaloną twarz wieńczyło wysokie, piegowate czoło. Usta miał spękane, nos zadarty, różowy i obłąający ze skóry. Oczy osłonięte ciemnymi lustrzankami. Spojrzał na Daniela, potem na Hadżaba.

– Zia? – powiedział.

– Policja, panie Baldwin – rzekł Hadżab po angielsku. – Pytania.

Mężczyzna zwrócił się w stronę Daniela, uśmiechnął się nieznacznie, po czym spoważniał.

– Sorrel Baldwin, administrator szpitala. Jakies kłopoty, oficerze?

Mówił z akcentem amerykańskim, przeciągając głoski jak w westernie.

– Rutynowe śledztwo – powiedział Daniel, pokazując odznakę. Baldwin wziął ją do ręki.

– Wypadek – powiedział Hadżab, nabrawszy odwagi.

– Uhum – mruknął Baldwin, unosząc przeciwsłoneczne okulary i spoglądając na odznakę. Jego niebieskie oczy były małe, nabiegłe krwią. Oczy pijaka? – Jest pan... inspektorem?

– Naczelnym inspektorem.

Baldwin zwrócił mu odznakę.

– Dotychczas zawsze miewałem do czynienia z zastępcą komendanta, Gavrielim.

Kumpel szefa. Co miało oznaczać, że nadinspektor nie dorównuje mu klasą. Daniel zlekceważył ten objaw snobizmu i przeszedł do sprawy.

– Panie Baldwin, we wczesnych godzinach rannych zostało popełnione przestępstwo. Decydujący dowód znaleziono w tym jarze, przy drodze. Chcę porozmawiać z pańskim personelem, aby stwierdzić, czy ktoś widział coś, co pomogłoby nam w śledztwie.

Baldwin założył okulary.

– Jeżeli ktoś by coś zauważył, z pewnością zameldowałby o tym – powiedział. – Zapewniam pana.

– Nie wątpię. Ale czasami ludzie widzą jakies drobiazgi i nie zdają sobie sprawy z ich wagi.

– O jakim przestępstwie mówimy? – zapytał Baldwin.

– O morderstwie. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

– Policyjna cenzura, co?

Daniel się uśmiechnął.

– Mogę porozmawiać z personelem?

Baldwin potarł podbródek.

– Zdaje pan sobie sprawę, oficerze...

– Sharavi.

– ... oficerze Sharavi, że jesteśmy tu z ramienia Agencji Pomocy i Prac Organizacji Narodów Zjednoczonych, co nam daje przywileje dyplomatyczne w stosunkach z policją.

– Oczywiście, panie Baldwin.

– Zrozumiałe jest także to, że unikamy angażowania nas w lokalne sprawy polityczne.

– To sprawa kryminalna, proszę pana. Nie polityczna.

– W tym mieście – powiedział Baldwin – sprawy te rozgranicza cienka linia. Tak subtelna, że, przykro mi to mówić, policja nie zawsze jest ją w stanie zauważyć. – Zamilkł i spojrzał na Daniela. – Nie. Przykro mi, oficerze Sharavi, nie mogę pozwolić, aby postępował pan niezgodnie z naszymi zwyczajami.

Słuchając Amerykanina, Daniel miał przed oczyma zamordowaną dziewczynę. On, policjant, wyobraził sobie z gniewem, jak zmusza tego biurokrate, by poszedł z nim do jaru, na miejsce krwawej jatki. Przyciska jego twarz do ciała, aby wdychał odór zła. Wdychaj je, doświadczaj go. Poczuj, że flaki ci się wywracają. Jaka to sprawa, gryzipiórku, kryminalna czy polityczna?

– Zgadzam się – usłyszał własne słowa. – To bardzo delikatne rozróżnienie. Ale my

jesteśmy je w stanie uczynić. Pamięta pan przypadek kaprała Takumbaia?

– Słabo. – Baldwin z zakłopotaniem przeniósł ciężar ciała na drugą nogę. – Jakaś sprawa na północy kraju, tak?

– Tak. W Tyberiadzie. Kapral Takumbai należał do kontyngentu Fidzi przydzielonego do patrolu UNIFIL w południowym Libanie. W jego historii choroby była wzmianka o niezrównoważeniu psychicznym, ale nikt nie wziął tego poważnie. Pewnej nocy, podczas urlopu nad *Morzem Galilejskim*, oddalił się od kolegów, wdarł się do jakiegoś mieszkania i zgwałcił dwie stare kobiety. Ktoś usłyszał krzyki i wezwał policję. Gdy usiłowano go schwytać, Takumbai zranił jednego z policjantów i...

– Naprawdę nie widzę, jaki to ma związek z...

– ... i omal nie zabił drugiego. Mimo to został wypuszczony, panie Baldwin. Wrócił na Fidzi bez procesu. Chroniła go przynależność do ONZ i uszanowaliśmy to. Umieliśmy oddzielić politykę od zbrodni. Były także inne przypadki. Francuz Grimaud, kleptomaniak. Fin o nazwisku Kokkonen, który po pijanemu bił kobiety. Nawet teraz, gdy rozmawiamy, prowadzona jest sprawa dotycząca innego Francuza. Przemycił nasiona haszyszowe z obozu uchodźców w Gazie. Tak samo jak tamci zostanie wydany bez rozprawy. Bez wywlekania sprawy na widok publiczny. Sam więc pan widzi, panie Baldwin, że nie ma się pan czego obawiać. Nadal chronimy dobre imię ONZ. Jesteśmy w stanie poczynić rozróżnienia.

Baldwin zerknął przez ramię na Hadzaba, który pilnie przysłuchiwał się wymianie zdań, przenosząc wzrok z jednego na drugiego jak na rozgrywkach tenisa. Amerykanin sięgnął do kieszeni, wyjął kluczyki do samochodu i wetknął je w dłoń dozorca.

– Zaparkuj samochód, Zia.

Wyraźnie rozczarowany dozorca usłuchał go. Gdy lancia ruszyła z miejsca, Baldwin zwrócił się do Daniela:

– W każdej organizacji zdarzają się czarne owce. To nie ma nic wspólnego z personelem szpitala. Wszyscy zostali starannie wybrani. Altruści. Dobrzy, solidni ludzie.

– Ani przez chwilę w to nie wątpię, panie Baldwin. A skoro tacy z nich altruści, powinni być zadowoleni, że mogą pomóc.

Amerykanin zerwał z nosa kawałek luszczącej się skóry i spojrzał w kierunku miejsca zbrodni. Z jaru wleciało stadko wron. Zza szpitala doleciał ryk osła.

– Mógłbym – powiedział Daniel – posuwać się utartymi ścieżkami. Co oznaczałoby opóźnienie przesłuchań, spotkania, sporządzanie notatek służbowych. Żyjemy w małym kraju, panie Baldwin. Wiadomości szybko się rozchodzą. Im dłużej sprawa się ciągnie, tym trudniej ją utrzymać w tajemnicy. Ludzie zechcą wiedzieć, dlaczego tak wielu przestępców unika kary. A nie chcielibyśmy, aby wizerunek ONZ niepotrzebnie ucierpiał.

Baldwin nie odpowiedział, więc Daniel dodał:

– Może nie mówię dostatecznie jasno. Mój angielski...

– Pański angielski jest wystarczający – odparł Baldwin z kwaśnym uśmiechem.

Daniel także się uśmiechnął.

– Miałem doskonałego nauczyciela – powiedział, spoglądając na zegarek. Przekartkował notes i zaczął w nim coś zapisywać.

– Dobrze – stwierdził w końcu Baldwin. – Ale proszę to zrobić szybko.

Odwrócił się na pięcie. Daniel ruszył za nim pod łukowatym wejściem i dalej przez ciche podwórze. Po pnium wielkiego drzewa przemknęła jaszczurka. Daniel wdychał woń róż, która w gorącym porannym powietrzu unosiła się niczym słodka chłodna mgiełka.

ROZDZIAŁ 4

Szpital miał swoją historię. Daniel zapoznał się z nią w 1967 roku, podczas szkolenia, kiedy pogłoski o nadciągającej wojnie* sprawiły, że każdy oficer wojsk spadochronowych studiował mapy i książki historyczne.

Szpital Amelia Catherine rozpoczął żywot jako prywatna rezydencja – wielka, niezdarna budowla na grzbiecie działu wodnego pomiędzy Doliną Jordanu a Morzem Śródziemnym.

Wzniesiony przez bogatego niemieckiego misjonarza jako prezent ślubny dla jego młodej żony otrzymał jej imiona. Zbudowany został z miejscowego wapienia i marmuru przez tutejszych murarzy. Ale zaprojektował go monachijski architekt będący anglofilem. W rezultacie powstała nieśmiała próba imitacji wiktoriańskiego stylu, przetransportowanego do Palestyny. Przeładowana, snobistyczna budowla, otoczona przez konwencjonalnie zaprojektowane ogrody, obfitujące w krzewy w drewnianych donicach, kwietniki i aksamitne trawniki, które szybko zwiędły pod upalnym słońcem Judei. Misjonarz był też człowiekiem o wyrafinowanym smaku. Sprowadzał statkami puszkowane mięso, konserwowane delikatesy oraz francuskie wina, które przechowywał w rozległych piwnicach pod domostwem.

Sprawczyńi owych architektonicznych starań, krucha jasnowłosa *Fraulein*, zaraziła się cholera w dwa miesiące po przybyciu do Jerozolimy i umarła dwa tygodnie później w wieku dwudziestu jeden lat. Pochowawszy ją w pobliżu Getsemani,* pogrążony w żałobie wdowiec, przeżywający kryzys wiary, powrócił na zawsze do Europy, pozostawiając swój wyśniony dom panującym Turkom.

Turcy zawsze żywili pogardę dla Jerozolimy oraz jej budowli i, podczas swego trwającego czterysta lat panowania, zmienili ją z tętniącej życiem świątyni Krzyżowców w zakurzone, opustoszałe prowincjonalne miasto, siedlisko żebraków, trędowatych oraz fanatycznych niewiernych żydów. Od chwili założenia fundamentów Amelia Catherine stanowiła afront dla tureckiego poglądu na świat. Fakt, że chrześcijanin, a więc niewierny, pozwolił sobie na wzniesienie czegoś tak wulgarnego jak dom dla kobiety, dom, który spoglądał z góry na meczety al Aksa i Omara, dotkliwie obrażał Allacha.

Wysokie podatki, pobierane od niemieckiego głupca, zapewniały spokój temu religijnemu rezerwatowi. Ale gdy wyjechał, ogrody nakazano zmienić w ugór, trawniki wypalono, a wielki budynek zamieniono na magazyn broni. Wkrótce wszystkie marmurowe korytarze cuchnęły smarem.

Ten stan rzeczy trwał do roku 1917, kiedy Palestynę najechali Brytyjczycy. Zbeczyszczony dwór na Scopus miał strategiczne położenie, a jego brudne okna stały się świadkiem długotrwałych krwawych walk. Gdy ogień ucichł 11 grudnia, generał Allenby wkroczył do Jerozolimy, a Cesarstwo Otomariskie przeszło do historii.

* Wojna 1967 roku – „wojna sześciodniowa” z trzema państwami arabskimi. Jej skutkami były: utrata przez Jordanię Starej Jerozolimy i całej Cisjordanii, przez Syrię – wzgórze Golan, przez Egipt – całego Synaju i strefy Gazy.

* Getsemani – ogród oliwny na stoku Góry Oliwnej (bloku wapiennego o trzech szczytach na wschód od Jerozolimy) na lewym brzegu potoku Cedron. W Biblii miejsce cierpień duchowych Chrystusa.

Brytyjczycy powitali swoich z wielką pompą, która rozbawiła biednych Żydów i Arabów, z dziada pradziada zamieszkujących miasto. Jak wszystkie dotychczasowe hordy zdobywające Jerozolimę, nowi najeźdźcy zaczęli urządzać Święte Miasto po swojemu. Począwszy od Amelia Catherine.

Brygady robotników kosiły chwasty sięgające kostek, oczyszczone wapienie na powrót stały się różowe, zbiorniki opróżniono, doły kloaczne osuszono. W ciągu kilku tygodni stworzono wcale imponującą siedzibę dla brytyjskiego gubernatora wojskowego, i na werandzie znów rozbrzmiewał łagodny szmer rozmów i dźwięczenie filiżanek.

W roku 1947 napięcie pomiędzy palestyńskimi Żydami a palestyńskimi Arabami nabrało temperatury wrzenia. Brytyjczycy stracili zainteresowanie dla cesarskiej budowli i szybko się z niej wynieśli. Wybuchły walki, po których nastąpiło zawieszenie broni i ingerencja sił ONZ, w wyniku której poszatkowano krainę. Ziemię podzielono na sześć części, przy czym południowe i północne obszary nadmorskie oraz centrum, wraz z Jerozolimą i największymi miastami, zagwarantowano Arabom. Żydzi otrzymali pasek środkowego wybrzeża, wewnętrzny klin Galilei oraz jałowy obszar pustyni Negew. Mimo że Arabowie dostali lwią część bogactw naturalnych, nie byli zadowoleni, bo było to mniej niż wszystko, toteż w 1948 roku zaatakowali Żydów. Tysiące ludzi straciło życie, po czym zawarto rozejm, który gwarantował Żydom kraj o nazwie Izrael, powiększony teraz o całą zachodnią część Palestyny, ale nadal mniejszy od kraju Arabów, o nazwie Jordania, który zawierał ziemie po obu stronach rzeki Jordan i rozciągał się na wschód.

Na skutek błędnych przewidywań Jerozolima została podzielona dość dziwnie. Święte Miasto zostało posiekane w pośpiechu, 30 listopada 1948 roku, podczas tymczasowego zawieszenia broni. Owego bezceremonialnego podziału dokonali – w budynku na terenie slumsów Musrara – żydowski komendant Moshe Dayan oraz komendant arabski podpułkownik Abdullah Tal.

Żaden z nich nie wierzył, że zawieszenie broni potrwa dłużej, i uważali wyniki swoich wysiłków za tymczasowe. Żydzi mieli nadzieję na trwałą pokój ze swymi współbraćmi, a Abdullah Tal wciąż pieścił myśl o podboju, licząc dni do chwili, gdy na białym koniu wjedzie do żydowskiej Jerozolimy.

Komendanci zabrali się do roboty, używając miękkich kredek woskowych – Dayan czerwonej, Tal zielonej – na mapie Jerozolimy w skali 1: 20 000 rysując grube arbitralne linie, odpowiadające pięćdziesięciometrowym skrawkom ziemi. W miarę jak wosk topniał, linie stawały się jeszcze grubsze, tnąc domy i podwórka, sklepy i biura, rozplątując miasto, jak to się miało stać z dzieckiem stanowiącym przedmiot sporu, rozstrzygniętego przez Salomona. Linie, które nie zasługiwały na poważne traktowanie, bo nie były niczym innym jak tylko tymczasowymi szkicami.

Ale komendanci pomylili się w swoich prorocत्वach. Mijały dni, zawieszenie broni zmieniło się w pokój, szkice stały się międzynarodowymi granicami, a grubość linii woskowych kredek przez dziewiętnaście lat oznaczała ziemię niczyją.

Góra Scopus ze względu na swoje strategiczne znaczenie została podzielona wcześniej, zamieniono ją w zdemilitaryzowaną strefę administrowaną przez ONZ. Izrael zachował ruiny szpitala Hadassah i Uniwersytet Hebrajski, a wschodnie zbocze, na którym znajdowała się sponiewierana Amelia Catherine, zostało przydzielone Jordanowi. Wszystkie budynki, na obydwu zboczach, stały puste i nie używane, choć pozwolono na ich patrolowanie i na wrywanie chwastów, a arabscy farmerzy otrzymali nielegalną zgodę na zaoranie pól otaczających Amelia Catherine i na zbieranie plonów.

W roku 1967 Arabowie zaatakowali ponownie i znowu utracili honor i ziemie. Po raz pierwszy od ponad trzech tysięcy lat Jerozolima trafiła pod wyłączne panowanie Żydów i góra Scopus została scalona. Amelia Catherine przeszła swoją piątą metamorfozę i stała się szpitalem, prowadzonym wspólnie przez ONZ oraz szwajcarską grupę protestanckich

misjonarzy.

Była to pośpieszna przemiana, całkowicie pozbawiona sentymentów: teren ogrodzono wysoką siatką, wielkie apartamenty przedzielono ściankami z desek, tak że stały się ciasnymi pokojami szpitalnymi, obszerna, wyłożona boazerią biblioteka została pomalowana na jasnozielony kolor i podzielona na pokoiki biurowe. W wysokich kamiennych murach rozlegały się pomnażane echem jęki i stłumione łkania chorych.

Tyle z dawnej świetności Amelia Catherine ujrzał Daniel, idąc za Baldwinem marmurową klatką schodową, a potem długim, pomalowanym na biało korytarzem. Budynek wydawał się pusty i, nie licząc sonaty wygrywanej na maszynie do pisania, pogrążony w ciszy.

Biuro administratora mieściło się w małym, jasnym pokoju usytuowanym w połowie holu. Po wewnętrznej stronie drzwi wisiał harmonogram objazdowych klinik.

Sprzęty biurowe były tanie i praktyczne: pośrodku imitacja nowoczesnego biurka duńskiego i dwa krzesła o wysokich oparciach, kanapa pokryta bawełnianą tkaniną w paski przy ścianie na lewo od wejścia. Nad kanapą wisiały oprawiona reprodukcja *Ostatniej wieczery* i dwa dyplomy: ukończenia wydziału rolnictwa na uczelni w San Antonio oraz magisterium z socjologii na Uniwersytecie Amerykańskim w Bejrucie. Naprzeciw sofy stały regały w połowie wypełnione książkami i publikacjami ONZ w formie broszur spiętych klamrami. Na jednej z pustych półek stał czynny elektryczny wentylator. Obok niego leżał kowbojski kapelusz ze skórzanym otokiem. W ścianie za biurkiem znajdowały się dwa łukowato sklepione okna, ukazujące panoramiczny widok pustyni. Pomiędzy oknami ustawiono oszkloną gablotę ze znaleziskami archeologicznymi: monety, niewielkie gliniane urny, skrawki pergaminu. Baldwin zauważył, że Daniel się im przygląda, i rzekł z uśmiechem:

– Wszystkie zdobyte legalnie, oficerze Sharavi. Oficjalna własność ONZ.

Daniel odwzajemnił uśmiech i Amerykanin obszedł biurko, aby zająć swe krzesło. Daniel usiadł naprzeciw, umieścił notes na kolanach i rozejrzał się, szukając przedmiotów osobistych, zdjęć rodziny, drobiazgów, które ludzie przynoszą do biura, aby przypominały im o domu. Nic oprócz kapelusza.

– Ilu ma pan ludzi w zespole, panie Baldwin?

– Na pełnym etacie czy wszystkich pracowników?

– Wszystkich.

– Na tak postawione pytanie mogę tylko odpowiedzieć, że jest ich długa lista.

– Czy owa lista istnieje w formie pisemnej?

Baldwin pokręcił głową.

– To nie takie proste, oficerze. Amelia Catherine koncentruje się na dwóch sferach aktywności: objazdowe kliniki dla uchodźców i ludności miejscowej oraz tygodniowe kliniki stacjonarne, które działają tutaj: dermatologia, okulistyka, neurologia, choroby kobiece, opieka nad matką i dzieckiem. Wielu miejscowych lekarzy i pielęgniarzy pracuje tu ochotniczo, niektórzy zatrudnieni są na niepełnym etacie, jeszcze inni pracują tu w pełnym wymiarze godzin. Sytuacja zasługuje na miano bardzo dynamicznej.

– Interesują mnie ci, którzy nocują w budynku.

– To znacznie ogranicza ich liczbę – wycedził Baldwin. Uniósł dłoń i zginał palce, wyliczając. – Są nasze pielęgniarki: Peggy Cassidy i Catherine Hauser...

– Jakiej narodowości?

– Peggy jest Amerykanką, z Kalifornii, jeśli to coś panu mówi. Catherine jest Szwajcarką.

– I obydwie spały tu minionej nocy?

– Hola – powiedział Baldwin, unosząc ręce. – Użył pan terminu „nocują” w znaczeniu ogólnym. Co się tyczy konkretnie ostatniej nocy, nie mam zielonego pojęcia.

Facet miał zwyczaj reagować na najprostsze pytania tak, jakby stanowiły pułapki.

Ostrożność kryminalisty, zastanawiał się Daniel, czy polityka?

– Proszę mówić dalej – rzekł, notując. – Kto jeszcze?

– Doktor Carter, doktor Al Bijadi i być może doktor Darousha.

– Być może?

– Doktor Darousha mieszka w Ramallah. Jest bardzo oddany sprawie, doskonały lekarz. Przychodzi tu po obejrzeniu własnych pacjentów i czasami pracuje do późna w nocy. Daliśmy mu pokój, żeby nie musiał jechać do domu, kiedy jest bardzo zmęczony. Nie wiem, czy korzystał z pokoju ostatniej nocy.

– Proszę podać imiona lekarzy.

– Richard Carter, Hassan Al Bijadi, Walid Darousha.

– Dziękuję. A pozostali?

– Ma'ila Khoury, nasza sekretarka, Zia, którego już pan poznał, i ja.

Daniel przejrzał notatki.

– Doktor Carter jest Amerykaninem?

– Kanadyjczykiem. Doktor Al Bijadi pochodzi z Jerozolimy.

Daniel znał rodzinę Al Bijadich. Badylarze, prowadzący stragan na Starym Mieście, na Street of the Chains. Zastanawiał się, czy doktor pochodzi z tych właśnie Al Bijadich.

– Ma'ila jest Libanką – ciągnął Baldwin. – Zia to Palestyńczyk, a ja pochodzę z Teksasu.

I to wszystko.

– A pacjenci?

Baldwin odchrząknął.

– Dzisiaj nie prowadzimy kliniki z powodu muzułmańskiego szabat.

– Chodzi mi o pacjentów szpitala.

Baldwin zmarszczył brwi.

– Już panu wyjaśniałem, że naszym głównym zadaniem jest prowadzenie klinik objazdowych oraz ośrodka ambulatoryjnego. Nasze zadanie polega na kontaktowaniu się z ludźmi, którzy normalnie nie mają dostępu do służby zdrowia. Rozpoznajemy typy schorzeń i kierujemy pacjentów do odpowiednich placówek.

– Ośrodek wydający skierowania?

– W pewnym sensie, ale w naszych klinikach prowadzimy wstępne leczenie.

– A więc tutaj nigdy nie przyjmuje się pacjentów?

– Nie powiedziałbym nigdy, raczej rzadko.

Taki wielki gmach, pomyślał Daniel, a mieszka w nim zaledwie garstka ludzi. Nie używane pokoje, puste łóżka. Wszystkie te zagraniczne fundusze tylko po to, by biedni Arabowie przyszli do lekarzy, którzy powiedzą im, aby poszli do innych lekarzy. Bez sensu, symbol udający rzeczywistą działalność. Typowe dla ONZ. Ale tak było wszędzie, nie tylko tutaj.

– Pan Hadżab – zapytał – jaką pełni funkcję?

– Dozorcy. Wykonuje różne naprawy.

– Taki wielki budynek utrzymuje tylko jedna osoba?

– Sprzątaczkę, kilka kobiet ze wschodniej Jerozolimy, robią codzienne porządki. Zia pomaga w tym i owym.

– Obydwaj panowie, Hadżab i doktor Darousha, pochodzą z Ramallah. Znali się, zanim pan Hadżab zaczął tu pracować?

– Doktor Darousha polecił go do tej pracy. Więcej na ten temat powiedzieć nie potrafię.

– Pan Hadżab powiedział mi, że po raz pierwszy zetknął się ze szpitalem jako pacjent.

Czy doktor Darousha go leczył?

– O to powinien pan zapytać doktora Daroushę.

– Świetnie – powiedział Daniel, wstając. – Chętnie to uczynię.

Baldwin wykręcił numer telefonu, a nie uzyskawszy połączenia, poprowadził Daniela

przez hol, do pokoju, skąd dochodził stukot maszyny do pisania. Ma'ila Khoury była ładną kobietą w wieku około dwudziestu pięciu lat, o pełnych białych ustach, kręconych włosach pomalowanych henną na rudo i szeroko rozstawionych zielonobrazowych oczach. Ubrana była elegancko i po europejsku, a jej paznokcie były długie i polakierowane. Wyemancypowana kobieta ze starego Bejrutu. Daniel zastanawiał się, dlaczego i jak przyjechała pracować w Izraelu. Wkrótce otrzymał odpowiedź na swoje pytanie, gdy ona i Baldwin wymienili spojrzenia, w których kryło się coś więcej niż więź łącząca szefa i jego sekretarkę. Amerykanin mówił do niej w kiepskiej arabszczyźnie, a ona odpowiadała z kulturalnym libańskim akcentem.

- Czy doktor Darousha nocował tu minionej nocy?
- Nie wiem, proszę pana.
- Czy jest teraz w szpitalu?
- Tak. W czwartym gabinecie lekarskim. Bada pacjenta po wypadku.
- Proszę za mną, oficerze Sharavi.

Gabinety lekarskie znajdowały się po przeciwnej stronie klatki schodowej, w zachodnim skrzydle budynku. Pięcioro ponumerowanych drzwi, które dawniej wiodły do pokoi służby. Baldwin zastukał lekko do drzwi z numerem czwartym i otworzył je. Pokój miał gipsowe ściany pomalowane na szafirowo, rozjaśnione jedynym zakratowanym oknem, umieszczonym tuż pod łukowato sklepionym sufitem. Na jednej ze ścian zawieszony był krucyfiks z drzewa oliwnego oraz biała metalowa apteczka. Większość pokoju zajmował biały stół do badań, stojący obok białej łuszczącej się szafki. Z sufitu zwisała biała lampa dająca zimne niebieskie światło.

Na stole leżał mężczyzna, sądząc po ubrudzonym ubraniu, robotnik rolny, otępiały i nieruchomy. Jedno ramię miał wyciągnięte wzdłuż boku, drugie spoczywało bezwładnie, podtrzymywane przez drugiego mężczyznę ubranego w długi biały kitel. Mężczyzna w białym kitlu podniósł oczy na wchodzących.

- Dzień dobry, doktorze Darousha – powiedział Baldwin.

Darousha dał im znak, by poczekali, i zajął się ramieniem, które, jak zauważył Daniel, było czerwone i lśniące jak gotowana kiełbasa. Lekarz był niski, śniady, po pięćdziesiątce, podobny do żaby, o grubych gęstych włosach i smutnych oczach za okularami w metalowych oprawkach. Jego kitel był wykrochmalony i nieskazitelnie biały, starannie zapięty na wszystkie guziki. Pod fartuchem doktor miał białą koszulę i ciemny krawat oraz zaprasowane na kant spodnie. Na szyi miał stetoskop. Stopy lekarza były małe i wąskie, w czarnych plecionych mokasynach. Kiedy się poruszał, zdawało się, że ledwie dotyka podłogi.

- Ile os cię pogryzło? – zapytał niskim, władczym głosem.
- Setki. Może tysiące.

Darousha spojrzał spode łba i ostrożnie odłożył ramię chorego. Założył słuchawki na uszy i przytknął stetoskop do ubrania na piersi pacjenta, posłuchał i odłożył instrument na bok. Ponownie uniósł rękę chorego i powiedział:

– Kiepska sprawa. Bardzo paskudna. – Spojrzał na farmera, który uśmiechnął się słabo. – No cóż. Dam ci zastrzyk z czegoś, co zwalczy zakażenie, oraz trochę pigułek. Bierz je dwa razy dziennie przez dziesięć dni, a potem przyjdź się pokazać. Jeżeli nie nastąpi poprawa, będę musiał otworzyć i oczyścić ramię, co jest bardzo bolesne. Rozumiesz?

- Tak, panie doktorze.
- Weź wszystkie pigułki, które ci daję. Rozumiesz?
- Tak, panie doktorze.
- Jak często masz je przyjmować?
- Dwa razy dziennie, panie doktorze.
- Jak długo?
- Przez dziesięć dni.

– Połóż się twarzą do drzwi.

Darousha wyjął z szafki strzykawkę do zastrzyków podskórnych, obejrzał ją, napełnił, usunął pęcherzyki powietrza, ściągnął pacjentowi spodnie, które były tak luźne, że nie trzeba ich było rozpinąć. Wycelował igłą jak strzałką do rzutków i wbił ją w pośladek mężczyzny. Farmer zamrugał z bólu i uśmiechnął się do Daniela i Baldwina.

– Możesz odejść. Siostra w gabinecie numer dwa da ci pigułki.

– Dziękuję, panie doktorze.

Kiedy farmer opuścił gabinet, Darousha wyszedł na korytarz i zapalił rothmansa. Obecność Daniela w ogóle go nie krepowała, i kiedy Baldwin przedstawił go jako policjanta, Darousha skinął głową, jakby spodziewał się jego wizyty.

– Muszę dopilnować kilku spraw – powiedział Baldwin, odchodząc. – Zaraz wrócę, w porządku?

W oczach Amerykanina widoczny był niepokój, i Daniel był ciekaw, co ma zamiar zrobić. Ostrzec innych o grożącym im przesłuchaniu? Nalać sobie drinka? Flirtować z Ma'ila?

– W porządku – powiedział, patrząc, jak Baldwin odchodzi korytarzem. Następnie zwrócił się ku Daroushy, który palił papierosa, jakby to był jego ostatni.

– Co mogę dla pana zrobić? – zapytał lekarz. Daniel spodziewał się, że będą rozmawiać po arabsku, lecz hebrajski doktora był doskonały.

– Panie doktorze, w sąsiedztwie szpitala zostało popełnione poważne przestępstwo. Wypyuję personel o wszystkie niezwykle okoliczności.

Darousha pozostał spokojny.

– Jakiego rodzaju niezwykle okoliczności?

– To, co widzieli lub słyszeli, wszystko odbiegające od normy.

– Widziałem i słyszałem samochody policyjne. Nic poza tym.

– I był pan tu całą noc?

– Tak.

– O której się pan położył?

– Zaraz po północy.

– Kiedy się pan obudził?

– O siódmej.

– Jak często pan tu sypia, doktorze?

– To zależy od harmonogramu. *Jeżeli* obowiązki zatrzymują mnie do późna i jestem zbyt zmęczony, by prowadzić samochód, zostaję tutaj.

– Przez obowiązki rozumie pan pacjentów?

– Albo inne sprawy. Na przykład wczoraj wziąłem udział w całodniowym seminarium w Hadassah. Nagłe przypadki u dzieci – anafilaksja, udławienie się. Moi pacjenci zostali przesunięci na wieczór i skończyłem ich badać dopiero o jedenastej w nocy.

– Czy inni lekarze, Carter i Al Bijadi, także brali udział w seminarium?

– Doktor Carter tak. Doktor Al Bijadi nie.

– Został tutaj?

– Nie mam pojęcia. – Darousha wetknął papierosa do ust, zaciągnął się, wydłużając o milimetr spopielony koniuszek.

– Pan mieszka w Ramallah.

– Zgadza się.

– Zia Hadżab także stamtąd pochodzi.

Skinął głową, strącając popiół.

– Jak dobrze go pan zna?

– Istnieje związek pomiędzy naszymi rodzinami. Jego dziadek pracował dla mego dziadka, jego ojciec dla mego ojca.

- Jaką pracę wykonywali?
- Mieliśmy sady. Pracowali przy ich uprawie.
- Czy te związki nadal trwają?

Darousha pokręcił głową.

– Jestem jedynym synem mego ojca. Po jego śmierci zdecydowałem się studiować medycynę i sady zostały wydzierżawione innej rodzinie, która nie potrzebowała usług Hadżaba. Wyjechałem wtedy na studia w Ammanie. Gdybym był na miejscu, zainterweniowałbym. Jak się okazało, Zia miał pół etatu na stacji benzynowej.

– Dopóki inna rodzinna transakcja nie pozbawiła go pracy.

– To prawda.

– Trudna sytuacja dla niego i jego rodziny.

– Dla niego, owszem. Nie ma rodziny. Obydwoje rodzice i siostra zmarli na gruźlicę trzydzieści lat temu. Trzej bracia wstąpili do Legii Arabskiej. Wszyscy zginęli w 1967 roku.

– Zia także walczył?

– Tak. Został wzięty do niewoli.

– A żona, dzieci?

– Nie miał.

Daniel zdał sobie sprawę, że dozorca wzbudza w nim coraz większe zainteresowanie. Ze słów Daroushy wyłaniał się obraz pasma niepowodzeń, nieustannego prześladowania przez zły los. Dlaczego Hadżab miał trudności z utrzymaniem się w pracy? I dlaczego, skoro Arabowie nie uznawali stanu kawalerskiego, nie usidlił jakiejś kobiety i nie zapłodnił jej swoim nasieniem? Sytuacja wskazywała na problemy społeczne, poniewierkę, życie w izolacji, które mogło prowadzić do niskiej samooceny. Lub do gniewu, przeradzającego się w gwałtowność.

Daniel chciał się jak najwięcej dowiedzieć o torach, którymi podążał umysł Zia, ale zdawał sobie sprawę, że bezpośrednie pytanie spłoszy Darouszę. Wybierając drogę pośrednią, zapytał:

– Hadżab powiedział mi, że cierpiał na poważne bóle głowy. Czy to pan go leczył?

– Można tak powiedzieć.

– Proszę jaśniej.

Kąciki oczu Daroushy opadły jeszcze bardziej.

– Jego bóle spowodowane były chorobą duszy, która umiejscowiła się w głowie. Zaoferowałem mu pociechę i wapno w syropie. Moją najskuteczniejszą interwencją medyczną było znalezienie mu pracy.

– A więc były to zaburzenia psychosomatyczne.

Darousha zeszywniał.

– To są sprawy poufne. Nie mogę dłużej rozmawiać na ten temat.

– Panie doktorze – powiedział Daniel – jeżeli w psychice Hadżaba jest coś, co by go predysponowało do zachowań antyspołecznych, musi mi pan o tym powiedzieć.

– Jest to człowiek podlegający zmiennym nastrojom – odparł Darousha. – Cierpi na depresję. Ale nie jest typem przestępcy. Nie ma w nim nic, co by mogło pana zainteresować.

– Jak często zdarza mu się depresja?

– Niezbyt często. Raz lub dwa razy na miesiąc.

– Jak długo trwa?

– Dwa lub trzy dni.

– Czym się objawia?

Darousha niecierpliwie uniósł rękę.

– Nie powinienem tego omawiać, ale jeśli ma to ułatwić sprawę, powiem panu. Dokuczają mu bóle głowy, staje się bardzo zmęczony i idzie spać. Nie ma w tym żadnych antyspołecznych zachowań, żadnej agresywności. A teraz, jeśli pan pozwoli, naprawdę muszę

pana zostawić.

Twarz lekarza stała się zamknięta jak grobowiec. Daniel zdał sobie sprawę, że nic więcej z niego nie wyciągnie. Wziął od Daroushy domowy adres i numer telefonu, podziękował za poświęcony mu czas i zakończył wypytywanie.

Pozostawiony sam w holu, rozmyślał przez chwilę o Hadżabie. Był zatopiony w myślach, gdy powrócił Baldwin.

– Wszyscy, z wyjątkiem Peggy, są w jadalni – powiedział Amerykanin. – Twierdzą, że nic nie widzieli ani nie słyszeli.

– Co im pan powiedział? – zapytał Daniel.

– To samo, co pan mnie. Że w pobliżu popełniono zbrodnię. Żaden z nich nie wie nic, co by mogło panu pomóc.

– Mimo wszystko muszę z nimi porozmawiać.

– Skoro tak.

Pokój jadalny był przestronnym niebieskim pomieszczeniem z sześcioma okrągłymi stolikami, z których pięć pozostało nie zajętych. Pomalowany na biało sufit znaczyły zacieki i plamy grzyba. Oszklone drzwi prowadziły na patio, na którym dziesiątki gołębi zawzięcie coś dziobały. Przez szyby dochodziło ich gruchanie i pohukiwanie. Każdy stół przykryty akwamarynowym obrusem otaczały składane krzesła. Z przenośnego radia płynęła arabska muzyka. Na długim stole pośrodku jadalni ustawiono półmiski z ciastkami i owocami oraz szklanki z sokiem pomarańczowym. Mosiężny samowar na barku na kółkach z sykiem wypuszczał strumień pary pachnącej kawą. Obok stał Zia Hadżab z uroczystym wyrazem twarzy, w białym fartuchu na roboczym ubraniu, trzymając filiżankę pod kranikiem samowaru.

Baldwin podprowadził Daniela do stolika przy oknie, gdzie siedzieli dwaj lekarze i szwajcarska pielęgniarka, Catherine Hauser, jedząc śniadanie. Dokonawszy prezentacji, administrator dosiadł się do nich. Zanim Baldwin zdążył spocząć na krześle, Hadżab szybko się zbliżył, aby go obsłużyć, napełniając jego talerz daktylami i jabłkami, nalewając parującej kawy do filiżanki i akcentując swoje czynności służalczymi ukłonami.

Nikt nie zaprosił Daniela, by usiadł, więc stał nad zebranymi przy stole. Przyglądały mu się trzy pary oczu. Chciał rozmawiać z każdym z nich z osobna. Na początek wziął Catherine Hauser, poprowadził ją do stolika w przeciwległym końcu jadalni, zabierając dla niej filiżankę kawy.

Podziękowała mu z uśmiechem; pulchna, starszawa kobieta, ubrana w bezkształtny i bezbarwny kitel. Siwowłosa i niebieskooka, z tą samą pergaminową cerą, jaką widywał u starszych zakonnic w klasztorze Notre Dame de Sion. Kiedy na nią spoglądał, na jej policzkach pojawiły się plackowate rumieńce. Sprawiała wrażenie przyjaznej i chętnej do współpracy, ale była przekonana, że nic nie widziała ani nie słyszała. Co się stało?, spytała. Popełniono zbrodnię, odparł, uśmiechnął się i odprowadził ją z powrotem do stołu.

Kanadyjczyk, Carter, wyglądał jak jeden z owych skandynawskich turystów, którzy każdego lata włóczą się po mieście. Mocno zbudowany, o wydatnych rysach i jasnych kręconych włosach, wąskich szarych oczach i z rudawą brodą. Miał niewiele ponad trzydzieści lat i nosił staromodne okulary w złotych okrągłych oprawkach. Włosy miał długie i pasujące do niedbałej całości. Wygnieciony biały kitel okrywał niebieską koszulę i spłowiałe dżinsy. Mówił powoli i z namysłem, sprawiając wrażenie zagubionego we własnym świecie. Choć okazał zrozumiałe zainteresowanie popełnioną zbrodnią.

Daniel odpowiedział na jego pytania, po czym zapytał:

– Brał pan udział w seminarium wraz z doktorem Darouszą?

– Oczywiście.

– A potem przyjmował pan pacjentów?

– Nie – odparł Carter. – Wally wrócił do szpitala sam. Ja miałem wolne, więc pojechałem

taksówką do wschodniej Jerozolimy i zjadłem kolację. W restauracji Dallas. – Zachichotał i dodał: – Stek, frytki, trzy butelki heinekena. – Znów zachichotał.

– Co pana tak ubawiło, panie Carter?

Carter pokręcił głową i z uśmiechem przeczesał palcami brodę.

– Właściwie nic. Tylko że ta rozmowa przypomina mi film kryminalny. Gdzie pan był ostatniej nocy i cała ta reszta.

– Nic dziwnego – mruknął Daniel, notując. – O której godzinie wrócił pan do szpitala?

– Musiało być tuż przed wpół do jedenastej.

– Co pan robił po powrocie?

– Poszedłem do swego pokoju i czytałem medyczne czasopisma, dopóki mnie nie uspiły, i zasnąłem.

– O której?

– Nie potrafię powiedzieć. To było prawdziwe nudziarstwo, więc możliwe, że zasnąłem już o jedenastej. O której popełniono tę zbrodnię?

– Jeszcze nie wiadomo. Czy widział pan lub słyszał coś niezwykłego?

– Przykro mi, ale nie.

Daniel podziękował mu i Carter wrócił do wspólnego stołu, powłócząc nogami. Były hippis, pomyślał Daniel. Z tych, co to od czasu do czasu ubarwiają sobie życie haszyszem. Marzyciel.

Doktor Hassan Al Bijadi stanowił jego całkowite przeciwieństwo, cały jak spod igły, kanciasty, oficjalny, dobrze ubrany i delikatnej budowy, o skórze tak ciemnej jak Daniela, krótkich czarnych, mocno wypomadowanych włosach i wąziutkich, starannie utrzymanych wąsikach. Wyglądał zbyt młodo jak na lekarza, a jego biały kitel i eleganckie ubranie wzmagały wrażenie, że to dziecko bawiące się w doktora.

– Czy jest pan może spokrewniony z handlarzem Mohammedem Al Bijadim?

– To mój ojciec – odparł Al Bijadi podejrzliwym tonem.

– Wiele lat temu, kiedy jeszcze służyłem jako szeregowy policjant, złodzieje włamali się do magazynu pańskiego ojca i ukradli dostawę melonów i dyń. Prowadziłem sprawę. – Jeden z pierwszych sukcesów. Złodzieje zostali szybko ujęci, towar zwrócony. Daniel przez wiele dni pęczniał z dumy.

Próba nawiązania kontaktu okazała się bezowocna.

– Nic nie wiem o żadnych melonach – chłodno odparł młody lekarz. – Dziesięć lat temu mieszkałem w Ameryce.

– A dokładnie?

– W Detroit, w stanie Michigan.

– Miasto samochodów.

Al Bijadi skrzyżował ręce na piersi.

– Czego pan ode mnie chce?

– Studiował pan medycynę w Detroit, w stanie Michigan?

– Tak.

– Gdzie?

– Wayne State University.

– Kiedy wrócił pan do Izraela?

– Wróciłem do Palestyny dwa lata temu.

– Od powrotu cały czas pracuje pan w Amelia Catherine?

– Tak.

– Jaka jest pańska specjalność?

– Jestem lekarzem rodzinnym.

– Brał pan udział w seminarium w Hadassah?

Twarz Al Bijadiego skurczyła się, nieomal zatrzęsł się z gniewu.

– Zna pan odpowiedź na to pytanie, policjancie. Po co te gierki?

Daniel przyjrzał mu się spokojnie i w milczeniu.

– Stale to samo – powiedział Al Bijadi. – Coś się dzieje, a wy nas nękanie.

– Był pan już wcześniej nękany przez policję, doktorze Al Bijadi?

– Wie pan, o co mi chodzi – warknął młody Arab. Spojrzał na zegarek i zabębnił palcami po stole. – Mam pracę do wykonania, pacjenci czekają.

– Widział pan zeszłej nocy coś niezwykłego?

– Nie, nic. I to jest również moja odpowiedź na wszystkie pańskie pytania.

– A wczesnym rankiem?

– Nic.

– Jakieś krzyki, wrzaski?

– Nie.

– Ma pan samochód? – zapytał Daniel, zdając sobie sprawę, że przeciąga wypytywanie, reagując tak na wrogość Al Bijadiego. Ale złość młodego lekarza była niewspółmierna do sytuacji. Czy jego gniew spowodowany był sytuacją polityczną czy czymś innym, poczuciem winy? Daniel chętnie dowiedziałby się czegoś więcej o Hassanie Al Bijadim.

– Tak.

– Jakiej marki?

– Mercedes.

– Jakiego koloru?

– Zielony.

– Diesel czy na benzynę?

– Diesel – warknął przez zaciśnięte zęby.

– Gdzie go pan parkuje?

– Za szpitalem. Tam, gdzie wszyscy.

– Prowadził go pan wczoraj w nocy?

– Nie wychodziłem wczoraj w nocy.

– Całą noc spędził pan w szpitalu?

– Zgadza się.

– Co pan robił?

– Studiowałem, zajmowałem się swoimi sprawami.

– Co pan studiował?

Al Bijadi posłał mu protekcyjnalne spojrzenie.

– W przeciwieństwie do zajęć nie wymagających wykształcenia medycyna jest dziedziną złożoną, podlegającą ciągłym zmianom. Człowiek musi się ciągle uczyć.

Do jadalni weszła kobieta pod trzydziestkę. Spozstrzegła Al Bijadiego, podeszła do niego i położyła dłoń na jego ramieniu.

– Dzień dobry, Hassanie – powiedziała radośnie słabą arabszczyzną.

Al Bijadi burknął coś w odpowiedzi.

– Jeszcze jakieś pytania? – spytał Daniela.

Kobieta spojrzała zaintrygowana. Była nieładna, o płaskiej, sympatycznej, nie umalowanej twarzy, z zadartym nosem i piegami. Miała na sobie biały wykrochmalony bezrękawnik, dzinsy i sandały na płaskim obcasie. Jej sięgające ramion włosy były cienkie, proste, jasnobrązowe i ściągnięte za uszy białymi spinkami w kształcie kokardek. Oczy miała duże i okrągłe, tej samej barwy co włosy. Spoczęły badawczo na twarzy Daniela, a potem z zakłopotaniem zerknęły na jego *kipe*.

– Policja – powiedział Al Bijadi. – Popelniono jakieś przestępstwo i jestem przepytany jak pospolity kryminalista.

Kobieta przejęła jego wrogość jakby drogą osmozy. Naśladując jego postawę, skrzyżowała ramiona na piersi i spoglądała na Daniela, jakby mówiąc: „Zdenerwowałeś go.

Jesteś zadowolony?”

– Panna Cassidy?

– Zgadza się.

– Sharavi. Jestem nadinspektorem. Proszę usiąść. A pan może odejść, doktorze.

Nagle odesłanie zdenerwowało go podobnie jak to, że był zatrzymywany. Zerwał się z krzesła i wypadł z jadalni.

– Wydaje się wam – powiedziała Peggy Cassidy – że możecie wszystkimi pomiatać.

– Kogo ma pani na myśli?

Młoda kobieta uśmiechnęła się zagadkowo.

– Proszę usiąść – powtórzył Daniel.

Spojrzała na niego i powoli opadła na krzesło.

– Napije się pani kawy, panno Cassidy?

– Nie. I czy możemy przejść do sprawy, jakakolwiek ona jest?

– Chcę się dowiedzieć, czy minionej nocy lub wczesnym rankiem słyszała pani albo widziała coś niezwykłego.

– Nie. A powinnam była?

– Przy drodze dokonano przestępstwa. Szukam świadków.

– Albo kozłów ofiarnych.

– Och?

– Wiemy, co do nas czujecie. Do tych, którzy chcą pomóc Palestyńczykom.

– To nie jest sprawa polityczna – powiedział Daniel.

Peggy Cassidy się roześmiała.

– Wszystko ma związek z polityką.

Daniel zapisał coś w notesie.

– Z której części Stanów pani pochodzi, panno Cassidy?

– Huntington Beach, Kalifornia.

– Jak długo mieszka pani w Izraelu?

– Rok.

– A jak długo przebywała pani w Detroit?

To pytanie ją zaskoczyło, ale tylko przez chwilę. Spojrzała na niego kpiąco, jak na maga, któremu nie udało się sztuczka.

– Trzy lata. I, tak, tam właśnie poznałam Hassana.

– Na Wayne State University?

– W Szpitalu Harpera, który jest związany z tym uniwersytetem. Jeśli musi pan to wiedzieć.

– Kiedy się poznaliście?

– Cztery lata temu.

– Czy... Czy jesteście parą?

– To nie pańska sprawa.

– Przepraszam, jeśli zbyt wiele sobie wyobrażam – powiedział Daniel.

Przyjrzała mu się, jakby doszukując się ironii.

– Hassan jest wspaniałym człowiekiem – powiedziała. – Nie zasłużył na to, co mu pan zrobił.

– A co mu zrobiłem?

– Och, niech pan nie udaje.

Daniel westchnął, oparł brodę na dłoni i spojrzał na rozmówczynię.

– Panno Cassidy, jak już wspominałem, w sąsiedztwie szpitala dokonano zbrodni. Ciężkiej zbrodni. Moje zainteresowanie panią i Al Bijadim ogranicza się do pytania, czy możecie mi coś powiedzieć na ten temat.

– W porządku – odparła, wstając. – W takim razie nie powinien się pan interesować.

Mogę odejść?

O godzinie dziewiątej opuścił Amelia Catherine. Na wschodnim stoku parkowało kilka biało-niebieskich samochodów policyjnych. Przeczesywanie wzgórze już się zaczęło. Daniel podjechał escortem do skarpy i zapytał jednego z mundurowych, czy znaleźli coś w bagażniku Schlesingera.

– Tylko zapasowe koło, pakad.

– A na stoku wzgórze?

– Butelkę po coli z odciskami palców. Na razie nic więcej.

Daniel zawrócił samochód, zjechał przez Szmuel Ben Adajah i dotarłszy do północnego krańca Starego Miasta, skręcił w lewo na Derekh Jericho, jadąc wzdłuż murów, aż do parkingu na zewnątrz Bramy Gnojnej. Skierował escorta na wolne miejsce, wyłączył silnik, wysiadł i otworzył bagażnik. Wewnątrz znajdowały się dwie czarne aksamitne torby, które wyjął i umieścił pod lewym ramieniem, blisko serca. Większa, o powierzchni mierzącej stopę kwadratową, wyhaftowana była złotymi i srebrnymi nićmi w kwiaty krzewu migdałowego, otaczające złoty filigran Magen David. Druga torba, o połowę mniejsza, ozdobiona była misternymi złotymi zawijasami i łezkami oraz nabijana cekinami.

Zamknął bagażnik i ruszył w kierunku wartowni w Bramie Gnojnej, mając za plecami spokojną południową dolinę, która służyła starożytnej Jerozolimie za śmietnisko. Minął strażników, wszedł pod wdzięcznie sklepiony łuk i zmieszał się z tłumem ludzi zmierzających ku Kotel ha-Maarawi,* czyli ku Zachodniej Ścianie.

Niebo było błękitne, czyste i bezchmurne, jak wygląda jedynie niebo nad Jerozolimą, tak doskonale nieskazitelne, że patrząc na nie, ztracało się poczucie perspektywy. Chłodny, łagodny błękit, zaprzeczający upałowi spowijającemu miasto. Dotarłszy do Ściany, Daniel był lekki od potu.

Plac modlitewny przed Kotel nie był zatłoczony, na części przeznaczonej dla kobiet kilka przygarbionych postaci w ciemnych strojach, cnotliwe babcie modlące się za nieplodne kobiety, gryzmołąc w pośpiechu liściki do Wszechmogącego na skrawkach papieru i wsuwając je w szczeliny pomiędzy kamieniami. Było późno, *szacharit* miał się ku końcowi i rozszedł się ostatni jemeński *minjan*, chociaż Daniel widział, że zwrócony twarzą do Ściany recytuje psalmy Mori Zadok – maleńki, białobrody człowieczek, powoli kiwający się w przód i w tył, jedną ręką zakrywając oczy, a drugą dotykając złotego kamienia. Inni starcy – Jemeńczycy, Aszkenazyjczycy, Sefardyjczycy* – zajęli swoje zwykłe miejsca medytacji w cieniu Ściany. Ich odosobnione modły rozbrzmiewały cichym błagalnym jękiem.

Daniel dołączył się do jedyne *minjanu*, który jeszcze się formował. Mieszane kworum chasydów z Lubawicza* i żydowskich turystów z Ameryki, których Lubawiczanie otoczyli, zachęcając do modłów. Turyści mieli kosztowne aparaty fotograficzne i ubrani byli w jaskrawe koszulki polo, szorty i papierowe *kipot*, które dziwnie wyglądały na ich głowach. Niektórzy z nich mieli przypięte identyfikatory („Cześć! Jestem Barry Siegel”). Większość wyglądała na zmieszanych, gdy chasydzi obwiązywali ich ramiona filakteriami.*

* Kotel ha-Maarawi – Ściana Płacu, zachodni odcinek zewnętrznych murów na Górze Świątynnej; jedyny zachowany fragment dobudowanej przez Heroda Wielkiego części Drugiej Świątyni, zburzonej w 70 r. n. e. Ściana Płacu stała się celem pielgrzymek, a przybywający do niej Żydzi całują jej kamienie. Istnieje zwyczaj wsuwania w szpary muru karteczek z wypisanymi prośbami do Boga. Sami Żydzi nazywają ją Ścianą Zachodnią.

* Sefardyjczycy (z hebr. „Hiszpanie”) – Żydzi pochodzący z Hiszpanii lub z Portugalii, którzy po wypędzeniu z Półwyspu Iberyjskiego pod koniec XV wieku rozproszyli się po całej północnej Afryce, imperium otomańskim, regionach Ameryki Południowej, Włoszech i Holandii.

* Chasydzi z Lubawicza – podgrupa ruchu chasydzkiego, założona w XVIII wieku przez Szneura Zalmana z Ladów w Rosji. Odłām ten idzie drogą intelektualizowanego mistycyzmu.

* Filakterie (tefilin) – dwa skórzane pudełeczka z przymocowanymi rzemykami, zawierające zwitki pergaminu z wersetami Pięcioksięgu, w dni powszednie przywiązane do lewego ramienia i czoła przez modlących się Żydów.

Filakterie Daniela znajdowały się w mniejszej z dwóch aksamitnych toreb, tałas* w większej. W zwykły poranek recytował błogosławieństwo nad tałasem i owijał się wełnianym szalem modlitewnym, a potem wyjmował filakterie i owijał się nimi. Po drugim błogosławieństwie czarny sześcian filakterii zwykle umieszczał na bicepsie, a jego rzemykami siedmiokrotnie obwiązywał ramię, na bliźnie, która znaczyła jego lewą rękę, i przeplatał między palcami. Po wypowiedzeniu jeszcze jednej *braha* należało umieścić drugą filakterię na czole, tuż pod linią włosów. Rozmieszczenie pudełeczek symbolizowało poświęcenie Bogu ciała i umysłu. Tak poświęcony, był gotów do modlitwy.

Ale tego ranka było inaczej. Położywszy oba woreczki na krześle, pociągnął za rzemyczki większego i wyjął z niego nie tałas, lecz oprawny w srebro *siddur*. Ujął modlitewnik, otworzył na *Mode ani*, modlitwie dziękczynnej na wschód słońca, której nie zmówił u wezłowania łóżka, bo przeszkodził mu telefon Laufra. Zwrócił się twarzą do Kotelu, i zaśpiewał:

Mode ani lefanecha, melech chaj we-kajam

Sze-hechezarta bu niszmati be-chemla.

„Składam dzięki Tobie, o Wiecznotrwały Królu Który w swym miłosierdziu pozwoliłeś, by moja dusza się odrodziła”.

Chasydzi i turyści, stojący obok niego, uznali modlitwę drobnego śniadego mężczyzny za pełną namiętnego uniesienia; jego rytmiczną recytację za ponadczasową i szczerą. Ale Daniel wiedział, że jest inaczej. Modlitwę utrudniał mu brak skupienia, słowa plątały się pod wpływem wspomnień. O innych duszach. Tych, które się nie odrodziły.

* Tałas (hebr. *tallit* – „płaszcz”) – czworokątny szal modlitewny z *cicit* (frędzlami), nakładany przez mężczyzn do porannych modłów. Wykonany zwykle z białej wełny, jedwabiu i bawełny z czarnymi lub czerwonymi paskami.

ROZDZIAŁ 5

O dziesiątej pojechał El Muqaddas na Francuskie Wzgórze, minął skupisko wieżowców, gdzie mieszkał Yaakov Schlesinger, i ruszył w dół do komendy policji. Budynek znajdował się o pół kilometra na południowy wschód od Wzgórza Amunicji. Zwarty, pięciopiętrowy sześcian z beżowego wapienia, otoczony oknami i przecięty wieżą. Od frontu usytuowany był rozległy parking, w tej chwili wypełniony w połowie. Całość otaczało żelazne ogrodzenie. Pośrodku ogrodzenia znajdowała się otwierana elektrycznie brama, której strzegł umundurowany policjant w wartowni. Daniel zatrzymał się przy okienku.

– Dzień dobry, Tzvika.

– Dzień dobry, Dani.

Brama rozwarła się, niczym ziewające usta.

Stalowe drzwi obrotowe wiodły do holu. W środku było chłodno i cicho, lśniły nieskazitelne posadzki z białego marmuru. Na ławce siedziała samotna kobieta w dżinsach i trykotowej koszulce, czekając z zaciśniętymi dłońmi. Za czarnym błyszczącym kontuarem recepcji stało trzech mundurowych. Śmiali się i żartowali. Nie przerywając rozmowy, skinęli Danielowi. Minął ich szybko, przeszedł obok modelu bomby oraz afiszu informującego, jak przeciwdziałać włamaniom i lekceważąc windy, otworzył drzwi na klatkę schodową, po czym, przeskakując po trzy stopnie, wbiegł na drugie piętro.

Wyszedł na długi korytarz, skręcił w prawo i zatrzymał się przy zwykłych drewnianych drzwiach. Od pozostałych dziesiątków takich samych drzwi różniły się jedynie paskiem taśmy klejącej. Na korytarz docierały fale stłumionych odgłosów rozmów i dzwiczących telefonów. Hałas nie większy niż w firmie prawniczej.

Zupełnie inaczej niż w jego poprzedniej siedzibie, przy placu Rosyjskim,* w starym domu o zielonych miedzianych kopułach i odrapanych ścianach z tynkiem spękany jak skorupka jajka. Nie ustający ścisk, nie kończący się pochód ludzi. Stanowisko pracy Daniela było hałaśliwe, ciasne, pozbawione wszelkiej prywatności. Podejrzani ocierali się o policjantów. Zarośnięte dzikim winem okna ukazywały skutych kajdankami aresztantów, eskortowanych przez podwórze na przesłuchania w Urzędzie Magistrackim. Jedni wrywali się, inni szli tanecznym krokiem. Gorzka woń potu i strachu, głosy wznoszące się w wiecznie tej samej kantacie oskarżeń i zaprzeczeń. Miejsce pracy detektywa.

Przeniesienie do Wydziału Zabójstw oznaczało przeniesienie do Komendy Głównej. Jej budynek został wzniesiony z myślą o urzędnikach. O stosach papierów i wysokiej technice pracy współczesnego policjanta. W podziemiach laboratoria i komputery. Dobrze oświetlone sale konferencyjne i wykładowe. Czysto, porządnie. Sterylnie.

Przekręcił klucz w zamku. Biuro było oślepiająco białe i maleńkie – dziesięć stóp na dziesięć, z widokiem na parking. Biurko, szuflady na akta i półki wypełniały je do tego stopnia, że z trudem zmieściło się krzesło dla odwiedzającego. Gdy miał więcej gości, musieli się przenieść do pokoju przesłuchań. Na ścianie wisiał batik, który Laura wykonała

* Plac Rosyjski – teren, na którym mieści się stara cerkiew, sąd, więzienie oraz prokuratura.

minionego lata. Para starców jemeńskich, brązowe postacie na kremowym tle, tańczące w ekstazie pod płomiennym pomarańczowym słońcem. Obok kalendarz; w tym miesiącu zdjęcie przedstawiało dwa młode drzewka migdałowe, oblepione śnieżnobiałym kwieciami, a za nimi szare faliste wzgórza.

Daniel wcisnął się za biurko. Błat był pusty, z wyjątkiem zdjęcia Laury z dziećmi oraz stosików listów. Na wierzchu leżały wiadomość od Laufra, że ma mu zameldować, jeśli wywęszył coś nowego, jakiś kwestionariusz z Instytutu Badań i Rozwoju, który należy jak najszybciej wypełnić, notatka wyjaśniająca nowe przepisy dotyczące poręczycieli oraz końcowy raport z Abu Kabir na temat śmierci holenderskiego turysty, którego znaleziono trzy dni wcześniej w lasach tuż poniżej Dormition Abbey. Daniel podniósł raport i odsunął na bok resztę korespondencji. Przebiegając wzrokiem suchą, pełną okrucieństwa poetykę protokołu z sekcji zwłok („Ciało dobrze rozwiniętego, prawidłowo odżywionego osobnika męskiego rasy białej...”), zatrzymał wzrok na ostatnim paragrafie: rozległe zmiany miażdżycowe z zablokowanymi kilkoma głównymi naczyniami krwionośnymi, brak siadów toksyn lub obrażeń. Wniosek: mężczyźnie zagrażał atak serca. Wspinaczka na strome wzgórze dokonała reszty.

Daniel odłożył sprawozdanie, podniósł słuchawkę telefonu, wybrał numer centrali i zastygł w oczekiwaniu. Po kilku sekundach odłożył słuchawkę, po czym wybrał numer po raz drugi. Odezwwał się radosny głos telefonistki. Przedstawił się, podał jej nazwiska trzech osób i zostawił dla nich wiadomość, by jak najszybciej się z nim skontaktowały.

Telefonistka powtórzyła nazwiska i powiedziała:

– Świetnie. Jest jeszcze jedno. Samal Avi Cohen. Nowo zatrudniony. Spróbuj w dziale kadr, a jeśli nie wiedzą, jak się z nim skontaktować, będą wiedzieli w biurze tat nicaw Laufra. Zostaw mu tę samą wiadomość.

– Dobrze. *Szalom*.

– *Szalom*.

Następny numer był zajęty. Zamiast czekać, lepiej pójść na trzecie piętro.

Gabinet, do którego wszedł, był o jedną trzecią większy od jego pokoju, ale mieścił dwie osoby. Stały tam dwa biurka zestawione w kształt litery L. Na ścianie za biurkami ustawiono pojedynczą półkę z książkami oraz kolekcją lalek ze słomy i saszetkę wydzielającą lekką woń paczuli.

Obydwie młode policjantki rozmawiały przez telefon, tłumacząc coś urzędnikom. Obydwie miały na sobie pastelowe koszule z krótkimi rękawami i dzinsy. Na tym kończyło się ich podobieństwo. Fizycznie były zupełnie inne.

Hanna Shalvi siedziała bliżej drzwi. Drobniutka, ciemna, w okularach, o dziecinniej twarzy, upodabniającej ją do podopiecznych, którymi się zajmowała. Zadała pytanie dotyczące gimnastyki dla rodzin, skinęła głową, powtórzyła kilka razy „tak” i „hmm”, powtórzyła pytanie jeszcze raz, zamilkła i zapytała znowu.

Siedząca o kilka stóp dalej Alice Yanuszewsky garbiła się nad biurkiem, wymachując ołówkiem i paląc papierosa. Wysoka, o twarzy krągłej jak księżyc w pełni i jasnych włosach ostrzyżonych na chłopaka, niecierpliwym tonem żądała szybkiego działania od jakiegoś opornego gryzpiórka.

– Tej dziewczynie grozi niebezpieczeństwo! Nie można tego odkładać! Zrozumiano? – I, bach, rzuciła słuchawkę.

Obdarzyła Daniela słodkiutkim uśmiechem.

– Dzień dobry, Dani – zaświergotała. Siegnęła po tekturową tubę, otworzyła ją i rozłożyła wyjęty papier. – Podoba ci się mój nowy plakat?

Było to powiększone zdjęcie amerykańskiego zespołu Fleetwood Mac.

– Bardzo ładny.

– Avner dał mi go, bo twierdzi, że wyglądam jak jedna z nich – odwróciła się i pokazała –

jak ta Angielka, Christina. Też tak uważasz?

– Może trochę – zgodził się Daniel. – Ale ty jesteś młodsza.

Alice roześmiała się serdecznie, zaciągnęła się papierosem i znów roześmiała.

– Siadaj, pakad Sharavi. Czego ci potrzeba?

– Zdjęć zaginionych dziewczyn. Brunetek, prawdopodobnie w wieku około piętnastu, szesnastu lat, ale na wszelki wypadek od dwunastu do dziewiętnastu.

Zaalarmowana Alice wytrzeszczyła zielone oczy.

– Coś się stało jednej z nich?

– Możliwe.

– Co? – zapytała.

– Na razie nie mogę ci nic powiedzieć. Laufer nie pozwala.

– Och, nie przesadzaj.

– Przykro mi.

– Tylko bierzesz, nic nie dajesz w zamian, co? To ci ułatwia pracę. – Pokręciła głowę z ironicznym grymasem. – Laufer. Kogo on chce oszukać, udając, że wszystko jest w porządku?

– Masz rację. Ale muszę go słuchać.

Alice zdusiła niedopałek. Znów pokręciła głowę.

– Dziewczyna, o którą chodzi, ma ciemną cerę i ciemne włosy – powiedział Daniel. – Okrągłą twarz, ładne rysy, wyszczerbione zęby i brak jednego górnego. Przychodzi ci jakaś do głowy?

– Dość ogólny opis, pomijając zęby – powiedziała Alice. – A uszczerbek mógł się jej przytrafić już po zaginięciu. – Otworzyła szufladę biurka, wyjęła plik teczek i zaczęła je przeglądać. Wybrała trzy, resztę odłożyła. – Wszystkie sprawy w toku są w komputerze, ale mam tutaj kilka, które dopiero co nadeszły. Wszystkie dotyczą uciekinierek. Tu masz kilka w takim przedziale wiekowym, jaki chciałeś.

Daniel obejrzał zdjęcia, pokręcił głową i zwrócił je Alice.

– Może ona ma jakieś. – Alice wstała i podeszła do Hanny, która wciąż rozmawiała przez telefon. Poklepała ją po ramieniu i powiedziała: – Daj już spokój, wystarczy.

Hanna wyciągnęła jedną rękę, dłonią do góry, dotykając kciukiem palca wskazującego. *Sawlanut*, zasygnalizowała. Cierpliwości.

– Jeżeli jeszcze ich nie przekonałaś, nigdy ci się to nie uda. – Alice przeczesła palcami włosy. – Skończ wreszcie.

Hanna porozmawiała jeszcze chwilę, podziękowała i odłożyła słuchawkę.

– Nareszcie – westchnęła Alice. – Pokaż swoje najnowsze akta. Daniel chce je obejrzeć.

– Dzień dobry, Dani – rzuciła Hanna. – O co chodzi?

– Nie może ci powiedzieć, ale i tak musisz mu pomóc. Rozkaz Laufra.

Hanna spojrzała na Daniela oczami powiększonymi przez soczewki okularów. Skinęła głową.

– Czego potrzebujesz?

Daniel powtórzył charakterystykę zamordowanej dziewczyny, a Hanna otworzyła szeroko oczy.

– Co? – spytał.

– Zupełnie jak dziewczyna, którą zajmowałam się dwa tygodnie temu. Tylko że tamta miała zaledwie trzynaście lat.

– Możliwe, że trzynaście – powiedział Daniel. – Jak się nazywa?

– Cohen. Yael Cohen. Poczekaj sekundkę. – Podeszła do swoich akt i przeglądała je, mówiąc: – Dziewczyna z Musrary. Kręciła z dwudziestodwuletnim *pusztakiem*.^{*} Ojciec dowiedział się o tym i sprawił jej lanie. Następnego dnia nie wróciła ze szkoły do domu.

^{*} *Pusztak* – łobuz, obibok, ulicznik.

Ojciec jej szukał, usiłował pobić jej chłopaka, ale nic z tego nie wyszło. Mam to tutaj.

Daniel wziął teczkę, spojrział na zdjęcie i cała nadzieja prysła. Yael Cohen miała kręcone włosy, wyglądała na przyciężką i tępawą. Rzeczywiście brakowało jej zęba, ale na tym kończyło się podobieństwo.

– To nie ona – powiedział, zwracając teczkę Hannie. – Reszta jest w komputerze?

– W trakcie wprowadzania danych – dodała Alice.

– Ile przypadków?

– Zaginionych dziewczyn w wieku, jaki podałeś? Około czterystu w całym kraju, sześćdziesiąt, lub coś koło tego, w samej Jerozolimie. Ale przypadki są sklasyfikowane alfabetycznie, a nie ze względu na wiek czy płeć, więc musiałbyś przejrzeć wszystkie – około tysiąca sześciuset.

Uciążliwe, ale do zrobienia.

– Gdzie je znaleźć?

– Zejdź do Wydziału Przetwarzania Danych i zgrywaj ważniaka.

Następne dwie godziny Daniel spędził przy telefonie. Zadzwoił do doktora Leviego w Abu Kabir i asystent patologa poinformował go, że doktora nie ma w gabinecie. Zażądał od dowództwa Straży Obywatelskiej kopii akt dotyczących służby Schlesingera. Zlecił urzędnikowi archiwum, aby znalazł wszystko na temat personelu Amelia Catherine. Bezskutecznie usiłował ustalić, czy któryś z trzech detektywów otrzymał przekazaną przez niego wiadomość. Zawiadomił Wydział Przetwarzania Danych, że ktoś zejdzie do nich, aby przejrzeć akta zaginionych nieletnich dziewcząt. Wypełnił stos formularzy, niezbędnych dla uzyskania potrzebnych informacji. I na każdym kroku musiał zwodzić ciekawość ludzi, których współpraca była dla niego konieczna.

Piętnaście po dwunastej zadzwonił Levi.

– *Szalom*, pakad. Zakończyłem wstępne badanie tej dziewczyny. Wiem, że to pilne, więc odczytam notatki: Dobrze rozwinięta, prawidłowo odżywiona, młoda kobieta, pochodząca ze Wschodu. Liczne rany klute, wstrząs od poważnej utraty krwi – wykrwawiła się.

– Jak?

– Prawdopodobnie na skutek działania siły ciężkości. Została zawieszona do góry nogami, tak że krew wypłynęła przez ranę na szyi.

Jak zwierzę w rzeźni, pomyślał Daniel. Zaciskając dłoń na słuchawce, drugą ręką notował szybko to, co przekazywał mu patolog:

– Uszy przekłute już dawno. Otwór szerniały. Spektrograf wykrył, że to tlenek stali, a nie złoty drucik, co oznacza, że kolczyki także nie były złote i możliwe, że zostały niedawno zdjęte.

– Czy drucik mógł być pozłacany?

– Możliwe, lub pomalowany na złoto. Będę kontynuował. Brak śladów wskazujących na to, że się bronila. Nie była także związana. Co może wskazywać na utratę przytomności w czasie zadawania ran, ale brak świadectw urazu głowy. Znalazłem jednak dwa świeże ślady po ukłuciu igłą na ramionach. Chromatograf wykazał opiaty. Heroina. Nie tyle, żeby ją zabić, chyba że cierpiała na idiopatyczną wrażliwość, ale wystarczająco, by ją znieczulić.

– Rany zadano po czy przed znieczuleniem?

– Wnioskując z braku śladów oporu, powiedziałbym, że po. Mam nadzieję, ze względu na nią.

– Anestezja – powiedział Daniel.

– Delikatnie ze strony drania, co?

– Są jakieś wskazówki, że mogła być narkomanką?

– Wprost przeciwnie. Narządy miała czyste, śluzówki czyste. Żadnych śladów ukłuć, poza tymi dwoma świeżymi. Zważywszy na to wszystko, zdrowa dziewczyna.

– A napastowanie seksualne?

– Cały ten czyn to jedno wielkie napastowanie seksualne – odparł Levi. – Widziałeś jej genitalia. Jeśli chodzi ci o spermę, to brak widocznych plam, ale cały obszar został wycięty do analizy. Próby dały wynik negatywny. Niech no spojrzę, co jeszcze... a, tak. Rany zostały zadane przez więcej niż jedno narzędzie. Co najmniej dwa. A może i jeszcze więcej.

– Jaki rodzaj narzędzi?

– Noże. Bardzo ostre. Jeden z zakrzywionym ostrzem. Drugi większy, o prostym ostrzu. Ten większy użyty był do rozcięcia gardła. Jedno mocne cięcie od lewej do prawej, a więc prawdopodobnie przez osobę praworęczną, co niewiele ułatwia sprawę.

– Jakies podobieństwa do morderstw Szarego Człowieka?

– Żadnych. Szary Człowiek posługiwał się ząbkowanym ostrzem, stosunkowo tępym. Przypuszczamy, że nożem kuchennym, pamiętasz? Ktokolwiek zrobił to teraz, użył czegoś dobrze naostrzonego.

– Jak brzytwa?

– Ostrego jak brzytwa, ale z całą pewnością większego niż standardowe ostrze brzytwy.

– Może prosta brzytwa?

Levi namyślał się w milczeniu.

– Z tego, co widziałem, wydaje mi się, że ostrze było większe od przeciętnej prostej brzytwy. Było niewiele albo w ogóle nie było pilowania. Cięcie od razu przeszło na wylot. Chociaż przypuszczam, że mogła to być jedna z owych staromodnych ciężkich brzytw, których kiedyś używali golibrody.

– A zakrzywione ostrze?

– Krótkie. Pierwszą rzeczą, jaka mi przyszła do głowy, był skalpel. Ale przymierzyłem do ran wszystkie moje skalpele i żaden nie pasował. Co nie oznacza, że nie istnieje jakiś chirurgiczny nóż, który by do nich pasował. Ale równie dobrze może to być coś całkiem innego: rylec rzeźbiarski, przecinak do linoleum, może nawet bardzo naostrzony i specjalnie ukształtowany zwykły nóż. Jeśli mi przyniesiesz broń, powiem ci, czy pasuje.

– Będę o tym pamiętał. Co z prześcieradłem?

– Jeszcześmy z nim nie skończyli, ale wygląda na standardowe wyposażenie domowe, więc myślę, że ta droga donikąd cię nie doprowadzi. To samo, jeśli chodzi o szampon. Neka Sheva Green.

– Co wynika z faktu, że została umyta?

– Ktoś chciał usunąć fizyczne dowody. I zrobił to cholernie dobrze. Jak dotąd, nie znaleźliśmy żadnych włókien, oprócz pochodzących z prześcieradła, żadnych obcych wydzielin ani osadów poza kilkoma ziarenkami piasku krzemionkowego. Trzeba nie lada starań, by kogoś tak wyczyścić.

– Miałem na myśli pobudki psychologiczne – powiedział Daniel. – Symboliczny gest. Zmycie winy.

– Jak Lady Macbeth? – spytał Levi, powątpiewając. – Myślę, że gdy mamy do czynienia z pokreconą psychiką, wszystko jest możliwe.

– Myślisz, że to dzieło szaleńca?

– Nie jakiegoś zaślinionego, mającego obłąkańca. Zbyt dobrze zaplanowane i za precyzyjnie wykonane. Ale z pewnością pokrecony umysł. Sadystyczny psychopata.

– Jakies domysły co do pochodzenia dziewczyny?

– Ze Wschodu, tylko tyle mogę powiedzieć. Sprawdzałem, czy miała wyciętą lechtaczkę, ale tkanki są zbyt uszkodzone. Co nie oznacza, że okazałoby się pomocne. Wielu Arabów zaprzestało obrzezania swoich kobiet. Jedynymi, co do których można mieć pewność, że nadal to robią, są Beduini, a ta dziewczyna nie była Beduiną.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Brak tatuaży. Podeszwy jej stóp są zbyt delikatne. I jeśli zabijają kogoś spośród swoich, chowają go na pustyni. Zresztą Beduiną w tym wieku byłaby już mężatką i nie pozwalano

by jej oddalać się od namiotu, i nie wplątały się w kłopoty. – Levi zamilkł. – I jak tu źle mówić o prymitywnej kulturze, co?

O pierwszej Daniel zszedł do laboratorium Medycyny Sądowej i otrzymał potwierdzenie oceny piasku wydanej przez Leviego. Nic szczególnego. Steinfeld właśnie zaczął wywoływać zdjęcia zamordowanej dziewczyny. Jedno przedstawiało głowę, na której nie było żadnych obrażeń. Jej twarz była spokojna, jakby pogrążona we śnie. Daniel zlecił sporządzenie dwóch tuzinów odbitek. Wsunął zdjęcia do dużej koperty, wyszedł z komendy i pojechał do centrum.

Przez *rechow* King George jechało się powoli, jezdnie i chodniki zapchane były ludźmi robiącymi szabatowe zakupy. Okrzyki kupców i straganiarzy mieszały się z pomrukiem silników, piskiem hamulców i przesywających uszy klaksonów. Daniel utknął pod czerwonym światłem za autobusem linii Egged i musiał wdychać spaliny i woń zjełczałego tłuszczu z pobliskiego baru szybkiej obsługi. Melekh ha-felafel. „Król Falafelu”. O przecnicę dalej mieścił się „Król Soków”, a za rogiem „Cesarz Hamburgerów”. Kraina monarchów...

Autobus ruszył, więc Daniel popędził naprzód i ostro skręcił w lewo na *rechow* Ben Jehuda, po czym zaparkował w niedozwolonym miejscu u szczytu ulicy. Umieścił na dachu escorta kartę identyfikacyjną, zamknął samochód i odszedł, mając nadzieję, że jakiś mało spostrzegawczy rekrut nie umieści na jego kołach blokady.

Drzwi restauracji Pod Gwiazdą były otwarte, ale Daniel przybył na miejsce za wcześnie, minął więc restaurację i zszedł pochyłą ulicą w kierunku sklepu ojca.

Rechow Ben Jehuda została kilka lat temu zamknięta dla ruchu kołowego i zamieniona w deptak na całej swojej długości, do wielkiego zegara na Zion Square. Daniel przeciskał się przez tłum: pary trzymające się za ręce i w rozmarzeniu oglądające wystawy, rodzice z dziećmi, które miały buzie umorusane pizzą i lodami, żołnierze na przepustce, pozujące na artystów typki z Bezalel Institute, popijające mrożoną kawę i konsumujące napoleonki pod parasolami kawiarnianych ogródków.

Minął kram ze szwaramą, spoglądając na klientów niecierpliwie oczekujących, aż sprzedawca odetnie dla nich plaster soczystej jagnięciny ze spiczasto zakończonego udźca, pokrytego tłuszczem. Nieopodal długowłosi muzykanci podobni do pustookich strachów na wróble beznamytnie wygrywali folkowe piosenki amerykańskie, kiwając się nad pokrowcami na instrumenty, w których lśniły drobniaki. Błada, chuda jak szkielet kobieta przytaszczyła tu rozstrojone pianino na kółkach i bębniąc po klawiszach, wygrywała fałszywie Chopina przed publicznością składającą się z drwiąco uśmiechających się kierowców taksówek. W tyle grupy Daniel rozpoznał Wiesia, oficera Latam, który unikał choćby chwilowego kontaktu wzrokowego z tajniakiem.

Na wystawie sklepu ojca wisiała tabliczka z napisem ZAMKNIĘTE, ale zajrzawszy przez oszklone drzwi, Daniel zauważył ruch na zapleczu. Na odgłos pukania ojciec podszedł do drzwi. Rozpoznał Daniela, uśmiechnął się i szybko mu otworzył.

– *Szalom, abba.*

– *Szalom, synu! Wchodź, wchodź.*

Starszy mężczyzna wspiął się na palce i ucałował Daniela w oba policzki, omal nie gubiąc przy tym beretu, który Daniel pochwycił. Ojciec umieścił nakrycie głowy na szczycie lśniącej łysiny i podziękował synowi z uśmiechem. Ramię w ramię przeszli przez sklep.

Powietrze było przesiąknięte wonią topionego srebra. Na stole do pracy leżała misterna brosza filigranowa. Cieniutki jak nitka srebrny drut otaczał słodkowodne perły w kształcie łez, oplecione delikatnym warkoczykiem ze złotych drucików. Drucików, które zdawały się zbyt cienkie, by z nich coś zrobić, a jednak dłonie jego ojca wyczarowywały z nich piękne i mocne przedmioty. „Włosy anielskie”, powiedział mu wujek Mosze, gdy Daniel był małym chłopcem. „Twój *abba* tka z anielskich włosów cudowne formy”.

„Skąd je bierze, *dod* Mosze?”

„Z raję. To tak jak manna. Specjalna manna od Hakadosz Baruch Hu dla ludzi o magicznych dłoniach”.

Właśnie owe dłonie, kasztanowobrazowe i twarde jak drewno oliwki, ujęły teraz twarz Daniela. Więcej pocałunków, przelotne muśnięcie brody starca. Wśród stalowoszarych kosmyków błysnęły w uśmiechu białe zęby. W ogorzałej twarzy załśniły figlarnie czarne oczy.

– Napijesz się czegoś, Danielu?

– Tylko wody, *abba*. Ja przyniosę.

– Siedz. – Ojciec szybko poszedł na zaplecze i wrócił z butelką soku pomarańczowego i dwoma szklankami. Przysunąwszy sobie stołek, usiadł obok Daniela, napełnił obie szklanki, wyrecytował błogosławieństwo *shehakol*. Wypili, ojciec sącząc powoli, Daniel w trzech haustach.

– Jak się mają Laura i dzieci?

– Doskonale, *abba*. A ty?

– Lepiej nie można. Właśnie dostałem świetne zamówienie od turystów, którzy zatrzymali się w King David Hotel. – Wskazał na broszę. Daniel chwycił ją skwapliwie, przejechał palcem wskazującym po misternych zawijasach. Tak delikatne i niepowtarzalne jak linie papilarne.

– Piękna robota, *abba*.

Ojciec tylko wzruszył ramionami.

– Bogata para z Londynu. Zobaczyli coś takiego w hotelowym sklepie z pamiątkami, zapytali mnie, ile bym wziął za podobną, i z miejsca podjęli decyzję.

Daniel uśmiechnął się i położył dłoń na ramieniu ojca.

– Jestem pewien, że decyzja nie zależała wyłącznie od ceny, *abba*.

Stary człowiek z zakłopotaniem odwrócił wzrok i zajął się napełnianiem szklanki Daniela.

– Jadłeś coś? Mam w lodowce piłę, chumus i sałatkę pomidorową...

– Dziękuję, ale jestem umówiony na lunch Pod Gwiazdą.

– Służbowo?

– A jakżeby inaczej. Powiedz mi, *abba*, czy ktoś ci ostatnio usiłował sprzedać parę tanich koleczyków?

– Nie. Od czasu do czasu próbują amerykańscy długowłosi. Ale ostatnio nie. Dlaczego?

– Nieważne.

Przez chwilę popijali w milczeniu. Wreszcie odezwał się ojciec.

– Zajmujesz się paskudną sprawą – wyszeptał. – Straszliwa zbrodnia.

Daniel spojrzał na niego zdumiony.

– Skąd wiesz?

– Nietrudno zgadnąć. Twoja twarz zawsze odzwierciedla nastroje. Kiedy wszedłeś do sklepu, wyglądałeś jak człowiek dźwigający wielki ciężar. Ponuro. Jakby twoje czoło spowijały gradowe chmury. Tak samo wyglądałeś po powrocie z wojny.

Daniel zacisnął dłoń na broszy. Niezręczne, siejące zniszczenie palce na delikatnych ornamentach. Szybko rozwarł palce i odłożył broszę na stolik. Spojrzał na zegarek i wstał.

– Muszę już iść.

Ojciec zsunął się ze stołka i ujął dłoń syna.

– Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałem, Danielu.

– Nie, nie. Wszystko w porządku.

– Cokolwiek to jest, wierzę, że dotrzesz do sedna sprawy. Jesteś najlepszy.

– Dziękuję, *abba*.

Podeszli do drzwi. Daniel otworzył je i wpuścił do wewnątrz gwar i upał.

– Będziesz się jutro modlił z Mori Zadokiem? – zapytał.

– Nie – odparł ojciec zawstydzony. – Jestem... zajęty.

– Na *rechow* Smolenskin?

– Tak, tak.

Daniel nie potrafił ukryć uśmiechu.

– Moje uszanowanie dla pani Moscowitz – powiedział.

Stary mężczyzna uniósł brwi.

– To miła kobieta, *abba*.

– Bardzo miła. Najmilsza. Ale nie dla mnie. To nie grzech, prawda? – Uniósł rękę i poprawił beret. – Teraz uznała, że droga do mego serca prowadzi przez żołądek. Hadassah, kurs kuchni jemeńskiej. Zupa fasolowa, *kubaneh* i *kirsze*, w każdy szabat. A oprócz tego jedzenie aszkenazyjskie. Jem do rozpuku, by nie urazić jej uczuć. Z tego samego powodu nie potrafię jej powiedzieć, że nie jesteśmy sobie przeznaczeni. – Uśmiechnął się boleśnie. – Czy policja może pomóc w takiej sytuacji?

– Obawiam się, że nie, *abba*.

Roześmiali się i zamilkli.

– *Szabat szalom*, *abba*.

– *Szabat szalom*. Miło cię było zobaczyć.

Ojciec ścisnął dłoń Daniela. Nagle stary człowiek podniósł pokiereszowaną dłoń syna do ust, ucałował bliznę i zwolnił uścisk.

– To, czym się zajmujesz, także jest sztuką – powiedział. – Pamiętaj o tym.

ROZDZIAŁ 6

W drodze powrotnej do restauracji Pod Gwiazdą przechodził tuż obok kramu ze szwarmą i pochwycił wzrokiem błysk metalu. Zatrzymał się. Nóż o długim ostrzu lśnił w dłoni sprzedawcy, niczym srebrzysta płóć. Kroił mięso powoli obracające się na szpikulcu, rozplatając jagnięcinę, która poddawała się temu plaster po plasterze. Zwyczajna sprawa; Daniel widywał to tysiące razy, lecz wcześniej nie zwrócił na to uwagi.

Sprzedawcą był kościsty marokański Żyd, o mokrej od potu twarzy i w fartuchu poplamionym sosem. Skończył przygotowywanie kanapki dla klienta, spostrzegł przypatrującego mu się Daniela, krzyknął, że szwarma jest świeża, i zaproponował, że ukroi soczysty kawałek. Daniel odmówił, kręcąc głową i ruszył dalej.

Drzwi do restauracji Pod Gwiazdą były otwarte na oścież. Prowadziły do małego, mrocznego holu. Z tyłu wisiała zasłona z pomalowanych drewnianych koralików. Daniel rozsunął koraliki i wszedł do środka.

Jadalnia, w której serwowano lunch, była widnym pomieszczeniem frontowym, ze ścianami wyłożonymi boazerią z cedrowego drewna i z obracającym się pod sufitem elektrycznym wentylatorem. Siedzieli w niej turyści i stali bywalcy. Gwar rozmów i wybuchy śmiechów walczyły o lepsze z odtwarzanymi z taśmy piosenkami w języku francuskim i włoskim.

Na ścianach wisiały liczne obrazy i figurki, wszystkie przedstawiające motyw gwiazdy. Nad barem widniał portret młodego Davida Kohaviego w generalskim mundurze. Poniżej znajdowała się Gwiazda Dawida wykuta z kamienia jerozolimskiego z wypisanym pośrodku słowem *Hakochaw*, „gwiazda”, i z dedykacją od żołnierzy z batalionu Kohaviego wykonaną ze spiżowych liter. Wypolerowany spiż pochodził z przetopionych łusek po nabojach.

Za barem jeden z kelnerów, Emil, mył kieliszki, pochylony i zdeformowany w białej wykrochmalonej koszuli i czarnej muszce. Spostrzegłszy Daniela, wyszedł mu naprzeciw i poprowadził detektywa ku znajdującym się w tyle sali drzwiom bez napisu. Akurat w chwili gdy dłoń kelnera spoczęła na klamce, drzwi otworzyły się i z kuchni wyszedł Kohavi we własnej osobie. Pomimo upału ubrany był w ciemny garnitur i krawat; siwowłosa wersja mężczyzny z portretu. Wykrzykując słowa powitania, uściśnął dłoń Daniela i gestem odesłał Emila do baru.

– Przygotowałem dla was stolik. Pięć osób, prawda?

– Jeżeli przyjdą wszyscy.

Kohavi otworzył drzwi.

– Jeden już jest.

Usytuowana w głębi sala bankietowa była prawie pusta. Ściany były pokryte tapetą o barwie czerwonego wina i oświetlone lampami w trójkątnych kryształowymi kloszach. W przeciwległym do drzwi końcu sali wznosiło się drewniane podium. Znajdowało się tam około dwóch tuzinów stołów, z których wszystkie, z wyjątkiem jednego, były nie nakryte i wolne. Okrągły stół przy podium nakryty był lnianym obrusem w kolorze burgunda. Siedział przy nim mężczyzna nieokreślonego wyglądu, czytający „Haarec”. Na odgłos kroków

spojrzał sponad gazety, po czym powrócił do lektury.

– Mamy dziś dobrą rybę – zawołał Kohavi, zatrzymując się w połowie sali. – A także stek i szaszłyk. Przyślę tu innych, kiedy nadejdą.

– Jeden z nich nie był tu nigdy przedtem – powiedział Daniel. – Elias Daoud. – I opisał wygląd Daouda.

– Daoud – powtórzył Kohavi. – Arab, który brał udział w rozbiciu Gangu Numer Dwa?

– Właśnie ten.

– Dobra robota. Dopilnuję, aby tu trafił.

– Dzięki.

Restaurator odszedł i Daniel zbliżył się do mężczyzny czytającego gazetę, usiadł naprzeciwko, opierając kopertę ze zdjęciami o nogę krzesła.

– *Szalom*, Nahum.

Mężczyzna upuścił gazetę i lekko skinął głową.

– Dani.

Miał po pięćdziesiątce, był łysy i chudy, o mało charakterystycznych rysach twarzy: lekko skrzywionym nosie, ustach o przeciętnej szerokości i sennych oczach podobnych do dwóch brązowych paciorków. Spokojna twarz nie do zapamiętania, pełna pogody twarz człowieka pozbawionego ambicji. Miał na nosie okulary do czytania, na pozbawionym włosów nadgarstku tani zegarek elektroniczny. Ubrany był w jasnoniebieską sportową koszulkę z kieszonką wypchaną długopisami. Na krześle obok niego leżała starannie złożona granatowa wiatrówka. Na niej spoczywał pokrowiec z dziewięćmilimetrową beretką.

– Myszy w Golan popełniają samobójstwo – powiedział, poklepując gazetę. – Rzucają się ze skarp, całymi setkami. Według naukowców jest to instynktowna reakcja w obliczu zbyt licznej populacji.

– Szlachetne.

– Nie całkiem – odparł chudy mężczyzna. – Bez dostatecznej liczby myszy, zginą sowy, które się nimi żywią. – Uśmiechnął się. – Jeżeli sowy poskarżą się w ONZ, będziemy odpowiadać za okrucieństwo wobec zwierząt.

Drzwi kuchni otworzyły się i do stolika podszedł kelner Emil, niosący półmisek z sałatkami: chumus, tehina, dwa rodzaje bakłażana, korniszony i gorzkie oliwki greckie oraz stosik pity. Postawił półmisek na stole i skłonił się oficjalnie.

– Coś do picia, pakad Sharavi?

– Poproszę wodę sodową.

– A dla pana, mefakeah Shmeltzer?

– Jeszcze jedną colę, ale już bez limony.

Gdy kelner odszedł, Daniel powiedział:

– Skoro mówimy o ONZ, byłem dziś rano w Amelia Catherine. W związku z naszą nową ofiarą.

– Słyszałem – powiedział Shmeltzer, bawiąc się oliwką. – Krwawa zbrodnia na Scopus.

– Języki nie próżnują.

Ton głosu Daniela sprawił, że Shmeltzer podniósł wzrok.

– Ot, zwyczajne plotki od policjantów. Zażądałeś dodatkowego samochodu, aby przeszukali wzgórze. Ludzie chcieli wiedzieć, dlaczego. O co tyle hałasu?

– O nic. Laufer chce, by o tym nie rozpowiadać.

– A ja chcę, by na świecie panował pokój i harmonia – powiedział Shmeltzer.

– Co właściwie słyszałeś, Nahum?

– Dziewczyna zabita przez maniaka, być może prostytutka. Może znów robota Szarego Człowieka. Zgodne z prawdą?

Daniel pokręcił głową.

– Wątpliwe. – Zrelacjonował to, czego się dowiedział.

Shmeltzer wydawał się przybity.

– To chore – powiedział cicho. – Nigdy nie przywyknęliśmy do takich jatek.

Wrócił Emil z napojami i, spojrzawszy na nietknięte jedzenie, zapytał, czy wszystko jest w porządku.

– W jak największym – zapewnił go Daniel. Wstał i przeszedł przez salę do umywalki, gdzie użył miedzianego kubka, aby umyć obie dłonie. Wrócił na miejsce, usiadł i odmówił błogosławieństwo nad chlebem, odłamał kawałek pity, posolił i zjadł. Drugi kawałek umoczył w chumusie, włożył go do ust. Poczul na języku mocny smak czosnku i kminku. Emil aprobująco skinął głową i odwrócił się na pięcie.

– Dowiedziałeś się czegoś w szpitalu? – spytał Shmeltzer.

– Typowa sytuacja, jak to w placówkach ONZ. Wrogość i zmowa milczenia.

– Czego się spodziewasz? Żyją sobie jak książęta, dupki. Mercedesy, wille, immunitet dyplomatyczny. Ile płacą swoim gryzpiórkom? Czterdzieści, pięćdziesiąt tysięcy rocznie?

– Dziewięćdziesiąt.

– Szekli* czy dolarów amerykańskich?

– Dolarów – odparł Daniel. – Wolnych od podatku.

– Cholera – powiedział Shmeltzer. – Jak za dziesięć lat naszej pracy. I to za nic. – Zanurzył pitę w sałatce z bakłażana i przeżuwał, marszcząc czoło. – Pamiętam jednego gościa, którego przesłuchiwałem w związku z włamaniem. Nigeryjczyk. Wyglądał jak Idi Amin.* Strój safari, laseczka z gałką z kości słoniowej oraz wygrawerowana wizytówka z tytułem, który mógłbyś zjeść na śniadanie: Dyrektor Administracyjny Regionalnej Komisji Granicy Synaju. Miał liczyć, ilu zabiliśmy Egipcjan i vice versa. Nieważne, że zwróciliśmy Camp David i że nie ma tam już granicy. Zajęcie faceta polegało na administrowaniu jej, bo zakute łby z ONZ nigdy nie uznawali Camp David. Dla nich to ciągle pole bitwy.

Popił coli, przegryzł oliwką.

– Czy ktoś w Amelia wygląda na podejrzanego?

– Nic alarmującego – odparł Daniel. – Dwoje spośród nich było szczególnie nerwowych. Lekarz o nazwisku Al Bijadi i jego dziewczyna – amerykańska pielęgniarka. Dała mi do zrozumienia, że go prześladujemy. Wygląda na typowy przypadek.

– Jasne – potwierdził Shmeltzer. – Śmiertelnie zakochana w Ahmedzie, dopóki on nie włożył bomby do jej walizki i nie odeśle jej na El Al. Gdzie się poznali?

– W Ameryce. W Detroit, w stanie Michigan. Mają tam kupę Arabów. I wielką sympatię dla Organizacji Wyzwolenia Palestyny.

– Niby co zrobiliśmy jej kochasiowi?

– Jeszcze nie wiem – powiedział Daniel. – Pewnie ma jakieś problemy związane z imigracją. Sprawdzamy ich obydwój. Zresztą innych pracowników szpitala także. – Napił się wody sodowej, poczul, jak bąbelki gazu tańczą mu na zębach. – Sądysz, że morderstwo może mieć podłoże polityczne?

Shmeltzer wzruszył ramionami.

– Czemu nie? Nasi słodziutcy kuzyni szukają nowych sposobów ekspresji.

– Według Leviego wygląda na to, że dziewczyna była znieczulona – powiedział Daniel. – Heroiną.

– Miły zabójca – skwitował Shmeltzer.

– Pomyślałem, że mógł to być lekarz, ale potem zdałem sobie sprawę, że lekarz miałby dostęp do wszystkich środków znieczulających i nie musiałby stosować czegoś nielegalnego.

– Chyba że doktorek sam był narkomanem. Może on i dziewczyna urządzili sobie

* Szekel – jednostka monetarna Izraela od 1980 roku.

* Amin Dada Oumez Idi – polityk ugandyjski z plemienia Kakwa. Od 1967 naczelny dowódca sił zbrojnych Ugandy, od 1971 – prezydent (dożywotni) w wyniku wojskowego zamachu stanu. Jeden z najokrutniejszych dyktatorów w Afryce. W 1979 obalony przez opozycję, schronił się w Arabii Saudyjskiej.

zabawę. Ona przedawkowała. Wpadł w panikę i ją zarznął.

– Nie sądzę – odrzekł Daniel. – Levi stwierdził, że dawka nie była śmiertelna i że dziewczyna otrzymała dwa zastrzyki. – Zamilkł. – Z tego, jak ją zabito, wynika, że cięcia były celowe, Nahum.

W drzwiach ukazał się Kohavi, prowadząc jeszcze kogoś.

Shmeltzer spojrział na nowo przybyłego, a potem na Daniela.

– A oto i nasz słodziutki kuzyn – powiedział.

– Jest pierwsza klasa – powiedział Daniel. – Jeżeli dziewczyna okaże się Arabką, będzie dla nas nieoceniony.

Kohavi wrócił do frontowego pomieszczenia, a nowo przybyły mężczyzna podszedł do stolika. Średniego wzrostu, o ciemnej cerze, w wieku około dwudziestu pięciu lat, ubrany w płowy garnitur i białą koszulę bez krawata. Miał pociągłą, kościstą twarz z wydatnym kwadratowym podbródkiem, jasne, rudobrazowe włosy zaczesane do tyłu i cieniutki wąsik nad szerokimi, pełnymi powągi wargami. Blisko osadzone zielone oczy spoglądały nieruchomo prosto przed siebie.

– Dzień dobry, pakad – powiedział.

– Dzień dobry, Elias. Usiądź, proszę. Poznaj mefakeaha Nahuma Shmeltzera z Komendy Głównej. Nahum, to jest samal riszon Daoud z posterunku Kiszle.

– Elias – skinął głową Shmeltzer.

– Cała przyjemność po mojej stronie, sir. – Głos Daouda był wysoki i chłopiący, jego hebrajski płynny, ale nie pozbawiony akcentu, z arabskim „r” oraz „b” zamiast „p”. Usiadł przy stole i splótł ręce na kolanach, łagodny, lecz dociekliwy, jak nowy uczeń w klasie.

– Mów mi Nahum – zaproponował Shmeltzer. – „Sir” pasuje do tłustego faceta, który kładzie się spać z medalami na piersi.

Daoud uśmiechnął się z przymusem.

– Napij się czegoś – powiedział Daniel.

– Dziękuję. Właściciel przyniesie mi kawę.

– Zjesz coś?

– Dziękuję. – Daoud wziął pitę i przeżuwał ją powoli, z zakłopotaniem wpatrując się w obrus. Daniel pomyślał, że Daoud nieczęsto bywał w żydowskich restauracjach w zachodniej stronie miasta.

– Wszyscy jesteśmy pod wrażeniem twojej pracy nad sprawą Gangu Numer Dwa – powiedział. – Wszystkie bandziory siedzą za kratkami, narkotyki zniknęły z ulic.

– Zrobiłem, co do mnie należało – odparł Daoud. – Bóg był ze mną.

Shmeltzer sięgnął po korniszona i odgryzł koniuszek.

– Miejmy nadzieję, że nadal z tobą pozostanie. Mamy trudny przypadek. Morderstwo dokonane przez psychopatę.

Daoud z zainteresowaniem wytrzeszczył oczy.

– Kto został zabity?

– Młoda dziewczyna – odparł Daniel. – Zmasakrowana i porzucona na Scopus, naprzeciwko Amelia Catherine. Żadnego dowodu tożsamości. Spójrz.

Sięgnął po kopertę, wyjął fotografie zmarłej dziewczyny i rozdzielił je pomiędzy dwóch detektywów.

– Coś wam to przypomina?

Shmeltzer pokręcił głową.

– Żadna – powiedział tonem pełnym napięcia i odwrócił wzrok.

Daoud oglądał zdjęcie, trzymając rogi obydwoma rękami; chmurny i skupiony.

– Nie potrafię jej umiejscowić – powiedział w końcu. – Ale w twarzy jest coś znajomego.

– Co? – spytał Daniel.

Daoud znów wpatrzył się w fotografię.

– Nie wiem, ale przychodzi mi do głowy jedna z wiosek. Może Silwan albo Abu Tor.

– A nie Betlejem?

– Nie, sir – rzekł Daoud. – Znałbym ją, gdyby była z Betlejem.

– A co z innymi wioskami? – spytał Shmeltzer. – Sur Bahir, Isawija.

– Możliwe – powiedział Daoud. – Ale z jakiegoś powodu przychodzą mi do głowy Abu Tor i Silwan.

– Może widziałeś ją, przejeżdżając – wtrącił Daniel. – Przelotny widok z okna samochodu.

Daoud zastanawiał się przez chwilę.

– Możliwe.

Jest zdenerwowany, pomyślał Daniel. Bo odezwał się zbyt pochopnie, nie mając nic na poparcie.

– Więc mówisz, że to Arabka – powiedział Shmeltzer.

– Takie było moje pierwsze ważenie – odparł Daoud. Skubnął wąsik.

– Zażądałem akt zaginionych dzieci – powiedział Daniel. – W sumie tysiąc sześćset. Tymczasem szukam na własną rękę. Wioski są dobrym miejscem na początek. Zaczniemy od Silwan, Elias. Pokaż ludziom zdjęcie. Jeśli się nie uda, spróbuj w Abu Tor.

Daoud skinął głową i schował fotografię do kieszeni marynarki.

Od drzwi dobiegł ich okrzyk:

– Bacność, rekruci!

Do stolika zmierzał imponujący mężczyzna. Liczący dobrze ponad sześć stóp wzrostu, nabity i muskularny jak ciężarowiec. Ubrany w białe szorty, skórzane plażowe sandały i czerwoną siatkowatą koszulkę, która ukazywała dużo skóry o szafranowej barwie. Włosy miał granatowoczarne, proste, rozdzielone przedziałkiem pośrodku głowy i ułożone za pomocą suszarki; twarz typowo azjatycka, szeroka i płaska jak u mongolskiego wojownika. Oczy nad wydatnymi kośćmi policzkowymi wyglądały jak bliźniacze szczeliny w papierowej masce. Broda wydawała się ciemna od niebieskawego zarostu. Wyglądał na mniej więcej trzydzieści lat, z pięcioletnią tolerancją w obie strony.

– *Szalom*, Dani. Nahum. – Jego głos brzmiał nisko i ochryple.

– Chińczyk – skinął mu głową Shmeltzer. – Masz wolny dzień?

– Do teraz – odparł wielki mężczyzna. Spojrzał pełnym szacunku wzrokiem na Daouda i usiadł obok niego.

– Jossi Lee – powiedział, wyciągając rękę. – A ty jesteś Daoud, prawda? As z Kiszle.

Daoud ostrożnie ujął jego dłoń, jakby uznał pochwałę za ironiczną. Lee uściśnął go energicznie, odsłaniając w końskim uśmiechu długie, krzywe, białe zęby. Wypuściwszy dłoń Araba, przeciągnął się i ziewnął.

– Co mają do jedzenia w tej norze? Umieram z głodu.

– Ta nora jest najlepsza – powiedział Shmeltzer.

– Gdzie indziej byłoby za darmo – odparł Lee. – A za darmo zawsze wspaniale smakuje.

– Następnym razem, Chińczyku – obiecał Daniel. Spojrzał na zegarek. Dziesięć minut spóźnienia, a piąty mężczyzna nie nadchodził.

Wszedł Emil z kartami menu.

– Jedno piwo – powiedział Chińczyk.

– Goldstar czy Maccabee? – zapytał Emil.

– Goldstar.

Emil miał zamiar odejść.

– Zostań – powiedział Daniel. – Zamówimy od razu.

Shmeltzer i Chińczyk zamówili przekąski ze szpikiem i podwójne mięso z rusztu. Daniel zauważył, że Daoud studiuje menu i przenosi wzrok na kolumnę z cenami. Waha się. Z pewnością się zastanawia, jak długo przeżyje z pensji świeżo upieczonego sierżanta. Daniel

odwiedził Daouda w jego domu w Betlejem niedługo po zlikwidowaniu Gangu Numer Dwa, przywożąc wiadomość o awansie oraz podarunek w postaci suszonych owoców. Uderzyła go panująca tam bieda, choć właściwie nie powinien się być dziwić, większość gliniarzy miała problemy finansowe. Gazety właśnie rozpisywały się na temat nowych pracowników ubiegających się o pomoc z opieki społecznej. A przed wstąpieniem do policji Daoud pracował jako pakowacz w sklepie z pamiątkami, w jednym z owych zatłoczonych, zatechłych miejsc, gdzie sprzedaje się chrześcijańskim turystom krzyżyki z drewna oliwkowego i słomiane makiety szopki. Ile mógł tam zarabiać? Tysiąc rocznie?

Przyglądając się teraz, jak Arab studiuje kartę, Daniel przypomniał sobie jego skromne mieszkanie – trzy ciasne klitki w starym budownictwie, materace na podłodze, piecyk na węgiel, pobielone ściany z reprodukcjami obrazów przedstawiających agonię Jezusa. Wszędzie pełno dzieciaków, chyba z pół tuzina, pełzające i biegające, bardziej lub mniej ubrane. Młoda nieśmiała tłuścawa żona, kaleka teściowa dziergająca w milczeniu na drutach. Zaduch dziecięcych odchodów i wonie kuchenne.

Daniel odłożył swoją kartę i zamówił:

– Proszę sałatkę miętową.

– Sałatkę miętową – powtórzył kelner Emil, notując. – Co jeszcze, pakad?

– To wszystko?

Kelner uniósł brwi.

– Dieta? – zapytał Chińczyk.

– Dziś wieczorem mamy szabat – powiedział Daniel. – Czeka mnie obfity posiłek.

Daoud podał swoją kartę Emilowi.

– Ja także wezmę sałatkę miętową – powiedział.

– Co jeszcze dla pana?

– Kawa.

Emil zasepił się, podejrzewając, że stał się przedmiotem kpin.

– Tylko mi nie mów, że stołujesz się u Daniela – powiedział Chińczyk.

Daoud się uśmiechnął.

– To wszystko – powiedział Daniel do kelnera, który oddalił się, mamrocząc:

– Sałatki, sałatki.

Daniel zaczął referować sprawę, zanim podano jedzenie, i mówił, gdy je przyniesiono, nie zwracając uwagi na swoją sałatkę, podczas gdy inni zaczęli już jeść. Podał fotografię zabitej dziewczyny Chińczykowi. Drugie zdjęcie położył przed pustym krzesłem. Detektywi robili notatki, trzymając pióra w jednej ręce, a widelce w drugiej. Przeżuwali i przełykali w milczeniu.

– Do głowy przychodzą mi trzy możliwości – ciągnął Daniel. – Pierwsza, morderstwo dokonane przez psychopatę. Druga, zabójstwo w afekcie, tutaj zaliczam też zemstę. Trzecia, akt terrorystyczny. Macie jakieś inne pomysły?

– Sprawka gangu – powiedział Shmeltzer. – Zamordowana była dziewczyną gangstera i wpakowała się w środek jakiejś afery.

– Gangsterzy używają pocisków i nie zabijają kobiet – powiedział Chińczyk. Zsunął zapieczone szaszłyki z szabelki, przyjrzał się im i skosztował jeden.

– Zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz – powiedział Shmeltzer.

– Gangsterzy ukrywają ciała, Nahum – powiedział Lee. – Nie wystawiają ich na widok publiczny. – Następnie zwrócił się do Daouda: – Nigdy nie znaleźliście zwłok ofiar Gangu Numer Dwa, prawda?

Daoud przecząco pokręcił głową.

– Szykują się jakieś wojny gangów? – zapytał Daniel.

Lee przełknął łyk piwa i zaprzeczył ruchem głowy.

– Gangi handlujące haszyszem mają trwałe pozycje. Z Libanu nadchodzą duże dostawy.

Wystarczy towaru dla każdego. Zik i Chłopcy ze Street of Chain zawarli porozumienie dotyczące skradzionych przedmiotów. Zik wchodzi też na rynek opium, ale na razie nikomu nie zagraża.

– A co z gangami melonów? – spytał Shmeltzer.

– W tym roku będą kiepskie zbiory, więc możemy się spodziewać konfliktów, ale na razie jest spokój. Poza tym jak dotąd nie mieliśmy jeszcze morderstwa związanego z melonami.

– Wszystko w swoim czasie – powiedział starszy detektyw. – Cywilizujemy się w alarmującym tempie.

– Przyjrzyj się gangom, Lee – powiedział Daniel. – I przesłuchaj kogo trzeba na okoliczność stręczycielstwa. Może to była prostytutka, która zdradziła swego *sarsur*, a on zabił ją dla przykładu. Pokaż jej zdjęcia ludziom z marginesu, może ktoś ją rozpozna.

– Zrobi się – rzucił Lee.

– Jakież inne hipotezy? – zapytał Daniel. Gdy nikt się nie odezwał, mówił dalej: – Zajmijmy się trzema pierwszymi, zaczynając od terroryzmu. Na pierwszy rzut oka nie wygląda to na mord polityczny. Do ciała nie dołączono żadnej wiadomości i nikt się do tego nie przyznał. Ale ktoś się może jeszcze pojawić. Wiemy, że terroryści próbowali strategii przestępstw ulicznych. Zabójca Szlomo Mendelsohna wykrzykiwał slogany. Tak samo lobuzy, które strzelały do spacerowiczów przy Salomon's Pools. W obydwu przypadkach działano impulsywnie, a nasz wygląda na działanie z premedytacją. Jednak podobnie postąpił gang Tutunji z Talią Gidal, więc musimy zachować otwarte głowy. Nahum, chcę, żebyś się skontaktował z Szin Bet i dowiedział się, czy słyszeli o strategii mordów seksualnych wśród terrorystów zagranicznych. Słyszałeś coś o tym, Elias?

– Zawsze coś się słyszy – ostrożnie odparł Daoud.

– Na przykład co? – zapytał Shmeltzer.

– Slogany. Nic szczególnego.

– Widziałem wczoraj coś szczególnego – powiedział starszy detektyw, przecierając szkła okularów. – Graffiti niedaleko wzgórza Golgoty. „Zetnij głowę syjonistycznemu potworowi”. Ktoś mógł postąpić zgodnie z instrukcją.

Daoud nic nie odpowiedział.

– Kiedy się temu przyjrzeć – ciągnął Shmeltzer – to nie nowina, że Arabowie mieszają okaleczanie z polityką. – Wbił widelec w kawałek cynaderki z rusztu, włożył go do ust i przeżuwał z namysłem. – Podczas masakry w Hebronie odcinali piersi wszystkim kobietom. Kastrowali mężczyzn i wtykali jądra w usta. Arabowie Saudyjscy, aby ukarać złodzieja, nadal pozbawiają go członków. To należy do kultury arabskiej, nie?

Daoud utkwiał wzrok w przestrzeni, szarpiąc wąsy, aż poczerwieniała skóra wokół nich.

Daniel i Chińczyk spojrzeli na Shmeltzera, który wzruszył ramionami i dodał:

– Jesteśmy w Jerozolimie, chłopcy. Kontekst historyczny ma podstawowe znaczenie.

Zajął się jedzeniem, krojąc na małe kawałeczki kotlet z jagnięcia i pochłaniając je z przesadnym entuzjazmem.

Zapadło złowrogie, pełne chłodu milczenie. Przerwał je Daoud.

– Żeby ten mord uznać za polityczny, dziewczyna musiałaby być Żydówką...

– Albo należeć do rodziny arabskiej, której członków uważano za kolaborantów – dodał Shmeltzer.

Daoud spuścił wzrok i rozgarniał widelcem sałatkę.

– Rozpatrzmy wszystkie możliwości – powiedział Daniel. – Przyjrzyjmy się teraz drugiej hipotezie. Zbrodnia w afekcie, nieodwzajemniona miłość, splamiony honor, zemsta krwi. Czy któryś z was słyszał o poważnych konfliktach rodzinnych?

– Od paru miesięcy kilka rodzin marokańskich w Katamon Tet wyklóca się o to, gdzie należy rozwieszać pranie – powiedział Chińczyk. – Ostatnio trochę ucichli. Sprawdź.

– Dwie rodziny w Surif spierają się o posag – powiedział Daoud. – Na razie padają tylko słowa, ale coraz ostrzejsze i w końcu może dojść do przemocy. Ale znam członków obydwu rodzin i dziewczyna do nich nie należy. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to szejek Druzów, który został zamordowany w zeszłym roku.

– Hakim al Atrash – rzekł Daniel.

– Tak. Powszechnie się uważa, że poszło o ziemię i stał za tym klan Janbulat. Sprawa jest nadal otwarta, nie dokonano zemsty. Ale jeżeli kogoś zabiją, będzie to znowu mężczyzna, a nie młoda dziewczyna.

– Inna możliwość – powiedział Daniel – to Beduini. Oni są szybcy w karaniu dziewczyn, które straciły dziewictwo, oraz niewiernych małżonek. A Beduinka w tym wieku mogłaby już być zaręczona lub zamężna. Jednakże patolog jest przekonany, że nosiła buty. Poza tym jest jeszcze jedno: Beduini chowają swoich zmarłych na pustyni, z dala od wścibskich oczu. Nie mieliby powodu przywozić jej do miasta.

Napił się wody sodowej, spróbował sałatki, ale nie poczuł smaku, popił ją i ciągnął dalej:

– Intuicja mi podpowiada, że to nie jest zbrodnia w obronie honoru. Wszystkie ofiary, które widziałem i o których słyszałem, zostały zabite przez podcięcie gardła lub strzałem w głowę. Szybko i czysto. Żadnych ran na ciele i wyrwanych genitaliów. Żadnego mycia zwłok. Widziałem, co z nią zrobiono – zdjęcia tego nie oddają. – Zamilkł, szukając odpowiednich słów. – To rzeźnia.. Mord rytualny. Wściekłość, ale wykalkulowana.

– Morderstwo o podłożu seksualnym – dorzucił Chińczyk.

– To nasza najlepsza hipoteza robocza.

– Jeśli to morderstwo seksualne, pracujemy nie w swoim żywiole – powiedział Shmeltzer. – Praca na podstawie podręczników. Jak cholerni rekruci.

Ta uwaga rozgniewała Daniela, częściowo dlatego, że była zgodna z prawdą. Początkujący detektyw w jakimkolwiek amerykańskim mieście widzi tego więcej w ciągu jednego roku niż on w całym swoim życiu. Seryjni mordercy, demoniczne rytuały, zabójstwa dzieci, okaleczenia w ciemnych zaułkach. Mroczny, wstrętny świat, o którym czytał, ale którego nie widywał na własne oczy. Aż do chwili, gdy na scenie pojawił się Szary Człowiek. Witamy po urlopie. Cztery smagnięcia w przeciągu dwóch miesięcy. Fala morderstw dokonanych przez jednego człowieka, w mieście, w którym podczas złego roku zdarza się dziesięć zabójstw, z których większość to krwawe żniwo rodzinnych niesnasek. Cztery zabite kobiety, ukarane za frymarczenie miłością.

– Świat idzie naprzód, chłopcy – powiedział Shmeltzer, pouczając Chińczyka i Daouda. – A my nie jesteśmy na to przygotowani. Narkomani, psychopaci, obłąkani obcokrajowcy w łachmanach. Dotychczas nie widywaliśmy takich. A teraz pełno ich w mieście. Idąc na to spotkanie, widziałem jakiegoś *meszuge*,* słaniającego się na nogach, jak szedł przez Herzl, mamroczącego do siebie, przeżuującego. Przejdźcie się do Parku Niepodległości, a zobaczycie ich pod drzewami, zupełnie jak kupy psiego gówna.

– Tacy nas nie interesują, Nahum – odpowiedział Daniel. – Zbyt niezorganizowani, niezdolni do planowania. Według portretu sporządzonego przez doktora Ben Davida, Szary Człowiek to typ społecznie nieprzystosowany, ale pozornie normalny.

– Kapitalne – powiedział Shmeltzer. – Wielce uczony gość z tego doktora Ben Davida. Cholernie dużo nam powiedział.

Co go ugryzło? – zastanawiał się Daniel. Shmeltzer zawsze odgrywał rolę adwokata diabła. Daniel nie miał mu tego za złe. Skłaniał go do myślenia. Ale dziś było inaczej, uwagi Shmeltzera nie były konstruktywne, jakby starszy mężczyzna stracił zainteresowanie pracą. Może Laufer miał rację: wypalił się i przestał być użyteczny. W sprawie takiej jak ta Daniel potrzebował solidnych pomocników, detektywów, jakim dotychczas był Shmeltzer. A nie zniechęconego cynika po przeciwnej stronie stołu. Spojrzał na pijącego colę Shmeltzera, na

* *Meszuge* – wariat, szaleniec.

jego twarz przysłoniętą szklanką. Ważąc wszystkie za i przeciw, zastanawiał się, czy zareagować od razu. Zdecydował, że nie.

– Nahum – powiedział – niech faceci od komputerów zaktualizują listę napastników seksualnych, sporządzoną w związku ze sprawą Szarego Człowieka. Niech ich sklasyfikują jeszcze raz, biorąc pod uwagę tendencję do gwałtu i posługiwania się nożem. Niech się rozejrzą za tymi, którzy mają skłonność do młodych dziewczyn i zażywania narkotyków. Większość z nich okaże się *facetami, których już przesłuchaliśmy, ale trzeba ich sprawdzić* jeszcze raz. Nowy samal, Avi Cohen, pomoże ci we wstępnym przeglądaniu danych. I w razie potrzeby dam ci urzędnika do zestawiania danych. Kiedy sporządzimy dobrą listę, zaczniemy ich wzywać na przesłuchania. Czekaając na dane, sprawdź campus Scopus, czy ktoś tam pracował do późna i czy nie usiłowano otworzyć którejsz z bram. W tej chwili najważniejsze jest – ciągnął, ujmując fotografię dziewczyny – zidentyfikowanie ofiary. Pracujemy dwadzieścia cztery godziny na dobę. Obiecującym ogniwem mogą być kolczyki. Zabójca mógł je zabrać, ale dopóki nie wiemy, jak wyglądały, przepytwanie jubilerów jest bezcelowe. Doktor Levi powiedział, że nie były złote, więc profesjonalista by ich nie kupił. Ale jeśli traficie na handlarza świecidełek, spytajcie, czy ktoś nie chciał mu sprzedać kolczyków. Elias – zwrócił się do Daouda – zajmij się wieśniakami. Zaczynaj od Abu Tor i Silwan. Jeżeli nic nie wskórasz, spróbuj w innych wioskach. Szczególnie interesująca jest Isawija, bo można z niej przejść; przez pustynię wprost na Scopus, nie przecinając miasta. Strażnicy z patrolu granicznego twierdzą, że panował spokój, ale mogą się mylić. Jeżeli na nic nie trafisz w wioskach, zaczynaj przepytwać na Starym Mieście, aż do Bramy Damasceńskiej, Sultan Suleiman, w okolicach arabskiego dworca autobusowego i kolejowego. Pójdź do sierocińców. Porozmawiaj z kierowcami, z bileterami, z tragarzami, z każdym, kto mógł widzieć przyjeżdżającą do miasta dziewczynę. Ja po południu zajrzę na główny dworzec autobusowy i zrobię to samo. Rozumiesz?

– Tak, pakad.

– Chińczyk zajmie się południowym sąsiedztwem Scopus – ciągnął Daniel. – Sheikh Jarrah, Kolonia Amerykańska, Wadi el Joz, a potem Musrara i wzdłuż Zielonej Linii. Rozumiem, że odwiedzisz Watermelon Tents, aby sprawdzić, co z twoim gangiem.

– Dziś, po północy – powiedział Chińczyk. – Kiedy zabawa osiągnie szczyt.

– Zahacz o Zieloną Linie i pogadaj z prostytutkami. Sprawdź, czy w okolicy nie kręcili się jacyś podejrzani klienci. Nie strasz, ale zanotuj imiona wszystkich dziwaków. I ostrzeż dziewczyny, ale ogólnikowo, bez detali.

– Do jakiego stopnia ogólnikowo?

– Powiedz, że grozi im niebezpieczeństwo. Nie mów nic specjalnego na temat mordercy. To się tyczy nas wszystkich. Laufer chce, żeby sprawy nie nagłaśniać ze względu na turystów. I nie wtajemniczać innych policjantów. Dlatego spotykamy się poza komendą.

Chińczyk ujął pusty szpikulec po szaszłykach i posłużył się nim jak wskaźnikiem.

– Mam powiedzieć prostytutkom, że grozi im niebezpieczeństwo. Potem pokażę im zdjęcie zaginionej dziewczyny. Nie trzeba być rabinem, żeby wszystko złożyć do kupy.

– Nie da się zachować całkowitej tajemnicy – zgodził się Daniel. – Szefostwo ma nadzieję, że będziemy mieli szczęście i, nie rozsiewając plotek, szybko rozwiążemy sprawę, którą da się skwitować trzema linijkami w prasie.

– Nadzieja jest matką głupich – mruknął Shmeltzer.

– Przez cały szabat będę pod pagerem – ciągnął Daniel.

– Jeżeli któryś z was trafi na coś istotnego, niech natychmiast dzwoni. Jutro przejdę się do Katamonim i popytam mieszkańców. Jeżeli dziewczyna była biedną Żydówką, to najlepsze miejsce na początek. Ludzie z archiwum szukają dla mnie danych o kilku osobach z Amelia Catherine i o mężczyźnie ze Straży Obywatelskiej, który znalazł ciało. Koniecznie dajcie mi znać, jeżeli znajdziecie coś istotnego. Jeśli będziecie mieli coś, czym się warto podzielić z

innymi, zwołamy spotkanie u mnie w domu. W niedzielę po południu. A teraz uregulujmy rachunek i do roboty.

Zapłaciwszy kelnerowi, Daniel poinstruował Daouda, by został przy stole, a sam wyszedł z Lee i Shmeltzerem. Chińczyk wsiadł na skuter Vespa, który zaparkował naprzeciw restauracji. Z rozstawionymi na boki łegimi udami wyglądał jak chłopiec na zbyt małym rowerku. Zawrócił, popyrkał w stronę King George, skręcił w lewo i popędził przed siebie. Obok restauracji Pod Gwiazdą stał trzypiętrowy budynek, w którym na parterze mieściła się agencja El Al oraz sklep z ubraniami dla dzieci. Na pierwszym piętrze usytuowane były biura prawnicze, wszystkie zamknięte z powodu przerwy na lunch. Na prawo od sklepu znajdowało się wyłożone płytkami wejście prowadzące na klatkę schodową.

Daniel ujął Shmeltzera pod łokieć, poprowadził go do środka i spytał:

– Co z tobą, Nahum?

Shmeltzer spojrział na niego z niewinnym wyrazem twarzy.

– O co ci chodzi?

– O twoją postawę. Twoja mowa na temat Hebronu, te komentarze.

– Nic się nie martw – odparł Shmeltzer. – Zrobię, co do mnie należy.

– To żadna odpowiedź – warknął Daniel. – Jeżeli coś cię trapi, chcę wiedzieć co.

Shmeltzer uśmiechnął się pogodnie.

– Co by mnie miało trapić? Po prostu jestem facetem, który nie lubi owijać w bawełnę.

– Niestosowne uwagi na temat kultury arabskiej nazywasz nieowijaniem w bawełnę?

Twarz starszego mężczyzny zadrżała z gniewu. Zacisnął usta tak mocno, że aż pobieleły.

– Posłuchaj, Dani. Chcesz z nim pracować, proszę bardzo. Wydaje ci się, że jest lotny i szybki, może i jest. Ale ja nie mam zamiaru zmieniać mu pieluszek. – Okulary Shmeltzera zsunęły się na wilgotny od potu nos. Popchnął je palcem w górę. – To właśnie najbardziej mnie w nich wkurza. Mówią nie wprost, używają pięknych słów, sir to, sir tamto, witam w moim namiocie. Odwróć się do nich tyłem, a wbijają ci w plecy cholerny nóż. Mówię bez ogródek, wszyscy mówmy bez ogródek, a on musi to kupić, albo niech wraca do handlu różańcami.

– Nie mam żadnego interesu w ochranianiu go – powiedział Daniel. – Będzie robił swoje, albo mu podziękuję. Chcę mieć pewność, że chodzi ci tylko o to. Zależy mi na rozwiązaniu tej sprawy.

– Czy cię kiedykolwiek zawiodłem?

– Nie. Wybrałem cię, bo uważam, że jesteś najlepszy.

Wyraz twarzy Shmeltzera złagodniał. W oczach pojawiły się błyski.

– Nie dam ci powodów, byś zmienił zdanie.

– Właśnie to chciałem usłyszeć.

– I usłyszałeś – rzekł Shmeltzer. – A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, zabiorę się do roboty. – Wsunął rękę do kieszeni i oparł się o ścianę. Do pomieszczenia wpadła gumowa dziecięca piłka, a za nią sześć – lub siedmioletni chłopiec, który ją pochwycił, spojrział na policjantów i wybiegł na ulicę.

– Idź – powiedział Daniel. – *Szabat szalom*.

Shmeltzer przyglądał wiatrówkę, poprawił pistolet i wyszedł z klatki schodowej. Daniel za nim, po czym przystanął, patrząc na oddalającą się postać Shmeltzera. Jeszcze chwila i zniknął w tłumie na Ben Jehuda.

Kiedy wrócił do sali bankietowej, kelner Emil sprzątał ze stołu, omijając Daouda, który siedział, wpatrując się w fotografię dziewczyny. W dłoni trzymał filiżankę z nie dopitą kawą. Daniel odsunął krzesło obok niego, usiadł i czekał, aż zostaną sami.

– Mam jeden cel – zaczął. – Znaleźć potwora, który to zrobił, i zapobiec kolejnym zbrodniom. Nie mam czasu na swary i waśnie polityczne.

– Rozumiem, pakad.

– Nasłuchałeś się dzisiaj. Prawdopodobnie usłyszysz jeszcze więcej. Ale jesteś profesjonalistą i mam nadzieję, że nie spędzi ci to snu z powiek.

Daoud uśmiechnął się lekko.

– Mam mocny sen.

– Świetnie. Jeżeli coś ci będzie przeszkadzało w pracy, daj mi znać. O niczym innym nie chcę słyszeć.

– Tak, sir.

Wyszli z restauracji. Daoud podszedł do małego starego szarego citroena, który wyglądał tak, jakby trzymał się kupy wyłącznie dzięki temu, że obwiązano go sznurkiem i drutami. Z przedniego zderzaka zwisała krzywo niebieska tablica Terytorium Okupowanego z literą B, oznaczającą Betlejem. Na lusterku wstecznym umieszczony był żelazny krzyżyk. Pomimo tabliczki z napisem „Policja” na dachu samochodu, citroen wyglądał jak pułapka skrywająca bombę i Daniel wcale się nie zdziwił na widok Wiesela, tajniaka siedzącego przy stoliku pobliskiej kawiarni i obserwującego samochód. Spostrzegłszy Daniela, zażądał rachunku.

ROZDZIAŁ 7

W piątek o czwartej po południu Daniel opuścił centralny dworzec autobusowy. Niczego się nie dowiedział. Nikt nie widział dziewczyny. Nikt nie rozpoznał jej fotografii.

Na chodniku tuż obok wejścia na dworzec leżał bosy żebrak w łachmanach, pustymi oczodołami wpatrując się w słońce. Kiedy Daniel go mijał, uniósł drżącą rozczapierzoną dłoń i zaczął mamrotać, powtarzając rytmicznie, jak w modlitwie: „Dobry człowieku, dobry człowieku, dobry uczynek jest jeszcze lepszy w szabat, dobry uczynek, dobry człowiek, amen, amen... „

Daniel sięgnął do kieszeni, wyjął z niej garść drobnych i, nie licząc, upuścił je na brudną dłoń. Żebrak zaczął go błogosławić, zawodząc wysokim tonem. Koścista ręka trzęsła się, ważąc monety, oceniając ich wartość, jakby to było ziarno. Zsumowawszy je, wykrzywił usta w bezzębnym uśmiechu, odsłaniającym czarne dziąsła. Błogosławieństwo stało się głośniejsze. Daniel i jego potomkowie do dziesiątego pokolenia zostaną na wieki obdarzeni zdrowiem i bogactwem...

Nagle, znikąd, pojawiła się grupa sześciu innych nędzarzy. Garbaci, kulawi, szczerbaci i powykręcani, zbliżali się do detektywa, wygłaszając litanie o nieszczęściach, które ich spotkały. Zanim Daniel dotarł do escorta, dogonili go i otoczyli zwartym kręgiem, wychwalając jego dobroć. Opróżniwszy kieszenie, dał każdemu z nich trochę drobnych, wstrzymując oddech, by nie czuć smrodu.

Wreszcie udało mu się umknąć. Wsiadł do samochodu. Jak w średniowieczu, pomyślał, odjeżdżając przy akompaniamencie ich zaflegmionych błogosławieństw. Rząd od lat oferował żebrakom pracę, pomoc społeczną, wszystko, aby tylko pozbyć się ich z okolic dworca. Ale oni byli żebrakami od pokoleń i uważali się za wykształconych specjalistów, kontynuujących szacowny zawód przodków. Mówiono, że wielu z nich wiodło dostatnie życie, lepsze niż policjanci, więc może okazał się głupcem, dając im jałmużnę. Ale w końcu przydadzą mu się ich błogosławieństwa.

W komendzie także mu się nie poszczęściło. Informacje na temat Schlesingera jeszcze nie nadeszły. Dozorca Hadżab nie miał przeszłości kryminalnej i nie był leczony w żadnej instytucji dla psychicznie chorych. Spośród pozostałych członków personelu Amelia Catherine tylko doktor Al Bijadi był znany w archiwum. Owa znajomość ograniczała się do czterech stron maszynopisu, który czekał na biurku Daniela w zaklejonej kopercie oznakowanej napisem SŁUŻBOWE. Dane zawarte w maszynopisie nie były inspirujące.

Tak jak Daniel się spodziewał, dotyczyły komplikacji imigracyjnych. Po siedmiu latach spędzonych w Detroit Al Bijadi wystąpił o obywatelstwo amerykańskie. Otrzymał je i już jako obywatel Stanów Zjednoczonych wziął udział w dwóch demonstracjach popierających Organizację Wyzwolenia Palestyny w stanie Wayne i jego nazwisko znalazło się w komputerze FBI. FBI poinformowało Mosad, i gdy Al Bijadi zwrócił się o pozwolenie powrotu do Izraela oraz o pozwolenie na wykonywanie praktyki lekarskiej, komputer wypłuł jego nazwisko. Obydwie prośby zostały odrzucone i zapoczątkowały śledztwo na jego temat.

Posypała się lawina papieru: wymiana listów konsularnych, protestów ONZ, listów

popierających od kongresmana Al Bijadiego, poparcia od noszących żydowskie nazwiska profesorów uczelni medycznej, zapewniające rząd, że doktor Hassan Al Bijadi jest człowiekiem o nieposzlakowanym charakterze. Daniel zwrócił uwagę na artykuł w lokalnej gazecie, ukazujący młodego lekarza jako idealistę i ofiarę dyskryminacji.

Ostatecznie Al Bijadi został określony jako „stosunkowo apolityczny”, jego zaangażowanie w sprawy Organizacji Wyzwolenia Palestyny ograniczone do udziału w zgromadzeniach, a podstawowe zainteresowania scharakteryzowane jako „kosztowne samochody i luksusowe ubrania, wysokiej klasy sprzęt stereo oraz wymyślne urządzenia elektroniczne, a także miłosne związki z licznymi Amerykankami, z których wszystkie były pielęgniarkami”. Z pewnością nie podżegacz. Po upływie czterech miesięcy od złożenia podania uzyskał zgodę.

Zupełnie nieźle, pomyślał Daniel. Na założenie telefonu w Jerozolimie czekało się dwa razy dłużej.

Umieścił kopertę w teczce, którą założył na akta prowadzonej sprawy, wyszedł z gabinetu i usiłował wczuć się w świąteczny nastrój szabat.

*

Pięć po piątej zamykano sklepy.

Zgodnie ze zwyczajem Daniel kupował w piątek wino, chleb i słodkie mięso na szabat. Nie zawiadomił Laury, że dzisiaj będzie inaczej. Pojechał wzdłuż *rechow* Sokolov w kierunku sklepu spożywczego Liebermana, utknął w korku i siedział zniecierpliwiony w samochodzie, żywiąc nadzieję, że zdąży przed zamknięciem sklepu. Inni kierowcy byli równie zdenerwowani i reagowali w sposób łatwy do przewidzenia: zanim droga stanęła otworem, atmosfera nabrzmiała przekleństwami i rykiem klaksonów.

Gdy Daniel zatrzymał się przy krawężniku, Lieberman właśnie zamykał sklep. U jego stóp stała torba z zakupami. Zauważył Daniela, oskarżycielskim gestem wskazał na zegarek, a potem uśmiechnął się, zaniósł torbę do samochodu i podał ją Danielowi, zanim ten zdążył wysiąść.

Daniel podziękował sklepikarzowi, umieścił zakupy na podłodze *od* strony pasażera. Lieberman *poglaskał* się po wydatnym brzuchu i zajrzał przez okno do samochodu.

– Przed chwilą dzwoniłem do pańskiej żony, żeby powiedzieć, że nie wstąpił pan po zakupy. Jedno z waszych dzieci ma je odebrać.

– Które?

– Nie powiedziała. Jeśli pan chce, mogę zatelefonować i ją spytać – śmiejąc się, odparł Lieberman.

– Nie ma potrzeby, panie Lieberman. Dziękuję, że pan to dla nas przygotował.

Sklepiarz mrugnął konspiracyjnie.

– Nie mógł się pan wyrwać z pracy?

– Tak.

– Trudny przypadek?

– Bardzo.

Stała wymiana zdań. Daniel zapalił silnik i rozejrzał się, wypatrując kogoś ze swoich dzieci.

– Jeśli pan chce, żebym kogoś namierzył, wystarczy jedno słowo. Podejrzane typy, sabotażyści, ktokolwiek.

– Dziękuję za dobre chęci, panie Lieberman. Jeżeli będę potrzebował, zgłoszę się do pana.

– Zawsze chętnie pomogę – zapewnił go Lieberman, salutując. – Sporo widzę, siedząc za kontuarem. Parada charakterów, jeśli pan wie, co mam na myśli.

– Wiem, panie Lieberman. *Szabat szalom.*

– *Szabat szalom.*

Daniel wrócił na *rechow* Sokolov i jechał powoli. Przejechawszy jedną przecznicę, spostrzegł Shoshanę w czerwonej świątecznej sukience. Jak zawsze szła, podskakując i nućąc pod nosem.

Wiedział, co śpiewa: dziwną mieszankę popularnych piosenek i dziecięcych wyliczanek. Według Laury w ten sposób dawała wyraz skomplikowanym przemianom, zachodzącym w ciele dwunastolatki. Laura też przez to przeszła, więc wiedziała, co mówi. Jego wspomnienia z tego okresu były proste: lekcje w jesziwie. Gra w piłkę na uliczce za szkołą. Ukrywanie kartek z tabelą rozgrywek między kartkami Talmudu.* Może z chłopcami było inaczej...

Przyglądał się córce z uśmiechem. Zatopiona w świecie wyobraźni, w rozmarzeniu spoglądała w niebo, niepomna otoczenia. Zatrzymał samochód, zatrąbił cicho. Zakłopotana rozejrzała się wkoło, zauważyła ojca i uśmiechnęła radośnie.

Taka piękna, pomyślał po raz tysięczny. Owalną twarz i złociste, pofalowane włosy zawdzięczała matce. Śniadą cerę – jemu. Podobnie jak rysy twarzy, tak mówiono, chociaż on nie mógł uwierzyć, że coś równie delikatnego mogła odziedziczyć po nim. Oczy miała ogromne, szarzielone, napełnione swoistym blaskiem. Na porodówce Laura śmiała się przez łzy: „Spłodziliśmy kundla, Danielu. Pięknego małego mieszańca”. Ku swemu zdziwieniu Daniel także zalał się łzami.

– *Abba! Abba!* – Podbiegła do samochodu na szczudłowatych nogach, otworzyła drzwi i wsiadła. Zarzuciła mu rękę na szyję, pogłaskała po policzku i roześmiała się: – Musisz się ogolić, *abba*.

– Jak się masz, kochanie? – zapytał, całując ją.

– Cudownie, *abba*. Pomagałam *imie* gotować, wykapałam Dayana i zabrałam chłopców do parku.

– Wspaniale. Jestem z ciebie dumny.

– Zachowywali się jak dzikie zwierzęta.

– Dayan i chłopcy?

– Tylko chłopcy. Dayan był dżentelmenem. – Westchnęła i uniosła rękę.

Zupełnie jak zapracowana matka, pomyślał Daniel, opanowując uśmiech, żeby sobie nie pomyślała, że się z niej naśmiewa.

Choć prawdę powiedziawszy, jej położenie było niełatwe. Trzy poronienia Laury, pięć i pół roku pomiędzy nią i Mikeyem. A rok później, na domiar złego, narodziny Benny’ego. Pięć i pół roku jedynactwa, przerwane przez podwójną burzę. Zbyt wielka różnica wieku na przyjaźń. Uważała się za młodszą matkę i daremnie domagała szacunku.

– Dzikie zwierzęta – powtórzyła.

Daniel skinął głową i przełożył torbę z zakupami na tylne siedzenie.

– To te zakupy od Liebermana? – spytała.

– Tak. Dojechałem w ostatniej chwili. Dziękuję, że się zgodziłaś je odebrać.

– Nie ma za co, *abba*. – Uklękła, wychyliła się za oparcie i przejrzała zawartość torby. – O, czekolada.

Usiadła i zapięła pas. Daniel ruszył. Gdy przejechali przecznicę, zapytała:

– Możemy dziś po kolacji pograć w pokera?

– Hazard, Shoshi? – spytał, udając oburzenie. – W szabat?

– Nie na pieniądze. Na rodzynki.

– A jeśli mnie ogołocisz z rodzynek, tak jak w zeszłym tygodniu ograłaś mnie z migdałów? Nie będę miał co jeść przez cały szabat i umrę z głodu.

Shoshana zachichotała, a potem wybuchnęła śmiechem.

– Wtedy ci je odsprzedam! Ze zniżką!

Cmoknął z powagą językiem.

* Talmud (z hebr. „nauka”, „studiowanie”) – najważniejsze opracowanie ustnej Tory. Żydowskie księgi praw i przepisów religijnych.

– Aha! Najpierw hazard, a potem handel. I wszystko w szabat. Mędrcy mieli rację, jeden grzech pociąga za sobą następny.

– Och, *abba!*

– Twój dziadek, Al, uczy cię gry w karty – ciągnął Daniel – a wkrótce będę miał do czynienia z małym gangsterem. – Wyciągnął rękę i uszczypnął ją w policzek. – Gangster – powtórzył.

– Dziesięć rozdań, okay? Po kolacji.

– Muszę się naradzić z *imą*.

– *Ima* się zgodziła. Dziesięć rozdań.

– Pięć.

– Dwanaście!

– Dziesięć, ale traktuj mnie ulgowo.

Przysunęła się i objęła chudą ręką jego ramię.

– Jesteś najmilszy, *abba*. Superstar.

Mieszkali w dzielnicy Talbieh, na południowy zachód od Starego Miasta, za doliną Hinnom. W spokojnej okolicy z wąskimi, spadzistymi, trzypasmowymi ulicami i solidnymi, starymi, dwupiętrowymi domami ze złocistego wapienia *meleke*, kamienia z różowymi i rdzawymi żyłkami. Domy obrosnięte były bujnymi bugenwillami. W maleńkich jak chusteczki do nosa ogródkach rosły drzewa cytrusowe, figowce i niespliki japońskie. Z rzeźbionych balkonów zwieszały się pędy kapryfolium. W większości domów znajdowały się mieszkania. Kilka największych otoczono wysokimi żelaznymi ogrodzeniami i wynajęto na konsulaty.

Mieszkanie Daniela mieściło się w dziesięcioletnim wysokościowcu na skraju dzielnicy. Budynek był dziwactwem architektonicznym – gładki, kredowobiały, w kształcie pocisku, pozbawiony ozdób. Piętnaście kondygnacji górujących nad pergolami Parku Dzwonu Niepodległości, z widokiem na Stare Miasto i Górę Oliwną. Zgodnie z przepisami dotyczącymi stylu obowiązującego w różnych strefach Jerozolimy, fasadę obłożono wapieniem, ale tak bladym i poznaczonym zębem czasu, że budynek wyglądał jak blizna w bursztynowym cieple stoku wzgórze.

Pomiędzy budynkiem i parkiem znajdował się duży, pochyły, pusty teren. Za domem mieścił się parking, jak zwykle w trzech czwartych pusty. Wokół domów były skromne, ale dobrze utrzymane trawniki z wiecznie zielonymi krzewami, polewanymi wodą z automatycznych zraszaczy. Przy wejściu do wysokościowca rosły drzewa jakaranda o spiczastych liściach i szokująco fioletowej barwie. Oszklone drzwi wiodły do wyłożonego marmurem holu. Tuż na prawo mieściła się mała synagoga; na lewo – trzy, pracujące bez wytchnienia, windy. Mieszkania były duże-sześć pokoi oraz rozległy taras. Dla Daniela stanowiło wielki luksus, tak różny od miejsca, w którym wzrastał, i od mieszkań, które zajmowali jego koledzy. Choć w Ameryce byłoby czymś zwyczajnym.

Dochrapał się go dzięki pomocy innych i, od czasu do czasu, zwłaszcza wspominając korzenie, czuł się jak intruz. Bezprawni lokator w cudzym śnie.

Jednak dziś czuł się tu jak w domu.

W salonie radio ryczało na cały regulator. Dookoła pokoju ganił się chłopcy, obaj na golasa. Za nimi biegał Dayan. Gdy mały spaniel zauważył Daniela, przypadł do niego, merdając krótkim ogonkiem i popiskując z radości. Daniel pogłaskał psa po łebku, pozwolił mu się polizać i głośno powitał synów. Stanęli jak wryci, krzyknęli unisono: *Abba!* I podbiegli do niego. Ucałował ich, chwilę mocował się z każdym i podrzucał w górę, po czym zostawił w spokoju, pozwalając wrócić do przerwanej zabawy.

– Potwory – powiedziała Shoshi i weszła do swego pokoju. Dayan podreptał za nią.

Daniel przeszedł przez jadalnię i skierował się do kuchni, gdzie postawił zakupy na bufecie. Na gazie perkotały garnki, w piekarniku piekł się kurczak. Z przyległego

pomieszczenia gospodarczego dochodził turkot pralki. W kuchni było gorąco, parno i pachniało przyprawami.

Laura stała przy zlewie, odwrócona plecami do Daniela. Lejąca się woda i inne dźwięki zagłuszyły jego kroki. Miała na sobie poplamione farbą dżinsy i ciemnozieloną trykotową koszulkę. Miękkie jasne włosy upięła w kok, ale liczne pofalowane pasma zwisały luźno, tworząc koronkową aureolę wokół karku. Aby jej nie przestraszyć, Daniel cicho powiedział: *Szalom*, a gdy się odwróciła, wziął ją w ramiona.

– Witaj, detektywie – powiedziała z uśmiechem. Wytarła ręce w spodnie i stanęła na palcach, ujęła jego twarz w dłonie i ucałowała. Pośpieszny pocałunek stał się mocniejszy i Daniel zupełnie się w nim zatracił. Laura odsunęła się i powiedziała: – Wysłałam Shoshi do Liebermana. Spotkaliście się?

– Byłem u niego pierwszy. – Wskazał na torbę. – Zabrałem Shoshi po drodze. Jest w swoim pokoju, z psem.

– Jadłeś coś dzisiaj?

– Lunch z kolegami po fachu.

– Omawialiście tę samą sprawę, która wyciągnęła cię z łóżka?

– Tę samą.

– Chcesz coś przekąsić przed kolacją?

– Nie, dziękuję. Zaczekam na kidusz.*

– Napij się czegoś – powiedziała i podeszła do lodówki.

Daniel rozpiął koszulę i usiadł przy kuchennym stole. Laura nalała mu filiżankę mrożonej kawy i podała do stołu. Sobie nalała pół filiżanki i popijając, stanęła przy mężu, z dłonią na jego ramieniu. Pociągnął duży haust, zamknął oczy i westchnął. Chłód i słodycz kawy przyprawiły go o przyjemny ból podniebienia.

Poczuł, że cofnęła rękę. Otworzył oczy i zobaczył, że odchodzi, przesuwa garnki na kuchence, zagląda pod pokrywkę, ociera czoło papierowym ręcznikiem. Bez makijażu wyglądała jak młoda dziewczyna o świeżej, zarumienionej od gorąca cerze i niebieskich, pełnych ciekawości oczach. Powróciła do jego boku i ucałowała w czubek głowy, ujęła okaleczoną dłoń i masowała ją w zamyśleniu.

– Kiedy Lieberman zatelefonował i powiedział, że nie przyszedłeś po zakupy, wiedziałam, że miałaś pracowity dzień.

Skinął głową, dokończył kawę i spytał:

– Ile mam czasu do szabatu?

– Pół godziny. – Rozpięła mankiety koszuli Daniela, zdjęła ją z niego i powiesiła na oparciu krzesła. – Weź prysznic i się ogol. Chłopcy bawili się w wannie w łódź podwodną, ale posprzątałam dla ciebie.

Wstał, uściśnął jej dłoń, wyszedł z kuchni, przeszedł przez salon, okraczając sterty książek i zabawek. Mijając drzwi balkonowe, spojrzął na zachodzące słońce. Niebo wyglądało jak tortowe ciastko, przecinały je pierzaste smugi koralowej i błękitnej barwy, kolory marynarskiego tatuażu. Zawrócił i wszedł na balkon, wsparł ręce na barierce i spojrzął na wschód.

Arabski chłopiec pędził stadko kóz przez otwarte pole, oddzielające ich dom od Parku Dzwonu Niepodległości. Daniel patrzył na zwierzęta kroczące wśród skał i chwastów. A potem przeniósł wzrok dalej na mieszkania artystów Jemin Mosze i za Hinnom. W kierunku Starego Miasta, przycupniętego na grzbiecie góry – wieże, wały obronne, parapety, jak na ilustracji w książce.

Miejsce, gdzie się urodził.

Słońce chowało się za horyzont i prastare kamienne fasady zdawały się oddalać, sennie

* Kidusz (z hebr. „uświęcenie”) – ceremonia odmawiania modlitw i błogosławieństw nad pucharem wina, z okazji rozpoczęcia szabatu i innych świąt.

pogrążając się w mroku. Nagle zabłyśły elektryczne światła, wszystkie naraz, oświetlając wykończone blankami mury. Wydobywając zarysy mosiężnych i złocistych kopuł, wieżyczek i iglic.

Jak na komendę zaczęły migotać otaczające Jerozolimę wioski i Daniel zdał sobie sprawę z zapadającej ciemności, uświadamiając sobie, że nie jest przygotowany do świętowania szabat. Pozwolił sobie na chwilę beczynności, zamknął oczy i wczuwał się w zapachy i odgłosy miasta. Benzyna i rosół z kurczęcia. Śmiechy i okrzyki z placu zabaw w Parku Dzwonu Niepodległości. Warkot samochodów ze skrzyżowania King David. Powietrze, ciepłe i słodkie z wonią pinii, niesioną przez podmuchy wiatru wiejącego od pustyni.

Wdychał je z rozkoszą, a potem zaczął myśleć o zamordowanej dziewczynie i poczuł powracające napięcie. Gdy otworzył oczy, świat wydał mu się chaotyczny. Światła, kolory, cienie i tajemnice, granice się zacierały, wszystko się mieszało jak w jakiejś zwariowanej zupie.

Poczuł się bezsilny i przygnębiony. Szybko wycofał się z balkonu, wszedł do łazienki i rozebrał do naga.

Wszedł pod prysznic, odkręcił wodę tak gorącą, że z trudem to wytrzymał. Namydlił się i szorował skórę, aż do bólu.

Zastanawiał się, kto ją umył i zmienił w pozbawioną krwi powłokę, podobną do upiornej wylinki.

Jaki potwór zabija, a potem myje ofiarę, jakby była brudnym naczyniem, które czyści i odstawia. Jakby można było usunąć plugastwo zbrodni.

Jaki umysł celebrował taką rzeź?

Wszedł spod prysznicę czysty, ale nie oczyszczony.

ROZDZIAŁ 8

Zabrał trójkę dzieci do synagogi, mieszczącej się na dole ich budynku, i modlił się z całym skupieniem, na jakie było go stać. Powrócił do spokoju i porządku domowego ogniska. Do Laury w niebieskim aksamitnym szlafroku, z włosami przewiazanymi białą jedwabną chustką, zwinętą na kanapie z Dayanem na podolku, kartkującej jakiś album poświęcony sztuce. Stół był nakryty białym lnianym obrusem i zastawiony szabatowymi srebrami, wino nalane. Pokój tańczył w pomarańczowym blasku świec.

Cała piątka zasiadła przy stole i odśpiewała *Szalom aleichem*, poemat wychwalający aniołów szabat. Potem Daniel wziął Laurę za rękę i zaśpiewał *Dzielną niewiastę*, na starą jemeńską melodię. Następnie ucałowali się, Daniel pobłogosławił dzieci, kładąc im dłonie na głowach, przeciągając słowa nieco dłużej niż zazwyczaj.

W odległej części miasta odbywała się inna ceremonia. Poświęcenie noży, jak to nazywał w myślach człowiek o szerokim uśmiechu. Zabawił się wspomnieniami i masturbował się trzykrotnie, co go rozluźniło psychicznie, choć nie zwolniło pociągu towarowego, który z łoskotem krążył po tunelach jego mózgu.

Jak przytulnie, pomyślał, uśmiechając się i odpychając ów łoskot. Po domowemu, ale samowystarczalnie. Łagodna muzyka, kanapka, piwo, ulubiona lektura na stoliku nocnym. Przesiąknięte nasieniem prześcieradła, przyjemnie woniejące amoniakiem w koszu na bieliznę. I jego małe pięknotki, spoczywające na aksamitnej wyściółce.

Ostrożnie, czule otworzył zatrzask skrzynki, uniósł wieko. Spoglądał na każdą z nich. Miłośnie.

Pięknotki.

Wyjął najmniejszy skalpel, obrócił w palcach, zachwycony maślaną gładkością trzonka, zimnym, słodkim żądłem ostrza. Dotknął tnącej krawędzi jednym knykiem, ledwie muskając skórę i patrzył, jak kropelka krwi wzbiera bezboleśnie, wypełnia zmarszczki na knykcium, zanim, łaskocząc, spłynie po palcu. Przybliżył język do ranki i spijał samego siebie. Sperma na zewnątrz, krew do wewnątrz. Skuteczne. Samowystarczalne.

Spojrzał w lustro nad biurkiem. Wziął kolczyki i obejrzał – taniocha, ale dla niego rzecz bezcenna. Wzdrygnął się, odłożył je, ujął skalpel i przejechał ostrzem po własnym gardle, milimetr od skóry. Udając. Miłosna pantomima. Poczul powracającą erekcję. Dotknął trzonkiem skalpela członek, musnął jądra, polectał krótkie włosy dookoła odbytu.

– Mały Tancerz – powiedział, zdziwiony szorstkością swego głosu. Suchością warg. Następne piwo będzie mu smakowało. Za minutkę.

Znów spojrzął na nóż, pocałował ostrze. Położył nóż na udzie i zadrzał.

Mały Tancerz. Jakże lubił walcować lekko po posadzce sali balowej, kreśląc na ciele pienne zawijasy. Zagłębiając się i odkrywając tajemnice wnętrza. Tańczyć i podskakiwać, ciąć i badać.

Prawdziwa nauka, mariaż prawdziwej nauki ze sztuką.

Potańcówka minionej nocy udała się świetnie, tak czysto, tak porządnie.

Uroczo. Rozkosznie.

ROZDZIAŁ 9

Nahum Shmeltzer przeszedł niezauważony przez hol King Solomon Sheraton, przepchał się przez grupkę turystów, zszedł po schodach i minawszy japońską restaurację, wszedł do amerykańskiej. Jasny dąb, ciemnozielona tapicerka, lustra, powleczone plastikiem jadalospisy, podróbki antyków. Milutko. Kobieta lubiła amerykańską kuchnię.

Był jak zwykle za wcześnie i spodziewał się, że będzie na nią czekał. Ale ona już była na miejscu i czekała we wnęce, czytając menu, chociaż prawdopodobnie znała je na pamięć. W dłoni trzymała filiżankę kawy.

Spostrzegła go i zamachała ręką, uśmiechając się miło.

Jak na kogoś w jej wieku zupełnie nieźle.

Choć wiedział, że uśmiech jest wyrachowany, cieszył się na jej widok. To coś o wiele przyjemniejszego niż dwie godziny przeglądania papierów.

Hostessa chciała mu znaleźć miejsce. Powiedział jej, że dosiadzie się do czekającej na niego damy, i wszedł do wnęki. Powitała go radośnie, podała drobną dłoń i powiedziała, że dawno się nie widzieli.

– Zbyt długo – powiedział Shmeltzer. – Będzie chyba ze trzy lub cztery miesiące. – Trzy miesiące od ostatniego spotkania. Dziesięć, od nocy w Eilat.

– Tak. Proszę, usiądź, mój drogi.

Podszedł kelner. Blondyn z jankeskim akcentem. Podał gościowi menu, przyjął zamówienie na gorącą herbatę z cytryną, i odszedł.

– Dobrze wyglądasz – powiedział Shmeltzer i naprawdę tak uważał, choć takie zapewnienia należały do rytuału. Ufarbowała włosy na ciemnokasztanowo, ale pozostawiła kilka siwych pasemek. Miała na sobie kostium z beżowego lnu i broszkę z topazem, który wydobywał brązowo nakrapiane tęczówki jej oczu. Umiejętnie wykonany makijaż łagodził zmarszczki, nie usiłując ich maskować.

Wziąwszy wszystko razem, babka klasa. Wspaniała budowa ciała. Należała do tych kobiet, co to umieją się znaleźć we wszystkich luksusowych miejscach każdego miasta świata. Poznał jej przeszłość z licznych opowieści: owdowiała w pięćdziesiątym szóstym w Nowym Jorku, przez długi czas obracała się w środowisku szpiegów, od Londynu po Buenos Aires, a w końcu w Nowym Jorku zrobiła majątek na amerykańskiej giełdzie. Była zamieszana w sprawę schwywania Eichmanna. Mówiono, że jako przykrywkę miała własne dzieci. Nie wiadomo, jak wiele było w tym prawdy. Teraz pracowała dla Szin Bet i pozostawała blisko domu, choć Shmeltzer wciąż nie miał pojęcia, gdzie jest jej prawdziwy dom. Kiedyś przeglądał akta, usiłując ją odnaleźć i kontynuować to, co zdarzyło się w Eilat. Niestety, żadnego adresu, żadnego numeru. Nikogo o takim nazwisku, *adoni*.

Uśmiechnęła się, splotła dłonie i Shmeltzer zastanawiał się, jaką obecnie odgrywa rolę. Matrony z towarzystwa, przesiadującej na kanapach podczas przyjęć w konsulacie. Zdziecinniałej babuni na ławce w parku, karmiącej słodyczami *aineklach*, z torebką, w której obok pieluszek spoczywa broń kalibru 9 mm. Bogatej turystki, zajmującej w hotelu apartament przylegający do pokoi pewnego przyjezdnego dygnitarza, podsłuchującej

rozmowy przez stetoskop przytknięty do ściany i nagrywającej je na szumiący magnetofon. Nie dla niej bowiem papierkowa robota czy przeglądanie koszy na odpadki.

Była dla niego zbyt wytworna. To, co zaszło w Eilat, było szczęśliwym zbiegiem okoliczności, odreagowaniem napięcia po wykonanym zadaniu.

Rozejrzał się po restauracji. Naprzeciwko siedziała grupka młodych Amerykanów. Trzy dziewczyny i dwaj chłopcy. Prawdopodobnie z Uniwersytetu Hebrajskiego. Uciekli przed stołówkowym jedzeniem. Hamburgery i coca-cola za dziewięć dolarów podczas wieczornego wyjścia na miasto.

W głębi sali siedziała młoda para z dwójką małych dzieci. Mąż wyglądał na profesora; brodaty w okularach. Żona – nieduża, o rudawych włosach, ładna. Jeden syn sześćioletni. Drugi – młodszy. Pili mleko, śmiali się, potracali. Shmeltzer uchwycił strzępki rozmowy. Angielski z amerykańskim akcentem. Wszyscy czworo w jaskrawych szortach i koszulkach polo. Prawdopodobnie tacy, na jakich wyglądali, ale nigdy nie można być pewnym.

Poza tym sala była pusta. Większość religijnych turystów spędzała szabat w hotelach King David lub Plaza, gdzie wystrój był bardziej tradycyjny.

– Niewielki ruch – powiedział.

– Minęła pora kolacji.

Kelner przyniósł mu herbatę i spytał, czy są gotowi, by złożyć zamówienie.

Ona wzięła stek i jajecznicę z frytkami, nazywając *je french fries*, oraz jeszcze jedną kawę. Objedzony po mięsie z rusztu u Kohaviego, Shmeltzer poprzestał na koszyczku bułek, margarynie i galaretkie owocowej.

Jedząc, wymieniali krótkie uwagi. Dama zjadła szarlotkę na deser. Kiedy kelner sprzątnął naczynia, położyła na stole torebkę, wyjęła puderniczkę i otworzyła wieczko. Spoglądając w lusterko, przyglądała pasma włosów, które wcale tego nie wymagały. Podczas gdy poprawiała makijaż, Shmeltzer spostrzegł, że torebka jest otwarta i widać w niej magnetofon – miniaturowe japońskie cacko, wielkości pudełka zapalek, włączane dźwiękiem głosu. Wysoka technika. Ludzie, dla których pracowała, uwielbiali takie cuda.

– Jutro wybieram się na zakupy, mój drogi – powiedziała, dotykając jego dłoni. Dotyk przywrócił wspomnienia, miękka biała skóra pod czarnym jedwabiem. – Potrzebujesz czegoś?

Powiedział jej, wyraźnie artykułując.

ROZDZIAŁ 10

Słońce chyliło się ku zachodowi, Elias Daoud przeżegnał się i modlił, by sprawa postępowała naprzód.

Stanowiąca peryferie Jerozolimy wioska Silwan ma gęstą zabudowę. Domki o barwie owsianki i o płaskich dachach wznoszą się na zboczu wzgórza tuż na południe od Starego Miasta, odcięte od niego doliną Kidronu. Na północ od wioski, u podnóża wschodniego muru, bije źródło Gihon, dostarczające wodę basenom Siloam, zbiornikom wodnym starożytnej Jerozolimy. Kobiety nadal chodzą tam, by prac. Wjeżdżając, Daoud spostrzegł grupę praczek, które śmiejąc się i żartując, zanurzały brudne ubrania w stojącej zielonej wodzie. Opowiadały sobie rzeczy, o których mężczyznom nawet się nie śniło.

I wtedy go olśniło. Zobaczył ją właśnie tutaj, podczas prowadzenia śledztwa w sprawie Gangu Numer Dwa, gdy ustalał tożsamość łobuza o brudnej twarzy i apetycie na narkotyki.

Szedł wtedy obok sadzawek, żeby się spotkać z dilerem w pobliżu murów miasta. Zobaczył ją z grupą starszych od niej kobiet. Prały przykucnięte, co chwila wybuchając śmiechem. Ładna twarz, oszpecona szczerbą po zębie.

A może to nie ona? Może pamięć płata mu figle?

Nie, to na pewno ona. Dziewczyna była jedną z praczek. Musiała pochodzić z tej wsi.

Jechał dalej.

Kręta, jednopasmowa droga wiodła do najniżej położonych domów. Wąskie dróżki i zaułki prowadziły do zabudowań na wzgórzu. Można tam było dotrzeć tylko piechotą lub na grzbiecie osła. Uznał, że łatwiej będzie zostawić Citroëna na pustym parkingu i dalej pójść pieszo.

Tak samo było w Abu Tor, z tą różnicą, że tutaj zaczęli się osiedlać Żydzi. Kupowali i odnawiali większe domy.

Daoud skoncentrował się na biedniejszych domach. Spędził wiele godzin na wspinaczce, aż stał podeszwy butów na skałach i żwirze. Beżowy garnitur, w który się ubrał, by dobrze wyglądać na spotkaniu w restauracji, pogniótł się i pobrudził.

Nie sposób rozmawiać ze wszystkimi, przyjął więc taktykę przepytывania ludzi skupiających się w miejscach spotkań towarzyskich, którymi na wsi są mała kawiarenka lub wózek z wodą sodową. Lecz piątek to dla muzułmanów szabat i wszystko było zamknięte. Mężczyźni przebywali w meczecie lub drzemali i w żadnym wypadku nie należało im przeszkadzać. A kobiety nie zechcą z nim rozmawiać bez pozwolenia mężów. Ograniczył się więc do zatrzymywania przypadkowych przechodniów, pokazywał im zdjęcie dziewczyny i zadawał pytania.

W większości przypadków natrafiał na dzieci lub na młodych mężczyzn, spacerujących bez celu dwójkami lub trójkami. Dzieci chichotały i uciekały. Młodzi mężczyźni odpowiadali na jego pozdrowienia z ciekawością i nieufnością, nie wierząc, że jest policjantem, dopóki nie pokazał odznaki. Kiedy zobaczyli odznakę i przeczytali jego imię i nazwisko, ich niedowierzanie zmieniało się w nagłą wrogość.

Sama wrogość była do przyjęcia. Dorastał w sąsiedztwie muzułmanów i przez całe

dzieciństwo przypinano mu etykietkę niewiernego. Wstępując do pracy w policji, naraził się na oskarżenie o niewierność ze strony tych, których uważał za przyjaciół. Jednak jego wiara w Chrystusa Zbawiciela i jego ambicja pozostały niezachwiane. Zaczął wierzyć, że się naprawdę zahartował.

Wrogość jednak powodowała milczenie, a milczenie dla detektywa oznacza klęskę. A tego nie przyjmował do wiadomości. Sprawa była poważna i zamierzał ją rozwiązać. Udowodnić Żydom swoją wartość. Praca pod dowództwem Sharaviego była losem szczęścia. Jemeńczyk miał opinię uczciwego i opierającego swoje decyzje na wartości, a nie wyznaniu podwładnych. Ale piętrzyły się również przeszkody. Starszy mężczyzna, Shmeltzer, pomiatał nim i wyczekiwał okazji, by mu pokazać, że jest gorszy. Daoud na pewno nie dostarczy mu materiału.

I wrogość muzułmanów.

Jak zwykle spacer po linie.

W miarę jak zapadał wieczór, Daoud niecierpliwił się coraz bardziej. Zlany potem, z obolałymi stopami, brnął dalej, mając przed oczami twarz dziewczyny piorającej ubrania oraz jej pośmiertną fotografię.

Po godzinie błakania się po Silwan otrzymał pierwszy tego dnia uśmiech losu.

Właśnie spędził bezowocne pięć minut z grupą młodzików kręcących się wokół zepsutego traktora i wspiął się na środkowy poziom wioski, idąc ścieżką tak wąską, że z trudem minęłoby się dwóch ludzi. Wszystkie domy były zamknięte i panowała w nich cisza. Jedynym odgłosem było gdakanie kur i pobekiwanie kóz. Ale u szczytu ścieżki dojrzał człowieka siedzącego na schodkach przed pudełkowatym domem o turkusowych okiennicach. Mężczyzna kiwał się w przód i w tył.

Daoud podszedł bliżej i stwierdził, że dom jest maleńki, z jednym oknem po prawej stronie drzwi. Okiennice były popękane i należało je odmalować, schody obrośnięte sztywnymi pędami uschniętej winorośli. A mężczyzna okazał się chłopakiem w wieku mniej więcej siedemnastu lat. Kiwał się nad książką, którą trzymał na kolanach.

Następnie Daoud zauważył, że chłopak wygląda jakoś dziwnie. Pochylał się, jakby jego kręgosłup był zrobiony z jakiegoś miękkiego tworzywa. Mała główka ogolona prawie na zero, umazane brzoskwinia policzki i broda. Słabo zarysowany podbródek. Wilgotne oczy o opadających jak u owcy powiekach. Kiwał się nierytmicznie, czemu towarzyszyły nieskoordynowane ruchy palców.

Chłopak nie przerywał czytania, nie reagując na obecność przybysza. Zaintrygowany Daoud podszedł bliżej i rzucił cień na książkę. Chłopak uniósł wzrok i się uśmiechnął. Ów uśmiech był pełen takiej niewinności i ciepła, że detektyw musiał go odwzajemnić.

– Dobry wieczór. – Daoud bębnił palcami po kopercie, w której miał fotografię zamordowanej dziewczyny.

Więcej uśmiechu i żadnej odpowiedzi. Myśląc, że chłopak go nie usłyszał, Daoud powtórzył powitanie.

Puste spojrzenie. Jeszcze jeden uśmiech. Szeroki i szczerbaty.

Daoud spojrzał na książkę na kolanach chłopaka. Arabski alfabet. Elementarz. Trzymany niezręcznie w brudnych, poruszających się palcach. Z uszytego własnoręcznie ubrania dolatywał smród. Smród kogoś, kto się nie umie podetrzeć.

Idiota, pomyślał Daoud.

– Do zobaczenia – powiedział.

Chłopak nie przestawał się mu przypatrywać, intensywnie, jakby starał się zapamiętać twarz detektywa. Ale gdy Daoud zaczął się oddalać, chłopak się zaniepokoił. Odrzucił elementarz, wstał niezręcznie, trzymając się podpórek, po których pięła się winorośl. Daoud stwierdził, że chłopak jest wysoki, o ciężkich spadzistych ramionach. Zaczął się zastanawiać, czy nie jest niebezpieczny. Zesztywniał, oczekując kłopotów, ale chłopak nie okazywał

agresji, tylko zdenerwowanie. Wywraçał oczami, poruszał wściekle ustami, chrząkając bezgłośnie, aż wreszcie wydobyl z siebie skrzekliwy dźwięk, po którym nastąpiły okaleczone słowa. Daoud z trudem je zrozumiał.

– Bry, panu. Ład-ładny dzień!

Idiota, który umie mówić. Może okaże się pomocny.

– Ciekawa książka? – zapytał, spoglądając na chłopca i zasłaniając nos przed smrodem.

Chłopiec milczał, spoglądając na niego bez zrozumienia.

– Uczysz się alfabetu, przyjacielu?

Puste spojrzenie.

– Chcesz coś zobaczyć? – zapytał Daoud, poklepując kopertę. – Zdjęcie?

Chłopiec patrzył na niego, wykręcając szyję, wywraçaając oczami.

Dość tego, pomyślał Daoud. Odwrócił się, aby odejść.

Chłopiec zerwał się na nogi i zaczął bełkotać, gwałtownie gestykułując. Pokazywał na swoje oczy, potem na usta Daouda, wreszcie dotknął ich brudnym palcem.

Daoud szybko się odsunął, unikając kontaktu, a chłopiec podążył za nim, dodając okrzyki do swoich gestów, uderzając się po uszach tak mocno, że musiał czuć ból.

Za wszelką cenę chce się ze mną porozumieć, pomyślał Daoud.

– Widzieć słowa! Widzieć słowa! Nie uszy, nie uszy!

Chłopiec powtarzał, a Daoud starał się go zrozumieć. Widzieć słowa. Nie uszy...

– Jesteś głuchy.

Twarz chłopca rozświetlił uśmiech. Zaczął podskakiwać, klaszcząc w dłonie.

I kto tu był idiotą? Daoud karciał się w myślach. Nieszczęsne dziecko czytało z ruchu warg, ale on, błyskotliwy detektyw, przysłaniał nos i usta, nie chcąc się czymś zarazić.

– Widzę słowa! Widzę słowa!

– W porządku – uśmiechnął się Daoud. Podeszedł bliżej, aby chłopiec dobrze widział jego wargi. – Jak się nazywasz, przyjacielu? – zapytał, przesadnie układając usta.

Chłopiec wpatrywał się w niego z napięciem.

– Ahmed – odpowiedział niewyraźnie.

– A twoje nazwisko, Ahmed?

– Nsif.

– Nasif?

Uśmiech i skinienie głową.

– Witam pana, panie Ahmedzie Nasif.

– Witam.

Ciało chłopca stężało z wysiłku. Słowom akompaniowało machanie rękami i dziwne ruchy palcami.

To coś więcej niż zwykła głuchota, pomyślał Daoud. Jakieś zaburzenia psychiczne, tak jak myślałem na początku. Mów do niego jak do dziecka.

– Jestem sierżant Daoud. Policjant.

Uśmiechy. Niezręczna pantomima, strzelanie z broni. „Paf, paf”. Chłopiec roześmiał się i z kącika ust popłynęła ślina.

– Tak, Ahmed. Paf, paf. Chcesz obejrzeć zdjęcie?

– Paf, paf!

Daoud wyjął z koperty fotografię i podsunął ją chłopcu pod oczy, tak by nie chwycił jej w ręce i nie zmiął.

– Szukam tej dziewczyny, Ahmed. Znasz ją?

Radosne skinienie głową.

– Znasz?

– Dziczyna, dziczyna!

– Tak, dziczyna. Czy ona mieszka w Silwan, Ahmed?

Chłopiec jeszcze raz powtórzył „dzieczyna”, ale poprzedził słowo jakimś wyrazem, którego Daoud nie rozumiał.

– Powiedz to jeszcze raz, Ahmed.

– Zdzieczyna!

– Zła dziewczyna?

– Zdzieczyna!

– Dlaczego jest zła, Ahmed?

– Zdzieczyna!

– Co złego zrobiła?

– Zdzieczyna!

– Wiesz, jak się nazywa?

– Zdzieczyna!

– W porządku, Ahmed. Jest zła. A teraz powiedz mi, jak się nazywa.

– Zdzieczyna!

– Gdzie ona mieszka, Ahmed?

– Zdzieczyna!

Daoud westchnął, schował zdjęcie do koperty i skierował się do wyjścia. Ahmed wrzasnął przenikliwie i pobiegł za nim, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Daoud zareagował błyskawicznie. Odwrócił się i odepchnął chłopca. Ahmed potknął się i upadł na ziemię. Spojrzał w górę na sierżanta i wybuchnął głośnym szlochem. Daoud poczuł się jak prześladowca nieletnich.

– Wstań, Ahmed.

Drzwi domu otwarły się i wyszła z niego mała kobieta z obwisłym biustem i okrągłą twarzą, wychylającą się z fałd *malaja*, niczym hikorowy orzech.

– Co tu się dzieje? – spytała ostrym, wysokim tonem.

– Mama! Mama! Mama! – zawył chłopiec.

Spojrzała na swoją pociechę, a potem na Daouda, z mieszaniną smutku i niemego gniewu. Spojrzenie, które mówiło, że przeżywa to nie pierwszy raz.

Chłopiec wyciągnął do niej rękę, wołając:

– Mama!

Daoud chciał przeprosić, ale wiedział, że nie jest to odpowiednie podejście do kogoś takiego jak ona. Dla tradycyjnie wychowanych kobiet, bitych przez ojców i mężów, uprzejmość była równoznaczna ze słabością.

– Jestem sierżantem policji z posterunku Kiszle – powiedział sucho. – Szukam kogoś, kto zna tę dziewczynę. – Zamachał fotografią. – Pani syn powiedział, że ją zna, i usiłowałem się dowiedzieć, co o niej wie.

Kobieta prychnęła, podeszła bliżej i spojrzała na zdjęcie. Nie zmieniając wyrazu twarzy, powiedziała:

– On jej nie zna.

– Zdzieczyna! – powiedział Ahmed.

– Powiedział mi, że ją zna – powtórzył Daoud. – Wydawał się tego pewny.

– *Lessano tawil* – warknęła kobieta. – Ma długi język. – Zaczęła szybko mówić. – Gada głupstwa. Nie widzi pan, że jest przygłupi? – Zeszła ze schodów i zbliżyła się do chłopca. Uderzyła go w głowę i chwyciła za kołnierz.

– Wstawaj!

– Mama!

Uderzenie, szarpnięcie, uderzenie. Chłopiec podniósł się, a kobieta, ciężko dysząc, powlokła go po schodach, do drzwi.

– Zdzieczyna! – wrzasnął chłopiec.

– Chwileczkę – powiedział Daoud.

– Przyglupi – powiedziała kobieta, wepchnęła chłopca do domu i zatrzasnęła za nim drzwi.

Daoud został na schodach sam, zastanawiając się, jak ma postąpić. Mógł zastukać i upierać się przy swoim. Ale po co? Zdjęcie nie zrobiło na kobiecie żadnego wrażenia, co oznaczało, że jej zidiociały syn prawdopodobnie także jej nie znał. Tak jak powiedziała, idiota z długim językiem. Strata czasu.

Nabrał powietrza w płuca i spostrzegł, że niebo pociemniało. Miał jeszcze wiele do zrobienia, obejście całej wsi zajmie mu całe godziny. Ale szanse nawiązania kontaktu międzyludzkiego malały, w miarę jak słońce zapadało za horyzont. Lepiej poczekać do rana, zwykłego dnia pracy, kiedy ludzie pojawią się na ulicach. A na razie lepiej będzie zadawać pytania w bardziej zaludnionych okolicach: na dworcu autobusowym, na stacji kolejowej.

Tak zdecydował. Opuści Silwan, popracuje w Jerozolimie, dopóki nie zamkną mu się oczy. Wróci tu jutro. Z samego rana.

ROZDZIAŁ 11

Pięść wylądowała na twarzy. Ostro i bezlitośnie.

Chińczyk siedział w namiocie, oglądając film. Czekał na Charliego Kazaka, który rozmawiał z kierowcą ciężarówki.

Bruce Lee na wielkim ekranie telewizyjnym, otoczony przez siedmiu zamaskowanych rzeźmieszków w czarnych piżamach. Spocony, z obnażoną piersią i nieuzbrojony przeciwko czarnym charakterom z nożami i kijami. Przeciwnicy podeszli bliżej. Zbliżenie skrzywionej twarzy Bruce'a, wrzask i grad błyskawicznych kopniaków. Wszyscy pokonani.

Nie do wiary.

Przy kilku stolikach rozległy się oklaski i gwizdy. *Pusztakim* o tłustych włosach rozwalali się na krzesłach, obejmując nagie ramiona oniemiałych z zachwytu wielbicielek Bruce'a. Wpatrywali się w umieszczony na drabinie telewizor, jakby to było jakieś wyniesione na piedestał bóstwo. Palili papierosa za papierosem i popijali turecką kawę, jedli szaszłyki i arbuzy, wypluwając pestki na klepisko. Zbyt głośno śmiejący się smarkacze. O tej porze powinni już być w łózkach. Chińczyk wypatrzył co najmniej trzech lub czterech, których przymknął w zeszłym roku. Prawdopodobnie pozostałych po prostu nie rozpoznał. Kilku z nich spoglądało wyzywająco, lecz odwracali wzrok, gdy wytrzymywał spojrzenie.

Gorąca noc, a on był zbyt ciepło ubrany. W dzinsy, buty, koszulę i luźną sportową kurtkę narzuconą na ramię, by ukryć rewolwer w futerale. Zmęczony i zły po wędrówce po okolicach zamieszkałych przez Arabów. Zieloną Linie obsługiwało pięć prostytutek. Wszystkie paskudne i tłuste. Musiał czekać, aż jedna z nich przestanie robić loda Arabowi na tylnym siedzeniu jej samochodu. Dopiero gdy skończyła, mógł ją przesłuchać. Pozostałe były wolne, ale nierozgarnięte. Żadna z nich nie знаła dziewczyny z fotografii, żadna z nich się nie przejęła, gdy je ostrzegł przed Szarym Człowiekiem. A teraz był tutaj i znów czekał na tego gnojka, Charliego Khazaka.

Na ekranie Bruce wszedł do ogrodu i napotkał łysego tłuściocha, zapaśnika sumo. Kopniaki Bruce'a nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Zbliżenie paskudnej gęby. Bruce okłada go ile wlezie. Nagle cios w kark i podwójny nelson na grzbiecie tłuściocha. Nowe okrzyki i gwizdy. Ktoś powiedział, że facet umarł na raka mózgu czy coś w tym rodzaju. Zbyt wiele kopniaków w głowę.

Chińczyk wziął kawałek arbuza z talerzyka i włożył do ust, rozglądając się po namiocie. Zniecierpliwiał się i wyszedł na zewnątrz. Charlie Khazak wciąż rozmawiał z kierowcą, stojąc przy ciężarówce z arbuzami. Grał na zwłokę.

Chińczyk zaczął obserwować Bramę Damasceńską, spostrzegł grupę żołnierzy poklepujących się po ramionach. Wyglądali na nastolatków, którymi zresztą byli. Pojawiło się dwóch Arabów, ubranych w długie białe galabije. Potem inny Arab, starszy, niosący modlitewny dywanik. Samotny chasyd, wysoki i chudy, w dużym kapeluszu z futra norki. Jak czarny strach na wróble; szedł, kołysząc pejsami. Skąd taki facet wraca o pierwszej w noc szabatu? Czy oni nie rzną żon w piątkową noc? W co się bawił, w późne potyczki z Talmudem? A może w jakieś inne potyczki? W czasie polowania na Szarego Człowieka

Chińczyk nauczył się czegoś o wiernych...

Z namiotu dobiegły krzyki i śmiechy. Bez wątpienia Bruce załatwił następnego przeciwnika. Jakby w odpowiedzi w sąsiednim namiocie wybuchł rubaszny śmiech i rozbrzmiała muzyka rockowa.

Nocne przyjęcie na Targu Niewolników, w każdy piątek. Lecz nie dla niego zabawa. Jossi Lee spędza noc na wędrówkach po namiotach i na bezskutecznym pokazywaniu zdjęcia podejrzanym typom.

O świcie namioty zostaną zlikwidowane, a na ubitym placu pojawi się tłum pracowników najemnych, czekających na jakąś robotę za dziesięć dolarów dziennie. Jedyłą pozostałością po nocnych zabawach będą śmiecie: stopy połamanych bambusów po szaszłykach, pestki arbuzów, nakrapiających pył jak nieżywe owady.

Wzdłuż Sultan Suleiman nadjechał samochód patrolowy. Zatrzymał się, omiótł mury migającym niebieskim światłem i skierował się w Bramę Damasceńską. Z kawiarni wewnątrz Bramy dochodziła muzyka, akompaniująca tańcowi brzucha. Spelunka dla starszych Arabów, wyłącznie mężczyzn; kobiety siedzą w domu. Gry w karty i w tryktraka, kłęby tytoniowego dymu filtrowanego przez nargile z wodą różaną. Trzeszczące płyty z muzyką graną na cymbałach i zawodzeniem skrzypiec, ta sama pieśń miłosna odtwarzana już od godziny. I jaki pożytek z całej tej romantyczności, skoro w pobliżu nie było ani jednej kobiety? Może to po prostu dziwacy, pociągają z nargilów, aż gulgoce różana woda.

Charlie Khazak zapłacił kierowcy. Zza ciężarówki wyszli dwaj chłopcy i zaczęli rozładowywać arbuzy, nosząc na zaplecze namiotu po pięć lub siedem naraz. W tak upalną noc sprzedadzą się szybciej, niż trwał transport.

Chińczyk przeciągnął się niecierpliwie, podszedł do Charliego i powiedział:

– Chodź wreszcie.

– Cierpliwości – odparł Charlie i zwrócił się do Araba, który przeliczał pieniądze, śliniąc palec. Charlie znów się uśmiechnął; przebiegły uśmiech na twarzy szakala. Ciemnej i kościstej. Obwisłe, zapadnięte policzki, iracki nos w kształcie dzioba i zrosnięte czarne brwi. Łysina na czubku głowy, otoczona długimi frędzlami włosów sięgających kołnierza. Czerwono-zielona pasiasta koszula z bufiastymi rękawami, obcisłe czarne spodnie, szyte ręcznie buty z lakierowanej skóry. Dorosły *pusztak*. Jego ojciec był rabinem w Bagdadzie; cnotliwy ojciec, marnotrawny syn.

– Straciłem cierpliwość – powiedział Chińczyk i położył ciężką dłoń na ramieniu Charliego. Same kości. Wystarczyłoby dobrze ścisnąć i facet byłby unieszkodliwiony.

Chińczyk nacisnął lekko i Charlie pożegnał się z Arabem.

Wrócili we dwójkę do namiotu, minęli siedzących przy stołach *pusztakim*, którzy uśmiechali się do Charliego, jakby był jakąś gwiazdą muzyki pop. Przeszli na zaplecze, gdzie na ruszcie na węgiel drzewny skwierczały szaszłyki i cienkie hamburgery. Zwinny barman wypełniał zamówienia za prowizorycznym barem ze spiętrzonych pudeł po arbuzach. Charlie wyjął z wiadra z lodem butelkę coli i zaferował ją Chińczykowi. Ten wziął butelkę i cisnął z powrotem do wiadra. Charlie wzruszył ramionami i Chińczyk wepchnął go do ciemnego kąta obok stosu arbuzów, z dala od oczu klientów.

– Spójrz na to – powiedział, wyjmując fotografię. – Znasz ją?

Charlie wziął zdjęcie, zmarszczył brwi, tak że połączyły się w jedną krechę.

– Milutka. Śpi czy jest nieżywa?

– Oferowałeś ją komuś?

– Ja? – Charlie udawał, że takie podejrzenie jest dla niego krzywdzące. – Jestem restauratorem i nie handluję żywym towarem.

Tłum przy stolikach wydał ryk aprobaty. Bruce Lee właśnie skończył rozprawę z armią czarnych charakterów.

– Tajemnice Orientu – powiedział Charlie, spoglądając na ekran. – W sąsiednim zaułku.

– Nie gadaj bzdur. Jestem zmęczony.

Coś w tonie detektywa sprawiło, że z twarzy Charliego znikł uśmiech. Oddając fotografię, powiedział:

– Nie znam jej.

– Widziałeś ją w tej okolicy?

Nieznaczone wahanie, ale Chińczyk je zauważył.

– Nie.

Chińczyk przybliżył się do Charliego, tak że czuli nawzajem woń swoich ciał.

– Jeżeli coś przede mną ukrywasz, znajdę cię, *szmuku*.^{*} Wrócę tu i roztrzaskam jeden z tych arbuźów na twoim tyłku.

Barman uśmiechnął się lekko – cieszył się, że ktoś opieprza jego szefa.

Charlie wsparł ręce na biodrach i podniósł głos ze względu na barmana:

– Zjeżdżaj stąd, Lee. Jestem zajęty.

Chińczyk zdjął arbuza ze szczytu piramidy, postukał weń, jakby badał, czy jest dojrzały, a potem pozwolił mu się stoczyć na podłogę. Arbuź wylądował z głuchym stukiem i wybuchł, rozpryskując różową maź i sok, który wsiąkł w kurz. Barman patrzył, nie opuszczając swego miejsca. Nikt poza nim nie zauważył zajścia. Wszyscy wpatrywali się w Bruce'a.

– Ups – zaśmiał się Chińczyk.

Charlie zaczął protestować, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Chińczyk postawił obcas prawego buta na jego stopie i nacisnął ją lekko. Charlie spojrział na niego boleściwie.

– Co, do cho... – zaczął, a potem zmusił się do uśmiechu. Dziadek *pusztak*, który opanowuje ból, nie chcąc zbłaźnić się w oczach swoich wielbicieli. Chociaż oni i tak nie widzieli świata poza Bruce'em.

– Powiedz mi, co wiesz. – Chińczyk także się uśmiechnął.

– Zejdź z mojej nogi, pawianie.

Chińczyk nie przestawał się uśmiechać. Nacisnął mocniej i mówił niedbale, jakby gawędząc z kumplem. Na przykład o sporcie.

– Posłuchaj, *adon* Khazak – powiedział. – Nie interesuje mnie, jakie wyczyniasz świństwa. Dziś wieczorem. – Wzmocnił nacisk. – Opowiedz mi o dziewczynie.

Charlie westchnął i barman podszedł z butelką goldstara.

– Charlie...

– Wynoś się stąd, głupcze! Zajmij się swoją pracą!

Barman zaklął pod nosem i wrócił do mycia kieliszków.

– Już ci mówiłem – wysyczał Charlie przez zęby. Po nosie spływał mu pot, zbierał się na koniuszku i skapywał na ziemię. – Nie znam jej. A teraz, do cholery, zejdź mi z nogi, zanim mi coś złamiesz.

– Widziałeś ją.

– I co z tego? Po prostu twarz, nic więcej.

– Gdzie i kiedy? – spytał Chińczyk.

– Zejdź, to ci powiem.

Chińczyk dobrotliwie wzruszył ramionami i cofnął stopę. Charlie splunął na ziemię i tupnął. Aby ukryć grymas bólu, sięgnął do kieszeni po pudełko marlboro i zapałki, wsunął papierosa do ust i urządził przedstawienie, zapalając zapałkę o paznokieć kciuka. Zaciągnął się dymem i przybrał wyraz twarzy twardziela.

– Jestem pod wrażeniem – rzekł Chińczyk. – Dziewczyna.

– Była tu ze dwa razy, w porządku? To wszystko.

– W piątek?

– Bywamy tu tylko w piątek – odparł, kopiąc arbuźową miazgę.

– Sama czy z facetem?

^{*} *Somuk* lub *szmak* („penis”, dosłownie – „ornament”) – zniechędzona osoba, paskudnik.

- Widziałem ją z facetem.
 - Jakim?
 - Z Arabem.
 - *Jak się nazywa?*
 - Skąd mam wiedzieć? Nigdy nie weszli do środka. Widziałem tylko, że się kręcą w pobliżu, Dawno temu.
 - Jak dawno?
 - Miesiąc temu, może dwa.
 - Skąd wiesz, że to Arab?
 - Wyglądał na Araba. I mówił po arabsku – wyjaśnił, jakby rozmawiał z kretynem.
 - Jak ten Arab wyglądał?
 - Chudy, zarośnięty. W tanim ubraniu.
 - Jakiego wzrostu?
 - Średniego.
 - Dokładniej.
 - Nie wysoki i nie niski. Średni. Może z metr osiemdziesiąt.
 - W jakim wieku?
 - Osiemnaście, dziewiętnaście.
 - Co jeszcze pamiętasz?
 - Nic. Wyglądał jak miliony innych.
 - Co rozumiesz przez „zarośnięty”?
 - A co ty przez to rozumiesz?
 - Charlie – powiedział Chińczyk znacząco.
 - Gęste, grube włosy.
 - Proste czy kręcone?
 - Chyba proste. Jak twoje. – Uśmiech. – Może to twój kuzyn, Lee?
 - Jak uczesane?
 - Kto by pamiętał?
 - Ona to też Arabka?
 - A kto by się włóczył z Arabem, Lee?
 - Jedna z twoich kuzynek.
- Charlie znów splunął. Wydmuchnął dym i zażądał, by barman sprzątnął rozgniecionego arbuza.
- Ulicznica? – zapytał Chińczyk.
 - Skąd mam wiedzieć?
- Chińczyk zacisnął pięść, aż strzeliły stawy.
- Handlujesz cipkami, Charlie.
 - Już się tym głównym nie zajmuję, Lee. Sprzedaję melony, to wszystko. Może ten facet to jej alfons, ale ja tylko widziałem, że się tu kręca. Raz czy dwa razy.
 - Widziałeś ją kiedy z kimś innym?
 - Nie, tylko ich dwoje. Kręcili się tu przeszło miesiąc temu.
 - Ale ją pamiętasz.
- Charlie uśmiechnął się i poklepał po piersi.
- Jestem koneserem damskiej urody, nie wiesz? A ona była ładna. Duży okrągły tyłek, niezłe cycki jak u takiej młódki. Nawet w tych głupich ciuchach dobrze wyglądała.
 - Miała tanie ubranie?
 - Obydwoje. To był wieśniak. Dać jej dobrą oprawę, a byłaby z niej niezła sztuka.
 - Powiedz mi, co jeszcze wiesz – zażądał Chińczyk, opanowując chęć przyłożenia gnojki.
 - To wszystko.

– Jesteś pewien?

Charlie wzruszył ramionami i zaciągnął się papierosem.

– Przydepcz mi stopę, Lee. Jeśli ci powiem coś więcej, to tylko bujdy.

– Widziałeś tego Araba bez niej?

– Nie przyglądam się chłopakom, a ty?

Chińczyk uniósł rękę. Charlie cofnął się i runął do tyłu. Chińczyk pochwycił go, zanim tamten upadł. Podniósł go za kark, jak szmacianą lalkę.

– Csyk, csyk – cmoknął, lekko poklepując właściciela namiotu po twarzy. – Takie miłosne poklepywanie.

– Idź do diabła, Lee.

– *Szabat szalom.*

Po powrocie do skutera Vespa przebiegł myślą wszystko, czego się dowiedział. Fakt, że Charlie rozpoznał dziewczynę ze zdjęcia, uczynił ją kimś realnym. Ale zastanowiwszy się głębiej, stwierdził, że nie dowiedział się wiele więcej ponad to, z czym zaczął.

Miała swobodę, kręciła się w towarzystwie Araba, co oznacza, że prawdopodobnie również była Arabką. Może chrześcijanką, wśród nich zdarzały się odrobinę nowocześniejsze. Nie do pomyślenia, żeby ojciec muzułmanin pozwolił córce włóczyć się nocą, bez przyzwoitki, a już na pewno nie na Targu Niewolników.

Chyba że była sierotą albo prostytutką.

W żadnym z sierocińców jej nie znano.

Prostytutka, możliwe. Albo niechciana córka, sprzedana nielegalnie przez rodzinę. Niektóre biedne rodziny wciąż to robiły. Dziewczęta, niepotrzebny bagaż, sprzedawano za gotówkę bogatszym rodzinom w Ammanie lub w którymś z emiratów. Prawdziwy handel niewolnikami. Charlie powiedział, że miała na sobie tanie ubranie...

Wsiadł na skuter, kopnął pedał gazu, objechał plac i skierował się na południe od Starego Miasta. Minął jeepa patrolu granicznego, który zatrzymał się na papierosa przy Bramie Jafskiej. Oddalając się od murów, ruszył w górę do Keren Hajesod, przecinając dzielnicę Rechawja. Do swego mieszkania na Herzl, w zachodniej części miasta.

Dowiedział się czegoś, ale niewiele. Ładna, biedna arabska dziewczyna z biednym arabskim chłopcem. Kiepska sprawa.

Było za późno, by dobijać się ludziom do drzwi, zresztą i tak wiele by nie wskórał. Cały dzień pracy, a uzyskał jedynie oglupiałe spojrzenia i kręcenie głowami. Niektórzy udawali, że arabszczyzna Chińczyka jest dla nich niezrozumiała. Kiepska wymówka, mówił po arabsku płynnie. Inni wzruszali ramionami. Nic nie wiedzący Ahmedzi. Zdawał sobie bowiem sprawę, że wypytuje właściwe osoby, które go okłamują.

Gdyby miała rodzinę, już by zgłoszono jej zaginięcie.

Pewnie prostytutka. Ale żadna z pracujących na ulicy dziewczyn jej nie znała. Może nowicjuszka. Krótka kariera.

Może zabójcą był długowłosy chłopiec, a może tylko przespał się z nią raz czy dwa razy, a potem odszedł do innej. Chudy, średniego wzrostu, z wąsami. Zupełnie jakby poszukiwał faceta z dwoma rękami i na dwóch nogach. Nic, co by warto zameldować Daniemu.

Jossi Lee, as wśród śledczych. Był na nogach od dwunastu godzin, a prawie nic nie wskórał. W biegu przelknął tłusty falafel, który, niestrawiony, zalegał mu na żołądku. Aliza powiedziała, że będzie na niego czekać, ale on wiedział, że zaśnie, obok małego Rafiego zwiniętego w kołysce przy łóżku. Wczoraj synek po raz pierwszy powiedział „jabłko”, zupełnie niezłe jak na półtoraroczne dziecko. I jak dobrze zbudowany, ani się obejrzyysz, a już będzie biegał za piłką. Może będzie miał okazję pobawić się z synkiem, zanim znów wyjdzie na ulice. Nici z sobotniego spaceru po parku. Cholera.

Wiatr przyjemnie owiewał mu twarz. Lee lubił miasto o tej porze. Słodkie i puste. Jakby całe należało do niego. Król Jossi, żydowski Dżyngis-chan.

Pojeździł sobie jeszcze trochę, żeby ochłonać.

ROZDZIAŁ 12

Daniel obudził się o trzeciej nad ranem, z niejasnym wspomnieniem strasznych, krwawych snów. Metal tnący ciało, jego ręka oderwana, szybująca w powietrzu, poza zasięgiem. Płakał jak dziecko, spocony i słaby...

Ułożył się inaczej, objął poduszkę, owinał się prześcieradłem i starał się odprężyć. Znalazł się na skraju łóżka, więc odwrócił się na drugi bok, twarzą do Laury.

Spała nakryta pod brodę, oddychając płytko przez półotwarte usta. Fala włosów na jednym oku, kawałek palca ze stożkowatym paznokciem widoczny spod prześcieradła. Dotknął paznokcia i odgarnął włosy. Poruszyła się, wydała gardłowy, pełen zadowolenia dźwięk i przeciągnęła się tak, że podeszwa jej stopy znalazła się na jego kostce. Przysunął się bliżej, ucałował policzki, oczy, suche wargi o lekkim smaku poranka.

Uśmiechnęła się przez sen, a Daniel przywarł do niej i ucałował jej brodę. Otworzyła oczy, spojrzała na niego zmieszana i znów je zamknęła. Odwróciła się plecami do niego. Potem znowu otworzyła oczy. Szepnęła: „Och” i objęła Daniela ramionami.

Całowali się, leżąc na boku, twarzą w twarz. Laura podniosła nogę i oparła ją na udzie Daniela. Ujęła go w dłoń i wprowadziła w swoje wnętrze. Kochali się powoli, sennie, aż obudził ich orgazm.

Potem przez chwilę leżeli objęci. Wreszcie Laura powiedziała figlarnym tonem:

– Chce mi się pić, Danielu...

– Dobrze – odparł, wyplątując się z jej ramion.

Wstał z łóżka, poszedł do kuchni i napełnił szklankę zimną wodą mineralną. Gdy wrócił do sypialni, Laura usiadła. Naga do pasa, z upiętymi włosami. Podał jej szklankę, którą opróżniła dwoma łykami.

– Chcesz jeszcze?

– Nie, wystarczy. – Zwilżyła palec o mokry brzeg szklanki i powiodła nim po wargach.

– Na pewno? – Uśmiechnął się. – W lodówce mamy pół galona.

– Żartowniś! – Trzepnęła go rozczapierzonymi palcami. – Co mam zrobić? Po tym zawsze chce mi się pić. Tak działa mój organizm.

– Twój organizm działa bardzo dobrze. – Położył się obok i otoczył jej plecy ramieniem. Odstawiła szklankę na nocny stolik, spojrzała na budzik i jęknęła.

– Och, nie. Wpół do czwartej.

– Przepraszam, że cię obudziłem.

Sięgnęła pod kołdrę, dotknęła go lekko i powiedziała ze śmiechem:

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Od dawna nie śpisz?

– Od kilku minut.

– Coś cię trapi?

– Po prostu nie mogę spać – powiedział, czując, że napięcie powraca. – Wstanę i dam ci pospać.

Zaczął się podnosić, ale przytrzymała go za nadgarstek.

– Nie. Zostań. Od czasu tego telefonu właściwie nie rozmawialiśmy.

Oparła głowę na jego ramieniu i głaskała palcami po pozbawionej włosów piersi. Siedzieli, milcząc, wsłuchując się w odgłosy ciszy: lekkie poświstywanie wiatru, tykanie zegara, zgodne bicie serc.

- Opowiedz mi.
- O czym?
- O tym, czego starałeś się uniknąć, kładąc się o dziewiątej do łóżka.
- Nie chciałybyś słuchać.
- Owszem, chciałam.
- To okropne. Uwierz mi.
- Mimo to opowiedz.

Spojrzał na nią i dostrzegł, że naprawdę tego pragnie. Wzruszył ramionami i zaczął opowiadać o morderstwie, zdając beznamienne, profesjonalne sprawozdanie. Słuchała, nie komentując. Wzdrygnęła się tylko raz, ale gdy skończył, miała wilgotne oczy.

- Mój Boże – powiedziała. – Piętnaście lat.

Wiedział, o czym myślała: niewiele starsza od Shoshi. Pozwolił sobie na tę samą myśl i przeszył go gwałtowny niepokój. Bronił się przed nim, tak jak nauczono go walczyć z bólem. Zmuszając się do wyobrażania sobie przyjemnych rzeczy. Łąki porośnięte makami polnymi. Zapach kwiatów pomarańczy.

– Heroina, morderstwo o podłożu seksualnym to... nie pasuje – mówiła Laura. – W tym kraju takie rzeczy się nie zdarzają.

– Cóż, teraz się zdarzają – powiedział gniewnie. – Przepraszam – dodał po chwili. – Masz rację. To jak nie u nas.

- Nie o to mi chodzi. Jestem pewna, że to rozwikłasz.
- Dopóki tego nie zrobię, będziemy pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę.
- Po prostu... – Szukała odpowiednich słów. – Kiedy dorastałam, stale słyszałam o takich sprawach. To nie znaczy, że je akceptowałam, ale... Och, sama nie wiem, Danielu. Tutaj to brzmi jak herezja. Coś demonicznego.

– Rozumiem – powiedział Daniel, ale w głębi duszy pomyślał: Właśnie tego powinienem unikać. Diabłów i demonów, symbolizmu religijnego. To miasto sprawia, że zaczynasz myśleć tymi kategoriami. A chodzi ni mniej, ni więcej, tylko o zbrodnię. Popelnioną przez człowieka. Przez kogoś chorego i omylnego...

- O której wychodzisz? – spytała Laura.
- O siódmej. Muszę pójść do Katamonim. Jeżeli nie wrócę do wpół do pierwszej, zjedzcie lunch beze mnie.
- Katamonim? Wydawało mi się, że powiedziałaś, że to Arabka.
- Daoud tak sądzi. Nie będziemy wiedzieli, dopóki jej nie zidentyfikujemy.

Wyjęła spinki i włosy luźno opadły na ramiona.

– Szefostwo chce, aby to trzymać w tajemnicy – powiedział Daniel. – Co oznacza spotkania poza komendą. Jeżeli coś znajdziemy, spotkamy się tutaj, w niedzielę wieczorem. Nic nie szykuj. Jeżeli zabraknie wody mineralnej, przywiozę.

- O której wieczorem?
- Między piątą a szóstą.
- Chcesz, żebym odebrała Luanne i Gene?

Daniel uderzył się w czoło.

- Och, nie. Jak mogłem zapomnieć. Kiedy przylatują?
- O siódmej wieczorem, jeżeli samolot przyleci zgodnie z rozkładem.
- Doskonała pora. Tyle, jeśli chodzi o gościnność.

– Nic im nie będzie, Danielu. Pierwszego dnia na pewno będą zmęczeni podróżą. We wtorek zorganizuję im spacer po kościołach na Starym Mieście i po Betlejem. Zabiorę na jednodniową wycieczkę do Galilei, z naciskiem na Nazaret. To ich powinno zająć.

- Chciałbym się im odwdziaczyć za to, jak nas podejmowali u siebie.
- Będzie na to mnóstwo czasu. Przyjeżdżają na cztery tygodnie. A poza tym, oni to świetnie rozumieją. Gene prawdopodobnie stale ogląda takie rzeczy.
- Tak – powiedział Daniel. – Z pewnością.

O czwartej Laura znowu usnęła, a Daniel zapadł w półsen, w którym pojawiały się i odpływały dziwne obrazy. O szóstej rano wstał, obmył się gąbką, ubrał białą koszulę, spodnie koloru khaki i buty o mocnej gumowej podeszwie. Zmusił się, by wypić szklankę soku pomarańczowego i filiżankę czarnej kawy z mlekiem i cukrem. Zabrał na balkon tałes, zwrócił się twarzą w kierunku Starego Miasta i pomodlił. O siódmej wyszedł z domu, z pagerem przy pasku oraz z kopertą zawierającą fotografie zabitej dziewczyny.

Jak w każdy inny szabat dwie spośród wind były nieczynne. Trzecia jeździła sama, automatycznie zatrzymując się na każdym piętrze, dzięki czemu lokatorzy przestrzegający zasad religii mogli jeździć, nie przyciskając guzików; korzystanie z urządzeń elektrycznych wymagających włączania prądu było pogwałceniem szabatu. Jednak owo udogodnienie sprawiało, że winda posuwała się bardzo powoli, więc Daniel zbiegł po schodach, przeskakując po cztery stopnie.

Na parterze stał jakiś mężczyzna. Palił papierosa, opierając się o skrzynki na listy. Młody, dwudziestodwu – lub dwudziestotrzyletni, dobrze zbudowany, opalony, o ciemnych falujących włosach i z krótko przyciętą bródką. Miał na sobie białą koszulkę polo z nadrukiem Fila, amerykańskie džinsy i nowiuteńkie niebiesko-białe buty do biegania, firmy Nike. Na lewym nadgarstku widniał kosztowny zegarek na złotym pasku, na szyi złoty wisior z Hai. Amerykanin, pomyślał Daniel. Playboy, może bogaty student, ale co tutaj robi? Wszyscy mieszkańcy budynku byli religijni, nikt nie palił w czasie szabatu.

Młody człowiek spostrzegł Daniela, zdeptał papierosa, rzuciwszy go na marmurową posadzkę. Bezmyślność i brak szacunku, pomyślał Daniel. Już miał go zapytać po angielsku, czego tutaj szuka, gdy młodzieniec ruszył w jego kierunku, wyciągając rękę i mówiąc płynnym hebrajskim tubylca:

– Pakad Sharavi? Jestem Avi Cohen. Przydzielono mnie do pańskiego zespołu. Otrzymałem wiadomość wczoraj późno w nocy i pomyślałem sobie, że powinienem tu przyjść i sprawdzić osobiście.

Pretensjonalny dzieciak z bogatej rodziny, pomyślał Daniel zirytowany, że zawiodła go intuicja. Rodem z północnego Tel Awiwu. Synalek policjanta, który wiele podróżował. Co wyjaśniało zagraniczne maniery. Ucisnął jego dłoń i szybko ją wypuścił, zaskoczony, że zapalał do nowego tak wielką niechęcią.

– Odprawa była wczoraj – powiedział.

– Tak, wiem – odparł Cohen rzeczowym tonem, bez cienia skruchy. – Wprowadzałem się do nowego mieszkania. Nie ma w nim telefonu. Tat nicaw Laufer przysłał do mnie umyślnego z wiadomością, ale ten zablądził.

Uśmiech, pełen chłopięcego wdzięku. Bez wątplenia działał cuda z blondyną Ashera Davidoffa. Samal skoliigacony z zastępcą komendanta. Co ten bogaty szczeniak robi w policji?

Daniel podszedł do drzwi.

– Jestem gotowy – powiedział Cohen, idąc za nim.

– Do czego?

– Do pracy. Tat nicaw Laufer powiedział mi, że to poważna sprawa.

– Tak powiedział?

– Morderstwo na tle seksualnym, bez motywu, bez podejrzanego...

– Odbywa pan z tat nicawem Laufrem regularne konferencje?

– Nie – odparł Cohen oburzony. – On... mój ojciec...

– Nieważne – uciał Daniel, a potem przypomniał sobie, że jego ojciec niedawno zmarł,

więc dodał łagodniejszym tonem: – Przykro mi z powodu pańskiego ojca.

– Znał go pan? – zapytał Cohen zaskoczony.

– Tylko o nim słyszałem.

– To był twardy gość, prawdziwy as. – Cohen wypowiedział te słowa automatycznie, bez emocji, jakby to był psalm, który recytował już wiele razy. Daniel poczuł, że jego niechęć do chłopaka wzrasta. Popchnął drzwi i puścił tak, aby Cohen musiał je przytrzymać. Wyszli na słońce. Na parkingu stał nie znany mu samochód. Czerwone bmw 330i.

– Co mam robić, pakad?

– Masz się punktualnie stawiać na wszystkie spotkania.

– Mówiłem panu, moje mieszkanie...

– Nie interesują mnie przeprosiny, tylko wyniki pracy.

Cohen uniósł brwi. Jego lodowatoniebieskie oczy zabłyśły gniewem.

– Zrozumiano, samal Cohen?

– Tak, pakad. – Odzywka jak najbardziej na miejscu, ale zabarwiona nutką ironii. Daniel nie zareagował.

– Zostaniesz przydzielony do mefakeaha Nahuma Shmeltzera. Zatelefonuj do niego jutro o ósmej rano i rób to, co ci każe. A na razie, jest kilka teczek, które przejrysz. W Komendzie Głównej chłopcy od komputerów już je szykują. – Sięgnął do koperty, wyjął fotografię i podał ją Cohenowi. – Przystuduj dane i sprawdź, czy któreś nie dotyczą tej dziewczyny. Nie szukaj wyłącznie takiej samej, weź pod uwagę, że mogła się inaczej czesać lub zmienić z wiekiem. Jeżeli dopatrzysz się podobieństwa, odłóż na bok. Rób dokładne notatki, a jeśli nie będziesz czegoś rozumiał, pytaj. Rozumiesz?

– Tak. – Cohen spojrzał na fotografię. – Młoda.

– Bardzo wnikliwe spostrzeżenie – rzucił Daniel. Odwrócił się i odszedł.

*

Szybko przemierzył trzy kilometry, nie zwracając uwagi na otoczenie. Najpierw szedł na południowy zachód, potem skierował się na zachód, na Jehuda HaNasi, gdzie wszedł do Katamonim. Począwszy od Katamon Eight, okolica stawała się coraz uboższa. Gdzieś widać było ślady odbudowy: jakiś świeżo odmalowany budynek, to znów nowo posadzone drzewo. Rząd zalecał te renowacje, dopóki nie przyszła recesja. W sumie jednak było tu tak, jak Daniel zapamiętał: pozbawione chodników ulice, spękane i zarzucone śmieciami, odrobina suchej i brązowej trawy. Z poznaczonych rdzą balkonów niszczących bloków zwisała susząca się bielizna. Podobne do bunkrów budowle przywodziły na pamięć lata sprzed 1967 roku, gdy Jerozolima opierała się jordańskim karabinom, naglej morderczej napaści przypisywanej przez Arabów żołnierzowi, który „wpadł w szal”.

Jęci szalem strzelcy. Grad strzałów. Na ten temat opowiadano sobie gorzkie dowcipy: Aby powiększyć armię Husejna, wypuszczono pacjentów z oddziałów psychiatrycznych w Ammanie.

Przesunięcie granic w 1967 roku zmieniło charakter ubogich dzielnic. Jemin Mosze z kocimi łbami i pracowniami artystów stał się teraz tak kosztowny, że na mieszkanie tutaj mogli sobie pozwolić wyłącznie obcokrajowcy. Nawet Musrara zaczęła wyglądać nieco lepiej. Ale niższe Katamonim pozostało pomnikiem miejskiego upadku.

W czasach gdy Daniel był rekrutem i patrolował tę dzielnicę, wydawało mu się, że pochodzi z całkiem bogatego kraju. W miarę upływu czasu tracił złudzenia. Bloki z prefabrykatów sklecone naprędce dla zalewu żydowskich imigrantów z Północnej Afryki, stłoczone jak wagony pociągu i podzielone na ponure mieszkania o powierzchni stu metrów kwadratowych, atakowane przez nie dający się zwalczyć grzyb i pleśń. Małe okienka, zaprojektowane dla bezpieczeństwa, ale teraz bezsensowne i przygnębiające. Zryte koleinami drogi, puste place wykorzystywane na śmietniska. Mieszkania zatłoczone niezadowolonymi lokatorami; gorące latem, zimne i wilgotne zimą. Tracący szacunek rodziny bezrobotni

ojcowie. Bite i łajane żony. Zdziczałe dzieci biegające samopas po ulicach. Wymarzony teren dla przestępstw, wystarczy tylko dać okazję.

Pusztakim nienawidzili Daniela. Dla nich Jemeńczycy stanowili obelgę – biedniejsi od innych, o odmiennym wyglądzie, uważani za prymitywnych outsiderów. Uśmiechnięte głupki – można ich bić, a oni się uśmiechają. Lecz owe uśmiechy dawały wyraz wierze i optymizmowi, które pozwalały Jemeńczykom wspinać się stosunkowo szybko po szczeblach drabiny społecznej. A fakt, że przestępczość wśród nich była niska, stanowił policzek dla usprawiedliwiającej się biedoty.

Nic dziwnego, że stali się kozłami ofiarnymi. Daniela nazywano czarnuchem, wyśmiewano i lekceważono. Piekło inicjacji. Zniósł to wszystko, stopniowo odgrywał się na prześladowcach i robił swoje. Ale chociaż pracował tam z własnego wyboru, koniec zadania powitał z ulgą.

A teraz był tu znowu, w szabat, patrolując okolice, które nie wydawały się obiecujące.

Mogłoby się wydawać, że przyjscie tu było logicznie uzasadnione. Dziewczyna była biedna i pochodziła ze Wschodu, może była prostytutką. Chociaż inne okolice także obfitowały w takie typy, Eight i Nine były odpowiednimi miejscami na początek.

Lecz Daniel przyznawał się przed sobą, że udał się tu także dlatego, by dać przykład współpracownikom: pakad wciąż nie waha się pracować na ulicach. Chciał też pokazać, że pobożny pakad nie wykorzystuje szabatu jako wymówki, by się wymigać od pracy.

Nie lubił przerywać szabatu i wzdygał się na myśl, że jest z dala od rodziny w tak ważnym dniu. Niewiele spraw nakłoniłoby go do takiego poświęcenia, ale ta była szczególna. Zmarłej dziewczynie nie można już pomóc, ale jeżeli szaleniec zabrał się do dzieła, nie poprzestanie na jednej ofierze. A ratowanie życia było ważniejsze niż świętowanie szabatu.

Jednak mimo wszystko czynił, co mógł, by zminimalizować pogwałcenie zwyczajów. Wziął pager, ale nie miał przy sobie pieniędzy ani broni. Szedł pieszo, zamiast jechać samochodem. Posługiwał się pamięcią, a nie piórem i notatnikiem. W wolnych chwilach starał się rozmyślać o sprawach duchowych.

W jego stronę szła para starszych Marokańczyków, zmierzając do synagogi. Mąż miał na głowie za dużą haftowaną *kipę*, mamrotał psalmy i szedł kilka kroków przed żoną. W Eight i Nine tylko starzy ludzie byli ortodoksyjni.

– *Szabat szalom* – powitał ich i pokazał fotografię.

Mężczyzna wyjaśnił, że nie ma okularów i nic nie widzi.

Kobieta spojrzała na zdjęcie, pokręciła głową i powiedziała:

– Nie. A co się stało? Zaginęła?

– W pewnym sensie – powiedział Daniel. Podziękował im i ruszył dalej.

Taka sama scena rozegrała się kilkakrotnie. Na *rechow* Saint Martin, na zachodnim krańcu Nine, napotkał grupę muskularnych, wysportowanych młodych mężczyzn grających w piłkę nożną. Poczekał na ogłoszenie wyniku, podszedł do nich i puścił wkoło fotografię. Po kilku sprośnych uwagach zwrócili mu zdjęcie i powrócili do gry.

Pracował tak do jedenastej, przełykając późne śniadanie, składające się ze wzruszeń ramionami, ignorancji i kiepskich żartów. Znowu poczuł się jak rekrut. Uznawszy, że nie ma sensu tracić czasu i zaniedbywać rodziny w imię symbolicznego działania, ruszył w drogę powrotną.

Wychodząc z Eight, natrafił na kiosk, który był zamknięty, gdy szedł w przeciwną stronę. Teraz stała tam kolejka dzieci czekających na lody i batoniki. Podchodząc, stwierdził, że ulubionym przysmakiem młodej klienteli są, niezdrowo wyglądające, niebieskie lody.

Właścicielem był przygarbiony Turek po pięćdziesiątce w okularach w czarnej oprawce. Miał zepsute zęby i trzydniowy zarost. Jego koszula była przesiąknięta potem i zapachem kandyzowanych owoców. Na widok *kipy* Daniela zmarszczył brwi.

– Nie daję kredytu w szabat. Przyjmuję wyłącznie gotówkę.

Daniel pokazał mu swoją odznakę i wyjął fotografię z koperty.

– Aha, policja. Zmuszają religijnego człowieka, aby pracował w święto?

– Widział pan tę dziewczynę?

Mężczyzna spojrział na zdjęcie i rzekł niedbale:

– Ją? Jasne. To Arabka. Pracowała jako służąca u braci na Starym Mieście.

– U których braci?

– Niedaleko Bramy Nowej.

– Saint Saviours?

– Tak. – Turek przyjrzał się fotografii i spoważniał. – Co się z nią stało? Czy...

– Wie pan, jak się nazywa?

– Nie mam pojęcia. Zapamiętałem ją tylko dlatego, że była ładna. – Znów rzucił okiem na zdjęcie. – Ktoś ją załatwił, co?

Daniel odebrał mu fotografię.

– Jak się pan nazywa, *adoni*?

– Sabhan, Eli. Ale nie chcę być w to wplątany, dobrze?

Dwie małe dziewczynki w trykotowych koszulkach i spodenkach w kwiatki poprosiły o niebieskie lody. Daniel zrobił im miejsce i pozwolił, by Sabhan dokonał transakcji. Gdy Turek schował do kieszeni pieniądze, Daniel znów do niego podszedł i zapytał:

– A co pan robił w klasztorze Saint Saviour, *adon* Sabhan?

Turek machnął ręką, wskazując na wnętrze kiosku i skrzywił się z niesmakiem.

– To nie jest mój zawód. Prowadziłem prawdziwy interes, dopóki podatki nie sprawiły, że poszedłem z torbami. Malowanie i gipsowanie. Miałem zamówienie na odmalowanie lecznicy w klasztorze i skończyłem dwie ściany, gdy jacyś Arabowie zaoferowali niższą cenę i tak zwani święci mężowie wykopali mnie z roboty. Wszystkie brązowe habitę – przekleci antysemitę.

– Co pan wie o tej dziewczynie?

– Nic. Po prostu ją widziałem. Jak szorowała podłogę.

– Kiedy to było?

– Niech no pomyślę... zanim znalazłem się na łodzi. Ze dwa tygodnie temu.

Dwa tygodnie, pomyślał Daniel. Nieszczęśnik dopiero co stracił pracę, nic dziwnego, że jest zły.

– Widział ją pan w czyimś towarzystwie, *adon* Sabhan?

– Tylko z wiadrem i szczotką. – Sabhan otarł twarz dłonią, pochylił się do przodu i rzekł konspiracyjnym tonem: – Stawiam jeden do dziesięciu, że dorwał ją jeden z tych w brązowych habitach. Została zgwałcona, co?

– Dlaczego pan tak myśli?

– Faceci mają swoje potrzeby, sam pan wie. To, jak żyją, nie jest normalne. Żadnego seksu, jedyne kobiety, które widują, to kilka wysuszonych zakonnice. Samo się nasuwa, no nie? Młoda sztuka pod ręką, bez stanika, cycki trzęsą się jak galareta, podskakują. Któryś się rozochocił i ciach, po sprawie.

– Widział pan, by zdarzył się jakiś konflikt między nią a zakonnikami?

Sabhan pokręcił głową.

– A pomiędzy nią i innymi osobami?

– Nie. Byłem zajęty malowaniem – odparł Sabhan. – Z nosem przy ścianie. Ale może mi pan wierzyć, tak się stało.

Daniel zadał mu jeszcze kilka pytań, nie dowiedział się jednak niczego więcej. Potem obejrzał pozwolenie na handel. Były tam dwa adresy domowe. Zapamiętał je i, z bijącym sercem, opuścił kiosk. Przyspieszając kroku, wrócił po własnych śladach, a potem skręcił na wschód na Ben Zakai, a w końcu na północ w kierunku Starego Miasta.

Doszedł do skrzyżowania David Remez i od murów Starego Miasta dzieliło go kilka

jardów, gdy rozległ się dźwięk pagera.

ROZDZIAŁ 13

– Jaki on jest? – spytał Shmeltzera Avi Cohen.

– Kto?

Siedzieli w szarym, pozbawionym okien pomieszczeniu w Komendzie Głównej, obłożeni teczkami i plikami wydruków komputerowych. W pokoju panował ziąb i ramiona Cohena pokryły się gęsią skórką. Na jego pytanie, dlaczego jest tak zimno, Shmeltzer zareagował wzruszeniem ramion.

– Oficer obsługujący powielacz tak lubi. – Jakby to było wyjaśnienie.

– Sharavi – powiedział Cohen, otwierając teczkę z aktami zaginionego nieletniego. Rzucił okiem na zdjęcie i odłożył je na rosnący stos. Robota głupiego – potrafiłaby to zrobić zwykła sprzątaczką.

– Co to znaczy, jaki jest?

Ton głosu Shmeltzera zabrzmiał ostro i Cohen pomyślał: Drażliwe łobuzy w tym dziale. Jeden w drugiego.

– Jako szef – wyjaśnił.

– Dlaczego pytasz?

– Po prostu z ciekawości. Niech pan zapomni, że o to pytałem.

– Ciekawy, co? Jesteś z gruntu ciekawskim facetem?

– Czasami – odparł Cohen z uśmiechem. – To chyba dobra cecha u detektywa.

Shmeltzer pokręcił głową, utkwiał wzrok w papierach i przejechał palcem wzdłuż kolumny nazwisk. Przepiękne seksualne, setki nazwisk.

Pracowali razem od dwóch godzin, sortując, porównując, i w ciągu tego czasu starszy mężczyzna ani razu się nie poskarżył na to zajęcie. Zgarbiony nad spisami, sporządzając notatki, sprawdzając pseudonimy i duplikaty. Niewielkie wyzwanie dla mefakeaha, myślał Cohen, ale on zdawał się tym nie przejmować. Prawdopodobnie wypalił się i lubi bezpieczną robotę.

Zadanie Cohena było jeszcze nudniejsze – przeglądał tecki dwóch tysięcy zaginionych dzieciaków i porównywał ich zdjęcia z fotografią zamordowanej dziewczyny. Tylko tysiąc sześćset trzydzieści trzy przypadki były sprawami otwartymi, o czym zapewnił go oficer obsługujący komputer. Tylko. Ale ktoś zmieszał z nimi czterysta spraw już rozwiązanych.

Cohen powiedział, co myśli na temat niekompetencji urzędników, a Shmeltzer odparł:

– Nie złość się. Nigdy nie wiadomo, gdzie trafisz na trop. Dziewczyna mogła kiedyś zostać odnaleziona, a teraz uciec znowu, nie zaszkodzi zajrzeć do spraw zamkniętych.

Pięknie.

– Jest dobrym szefem – ciągnął dalej Shmeltzer. – Słyszałeś coś innego?

– Nie. – Cohen oglądał zdjęcie dziewczyny z Romema. Była podobna do zmarłej. Nie całkiem, ale wystarczająco, by odłożyć fotografię.

– Po prostu z ciekawości, co?

– Tak.

– Posłuchaj – powiedział starszy mężczyzna – usłyszysz wiele. Że osiągnął to czy owo

dzięki protekcji albo dlatego, że jest Jemeńczykiem. Nie wierz w to gadanie. Protekcja może zapewnić start, ale – uśmiechnął się znacząco – nie ma nic złego w powiązaniach, prawda, synu?

Cohen oblał się rumieńcem. Był wściekły.

– A co się tyczy tego, że jest Jemeńczykiem, mogą sobie szukać dziury w całym, ale to na nic. Rozumiesz?

Cohen skinął głową, kartkując zawartość teczki.

– Doszedł do wszystkiego własną pracą, a pracuje dobrze. I to jest coś, panie Ciekawski, nad czym powinien się pan zastanowić.

ROZDZIAŁ 14

Daoud wyglądał okropnie. Wystarczyło jedno spojrzenie i Daniel wiedział, że ma za sobą nieprzespaną noc.

– Nazywała się Fatma Rashmawi – powiedział. – Rodzina mieszka tam, w domu z łukowatym oknem. Ojciec, dwie żony, trzech synów, cztery córki, dwie synowe i wnuki w różnym wieku. Wszyscy mężczyźni są murarzami. Dwaj synowie wychodzą do pracy o siódmej rano. Ojciec zostaje w domu, jest kaleką.

– Baseny – powiedział Daniel. – Miałeś nosa.

Stali niedaleko szczytu Silwan, ukryci w gaju drzew oliwnych. Daoud wskazał dom średnich rozmiarów, usytuowany na krawędzi suchego białego urwiska, z dala od innych zabudowań. Zwyczajny dom, można powiedzieć ascetyczny; jedynym elementem dekoracyjnym był łuk nad frontowym oknem.

– Jak ich znalazłeś?

– Pomógł mi wioskowy idiota. Głuchy dzieciak o nazwisku Nasif. Mieszka na dole z owdowiałą matką. Trafiłem na niego wczoraj i najwyraźniej rozpoznał dziewczynę na fotografii, nazwał ją złą dziewczyną, ale wydawało mi się, że jest za głupi, by to cokolwiek znaczyło. Wtedy wyszła matka, nie dała po sobie poznać, że ją rozpoznaje, i twierdziła, że chłopak gada bzdury. Więc ich zostawiłem i poszedłem na Stare Miasto i pracowałem w dzielnicy muzułmańskiej. Ale wciąż mnie to zaprzątało, nie mogłem się pozbyć wrażenia, że widziałem dziewczynę przy basenach. Wróciłem więc tam dziś rano i naciskałem tę kobietę tak długo, że w końcu mi powiedziała. Ale najpierw błagała, żebym jej nie zdradził. Najwyraźniej ci Rashmawi są w gorącej wodzie kąpani i staroświeccy. Ojciec jak król, dzieci przybiegają na każde jego skinienie, nawet te, które założyły własne rodziny. Fatma była najmłodsza i trochę zbuntowana: słuchała muzyki pop, oglądała się za chłopcami. Były o to awantury. Ojciec i bracia bili ją, więc uciekła z domu, albo ją wyrzucili. To było dwa miesiące temu, przynajmniej tak twierdzi pani Nasif. Według niej, od tamtego czasu nikt Fatmy nie widział i nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Ale kobieta może kłamać, coś ukrywać. Była przestraszona, dała mi do zrozumienia, że Rashmawi byli zdolni do brutalności wobec dziewczyny i wobec każdego, kto złamał ich zasady.

Rodziny, pomyślał Daniel. Wciąż ta sama historia? Trudno było połączyć to, co zrobiono Fatmie Rashmawi, z kłótniami w rodzinie. Mimo wszystko sprawa zaczynała nabierać kształtów. Nazwiska, miejsca, oznaki realności.

– Przypuszczam, że znam miejsce, w które się udała – powiedział i streścił Daoudowi rozmowę z Turkiem na temat Saint Saviour.

– Tak, brzmi sensownie – zawołał Daoud z błyskiem w zielonych oczach.

– Zrobiłeś kawał dobrej roboty – powiedział Daniel. – Pierwsza klasa.

– Po prostu postępowałem zgodnie z poleceniem – skromnie odparł Daoud, ale wyprostował się i dumnie uniośł głowę.

Zapiał kogut, podmuch ciepłego wiatru zaszeleścił liśćmi drzew. Ziemia była miękka od opadłych oliwek, powietrze przesiąknięte słonym zapachem gnijących owoców.

Daniel spojrział na dom rodziny Rashmawich.

– Pójdziemy tam i porozmawiamy – powiedział. – Ale jeszcze nie teraz. Pojeżdż do Kiszle i zatelefonuj do pozostałych. Shmeltzer powinien być na Francuskim Wzgórzu, w archiwum. Powiedz im, czego się dowiedzieliśmy, i poleć, by wyszukali dane na temat Rashmawich i wszystkich ich krewnych. Niech sprawdzą, czy kiedykolwiek założono teczkę Fatmie. Chińczyk będzie pod pagerem, powiedz, żeby tu przyjechał i spotkał się ze mną. A ty wracaj do domu, umyj się, zjedz coś i przyjeżdż na drugą.

– Tak jest, pakad – rzekł Daoud, notując dyspozycje.

Frontowe drzwi domu Rashmawich otwały się i wyszła młoda kobieta w ciąży, niosąc zrolowany dywan. Za nią wybiegła gromadka małych dzieci. Kobieta rozwinęła dywan i zaczęła go trzepać kijem. Dzieci tańczyły wokół niej, jakby była słupem ozdobionym maikiem. Piszczwały z radości, usiłując schwytać wzbijający się pył.

– Coś jeszcze, pakad? – zapytał Daoud.

– Do drugiej nic. Jedź do domu i spędź trochę czasu z rodziną.

Daniel czekał w gaju na przyjazd Chińczyka, obserwując ruch w wiosce i nie spuszczać oka z domu Rashmawich. O wpół do pierwszej jakaś kobieta – nie ta, która trzepała dywan – wyszła z domu i kupiła bakłażana i pomidory od domokrażcy, któremu udało się wepchać wózek na najwyższy poziom. O dwunastej trzydzieści dziewięć wróciła do domu. Dzieciaki cały czas wybiegały z domu i wbiegały weń, ganiając się i swawoląc. Poza tym spokój.

Sprawa, którą właśnie prowadził, przywodziła na pamięć echa przeszłości. Rano Katamomim, teraz Silwan.

Przyglądał się wiosce, zastanawiając się, w którym z domów dorastał jego pradziadek, człowiek, po którym Daniel nosił imię. Dziwne, słyszał tak wiele historii o minionych czasach, ale nigdy ich nie sprawdził.

Opowieści przy stole, recytowane jak liturgia. O tym, jak setki Żydów uciekło ze stolicy Jemenu, Sany, chroniąc się przed narastającymi prześladowaniami ze strony muzułmanów. Wracali przez góry i osiedlali w poszukiwaniu Ziemi Świętej. O tym, jak pierwszy Daniel Sharavi był jednym z nich. Jak przybył do Jerozolimy w lecie 1881 roku, wygłodzony dziesięcioletek pod opieką rodziców. O tym, jak Żydzi z Sany zostali przyjęci z otwartymi ramionami.

Inni mieszkańcy żydowskiej Jerozolimy – Sefardyjczycy i Aszkenazyjczycy – nie wiedzieli, co począć z tymi małymi, brązowoskórymi ludźmi o kręconych włosach, którzy stali na ich progach, prawie nadzy, bez grosza, ale uśmiechnięci. Mówili po hebrajsku z dziwnym akcentem i twierdzili, że są Żydami, którzy przeżyli burzę i zarazę, przeszli przez góry piechotą, wędrując przez Arabię, żywiąc się nasionami i miodem.

W tamtych czasach Jerozolima nie rozprzestrzeniała się poza mury Starego Miasta – dwa kilometry kwadratowe, na których tłoczyło się dziesięć tysięcy ludzi. Prawie wszyscy biedni, żyjący z darów diaspory. Urządzenia sanitarne były prymitywne, pomyje spływały rynsztokami, a cysterny z wodą zanieczyszczone. Epidemie cholery i tyfusu były więc na porządku dziennym. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali mieszkańcy dzielnicy żydowskiej, była banda przybyszów, spoglądających pożądliwie na ich przeludnione gminy.

Po długotrwałych namysłach i skrobaniu się w głowy zalecono przeprowadzenie próby na żydowskość. Przywódców grup Jemeńczyków wezwano do synagogi, gdzie sefardyjscy i aszkenazyjscy rabinowie dokładnie przeegzaminowali ich z Pisma.

Opowieść rodzinna głosiła, że prapradziadek Sa'adia był pierwszym przepytanym. Złotnik i nauczyciel, wykształcony mąż o łagodnej i czystej naturze. Wywołany, zaczął szybko recytować Księgę Rodzaju, bezbłędnie i nie zatrzymując się. Na pytania dotyczące najzawilszych fragmentów Talmudu odpowiadał bezbłędnie. Tekst i komentarze recytował płynnie. Najdrobniejsze zagadnienia z dziedziny prawodawstwa wyjaśniał jasno i rzeczowo.

Rabinowie wyprosili Sa'adię i zawołali następnego mężczyznę, który wypadł równie

dobrze. Tak samo było z następnym i jeszcze następnym. Jemeńczyk po Jemeńczyku, wszyscy znali Torę na pamięć. Gdy zapytano ich, jak to jest możliwe, mali ludzie o śniadej cerze odpowiedzieli, że w Sanie brakuje książek, więc trzeba je znać na pamięć. Często gromadzili się wokół stołu, gdzie jedna osoba uczyła się czytać konwencjonalnie, inna do góry nogami, a ci po bokach z lewej do prawej i z prawej do lewej. Uszczęśliwieni zademonstrowali owe talenty, co rabinowie obserwowali w zdumieniu. Problem żydowskości został rozwiązany i nowo przybyli uzyskali zgodę, by dzielić ubóstwo ze swymi braćmi.

Na początku osiedlali się poza murami, w miejscu zwanym Silwan, niedaleko basenu Siloam, pracując jako murarze i robotnicy. Mieszkali w namiotach, budowali sobie kamienne domy. Z biegiem lat przenieśli się na Stare Miasto, do dzielnicy żydowskiej, zwanej przez Arabów Al Sion, aby znaleźć się bliżej Ściany Płaczu.

Już w obrębie murów urodzili się dziad i ojciec Daniela. I stamtąd został wyniesiony w 1948 roku jako uratowany przez obcych niemowlę, płaczące ze strachu pod hukami wystrzałów.

Moje korzenie, pomyślał, patrząc na wioskę. Ale nie czuł nostalgii, dostrzegał jedynie miejsce, z którego pochodziła zamordowana dziewczyna.

ROZDZIAŁ 15

Po ptakach, pomyślał Chińczyk, przyspieszając kroku. Był przygotowany na zdanie sprawy z informacji, które zebrał na temat dziewczyny, i uważał, że jak na jedną noc dokonał niemało. Aż tu zadzwonił ten Arab i powiedział, że ją zidentyfikował. Ostry gość z tego Daouda. Ale i tak wiadomość o tym, że miała chłopaka, stanowiła jakiś wkład w śledztwo.

Wioska ożywiła się, otwierano okiennice, uchylano drzwi, za plecami detektywów rozlegały się szepty. Za okratowanymi oknami pojawiały się twarze ciekawskich, znikające w cieniu, gdy napotkały wzrok obcych.

– Wyglądamy pewnie jak turyści – powiedział Chińczyk.

Daniel i Daoud nie odpowiedzieli. Obydwaj skupiali się na tym, by dotrzymać kroku wielkiemu mężczyźnie.

Dotarli do domu Rashmawich i weszli na frontowe schody. Łukowate okno było otwarte, ale przesłonięte barwną kwiecistą firanką. Z wnętrza dochodziły dźwięki arabskiej muzyki i woń kawy z kardamonem.

Daniel zastukał do drzwi. Nikt nie odpowiedział, więc zastukał jeszcze raz, głośniej. Muzyka natychmiast przycichła, zagłuszona teraz przez rozmowę. Rozległo się szuranie i drzwi stanęły otworem. Ukazał się młody mężczyzna, w wieku osiemnastu lub dziewiętnastu lat. Był szczupły, z okrągłą twarzą i przedwcześnie rzednącymi włosami. Łagodną twarz poznaną przez blizny po trądziku przykrywały ciężkie okulary w szylkretowej oprawce. Miał na sobie tanią szarą koszulę, zbyt obszerne szare spodnie bez paska i czarne kapcie. Oglądając się przez ramię, wyszedł na schody, zamknął za sobą drzwi i przyglądał się detektywowi czarnymi oczami zza grubych soczewek.

– Tak? – zapytał miękko, niepewnym tonem.

– Dzień dobry – powiedział Daniel po arabsku. – Jestem Daniel Sharavi, nadinspektor z wydziału policji. A to są inspektor Lee i sierżant Daoud. Jak się pan nazywa?

– Rashmawi, Anwar.

– Jakie pokrewieństwo łączy pana z Muhamidem Rashmawim?

– To mój ojciec. O co chodzi, proszę pana? – spytał głosem dziwnie pozbawionym wszelkiego zaskoczenia. Nieuchwytna, smutna nuta oczekiwanego nieszczęścia.

– Chcemy wejść do środka i porozmawiać z pańskim ojcem.

– On nie czuje się dobrze, proszę pana.

Daniel wyjął fotografię Fatmy i pokazał młodemu mężczyźnie. Ten, szybko zamrugał powiekami; zadrżały mu wargi. Przez chwilę wydawało się, że zacznie płakać. Ale potem jego twarz stała się pozbawiona wyrazu.

– Proszę wejść, panowie – powiedział, otwierając przed nimi drzwi.

Weszli do długiego, wąskiego pokoju o niskim suficie. Był świeżo odmalowany i panował w nim nieoczekiwany chłód. Kamienną podłogę przykrywały wschodnie dywany i materace przykryte haftowanymi narzutami. Na tylnej ścianie również wisiał dywan, a obok niego wieszak na ubrania i oprawiona fotografia Gamala Abdela Nassera. Pozostałe ściany były puste.

Pod portretem Nassera, na aluminiowym pulpicie, stał przenośny telewizor. Aromat kawy dolatywał z małej kuchenki na lewo: piec na drewno, kuchenka elektryczna, własnej roboty półki z garnkami i sprzętem kuchennym. Na piecu stał garnek z żeliwa, skwierczący na małym ogniu. Od strony pieca dolatywały kuchenne zapachy. Na prawo znajdowały się odrapane drewniane drzwi, zza których dochodziły kobiece głosy oraz płacz i śmiech dzieci.

Pośrodku pokoju siedział na materacu stary mężczyzna, spalony słońcem i pomarszczony niczym stara papierowa torba na zakupy. Miał łysą i bardzo bladą głowę. Nastroszone wąsy tworzyły biały prostokąt pomiędzy nosem a górną wargą. Ubrany był w jasnoszarą galabiję w nieco ciemniejsze prążki. Na jego kolanach leżało rozpostarte nakrycie głowy, zwane kaffija, oraz zawój. Na prawo od mężczyzny był mały rzeźbiony stolik, na którym stał grawerowany dzban z mosiądzu i taka sama czarka, paczka papierosów Time i różaniec. Mężczyzna trzymał czerwone tranzystorowe radio. Jedną stopę podwinął pod siebie; druga, wysunięta do przodu, była owinięta bandażem. Obok jego kostki stał zestaw fiolek i maści w tubkach. Za lekami ustawiony był drugi rzeźbiony stolik, a na nim, w zasięgu ręki starca, bardzo poplamiony Koran.

Mężczyzna wpatrywał się w materac, jakby studiował wzór na przykrywającym go dywanie. Z ust zwisał mu papieros. Na dźwięk kroków uniósł wzrok i spojrzał z ukosa na detektywów. Twarz bez wyrazu. Wtedy Daniel spostrzegł podobieństwo do Fatmy, tę samą regularność rysów, której brakowało jej bratu.

– Ojciec – powiedział Anwar. – Ci panowie są z policji.

Rashmawi rzucił synowi ostre spojrzenie i młodzieniec pospieszył ku niemu, by pomóc mu wstać. Stary mężczyzna skinął im lekko głową i powiedział niskim, ochryplym głosem:

– *Marhaba*. Witam. *Ahlan wa sahlán*. Znajdziecie w moim domu szeroką dolinę.

Rytualna gościnność. Daniel spojrzał na twardą, ogorzałą twarz, podobną do wyrzeźbionej maski, o zapadniętych policzkach i głębokich oczodołach. Nie wiedział, czy mężczyzna, którego ogląda, jest podejrzanym czy ofiarą.

– *Ahlan bek* – odparł. – Takie samo powitanie wypowiem, gdy odwiedzisz mój dom.

– Siadajcie, proszę – powiedział Rashmawi i pozwolił synowi, by go posadził.

Detektywi usiedli w półkolu. Stary mężczyzna warknął rozkazująco i Anwar przeszedł przez pokój, otworzył drewniane drzwi i powiedział coś w kierunku drugiego pomieszczenia. Dwie młode kobiety pośpiesznie wbiegły do pokoju. Miały czarne suknie, okryte głowy i białe stopy. Odwracając twarze, szybko podeszły do części kuchennej i rozpoczęły ceremonię nalewania, zaczerpywania i napełniania. Po chwili podały mężczyznom filiżanki ze słodką, gęstą kawą oraz talerzyki z oliwkami, migdałami, ziarnami słonecznika i suszonymi owocami.

Rashmawi machnął dłonią i kobiety odeszły tanecznym krokiem, znikając w sąsiednim pomieszczeniu. Prawie natychmiast zaczęły cicho rozmawiać.

– Papierosa? – zaproponował Rashmawi, wyjmując swoją paczkę. Chińczyk i Daoud przyjęli po jednym i zapalili.

– A pan?

Daniel pokręcił głową i powiedział:

– Dziękuję za zaproszenie, ale dziś jest szabat i nie palę ognia.

Stary mężczyzna przyjrzał się mu, spostrzegł *kipę* na jego głowie i skinął głową. Podał mu talerz z suszonymi figami i czekał, aż Daniel zacznie je entuzjastycznie przeżuwać.

– Czemu zawdzięczam zaszczyt tych odwiedzin?

– Przyszliśmy, aby porozmawiać o pańskiej córce – powiedział Daniel.

– Mam trzy córki – odrzekł stary mężczyzna niedbale. – A także trzech synów i wiele tłustych wnucząt.

O jedną córkę mniej, niż mówił Daoud.

– O pańskiej córce Fatmie, proszę pana.

Twarz Rashmawiego straciła wszelki wyraz. Suche, dobrze wykształcone rysy zastygły w kamiennym bezruchu.

Daniel odstawił filiżankę, wyjął fotografię i podał Rashmawiemu, który nawet na nią nie spojrział.

– Została znaleziona wczoraj rano – powiedział Daniel, patrząc, jak stary zareaguje.

Rashmawi złożył palce obu dłoni. Potem sięgnął po swoją filiżankę, ale zaraz odstawił, nie upiwszy ani łyka.

– Mam trzy córki – powtórzył. – Sahar, Hadija i Salwaj. Żadna nie próżnuje. Tak samo jak trzech synowie.

Rozmowy za drzwiami stały się głośniejsze. Pełne strachu głosy kobiece i uspokajające odpowiedzi mężczyzny. A potem rozległ się jęk, narastający w ostre zawodzenie.

– Od jak dawna nie ma jej w domu? – spytał Daniel.

Rashmawi zaciągnął się dymem, napił kawy i rozłupał migdał długimi, sękatymi palcami. Wyjął jądro, włożył do ust i powoli przeżuł.

Zawodzenie za drzwiami przeszło w wycie.

– Cisza! – huknął stary mężczyzna i wycie ucichło. Ciszę przerywały stłumione łkania.

Daniel jeszcze raz pokazał starcowi fotografię. Ten zatrzymał na niej wzrok i przez chwilę Daniel widział na jego twarzy wyraz bólu i strachu. Ale cokolwiek to było, szybko minęło i Rashmawi skrzyżował ramiona na piersi, po czym wpatrzył się w przestrzeń poza detektywami, milczący i nieruchomy jak kamienny posąg.

– Proszę pana – zaczął Daniel – z bólem przekazuję panu wiadomość, że Fatma nie żyje.

Nic.

Smutki dymu z trzech papierosów wznosiły się leniwie do sufitu.

– Została zamordowana, proszę pana. Brutalnie.

Długie milczenie, gwałtowny oddech i wreszcie:

– Mam trzy córki. Sahar, Hadija i Salwaj. Wszystkie zajęte. I trzech synów. I wiele wnucząt.

Chińczyk zaklął cicho i odchrząknął.

– To było bardzo brutalne morderstwo. Zadano jej wiele ciosów nożem.

– Chcemy znaleźć osobę, która to zrobiła – oznajmił Daniel.

– Żeby ją pomścić – dodał Chińczyk.

Lepiej było tego nie mówić, pomyślał Daniel. Zemsta należy do rodziny. Sugerowanie, że może tego dokonać obcy, było przyznaniem się do ignorancji oraz najgorszą obelgą. Spojrział na Chińczyka i ledwo dostrzegalnie pokręcił głową.

Wielki mężczyzna wzruszył ramionami i zaczął się rozglądać po pokoju, niespokojny i rwący się do czynu.

Rashmawi uśmiechnął się dziwnie. Ułożył dłonie na kolanach i zaczął się kołysać, jakby w transie.

– Każda informacja, jakiej może nam pan dostarczyć, byłaby dla nas bardzo cenna – powiedział Daniel. – Na temat każdego, kto mógł to zrobić Fatmie. I dlaczego ktoś chciał ją skrzywdzić.

Oprócz pana i pańskich synów...

– Ktoś może miał na nią zły wpływ – dodał Daoud. – Ktoś chciał ją zepsuć.

Tego także nie należało mówić, bo twarz starego mężczyzny skurczyła się z gniewu, ręce zaczęły dygotać. Przycisnął dłonie do kolan, aby drżenie nie zdradzało jego słabości. Zaciśnął powieki i kołysał się szybciej i mocniej.

– Panie Rashmawi – rzekł Daniel z większą mocą. – Żadna młoda dziewczyna nie zasługuje na taki koniec.

Rashmawi otworzył oczy i Daniel przyjrzał się im uważniej. Tęczówki barwy kawy, białka o niezdrowym odcieniu szarości. Jeżeli oczy są zwierciadłem duszy, te zwierciadła

ukazywały duszę umęczoną chorobą, znużeniem i bólem wspomnień. A może dostrzegam w nich poczucie winy, myślał Daniel, uwięzione w sercu przez fortecę milczenia.

Wymowne oczy. Ale nie można opierać śledztwa na czymś nieokreślonym.

– Niech pan nam powie, co pan wie – odezwał się Daniel, walcząc z niecierpliwością. – Jak była ubrana, odchodząc z domu, jaką miała biżuterię.

Ramiona Rashmawiego opadły; zwiesił głowę, jakby nagle stała się zbyt ciężka. Ukrył twarz w dłoniach. Zaczął się kiwać jeszcze mocniej. A wreszcie wstał, jakby nieufność dodała mu sił.

– Mam trzy córki – powiedział. – Trzy.

*

– Twardy staruch – stwierdził Chińczyk. – Lepiej będzie porozmawiać z kobietami.

Stali na ścieżce kilka jardów od domu. Zawodzenie rozległo się znowu i z tej odległości było dobrze słyszalne.

– Możemy spróbować – powiedział Daniel. – Ale to będzie pogwałcenie struktury rodziny.

– Do diabła ze strukturą rodziny, Dani. Przecież to któryś z nich mógł ją tak poszlachtować.

– Chodzi o to, że struktura rodziny nie pozwoli nam na takie zdobywanie informacji. Bez zgody ojca żadna z nich z nami nie porozmawia.

Wielki mężczyzna splunął na ziemię i zacisnął pięści.

– Więc wywlecmy je z domu! Kilka godzin w celi i zobaczymy, co warta jest cholerna struktura rodziny.

– Taki masz plan? Zaaresztować i niech skruszeją.

Chińczyk zaczął coś mówić, westchnął i uśmiechnął się zawstydzony.

– No dobrze. Gadam bzdury. Ale to jest jakieś dziwne. Córka faceta została zarżnięta, a on jest zimny jak głaz, udając, że nigdy nie istniała. – Zwrócił się do Daouda: – W tej kulturze to normalne?

Daoud się zawahał.

– No, jak? – naciskał Chińczyk.

– Do pewnego stopnia.

– To znaczy?

– Dla muzułmanów dziewictwo jest wszystkim – wyjaśnił Daoud. – Jeżeli ojciec uważa, że Fatma je utraciła, nawet jeżeli tylko tak podejrzewa, może ją z powodzeniem wydalić z rodziny. Wyklął ją. Tak jakby nigdy nie istniała.

– Zabicie jej także załatwiałoby sprawę – powiedział Chińczyk.

– Nie uważam, że to sprawa rodziny – wtrącił Daniel. – Ten stary jest pogrążony w bólu. I z tego, co tam widzieliśmy, wynika, że Rashmawi są z dawnej szkoły. Gdyby uznali, że należy przeprowadzić egzekucję na córce, zrobiliby to we wsi.

Szybki mord wykonany przez jednego z braci, na pokaz przed swoimi, aby pokazać, że honor rodziny został uratowany. Wyrzucenie ciała na widok obcych jest nie do pomyślenia. Tak samo jak zmasakrowanie go.

– Uważasz, że kultura przerasta szaleństwo – rzekł Chińczyk – Gdyby tak było, już dawno policjanci zostaliby wyparci przez antropologów.

Drzwi domu Rashmawich otwały się i wyszedł Anwar, przecierając szkła okularów. Założył je z powrotem, dostrzegł detektywów i szybko wrócił do domu.

– Ten także jest dziwny – ocenił Chińczyk. – Siedzi w domu, podczas gdy bracia pracują. Ojciec karze go za coś, nakazując siedzieć z kobietami.

– To prawda – odparł Daniel. – Można by się spodziewać, że pozwoli mu *zostać* i przysłuchiwać się rozmowie. Odesłanie *go do kobiet* wygląda na jakąś karę. Masz jakiś pomysł, *Elias*?

Daoud pokręcił głową.

– Mściwa rodzina – zastanawiał się Daniel.

– Nie był zaskoczony, gdy mu pokazałeś fotografię Fatmy – powiedział Chińczyk. – Już wiedział, że coś się jej stało. Dlaczego nie zapytać go o kolczyki?

– Zapytamy, ale najpierw poobserwujmy go trochę. Pochodźcie po wsi i spróbujecie się więcej dowiedzieć o rodzinie. Może zdołacie ustalić, czy Fatma uciekła z domu, czy też została wygnana. I dlaczego się zbuntowała. Pytajcie o to, jak była ubrana i czy ktoś umie opisać jej kolczyki. Co z tą kobietą, Elias? Myślisz, że nadal będzie się bała mówić?

– Możliwe. Jest w trudnym położeniu. Wdowa. Najpierw spróbuję z innymi. Do niej wrócę na końcu.

– Dobrze, ale nie zapomnij o niej. W razie potrzeby możemy zorganizować przesłuchanie z dala od wścibskich oczu. W czasie wyprawy na zakupy lub coś w tym rodzaju.

Z domu Rashmawich dobiegł głośny krzyk. Daniel spojrzał na pozbawiony ozdób budynek i dopiero teraz stwierdził, że teren wokół domu jest pusty.

– Żadnych sąsiadów – powiedział. – Żyją we własnym sosie. Taka izolacja sprzyja rodzeniu się plotek. Spróbujcie coś z ludzi wyciągnąć. Zadzwońcie do Shmeltzera i sprawdźcie, czy któryś z członków rodziny popadł w konflikt z prawem. Zajmijcie się także dwoma innymi braćmi. Z tego, co wiemy, obaj pracują i powinni wrócić przed zachodem słońca. Dobierzcie się do nich, zanim dotrą do domu. Jeżeli Anwar wyjdzie, pogadajcie z nim. Bądźcie uparci, ale z szacunkiem. Nie naciskajcie zbyt mocno. Dopóki nic nie wiemy, każdy jest potencjalnym źródłem informacji. Powodzenia. I jeśli będziecie mnie potrzebować, będę w Saint Saviour.

ROZDZIAŁ 16

Daniel szedł wzdłuż południowej części Starego Miasta, mijając modlących się wyznawców trzech religii, tubylców, turystów i spacerowiczów. Dotarł do północno-wschodniego narożnika i przez Bramę Nową wszedł do dzielnicy chrześcijańskiej.

Klasztor Saint Saviour ze swymi wysokimi murami oraz krytą zielonymi dachówkami wieżą dominował nad resztą budynków. Dwuskrzydłowa metalowa brama zdobna w symbole chrześcijaństwa wychodziła na drogę Bab el Jadid. W łuku ponad bramą znajdował się krwistoczerwony krucyfiks; poniżej krzyża duże czarne litery obwieszczały: TERRA SANCTA. Ponad bramą wystrzelała w niebo czworokątna biała wieża zwieńczona iglicą, otoczona dwoma poziomami balkonów i ozdobiona z wszystkich stron zegarami o marmurowych tarczach. Gdy Daniel wchodził na dziedziniec klasztoru, dzwony wybiły kwadrams.

Podwórze było ciche i skromne. W jednym z wewnętrznych murów znajdowała się nisza z gipsową figurką modlącej się Madonny, na błękitnym tle upstrzonym złotymi gwiazdami. Tu i tam znajdowały się małe tabliczki, na których także wypisano słowa: TERRA SANCTA. Bez nich podwórze wyglądałoby jak parking lub zaplecze jakiejś restauracji, z workami pełnymi śmieci, garażami, metalowymi schodami, ciężarówkami i płataniną drutów wysokiego napięcia. Zupełnie niepodobne do pensjonatu przy St. Francis Street, ale Daniel wiedział, że te budynki o brzydkich fasadach mieszczą odnaleziony skarb: marmurowe ściany ozdobione kontrastującymi kolumnami z granitu, rzeźby, malowidła ścienne, złote ołtarze i kandelabry, majątek w postaci złotych pamiątek. Wielki pokaz chrześcijańskiego kultu.

Z budynku wyszło trzech młodych franciszkanów. Ubrani w brązowe habity przepasane białymi sznurami. Spod kapturów wyglądały blade rozmodlone twarze. Daniel zapytał ich po hebrajsku, gdzie może znaleźć ojca Bernardo. Gdy mnisi spojrzeli na niego z niepokojem, Daniel pomyślał: nowi, i powtórzył pytanie po angielsku.

– W infirmerii – powiedział najwyższy z trzech braci, młodzieniec o ciemnym zarostie, płonących czarnych oczach i powściągliwym sposobie bycia dyplomaty. Sądząc z akcentu, Hiszpan lub Portugalczyk.

– Jest chory? – zapytał Daniel, świadom swojej wymowy. Istna wieża Babel.

– Nie – odparł mnich. – Nie jest... zajmuje się tymi, co są chorzy. – Zamilkł, po czym powiedział coś do swoich towarzyszy i znowu zwrócił się do Daniela: – Zaprowadzę pana.

Infirmeria była czystym, jasnym pokojem, pachnącym farbą. Mieściła dwanaście wąskich żelaznych łóżek, z których połowę zajmowali starzy, leżący nieruchomo mężczyźni. Przez wielkie okna o drewnianych framugach widać było dachy domów Starego Miasta: gliniane kopuły, liczące setki lat i ukoronowane antenami telewizyjnymi – oto iglice nowej religii. Okna były otwarte na oścież i dolatywało przez nie gruchanie gołębi.

Daniel zatrzymał się w drzwiach i patrzył, jak ojciec Bernardo zajmuje się starym mnichem. Spod okrycia widoczna była jedynie głowa starca, łysa czaszka poznaczona niebieskimi żyłami, zapadła twarz, prawie przezroczysta. Ciało tak wychudłe, że prawie nieodznaczające się pod prześcieradłem. Na szafce przy łóżku stała szklanka ze sztuczną

szczęką i leżała wielka, oprawna w skórę Biblia. Nad wezglowiem łóżka wisiał krucyfiks.

Pochylony ojciec Bernardo zmoczył w wodzie ręcznik i zwilżył nim usta mnicha. Przemawiając cicho, poprawił mu poduszki, aby chory mógł się wygodniej oprzeć. Mnich zamknął oczy i ojciec Bernardo patrzył przez kilka chwil na śpiącego. Potem odwrócił się i spostrzegł detektywa. Uśmiechnął się i podszedł ku niemu, cicho szurając stopami w sandałach. Krzyż na jego szyi huśtał się przy każdym kroku z boku na bok.

– Pakad Sharavi – powiedział po hebrajsku i się uśmiechnął. – Dawnośmy się nie widzieli.

Bernardo przytył od ostatniego razu. Poza tym wyglądał tak samo. Mięsiasta różowa twarz dobrze prosperującego toskańskiego handlarza, inkwizytorskie spojrzenie szarych oczu, duże, różowe odstające uszy. Śnieżnobiałe pasma włosów porastające mocną, dużą głowę. Białe brwi, wąsy i broda jak u van Dycka.

– Dwa lata – powiedział Daniel. – Dwie Wielkanoce.

– Dwie Paschy – rzekł Bernardo z uśmiechem. Poprowadził Daniela z izby chorych do mrocznego, cichego korytarza. – Jesteś teraz w Wydziale Zabójstw. Czytałem o tobie. Jak się miewasz?

– Wszystko w porządku. A u ojca?

Duchowny z uśmiechem poklepał się po brzuchu.

– Nawet trochę za dobrze. Co cię do nas sprowadza w szabat?

– Ta dziewczyna – powiedział Daniel, pokazując mu fotografię. – Mówiono mi, że pracowała tutaj.

Bernardo wziął zdjęcie i obejrzał je.

– To mała Fatma! Co się jej stało?

– Przykro mi, ale nie mogę na ten temat rozmawiać – uciął Daniel. Ale mnich usłyszał niewypowiedziane i jego grube paluchy zacisnęły się na krucyfiksie.

– Och, nie, Danielu.

– Kiedy ojciec widział ją po raz ostatni? – łagodnie zapytał Daniel.

Palce wypuściły krzyż i zajęły się skubaniem białej brody.

– Niedawno. W ostatnią środę po południu. Nie przyszła na śniadanie w czwartek rano i nie pokazała się więcej.

Półtora dnia przed znalezieniem jej ciała.

– Kiedy zaczęła tu pracować?

– Pewnej nocy, około trzech tygodni temu, brat Roselli znalazł ją płaczącą. Siedziała w rysztołu w Bramie Nowej, na Bab el Jadid. Musiało to być gdzieś o trzeciej nad ranem, ponieważ brat uczestniczył w mszy odprawianej o północy w kaplicy Biczowania i właśnie wracał do klasztoru. Była brudna, głodna, załamana i we łzach. Przygarnęliśmy ją, nakarmiliśmy i pozwoliliśmy spać w pustym pomieszczeniu obok przytułku. Następnego ranka wstała wcześnie, przed wschodem słońca i zaczęła szorować podłogi, upierając się, że chce zarobić na utrzymanie. – Bernardo zamilkł zakłopotany. – Nie postępujemy tak z dziećmi, Danielu, ale ona była taka smutna, że pozwoliliśmy jej zostać, chwilowo, i wykonywać różne drobne posługi, żeby nie czuła się jak żebraczka. Chcieliśmy się skontaktować z jej rodziną, ale na wzmiankę o tym wpadła w przerażenie i zaczęła rozdzierająco płakać, błagając, byśmy tego nie robili. Może przeżywała jakiś młodzieńczy dramat, ale myślę, że naprawdę miała poważne kłopoty. Wyglądała jak zranione zwierzę. Baliśmy się, że ucieknie z klasztoru i skończy w jakimś pozbawionym Boga miejscu. Ale wiedzieliśmy, że nie może u nas zostać na stałe, więc brat Roselli i ja dyskutowaliśmy o tym, czy nie przenieść jej do klasztoru Franciszkanek. – Mnich pokręcił głową. – Zniknęła, zanim zdążyliśmy to uczynić.

– Powiedziała ojcu, dlaczego się boi rodziny?

– Nic mi nie powiedziała, ale odniosłem wrażenie, że dzieje się tam coś niedobrego.

Jeżeli coś powiedziała, to tylko bratu Rosellemu. Ale on nigdy mi o tym nie wspominał.

– A więc była u was dwa i pół tygodnia.

– Tak.

– Czy kiedykolwiek widział ją ojciec w czyimś towarzystwie?

– Nie, ale jak już mówiłem, miałem z nią minimalny kontakt, pozdrawiałem ją, gdy mijaliśmy się w przejściu, a czasem radziłem jej, żeby sobie zrobiła przerwę. Ciężko pracowała, gotowa była skrobać i szorować choćby przez calutki dzień.

– Jak była ubrana w dniu, w którym od was odeszła?

Bernardo złożył dłonie i zamyślił się głęboko.

– Jakaś sukienkę. Naprawdę nie wiem.

– Czy nosiła jakąś biżuterię?

– Taka biedna dziewczyna? Nie sądzę.

– Może kolczyki?

– Możliwe. Nie jestem pewien. Przepraszam, Danielu. Nie jestem zbyt bystry, jeśli chodzi o dostrzeganie takich rzeczy.

– Czy mógłby mi ojciec powiedzieć coś więcej? Coś, co pomogłoby mi zrozumieć, co się z nią stało?

– Nic, Danielu. Pojawiła się tu i odeszła.

– Czy miałem okazję poznać brata Rosellego?

– Nie. Jest tu nowy. Od pół roku.

– Chciałbym z nim porozmawiać. Wie ojciec, gdzie go znaleźć?

– Na górze. Na dachu, kontaktuje się ze swymi ogórkami.

Wspięli się po kamiennych schodach, Daniel lekkim, pełnym energii krokiem, mimo że prawie cały dzień nic nie jadł. Spostrzegłszy, że Bernardo sapie i przystaje, by złapać oddech, zwolnił i zrównał krok z księdzem.

Drzwi u szczytów schodów otwierały się na płaski dach nad północnym skrzydłem klasztoru. Poniżej rozciągało się Stare Miasto, skomplikowany wzór domów, kościołów i maleńkich podwórek. Za tą gmatwaniną wznosił się płaskowyż Moria, gdzie Abraham miał złożyć Bogu w ofierze swego syna, Izaaka, i gdzie wybudowane zostały i zburzone dwie świątynie, obecnie zwane Haram esh-Sharif i zdominowane przez Meczet Omara.

Daniel spojrzął poza złocistą kopułę meczetu, na wschodnie mury miasta. Stąd wszystko wydawało się małe i kruche. Przeszyła go okrutna świadomość, że przeszedł pod owymi murami, przez Bramę Gnojną. W nieskończonym pochodzie śmierci, chociaż szok wywołany raną zapewnił mu pewien rodzaj znieczulenia, podczas gdy ci przed nim i za nim padali od kul snajperów, skręcając się, bezdźwięcznie, a na ich wypłowiałych oliwkowych mundurach wykwitwały purpurowe plamy. Teraz wzdłuż fortyfikacji spacerowali beztroscy turyści, podziwiając widoki i ciesząc się wolnością.

Daniel i Bernardo poszli w kierunku narożnika dachu, gdzie stały w rzędzie beczki po winie wypełnione ziemią. W niektórych nic nie rosło. W innych kiełkowały warzywa: ogórki, pomidory, bakłażany, fasola, dynie. Mnich z ogromną konwią podlewał jedną z najbardziej produktywnych beczek, w której pięła się po tyczce roślina o wielkich liściach i żółtych kwiatach, obwieszona podobnymi do kosmatych palców młodymi ogórkami.

Bernardo pozdrowił ogrodnika, gdy ten się obejrzał. Miał po czterdzieście, był opalony i piegowaty, o napiętej twarzy podobnej do lisiego pyszczka, jasnobrązowych oczach, rzadkich różowawych włosach i rudej, krótko i nieporządnie przyciętej brodzie. Na widok Bernarda odstawił konewkę i przybrał postawę pełną szacunku, z pochyloną głową i złożonymi jak do modlitwy dłońmi. Zdawał się nie zauważać obecności Daniela.

Bernardo przedstawił ich sobie po angielsku i gdy Roselli powiedział:

– Dzień dobry, nadinspektorze – okazało się, że mówi z amerykańskim akcentem. Niezwykle, gdyż większość franciszkanów pochodziła z Europy.

Roselli słuchał, gdy Bernardo streszczał mu rozmowę z Danielem. Ojciec zakończył słowami:

– Nadinspektor nie ma prawa powiedzieć nam, co się z nią stało, ale obawiam się, że należy spodziewać się najgorszego.

Roselli nic nie rzekł, ale spuścił głowę jeszcze niżej i odwrócił wzrok. Daniel usłyszał gwałtowne westchnienie, a potem już nic.

– Synu – powiedział Bernardo, kładąc dłoń na ramieniu brata Rosellego.

– Dziękuję, ojcie. Nic mi nie jest.

Obydwaj franciszkanie stali przez chwilę w milczeniu i Daniel zaczął odczytywać napisy na drewnianych tabliczkach: CORNICHON DE BOURBON, HYBRYDA „DUŻA DZIEWCZYŃKA”, AQUADULCE CLAUDIA (BIAŁE NASIONA), OGÓRKI DO KISZENIA...

Bernardo wyszeptał coś do Rosellego. Brzmiało to jak łacina. Jeszcze raz poklepał go po ramieniu i zwrócił się do Daniela:

– Porozmawiajcie sobie. Na mnie czeka praca. Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, Danielu, będę w kolegium.

Daniel podziękował mu i Bernardo odszedł.

Zostawsz sam na sam, Daniel uśmiechnął się do mnicha, który spojrzał na swoje dłonie, a potem na konewkę.

– Proszę nie przerywać podlewania – powiedział Daniel. – Możemy rozmawiać podczas pracy.

– Nie. W porządku. Co pan chce wiedzieć?

– Proszę mi opowiedzieć o pierwszym spotkaniu z Fatmą. O nocy, kiedy brat ją tu zabrał.

– To nie to samo, inspektorze – powiedział Roselli cicho, jakby wyznawał grzech. Unikał wzroku Daniela.

– Tak?

– Pierwszy raz zobaczyłem ją trzy dni przedtem. Dopiero później wzięliśmy ją do siebie. Na Via Dolorosa, w pobliżu Szóstej Stacji Drogi Krzyżowej.

– Niedaleko Greckiej Kaplicy?

– Zaraz za nią.

– Co tam robiła?

– Nic. I właśnie dlatego ją zauważyłem. Wokół kręcili się turyści z przewodnikami, a ona trzymała się na uboczu, nie usiłując żebrać, ani niczego sprzedawać. Po prostu tam stała. Pomyślałem, że rzadko widuje się Arabkę w tym wieku zupełnie samą. – Roselli zakrył dłonią dolną część twarzy. Wyglądało to na gest obronny lub znamionujący poczucie winy.

– Czy namawiała do nierzędu?

Roselli spojrzał bolesciwym wzrokiem.

– Skąd mam wiedzieć?

– Pamięta brat coś jeszcze?

– Nie, to... Rozmyślałem, inspektorze. Ojciec Bernardo zalecił mi regularne spacery medytacyjne. Aby oderwać się od świata zewnętrznego i zbliżyć się do mojej... duchowej istoty. Ale zwróciłem uwagę na świat zewnętrzny i spostrzegłem ją.

Jeszcze jedno wyznanie.

Roselli zamilkł, spojrzał na beczułki, i powiedział:

– Niektóre zaczynają więdnąć. Myślę, że zacznę podlewać. – Uniósł konewkę i zaczął się posuwać wzdłuż rzędu, oglądając rośliny i zraszając je wodą.

Katolicy, pomyślał Daniel, ruszając za nim. Wiecznie obnażający swe dusze. Przypuszczalnie dlatego, że żyją całkowicie pogrążeni w świecie myśli. Wiara jest wszystkim, myśli stanowią równowartość działań. Spójrz na ładną dziewczynę, a będzie to równie złe, jakbyś się z nią przespał. Spojrzał na profil Rosellego, ponury i pozbawiony

poczucia humoru, jak u mieszkającego w jaskini proroka. Prorok przeznaczenia? Udręczony własną omylnością?

A może mękę powodowało coś poważniejszego niż żądza?

– Rozmawiał z nią brat?

– Nie – odpowiedział zbyt szybko. Roselli zerwał uschnięty liść z krzaczka pomidora, obejrzał kilka innych, szukając pasożytów. – Wydawało mi się, że się we mnie wpatruje, a może to ja się jej przyglądałem. Sprawiała wrażenie zaniedbanej i zastanawiałem się, co ją mogło doprowadzić do takiego stanu. To skażenie zawodowe. Byłem pracownikiem socjalnym.

Bez wątplenia gorliwym.

– I co potem?

Roselli nie zrozumiał.

– Co zaszło po tym, jak wymieniliście spojrzenia, bracie Roselli?

– Wróciłem do Saint Saviour.

– I kiedy zobaczył ją brat po raz drugi?

– Już mówiłem, trzy lub cztery dni później. Wracałem z późnej mszy, usłyszałem łkania od strony Bab el Jadid, zajrzałem i zobaczyłem ją, siedzącą w rynsztoku, zapłakaną. Spytałem, co się stało, po angielsku. Nie znam arabskiego. Ale ona wciąż tylko płakała. Nie wiem, czy mnie zrozumiała, więc spróbowałem po hebrajsku. Mój hebrajski jest kulawy, ale lepszy od arabskiego. Nie odpowiedziała. Wtedy zauważyłem, że jest chudsza niż poprzednim razem. Było ciemno, ale różnica była widoczna nawet w świetle księżyca. Pomyślałem, że pewnie od kilku dni nic nie jadła. Zapytałem ją, czy jest głodna, pokazywałem na migi, a ona przestała płakać i skinęła głową. Więc nakazałem jej gestem, żeby poczekała, zbudziłem ojca Bernardo, a on powiedział, żebym ją przyprowadził. Następnego ranka zabrała się do pracy i ojciec Bernardo zgodził się, aby została, dopóki nie znajdziemy dla niej odpowiedniejszego lokum.

– Czemu przeszła na drugą stronę Starego Miasta?

– Nie wiem – odparł Roselli. Przerwał podlewanie i obejrzał brud za paznokciami. Następnie znów zaczął podlewać.

– Pytał ją brat?

– Nie. Bariera językowa. – Roselli zarumienił się, znowu przesłonił twarz dłonią i spojrzał na warzywa.

Nie tylko, pomyślał Daniel. Dziewczyna zrobiła na nim wrażenie, może pociągała go seksualnie, a on nie umiał sobie z tym radzić.

A może radził sobie w niezdrowy sposób.

– Ojciec Bernardo powiedział, że bała się kontaktu z rodziną. Wie brat dlaczego?

– Przypuszczam, że była bita.

– Dlaczego tak brat przypuszcza?

– Socjologicznie rzecz biorąc, to ma sens. Arabska dziewczyna, odcięta od rodziny. A poza tym przypominała mi dzieci, z którymi pracowałem. Nerwowe, za wszelką cenę chcące się przypodobać. Przestraszone, by nie przekroczyć pewnej granicy, jakby za zrobienie czy powiedzenie czegoś złego spodziewały się kary. Może to pan widział. Zmęczone i posiniaczone.

Daniel przypomniał sobie ciało dziewczyny. Gładkie i nieskazitelne, poza rzezią.

– Gdzie miała sińce? – spytał.

– Nie w znaczeniu dosłownym – wyjaśnił Roselli. – Mam na myśli obrażenia psychiczne. Miała wystraszone spojrzenie, jak zranione zwierzę.

Tego samego zwrotu użył Bernardo. Fatma stanowiła przedmiot rozmów obu franciszkanów.

– Jak długo był brat pracownikiem społecznym? – spytał Daniel.

– Siedemnaście lat.

– W Stanach?

Mnich skinął głową.

– W Seattle, w stanie Waszyngton.

– Puget Sound – powiedział Daniel.

– Był pan tam? – spytał zaskoczony Roselli.

– Moja żona jest artystką. Zeszłego lata pracowała nad obrazem, wzorując się na zdjęciach z kalendarza. Puget Sound, wielkie łodzie, srebrzysta woda. Piękne miejsce.

– A także mnóstwo brzydoty – dodał Roselli. – Jeśli się wie, gdzie patrzeć. – Wskazał ręką ponad krawędzią dachu, na płataninę uliczek i podwórek. – Oto – powiedział – piękno. Uświęcone piękno. Trzon cywilizacji.

– To prawda – powiedział Daniel, ale pomyślał, że takie widzenie jest naiwnym przesłodzeniem, postrzeganiem przez odrodzonego. Ów trzon cywilizacji, jak to nazwał mnich, od trzech tysiącleci był uświęcany krwią. Fala za falą, grabieże i masakry, wszystko w imieniu jakichś świętości.

Roselli spojrzał przed siebie i Daniel podążył za jego wzrokiem. Błękit nieba zaczynał ciemnieć. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Przepływające obłoki rzucały platynowe cienie na kopułę Świątyni na Skale. Dzwony Saint Saviour wybiły godzinę, przy wtórze wołania muezina z pobliskiego minaretu.

Daniel powrócił do śledztwa.

– Ma brat jakieś wytłumaczenie, jak Fatma znalazła się na Starym Mieście?

– Nie. Na początku myślałem, że zmierzała do Little Sisters od Charles Foucauld. One ocierają twarze biedakom i ich kaplica jest blisko miejsca, w którym ją znalazłem. Poszedłem do nich i spytałem, ale nigdy jej tam nie widzieli.

Dotarli do ostatnich bezułek. Roselli odstawił konewkę i spojrzał na Daniela.

– Zostałem pobłogosławiony, inspektorze – powiedział gwałtownie. Z żarliwym przekonaniem. – Dostałem szansę na nowe życie. Staram się jak najwięcej rozmyślać i jak najmniej mówić. Naprawdę nie mam panu nic więcej do powiedzenia.

Ale gdy to mówił, jego twarz obwisła, jakby pod ciężarem jakiejś trudnej do udźwignięcia myśli. Coś go kłopotczy, pomyślał Daniel i nie pozwolił mu odejść.

– Czy przychodzi bratu do głowy coś, co mogłoby mi pomóc? Coś, co Fatma powiedziała lub zrobiła, a co pomogłoby mi ją zrozumieć?

Mnich zatarł ręce. Piegowate dłonie, knykcie zbrązowiałe od słońca, paznokcie pożółkłe i popękane. Spojrzał na warzywa, potem w dół, a potem znów na warzywa.

– Przykro mi, ale nie.

– Jakie ubrania nosiła?

– Miała tylko jedną sukienkę.

– Jakiego koloru?

– Białą. Chyba w jakieś prążki.

– Jakiego koloru?

– Nie pamiętam, inspektorze.

– Nosiła biżuterię?

– Nie zauważyłem.

– Kolczyki?

– Mogła mieć kolczyki.

– Może je brat opisać?

– Nie – odparł mnich z emfazą. – Nie przyglądałem się jej tak dokładnie. Nie jestem nawet pewny, czy jakieś nosiła.

– Istnieje wiele rodzajów kolczyków – powiedział Daniel. – Kółka, wisiorki, gwoździe.

– Mogły być kółka.

- Jakiej wielkości?
- Małe, bardzo proste.
- Jakiego koloru?
- Nie mam pojęcia.

Daniel podszedł bliżej. Habit mnicha zalatywał zapachem ziemi i liści pomidorów.

- Czy może mi brat powiedzieć coś więcej?
- Nic.
- Zupełnie nic? – naciskał Daniel, pewien, że jest coś więcej. – Muszę ją zrozumieć.

Roselli wywrócił oczami. Westchnął ciężko.

- Widziałem ją z młodymi mężczyznami – rzekł cicho, jakby zdradzał czyjeś zaufanie.
- Iloma?

– Co najmniej dwoma.

– Co najmniej?

– Wychodziła wieczorem. Widziałem ją z dwoma. Mogło ich być więcej.

– Niech mi brat opowie o tych dwóch, których widział.

– Jeden spotykał się z nią o, tam. – Roselli wskazał na wschód, w stronę Greckiego Ortodoksyjnego Patriarchatu, z rosnącymi wzdłuż murów krzewami winorośli i drzewkami owocowymi. – Chudy, z długimi ciemnymi włosami i wąsikami.

– W jakim był wieku?

– Starszy od Fatmy. Miał pewnie z dziewiętnaście lub dwadzieścia lat.

– Arab?

– Tak przypuszczam. Rozmawiali, a Fatma znała tylko arabski.

– Tylko rozmawiali czy robili coś jeszcze?

Roselli poczerwieniał.

– Trochę się... całowali. Gdy się ściemniało, szli dalej.

– Dokąd?

– W kierunku centrum Starego Miasta.

– Widział brat, dokąd?

Mnich spojrział na miasto, wyciągnął ręce wnętrzem dłoni do góry, w geście bezsilności.

– To labirynt, inspektorze. Wkraczali w cień i znikali.

– Ilu takich spotkań brat był świadkiem?

Słyszac słowo „świadek”, mnich się wzdrygnął, jakby uświadomił sobie, że ją śledził.

– Trzy lub cztery.

– O jakich porach dnia się spotykali?

– Byłem na dachu, więc w porze zachodu słońca.

– A gdy się ściemniało, odchodzili razem?

– Tak.

– Na wschód?

– Tak. Naprawdę nie przyglądałem im się tak dokładnie.

– Co jeszcze może mi brat powiedzieć o mężczyźnie z długimi włosami?

– Wyglądało na to, że Fatma go lubi.

– Że go lubi?

– Uśmiechała się na jego widok.

– Jak się ubierał?

– Wyglądał na biedaka.

– W łachmanach?

– Nie, po prostu na biednego. Nie potrafię powiedzieć, co sprawiało takie wrażenie.

– Dobrze – rzekł Daniel. – A ten drugi?

– Widziałem go tylko raz. Na kilka dni przed jej odejściem. To było w nocy, w takich samych okolicznościach jak wtedy, gdy ją zabraliśmy do klasztoru. Wracaliśmy z późnej mszy,

usłyszałem głosy, płacz od strony Bab el Jadid, spojrzałem i zobaczyłem ją siedzącą, mówiącą do tego faceta. Stał obok niej i zauważyłem, że był niski, miał może z pięć stóp i pięć lub sześć cali wzrostu. W dużych okularach.

– W jakim wieku?

– Trudno powiedzieć, bo było ciemno. Zobaczyłem refleks światła na jego głowie, więc musiał być łysy. Ale nie sądzę, by był stary.

– Dlaczego?

– Jego głos... brzmiał chłopięco. I sposób, w jaki stał, postawa, wskazywała na kogoś młodego. – Roselli zamilkł. – To tylko takie wrażenie, inspektorze. Nie mógłbym przysiąc, czy tak było na pewno.

Wrażenia, które w sumie dawały doskonały opis Anwara Rashmawiego.

– Czy robili coś poza tym, że rozmawiali? – spytał Daniel.

– Nie. Jeżeli coś... pomiędzy nimi było, dawno się skończyło. On mówił bardzo szybko, sprawiał wrażenie rozgniewanego, jakby ją beształ.

– Jak na to reagowała Fatma?

– Płakała.

– Czy coś mówiła?

– Może kilka słów. Przede wszystkim mówił on. Wyglądało tak, jakby był jej zwierzchnikiem. Ale to część ich kultury, prawda?

– Co się stało, gdy przestał ją besztać?

– Odszedł rozdrażniony, a ona została, płacząc. Zastanawiałem się, czy do niej podejść, zdecydowałem, że nie, i wróciłem do klasztoru. Następnego ranka pracowała, więc musiała także wrócić. Kilka dni potem odeszła.

– W jakim była nastroju po tym spotkaniu?

– Nie mam pojęcia.

– Wyglądała na przestraszoną? Smutną?

Roselli znów się zarumienił, tym razem mocniej.

– Nie przyglądałem się jej tak dokładnie, inspektorze.

– A jakie brat miał wrażenie?

– Nie miałem żadnego wrażenia, inspektorze. Jej nastroje to nie moja sprawa.

– Czy brat był kiedykolwiek w jej pokoju?

– Nie. Nigdy.

– Czy widział brat coś, co by wskazywało na to, że przyjmowała narkotyki?

– Oczywiście, że nie.

– Wydaje się brat bardzo tego pewien.

– Nie. Ja... ona była bardzo młoda. Bardzo prosta dziewczynka.

Pochopny wniosek jak na byłego pracownika socjalnego, pomyślał Daniel.

– Na dzień przed odejściem miała na sobie białą sukienkę w prążki?

– Tak – odparł Roselli. – Już mówiłem, że miała tylko tę jedną.

– A kolczyki?

– Jeżeli w ogóle były kolczyki.

– Jeżeli – powtórzył Daniel. – Czy brat chciałby mi powiedzieć coś więcej?

– Nie – odparł Roselli, krzyżując ramiona na piersi. Pocił się obficie.

– W takim razie dziękuję. Był brat bardzo pomocny.

– Naprawdę? – spytał Roselli, zakłopotany. Jakby się starał zdecydować, czy był cnotliwy czy grzeszny.

Interesujący człowiek, pomyślał Daniel, wychodząc z klasztoru. Nerwowy, drażliwy i coś jeszcze – niedojrzały.

Gdy ojciec Bernardo mówił o Fatmie, jego troska była całkowicie ojcowska. A odpowiedzi Rosellego, ich zabarwienie emocjonalne były zupełnie inne. Jakby on i

dziewczyna byli na tym samym poziomie.

Daniel zatrzymał się na ulicy Bab el Jadid, obok miejsca, gdzie Roselli dwukrotnie widział Fatmę. Starał się zebrać wrażenia na temat mnicha. W tym człowieku coś się gotowało. Złość? Poczucie krzywdy? Ból spowodowany zazdrością – to było to. Roselli mówił, że Fatma została zraniona, ale to on sprawiał wrażenie zranionego. Odtrącony kochanek. Zazdrosny o młodych mężczyzn, których Fatma spotykała wieczorami.

Chciał się dowiedzieć czegoś więcej na temat rudowłosego mnicha. Dlaczego Joseph Roselli, pracownik socjalny z Seattle w stanie Waszyngton, zmienił się w przebranego w brązowy habit ogrodnika, który nie potrafił się skupić na świątobliwej medytacji. I myśli o piętnastoletniej dziewczynie.

Poleci jednemu ze swoich ludzi, Daoudowi, śledzenie mnicha, a sam sprawdzi jego przeszłość.

Należało również odpowiedzieć na inne pytania. Kim był długowłose chłopak Fatmy i dokąd z nim chodziła? I co działo się z Anwarem, który wiedział, gdzie jego siostra znalazła schronienie. I besztal ją na krótko przed jej zniknięciem.

ROZDZIAŁ 17

Słowa, myślał Avi Cohen. Potoki słów, dławiły go, zapychały, sprawiały, że mąciło mu się w głowie. Istne piekło. I w sobotę także. Oto jego randka: teczki.

Oglądanie zdjęć zaginionych nieletnich było nudne, ale do zniesienia – fotografie były w porządku. Potem jednak Shmeltzer otrzymał wiadomość telefoniczną i powiedział, że wszystko na nic. Że teraz ma robić coś innego. Nowe zadanie: przejrzeć jeszcze raz te same dwa tysiące teczek, szukając nazwiska, co było o wiele trudniejsze, niż się mogło wydawać, bo chłopcy od komputerów poprzekładali teczki i nie miały już one porządku alfabetycznego. Istne piekło. Ale stary, zbyt zajęty swoją pracą, zdawał się nie spostrzegać jego opieszałości.

Wreszcie skończył, nie znalazłszy żadnych Rashmawich, i powiedział o tym Shmeltzerowi, który nawet nie uniósł głowy, zlecając mu następne zadanie. Miał pójść do archiwum i szukać tego samego nazwiska we wszystkich starych teczkach dotyczących przestępstw. We wszystkich. Rashmawi, jakkolwiek Rashmawi.

Oficerem w archiwum była kobieta, urzędniczka, ale w stopniu wyższym niż on. I upierdliwa, kazała mu wypełnić całą górę formularzy, zanim wydała mu spisy komputerowe, co oznaczało nie tylko czytanie, ale i pisanie. Jeszcze więcej słów, przypadkowe zbiory linii i krzywizn, wir kształtów, które był w stanie narysować, jeśli się bardzo skupił, aby zastosować sposoby, których się uczył przez całe lata, by odcyfrować to, co innym przychodziło z taką łatwością. Siedząc przy szkolnej ławce w kącie, jakby był jakimś przerośniętym, zapóźnionym uczniakiem. Koncentrując się, aż oczy zaszyły mu mgłą i rozboleła go głowa.

To był rodzaj zajęcia, jakiego starał się uniknąć i dlatego wybrał pracę w policji.

Zaczął od zabójstw, najcięższej kategorii i najmniej licznie reprezentowanej. Przynajmniej tutaj spisy były alfabetyczne. Pierwszym krokiem było zlokalizowanie w każdej podkategorii tych nazwisk, które zaczynały się od „resz”, co było trudne, bo litera „resz” i „dalet” wyglądają tak podobnie, i chociaż „dalet” jest na początku alfabetu, a „resz” blisko końca, jego przekłety mózg wciąż o tym zapominał. „Jud” także stanowi problem, jeżeli ogląda się ją bez innych liter i zapomni o tym, że jest mniejsza, ma ten sam kształt co „resz”. Wielokrotnie gubił miejsce i musiał zaczynać od początku, jadąc palcem wzdłuż kolumn drobnego druku. Ale w końcu uporał się ze wszystkimi „Przestępstwami przeciw ludzkiemu życiu: morderstwo, usiłowanie morderstwa, zabójstwo, spowodowanie śmierci przez zaniedbanie, pogrożki oraz inne przestępstwa”, które zawsze doczepione są na końcu. W 263 teczkach ani jednego Rashmawiego.

„Przestępstwa naruszające ludzkie ciało” były absolutną torturą. 10 000 teczek, kilkaset pod „resz”. Gdy skończył, głowa bolała go jeszcze bardziej, w skroniach mu pulsowało, wokół oczu miał gorące, rozpalone kręgi.

„Przestępstwa naruszenia cudzej własności” były jeszcze gorsze, prawdziwy koszmar: rabunek zdawał się być narodowym sposobem spędzania czasu, wszystkie te łatwe włamania do mieszkań, kiedy obydwoje małżonkowie wychodzili do pracy, ponad 100 000 teczek, tylko część z nich w komputerze. Niemożliwe. Odłożył je na później. Shmeltzer miał wydruki „Przestępstw na tle seksualnym”, więc pozostawały: „Bezpieczeństwo”, „Naruszenie

porządku publicznego”, „Obraza moralności”, „Defraudacja” oraz „Przestępstwa ekonomiczne i administracyjne”.

Zaczął od „Bezpieczeństwa”. Rashmawi byli Arabami. Spośród 932 przypadków połowa polegała na pogwałceniu praw bezpieczeństwa, co oznaczało terroryzm. Wśród terrorystów nie było żadnych Rashmawich. Ani jednego. Walka ze słowami wzmogła ból głowy do gigantycznego, gorącego pulsowania i mdłości, które kiedyś stale odczuwał w szkole. Naukowo nazywało się to nadmiernym wysiłkiem mózgu. Ojciec nazywał to udawaniem. Nawet po wszystkich wyjaśnieniach lekarzy. Bzdury, powiedział, jeżeli ma dość siły, żeby grać w piłkę nożną, jest też wystarczająco silny, aby odrobić lekcje...

Drań.

Wstał i zapytał panią oficer z archiwum, czy mają tam jakąś kawę. Siedziała za swoim biurkiem i czytała coś, co wyglądało na roczny raport o przestępstwach, i nie odpowiedziała mu.

– Kawa – powtórzył. – Mam wypełnić formularz, żeby dostać trochę kawy?

Uniosła głowę. Niebrzydka dziewczyna, naprawdę. Mała brunetka z warkoczami o milutkiej spiczastej twarzyczce. Marokanka lub Irakijka, właśnie taka, jakie lubił.

– Co to znaczy?

Uśmiechnął się.

– Masz trochę kawy?

Spojrzała na zegarek.

– Jeszcze nie skończyłeś?

– Nie.

– Nie wiem, dlaczego zajmuje ci to tak wiele czasu.

Cipa. Opanował się.

– Kawa? Masz trochę.

– Nie. – Wróciła do swego sprawozdania. Zaczęła czytać i zupełnie o nim zapomniała. Wykresy i statystyki. Jakby to była jakaś romantyczna powieść.

Przeklinając w duchu, wrócił do spisów. „Obraza moralności”: 60 przypadków stręczycielstwa. Nic. „Nagabywanie”: 130 przypadków. Nic. „Prowadzenie burdelu”, „Uwodzenie nieletnich”, „Rozpowszechnianie niepryzwoitych materiałów”. Nic, nic, nic.

„Włóczęgostwo w celu prostytutki”, niewielka liczba przypadków: 18 rocznie. Dwa pod literą „resz”:

Radnick J. Obwód Północny

Rashmawi A. Obwód Południowy

Zapisał numer sprawy, pracując nad każdą cyfrą, sprawdzając dwukrotnie, by nie popełnić błędu. Wstał i podszedł do kontuaru. Odchrząknął. Oficer archiwum uniosła wzrok znad przekłętego sprawozdania.

– Co znowu?

– Potrzebuję sprawozdania. – Odczytał cyfry.

Marszcząc czoło, wyszła zza biurka, podała mu formularz zapotrzebowania i rzekła:

– Wypełnij to.

– Znowu?

Nie odpowiedziała, tylko obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

Wziął kartkę, przesunął wzdłuż kontuaru, wyjął pióro i pocąc się, wypełniał. Zbyt długo.

– Hej – wreszcie powiedziała dziewczyna. – W czym problem?

– W porządku – odparł i podał jej formularz.

Obejrzała dokument, spojrzała na Aviego, jakby był jakimś dziwadłem, a niech ją, wzięła formularz i poszła do archiwum. Po kilku minutach wróciła z teczką: RASHMAWI A.

Odebrał ją, wrócił do biurka, usiadł i odczytał nazwisko na naklejce: Anwar Rashmawi.

Otworzył teczkę i przejrzał raport z aresztowania: Sprawca został zatrzymany trzy lata

temu na Zielonej Linii, niedaleko Sheikh Jarrah, po tym jak on i prostytutka wpakowali się w jakąś awanturę. Detektyw z Latam wykonywał w pobliżu swoje zadanie. Ukryty w krzakach, wypatrywał terrorystów i usłyszał hałas. Prawdziwy pech dla Anwara Rashmawiego.

Na drugiej kartce było coś z opieki zdrowotnej, co wyglądało na sprawozdanie lekarskie, a Avi widział ich wiele. Postanowił, że zeskanuje całą zawartość teczek, a potem przeczytał ją od początku, słowo po słowie, aby dobrze wypaść przed Shmeltzerem.

Przewrócił następną kartkę. O, nareszcie coś, z czym sobie poradzi. Zdjęcie z polaroidu. Kolorowe. Uśmiechnął się. Ale potem przyjrzał się mu i jego uśmiech zamarł.

Cholera. Tylko spójrz. Biedaczysko.

ROZDZIAŁ 18

Niedziela, dziewiąta rano, a upał już nie do zniesienia.

W obozowisku Deisze cuchnęło siarką ze ścieków. Tutejsze domy, jeżeli można tak nazwać ceglane rudery podziurawione otworami okiennymi, były kryte papą. Pomędzy nimi biegły bagniste rowy, służące za ścieżki.

Gówniane miejsce, pomyślał Shmeltzer, idąc za Chińczykiem i nowym dzieciakiem, Cohenem, odpędzając muchy i komary. Kierowali się na tyły obozu, gdzie podobno mieszkał ten mały szczyt Issa Abdelatif.

Z tego, co opowiadał Chińczyk, wieśniacy z Silwan okazali się nierozmowni. Ale Daoud przycisnął pewną starą wdowę i, w końcu, wydusił z niej nazwisko długowłosego chłopaka Fatmy. Podśluchała, jak członkowie rodziny Rashmawich o nim rozmawiali. Typek z nizin społecznych. Nie miała pojęcia, gdzie mieszkał.

Nazwisko pojawiło się jeszcze raz w teczkach dotyczących „Przestępstw naruszenia własności”, podkategoria: „Kradzież przez zatrudnionego lub agenta”. Wysłał Cohena, aby poszukał teczek, a dzieciak został w archiwum tak długo, że Shmeltzer zaczął się obawiać, czy nie utopił się w toalecie albo czy nie zrezygnował z pracy. Pofatygował się, by odszukać Aviego, i spotkał go, wbiegającego po schodach. Uśmiechał się od ucha do ucha, z wyrazem „patrzcie na mnie” na ładnej chłopięcej twarzy. Głupi dzieciak.

Teczka nie zawierała nic nadzwyczajnego. Abdelatif pracował minionej jesieni jako kopacz rowów na budowie w Talpilot i gdziekolwiek się pojawił, zaczynały ginąć narzędzia. Zarządca wezwał policję i przeprowadzone śledztwo wykazało, że mały śmieć kradnie kilofy, kielnie i łopaty, aby sprzedawać je mieszkańcom obozu uchodźców, gdzie mieszka ze szwagrem i siostrą. Zatrzymany, poprowadził policjantów do schowka w tyle obozu, dziury w ziemi, gdzie wciąż ukrytych było wiele narzędzi. Zarządca, zadowolony, że udało się odzyskać większość ze skradzionych dóbr i chcąc uniknąć kłopotów związanych ze sprawą sądową, nie wniósł oskarżenia. Dwa dni aresztu w więzieniu przy placu Rosyjskim, i gówniarz znów znalazł się na ulicy.

Gnojek o szczurzym pyszczku, pomyślał Shmeltzer, wspominając zdjęcie. Długie włosy w strąkach, słabo zarysowana broda, nędzne wąsiki, oczka gryzonia. Dziewiętnaście lat i bez wątpienia kradł przez całe swoje życie. Czterdzieści osiem godzin za kratkami, to dla takiego śmiecia za mało. Trochę wycisku w Ramie, a zastanowiłby się dwa razy, zanim sięgnąłby po cudzą rzecz. A oni nie musieliby brnąć przez osłe gówno, aby go odnaleźć...

Wszyscy trzej mieli uzi, oprócz pistoletów 9 mm. Uzbrojeni najeźdźcy. Przy wjeździe na teren obozu czekała na nich wojskowa ciężarówka. Widać, kto tu jest panem. Ale i tak musieli się oglądać, grzęznąć w gnoju.

Shmeltzer nienawidził takich miejsc. Nie z powodu biedy i beznadziei, lecz dlatego, że dla niego nie miały sensu.

Całe to gadanie na temat Arabów i ich poczucia więzi rodzinnych, a spójrzcie, jak traktują swoich.

Pieprzony król Husajn. Przez dziewiętnaście lat okupowania Judei i Samarii nie zrobił nic

dla dobra społecznego. Zbyt zajęty budową przeklętego pałacu przy drodze do Hebronu i zdobywaniem swojej przeklętej amerykańskiej żonki. Nie, wtedy wciąż jeszcze miał jedną z Arabek.

Raz na rok uchodźcy pisali listy do Ministerstwa Opieki Społecznej i Pracy w Ammanie i, jeśli mieli szczęście, trzy miesiące później każda rodzina otrzymywała kilka dinarów lub dziewięć kilogramów mąki. Dzięki ci, Gówniany Królu.

Jednakże dobroczyńcy – prywatne agencje – byli wszędzie dookoła, a przynajmniej ich biura. Klimatyzowane, przy najlepszych ulicach Betlejem i Jerozolimy. Stowarzyszenie Świętego Wiktora, Komitet Usług Amerykańskich Przyjaciół, Luteranie, AMIDEAST, UNIPAL, ANERA, z amerykańskimi pieniędzmi pochodzącymi z ropy naftowej. I ONZ z tym ich białym znakiem przyczepionym od frontu na ogrodzeniu z drutu kolczastego, który otaczał obóz. ADMINISTROWANE PRZEZ OENZETOWSKĄ AGENCJĘ DO SPRAW POMOCY I ZATRUDNIENIA. Administrowane. I cóż to, do diabła, znaczy?

Nie mówiąc o Saudyjczykach i Kuwejtczykach. I pieprzonej Organizacji Wyzwolenia Palestyny; wielki biznes z bankami, fabrykami i farmami oraz lotniskiem w Afryce. Sprawozdanie, które niedawno widział, oceniało wartość sieci tych łajdaków na dziesięć miliardów. Abu Mussa otrzymywał miesięcznie tysiąc dolarów na wydatki reprezentacyjne.

Mimo całej tej forsy i wszystkich przeklętych dobroczyńców ludzie w obozach żyją jak rozbitkowie. Na co, do diabła, idą te pieniądze? Częściową odpowiedzią na to pytanie był mercedes faceta z ONZ, parkujący naprzeciw obozu. Dostają subsydia wysokości 4000 dolarów amerykańskich, ale sam mercedes nie wyjaśnia sprawy.

Wielki szwindel, złodziejstwo, które z rozkoszą poddałby śledztwu.

Ów facet z ONZ był Norwegiem o kwaśnej minie, z szyją obwiązaną kaffijah. Odgrywa rolę Wielkiego Białego Ojca z notatnikiem i długopisem na łańcuszku, spoglądając z góry na sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu ludzi, którzy ustawiają się w kolejce po jakieś przywileje. Gdy trzech detektywi go mijali, spojrzął na nich jak na złoczyńców. Ale Dani powiedział, żeby nie robić zamieszania, więc tylko przystanęli na chwilę, patrząc, jak ten drań wypełnia formularze, rozgląda się i traci czas. Po chwili spytali go o adres Abdelatifa. Ludzie w ogonku musieli na razie poczekać na kasek, który miał rozparcelować Norweg. Typowe.

Jakby rozwiązanie problemu, który stworzyli Arabowie, należało do Żydów. Jedzenie gówna, na które nikt inny nie ma apetytu. A przeklęty rząd poszedł na to, odgrywając liberała – obciążając kosztami izraelską pomoc społeczną, dając uchodźcom domy, szkoły, darmową służbę zdrowia. Od 1967 roku śmiertelność wśród noworodków u uchodźców zmalała. Więcej małych szczyli na utrzymaniu.

Według niego ludzie z obozu byli tchórzami i potomkami tchórzy. Uciekli z Jaffy, z Lod, z Hajfy i z Jerozolimy, Arabski Legion wystraszył ich na śmierć tymi swoimi audycjami radiowymi jak z roku 1948. On sam miał wtedy osiemnaście lat i dobrze je pamiętał. Ochryple głosy wrzeszczące, że Żydzi zjadają niemowlęta żywcem, że obetną cycki arabskim kobietom, zmielą ich kości, wylupią oczy i wypiją krew.

Zaczął się *dżihad*, zapewniały głosy. Święta wojna, która zakończy wszystkie wojny. Niewierni zostali zaatakowani i wkrótce zostaną otoczeni i wyparci nad Morze Śródziemne. Wyjeżdżajcie natychmiast i wracajcie ze zwycięskimi siłami Zjednoczonych Wojsk Arabskich. Nie tylko odzyskacie swe domy, szlachetni bracia, ale będziecie mieli przywilej skonfiskowania wszystkiego, *co* nagromadzili brudni syjoniści.

Tysiące z nich posłuchało, uwierzyło i rzuciło się do ucieczki. Pchali się do Syrii i Libanu, Gazy i Jordanu tak licznie, że most Allenby uginał się pod ich ciężarem. A gdy się już tam znaleźli, cóż uczynili dla nich bracia Arabowie z silnym poczuciem więzi rodzinnych? Wybudowali obozy i tam ich zamknęli. Tylko tymczasowo, Ahmed. Poczekać w swoim milutkim namiociku. Wkrótce nastanie raj, martwi Żydzi i nieprzebrane morze dziewic

do pieprzenia.

I wciąż czekają, pomyślał, spoglądając na wysuszoną starą kobietę siedzącą na ziemi i gniotącą w garnku ciecierzycę. Drzwi do jej nory były otwarte; wewnątrz znajdował się równie wysuszony starzec, leżący na materacu i palący nargile. Pieprzone piłeczki politykierów.

Wykształceni uciekinierzy znaleźli pracę i osiedlili się na całym świecie. Ale biedacy, nieudacznicy i głupcy zostali w obozach. Żyjąc jak zwierzęta i tak samo się rozmnażając. Było ich 400 000 w obozach Libanu, Jordanu i Syrii, następne 300 000 wylądowało po 1967 roku w Izraelu, z czego w samej Gazie 230 000. Według niego, należało wybudować mur wokół Strip, umieścić tam wszystkich uchodźców i nazwać to Palestyną.

Trzysta tysięcy nieszczęśników. Łupy wojenne.

Lepianka, którą wskazał im Norweg, wyglądała, jakby się miała zawalić. Z jednej strony piętrzyły się puste pojemniki po benzynie. Biegały po nich jaszczurki, polujące na owady.

Maksoud, szwagier, siedział przed domem przy stoliku do gry w karty. Miał na sobie brudną białą koszulkę trykotową i czarne wyszmelcowane spodnie. Grał w szeszbesz z mniej więcej dwunastoletnim chłopcem. Z pierworodnym synem. Wielki przywilej siedzieć tak ze starym i trwonić życie.

Nie, żeby stary był aż tak stary. Facet o sennym spojrzeniu, ciastowatej twarzy, może trzydziestoletni, z wąsami jak u szczura, wcale nie lepszymi niż u Abdelatifa. Kościste ramiona i wystający brzuszek. Na lewym przedramieniu blizna jak wijący się robak. Paskudna.

Potrząsnął kośćmi, spojrzął na uzi, rzucił kości, i powiedział:

- Nie ma go.
- Kogo nie ma? – zapytał Shmeltzer.
- Tej świni, pijawki.
- Czy ta świnią jakoś się nazywa?
- Abdelatif, Issa.

Na ścianę budynku wbiegła gruboskóra jaszczurka, podrzuciła główką i zniknęła.

- Dlaczego sądzisz, że go szukamy? – zapytał Chińczyk.
- A kogóż by? – Maksoud przesunął dwa krawki do tryktraka. Dziecko podniosło kość.
- Chcemy zajrzeć do twego domu – powiedział Shmeltzer.
- Nie mam domu.

Zawsze ta różnica zdań.

– Do tego domu – powiedział Shmeltzer, dając mu do zrozumienia tonem głosu, że nie jest w nastroju na takie bzdety.

Maksoud spojrzął na niego. Shmeltzer odwrócił wzrok i kopnął ścianę domu. Maksoud odkaslnął flegmę i wrzasnął:

- Aisha!
- Niska chuda kobieta otworzyła drzwi. W dłoni trzymała szarawą ścierkę do naczyń.
- Policja. Szukają twego świńskiego brata.
- Nie ma go – powiedziała przestraszona kobieta.
- Przyszli tu, aby obejrzeć nasz dom.

Chłopiec wyrzucił dwie szóstki. Przesunął trzy krawki ku sobie i zdjął jeden z planszy.

– Ach – powiedział Maksoud i wstał od stołu. – Zostaw to, Tawfik. Zbyt szybko się uczysz.

W jego tonie zabrzmiała pogroźka i chłopiec usłuchał, równie przestraszony jak jego matka.

– Odejdź stąd – powiedział Maksoud i chłopiec uciekł. Szwagier odepchnął żonę i wszedł do domu. Detektywi za nim.

Tak, jak się można było spodziewać, pomyślał Shmeltzer. Dwa maleńkie pokoiki i

stanowisko kuchenne; gorąco, brudno i smrodliwie. Niemowlę na podłodze, główkę obsiadły mu muchy, obok pełny nocnik. Brak wody bieżącej i elektryczności. Karaluchy na ścianach.

Żona zajęła się wycieraniem naczyń. Maksoud usiadł ciężko na podartej poduszce, która kiedyś była chyba częścią sofy. Jego bladeść nabrała żółtawego zabarwienia. Shmeltzer zastanawiał się, czy to była zasługa oświetlenia czy żółtaczki. Miejsce wyglądało niebezpiecznie, zaraźliwie.

– Weź papierosa – powiedział Chińczyk, pragnąc stłumić smród. Wielki mężczyzna wyjął paczkę marlboro i podał Maksoudowi, który zawahał się i wziął jednego papierosa, którego zapalił mu detektyw.

– Kiedy widziałeś go po raz ostatni? – zapytał Shmeltzer, gdy tamci dwaj wydmuchnęli dym.

Maksoud znów się zawahał, a Chińczyk nie miał zamiaru czekać na odpowiedź. Zaczął chodzić po pomieszczeniu, dotykając rzeczy, ale lekko, nie natrętnie. Shmeltzer zauważył, że Cohen wygląda na zagubionego i nie wie, co robić. Jedną rękę oparł na uzi. Na pewno śmiertelnie przerażony.

Shmeltzer powtórzył pytanie.

– Cztery albo pięć dni temu – powiedział Maksoud. – *Insza'Allah*, i tak się będzie ciągnąć przez wieczność.

Kobieta zebrała się na odwagę, by podnieść wzrok.

– Gdzie on jest? – zapytał ją Shmeltzer.

– Ona nic nie wie – rzekł Maksoud. Jedno jego spojrzenie i kobieta opuściła głowę, jakby ją popchnął dłonią.

– Miał w zwyczaju odchodzić?

– A czy świny mają zwyczaje?

– Czym cię tak rozgniewał?

Maksoud roześmiał się chłodno.

– *Zaijel mara* – splunął. – On jest jak kobieta. – Najgorsza z możliwych arabskich zniewag, określająca Abdelatifa jako nieodpowiedzialnego i niegodnego zaufania. – Opiekuję się nim od piętnastu lat, a on sprawia same kłopoty.

– Jakie kłopoty?

– Kiedy był całkiem mały, bawił się zapalkami i omal nie puścił tego domu z dymem. Nie, żeby to była wielka strata, no nie? Wasz rząd obiecał mi dom. Minęło pięć lat, a ja wciąż mieszkam w tej norze.

– Co jeszcze oprócz zapalek?

– Rozmawiałem z nim o zapalkach, starałem się go nauczyć rozumu. Ale ta mała świnka nie przestała i jeden z moich synów poparzył sobie twarz.

– Co jeszcze? – powtórzył Shmeltzer.

– Co jeszcze? Kiedy miał około dziesięciu lat, zaczął ciąć nożem szczury i koty, żeby przyglądać się, jak zdychają. Przynosił je do domu i patrzył. Ona nie zrobiła nic, aby go powstrzymać. Kiedy się o tym dowiedziałem, sprąłem go na kwaśne jabłko, a on zagroził mi nożem.

– Co wtedy zrobiłeś?

– Zabrałem mu nóż i zbiłem go jeszcze bardziej. Niczego się nie nauczył. Głupia świnka!

Siostra stłumiła łkanie. Chińczyk przestał chodzić z miejsca na miejsce. Cohen i Shmeltzer obejrżeli się i zobaczyli łzy spływające po policzkach kobiety.

Mąż zerwał się i wrzasnął:

– Głupia kobieto! Czy ja kłamię? Czy kłamię, że on jest świnią, potomkiem świń? Gdybym wiedział, jaki rodowód przyniesiesz mi w posagu, uciekłbym z naszego ślubu, aż do Mekki.

Kobieta cofnęła się i znów zwiesiła głowę. Wytarła naczynie, które już dawno wyschło.

Maksoud zaklął i usiadł na poduszce.

– Jakich noży używał, by zabijać zwierzęta? – zapytał Chińczyk.

– Różnych. Cokolwiek znalazł lub ukradł, co jest jeszcze jedną jego zaletą. To złodziej! – Maksoud rozejrzał się po pokoju. – Widzicie, jacy jesteśmy bogaci. Próbowałem przejąć jego przydział od ONZ, chciałem, żeby się dołożył, ale on zawsze chował swoje pieniądze, a na dodatek kradł moje. Wszystko na te śmierdzące gry.

– Jakie gry? – zapytał Shmeltzer.

– Szeszbesz, karty, kości.

– Gdzie uprawiał hazard?

– Wszędzie, gdzie grano.

– Chodził, żeby grać, do Jerozolimy?

– Do Jerozolimy, do Hebronu.

– Wygrał kiedykolwiek?

To pytanie rozwścieczyło Maksouda. Zaciśnął pięść i zaczął potrząsać chudą ręką.

– Zawsze przegrywał! Pasożyt! Kiedy go znajdziecie, wrzucicie go do jednego z waszych więzień. Wszyscy wiedzą, jak tam traktują Palestyńczyków.

– Gdzie możemy go znaleźć? – spytał Shmeltzer.

Maksoud wzruszył ramionami.

– Czego od niego chcecie?

– A jak myślisz?

– Może być wszystko. To urodzony złodziej.

– Widziałeś go kiedy z dziewczyną?

– Nie z dziewczynami, a z dziwkami. Trzy razy przywłókł do domu wszy. Wszyscy musieliśmy się myć jakimś świństwem, które dał nam lekarz.

Shmeltzer pokazał mu zdjęcie Fatmy Rashmawi.

– Widziałeś ją?

Żadnej reakcji.

– Nie.

– Narkotyzował się?

– Skąd mam wiedzieć?

Jakie pytanie, taka odpowiedź...

– Jak myślisz, dokąd poszedł?

Maksoud znów wzruszył ramionami.

– Może do Libanu, może do Ammanu, może do Damaszku.

– Ma rodzinę w którymś z tych miejsc?

– Nie.

– A gdzie indziej?

– Nie. – Maksoud spojrzał na żonę z nienawiścią. – Jest ostatnim potomkiem tej cuchnącej linii. Rodzice zmarli w Ammanie. Został tylko jeden brat, który mieszkał w Bejrucie, ale w zeszłym roku wykończyli go Żydzi.

Siostra zasłoniła twarz rękami i usiłowała zniknąć w kącie części kuchennej.

– Czy Issa był kiedykolwiek w Libanie? – zapytał Shmeltzer; jeszcze jedno głupie pytanie, ale żeby tu dojść, musieli zapadać się w gównie, więc czemu nie zapytać? Jego znajoma z Sheratonu nie zajmowała się polityką, ale miała inne źródła, by się dowiedzieć.

– Niby po co? To złodziej, nie bojownik.

Shmeltzer się uśmiechnął, podszedł bliżej i spojrzał na lewe przedramię Maksouda.

– Ukradł tę bliznę dla ciebie?

Szwagier szybko schował rękę.

– Wypadek przy pracy – powiedział. Ale buńczuczność jego tonu z trudem maskowała łzy w oczach.

– Nożownik – powiedział Chińczyk, gdy jechali z powrotem do Jerozolimy.

*

Klimatyzacja nie działała i wszystkie okna były otwarte. Wyprzedzili wojskowy pojazd na gąsienicach i Araba na ośle. Kobiety w czarnych sukniach zrywały figi z wielkich, powykrzywianych drzew rosnących wzdłuż drogi. Ziemia miała kolor świeżo upieczonego chleba.

– Bardzo wygodne, co? – zapytał Shmeltzer.

– Nie podoba ci się to?

– Jeżeli to prawda, jestem zachwycony. Najpierw znajdziemy tego łajdaka.

– Dlaczego szwagier rozmawiał z nami tak swobodnie? – zapytał Cohen. Siedział za kierownicą. Szybka jazda dodawała mu pewności siebie.

– A czemu by nie miał? – odparł Shmeltzer.

– Jesteśmy wrogami.

– Zastanów się, chłopysiu – powiedział starszy mężczyzna. – Co nam właściwie powiedział?

Cohen przyspieszył na zakręcie, poczuł pot spływający po plecach, gdy starał się odtworzyć dokładnie słowa przesłuchiwanego.

– Niewiele.

– Otóż to – stwierdził Shmeltzer. – Pobekiwał jak koza, dopóki nie doszliśmy do sedna sprawy, czyli gdzie znaleźć szczyła. Wtedy się zamknął. – W radiu rozległy się trzaski. Wyłączył je. – Skutek jest taki, że łajdak ulżył sobie, zrzucając z siebie niemało gówna, a nic nam nie powiedział. Gdy wrócimy do komendy, wyślę mu rachunek za seans psychoterapeutyczny.

Pozostali detektywi roześmiali się i Cohen wreszcie poczuł się jednym z nich. Siedzący z tyłu Chińczyk wyciągnął długie nogi i zapalił marlboro. Zaciągnął się głęboko i wystawił rękę przez okno, pozwalając, by wiatr zdmuchnął popiół.

– Co z braćmi Rashmawi? – zapytał Shmeltzer.

– Ten z defektem nie wyszedł z domu przez całą noc – odparł Chińczyk. – Dwaj starsi to twardziele. Daoud i ja wypytywaliśmy ich, zanim doszli do domu, a oni nawet nie mrugnęli powieką. Twarde sztuki, jak ich ojciec. Nie mają o niczym pojęcia. Ani drgnęli, gdy im powiedzieliśmy, że Fatma nie żyje.

– Zimni – powiedział Cohen.

– Jak się pracuje z Arabem? – zapytał Shmeltzer.

Chińczyk zaciągnął się dymem i zamyślił.

– Z Daoudem? Jak z każdym innym, tak mi się zdaje. Dlaczego?

– Po prostu pytam.

– Musisz być tolerancyjny, Nahum – powiedział Chińczyk z uśmiechem. – Otwórz się na nowe doświadczenia.

– Nowe doświadczenia to bzdury – rzekł Shmeltzer. – Stare są wystarczająco złe.

ROZDZIAŁ 19

W niedzielę o szóstej po południu Daniel wrócił do pustego mieszkania.

Dwadzieścia cztery godziny wcześniej wyszedł z Saint Saviour i poszedł pieszo przez Stare Miasto, Via Dolorosa i przez dzielnicę chrześcijańską, w której mieściły się liczne kościoły i miejsca upamiętniające ostatnią drogę Jezusa, dalej przez El Wad Road do krytego bazaru przy David Street oraz Street of the Chain. Rozmawiał z arabskimi sprzedawcami pamiątek, zachwalającymi przeznaczone dla amerykańskich turystów trykotowe koszulki wykonane na Tajwanie (I LOVE ISRAEL z małym czerwonym serduszkami zamiast słowa *love*, KISS ME, I'M A JEWISH PRINCE, pod karykaturą żaby w koronie). Wszedł między kramy sprzedawców przypraw, którzy oferowali kminek, kardamon, gałkę muszkatołową i miętę; wypytywał golarzy, z ręcznie posługujących się prostymi brzytwami; rzeźników rozplątujących sztuki baranów i kóz oraz usuwających wnętrzności flakowato zwisające z metalowych haków przytwierdzonych do spryskanych krwią ścian. Pokazywał fotografię Fatmy kowalom, sprzedawcom, tragarzom i żebrakom. Wypytał arabskich policjantów patrolujących dzielnicę muzułmańską oraz ludzi z patrolu granicznego strzegących Zachodniego Muru. Bezskutecznie usiłując znaleźć kogoś, kto widział dziewczynę lub jej chłopaka.

Potem przyszedł czas na krótką przerwę i modlitwę przy Kotelu, a następnie na naradę z pozostałymi detektywami, na rogu parkingu niedaleko dzielnicy żydowskiej. To, co miało być krótkim spotkaniem, bardzo się wydłużyło, gdy Daoud zameldował, że dowiedział się od pani Nasif, że młody Arab nazywa się Abdelatif, a Shmeltzer przyniósł informacje o tym, że obydwaj, Abdelatif i Anwar Rashmawi, byli już aresztowani. Detektywi wymieniali poglądy i dyskutowali nad możliwościami. Sprawa zaczynała nabierać spójności, choć Daniel wiedział, że wciąż są dalecy od uzyskania ostatecznego obrazu.

Kiedy wrócił do domu zeszej nocy, dochodziła północ i wszyscy już spali. Zdrzemnął się niespokojnie i wstał o wpół do szóstej, przejęty i pełen energii. Rodzina Abdelatifa została zlokalizowana w obozie Deisze. Chciał ponownie potwierdzić, że wybiorą się tam z wojskiem, aby wszystko potoczyło się gładko.

Pożegnał się z zaspaną Laurą i, zapinając guziki koszuli, ucałował czółka dzieci. Chłopcy przewrócili się na drugi bok, ale Shoshi objęła go przez sen i przytuliła tak mocno, że musiał odrywać jej palce od swojej szyi.

Opuszczając w ten sposób rodzinę, czuł się winny. Odkąd zaczął pracować nad tą sprawą, nie miał dla nich czasu. I to zaraz po aferze z Szarym Człowiekiem. Właściwie owo poczucie było nieuzasadnione. Minęły dopiero dwa dni, ale bezustanna aktywność sprawiała, że wydawały się dłuższe, a praca w szabat wybiła go z rytmu.

Gdy wyszedł z domu, nawiedziły go wspomnienia z dzieciństwa. Ojciec zawsze miał dla niego czas, uśmiech i słowa pociechy. Czy za dwadzieścia lat Shoshi, Benny i Mikey też będą tak o nim myśleli?

Obrazy z dzieciństwa powróciły, gdy zmęczony po pustych godzinach wyczekiwania wrócił do domu w niedzielę wieczorem, z nadzieją, że zastanie Laurę, zanim pojedzie na

lotnisko po Luanne i Gene' a. Ale w domu panowała cisza, poza radosnym skomleniem Dayana.

Daniel pogłaskał psa, przeczytał wiadomość pozostawioną na stole w salonie („Pojechałam na Ben Gurion, uściski. Jedzenie w lodówce, dzieci u przyjaciół”). Gdyby wiedział, u których przyjaciół, mógłby je odebrać, ale miały ich tylu, że trudno byłoby zgadnąć.

Został w domu tylko po to, by w pośpiechu zjeść kolację – pita i chumus, resztki szabatowego kurczaka, którego nie miał szansy zjeść na ciepło, garstka ciemnych winogron, dwie filiżanki kawy, aby to wszystko popchnąć. Dayan dotrzymywał mu towarzystwa, domagając się resztek, aż marszczyła mu się mała czarna plamka na lewym oku.

– Dobrze już, dobrze – powiedział Daniel. – Ale tylko kawałek.

Skończył posiłek, otarł twarz, podziękował, zmienił koszulę i wyszedł o szóstej trzydzieści pięć. Usiadł za kierownicą escorta i pospieszył z powrotem do Silwan.

Niedziela wieczorem. Koniec szabat chrześcijańskiego. Rozdzwoniły się wszystkie dzwony. Zaparkował na obrzeżach wioski i resztę drogi przebył pieszo. O siódmej znów był w gaju oliwnym, z Daoudem i Chińczykiem. Na czatach.

– Dlaczego po prostu tam nie pójdziemy i nie wyłożymy kawy na ławę? – zapytał Chińczyk. – Powiedzmy im, że wiemy o Abdelatifie i zapytajmy, czy się nim zajęli. – Podniósł oliwkę, która spadła z drzewa, otarł w palcach i odłożył. Dziesiąta trzydzieści trzy, nic się nie dzieje, a on nie może nawet zapalić, żeby ktoś nie spostrzegł żarzącego się koniuszka papierosa. Jedna z tych nocy, kiedy myśli się o wyborze innego zawodu.

– I tak nic by nam nie powiedzieli – odparł Daniel.

– W ten sposób niczego się nie dowiemy. A stając z nimi twarzą w twarz, przynajmniej byśmy ich zaskoczyli.

– Zawsze możemy to zrobić – orzekł Daniel. – Poczekajmy jeszcze chwilę.

– Na co?

– Możliwe, że na nic.

– Z tego, co wiemy – upierał się Chińczyk – facet nadal żyje, gdzieś w Ammanie lub Damaszku.

– Zbadanie tego należy do kogoś innego. My zajmujemy się tą sprawą.

Dziesięć po jedenastej z domu Rashmawich wyszedł jakiś mężczyzna. Rozejrzał się i cicho ruszył w dół. Mały ciemny cień, ledwo widoczny na tle czarnego nieba. Detektywi starali się go nie stracić z oczu, podczas gdy oddalał się na wschód, tam gdzie zbocze stawało się najbardziej strome.

Ostrożnie zszedł ze skarpy i ruszył w dół zboczem, znalazłszy się w centrum pola ich widzenia. Chwilami zanurzał się w ciemności, a potem znów pojawiał się w blasku księżyca. Niczym pływak unoszący się na wodach laguny, pomyślał Daniel, nastawiając lornetkę.

Mężczyzna się zbliżył. Lornetka uczyniła go większym, ale nadal nierozpoznawalnym. Ciemny, rozmyty kształt, uciekający z pola widzenia.

Daniel wspominał rok sześćdziesiąty siódmy. Leżał na brzuchu na Wzgórzu Amunicji, wstrzymując oddech, nie czując ciężaru własnego ciała, odczuwając palący ból, z ciałem zredukowanym do kruchej wydrążonej powłoki.

Teatr Rzeźnika, tak zwą wzgórze Jeruzolimy. Teren pełen paskudnych niespodzianek. Rozplątani żołnierze stawali się tu pokarmem szakali.

Opuścił lornetkę, aby dalej śledzić cień, który nagle stał się ogromny. Usłyszał ochrypy szept Chińczyka i porzucił wspomnienia.

– Cholera! Idzie prosto na nas!

Rzeczywiście – cień zataczał krąg, zmierzając do gaju.

Wszyscy trzej detektywi zerwali się na nogi i szybko umknęli w gąszcz, chowając się za sękate pnie tysiącletnich drzew.

Chwilę później cień wszedł do gaju i znów stał się człowiekiem. Torując sobie drogę wśród gałęzi, wyszedł na polanę, utworzoną przez zwałone i spróchniałe drzewo. Przez gałęzie sączyło się zimne blade światło, czyniące z polany scenę.

Cieężko dysząc, z twarzą skurczoną bólem, mężczyzna usiadł na zwałonym pniu, ukrył twarz w dłoniach i zaczął łkać. Pomiedzy łkaniami rozlegały się zduszone oddechy, a wreszcie słowa, wypowiedane w połowie szeptem, w połowie krzykiem.

– Och, siostró siostró siostró... Zrobiłem tylko to, co do mnie należało... ale to cię nie powróci... och, siostró siostró... my, z mniej lubianej matki... siostró siostró.

Mężczyzna siedział, płacząc i przemawiając w ten sposób. Potem ucichł, zaklął i wyjął coś z kieszeni. Nóż, z długim ostrzem, wyglądający na ciężki, z topornym drewnianym trzonkiem.

Klękawszy na ziemi, uniósł broń nad głowę i zamarł w ceremonialnym geście. Następnie, krzyknawszy, wbił ostrze w ziemię, a potem jeszcze raz i jeszcze. Roniąc łzy, pociągając nosem i łkając: „Siostró siostró siostró”.

Wreszcie przestał. Wyciągnął nóż z ziemi i trzymając go w dłoniach, przyglądał mu się przez łzy. Po czym wytarł go w nogawkę spodni i odłożył na ziemię. Położył się obok niego, zwinął w pozycję embrionalną i pochlipywał.

Wtedy detektywi wystąpili z mroku i podeszli do niego z wycelowanymi karabinami.

ROZDZIAŁ 20

Daniel prowadził zwykłe przesłuchanie. Tylko on i podejrzany, siedzący naprzeciw, w nagim, mocno oświetlonym pomieszczeniu w piwnicach komendy. Pokój był całkowicie pozbawiony charakteru. Normalnie służył za magazyn danych. Słysząc było szum magnetofonu i tykanie zegara na ścianie.

Podejrzany szlochał wstrząsany konwulsjami. Daniel wyjął z pudełka chusteczkę i poczekał, aż pierś mężczyzny przestanie falować. W końcu powiedział:

– Weź to, Anwar.

Brat ofiary otarł twarz, włożył okulary i utkwiał wzrok w podłogę.

– Opowiadałeś o tym, jak Fatma poznała Issę Abdelatifa – rzekł Daniel. – Proszę mówić dalej.

– Ja... – Anwar wydał zdławiony odgłos i przyłożył dłoń do gardła.

Daniel poczekał jeszcze chwilę.

– Wszystko w porządku?

Anwar przełknął i skinął głową.

– Chcesz się napić wody?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– W takim razie mów dalej.

Anwar otarł usta, unikając wzroku Daniela.

– Mów, Anwar. Musisz mi powiedzieć.

– To było na budowie – zaczął brat Fatmy ledwie dosłyszalnym głosem. Daniel pogłośnił magnetofon. – Pracowali tam Nabil i Qasem. Wysłano ją z domu, żeby im zaniósła jedzenie. On także tam pracował i zastawił na nią sidła.

– Jak to zrobił?

Twarcz Anwara skurczyła się ze złości, dołki w białych policzkach zmieniły się w pionowe bruzdy.

– Piękne słówka, zalotne uśmiechy! Ona była ufną, prostą dziewczyną. Kiedy byliśmy dziećmi, zawsze mogłem jej wszystko wmówić.

Nowe łyzy.

– Już dobrze, Anwar. Dobrze robisz, opowiadając mi o tym. Gdzie jest ta budowa?

– W Romema.

– Gdzie w Romema?

– Za ogrodem zoologicznym... tak myślę. Nigdy tam nie byłem.

– Więc skąd wiesz, że Fatma poznała tam Abdelatifa?

– Nabil i Qasem widzieli, jak z nim rozmawiała, ostrzegli go i powiedzieli ojcu.

– Co zrobił ojciec?

Anwar objął się ramionami i zaczął kołysać na krześle.

– Co zrobił, Anwar?

– Zbił ją, ale to jej nie powstrzymało!

– Skąd wiesz?

Anwar przygryzł wargę. Tak mocno, że przeciął zębami skórę.

– Masz – rzekł Daniel, podając mu następną chusteczkę.

Anwar wciąż przygryzał wargę, spozjrzał na czerwoną plamę na chusteczce i uśmiechnął się dziwnie.

– Skąd wiesz, że Fatma nadal widywała się z Issą Abdelatifem?

– Widziałem ich.

– Gdzie ich widziałeś?

– Fatma późno wracała do domu. Ojciec zrobił się podejrzliwy i wysłał mnie... żeby ich śledził. Widziałem ich.

– Gdzie?

– W różnych miejscach. Przy murach Al Quds. – To była arabska nazwa Starego Miasta.

– W wadi, wśród drzew na Górze Oliwnej, wszędzie, gdzie mogli się ukryć. – Głos Anwara stał się piskliwy. – Zabierał ją w ustronne miejsca i plugawił ją!

– Powiedziałeś o tym ojcu?

– Musiałem! To był mój obowiązek. Ale...

– Ale co?

Milczenie.

– Ale co, Anwar?

– Nic.

– Jak myślałeś, co ojciec jej zrobi, gdy się dowie?

Brat jęknął, pochylił się do przodu, wyprostował ręce, wybałuszył oczy za grubymi soczewkami. Wydawał woń śmierci, wyglądał na oszalonego, jak w pułapce. Daniel opanował chęć, by się od niego odsunąć, zamiast tego przysunął się bliżej.

– Co by zrobił, Anwar?

– Zabiłby ją! Wiedziałem, że by ją zabił, więc zanim mu powiedziałem, ostrzegłem ją!

– A ona uciekła z domu?

– Tak.

– Próbowałeś ją uratować, Anwar.

– Tak!

– Dokąd poszła?

– Do chrześcijan w Al Quds. Mnisi w brązowych habitach wzięli ją do siebie.

– Klasztor Saint Saviour?

– Tak.

– Skąd wiedziałeś, że tam się schroniła?

– Dwa tygodnie po tym, jak uciekła, poszedłem na spacer. Do gaju oliwnego, gdzie mnie pan znalazł. Bawiliśmy się tam, Fatma i ja, obrzucając się oliwkami i w chowanego. Nadal lubię tam chodzić. Żeby myśleć. Ona o tym wiedziała i czekała tam na mnie. Przyszła, żeby się ze mną zobaczyć.

– Dlaczego?

– Była samotna, płakała i skarżyła się, że bardzo tęskni za rodziną. Chciała, żebyśmy porozmawiali z ojcem i przekonał go, żeby pozwolił jej wrócić. Spytałem ją, gdzie będę ją mógł znaleźć, a ona powiedziała, że ci w brązowych habitach wzięli ją do siebie. Powiedziałem jej, że to niewierni i że będą ją nawracać na swoją wiarę, ale ona powiedziała, że są mili, a ona nie ma dokąd pójść.

– Jak była ubrana, Anwar?

– Ubrana?

– Co miała na sobie?

– Sukienkę... nie wiem.

– Jakiego koloru?

– Chyba białą.

- Bez wzorów?
- Chyba tak. Czy to ważne?
- A kolczyki?
- Jedyne, jakie miała.
- To znaczy?
- Małe złote kółka. Założyli jej zaraz po urodzeniu.

Anwar znów zaczął płakać.

- Z prawdziwego złota? – zapytał Daniel.
- Tak... Nie... Nie wiem. Wyglądały jak ze złota. Czy to ma znaczenie?
- Przepraszam – powiedział Daniel. – Muszę ci zadać te pytania.

Anwar zapadł się w krzesło, wiotki i zdruzgotany.

- Rozmawiałeś z ojcem, żeby pozwolił jej wrócić? – spytał Daniel.

Gwałtowny ruch głową, drżące wargi. Nawet w tej chwili odczuwał strach przed ojcem.

– Nie, nie! Nie mogłem! Było za wcześnie. Wiedziałem, co by powiedział! Kilka dni potem poszedłem do klasztoru, żeby z nią porozmawiać, powiedzieć, że musi poczekać. Spytałem ją, czy nadal się spotyka z tym kłamliwym psem, a ona powiedziała, że tak, że się kochają! Nakazałem jej, żeby przestała się z nim widywać, ale ona się nie zgodziła i powiedziała, że to okrucieństwo, że wszyscy mężczyźni są okrutni. Wszyscy z wyjątkiem niego. Pokłóciliśmy się i odszedłem. Wtedy widziałem ją po raz ostatni.

Anwar ukrył twarz w dłoniach.

- Na pewno?
- Nie. Widziałem ją jeszcze raz.
- Abdelatifa także jeszcze widziałeś?

Brat uniósł głowę i się uśmiechnął. Serdecznym uśmiechem, który rozświetlił jego zniszczoną twarz. Odrzucił ramiona do tyłu i usiadł prosto.

– Ten, kto nie zemści się na najeźdźcy, niech lepiej umrze, by nie utracić dumy! – wyrecytował czystym, donośnym głosem. Wypowiedziawszy to przysłowie, jakby nabrał życia. Zaciśnął pięść i wyrecytował jeszcze kilka arabskich sentencji, dotyczących honoru i zemsty. Zdjął okulary i utkwiał wzrok w przestrzeni. Z uśmiechem. – Powinność... mój honor – powiedział. – Byliśmy z tej samej matki.

Smutny przypadek, pomyślał Daniel, patrząc, jak Anwar się puszy. Zapoznał się z raportem aresztowania, obejrzał sprawozdania lekarzy z Hadassah, którzy przebadali Anwara po aresztowaniu, zapoznał się z zaleceniami psychiatrów. Zdjęcia polaroidowe jak ze średniowiecznej książki. Dziwna diagnoza: wrodzony mikropenis z wierzchniactwem prądowym – nazywająca po imieniu niedolę nieszczęsnego chłopaka. Urodzony z maleńkim, zdeformowanym kikutem męskiego organu, z cewką moczową nie większą niż strzępek błony śluzowej na górnej powierzchni tego, co powinno być dyszlem, a stanowiło jedynie nieużyteczną bryłkę. Nieprawidłowości pęcherza, które sprawiały, że Anwar miał kłopoty z trzymaniem moczu. Gdy go rozebrano przed wypisaniem akt, okazało się, że nosi kilka warstw ręczników, z których, domowym sposobem, zrobiono swego rodzaju pieluchę.

Jeden z okrutnych żarcików pana Boga? – zastanawiał się Daniel, a potem przestał się zastanawiać, wiedząc, że to bez sensu.

Według lekarzy z Hadassah, operacja plastyczna mogłaby trochę pomóc. W Europie i w Stanach Zjednoczonych byli specjaliści, którzy robili takie rzeczy: wielokrotne operacje rekonstruujące w przeciągu kilku lat, aby stworzyć coś, co będzie wyglądało bardziej normalnie. Ale efekt finalny wciąż będzie daleki od prawdziwej męskości. Ten przypadek był najcięższy ze wszystkich, jakie dotychczas widzieli.

To samo pomyślała prostytutka.

Po latach zmagania i deliberacji, popchnięty niesprecyzowanymi motywami, Anwar udał się pewnej nocy w kierunku Zielonej Linii. Do miejsca niedaleko Sheikh Jarrah, gdzie, jak

powiedzieli jego bracia, włóczyły się prostytutki. Znalazł jedną, opartą o zdezelowanego fiata, starą, zniszczoną i szorstką, o wulgarnych żółtych włosach. Ale z ciepłym głosem, przyjazną i chętną.

Szybko się ugodzili. Anwar nie zdawał sobie sprawy, że go bezczelnie naciągnęła. Usiedli na tylnym siedzeniu fiata. Rozpoznając przerażenie niedoświadczonego, prostytutka uspokajała go i uśmiechała się do niego. Kłamała, że jest milutki, i ocierała mu pot z czoła. Ale gdy mu rozpięła rozporek i sięgnęła po niego, jej uśmiech zamarł. A gdy *to* wyjęła, wstrząs i obrzydzenie sprawiły, że zaczęła się śmiać.

Anwar oszalał z wściekłości i upokorzenia. Rzucił się do gardła prostytutki, starając się zdusić jej śmiech. Broniła się, większa od niego i silniejsza, okładając pięściami i drapiąc, nazywając go dziwolągiem i wołając o pomoc.

Usłyszał ją tajniak i zaarrestował nieszczęsnego Anwara. prostytutka złożyła zeznanie i opuściła miasto. Policjanci nie mogli jej zlokalizować. Zresztą, nie starali się zbytnio. Prostytucja nie jest najważniejszą sprawą, jej uprawianie nie jest legalne, a nagabywanie klientów stanowi naruszenie prawa. Jeżeli dziwki i ich klienci siedzą cicho, obowiązuje układ: żyj i daj żyć innym. Nawet w Te] Awiwie, gdzie na plażach nocą pracuje kilkadziesiąt dziewcząt, robiąc mnóstwo hałasu, aresztowania bywają rzadkie, *chyba że dzieją się naprawdę paskudne rzeczy.*

Brak skarżącej, pierwsze aresztowanie – obyło się więc bez sprawy sądowej. Anwar wyszedł wolny, z zaleceniem, żeby jego rodzina otrzymała dalsze porady medyczne oraz leczenie psychiatryczne. A rodzina rwała się do tego jak do nawrócenia na judaizm.

Żałosne, pomyślał Daniel, spoglądając na Anwara. Pozbawiony tego, co inni mężczyźni uważają za normalne, z powodu braku kilku centymetrów tkanki. Traktowany jak ktoś gorszy niż mężczyzna, przez rodzinę i kulturę... każdą kulturę. Odesłany do kobiet.

– Chciałbyś coś zjeść lub się napić? – zapytał. – Kawy, soku? Kawalek ciasta?

– Nie, nic – odparł Anwar z brawurą. – Czuję się świetnie.

– W takim razie powiedz mi, jak pomściłeś honor Fatmy.

– Po jednym z ich... spotkań poszedłem za nim. Na dworzec autobusowy.

– We wschodniej Jerozolimie?

– Tak – odparł zdziwiony. Jakby był jeszcze jakiś inny dworzec. Dla niego wielki dworzec w zachodniej części miasta – żydowski dworzec – w ogóle nie istniał. W Jerozolimie jeden kilometr znaczył tyle co nieskończoność.

– Jaki to był dzień tygodnia?

– Czwartek.

– Jaka pora dnia?

– Wczesny ranek.

– Śledziłeś ich?

– Chroniłem ją.

– Gdzie się spotkali?

– Gdzieś pod murami. Wyszli przez Bramę Nową.

– Dokąd poszła Fatma?

– Nie wiem. Wtedy był ostatni raz.

Anwar zauważył sceptyczną minę Daniela i wyrzucił ręce w górę.

– To on mnie interesował! Gdyby nie on, wróciłaby posłusznie do domu!

– Więc poszedłeś za nim na stację.

– Tak. Kupił bilet na autobus do Hebronu. Do odjazdu zostało trochę czasu. Podszedłem do niego, powiedziałem, że jestem bratem Fatmy, że mam pieniądze i chcę mu zapłacić, żeby tylko przestał się z nią widywać. Zapytał, ile, a ja mu powiedziałem, że sto dolarów amerykańskich. On zażądał dwustu. Targowaliśmy się i ustaliliśmy, że sto sześćdziesiąt. Umówiliśmy się na następny dzień, w gaju oliwnym, przed wschodem słońca.

- Był podejrzliwy?
- Bardzo. Na początku przypuszczał, że to jakiś podstęp. – Na twarzy Anwara pojawił się wyraz dumy. Okulary zsunęły mu się z nosa, więc je poprawił palcem. – Ale ja go przechytryłem. Kiedy powiedział, że to podstęp, powiedziałem: w porządku, wzruszyłem ramionami i odszedłem. Pobiegł za mną. To chciwy pies, chciwość zwyciężyła. Umówiliśmy się na spotkanie.
- Na kiedy?
- Piątek rano. O wpół do siódmej.
- Zaraz po tym, jak znaleziono ciało Fatmy.
- Co się zdarzyło podczas spotkania?
- Przyszedł z nożem, żeby mnie obrabować.
- Tym samym nożem, który znaleźliśmy przy tobie dziś w nocy?
- Tak. Przyszedłem pierwszy i czekałem na niego. Wyjął nóż od razu, gdy mnie spostrzegł.
- Zauważyłeś, skąd przyszedł?
- Nie.
- Jak wyglądał?
- Jak złodziej.
- Miał czyste ubranie?
- Takie samo jak zawsze.
- Mów dalej.
- Miał nóż i chciał mnie zranić, ale ja także byłem uzbrojony. Miałem młotek. Schowałem go za pniem zwalonego drzewa. Wyjąłem dziesięć dolarów. Wyrwał mi je z ręki i domagał się reszty. Powiedziałem, że resztę będę wypłacał ratami. Pięć dolarów tygodniowo, za każdy tydzień bez widywania Fatmy. Zaczął obliczać w pamięci. Był tępy, więc trochę to trwało. „To trzydzieści tygodni”, powiedział wreszcie. „Właśnie”, odpowiedziałem. „Tak właśnie postępuje się ze złodziejem”. Wtedy się wściekł. Zaczął iść ku mnie z nożem, mówiąc, że już nie żyję, tak samo jak Fatma. Że ona dla niego nic nie znaczyła, że jest śmieciem, który powinno się wyrzucić. Że wszyscy Rashmawi to śmiecie.
- Tak powiedział? Że ona nie żyje? Że jest śmieciem, który powinno się wyrzucić?
- Tak. – Anwar znów się rozplakał.
- Powiedział coś jeszcze?
- Ze sposobu, w jaki to powiedział, mogłem przypuszczać, że ją... skrzywdził. Przyszedłem na to spotkanie, żeby go zabić, i wiedziałem, że mój czas nadszedł. Zaczął się zbliżać, trzymając nóż w ręce, ze wrokiem utkwionym we mnie, z oczami jak u łasicy. Roześmiałem się, udając głupiego, mówiąc, że tylko żartowałem i że reszta pieniędzy jest tutaj, za pniem drzewa. „Dawaj je”, rozkazał, jakby się zwracał do niewolnika. Powiedziałem mu, że są zakopane pod pniem i że potrzeba dwóch mężczyzn, żeby je wydostać.
- Ryzykowałeś – stwierdził Daniel. – Mógł cię zabić i potem wrócić po pieniądze.
- Tak, to było ryzykowne – odparł Anwar z zadowoleniem. – Ale on był chciwy. Chciał wszystkiego tam i natychmiast. „Pchaj”, rozkazał. Potem ukląkł koło mnie z nożem w jednej ręce, a drugą starał się przeturlać pień. Udawałem, że pcham, schwyciłem go za kostki nóg i mocno szarpnąłem. Upadł i zanim zdążył wstać, chwyciłem młotek i uderzyłem. Wiele razy. Spojrzał zza okularów rozmarzonym wrokiem.
- Czaszka łatwo pękła. Wydała dźwięk jak arbuz rzucony na skałę. Wziąłem jego nóż i zadałem cios. Zachowałem nóż na pamiątkę.
- Gdzie zadałeś cios? – spytał Daniel, chcąc mieć zeznanie na taśmie. Ciało zostało odkopane i wysłane do Abu Kabir. Levi zadzwoni w tej sprawie za dzień lub dwa.
- W gardło.
- Jeszcze gdzieś?

– W... narządy męskie.

Dwa z trzech miejsc, które wycięto Fatmie.

– A w brzuch?

– Nie – odparł z niedowierzaniem, jakby pytanie było absurdalne.

– Dlaczego w gardło i w genitalia?

– Aby go uciszyć. I zapobiec dalszym grzechom.

– Rozumiem. Co było potem?

– Zostawiłem go tam, poszedłem do domu i wróciłem z łopata. Zakopałem go, a potem posłużyłem się łopata, żeby przetoczyć kłodę na grób. Tam, gdzie panu pokazałem.

Szczałki Abdelatifa wyjęto z głębokiego grobu. Wykopywanie go musiało zająć Anwarowi wiele godzin. Pień przykrył wyrobisko. Daniel poczuł się mniej głupio. Nie na darmo przesiadywał tu godzinami, obserwując dom i dotrzymując towarzystwa nieboszczykom.

– Zapłaciłeś mu tylko dziesięć dolarów – powiedział Daniel.

– Tak. I zabrałem je z powrotem.

– Z jego kieszeni?

– Nie, ścisnął je w tej swojej chciwej łapie.

– Jakie nominały? – spytał Daniel.

– Jedna amerykańska dziesięciodolarówka. Zakopałem banknot razem z nim.

Rzeczywiście, został znaleziony na ciele.

– To wszystko? – zapytał Anwar.

– Jeszcze jedno. Czy Abdelatif był narkomanem?

– Nie zdziwiłbym się. To szumowina.

– Ale nie wiesz na pewno?

– Nie znałem go – odparł Anwar. – Ja go tylko zabiłem.

Otarł łzy z twarzy i uśmiechnął się.

– Dlaczego się uśmiechasz? – spytał Daniel.

– Jestem szczęśliwy – powiedział Anwar. – Bardzo szczęśliwy.

ROZDZIAŁ 21

Zupełnie jak apartament w King David Hotel, pomyślał Daniel, wchodząc do gabinetu Laufra. Boazerie, złociste wykładziny z dyskretnym oświetleniem i pięknym widokiem na pustynię. Gdy gabinet należał do Gavriego, wewnątrz było cieplejsze, półki przeładowane książkami i fotografiami Wspaniałego Gideona i jego równie wspaniałej żony.

W rogu stała gablotka pełna wyrobów rzemieślniczych. Monety, urny i talizmany, zupełnie jak kolekcja, którą Daniel widział w Amelia Catherine. Biurokraci wyraźnie lubili takie rzeczy. Czyżby usiłowali kamuflować własną bezużyteczność, szukając wyimaginowanych związków z bohaterami przeszłości? Nad gablotką wisiała mapa Palestyny, chyba wyjęta z jakiejś starej książki. Ściany ozdobione były zadedykowanymi fotografiami wszystkich premierów, począwszy od Ben Guriona, wyraźnie dając do zrozumienia, że Laufer ma przyjaciół na stanowiskach. Ale podpisy na zdjęciach były ogólnikowe, żaden z nich nie wymieniał Laufra z nazwiska, i Daniel zastanawiał się, czy fotografie należały do zastępcy komendanta, czy też zostały wyjęte z jakiegoś archiwum.

Zastępca komendanta był dziś w mundurze, siedział za wielkim biurkiem z drewna tekowego, popijając wodę sodową. W pobliżu jego prawej dłoni znajdowała się tacka z drewna oliwkowego, a na niej syfon i dwie puste szklanki.

– Niech pan siada – powiedział i gdy Daniel to uczynił, przesunął w jego stronę kartkę papieru. – Za kilka godzin damy to prasie.

Oświadczenie liczyło dwa paragrafy, nosiło aktualną datę i tytuł: POLICJA ROZWIĄZAŁA ZAGADKĘ MORDERSTWA NA SCOPUS ORAZ ZWIĄZANEGO Z NIM ZABÓJSTWA Z ZEMSTY.

Zastępca komendanta policji, Avigdor Laufer, oświadczył dziś, że Wydział Zabójstw Okręgu Południowego rozwiązał sprawę młodej dziewczyny, którą zasztyletowaną znaleziono przed czterema dniami na górze Scopus. Śledztwo wykazało, że Fatma Rashmawi, 15 lat, mieszkanka Silwan, została zamordowana przez mieszkańca obozu dla uchodźców Deisze, Issę Quader Abdelatifa, 19 lat, który był notowany na policji z powodu kradzieży i zachowań antyspołecznych. Ciało Abdelatifa znaleziono w gaju niedaleko Silwan, gdzie zostało zakopane przez jednego z braci ofiary, Anwara Rashmawi, 20 lat. Rashmawi, który także był notowany, przyznał się do zabójstwa, którego dokonał, aby pomścić honor siostry. Obecnie przebywa pod nadzorem policji.

Śledztwo było prowadzone przez zespół detektywów Wydziału Zabójstw, pod dowództwem nadinspektora Daniela Sharavi i nadzorowane przez zastępcę komendanta, Laufra.

Prasa, pomyślał Daniel. Nazwiska na papierze. Świat przeniesiony z ulic. Z Teatru Rzeźnika. Odłożył oświadczenie.

– I co? – zapytał Laufer.

– Fakty.

Laufer napił się wody sodowej, spojrzął na syfon, jakby się zastanawiał, czy poczęstować Daniela, zrezygnował i powtórzył:

– Fakty.

Opadł na oparcie krzesła i przyglądał się Danielowi, czekając, aż powie coś więcej.

– To dobre oświadczenie. Powinno uszczęśliwić gazety.

– A pana uszczęśliwia, Sharavi?

– Nadal odnoszę się do tej sprawy z rezerwą.

– Nóż?

– To także. – Nóż Abdelatifa miał grube, tępe ostrze. Nawet w przybliżeniu nie pasował do ran zadanych Fatmie.

– Abdelatif był nożownikiem – odrzekł Laufer. – Miał ich więcej niż jeden.

– Patolog powiedział, że Fatmę pocięto co najmniej dwoma nożami, więc musiałyby mieć trzy. Nie zostały znalezione, ale to jest niezgodność, z którą mogę żyć. Ukrył noże lub je komuś sprzedał. Trapi mnie to, że bazujemy wyłącznie na opowiadaniu brata ofiary. Oprócz tego, że tak powiedział, nie mamy żadnych dowodów. Nic, co by plasowało Abdelatifa w pobliżu Scopus, nic, co by tłumaczyło, jak się tam dostał albo dlaczego ją tam podrzucił. Od czasu gdy Fatma odeszła z klasztoru, do chwili gdy znaleziono jej ciało, minęło co najmniej dwadzieścia godzin. Nie mamy pojęcia, co robili przez cały ten czas.

– Kroił ją, ot, co robili.

– Ale gdzie? Brat powiedział, że kupił bilet na autobus do Hebronu. Dziewczyna dokąd poszła. Dokąd? A przede wszystkim nie ma motywu, dla którego miałby ją zabić. Anwar powiedział, że się rozstali, umówiwszy się na schadzke, bez śladów wrogości. No i jest fizyczny kontekst morderstwa, umycie ciała, jego spreparowanie. Uczesane włosy, znieczulenie heroiną. Nie znaleźliśmy żadnego włókna, odcisku stopy lub odcisków palców. To wskazuje na kalkulację, inteligencję, zimną kalkulację, a to, co wiemy o Abdelatifie, nie wskazuje na taką bystrość.

Zastępca komendanta założył dłonie na kark i powiedział z umyślnym lekceważeniem:

– Wiele słów, Sharavi. Ale głównie chodzi o to, że szuka pan odpowiedzi na najdrobniejsze szczegóły. To nie jest realistyczne podejście.

Laufer czekał. Daniel milczał.

– Przesadza pan – ciągnął dalej zastępca komendanta. – Wiele z pańskich wątpliwości łatwo wyjaśnić tym, że Abdelatif był złodziejem i psychopatą o niskich pobudkach. Torturował zwierzęta, znęcał się nad kuzynem, skaleczył wuja. Czy morderstwo tak bardzo odbiega od takich zachowań? Kto wie, dlaczego zabił i dlaczego postanowił ją podrzucić w taki właśnie sposób? Doktorzy od głowy nie rozumieją takich rzeczy, ani ja, ani ty. Z tego, co wiemy, gdy przyszło do morderstwa, okazał się inteligentny – przekłety geniusz. Może wcześniej ciął i kąpał inne dziewczyny, i nigdy go nie schwytano. Ludzie z obozów przesiedleńczych nigdy nie dzwonią na policję. Może miał dziesięć noży, był jakimś cholernym fanatykiem noży. Kradł narzędzia, czemu nie noże? Jeśli chodzi o to, gdzie to zrobił, mógł to zrobić gdziekolwiek. Może spotkali się na dworcu, zabrał ją do domu i pociął na terenie obozu.

– Kierowca autobusu do Hebronu jest pewny, że Abdelatif był w autobusie, a Fatmy w nim nie było.

Laufer kpiąco pokiwał głową.

– Jak mógł cokolwiek zauważyć przy tym całym ścisku, kurczętach i bagażach? Co by nie mówić, Rashmawi zrobił dobry uczynek, uwalniając od niego świat. O jednego psychologa mniej.

– Równie dobrze winowajcą może być Rashmawi – zaproponował Daniel. – Wiemy, że z jego psychiką nie było całkiem dobrze. A jeśli zabił ich oboje? Z zazdrości lub żeby zrobić wrażenie na ojcu. A potem zmyślił opowiastkę o Abdelatifie, aby wydać się bardziej godnym szacunku.

– „A jeśli”. Ma pan na to jakieś dowody?

– Podaję tylko przykład...

– Gdy jego siostra została zamordowana, Rashmawi był w domu. Rodzina ręczy za niego.

– Tego się można spodziewać – powiedział Daniel. Zeznanie Anwara zmieniło go z dziwolągą w bohatera rodziny. Cała rodzina Rashmawich udała się przed bramę więzienia na placu Rosyjskim, urządając wielkie przedstawienie solidarności. Ojciec bił się w piersi i oferował własne życie za „odważnego, błogosławionego syna”.

– To, czego się można spodziewać, może także być prawdą, Sharavi. A nawet jeśli alibi było nieprawdziwe, nigdy nie zmusi pan rodziny, aby zmieniła zeznania. Zresztą Rashmawi nie będzie chodził po ulicach. Zostanie odosobniony w Ramie. – Laufer zatarł ręce. – Dwa ptaszki.

– Nie na długo – stwierdził Daniel. – Oskarżenie zostanie zredukowane do orzeczenia, że było to działanie w obronie koniecznej. Plus łagodzące czynniki psychologiczne i kulturowe. Co oznacza, że za kilka lat będzie swobodnie chodził po ulicach.

– To już problem prokuratora – powiedział Laufer. – Na razie będziemy opierać się na faktach, które mamy w ręku.

Laufer urządził przedstawienie, przesuwał dokumenty, nalewając sobie wody z syfonu i proponując Danielowi.

– Nie, dziękuję.

Laufer zareagował na tę odmowę, jakby to był policzek.

– Sharavi – powiedział gniewnie. – Sprawa morderstwa została wyjaśniona w kilka dni, a pan siedzi tu z taką miną, jakby ktoś umarł.

Daniel przyjrzał mu się, szukając ironii w celowym doborze słów, jakiejś skrywanej wiedzy, którą Laufer podał w formie niesmacznego żartu. Dopatrzył się jedynie irytacji. Urazy zwierzchnika w stosunku do podwładnego, który zmylił krok w marszu.

– Przestań się pan doszukiwać nie istniejących problemów, Sharavi.

– Jak sobie pan życzy, tat nicaw.

Laufer zassał policzki.

– Wiem, że pochodzi pan z rodu, który przybył tu z Arabii przez pustynię. Ale dziś mamy samoloty. Nie ma powodu, by sobie utrudniać życie. By podcierać sobie tyłek stopą, kiedy się ma do dyspozycji rękę.

Wziął z biurka oświadczenie dla prasy, przebiegł je wzrokiem i oznajmił Danielowi, że może odejść. Pozwolił mu ująć klamkę, zanim dodał:

– I jeszcze jedno. Czytałem raport z aresztowania Rashmawiego, pierwszego, za duszenie prostytutki. Wydarzyło się to jeszcze przed Szarym Człowiekiem, prawda?

Daniel wiedział, do czego zmierza.

– Ponad dwa lata wcześniej.

– W kategoriach Wydziału Zabójstw to wcale nie długo. Czy Rashmawi był kiedykolwiek przesłuchiwany na okoliczność morderstw popełnionych przez Szarego Człowieka?

– Pytałem go wczoraj. Zaprzeczył wszelkim związkom z tymi zdarzeniami. I powiedział, że oprócz nocy, gdy poszedł do prostytutki, nigdy nie opuszczał nocą domu. Jego rodzina zaręczy za niego, co stanowi bezsporne alibi, jak pan zauważył.

– Ale wcześniej nie był przesłuchiwany?

– Nie.

– Mogę spytać, dlaczego?

Daniel zadawał sobie to samo pytanie.

– Szukaliśmy karanych za obrazę moralności. Jego sprawa została wycofana, zanim znalazła się na wokandzie.

– Można się zastanawiać – powiedział Laufer – ilu jeszcze tak się prześlizgnęło.

Daniel nic nie odrzekł, wiedząc, że każda replika zabrzmi miało i defensywnie.

– Teraz, gdy sprawa z góry Scopus została wyjaśniona – ciągnął zastępcę komendanta –

będzie czas na powrót... przejrzenie teczek i sprawdzenie, co nam umknęło.

– Już zacząłem to robić, tat nicaw.

– Życzę udanego dnia, Sharavi. I gratulacje z powodu rozwiązania sprawy.

ROZDZIAŁ 22

W środę wieczorem, po zamknięciu sprawy ze Scopus, Chińczyk świętował, zabrawszy żonę i syna na darmową kolację. On i Aliza uśmiechali się do siebie ponad talerzami, na których piętrzyły się potrawy: mocno wysmażona wołowina z brokułami, cielęcina na słodko-kwaśno, kurczęta w sosie cytrynowym, chrupiąca kaczka; trzymali się za ręce i cieszyli się z rzadkiej okazji przebywania razem.

– Dobrze, że już po wszystkim – powiedziała, ściskając jego udo. – Będziesz więcej w domu. Pomożesz trochę przy gospodarstwie.

– Coś mi się zdaje, że dzwonią z pracy.

– Nie szkodzi. Podaj mi ryż.

Po przeciwnej stronie sali mały Raf i popijał z zadowoleniem sok jabłkowy prosto z butelki, wtulając się w ramiona babci, która urządziła mu wycieczkę po Shang Hai, nosząc od stolika do stolika i przedstawiając klientom, nazywając go swoim *cankhan katan* – „małym spadochroniarzem”. W tyle sali restauracyjnej, obok drzwi do kuchni, siedział jej mąż, z jarmułką z czarnego jedwabiu na czubku pozbawionej włosów głowy o barwie kości słoniowej, grając w milczeniu w szachy z *maszgiahem* – rabinem przysłanym przez Naczelnego Rabinat w celu sprawdzenia, czy wszystko jest kosherne.*

Ów *maszgiah* był tutaj nowy. Młodzieniec o nazwisku Stolinsky, o plackowatej ciemnej brodzie i nacechowanym łagodnością stosunku do życia. W ciągu trzech tygodni, odkąd pełnił swe obowiązki w Shang Hai, przybrał na wadze pięć funtów, uczując nad naleśnikami z pikantną mieloną cielęciną w sosie hoisin, i ani razu nie udało mu się zaszachować króla Huanga Haima Lee.

Restaurację oświetlały papierowe lampiony. Pachniało czosnkiem i imbirem. Na ścianach pokrytych czerwoną laką wisiały chińskie akwarele i kalendarze. Obłą złota rybka leniwie pływała w szklanym słoju przy stanowisku kasjerki, gdzie zazwyczaj królowała pani Lee. Dzisiaj siedziała tam amerykańska studentka o imieniu Cynthia.

Kelnerem był maleńki, nadmiernie ruchliwy Wietnamczyk, jeden z łódkarzy, których przed laty zabrali Izraelczycy. Biegał od kuchni do jadalni, uwijał się między stolikami, nosząc wielkie tace z talerzami, mówił szybko w łamanej hebrajszczyźnie i śmiał się z dowcipów, które tylko on rozumiał. Duży stolik pośrodku sali był zajęty przez holenderskie zakonnice, radosne kobiety o ciastowatych twarzach, które energicznie przeżuwały i śmiały się razem z Nguyen, starając się jeść pałeczkami. Resztę klienteli stanowili poważnie podchodzący do kwestii jedzenia Izraelici, którzy do czysta opróżniali talerze i wołali o więcej.

Otoczona wielojęzycznym szaleństwem, Aliza uśmiechnęła się i pogłaskała męża po ramieniu. Ujął jej dłoń i ścisnął, objawiając jedynie odrobinę ogromnej siły swych wielkich palców.

* Koszerność – najogólniejsze określenie pokarmów, które wolno jeść zgodnie z ustaleniami żydowskich reguł odżywiania.

Aliza długo nie mogła do tego przywyknąć. Dorastała na farmie w kibucu Jawne. Była białą, kościstą i rudowłosą dziewczyną. Jej pierwsi zalotnicy, krzepcy młodzi traktorzyści, stanowili męski odpowiednik niej samej. Zawsze miała skłonność do dużych mężczyzn, muskularnych, zwalistych typów, przy których czuła się bezpiecznie, ale nigdy nie przypuszczała, że zostanie żoną kogoś, kto wygląda jak przerośnięty mongolski wojownik. I ta jego rodzina: teściowa prawdziwa *jidisze mama*, w chustce na głowie, wciąż mówiąca po hebrajsku z rosyjskim akcentem, i *abba* Haim, stary Budda, żółty jak pergamin; starszy brat Jossiego, David, łagodny, zawsze w garniturze, wiecznie robiący interesy, stale na wyjeździe.

Poznała Jossiego w wojsku. Pracowała w zaopatrzeniu i została przyłączona do jego jednostki spadochronowej. Wpadł kiedyś do jej biura jak *bulwan*, rozgniewany i wyglądający niedorzecznie, bo mundur, który mu przydzielono, był o trzy numery za mały. Zaczął na nią wrzeszczeć, ona odpyskowała, i tak się to zaczęło. Chemia. A teraz jeszcze mały Rafi o płowych włosach, migdałowych oczach i ramionach tragarza. Któż by się spodziewał?

Gdy dobrze poznała Jossiego, doszła do wniosku, że są ulepieni z tej samej gliny. Ci, którzy przeżyli. Wojownicy.

Jej rodzicami byli kilkunastoletni kochankowie, którzy uciekli z Monachium w 1941 roku i przez wiele miesięcy ukrywali się w bawarskim lesie, żywiąc się jagodami i korzonkami. Jej ojciec ukradł karabin i zastrzelił niemieckiego strażnika, aby mogli przedostać się przez granicę. Szli razem, piechotą, przez Węgry, Jugosławię i dalej do Grecji. Wsiedli nocą na statek płynący na Cypr i oddali ostatnie oszczędności cypryjskiemu przemysłowcowi, który wyrzucił ich ze statku, grożąc karabinem, pięć mil od wybrzeży Palestyny. Resztę drogi przepłynęli wprawdzie. Na wpół żywi, wycieńczeni głodem, wyczołgali się na plaży w Jaffie. Unikając arabskich bandytów, dotarli do kolegów w Jawne.

Matka Jossiego także uciekła pieszo przed nazistami. W 1940. Przeszła z Rosji do portu w Szanghaju, gdzie z tysiącami innych Żydów żyła stosunkowo spokojnie. Potem wojna przeniosła się na Pacyfik i Japończycy internowali ich wszystkich do nędznych obozów w Hongkew.

Został tam także osadzony wysoki krzepki student teologii, o nazwisku Huang Lee. Podejrzewano go o kolaborację z aliantami, bo był intelektualistą, i od czasu do czasu włączono go na publiczną chłostę.

Dwa tygodnie przed Hiroszimą Japończycy skazali Huanga Lee na śmierć. Żydzi ukryli go wśród swoich, dzięki czemu uniknął egzekucji. Pod osłoną nocy przekazywano go od rodziny do rodziny. Ostatnia rodzina, u której się ukrywał, przygarnęła również sierotę z Odessy, czarnowłosą dziewczynę, Sonię. Tu także zadziałała chemia.

W 1947 Sonia i Huang przybyli do Palestyny. On przeszedł na judaizm, przybrał imię Haim – „życie” – bo uważał siebie za powtórnie narodzonego. Następnie się pobrali. W 1948 obydwójce walczyli w Palmachu w Galilei. W 1949 osiedlili się w północnej Jerozolimie, aby Huang Haim mógł studiować w Centralnej Jesziwie rabbiego Kooka.* Gdy na świat przyszły dzieci David w 1951, Josef cztery lata później – Huang zaczął pracować jako urzędnik na poczcie.

Przez dwanaście lat stemplował przesyłki, obserwując jednocześnie entuzjazm, z jakim jego współpracownicy pożerali dania, które przynosił na lunch. Potrawy znane z dzieciństwa, których przygotowywania nauczył Sonię. Zaoszczędziwszy dosyć pieniędzy, państwo Lee otworzyli Shang Hai Pałac na Herzl Boulevard, za stacją benzynową Sonol. Było to w roku 1967, gdy dobre nastroje sięgały szczytu i gdy każdy chciał zapomnieć o śmierci i znaleźć nowe przyjemności. Interes szybko rozkwitł.

Nadal kwitł i obecnie Huang Haim Lee mógł sobie pozwolić na zatrudnianie kelnerów, a sam spędzał czas na studiowaniu Talmudu i grze w szachy. Był zadowolony z życia. Martwiło go jedynie, że nie potrafił swoim synom przekazać miłości do religii. Obydwaj byli

* Rabbi Kook – Abraham Izaak (1865-1935), mistyk i rabin Ziemi Świętej.

dobrymi chłopcami: David, analityczny i zorganizowany – doskonały bankier. Jossi doskonale rozwinięty fizycznie, uczciwy i kochający. Ale żaden z nich nie nosił kipy, nie obchodził szabatu i nie czuł pociągu do rabinicznych traktatów, którym on sam nie mógł się oprzeć. Subtelność ich wnioskowania i tłumaczenia Biblii całkowicie go zauroczyły.

Wiedział jednak, że nie ma powodów, by się uskarżać. Jego życie stanowiło ciąg szczęśliwych wydarzeń. Tyle razy otarł się o nieskończoność, tyle razy uniknął wyroku. Nie dalej jak tydzień temu zasypywał ziemią korzenie młodego drzewka granatu, zupełnie jak w biblijnym ogrodzie. Doświadczył przywileju sadzenia drzew w Jerozolimie.

Aliza spostrzegła jego uśmiech, piękny chiński uśmiech, taki spokojny i pełen zadowolenia. Zwróciła się ku mężowi i ucałowała jego dłoń. Jossi spojrzął na nią, zdziwiony tym nagłym objawem uczuć, i uśmiechnął się zupełnie jak jego ojciec.

W tyle sali Huang Haim przesunął swego gońca.

– Szach mat – oświadczył Stolinsky’emu i wstał, by wziąć od żony wnuka.

Żona Eliasa Daouda tyła z roku na rok, tak że teraz spało się z nią jak ze stertą poduszek. I on to lubił. Sięgając w nocy ręką, czuł miękką pulchność. Rozsuwał jej uda i zanurzał się w słodyczy. Nigdy jednak nie podzielił się swymi odczuciami z Moną. Kobiety starają się lepiej, gdy się je krótko trzyma, kiedy są trochę przestraszone. Więc drażnił się z nią, że za wiele je, powtarzał, że przejada jego pensję, szybciej, niż on zarabia pieniądze. A potem uciszał jej płaczliwe przeprosiny, mrugając do niej i ofiarowując sezamowe cukierki, które kupił w drodze do domu.

Przyjemnie mieć wolne i leżeć w łóżku. Doskonale się dostosował i wykonał dla Żydów dobrą robotę.

Mona westchnęła przez sen i przykryła twarz serdelkowanym ramieniem. Uniósł się na łokciach. Patrzył, jak jej pulchne łokieć unosi się przy każdym wdechu. Uśmiechając się, połaskotał ją w stopy. Taka ich gierka. Łagodne budzenie, zanim wpełźnie na górę sadła.

Avi wiedział, że taka dziewczyna nie spodobałaby się jego ojcu. Co czyniło ją jeszcze bardziej atrakcyjną. Marokanka z Południowej Strony. Jedna z tych proletariuszek, które żyją, by tańczyć. I młoda – nie więcej niż siedemnastolatka.

Od razu ją namierzył. Rozmawiała z dwoma innymi smarkulami, które były beznadziejne. Ale ta nie. Ta była naprawdę milutka, a jej sposób bycia zdawał się mówić: „patrzcie na mnie”. Zbyt obfity makijaż. Długie włosy ufarbowane na nieprawdopodobnie czarny kolor i frymuśnie ułożone, jakby w piórka. Co trzymało się kupy, bo powiedziała mu, że zarabia na życie fryzjerstwem. Jasne, że chciała wszystkim pokazać, co umie. Twarz poniżej pierzastej fryzury była dość miła. Lśniące wiśniowe usta, ogromne czarne oczy i mały spiczasty podbródek. No i świetne ciało, szczupłe, wygolone pod pachami, co u brunetek rzadko się zdarzało. Cieniutkie nadgarstki i kostki nóg, dookoła jednej łańcuszek. I najlepsze z wszystkiego, duże miękkie piersi. Zbyt duże w stosunku do całej reszty, co uderzało przy jej szczupłości. Wszystko razem wpakowane do obcisłego jak skóra kombinezону z jakiegoś winylu, który wyglądał jak wilgotny.

Właśnie ów materiał dał mu okazję do zaczepki.

– Oblałaś się? – zapytał, uśmiechając się jak Belmondo z papierosem w ustach. Wsparł dłoń na biodrach i wyeksponował muskulaturę pod obcisłą czerwoną koszulką Fila.

Zachichotała. Zatrzepotała rzęsami i wiedział, że zgodzi się z nim zatańczyć.

Teraz czuł jej wielkie piersi, gdy bujały się do taktu ballady Enrico Maciasa. W dyskotecce po godzinach rocka nareszcie zapanował spokój. Miłe miękkie pagórki ocierające się o jego klatkę. I nacisk bliźniaczych brodawek, napięcie w kroczu. Ona czuła jego twardość i chociaż nie przyciskała się do niej, to nie odsuwała się, co było dobrym znakiem.

Przesunęła dłonią po jego ramieniu, a on pozwolił, by jego palce popęły niżej, pieszcząc kość ogonową, do rytmu muzyki. Jeden palec odważył się zapuścić jeszcze niżej, obmacując początek rozdziałka między pośladkami.

– Oj, niegrzeczny – powiedziała, ale nie usiłowała mu przeszkodzić.

Ręka powędrowała niżej. Ujął jeden pośladek, gładki i jakby gumowy, doskonale mieszczący się w jego dłoni. Uszczypnął lekko i powrócił wyżej, by do taktu muzyki głaskać ją po plecach. Nucił jej do ucha i całował w szyję.

Uniosła twarz z na wpół rozchylonymi ustami, niby się uśmiechając. Musnął jej wargi swoimi, a potem je rozchylił. Pocałunek miał ostry smak, jakby dziewczyna jadła korzenne potrawy i jej język pozostał gorący. Jego oddech był gorzki od alkoholu. Trzy dziny z tonikiem, więcej niż zwykle sobie pozwalał. Ale praca nad morderstwem zdenerwowała go. Całe to czytanie w strachu, że wyjdzie na głupka. Teraz, kiedy było po wszystkim, musiał się odprężyć. Jego pierwsza noc w Tel Awiwie po drace z blondyną Ashera Davidoffa. I nie ostatnia.

W końcu nie poszło tak źle. Sharavi kazał mu napisać szkic sprawozdania, jakby był jakimś cholernym sekretarzem. Na myśl o tych wszystkich słowach ugięły się pod nim kolana i ze zdziwieniem stwierdził, że otwiera usta.

– Nie mogę tego zrobić, pakad – powiedział.

– Czego?

– Nic nie mogę. Odchodzę z policji. – Wyrzucił z siebie, ot, tak, chociaż podjął decyzję właśnie w tej chwili.

Mały Jemeńczyk skinął głową, jakby się tego spodziewał. Spojrzał na chłopaka swymi złocistymi oczami i spytał:

– Z powodu dysleksji?

Avi Cohen skinął głową, zaskoczony. A Sharavi ciągnął dalej:

– Mefakeah Shmeltzer mówił mi, że czytanie zajmuje ci mnóstwo czasu. Gubisz wątek i wciąż musisz zaczynać od nowa. Dzwoniłem do twojej szkoły i powiedziano mi o dysleksji.

– Przykro mi – powiedział Avi i od razu poczuł się głupio. Dawno temu nauczył się, by nie przeproszać.

– Dlaczego? – spytał Sharavi. – Bo nie jesteś doskonały?

– Po prostu nie nadaję się do pracy w policji.

Sharavi uniósł lewą rękę, pokazał blizny.

– Nie mogę się bić z przestępcami, Cohen, więc posługuję się rozumem.

– To co innego.

Sharavi wzruszył ramionami.

– Nie próbuję cię do niczego namawiać. To twoje życie. Ale możesz z tym trochę poczekać. Teraz, kiedy wiem o dysleksji, mogę cię odsunąć od papierkowej roboty. Żebyś mógł się wykazać siłą. – Uśmiech. – Jeżeli ją masz.

Jemeńczyk zabrał Cohena na kawę, wypytywał o jego problem i wyciągnął więcej niż ktokolwiek dotąd. Mistrz przesłuchania, zdał sobie potem sprawę Cohen. Otwierając się, od razu czujesz się lepiej.

– Wiem coś niecoś na temat dysleksji – powiedział, spoglądając na swoją pokrytą bliznami rękę. – Po sześćdziesiątym siódmym spędziłem dwa miesiące w ośrodku rehabilitacyjnym. Beit Levinstein, koło Ra'nana. Pracowałem nad tym, żeby przywrócić ręce niektóre funkcje. Były tam dzieci, które miały trudności z nauką. Patrzyłem, jak walczyły, ucząc się specjalnych metod czytania. Wyglądało to na bardzo trudny proces.

– Nie jest tak źle – odparł Avi, odrzucając litość. – Zdarzają się o wiele gorsze rzeczy.

– Jasne – rzekł Sharavi. – Popracuj trochę w Wydziale Zabójstw, a zobaczysz ich mnóstwo.

Wydawało się, że tańczy i całuje dziewczynę przez całe godziny, ale trwało to zaledwie kilka minut, bo piosenka Maciasa właśnie się skończyła.

– Anat – powiedział, odprowadzając ją z parkietu, z dala od ścisku i jej koleżanek, w ciemny zakątek dyskoteki.

- Tak?
- Może się przejedziemy? – spytał, ujmując jej dłoń.
- Sama nie wiem – powiedziała zachęcająco. – Pracuję jutro.
- Gdzie mieszkasz?
- Bat Jam.

Daleko na południu, pomyślał.

– W takim razie odwiozę cię do domu. – Stała, opierając się plecami o ścianę, i Avi objął jej talię ramieniem. Pochylił się i pocałował. Poczul, że dziewczyna mięknie.

- Mmm – mruknęła.
- Chcesz się jeszcze napić? – Uśmiech, uśmiech, uśmiech.
- Nie jestem spragniona.
- To jedziemy?
- Hm... No, dobrze. Tylko powiem koleżankom.

Później, gdy zobaczyła czerwone bmw, była naprawdę podniecona i nie mogła się doczekać, kiedy wsiądą.

Wyłączył alarm, przytrzymał drzwi, aby wsiadła, i powiedział:

– Pas. – Pomógł jej go zapiąć, dotykając przy okazji piersi dziewczyny. Miała brodawki twarde jak gumki na końcu ołówka. Pocałował ją jeszcze raz i gwałtownie przerwał pocałunek.

Obszedł samochód, wsiadł, zapalił motor, dodał gazu, aż silnik zaryczał, wsunął do magnetofonu taśmę z Elvisem Costello. Pojechał Frischmann na zachód do ulicy Hajarkon, a potem na północ, do Hajarkon, równoległe do plaży. Ibn Gvirol byłby krótszą drogą na miejsce, które sobie zaplanował, ale woda – fale, woń solanki – była bardziej romantyczna.

Przed laty Hajarkon było dla Tel Awiwu dzielnicą czerwonych latarni. Czerwone żarówki paliły się nad wejściami do podrzędnych barów dla marynarzy. Tłuste rumuńskie i marokańskie dziewczyny w rajstopach i siatkowych pończochach wystawały przy drzwiach, a oświetlenie sprawiało, że wyglądały jak spaleni słońcem klauni. Zakrzywiały palce i szczebiotały kusząco: *Bohena jeled!* „Chodź tutaj, chłopaczku!” Będąc uczniem gimnazjum, przyjeżdżał tu bardzo często z przyjaciółmi z Północnej Strony; na dziwki i żeby palić haszysz. Teraz Hajarkon szybko stawało się godne szacunku. Wielkie hotele z salami koktajlowymi i nocnymi klubami, kawiarnie i bary, gdzie tłoczyły się tłumy. A dziwki przeniosły się na północ, na wydmy Tel Baruch.

Avi włączył czwarty bieg i szybko pojechał na owe wydmy. Anat wtórowała Costello, strzelała palcami, śpiewając: *Girl Talk*. Nagle oparła dłoń na kolanie Avi, wcale nie speszona, dobrze wiedząc, że do Bat Jam jechało się w przeciwnym kierunku.

Minął kąpielisko i dojechał do wejścia do portu, gdzie Hajarkon się kończyło. Przyspieszył na moście Ta’Arukha nad rzeką Jarkon i zatrzymał się dopiero na terenie budowy, na południe od wydm, skąd było widać parkujące na piasku samochody.

Zaparkował w cieniu dźwigu, wyłączył silnik i zgasił światła. Od wydm docierały dźwięki muzyki – bębnow i gitar – to prostytutki urządzały sobie przyjęcie, tańcząc z szarfami na piasku, starając się stworzyć odpowiedni nastrój i skusić bogatszych klientów. Wyobraził sobie, co dzieje się w każdym z zaparkowanych samochodów, i bardzo go to pobudziło.

Spojrzał na Anat, ujął jej dłoń jedną ręką, a drugą odpiął suwak kombinezonu. Wsunął dłoń pod ubranie i poczul te jej zachwycające piersi.

– Co? – spytała. Zabrzmiało to głupio, ale on dobrze wiedział, jak to jest mówić niewłaściwe rzeczy w niewłaściwej chwili.

– Proszę – powiedziała. Nie precyzując, czy prosi, aby nie przestawał, czy też, aby przestał.

Teraz wszystko zależało od niego.

– Pragnę cię – powiedział, całując każdy jej palec. – Muszę cię mieć. – Z nutką błagania i żarliwością, którą one wszystkie tak lubiły.

– Och – westchnęła, gdy zaczął lekko lizać i kąsać jej dłoni.

W tym właśnie był najlepszy. Wtedy czuł się ważny. Wtem wyczuł napięcie w jej cudownym małym ciałku.

– Sama nie wiem...

– Anat, Anat. – Zsunął kombinezon z jej ramion. Nagła nagość sprawiła, że dziewczyna przywarła do niego. – Takie piękne – powiedział, spoglądając na uwolnione piersi, mlecznobiałe w świetle nocy. Nie musiał udawać zachwyty.

Bawił się nimi, całował każdą z maleńkich, twardych jak kamyczki brodawek, ssąc je i głaszcząc jej wargi sromowe przez lśniąca czarną tkaninę. Wziął jej rękę i położył na swojej erekcji.

Gdy nie cofnęła dłoni, odprężył się. Kiedy zaś zaczęła się wic i przeżyć, uśmiechnął się do siebie. Misja wypełniona.

Nahum Shmeltzer słuchał trzeszczącej płyty z Mozartem i jadł konserwową ciecierzycę. Na oparciu fotela leżały plasterki żółtego sera, które zaczynały wysychać na brzegach, oraz otwarte opakowanie z jogurtem naturalnym. Zrobił sobie za słabą kawę, ale to nieważne. Pragnął czegoś gorącego, do diabła ze smakiem.

Jego mieszkanie składało się z jednego pokoju na poziomie ulicy w budynku w Romema. Żałona budowla z czasów Mandatu, która pozostała nie zmieniona do dziś. Właścicielami byli bogaci Amerykanie, którzy mieszkali w Chicago i nie byli w Jerozolimie od dziesięciu lat. Co miesiąc wysyłał czek za wynajem do agencji na Ben Jehuda i w zamian spodziewał się podstawowych wygód.

Kiedyś był właścicielem farmy. Pięć *dunam* w spokojnym *moszawie*,* niedaleko Lod. Brzoskwinie i morele, winogrona i miejsce na warzywa. Trzymał starego konia roboczego, dla Arika, i urządził szklarnię dla Leah. Stado kur, które niosły ryle jaj, że starczyłoby dla całego *moszawu*. Świeże omlety, zroszone ogórki i pomidory każdego ranka. Dawno temu, gdy smak miał jakieś znaczenie.

Droga do Jerozolimy była w tym czasie kiepska, niepodobna do dzisiejszej autostrady. Ale on nie miał nic przeciwko codziennym podróżom na plac Rosyjski. Ani przeciwko pracy w podwójnym wymiarze: cały dzień na ulicach, a po powrocie do domu – na farmie. Praca zapewniała mu dobre samopoczucie. Kładł się do łóżka zmęczony i obolały, ale ze świadomością, że dał z siebie wszystko. Że życie ma sens.

ARBEIT MACHT FREI – takie napisy umieszczali w obozach naziści. Praca czyni wolnym. Te pieprzone dupki miały na myśli co innego, ale była w tym prawda. Albo przynajmniej on wtedy w to wierzył.

Teraz wszystko się popieprzyło, granice zniknęły – granice między tym, co normalne i nienormalne, wartościowe i bezwartościowe... Znów się na tym złapał. Dosyć. Znowu filozofuje. Chyba ma zatwardzenie.

Płyta się skończyła.

Wstał z fotela, wyłączył adapter, przeszedł do części kuchennej i wyrzucił nie dojedzone resztki do popękanego plastikowego wiadra na śmieci. Wyjął z barku butelkę stuprocentowej śliwownicy i zabrał ze sobą na fotel.

Popijając powoli z butelki, czuł, jak likwor przepływa przez przełyk i wypala drogę do żołądka. Wewnętrzna erozja. Wyobrażał sobie uszkodzenia tkanek, cieszył się bólem.

W miarę jak się zatruwał, zaczął rozmyślać o zarzniętej dziewczynie i jej zwiariowanym bracie eunuchu. Smarkaczowi, którego wykopali w gaju oliwnym, robaki zaczęły zżerać twarz. Śmierdząca sprawa. Wiedział o tym i zdawał sobie sprawę, że Dani wie także. Zbyt łatwo, zbyt szybko.

* *Moszaw* – wioska spółdzielcza.

Ten zwariowany, pozbawiony fiuta eunuch. Żałosne. Ale kogo to obchodzi, pieprzeni Arabowie wciąż się kroją w zgodzie z pseudokulturowymi bzdurami. Lumpenproletariat. Ile krajów posiadają? Dwadzieścia? Dwadzieścia pięć? I kapryszą jak zasrane bachory, bo nie mogą mieć tych kilku kilometrów kwadratowych, które należą do Żydów. Cała ta palestyńska bzdura. Kiedy był dzieckiem, Żydzi byli Palestyńczykami. On sam był przeklętym Palestyńczykiem. Teraz to słowo stało się pieprzoną pułapką.

Gdyby rząd miał olej w głowie, użyłby agentów prowokatorów, aby zerznęli wszystkie arabskie dziewice, a potem przekonali ich rodziny, że zrobił to mieszkający obok Ahmed. Należałoby dostarczyć im wszystkim wielkie noże i wzniecić falę zabójstw z zemsty. Niech się nawzajem powyrzynają. Jak długo by to potrwało? Miesiąc? Wtedy my, *Zhids*, mielibyśmy wreszcie spokój.

Śmiechu warte. Gdyby zabrakło Arabów, ile trzeba będzie czasu, by Żydzi powykańczali się nawzajem. Jaki był ten kawał? Żyd potrzebuje mieć dwie synagogi. Jedną, żeby do niej chodzić i jedną, żeby ją odrzucić. Jesteśmy książętami samodestrukcji. Wystarczy przeczytać Torę: bracia zabijający braci, gwałcący siostry, kastrujący ojców. I morderstwa, cała masa morderstw. Kain i Abel. Ezaw ścigający Jakuba, bracia Józefa, Absalom. Zbrodnie o podłożu seksualnym: Amnon gwałcący Tamar. Konkubina Gileada zbiła na śmierć chłopców Efraima, a potem została pocięta przez swego pana na dwanaście kawałków, które rozesłano do innych plemion, a reszta zemściła się na Efraimie, wybiła wszystkich mężczyzn, pojmowała kobiety w wiadomym celu i zniewoliła dzieci.

Religia.

Gdy się jej przyjrzeć, okazuje się historią człowieczeństwa. Morderstwa, okaleczenia ciała, żądza krwi, faceci wspinający się jeden po drugim, jak małpy w zatłoczonej klatce. Pokolenie po pokoleniu, małpy przebrane w ludzkie kostiumy. Wrzeszczące, rechoczące, skrobiące się w jaja. Milkące tylko po to, by podciąć komuś gardło.

Oto on, pieprzony historyk.

Uniósł butelkę do ust i pociągnął długi, palący łyk.

Jakże mierzyła go ludzkość, jej nieuniknione dążenie do entropii. Jeżeli Bóg istnieje, jest pieprzonym komediantem. Siedzi sobie tam w górze i śmieje się, podczas gdy małpoludy wrzeszczą, biją jeden drugiego po tyłku i skaczą wokół kupy gówna.

Życie to gówno; nędza na porządku dziennym.

Tak właśnie jest. Z całą pewnością, tak to jest.

Beknął głośno i poczuł falę kwaśnego bólu, wznoszącą się w górę przełyku.

Jeszcze jedno czknięcie i nowa fala. Nagle zdjęły go mdłości i ogarnęła słabość. Więcej bólu, dobrze, zasłużył sobie na to, będąc takim słabym, naiwnym *szmukiem*.

I tym, że rozumie, jak to jest, ale nie potrafi zaakceptować. Nie potrafi wyrzucić fotografii. Przekłete odbitki w ramkach, na stole obok łóżka. Są pierwszą rzeczą, jaką widzi, budząc się każdego ranka.

Dobrze zaczynając dzień.

Zdjęcia. Arik w mundurze, tulący karabin. „Na pamiątkę dla *Abby* i *Imy*”. Dzieciak nigdy nie był oryginalny. Po prostu dobry.

Leah nad Morzem Martwym, w kwiecistym kostiumie kąpielowym i takimż czepku, do kolan przykryta czarnym błotem. Okrągły brzuch, ciężkie biodra – przyglądając się fotografii, czuł je pod palcami.

Jutro rano wyrzuci zdjęcia. Teraz jest zbyt zmęczony, by się ruszyć.

Bzdury. Jest tchórzem. Stara się utrzymać coś, co już nie istnieje.

Jednego roku byli tutaj; następnego odeszli, jakby nigdy nie byli realni, a stanowili jedynie wymysły jego wyobraźni.

1974, dobry rok na śmierć.

Jedenaście pieprzonych lat, a on wciąż nie może się z tym pogodzić.

Nie tylko to, ale nie może uciec przed okrucieństwem. Praca nad Szarym Człowiekiem, a teraz to. Pieprzona głupota.

Małpy.

Twardy facet.

Szmuk.

Nie bacząc na ból, napił się jeszcze. Popychając samego siebie ku ciemności, która zawsze nadchodziła.

Według wojskowego posłańca, dzieciak biwakował na Synaju, czytając w namiocie książkę, ni mniej, ni więcej, tylko Hegla. Jakby to sprawiało pieprzoną różnicę. Zastrzelony przez jakiegoś egipskiego snajpera bez twarzy. Następnego roku w tym samym miejscu garstka dupków z Kanady wybudowała luksusowy hotel. Kilka lat później wszystko wróciło do Egiptu, Przehandlowane za podpis Sadata. Słowo pieprzonego kolaboranta nazistów.

Wielkie dzięki.

Leah nigdy nie wyzdrowiała. Strata zżerała ją jak rak. Wciąż chciała o tym mówić, stale pytała, dlaczego my, co takiego uczyniliśmy, że spotyka nas taki los, Nahum? Jakby on znał odpowiedź. Jakby odpowiedź w ogóle istniała.

Nie miał już cierpliwości. Doszło do tego, że nie mógł znieść jej widoku, płaczu i mazgajenia. Unikał jej, biorąc na siebie dodatkowe brzemie, łapiąc dupków, hodując brzoskwinie. Pewnego dnia wrócił do domu, gotowy znów jej unikać, i znalazł ją leżącą na podłodze w kuchni. Zimną jak kamień, woskowszarą. Nie potrzebował pieprzonego lekarza, żeby wiedzieć, co się stało.

Tętniak mózgu. Pewnie się z tym urodziła. Nie sposób przewidzieć. Csyk, csyk, przykro mi.

Wielkie dzięki.

Pieprz się.

ROZDZIAŁ 23

Gene i Luanne chcieli czegoś autentycznego, więc Daniel i Laura zabrali ich do Magie Carpet, Magicznego Dywanu, jemeńskiej restauracji na *rechow* Hillel, którą prowadziła rodzina Caspi. Jadalnia była długa i nisko sklepiąta, skąpana w przymglonym, niebieskawym świetle. Ściany wyłożono płytkami z białego gipsu, udekorowanymi jemeńskimi koszykami oraz dużymi fotografiami przelotu powietrznego z 1948 roku, którego imię nosiła restauracja. Mrowie Żydów jemeńskich w szatach i turbanach, wysiadający po kolei z pękających samolotów. Druga fala emigracji z Sany. Ta, o której wiedzieli wszyscy. Jeśli jesteś Jemeńczykiem, uważają, że przybyłeś na Dywanie, toteż gdy Daniel mówił, że jego rodzina mieszka w Jerozolimie ponad sto lat, budził zdumienie. Mało która rodzina mogła się tym poszczycić.

– Masz rację – powiedziała Luanne. – To bardzo ostre, prawie takie jak potrawy mongolskie. Smakuje mi. A tobie, kochanie?

Gene skinął głową i dalej pochłaniał zupę, pochylony nad stołem, zaciskając czarne palce na łyżce, jakby się bał, że uleci w powietrze.

Usiedli we czwórkę przy stoliku w rogu sali, zacienionym przez zwisające rośliny, i ucztowali ponad dymiącymi miseczkami *marak basar* i *marak sha 'uit*, to jest ostrymi zupami, mięsą i fasolową.

– Nie od razu do tego przywykłam – powiedziała Laura. – Poszliśmy z wizytą do domu ojca Daniela, a on przygotował dla nas wszystkie te, wspaniałe wyglądające, dania. Spróbowałam ich i poczułam ogień w ustach.

– Ale ja wyszkoliłem – powiedział Daniel. – Teraz używa więcej przypraw niż ja.

– Mam wypalone kubki smakowe, kochanie. Nie czuję już bólu. – Objęła go i pogłaskała po brązowej szyi. Spojrzał na nią. Luźno opadające jasne włosy, odrobina makijażu, szara suknia z dzianiny i maleńkie kolczyki. Położył dłoń na jej kolanie. Poczł ten sam dreszcz jak wtedy, gdy ją poznał. Nazywała to wzajemnym zauroczeniem. Coś, co miało związek z magią...

Kelnerka, jedna z sześciu córek Caspiego – Daniel nigdy nie pamiętał, która jest która – przyniosła butelkę Yarden Sauvignon i naląła wino do wysokich kieliszków.

– Wasze zdrowie – wznosił toast Daniel. – Niechaj to będzie pierwsza z waszych licznych wizyt.

– Amen – powiedziała Luanne.

Wypili w milczeniu.

– A więc podobało się wam w Galilei – zagadnęła Laura.

– Nie tak jak w Jerozolimie – odparła Luanne. – Tyle życia... czuje się tę duchowość, emanowaną przez każdy kamień. Ale Galilea jest fantastyczna. Równie wspaniała.

Luanne była przystojną kobietą. Wysoka – prawie tak jak Gene – o kanciastych, szerokich ramionach, siwiejących włosach ułożonych w precyzyjne fale i mocnych afrykańskich rysach. Miała na sobie prostą suknię z białego jedwabiu w poprzeczne granatowe paseczki i z dekoltem w łódeczkę, sznur pereł i perłowe kolczyki. Sukienka i perły

uwydlatniały kolor jej skóry, taki sam jak Daniela.

– Żeby móc naprawdę zobaczyć to wszystko, o czym się czytało w Piśmie Świętym – powiedziała. – Kościół Zwiastowania, zdać sobie sprawę, że postawiłaś stopę w tym samym miejscu, gdzie On chodził, to niewiarygodne.

– Czy przewodnik zabrał was także do kościoła Świętego Józefa? – spytała Laura.

– O tak. I do jaskini poniżej. Dosłownie można sobie wyobrazić warsztat Józefa, pracującego przy ciesielce. Maria na górze, może gotuje albo zastanawia się, kiedy dziecko przyjdzie na świat. Kiedy po powrocie opowiem o tym w mojej klasie, nasze lekcje nabiorą prawdziwego sensu. – Zwróciła się do Gene[^]. – Czyż to nie zadziwiające, kochanie, widzieć to, ot tak?

– Zadziwiające – odparł Gene, trochę niewyraźnie, bo właśnie przeżuwał, pracując wielkimi mocnymi szczękami i poruszając szarymi wąsami. Odlamał kawałek pity i włożył do ust. Opróżnił kieliszek i podziękował, gdy Daniel znów mu go napełnił.

– Zapisuję – powiedziała Luanne – wszystkie święte miejsca, które odwiedziliśmy. Do projektu, który obiecałam dzieciom. Mapa Ziemi Świętej z zaznaczonymi miejscami, w których byłam. Do powieszenia w klasie. – Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej mały notes. Daniel stwierdził, że jest taki sam jak te, których używał Gene, z napisem WPLA (Wydział Policji Los Angeles).

– Na razie – powiedziała – zapisałam osiemnaście kościołów. W niektórych właściwie nie byliśmy, ale przechodziliśmy tuż obok, więc uważam, że zaznaczenie ich będzie zgodne z prawem. Potem mam ukształtowanie terenu. Dziś rano widzieliśmy strumień w Tiberias, który dostarczał wody do studni Marii, a wczoraj zwiedzaliśmy ogród Getsemani na Górze Oliwnej i wzgórze Golgota,* które naprawdę wygląda jak czaszka, prawda? – zwróciła się do Gene'a, który jakoś się tego nie dopatrył. – Ja to wyraźnie widziałam, Gene.

– Jesteś spostrzegawcza – stwierdził Gene. – Zjesz całą zupę?

– Weź ją, kochanie. Po całym dniu chodzenia musisz się odżywić.

– Dzięki.

Kelnerka przyniosła półmisek z przystawkami: nadziewane papryki i dynie, siekany ogon wołowy, *ldrsze*, marynowane warzywa, cynaderki z rusztu, zapiekane serca kurcząt wielkości monet.

– Co to jest? – zapytał Gene, próbując *kirsze*.

– To tradycyjna potrawa jemeńska, zwana *kirsze* – powiedziała Laura. – Mięso to kawałki siekanych jelit krowy, ugotowane, a potem usmażone z cebulą, pomidorami, czosnkiem i przyprawami.

– Flaczki – powiedział Gene. Nabrał sobie więcej i aprobująco pokiwał głową. Wziął menu, włożył okulary i zaczął go przeglądać.

– Dużo podrobów – stwierdził. – Jedzenie „biedaków”.

– Gene – napomniała go Laura.

– O co chodzi? – zapytał jej mąż niewinnie. – To prawda. Biedni ludzie jedzą podroby, bo to doskonały sposób uzyskania białka, a bogaci je wyrzucają. Bogaci jedzą stek z polędwicy i faszerują się cholesterolem, który zatyka im tętnice. Sama powiedz, kto jest mądrzejszy.

– Wątróbka jest jednym z podrobów, a zawiera mnóstwo cholesterolu – powiedziała Luanne. – Właśnie dlatego lekarz nie pozwala ci jej jeść.

– Wątroba to co innego. Mówię o sercach, płucach i gruczołach...

– Już dobrze, kochanie.

– Ci ludzie – rzekł Gene, pokazując zdjęcia na ścianach. – Wszyscy są tacy chudzi. Wszyscy w świetnej formie, nawet starcy. To od jedzenia podrobów. – Nabrał na widelec kilka serc kurcząt i połknął je.

* Golgota (z arani. „miejsce trupiej głowy”); Kalwaria (z łac. „czaszka”) – skaliste wzgórze pod Jerozolimą, według Ewangelii miejsce ukrzyżowania Chrystusa.

– To prawda – powiedziała Laura. – Gdy Jemeńczycy tu przybyli, prawie nie cierpieli na choroby serca. A później zaczęli się asymilować i odżywiać po europejsku, i nabawili się takich samych problemów jak wszyscy inni.

– No właśnie – rzekł Gene. – A co to jest ta droga potrawa o nazwie „geed”? – zapytał, spoglądając do menu.

Daniel i Laura spojrzeli po sobie. Laura wybuchnęła śmiechem.

– *Geed* znaczy „penis” – wyjaśnił Daniel, starając się zachować kamienną twarz. – Przyrządza sieje tak jak *kirsze*, sieka i smaży z jarzynami i cebulą.

– Uch – sapnął Gene.

– Zamawiają to niektórzy starzy ludzie – powiedziała Laura. – Ale to jest nieaktualne. To jest zapisane w menu, ale wątpię, czy to mają.

– Magazyn penisów, co?

– Kochanie!

Czarnoskóry mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Weź przepis, Lu. Po powrocie do domu przyrządzisz to dla wielbego Chambersa.

– Ależ, Gene – zgałła go Luanne, ale z trudem powstrzymywała śmiech.

– Wyobrażasz sobie, Lu? Siedzimy przy stole na kolacji w kościele, z tymi wszystkimi twoimi przyjaciółkami od brydża, które pytlują i zanudzają człowieka na śmierć, a ja się do nich zwracam i powiadam: „A teraz, dziewczyny, przestańcie plotkować i jedzcie penisa!” Z jakich zwierząt to robią?

– Z barana lub z byka – wyjaśnił Daniel.

– Na kolację w kościele z całą pewnością potrzebowaliśmy byka.

– Myślę – powiedziała Luanne – że pójdę przypudrować nos.

– Pójdę z tobą – zaproponowała Laura.

– Zauważyłeś? – rzekł Gene, gdy panie odeszły. – Posadź dwie samiczki razem, a zawsze poczują konieczność pójścia do ubikacji w tej samej chwili. A gdy przydarzy się to dwóm facetom, ludzie zawsze zaczną coś podejrzewać.

– Może to hormony – roześmiał się Daniel.

– Pewnie tak, Danny Boy.

– Jak ci się u nas podoba?

Gene wywrócił oczami i przygryzł koniuszek wąsa. Pochylił się do przodu i złożył dłonie jak do modlitwy.

– Ratuj mnie, Danny Boy. Kocham tę kobietę, ale ona ma świra na punkcie religii. Zawsze miała. W domu nie mam nic przeciwko temu, bo dobrze wychowuje Glorię i Andreę. Z całą pewnością wiele jej zawdzięczają. Ale stwierdzam, że Izrael jest jednym wielkim religijnym kramem. Gdziekolwiek się ruszysz, natrafiasz na jakiś kościół lub świątynię albo napis: „Jezus tu spał”. Cuda niewidy. A Lu musi je wszystkie odwiedzić. Jestem bezbożnikiem i zaczyna mi się dwoić w oczach.

– W Izraelu są nie tylko świątynie – powiedział Daniel. – Mamy tu takie same problemy jak wszyscy inni ludzie.

– Opowiedz mi szybko. Potrzebuję zastrzyku codzienności.

– O czym chciałbyś usłyszeć?

– O pracy, bracie. Nad czym teraz pracujesz?

– Właśnie skończyliśmy z morderstwem...

– Mówisz o tym? – zapytał Gene, sięgając do kieszeni i wyjmując z niej wycinek z gazety. Podał go Danielowi.

Wczorajszy „Jerusalem Post”. Oświadczenie Laufra zostało przedrukowane słowo w słowo, tak samo jak w gazetach hebrajskich, ze znaczącym dopiskiem na końcu:

... prowadzonym przez Daniela Sharavi. Sharavi przewodził również zespołowi, który ostatniej jesieni prowadził śledztwo w sprawie zabójstwa więźnia z Ramie o nazwisku

Warden Elazar Lippmann. Dochodzenie to doprowadziło do rezygnacji z pracy i osądzenia kilku wyższych urzędników więzienia oskarżonych o korupcję i...

Daniel odłożył wycinek.

– Jesteś gwiazdą, Danny Boy – powiedział Gene. – Takie hymny wypisywano o mnie tylko raz, gdy zostałem postrzelony.

– Gdybym tę całą sławę mógł zapakować i podarować ci, Gene, zrobiłbym to. Obwiązaną kokardką.

– W czym problem? Zagrożasz przełożonym?

– Skąd wiesz?

Gene uśmiechnął się, błyskając białymi zębami w twarzy o odcieniu umbrzy.

– As detektywów, pamiętasz? – Wziął wycinek i znów włożył okulary. – Rozpisują się na temat twoich zasług, a potem ni stąd ni zowąd dorzucają tego faceta – Laufra. Nieważne, że ten facet to prawdopodobnie gryziپیórek, który nie zrobił nic, aby zasłużyć na to, by wydrukowano jego nazwisko. Takie typy nie lubią, gdy ktoś ich zakasowuje. Mam rację?

– Zasłużyłeś na piątkę z plusem – odrzekł Daniel i już chciał opowiedzieć, że korzystał z protekcji u Gavriego, a także o tym, jak ją utracił i jak sobie radzi z Laufrem, ale uznał, że lepiej porozmawiać o sprawie Rashmawiego. O wszystkich pytaniach, które pozostały bez odpowiedzi, o tym, co go dręczyło.

Gene słuchał, kiwając głową. Nareszcie zadowolony z urlopu.

Przerwali dyskusję, gdy wróciły panie. Rozmowa zeszała na temat dzieci i szkół. A potem wniesiono potrawy – stos różnych rodzajów mięs z rusztu.

Daniel patrzył z podziwem, jak Gene konsumuje kotlety z jagnięcia, szaszłyk, kebab, smażone kurczęta; dobiera ryżu z szafranem i sałatę *bulghur*. Popija to wszystko piwem i wodą. Nie pożerał łapczywie; wprost przeciwnie, jadł powoli, ze znanstwem smakosza. Ale nieprzerwanie i efektywnie, skupiając się wyłącznie na jedzeniu.

Pierwszy raz Daniel zobaczył jedzącego Gene'a w meksykańskiej restauracji niedaleko Centrum Parkera. Nie było tam nic koszernego. Daniel zadowolił się gazowanym napojem i sałatką oraz przyglądaniem się, jak czarnoskóry detektyw spożywa zestaw smakowicie wyglądających dań. Poznał ich nazwy, gdy Tio Tuvia dotarło do Jerozolimy: burritos, tostadas, enchiladas i chile rellenos. Fasola, naleśniki, przyprawione mięso, z wyjątkiem sera niewiele różniące się od pożywienia jemeńskiego.

Najpierw pomyślał, że gdyby jadał tak samo jak Gene, ważyłby dwieście funtów. Podczas spędzonego wspólnie lata przekonał się, że Gene zawsze je w taki sposób, nie uprawia żadnej gimnastyki, a udaje mu się zachować normalną sylwetkę. Przy wzroście wynoszącym metr dziewięćdziesiąt ważył pewnie z dziewięćdziesiąt kilogramów i, jak na faceta pod pięćdziesiątkę, miał niewielki brzuszek.

Poznali się w Centrum Parkera, większej i bardziej lśniącej wersji komendy na Francuskim Wzgórzu. Słuchali razem, jak agent FBI opowiada o terroryzmie i anty terroryzmie oraz o tym, jak zachować bezpieczeństwo, gdy wokół jest wielu ludzi.

Praca przy olimpiadzie była prawdziwą fuchą, ostatnią, jaką dał mu Gavrieli przed sprawą Lippmanna. Okazja, by pojechać do Los Angeles, przy całkowitym zwrocie kosztów, dała Laurze sposobność odwiedzenia rodziców i spotkania dawnych przyjaciół. Dzieci mówiły o Disneylandzie od chwili, gdy usłyszały o nim od dziadka Ala i babci Estelle.

Zadanie, które otrzymał, okazało się łatwe. On i jedenastu innych oficerów towarzyszyli izraelskiej reprezentacji. Dziewięciu w Los Angeles, dwóch przy drużynie wioślarskiej w Santa Barbara. Dziesięciogodzinne zmiany o różnych porach. Było kilka nerwowych chwil, które należało brać poważnie. Pełen nienawiści list podpisany przez Palestyńską Armię Solidarności, którego nadawcę zlokalizowano w dniu poprzedzającym rozpoczęcie igrzysk jako pacjenta stanowego szpitala psychiatrycznego w Camarillo.

Ale głównie były to godziny beczynnego czuwania, wypatrywania czegoś odbiegającego

od normy: ciepłych okryć w upalne dni, dziwnych kształtów uwypuklających się przez ubranie, ukradkowych ruchów, wyrazu nienawiści na niespokojnych twarzach – prawdopodobnie młodych, prawdopodobnie ciemnych, ale nigdy nie można być całkowicie pewnym.

Spokojne zadanie. W LA obeszło się bez tego, co miało miejsce w Monachium.

Podczas wykładu na temat orientacji siedział z przodu i wkrótce zdał sobie sprawę, że ktoś mu się przygląda. Obejrzał się kilkakrotnie i ustalił, że był to ciemnoskóry mężczyzna w jasnoniebieskim letnim garniturze z przypiętą do klapy tabliczką INSPEKTOR. Miejscowy policjant.

Mężczyzna był silnej budowy, starszy. Gdzieś pod pięćdziesiątkę, ocenił go Daniel. Otoczona siwymi włosami łysina na czubku głowy wyglądała jak góra brązowej czekolady na srebrnej folii. Pod szerokim płaskim nosem migotały gęste siwe wąsy.

Daniel zastanawiał się, dlaczego ów mężczyzna mu się przygląda. Uśmiechnął się, a tamten skinął głową. Po wykładzie mężczyzna poczekał, aż pozostali słuchacze wyjdą. Przez chwilę ssał pióro, a potem schował je do kieszeni i podszedł do Daniela. Gdy się zbliżył, Daniel odczytał mniejsze litery na tabliczce: „Porucznik Eugene Brooker, WPLA”.

Nałożywszy okulary, spojrzał na tabliczkę Daniela.

– Z Izraela. Zastanawiałem się, skąd pan może być.

– Słucham?

– Mamy w mieście ludzi z całego świata. Próbuje ustalić, kto jest kto. Kiedy zobaczyłem pana po raz pierwszy, pomyślałem sobie, że to ktoś z zachodnich Indii. A potem spostrzegłem czapeczkę i zastanawiałem się, czy to jarmułka.

– Jarmułka.

– Ach, tak. Skąd pan pochodzi?

– Z Izraela. – Głupi czy *co*?

– Ale przedtem?

– Urodziłem się w Izraelu. Moi przodkowie przybyli z Jemenu. To jest w Arabii.

– Jesteście spokrewnieni z Etiopczykami?

– O ile wiem, nie.

– Moja żona zawsze się interesowała Żydami i Izraelem – powiedział Brooker. – Uważa, że jesteście wybranym narodem, i czyta o was mnóstwo książek. Powiedziała mi, że w Etiopii jest trochę czarnych Żydów, umierających z głodu, jak cała reszta.

– Jest dwadzieścia tysięcy etiopskich Żydów – odrzekł Daniel. – Trochę wyemigrowało do Izraela. Chcielibyśmy, żeby wrócili wszyscy. Są ciemniejsi ode mnie, bardziej jak pan.

Brooker uśmiechnął się.

– Pan także nie wygląda na Szweda – rzucił. – Macie też w Izraelu trochę czarnych Hebrajczyków. Przybyli z Ameryki.

Drażliwy temat. Daniel postanowił mówić wprost.

– Czarni Hebrajczycy są grupą kryminalną – powiedział. – Kradną karty kredytowe i napastują własne dzieci.

Brooker skinął głową.

– Wiem. Kilka lat temu aresztowałem paru. Artyści od szwindlu i gorsi. Nazywamy ich *sleazeballs*. To techniczny termin.

– Podoba mi się – powiedział Daniel. – Zapamiętam go sobie.

– Warto. Może się przydać. – Zamilkł. – No to już wiem o panu wszystko.

Wyglądał na zakłopotanego, jakby nie wiedział, jak poprowadzić dalszą rozmowę. Albo jak ją zakończyć.

– Świetnie – powiedział Daniel, chcąc się zachować taktownie. Wykład wydał mu się nieciekawym. Jakby agent traktował policjantów z góry.

– Jak Myszka Miki – stwierdził Brooker.

Daniel nie zrozumiał.

– Myszka Miki z Disneylandu?

– Tak – odparł Brooker. – To takie powiedzonko na coś, co jest zbyt łatwe, na stratę czasu. – Nagle się zamyślił. – Sam nie wiem, skąd się wzięło, ale to właśnie to oznacza. Łatwizna.

– Mysz to małe zwierzątko – podsunął Daniel. – Niepozorne.

– Może stąd.

– Ja także uważam, że wykład był jak Myszka Miki, poruczniku Brooker. Jak z freblówki.

– Gene.

– Daniel.

Uścisnęli sobie dłonie. Ręka Gene'a była duża i płaska, z solidną podściółką mięśniową. Przygładził wąsy i powiedział:

– No cóż. Witaj w LA. Cieszę się, że cię poznałem.

– Ja także się cieszę, Gene.

– Pozwól, że zapytam cię o coś jeszcze – dodał czarnoskóry mężczyzna. – Co się stanie z tymi Etiopczykami?

– Jeżeli zostaną w Etiopii, będą głodować z innymi. Jeżeli zostaną wypuszczeni, Izrael ich przyjmie.

– Ot, tak?

– Oczywiście. To nasi bracia.

Gene się zamyślił. Poskubał wąsy i spojrzał na zegarek.

– Ciekawe – powiedział. – Mamy trochę czasu. Może zjemy lunch?

Pojechali nieoznakowanym plymouthem Gene'a do restauracji meksykańskiej. Rozmawiali o pracy, o podobieństwach i różnicach scen ulicznych w dwóch przeciwległych częściach świata. Daniel zawsze uważał, że Ameryka to miejsce, gdzie inicjatywa i silna wola pozwalają skutecznie przebić się przez biurokrację. Ale słuchając skarg Gene'a na temat papierkowej roboty, niepotrzebnych przepisów, dołowania przez zwierzchników, proceduralnych wygibasów, które wymagane są od gliniarzy, by zadowolić sądy, zmienił zdanie i zdumiała go uniwersalność biurokracji. Brzemień policjanta.

Ze zrozumieniem potakiwał głową, wreszcie powiedział:

– W Izraelu jest inny problem. Jesteśmy narodem imigrantów. Ludzie byli prześladowani przez policję krajów, z których przybyli. Dlatego Izraelici nie lubią policji. Mamy na ten temat taki żart: „Połowa kraju nie wierzy, że istnieje coś takiego jak żydowski kryminalista, druga połowa nie wierzy, że istnieje coś takiego jak żydowski policjant”.

– Znam to uczucie – odrzekł Gene. Otarł usta i napił się piwa. – Byłeś już kiedyś w Stanach?

– Nigdy.

– Nieźle mówisz po angielsku.

– Uczymy się go w szkole i moja żona jest Amerykanką. Dorastała tutaj, w Los Angeles.

– Naprawdę? Gdzie?

– Beverlywood.

– Miła okolica.

– Jej rodzice wciąż tam mieszkają. Zatrzymaliśmy się u nich.

– Dobrze się u nich czujecie?

Wypytywał go jak prawdziwy detektyw.

– To bardzo mili ludzie – powiedział Daniel.

– Moi teściowie także – uśmiechnął się Gene. – Tak długo, jak są u siebie w Georgii. Od jak dawna jesteście małżeństwem?

– Szesnaście lat.

Gene był zaskoczony.

- Chyba jesteś za młody. Romans w gimnazjum?
- Ja miałem dwadzieścia lat, żona dziewiętnaście.

Gene obliczał w myśli.

– Nie wyglądasz na tyle. Ja zrobiłem to samo. Wyszedłem z wojska w wieku dwudziestu jeden lat i poślubiłem pierwszą dziewczynę, jaka się nawinęła. Nasz związek trwał siedem miesięcy. Dał mi się nieźle we znaki i nauczył mnie ostrożności. Przez następne kilka lat nie śpieszyłem się i cieszyłem wolnością. Nawet kiedy poznałem Luanne, mieliśmy długie narzeczeństwo. I chyba tak było dobrze, bo jesteśmy razem już dwadzieścia pięć lat.

Do tej chwili czarny detektyw odgrywał zmęczonego życiem twardziela o cynicznym poczuciu humoru, co Daniel widywał u wielu policjantów. Ale kiedy mówił o swojej żonie, szeroki uśmiech rozjaśnił jego twarz, i Daniel pomyślał: Musi ją bardzo kochać. Odnalazł w nim tę znaną sobie głębię uczucia i to sprawiło, że zaczął lubić Gene'a o wiele bardziej niż na początku znajomości.

Wciąż się uśmiechając, Gene wyjął zniszczony portfel, wypchany kartami kredytowymi i zmiętoszonymi kawałkami papieru. Otworzył go i wyjął zdjęcia swoich córek.

– To Gloria. Jest nauczycielką, tak samo jak jej matka. Andrea uczy się w college'u, będzie księgową. Powiedziałem jej, żeby poszła na studia i została prawnikiem, a zarobi znacznie więcej pieniędzy, ale ona robi po swojemu.

– To dobrze – rzekł Daniel, wyjmując swoje zdjęcia. – Dobrze wie czego chce.

– Chyba tak, dopóki chce dobrze. – Gene spojrział na fotografie dzieci Sharaviego. – Bardzo miłutkie. Fajne chłopaki. No, a ona to piękność. Podobna do ciebie, z wyjątkiem włosów.

– Moja żona jest blondynką.

Gene oddał zdjęcia.

– Bardzo ładne. Masz piękną rodzinę. – Jego uśmiech przygasł. – Utrzymanie rodziny to nie zabawa, Danielu. Kiedy dziewczynki dorastały, ciągle wypatrywałem jakichś niepokojących objawów i pewnie doprowadzałem je tym do szaleństwa. Na świecie jest zbyt wiele pokus. Dzieci oglądają telewizję i chcą wszystkiego spróbować. Narkotyki. Wy też to macie, prawda? Tak blisko upraw maku.

– Nie aż tak jak w Ameryce, ale o wiele bardziej niż dotychczas. Prawdziwy problem.

– Są dwa sposoby, aby go rozwiązać – powiedział Gene. – Jeden: zalegalizować to wszystko i zapomnieć o moralności, a wtedy pokusa zmaleje. Drugi: skazać na śmierć wszystkich dilerów i narkomanów. – Ułożył palce na kształt rewolweru. – Pif, paf i wszyscy są martwi. Wszystkie inne sposoby nie mają szans powodzenia.

Daniel uśmiechnął się niepewnie, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Myślisz, że żartuję? – zapytał Gene, wołając kelnerkę. – Wcale nie. Jestem w policji od dwudziestu czterech lat i widziałem zbyt wiele zmarnowanych dzieciaków i związanych z narkotykami przestępstw, aby sądzić, że jest jakiś inny sposób.

– W Izraelu nie mamy kary śmierci.

– Powiesiliście tego Niemca, Eichmanna.

– Robimy wyjątek dla nazistów.

– Więc zacznijcie myśleć o znarkotyzowanych szumowinach jak o nazistach. Zabijają w ten sam sposób. – Gene zniżył głos. – Nie opowiadaj, że u was dzieje się to samo co tutaj. Moja żona byłaby bardzo rozczarowana. Jest baptystką. Bardzo religijną. Uczy w szkole baptystów. Od lat opowiada, że chciałaby zobaczyć Ziemię Świętą. Jakby to był jakiś eden. Gdyby się dowiedziała, że jest inaczej, przeżyłaby prawdziwy wstrząs.

Luanne wróciła do tematu kościołów. Interesował ją zwłaszcza Święty Grób. Daniel znał jego historię. Wiedział, że o to miejsce toczą się ciągle walki pomiędzy różnymi wyznaniemiami chrześciami: grekokatolicy przeciwko Ormianom, ci zaś przeciwko katolikom, oni z

kolei przeciw Syryjczykom. Koptowie i Etiopczycy zostali wygnani do maleńkich kapliczek na dachu.

Wiedział też o orgiach, które miały tam miejsce w czasach panowania Turków – pielgrzymki chrześcijan cudzołożących w głównej kaplicy, ponieważ wierzono, że dziecko poczęte blisko miejsca pochowania Chrystusa będzie przeznaczone dla wielkości.

Wcale go to nie szokowało. Świadczyło tylko o tym, że chrześcijanie również są tylko ludźmi, ale wiedział, że Luanne byłaby niepokieszona.

Była imponującą kobietą, całym sercem oddaną swojej wierze. Jedną z tych osób, które wiedzą, dokąd zmierzają, sprawiając, że ludzie wokół nich czują się bezpieczni. On i Laura z uwagą słuchali, jak opowiadała o uczuciach, jakich doznaje w obecności Ducha Świętego. O tym, jak bardzo się rozwinęła w czasie trzech dni na Ziemi Świętej. Nie podzielał jej wierzeń, ale podobała mu się jej żarliwość.

Postanowił, że zabierze ją na specjalną wycieczkę po żydowskich i chrześcijańskich zabytkach. Obejrzą tyle, na ile czas im pozwoli. Specjalna wizyta w Betlejem, w Greckim Patriarchacie i w kaplicy Etiopskiej. Biblioteka Saint Saviour. Rano telefonował w tej sprawie do ojca Bernardo.

Kelnerka, o imieniu Galia – Daniel był tego prawie pewien – podała kawę po turecku, arbuza i półmisek z ciastami, bawarskie kremówki, napoleonki nasączone rumem Savarinas. Pili kawę, a Gene zabrał się do pracy nad napoleonką.

Po posiłku, ocieżali od jedzenia i wina, poszli pieszo wzdłuż Keren Hajesod, trzymając się za ręce, jak na podwójne randce, rozkoszując się świeżością powietrza i ciszą bulwaru.

– Mmm – zachwyciła się Luanne. – Pachnie jak u nas w kraju.

– Jerozolimskie pinie – wyjaśniła Laura. – Zapuszczają korzenie na głębokość trzech stóp. Poniżej jest lita skała.

– Mocny fundament – powiedziała Luanne. – I tak być musi.

Następny dzień to był piątek i Daniel został w domu. Pozwolił dzieciom nie pójść do szkoły i spędził rano z nimi, w Parku Dzwonu Niepodległości. Kopał piłkę z synami, spoglądał na Shoshi, która jeździła na wrotkach po specjalnym boisku, kupował niebieskie lody i jadł z nimi czekoladową kassatę.

Tuż po południu jakiś Arab na wielbłądzie przejechał przez parking przylegający do parku. Zatrzymał zwierzę przy południowej bramie wiodącej do parku, zsiadł i zadzwonił mosiężnym dzwonkiem na szyi wielbłąda. Chłopcy chcieli się przejechać i Daniel pozwolił na dwie rundy każdemu z nich.

– A ty? – spytał Shoshi, która odpinała wrotki.

Wstała, podparła się pod boki i dała mu do zrozumienia, że pytanie było nie na miejscu.

– Nie jestem małym dzieckiem, *abba*! A poza tym on śmierdzi.

– Wolałabyś prowadzić samochód, co?

– Wolałabym siedzieć w samochodzie, który prowadzi mój mąż.

– Mąż? Masz kogoś konkretnego na myśli?

– Jeszcze nie – powiedziała, otaczając go ramieniem. – Ale gdy go spotkam, będę wiedziała, że to on.

Gdy chłopcy skończyli jazdę, Arab pomógł zsiąść Benny'emu z wielbłąda i podał chichoczącego i wierzgającego chłopca Danielowi.

– Wór z kartoflami – powiedział Daniel i posadził go sobie na ramieniu.

– Ja też! Ja też! – domagał się Mickey, ciągnąc ojca za nogawkę, aż ten schylił się i posadził go na drugim ramieniu. Niosąc ich z bólem w krzyżu, skierował się w stronę domu. Minął Train Theater i wkroczył na pole oddzielające park od ich budynku.

W jego stronę szedł jakiś mężczyzna. Gdy się przybliżył, Daniel stwierdził, że to Nahum Shmeltzer. Pozdrowił go głośno i Shmeltzer lekko pomachał mu dłonią. Podeszedł jeszcze bliżej i Daniel zobaczył jego twarz. Postawił chłopców na ziemi i powiedział całej trójce,

żeby pobiegli naprzód.

– Zmierz nam czas, *abba*? – Dobrze. – Spojrzał na zegarek. – Na miejsca, gotowi, start!

Gdy dzieci pobiegły, zapytał:

– Co się stało, Nahum?

Shmeltzer poprawił przekrzywione okulary.

– Mamy następne ciało, w lesie niedaleko Ein Qerem. Powtórka z zabójstwa dziewczyny Rashmawich. Tak dokładna jak fotokopia.

KSIĘGA DRUGA

Rozdział 24

Kiedy Człowiek o Szerokim Uśmiechu był małym chłopcem, kiepsko sypiał. Niespokojny za dnia i bojący się ciemności, łatwo się budził z drzemki i, przy najmniejszym szmerze, cały sztywniał. Należał do dzieci, którym dobrze zrobiłyby spokój, konsekwencja oraz szklanka mleka i czytanie na dobranoc. Zamiast tego wyrzywały go ze snu wrzaski kłócących się rodziców.

Zawsze było tak samo, zawsze okropnie. Siadał na łóżku, zmarznięty i zasikany, podwijając palce stóp aż do bólu, czekając, aż w ustach pojawi się smak palonej gumy.

Przez pewien czas, na początku, robili to na gorze, za pole walki służyły im sypialnie, a gdy się to zdarzało, schodził z łóżka i dreptał na palcach ze skrzydła dziecięcego przez korytarz do pokoju muzycznego, gdzie wślizgiwał się pod fortepian Steinwaya. Ssał palec, pocierając stopami o zimny metal pedałów, mając nad sobą czarny, lubieżny baldachim podbrzusza fortepianu.

Słuchał.

Najczęściej jednak kłócili się na dole, w obłożonej orzechowym drewnem bibliotece, której okna wychodziły na ogród. W pokoju Doktora. Gdy miał pięć lat, zawsze tam się kłócili.

Wszyscy, z wyjątkiem niej, nazywali ojca Doktorem i przez pierwsze lata życia myślał, że ojciec tak ma na imię. Kiedy po raz pierwszy nazwał go Doktorem, wszyscy się roześmieli, uznał więc, że zrobił coś kapitalnego, i już się tak do niego zwracał. Gdy się zorientował, że to głupia afektacja i że inni chłopcy nazywają swoich ojców tatusiami, nawet gdy są lekarzami, było już za późno na zmianę.

Doktor bardzo często operował przez cały dzień, aż do nocy i spał w szpitalu, zamiast wrócić do domu. A kiedy wreszcie wracał, zwykle było bardzo późno, długo po tym, jak chłopca położono do łóżka. Ponieważ wychodził na obchód godzinę przed obudzeniem syna, widywali się bardzo rzadko. Na skutek tego Człowiek o Szerokim Uśmiechu był przekonany, że kiedy będzie dorosły, musi za wszelką cenę zachować w pamięci obraz twarzy Doktora, a obraz, który wywoływał, był fragmentaryczny i zniekształcony – spękana maska pośmiertna. Był również przekonany, że ów problem rozrasta się jak rak, do tego stopnia, że zapominał inne twarze, nawet gdy udało mu się wyryć w pamięci czyjś obraz, natychmiast z niej znikał.

Zupełnie jakby miał dziurawą pamięć, uszkodzoną. Z tego powodu czuł się słaby, samotny i bezsilny. Gdy się nad tym zastanowił, naprawdę nic niewart. Zepsuty.

Tylko jeden rodzaj obrazów pozostawał mu w pamięci – prawdziwa nauka dawała moc – i tylko wtedy, gdy nad tym popracował.

Na początku sądził, że Doktor tak rzadko bywa w domu z powodu nadmiaru pracy. Później zorientował się, że wychodzi, aby uniknąć tego, co na niego czekało, gdy przekraczał próg wielkiego różowego domu.

Podczas nocy w domu Doktor zazwyczaj zostawiał swoją czarną torbę przy wejściu i kierował się wprost do kuchni, gdzie szykował sobie ogromną kanapkę i szklankę mleka, po czym zabierał jedzenie do wyłożonej ciemnym drewnem biblioteki. Jeżeli nie był głodny, szedł od razu do biblioteki, zapadał się w wielkim skórzanym fotelu, rozluźniał krawat i

popijał brandy, czytając czasopisma z dziedziny chirurgii, przy świetle lampy ze szklanym kloszem o kształcie dziwacznie wygiętego smoka. W końcu wstawał, by ciężkim krokiem wspiąć się po schodach i przespać kilka godzin w sypialni.

Doktor także kiepsko sypiał, choć nie był tego świadom. Chłopiec dobrze o tym wiedział, bo drzwi do sypialni Doktora zawsze zostawały otwarte, i dobiegały stamtąd przerażające jego jęki i krzyki, odbijając się o ściany piętrowe. Tak przerażające, że chłopiec czuł się, jakby jego wnętrzności tarły o siebie i zmieniały się w pył.

Jej sypialnia, *le boudoir*, jak ją nazywała, nigdy nie bywała otwarta. Zamykała się w niej na całe dni. Wywabiała ją stamtąd tylko woń bitwy; wypełzała wtedy, niczym polująca nocą pajęczycza.

Choć mógłby zliczyć na palcach jednej ręki wszystkie przypadki, gdy go tam wpuszczono, wspomnienia owego miejsca były bardzo żywe: zimna przestrzeń. Lodowy pałac – ten obraz pozostał po latach w jego pamięci. Biały i niegościnnie jak lodowiec. Zdradliwa marmurowa posadzka, białe porcelanowe tace z kryształowymi flakonami, rżniętymi tak ostro, że mogłyby skaleczyć, kanciaste lustra, rzucające skośne refleksy, przezroczyste draperie z białej koronki, martwe i efemeryczne, jak wylinka jakiegoś miękkokostnego gada albinosa.

I atlas. Lśniące kilometry zimnego, gładkiego, glutowatego w dotyku atlasu.

Pośrodku lodowca stało ogromne białe łoże z czterema kolumnami i pikowanym atlasowym wezłowiem, pokryte galaretowatymi warstwami atlasowej gładzi, prześcieradła, i kołdry, i draperie, i frędzle; nawet drzwi do szafy były obite śliskim materiałem. Jego matka była zawsze naga, leżała, eksponując tors od pasa w górę, przykryta kosmatą atlasową falą, wsparta na atlasowym wałku, ze szklanką koktajlu w dłoni, popijająca małe łyżki bezbarwnej oleistej cieczy.

Jej włosy były długie i luźno rozpuszczone. Jasnoblonde. Twarz upiorna i piękna, jak u zabalsamowanej księżniczki. Ramiona białe jak mydło, z małymi wzgórkami na obojczykach. Brodawki różowe jak landrynki.

I ten kot, nienawistny pers, tłusty i pozbawiony kości jak kłębek wełny, Ignący do jej piersi; kot o wodnistych oczach, spoglądających pogardliwie na chłopca, syczący posiadacz ciała samicy, odpędzający chłopca jak intruza.

– Chodź, Śnieżynko. Chodź do mamusi, cukiereczku.

I smród. Im bliżej łóżka, tym silniejszy. Nieświeży oddech. Oleisty likier, woń jałowca. Francuskie perfumy, Bal a Versailles, tak natarczywe, że samo ich wspomnienie budzi odruch wymiotny.

Spała przez cały dzień i opuszczała lodowiec nocą, aby walczyć z Doktorem. Zostawiwszy otwarte drzwi swojej sypialni i zbiegłszy po schodach w szeleście satyny.

Zaczęli. Obudził się, wzdrygnąwszy się na okrutne dźwięki, które nie ucichną, nawet gdy się zamknie w łazience pod prysznicem i odkręci wodę na cały regulator. Wstał, wciąż otumaniony, przeszedł wydeptaną ścieżką ze swego pokoju do szczytu schodów, a potem w dół, stopień po stopniu, czując pod stopami ciepło jej bosych stóp, promieniujące z dywanu. Trzyście stopni. Zawsze wszystko liczył. Zawsze siadał na szóstym stopniu, aby słuchać. Nie śmiejąc się poruszyć, gdy słowa zaczynały się rozpadać w jego głowie, gdy jego mózg siekał pomruk na ryki, miażdżące wargi i na łamiące kości sylaby.

Słowa.

Zawsze te same słowa. Uderzenia młotem, które sprawiały, że się wzdrygał.

– Dobry wieczór, Christino.

– Nie wmawiaj mi, że dobry. Gdzie się podziewałeś?

– Nie zaczynaj, Christino, jestem zmęczony.

– Jesteś zmęczony? To ja jestem zmęczona. Twoim traktowaniem. Gdzie się szwendałeś do dziesięć po pierwszej?

- Dobranoc, Christino.
- Odpowiedz mi, łajdaku! Gdzie się, do diabła, podziewałeś?
- Nie muszę odpowiadać na twoje pytania.
- Nie waż się tak do mnie uśmiechać! GDZIE BYŁEŚ?
- Ciszej, Christino.
- Odpowiedz mi, do cholery!
- Co cię to obchodzi?
- Obchodzi mnie, bo to jest mój dom, a nie jakiś przeklęty motel, gdzie się zatrzymujesz na jedną noc!
- Twój dom? Zabawne. Jakie czeki za hipotekę ostatnio wypisałaś?
- Płacę prawdziwe rachunki, łajdaku, wypruwam sobie duszę. Zrezygnowałam z wszystkiego, żeby zostać twoją kurwą!
- Och, czyżby?
- Tak, doprawdy. Niech cię.
- A niby z czego takiego zrezygnowałaś?
- Z kariery. Z mojej przeklętej duszy.
- Z twojej duszy. Rozumiem.
- Nie waż się kpić ze mnie, łajdaku!
- Dobrze, w porządku, nikt się nie uśmiecha. Po prostu wyjdź stąd i nikt nie będzie się z nikogo naśmiewał.
- Płacę za wszystko, niech cię cholera. Krwią, potem i łzami!
- Wystarczy, Christino. Jestem zmęczony.
- Jesteś zmęczony? Niby czym? Uganianiem się za twoimi dziewczkami...
- Jestem zmęczony, bo przez cały dzień otwierałem klatki piersiowe.
- Otwierał klatki. Wielkie mecyje. Brudny łajdak. Amator dziwek.
- Ty jesteś dziwką, pamiętasz? Sama się przyznałaś.
- Zamilcz!
- Dobrze. A teraz wpełnij po schodach i zostaw mnie w spokoju.
- Nie będziesz mi mówił, co mam robić, draniu! Nie jesteś moim szefem. Jestem niezależna!
- Jesteś pijana, oto, jaka jesteś.
- Piję przez ciebie.
- Tak, twoja słabość to moja wina.
- Nie śmiej się ze mnie. Ostrzegam cię...
- Pijesz, Christino, bo jesteś słaba. Bo nie potrafisz się uporać z życiem. Jesteś tchórzem.
- Drań, przeklęty łajdak! A ty co popijasz, coca-colę?
- Ja potrafię pić.
- Ja także potrafię.
- Nie przedrzeźniaj mnie, Christino.
- Nie przedrzeźniaj mnie, Christino.
- Dobrze, a teraz zjeżdżaj stąd, do diabła. Zapij się na śmierć, doigraj marskości wątroby i zostaw mnie w spokoju.
- Doigraj się marskości wątroby. Ty i ten twój pieprzony żargon. Myślisz, że taki z ciebie mądrała. Wszyscy cię mają za pompatycznego dupka. Gdy pracowałam w Four West, każdy to mówił.
- Co ci nie przeszkodziło lizać mnie po jajach, prawda?
- Mało się nie porzygałam. Robiłam to dla pieniędzy.
- I dobrze. Masz moje pieniądze. A teraz wyjdź stąd, do diabła.
- Zostanę tam, gdzie będę miała ochotę.
- Nie panujesz nad sobą, Christino. Dygoczesz. Umówię cię na jutro z Emilem

Diefenbachem, żeby sprawdził, czy nie masz uszkodzeń mózgu.

– A ty jesteś dupkiem i złamasem.

– Żalósne.

– Przestań się uśmiechać, złamasie!

– Żalósne.

– Może jestem żalósna, może i jestem! Ale przynajmniej jestem człowiekiem, a nie taką pieprzoną maszyną, która wszystko zniesie. Chodząca doskonałość... Pan Ide... Doktor Idealny! Umie wszystko, tylko nie miewa wzdrodu! Doktor Złamas Idealny!

– Żalósna pijaczka.

– Co to ma być, coca-pieprzona-cola?

– Wynoś się, Christino. Jestem...

– Nie smakuje jak coca-pieprzona...

– Wynoś się...

– Cola!

– O cholera. Obląłeś mnie całego.

– Biedny dzidzius, biedny złamas! Twoje zdrowie! Amator dziwek!

– Zejdź mi z oczu, przekłeta suko! Zejdź mi z drogi! Muszę to wytrzeć!

– Obrzygałeś się, Doktoru Złamasie. W tym pieprzonym włoskim garniturze wyglądasz jak kupa gówna.

– Odejdź, Christino!

– Dziwkarcz.

– Ruszże się!

– Pieprz się!

– Ostrzegam cię!

– To ja ciebie ostrzegam... Au! Ty... Och, popchnąłeś mnie, uderzyłeś mnie, ty brudny, śmierdzący draniu! Och! Au, moja stopa...

– Jak ty wyglądasz? Zataczasz się. Żalósne.

– Popchnąłeś mnie, ty przekłety lachociagu!

– Pijana krowa!

– Kupa gnoju!

– Pieprzona pijaczka!

– ŚMIERDZĄCY PIEPRZONY ŻYDOWSKI ŁAJDAK!

– Ach, o to chodzi!

– Masz pieprzoną rację, właśnie o to chodzi, ty brudny żydowski złamasie z haczykowanym nosem!

– Jazda, nie żałuj sobie. Pokaż, co potrafisz, suko!

– ŻYDOWSKI ŁAJDAK!

– Biała cipa!

– ŻYDZISKO! DRAŃ, CO UKRZYŻOWAŁ CHRYSYUSA!

ROZDZIAŁ 25

Druga ofiara została szybko zidentyfikowana.

Gdy Daniel uniósł prześcieradło i spojrzął na nią, jego pierwszą myślą było: starsza siostra Fatmy. Podobieństwo było bardzo silne, włącznie z brakującymi kolczykami.

Znów zaczęli pracować nad teczkami zaginionych dzieci, ale to donikąd ich nie doprowadziło. Tym razem jednak nie udało się uniknąć rozgłosu, historia natychmiast trafiła do prasy, a rozesłanie fotografii dało rezultaty w niedzielę, w dwadzieścia cztery godziny po znalezieniu ciała. Detektyw z placu Rosyjskiego, niedawno przeniesiony z Hajfy, pamiętał kogoś, kto został zatrzymany za namawianie do nierządu w porcie. Zatelefonowano do Okręgu Północnego, skąd nadeszłateczka dziewczyny. Okazało się jednak, że po otrzymaniu ostrzeżenia ona sama została wypuszczona. Poza tym z akt nie dowiedziano się wiele więcej.

Juliet Haddad („Nazywają mnie Petite Julie”), urodzona w Trypolisie, zawodowa prostytutka. Dwadzieścia siedem lat, śniada i ładna, z dziecinną twarzą, która nadawała jej wygląd o dziesięć lat młodszej.

Ta iluzja młodości kończyła się poniżej podciętego gardła – to, co pozostało z jej ciała, było zwiotczone, pożyłkowane, uda bryłowate, z bliznami po przypaleniach papierosem. Według raportu doktora Leviego, macica zniknęła, odcięta i zabrana, jak jakiś krwawy skarb, ale analiza pozostałych tkanek wykazała obecność skutecznie wyleczonej rzeżączki i wczesnego stadium syfilisu. Tak samo jak Fatma, została uspiona heroiną, ale w jej przypadku nie była to pierwsza podróż: dwa świeże ślady po ukłuciu igłą otoczone były wieloma starymi. Ponadto ślady znajdowały się w zgięciach kolan.

– Została dokładnie umyta, tak samo jak pierwsza – powiedział Danielowi doktor Levi. – Ale z punktu widzenia fizjologii była daleka od czystości. Zniszczona młoda kobieta, prawdopodobnie narkotyzowała się i była bita od wielu lat. Na całej czaszce pod włosami miała sieć blizn, jak pajęczyna. Ślady drobnych uszkodzeń opony twardej i płatów czołowych mózgu.

– Czy to mogło mieć wpływ na poziom jej inteligencji?

– Trudno powiedzieć. Kora mózgowa jest zbyt złożona, by ocenić jej dawną aktywność. Utrata funkcji w jednym obszarze może zostać skompensowana przez inny obszar.

– Nie można nic wywnioskować?

– Nic wiążącego.

– A nieoficjalnie?

– Nieoficjalnie mogła mieć kłopoty z widzeniem, zamglony i zniekształcony obraz oraz przytępione reakcje emocjonalne, jak pacjenci, na których Rosjanie wykonują operacje neurochirurgiczne. Ale równie dobrze mogła funkcjonować bez zarzutu. Nie potrafię tego stwierdzić. Badałem mózgi, które zupełnie obumarły. Można było przypuszczać, że ich właściciel był jak roślina. A potem dowiaduję się od rodziny, że facet do śmierci grał w szachy i rozwiązywał skomplikowane zadania matematyczne. Inne z kolei wyglądały idealnie, a ich właściciele okazywali się kretynami. Jeśli chcesz wiedzieć, czy była sprytna, poszukaj kogoś, kto ją znał.

– Jakieś przypuszczenia co do macicy?
– Co powiedzieli psychiatrzy?
– Jeszcze z nimi nie rozmawiałem.
– Cóż – mówił Levi. – Przypuszczam, że wolno mi zgadywać, tak jak im. Nienawiść do kobiet, potrzeba niszczenia kobiecości, usunięcie jej siedliska.

– Dlaczego usunął jej, a zostawił Fatmie?
– Maniacy się zmieniają, Dani, tak samo jak wszyscy inni. Poza tym macica Fatmy była także w zaniku, więc w pewnym sensie ją też pozbawił kobiecości. Może zabrał tę drugą, żeby ją mieć dłużej i robić z nią Bóg wie co. Może postanowił założyć sobie kolekcję. Kuba Rozpruwacz zaczął od cięcia, a potem usuwał organy. Chyba jedną nerkę, o ile dobrze pamiętam. Wysłał kawaleczek policji i twierdził, że resztę zjadł.

– Tak – odpowiedział Daniel, myśląc: rzeźnia, kanibalizm. Do czasu Szarego Człowieka takie okropieństwa były tutaj czystą teorią, przypadkami z podręcznika na temat zabójstw. Czymś, z czym, jak sądził, nigdy się nie spotka.

Levi jakby czytał w jego myślach.

– Nie ma sensu przed tym uciekać, Dani – powiedział. – Masz tutaj nowego Kubę. Zacznij wkuwać literaturę fachową na temat maniaków.

Według wiadomości z Okręgu Północnego, Juliet twierdziła, że jest chrześcijanką, polityczną uciekinierką ze wschodniego Bejrutu, ranną w czasie inwazji i zbiegłą przed szyitami* i Organizacją Wyzwolenia Palestyny. Zapytana, jak dostała się do Izraela, zasunęła mocno naciąganą historyjkę o podróży z oddziałem czołgów izraelskich. Ale aby ją uprawdopodobnić, pokazała świeżą ranę na głowie oraz kartę zdrowia Kupat Holim ze szpitala Rambam oraz adres w Hajfie i tymczasowy dowód tożsamości, więc policja, zajęta poważniejszymi sprawami niż działalność małej kurewki, przyjęła jej wyjaśnienia i wypuściła ją, po ostrzeżeniu.

Bardzo niefortunnie, bo już pobieżne śledztwo wykazało, że historyjka była zwykłą błądą. W biurze imigracji nie mieli jej dokumentów, adres w Hajfie okazał się niezamieszkanym budynkiem, a wizyta Shmeltzera i Aviego Cohena w szpitalu Rambam ujawniła, że Juliet była leczona w pogotowiu na epilepsję, a nie z powodu rany głowy.

Lekarz, który ją przyjął, już tam nie pracował; wyjechał na stypendium do Stanów. Ale jego pismo było wyraźne i Shmeltzer odczytał na głos jego wypis:

„Leczona skutecznie fenobarbitolem i dilantinem; całkowite wygaśnięcie jawnej aktywności ataków. Pacjentka twierdzi, że miała ataki po raz pierwszy, i obstaje przy tym, pomimo mojego wyraźnego sceptycyzmu. Wypisałem receptę na lekarstwa na miesiąc, które zostały jej wydane przez szpitalną aptekę, dałem jej broszury na temat epilepsji, w języku arabskim, i zleciłem dalszą obserwację, łącznie z wszechstronnymi badaniami neurologicznymi i radiograficznymi. Następnego ranka jej łóżko było puste, a ona zniknęła. Nie skontaktowała się więcej z naszą instytucją. Diagnoza: padaczka z objawami pierwotnie uogólnionymi. Status: samowolne opuszczenie szpitala, wbrew zaleceniom medycznym”.

– Co należy rozumieć: była kłamczucha i naciągnęła ich na darmowe leki – stwierdził Shmeltzer.

Avi Cohen skinął głową i patrzył, jak starszy mężczyzna przegląda kartę choroby.

– Tylko popatrz na to, chłoptysiu. W rubryce „Krewny lub wspierająca grupa” jest mała pieczętka wojskowa.

Cohen pochylił się do przodu, udając, że coś z tego rozumie.

– Jalom Zvi – odczytał Shmeltzer. – Kapitan Zvi Jalom, Korpus Czołgów – cholerny kapitan wojska zarejestrował ją w szpitalu. Wspominała o jednostce wojsk pancernych. –

* Szyici (arab. *Szi'a* – „zwolennicy, sekta Alego”) – mniejszy z dwóch odłamów islamu, uznający, że kalifem mógł być tylko potomek zięcia Mahometa i jego córki Fatimy, uważający więc tylko Alego za prawowitego następcę proroka.

Pokręcił głową. – Ta mała flądra miała oficjalną wojskową eskortę.

Z tego, co mówił Jalom, wynikało, że działał z wyrachowania, bez współczucia.

– Słuchaj, byłeś tam... Wiesz, jak było: Dobra Granica i całe to gadanie. Karmiliśmy ich całe setki, zapewnialiśmy im darmowe leczenie.

– Tamci byli politycznymi uciekinierami – powiedział Avi Cohen. – Chrześcijanie. I wszyscy wrócili.

– Ona także była chrześcijanką.

– Musiałeś ją dobrze poznać, prawda?

Jalom wzruszył ramionami i napił się oranżady. Był przystojnym, nieco szorstkim mężczyzną pod trzydziestkę, jasnowłosy, rumiany o szerokich barach i nienagannie utrzymanych dłoniach. W cywilu szlifierz diamentów w Tel Awiwie. Jego domowy adres w Netanji został szybko odnaleziony w wojskowym archiwum i Avi zaprosił go na lunch w kawiarence ulicznej blisko plaży.

Był piękny poniedziałkowy poranek. Niebo miało ten sam odcień co szafir w pierścionku Jaloma, piasek lśnił jak rafinowany cukier. Ale Netanja się zmieniła, pomyślał Avi. Wyglądała zupełnie inaczej niż w czasach, gdy jego rodzina spędzała tu letnie miesiące: apartament w Czterech Porach Roku, służba hotelowa posyłana po hamburgery i colę z likierem wiśniowym, nadużywanie słońca i skóra czerwona jak papryka. Wieczorne przechadzki, ojciec wskazujący gangsterów przy kawiarnianych stolikach. Wymieniający pozdrowienia z niektórymi spośród nich.

Teraz domy wydawały się nędzniejsze, ulice bardziej zatłoczone, jezdnie zapchane samochodami i duszne od spalin, zupełnie jak miniatura Tel Awiwu. Przecnicę dalej, na schodach walącego się domu, siedzieli czarnoskórzy ludzie. Etiopczycy – rząd osiedlił tu ich całe setki. Mężczyźni mieli *kipot*; kobiety także przykrywały włosy. Religijni ludzie, ale o czarnych twarzach. Dziwne.

– Wpędzisz mnie w kłopoty? – zapytał Jalom.

Avi uśmiechnął się dyplomatycznie. Lubił czuć władzę. Sharavi dotrzymał słowa, trzymał go z dala od słowa pisanego. Zlecał prawdziwe zadania.

Jest weteranem z Libanu. Powinieneś się z nim dogadać.

Dziękuję, pakad.

Najlepszym podziękowaniem będzie wykonanie pracy.

– Możesz mi naprawdę napieprzyć, Avi – powiedział Jalom.

Bardzo bezpośredni. Jak gdyby nic zwraca się do mnie po imieniu. Ale niektórzy oficerowie wojska mają ten problem. Traktują policjantów jak pośledniejszego rodzaju żołnierzy.

– Skoro wspomniałeś o pieprzeniu – rzekł – czy tak właśnie ją poznałeś?

Jalom rzucił mu gniewne spojrzenie. Wciąż się uśmiechał i bębnił swymi doskonałymi palcami po blacie stołu.

– Jesteś prawiczkiem, chłopcze?

– Co powiesz na to – Avi zaczął wstawać od stolika – żebyśmy dokończyli tę rozmowę w Komendzie Głównej.

– Poczekaj – powiedział Jalom. – Przepraszam. Po prostu jestem nerwowy. Przeszkadza mi ten magnetofon.

Avi usiadł. Przysunął magnetofon bliżej Jaloma.

– Masz powody, żeby się denerwować.

Jalom skinął głową, sięgnął do kieszonki koszuli i poczęstował Aviego rothmansami.

– Nie, dziękuję, ale ty możesz zapalić.

Szlifierz diamentów zapalił, odwracając głowę w taki sposób, by dym ulatywał w stronę plaży. Avi obejrzał się przez ramię, zobaczył dziewczyny w kostiumach bikini, niosące ręczniki i torby plażowe. Patrzył na małe dołeczki nad pośladkami i zapragnął znaleźć się

obok nich.

– Była wystraszona – powiedział Jalom. – Pracowała w chrześcijańskiej części Bejrutu, w prywatnym klubie, tylko dla stałych członków. Bała się, że po naszym odejściu przyjdą szyci i ją zabiorą.

– Jacy stali członkowie? – zapytał Avi, przypominając sobie, co mu opowiadał Sharavi o pęknięciach czaszki i bliznach po przypalaniu papierosami.

– Obcokrajowcy. Dyplomaci, biznesmeni, profesorowie z uniwersytetu amerykańskiego. Klub był zbyt kosztowny dla miejscowych, co było jednym z powodów, dla których chciała uciec. Fundamentalisci grozili, że podłożą tam bombę, przykleili plakat nazywający klub zbiornikiem na nasienie niewiernych, czy coś w tym rodzaju.

– Widziałeś ten plakat na własne oczy?

– Nie – szybko odpowiedział Jalom. – Nigdy tam nie byłem. Wiem to tylko od niej.

– Więc gdzie ją poznałeś?

– Wyjeżdżaliśmy z miasta. Stała na środku drogi, niedaleko zapór między Wschodem i Zachodem. Machała ręką i płakała. Nie chciała zejść z drogi, a ja nie mogłem jej po prostu rozjechać. Więc wysiadłem, porozmawiałem z nią, zrobiło mi się jej żal i ją podwiozłem. Miałem ją wysadzić w Bin Ibeil, ale dostała ataku, więc ją przywiozłem na miejsce.

– Bardzo rozsądnie.

Jalom się skrzywił.

– Dobrze, kiedy teraz o tym pomyślę, to była głupota. Ale było mi jej żal. To nie przestępstwo.

Avi napił się piwa.

– Ilu z was ją rżnęło? – zapytał.

Jalom milczał. Dłoń, trzymająca papierosa, zaczęła drżeć. Nieodpowiednia cecha u człowieka o takim zawodzie, pomyślał Avi. Napił się znowu i czekał.

Jalom rozejrzał się dookoła, pochylił się i ściszył głos.

– Skąd, u diabła, miałem wiedzieć, że da się pokroić? – zapytał. Avi zauważył łzy w jego oczach, poza twardziela zniknęła. Przestał zwracać się po imieniu. – Kilka miesięcy temu się ożeniłem, samal Cohen. Bardziej zależy mi na żonie niż na pozycji w wojsku.

– Więc dlaczego nie powie mi pan prawdy, a ja zrobię, co w mojej mocy, aby pańskie nazwisko nie trafiło do prasy.

– Dobrze, już dobrze. To, co powiedziałem o tym, że wziąłem ją z drogi, bo mi jej było żal, to prawda... chciałem być ludzki. Kiedy pozwalamy Arabom, by masakrowali jedni drugich, jesteśmy źli, a gdy usiłujemy być ludzcy, też źle. Nie ma sposobu.

– Zabrał ją pan, bo jej pan współczuł – mówił Avi zachęcająco. – Ale...

– Ale kilku z nas ją miało, no nie? Dawała za darmo, była milutka, a my mieliśmy za sobą dwa miesiące piekła... Snajperzy, dwaj moi najlepsi kierowcy zginęli, najechawszy na miny... Na miłość boską, przecież pan wie, jak to jest.

Avi pomyślał o swoim pobycie w Libanie. Walki wręcz na ulicach Bejrutu, rozpędzanie członków Organizacji Wyzwolenia Palestyny, nadstawianie własnego tyłka, żeby nie strzelać do kobiet i do dzieci, z których ci dranie robili sobie żywe tarcze. Potem miesiąc służby w więzieniu Ansar, kiedy stał, pilnując wziętych do niewoli ponurych bojowników organizacji Wyzwolenia Palestyny, ubranych w niebieskie stroje do joggingu, które przydzieliła im armia. Nie mogąc powstrzymać twardzieli, którzy pastwili się na słabszych jeńcach, nie mogąc zapobiec konstruowaniu sztyletów i włóczni. Tuląc uzi, jakby to była kochanka, i patrząc bezsilnie, jak twardziele otaczają tłum słabszych i wyłapują zniewieściałych, po czym każą im odgrywać role panien młodych w parodii ślubów. Przebierali ich za dziewczyny, malowali im twarze, depilowali brwi i tłucli, doprowadzając do płaczu.

Zbiorowe gwałty po zgaszeniu świateł. „Panny młode”, które przeżyły, trzeba było leczyć następnego ranka z szoku i rozdartych odbytnic.

– Wiem – powiedział Avi. – Wiem.

– Trzy pieprzone lata – powiedział Jalom. – I po co? Organizację Wyzwolenia Palestyny zastąpiliśmy szyitami i teraz oni strzelają do nas z katusz. Nic dziwnego, że mieliśmy niewybredne gusty. Nie wiedzieliśmy, czy stamtąd wrócimy, więc braliśmy ją, pogziliśmy się trochę... taka chwilowa ulga. Zrobiłbym to samo jeszcze raz... – Zamilkł. – A może nie. Sam nie wiem.

– Co jeszcze mówiła o swoich klientach? – zapytał Avi, trzymając się wskazówek otrzymanych od Jemeńczyka.

– Lubili brutalne zabawy – powiedział Jalom. – Burdel był przeznaczony do tego, żeby zaspokajać takie zachcianki. Profesorowie, wykształceni faceci, a byłby pan zaskoczony, słysząc, co ich rajcowało. Pytałem ją, jak to wytrzymywała. Powiedziała, że było w porządku, że ból jest w porządku.

– Jakby to lubiła?

Jalom pokręcił *głową*.

– Jakby o to nie dbała. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale ona była dziwna... jakaś taka przygasła, jakby w półśnie.

– Niedorozwinięta?

– Po prostu ogłupiała, jakby tyle razy oberwała, że już jej było wszystko jedno.

– Gdy błagała, żeby ją pan zabrał, na czymś jej zależało.

Na twarzy Jaloma odmalował się niesmak.

– Nabrała mnie. Jestem głupi, w porządku?

– Widział pan ślady igieł na jej rękach?

Jalom westchnął.

– Tak.

– Wspominała o jakichś przyjaciółach lub klientach?

– Nie.

– Mówiła coś o przeszłości? Może o tych wykształconych facetach?

– Nie. Siedzieliśmy z tyłu w półcieżarówce. Jechaliśmy w ciemnościach na południe. Niewiele rozmawialiśmy.

– Mówiła coś, że ma padaczkę?

– Nie. To było dla mnie zaskoczenie. Nagle zeszywniała, zaczęła się rzucać w przód i w tył, zęby jej szczękały, przygryzała wargi... Myślałem, że umiera. Widział pan kiedy coś takiego?

Avi przypomniał sobie dzieci z epilepsją z klasy specjalnej. Opóźnione w rozwoju i pokurczone, trzęsące się i zaślinione. Czuł się wśród nich jak dziwadło, płakał histerycznie, aż matka zabrała go stamtąd.

– Nigdy – odrzekł. – Co robiła, gdy zaczął się atak?

– Spała.

– Szczęściarz, co?

Jalom zaintrygowany spojrział na detektywa.

– Szczęściarz – powiedział Avi z uśmiechem. – Dobrze, że nie leżała na panu, gdy zaczęła się rzucać. Mógł pan odnieść rany na polu bitwy.

ROZDZIAŁ 26

Nie było żadnych danych dotyczących poczynań Juliet przez cztery miesiące po wypuszczeniu jej przez Okręg Północny. Żadna prostytutka, żaden alfons czy handlarz narkotykami nie przyznali się, że ją znają. Nie starała się o pomoc społeczną ani o inne świadczenia, nie pracowała legalnie i nie figurowała w rejestrze podatkowym.

Zupełnie jakby się zapadła pod ziemię, pomyślał Daniel, jak zwierzę, które wychodzi na powierzchnię tylko po to, by dać się rozerwać na strzepy jakiegoś czyhającemu drapieżnikowi.

Daniel wiedział, że mogła uprawiać swoją profesję niezależnie, polując na klienta w bocznych uliczkach ustronnych okolic. Albo podjąć jakąś pracę na czarno, przy zbieraniu owoców lub jako posługaczka. W żadnym z tych przypadków nie było sposobu, by ją odnaleźć. Pracodawca z pewnością nie chwaliłby się, że ją zatrudnia nielegalnie, a klienci, korzystający z jej usług, także trzymaliby to w tajemnicy.

Najbardziej obiecujące zdawały się poszukiwania związane z jej epilepsją, a najlepszym sposobem uzyskania informacji – dreptanina. Chodzenie od lekarza do lekarza, od szpitala do szpitala, obejście wszystkich klinik Kupat Holim oraz aptek. Lekarstwo, które dostała w Rambam, skończyło się jakiś czas temu, co oznaczało, że musiała gdzieś zdobyć nowe.

Zaczęli od sprawdzenia neurologów i klinik neurologicznych, a gdy poszukiwania okazały się bezowocne, zajęli się lekarzami innych specjalności oraz pogotowiem. Pokazywali fotografię Juliet zapracowanym ludziom w białych fartuchach, szukali jej nazwiska wśród kart pacjentów i w spisach dyżurów. Praca nadwreżająca wzrok, nudna i wymagająca cierpliwości. W większości przypadków Avi Cohen był bezużyteczny, więc Daniel zlecił mu przyjmowanie telefonów, zapisywanie zgłoszeń żartownisiów oraz sprawdzanie fałszywych tropów i wyznań, których fałę wywołały artykuły w prasie.

Tydzień się kończył, a oni nie zdobyli żadnych informacji i Daniel podejrzewał, że ich wysiłki są bezcelowe. Jeżeli Juliet była wystarczająco przebiegła, aby zdobyć fałszywy dowód tożsamości w kilka dni po przekroczeniu granicy, teraz prawdopodobnie miała ich wiele, z różnymi nazwiskami i datami urodzenia. Jej dziecinna twarz pozwalała na podawanie wieku od siedemnastu do trzydziestu lat. I jak znaleźć kogoś takiego?

Nawet jeżeli odkryją, że była u jakiegoś lekarza lub farmaceuty, co im to da? Nie była to zbrodnia w afekcie. Drogi życia ofiary i mordercy po prostu się przecięły. Została zabita, bo przypadkowo natrafiła na potwora. Jego namowy, może wymiana pieniędzy. A potem spotkanie w ciemnym miejscu, oczekiwanie ukradkowego seksu, odprężający zastrzyk narkotyku. Czarna otchłań. Operacja.

Daniel miał nadzieję, że ani ona, ani Fatma nie wiedziały, co się z nimi dzieje.

Operacja. Zaczął o tym myśleć w kategoriach medycznych: mycie, usunięcie macicy, chociaż Levi zapewniał go, że do jej wycięcia nie jest potrzebna żadna specjalistyczna wiedza.

Prosta sprawa, Dani. Rzeźnik, *szochet*,* pielęgniarka lub felczer mogą to zrobić bez szkolenia. Dysponując podręcznikiem anatomii, mógłbyś to także zrobić. Każdy by mógł. Zawsze, gdy zdarza się coś takiego, ludzie zaczynają podejrzewać lekarza. To bez sensu.

Wyglądało na to, że patolog broni swojej profesji, ale Daniel nie miał powodów, by mu nie wierzyć.

Ktokolwiek. Każdy.

Mimo to rozmawiali z lekarzami.

Odwiedzali szpitale.

Zaraz po znalezieniu Fatmy Daniel pomyślał o Amelia Catherine, ze względu na położenie szpitala w sąsiedztwie miejsca, gdzie podrzuciono ciało. Wyobraził sobie, że w wielkim, pustym budynku nietrudno było ukryć zwłoki, a potem wykraść się w odpowiedniej chwili podczas dyżuru Schlesingera i je wyrzucić. Ale, nie licząc pogłosek o tym, że doktor Walid Darousha jest homoseksualistą, ludzie z Amelia Catherine okazali się pod każdym względem bez zarzutu. A ślad, na który natrafili w Silwan, sprawił, że Daniel zapomniał o oenzetowskim szpitalu.

Czy kliniki ONZ przyjmują pacjentów chorych na epilepsję? – zastanawiał się Daniel. Był prawie pewien, że powinny. Jeśli tak, ich akta będą poza zasięgiem policji. Chyba że Daniel narobi wokół tej sprawy hałasu, poróżni się z Sorrelem Baldwinem i jemu podobnymi. Z całą tą oenzetowską biurokracją.

Baldwin, interesujące. Zanim przybył do Jerozolimy, mieszkał w Bejrucie, poprzedniej siedzibie Juliet. Uzyskał stopień naukowy po ukończeniu socjologii na uniwersytecie amerykańskim, Daniel pamiętał ten dyplom. Ze śledztwa przeprowadzonego przez kapitana Cohena wiedział, że burdel Juliet zaspokajał potrzeby cudzoziemców. Pracowników uniwersytetu amerykańskiego – Jalom wyraźnie to powiedział. Przypadkowa zbieżność? Prawdopodobnie. Uniwersytet produkował absolwentów arabistyki, z których wielu znajdowało pracę w ONZ. Dobrze byłoby porozmawiać z Baldwinem. Niestety, bez zgody zwierzchników rzecz niemożliwa.

Dowody, warknąłby Laufer. Jakie ma pan dowody, dla których miałbym sobie brudzić ręce, Sharavi? Naruszać ich immunitet dyplomatyczny? Trzymaj się pan sprawy, Sharavi, nie szukaj dziury w całym.

Od czasu znalezienia ciała Juliet komendant był w złym humorze. Jego optymizm okazał się przedwczesny. Bombardował podwładnych żądaniem szybkich postępów w śledztwie.

Dowody. Daniel wiedział, że ich nie ma. Nie miał nic, co by wiązało Juliet z Baldwinem lub kimkolwiek z Amelia Catherine. Jej ciało porzucono po przeciwnej, południowo-zachodniej stronie miasta, w sosnowym lesie niedaleko Ein Qerem. Najdalej od Scopus jak to tylko możliwe.

W lesie Żydowskiej Fundacji Narodowej, finansowanym z uczniowskich datków. Ciało owinięte białym prześcieradłem, tak samo jak ciało Fatmy. Znalezione przez dwójkę młodych wycieczkowiczów, kilkunastoletnich chłopców, którzy uciekli stamtąd śmiertelnie wystraszeni. Rosyjskie zakonnice, mieszkające w pobliskim klasztorze Ein Qerem, nic nie widziały ani nie słyszały.

I jeszcze sprawa brata Josepha Roselli. W godzinę po odkryciu drugiego ciała Daniel wstąpił do Saint Saviour, znalazł mnicha na dachu i pokazał mu zdjęcie nieżywej Juliet. Roselli wykrzyknął: „Mogłaby być siostrą Fatmy!”, a potem jego twarz jakby się zapadła, zmieniając się nagle w maskę o zaciśniętych wargach. Od tej chwili brat stał się zimny i daleki, pełen oburzenia. Zupełnie inny niż poprzednio. Daniel pomyślał, że to on sam był temu winien: ludzie służący Bogu nie przywykli, by ich podejrzewano o morderstwo. Ale zmiana była taka gwałtowna. Dziwne.

* *Szochet* – wyszkolony rzeźnik, dokonujący *schity* (z hebr. „ubój”), rytualnego zabijania zwierząt przez szybkie przeciągnięcie nożem po gardle. Reguły odżywiania wymagają *schity*, by mięso było koszerne.

Nie mógł się pozbyć wrażenia, że Roselli ukrywa jakąś tajemnicę, z czymś walczy... Jednakże, jak dotąd, śledzenie mnicha przez Daouda nie przyniosło żadnych rezultatów.

Dwie zabite dziewczyny i żadnych dowodów.

Przez chwilę rozmyślał o Fatmie i o Juliet, starając się znaleźć jakieś związki pomiędzy uciekinierką z Silwan i prostytutką z Bejrutu, a potem zbeształ sam siebie za odbieganie od tematu. Zamiast próbować zrozumieć mordercę, niepotrzebnie zajmuje się ofiarami, bo one mają imiona i nazwiska, a zabójca jest całkowitą zagadką.

Morderstwa dzieliło siedem dni. Od chwili znalezienia Juliet minął tydzień.

Czy właśnie teraz dzieje się coś nowego? Jakaś inna bezbronna kobieta zapada w nie kończący się sen?

I jeśli tak, co można na to poradzić?

Rozmyślał o tym, przeklinając własną bezsilność, aż poczuł ogień w trzewiach, a głowa omal nie pękła z bólu.

Po świątecznej kolacji, w czasie której kiwał głową i uśmiechał się do Laury i dzieci, słuchając ich, ale nie słysząc, wszedł do pralni, którą Laura zamieniła w pracownię, z naręczem książek i monografii z biblioteki Naczelnego Dowództwa Policji. Pomieszczenie było jasno oświetlone, bo Daniel nie zgasił światła przed szabatem, starannie poustawiawszy blejtramy Laury na podłodze. Usiadł wśród bel płótna, puszek oleju, palet oraz słoików z pędzlami i zaczął czytać.

Opisy przypadków seryjnych morderców: Landru, Herman Mudgett, Albert Fish, który mordował i zjadał małe dzieci, Peter Kurten, przyprawiający o mdłości przedstawiciel gatunku ludzkiego, który w pełni zasłużył na przezwisko Potwór z Dusseldorfu. Według jednego ze znawców przedmiotu, Niemcy wyprodukowali nieproporcjonalną liczbę morderców seksualnych, miało to coś wspólnego ze zubożałą podświadomością zbiorową.

I oczywiście Kuba Rozpruwacz. Ponowna lektura książki o Rozpruwaczu wzbudziła jego wątpliwości, ponieważ niektórzy eksperci byli przekonani, że napastnik z Whitechapel był Żydem, *szochetem*, którego doświadczenie w rytualnym zarzynaniu uczyniło znawcą anatomii. Daniel przypomniał sobie, co mówił doktor Levi, i pomyślał o *szochetach*, których znał: Mori Gerafi, drobniutki Jemeńczyk, sprawiający wrażenie zbyt łagodnego do takiej pracy. Rabin Landau, który pracował na targu Mehane Jehuda. Wykształceni mężczyźni, pobożni i uczeni. Myśl, że mogliby kroić kobiety, była absurdalna.

Odłożył książkę na temat Rozpruwacza i brnął dalej.

Psychopathia sexualis Krafft-Ebinga – ludzie w ohydny sposób poszukujący rozkoszy. Raporty Interpolu i FBI – teoria o Niemcach nie wytrzymuje próby; to Ameryka ma największą liczbę seryjnych morderców. Jeden z szacunków podaje, że w każdym badanym okresie było ich trzydziestu lub czterdziestu, nie rozwikłano ponad pięciuset seryjnych morderstw. FBI zaczęło sporządzać specjalny program komputerowy, aby je wszystkie skatalogować.

Trzydzieści włóczących się potworów. Tyle okrucieństwa, tyle zła.

Uliczni Mengele. Po co Bóg ich stworzył?

Skończył o drugiej w nocy. Miał suche usta i ciężkie powieki. Lampa Laury była jedynym światłem w cichym, uspionym mieszkaniu.

Czy teraz też dzieje się coś takiego? Rytuał, gwałt... nieruchome ciało poddawane sekcji?

Zasnął, wiedząc, że jego sny będą zatrute.

Obudził się o świcie, oczekując złych wiadomości.

W niedzielę o dziewiątej spakował papiery do aktówki i poszedł na spotkanie z doktorem Ben Davidem. Główne biuro psychologa mieściło się na Uniwersytecie Hebrajskim, ale prywatnych konsultacji udzielał we frontowych pokojach swego mieszkania na *rechow* Ramban.

Daniel przyszedł za wcześnie i usiadł w ciasnej poczekalni, gdzie siedziała już zmęczona

kobieta, która unikała kontaktu wzrokowego, chowając się za rozłożonym „Time’em”. Dziesięć minut przed umówioną godziną Ben David wyszedł z gabinetu wraz z chudym, wielkookim chłopcem w wieku około pięciu lat. Chłopiec spojrzał na Daniela i uśmiechnął się nieśmiało. Detektyw odpowiedział mu uśmiechem i zdziwił się, jakie kłopoty może mieć takie małe dziecko, że aż potrzebuje pomocy psychologa.

Kobieta włożyła „Time’a” do torebki i wstała.

– Dobrze – powiedział Ben David serdecznie, po angielsku. – Widzimy się z Ronnym w przyszłym tygodniu, o tej samej porze.

– Dziękuję, doktorze. – Wzięła syna za rękę i obydwójce szybko wyszli.

– Daniel – zawołał Ben David, ujmując dłoń detektywa w dwie ręce i ściskając ją energicznie. Był to młody mężczyzna, niewiele po trzydziestce, o bujnych czarnych włosach, ciemnej brodzie, rozbieganych jasnoniebieskich oczach i niezrównoważonym usposobieniu, które zaskoczyło Daniela, gdy spotkali się po raz pierwszy. Zawsze sądził, że psychoterapeuci to spokojni, cisi ludzie, którzy słuchają i przytakują, czekają, żebyś mówił, żeby mieli co interpretować. Ten, do którego przed laty chodził w ośrodku rehabilitacyjnym, doskonale pasował do tego stereotypu.

– Witaj, Eli. Dziękuję, że zechciałeś się ze mną spotkać.

– Wejdz.

Ben David wprowadził go do gabinetu przyjęć, małego, zagraconego pokoju, obstawionego półkami na książki, z niewielkim biurkiem, trzema krzesłami i małym okrągłym stolikiem, na którym stał domek dla lalek w kształcie szwajcarskiego pawilonu, mebelki i pół tuzina maleńkich figurek. Za biurkiem znajdował się regał zavalony stertami gazet i zabawkami. Obok gazet stał aluminiowy czajnik do kawy, filiżanki i cukiernica. W pomieszczeniu przyjemnie pachniało gliną modelarską.

Daniel usiadł na jednym z krzesel. Psycholog podszedł do kredensu.

– Kawy?

– Poproszę.

Ben David przygotował dwie filiżanki, podał jedną Danielowi i usiadł naprzeciwko, popijając. Miał na sobie spłowiała koszulka polo barwy czerwonego wina uwydatniająca jego brzuch, workowate spodnie z ciemnozielonego sztruksu i rozdeptane mokasyny na stopach bez skarpetek. Włosy miał zmierzwiłone, broda wymagała przystrzyżenia. Niedbały, a nawet niechlujny, jak student na wakacjach. Zupełnie nie odpowiadający wizerunkowi lekarza, lecz mógł sobie na to pozwolić. Ben David był geniuszem, w wieku dwudziestu siedmiu lat został zwierzchnikiem psychologów na usługach wojska, w dwa lata później otrzymał tytuł profesora zwyczajnego. Daniel przypuszczał, że mógł nosić, na co tylko miał ochotę.

– A więc, przyjacielu. – Psycholog uśmiechnął się zdawkowo, a potem gwałtownie zmienił pozycję. – Nie wiem, co mógłbym ci powiedzieć, ponad to, co już wiemy o Szarym Człowieku.

– Ja także nie jestem pewien. – Daniel wyjął z teczki sprawozdania lekarzy sądowych oraz opisy zbrodni i podał je Ben Davidowi. Napił się kawy i czekał, podczas gdy psycholog je czytał.

– Mhm – powiedział Ben David, szybko je przejrzawszy i uniósłszy wzrok nad dokumentów. – Co konkretnie chciałbyś wiedzieć?

– Co sądzisz o myciu ciała? O czym to świadczy?

Ben David odchylił się na oparcie krzesła, założył nogę na nogę i przeczesał palcami włosy.

– Pozwól, że zacznę od ostrzeżenia, które poczyniłem poprzednio. Wszystko, co mówię, jest czystą spekulacją. Może być błędne. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Patolog może mieć rację, morderca chciał usunąć wszelkie ślady. Ale należy rozważyć

inny powód, i dwie racje wzajemnie się nie wykluczają. Odgrywanie roli Boga poprzez preparowanie ciała i manipulowanie nim. Czy ciała były jakoś szczególnie ułożone? Upozowane?

Daniel się zastanowił.

– Wyglądały jak starannie odłożone – powiedział. – Uważnie.

– Jakie było twoje pierwsze wrażenie, gdy zobaczyłeś zwłoki?

– Lalka. Zepsuta lalka.

Ben David entuzjastycznie skinął głową.

– Tak, to mi się podoba. Ofiary mogą być z powodzeniem używane jako lalki. – Odwrócił się i wskazał miniaturowy pawilon. – Dzieci posługują się lalkami, aby poradzić sobie ze swoimi konfliktami i zrealizować fantazje. Artyści, kompozytorzy i pisarze tworzą z podobnych motywacji. Potrzeba kreacji, wszyscy chcą być podobni Bogu. Mordercy seksualni czynią to, niszcząc życie. Szary Człowiek wyrzucał swoje ofiary. Ten jest bardziej twórczy.

Dla Daniela brzmiało to jak bluźnierstwo. Milczał.

– Zebranie dokładnych danych o mordercach seksualnych jest trudne, ponieważ mamy dostęp tylko do tych, którzy zostali schwytani. A wszyscy oni są kłamcami, więc dane z przesłuchań są wątpliwe. Mimo to Amerykanie przeprowadzili niezłe badania i to, co ci mówiłem o Szarym Człowieku, zgadza się z ich wynikami. Nasz nowy delikwent jest wyjątkowo niedojrzałym psychopatą. Dorastał ze stałym i przygniatającym poczuciem słabości i bezsilności, z zablokowaniem kreatywności. Od wczesnego dzieciństwa fantazjował na temat własnej mocy i wokół tego konstruował życie. Rodzina pozostała nienaruszona. Życie jego rodziny było do niczego, ale dla kogoś z zewnątrz mogło sprawiać wrażenie normalnego. Zwykły seks go nie satysfakcjonuje. Potrzebuje brutalności i dominacji, bezsilności ofiary, aby doznać podniecia. Na początku wystarczały pełne brutalności fantazje. Potem, jeszcze jako dziecko, zaczął się znęcać nad zwierzętami i prawdopodobnie uprawiał z nimi seks. Jako młodzieniec mógł dojść do zadawania gwałtu ludziom. A gdy i to przestało zaspokajać jego potrzebę władzy, zaczął zabijać. Morderstwo służy za namiastkę stosunku płciowego: na początku jakoś podporządkowywał sobie partnerkę, a następnie zaczął kroić i wrywać organy. Przesadna metafora seksu, dosłowne przebijanie i wchodzenie w ciało. Wybiera na ofiary kobiety, ale może być utajonym homoseksualistą.

Daniel pomyślał o pogłoskach na temat doktora Daroushy i spytał:

– A co z aktywnym homoseksualistą?

– Nie – powiedział Ben David. – Kluczowym słowem jest „utajony”. Zabójca walczy, aby stłumić te impulsy, może nawet być supermęski, prawdziwy typ z gatunku „prawo-i-porządek”. Bywają oczywiście homoseksualni mordercy seksualni, ale oni zazwyczaj zabijają mężczyzn. – Ben David zamyślił się na chwilę. – Są dane na temat kilku morderców biseksualnych: Kurten, Potwór z Dusseldorfu, którzy wykańczali mężczyzn, kobiety i dzieci. Ale dopóki nie zaczniecie znajdować ofiar płci męskiej, koncentrowałbym się na utajonych homoseksualistach.

– Jak można namierzyć utajonego homoseksualistę?

– Nie można.

Daniel czekał na coś więcej. Nie doczekawszy się, spytał:

– Co z kolczykami? Szary Człowiek nic nie zabierał.

– Szary Człowiek był mało wyrafinowany: zarznąć i uciec. Kolczyki stanowią trofeum, tak samo jak macica zabrana drugiej ofierze. Inni zabójcy biorą bieliznę, ubrania. Ciała znajdowano nagie, więc wasz zabójca mógł również zabrać ubrania. Trofea są tymczasowym substytutem ponownego zabijania. Memento, podobne do głów kolekcjonowanych przez myśliwych. Stosują je do masturbacji, do pobudzenia fantazji o własnej mocy. – David zajrzał do sprawozdań. – Krańcowym przypadkiem jest nekrofilia. Tu nie ma żadnej wzmianki o

gwałcie. Czy wasz zabójca miał pośmiertne stosunki z ofiarami?

– Patolog nie znalazł nasienia – odparł Daniel. – Mogło zostać zmyte.

– Możliwość impotencji – stwierdził psycholog. – Albo mógł się masturbować z dala od ciała. To uniemożliwi sklasyfikowanie typu surowicy, dalsze unikanie materialnych dowodów. Niegłupi morderca, Dani. Z całą pewnością sprytniejszy od Szarego Człowieka.

Daniel pomyślał: głupi, prymitywny Szary Człowiek nie dał się złapać.

Ben David uniósł filiżankę i dopił kawę. Otarł brodę wierzchem dłoni.

– Aby dominować, konieczna jest przemoc. Niektórzy mordercy wiążą swoje ofiary. Wasz używa do tego heroiny, ale zmierza do tego samego celu. Całkowitego panowania.

– Przywiązujesz jakieś znaczenie do stosowania narkotyków?

Psycholog wstał, podszedł do kredensu i nalał sobie nową filiżankę kawy.

– Nie wiem – powiedział, wróciwszy na miejsce. – Może doświadczył szczytowego doświadczenia seksualnego w związku z zastosowaniem narkotyku. Wiele z tego, co pobudza ludzi, bywa wynikiem przypadkowych powiązań, połączenia przypadkowego, ale znaczącego wydarzenia z podnieceniem seksualnym.

Daniel musiał się nad tym zastanowić.

– Przypadek?

– Odruch Pawłowa, w tym wypadku powtarzające się łączenie seksu i brutalności. Może to stać się źródłem dewiacji seksualnych. Pokolenia angielskich sadomasochistów zostały stworzone przez praktykę publicznego bicia uczniów w szkole. Jeżeli wystarczająco często będziesz bił napalonego młodzieńca, stworzysz psychiczny związek między bólem a pobudzeniem. To samo może być prawdziwe w przypadku psychopatów seksualnych: większość z nich twierdzi, że była maltretowana w dzieciństwie, ale nie mówią, do czego to doprowadziło.

– Czy stosowanie znieczulenia może świadczyć o doświadczeniu medycznym? – zapytał Daniel. – Łącznie z faktem, że morderca dba o to, by unikać pozostawienia dowodów fizycznych.

– Podejrzewasz jakiegoś lekarza?

– Nie.

– Czy patolog uważa, że okaleczenia wskazują na specjalne umiejętności chirurgiczne?

– Nie.

– W takim razie nie stawiałbym na tę hipotezę. Po co lekarz miałby stosować coś tak prostackiego jak heroina, skoro ma dostęp do bardziej wyrafinowanych środków znieczulających? Stosowanie heroiny wskazuje raczej na kogoś mającego doświadczenie z narkotykami, co, niestety, przestało być rzadkością w tym kraju. Coś jeszcze?

– Kiedy rozmawialiśmy o Szarym Człowieku, powiedziałeś, że prawdopodobnie był trzymającym się na uboczu, antyspołecznym samotnikiem. Czy tak samo oceniasz tego mordercę?

– W głębi serca wszyscy psychopaci są antyspołeczni. Nie są zdolni do nawiązania intymnych stosunków, postrzegają ludzi jako przedmioty, nie odczuwają żadnej sympatii ani współczucia. Szary Człowiek jest impulsywny i potulny, co każe mi sądzić, że jest społecznie nieprzystosowany. Ale tego drugiego nie da się tak łatwo zdefiniować. Jest zimny, wyrachowany, starannie myje zwłoki, preparuje, czyści – prawdziwy reżyser. Arogancki i inteligentny, takie typy zaś często uchodzą za społeczne, a nawet czarujące. Niektórzy z nich miewają nawet romanse z kobietami, choć jeśli bliżej zbadasz taki związek, okazuje się okryty tajemnicą lub platoniczny. Bardziej wyrafinowani mordercy seksualni niekoniecznie stronią od ludzi. A nawet mogą starać się o popularność. Może go pociągać polityka, bo także daje poczucie władzy. Był taki Anglik, jeden z zabójców homoseksualnych. Nazywał się Dennis Nilsen. Aktywista związków zawodowych, bardzo przez wszystkich lubiany, o wspaniałej świadomości politycznej, w chwilach, gdy nie dusił chłopców. Albo Amerykanin,

Ted Bundy, był studentem prawa, także politycznie aktywnym, przystojny, miły. Inny Amerykanin, Gacy, zabawiał dzieci, występując jako kłown, zbierał fundusze na partię demokratyczną i sfotografował się z żoną prezydenta Cartera. Wszystko osoby publiczne. – Ben David pochylał się do przodu. – Wewnętrznie twój człowiek jest dołem kloacznym, Dani. Spróbuj go poznać na poziomie intymności i psychopatia zacznie wychodzić na jaw: kłamstwa, niesłuszne pretensje, niekonsekwencje w życiorysie, brak panowania nad impulsami, słaba świadomość sytuacji. Wierzy w zasady, ale nie wierzy, że dotyczą jego. Ale na zewnątrz może wyglądać zupełnie normalnie. Lepiej niż normalnie, bo to przekonujący manipulator.

Daniel pomyślał o naiwności Fatmy, o prawdopodobnym uszkodzeniu mózgu Juliet. Łatwe zdobycze dla kogoś takiego.

– A co z fanatyzmem religijnym? – zapytał.

Ben David się uśmiechnął.

– Mściciel oczyszczający świat z prostytutek? Bzdura rodem z filmu. Niektórzy z nich twierdzą, że przyświeca im jakiś wyższy cel moralny, ale to raczej brednie na własny użytek i nikt tego nie kupuje, szybko zaprzestają takiej śpiewki. Głównie zabijają po to, by osiągnąć orgazm. – Znów zajrzał do sprawozdania. – Obydwie ofiary to Arabki – powiedział. – Musisz brać pod uwagę czynnik polityczny.

– Ani Mosad, ani Szin Bet nie znaleźli żadnych powiązań z terroryzmem...

– Nie to mam na myśli – niecierpliwie przerwał psycholog. – Nie ograniczaj myślenia do zorganizowanej komórki politycznej. Jak już wspomniałem, psychopatów pociąga polityka, bo polityka daje władzę. Sugeruję, że to samotny psychopatyczny zabójca, którego fantazje splatają się z polityką.

Ben David zerwał się z krzesła, podszedł do półek z książkami, przejechał dłonią po grzbietach tomów i wyjął kilka z nich.

– Masz – powiedział, kładąc książki na kolanach Daniela.

Trzy pierwsze były amerykańskie. Tanie, spękane broszury na pożółkłym kruchym papierze. Daniel obejrzał ilustracje na okładkach: niesamowite komiksowe malunki przedstawiające zmysłowe kobiety, nagie, związane i zakneblowane, dręczone przez supermęskich samców z biczami i w skórzanych kostiumach, tak lśniących, że sprawiały wrażenie wilgotnych. Na kostiumach widniały swastyki, żelazne krzyże i trupie czaszki stanowiące logo SS. Na jednej z ilustracji z mięsistych ud kobiety tryskały strugi krwi. Na innej zaśliniony doberman o ostrych jak brzytwa zębach kierował pysk na krocze ofiary. Kobiety targały krępujące je więzy, a w oczach miały przerażenie. Ich oprawcy szczyrzyli zęby i pieścili groteskowo uwypuklone rozporoki.

Tytuły: *Zjedz to, żydowska suko. Nazistowscy kochankowie. Gestapowski gwałt.*

Daniel otworzył jedną z nich, przeczytał kilka linijek niewątpliwiej sadomasochistycznej pornografii i oburzony odłożył książki.

– Obrzydliwe.

– Kupiłem je, gdy byłem na Harvardzie – powiedział Ben David. – W antykwariacie, obok kampusu. To mały, ale stały rynek zbytu na tego typu rzeczy.

Daniel otworzył czwartą książkę. Tom w grubej oprawie, zatytułowany: *To się nie może zdarzyć nigdy więcej. Czarna księga faszystowskich okropności.* Przewracał kartki, zobaczył ziarniste fotografie. Sterty ludzkich szkieletów. Rzędy pustookich ciał, częściowo zżartych przez wapno, leżące w trzech warstwach w błotnistym dole. Odrąbane ręce i nogi, nienaturalne, jak z wosku. Chytre spojrzenie niemieckiego żołnierza, który strzela nagięj kobiecie w plecy.

– Przeczytaj rozdział „Morderstwo dla zysku” – powiedział psycholog. – „Eksperymenty chirurgiczne”.

Daniel znalazł rozdział, przejrzał go i z narastającym gniewem zamknął książkę.

– Jaka konkluzja?

– Ano taka, że rasistowscy politycy i psychopatia mogą być zgodnymi towarzyszami wspólnego łoża. Mengele, wszyscy obozowi lekarze, byli psychopatami. Hannah Arendt twierdzi, że byli normalnymi, banalnymi ludźmi, ale psychologiczna ocena mówi co innego. Pociągała ich filozofia nazistowska, bo pasowała do ich psychopatycznej natury. Hitler umocnił ich i wyposażył we władzę, status i technologię – seryjni zabójcy na usługach państwa. Chodzi o to, że jeżeli nadal zarzynane będą arabskie dziewczyny, to twój psychopata jest wrogiem Arabów.

– Żydowski morderca rasista? – Daniel pomyślał o książce na temat Kuby Rozpruwacza. O teorii *szocheta*.

– To może być Arab nienawidzący Arabów – powiedział Ben David. – Seryjni mordercy często zwracają się przeciwko swoim. Ale nie można wykluczyć możliwości, że nasz poszukiwany biega wkoło, zarzynając Arabki, bo tak zdarzył nieapetyczny przypadek. Nie wszyscy jesteśmy jagniętami. Dlatego ustanowiono szóste przykazanie.

Daniel milczał. Ben David ujrzał na jego twarzy wyraz sprzeciwu i niecierpliwie zamachał rękami.

– Mnie się to także nie podoba, przyjacielu. Chciałeś, żebym spekulował, no to spekuluję.

– W ciągu ostatniej nocy nazywałem się o psychopatycznych zabójcach – powiedział Daniel z namysłem. – I ja także myślę o nich jak o nazistach. Przypomina mi się takie sformułowanie: „uliczni Mengele”.

– Widzisz – uśmiechnął się psycholog – wcale mnie nie potrzebujesz. Twoja podświadomość wiedzie cię we właściwym kierunku.

Oddał dokumenty Danielowi, który schował je do aktówki. Po czym wyjął z niej teczkę. Dane o Schlesingerze, które wczoraj wreszcie nadeszły od Dowództwa Straży Cywilnej. Podał je Ben Davidowi, mówiąc:

– A co myślisz o tym?

Psycholog szybko przebiegł je wzrokiem.

– Nic mi to nie mówi – oznajmił. – Stary człowiek z bólami brzucha. Kupat Holim twierdzi, że brały się z głowy. Klasyczny mechanizm psychosomatyczny.

– To strażnik z Hagany, który patrolował Scopus, gdy znaleziono pierwszą ofiarę – powiedział Daniel. – Miał doskonałą okazję. Stary palmachaj, nienawidzący Arabów, co może stanowić motyw. Lubi nocą jeździć samochodem po mieście i ma problemy psychiczne.

Ben David pokręcił głową i zajrzał do danych.

– Tutaj nie ma ani słowa o problemach psychologicznych. Ma bóle brzucha i napady wilczego głodu, którego lekarze nie potrafią wyjaśnić. Więc aby zatuszować własną niewiedzę, sięgają do psychologii i obwiniają ofiarę. – Zwrócił teczkę Danielowi. – Nie twierdzą, że Schlesinger nie jest naszym poszukiwanym. Jeżeli masz dowody, zatrzymaj go. Ale w tych papierach nie ma nic znaczącego. – Ben David spojrzął na zegarek. – Coś jeszcze?

– Na razie nie – odparł Daniel. – Dzięki.

Wstali i Ben David odprowadził Daniela do poczekalni. Na przeciwnych końcach sofy siedziała para młodych ludzi z założonymi na piersiach rękami i ze spuszczonego wzrokiem. Gdy drzwi się otworzyły, obydwójce szybko unieśli głowy, a potem znów utkwili oczy w dywan. Daniel spostrzegł, że są zawstydzeni i przestraszeni, i zdziwił się, dlaczego Ben David nie ma osobnego wyjścia dla pacjentów.

– Chwileczkę – powiedział Ben David do młodej pary. Wyszedł z Danielem za drzwi, aż na chodnik. Był słoneczny poranek, z Keren Hajesod dochodził gwar rozmów. Cicho, ocienioną drzewami ulicą sunęły samochody.

– Psychopaci bywają tak aroganccy, że doprowadza ich to do samodestrukcji – rzekł psycholog. – Twój może stać się nieostrożny, popełnić pomyłkę i powiedzieć ci, kim jest.

– Szary Człowiek tego nie zrobił.

Ben David szarpnął brodę.

– Może karta się odwróci.

– A jeśli nie?

Ben David położył mu dłoń na ramieniu. Jego oczy złagodniały. Po raz pierwszy Daniel zobaczył go w innym świetle: ojcowski terapeuta.

A potem, nagle, odsunął się i rzucił:

– Jeśli nie, popłynie więcej krwi.

ROZDZIAŁ 27

Przez cały dzień przesłuchiwał mężczyzn składających fałszywe zeznania oraz winnych przestępstw seksualnych – nieudaczników, którzy sprawiali wrażenie zbyt udręczonych, by zaplanować coś bardziej skomplikowanego niż postawienie jednej nogi przed drugą. Z wieloma z nich rozmawiał już wcześniej. Uważał jednak, że wszyscy są patologicznymi kłamcami, więc wziął ich w obroty, doprowadzając do łez lub prawie katatonicznego stanu.

O siódmej wrócił do domu, gdzie zastał Gene'a i Luanne oraz stół nakryty jak na przyjęcie. Nie pamiętał, by Laura wspominała, że oczekują gości, ale ostatnio był roztargniony, więc równie dobrze mogła mu o tym powiedzieć, a on po prostu zapomniał.

Chłopcy i Dayan rzucili się na niego, więc mocował się z nimi, nieobecny duchem, zauważwszy, że Shoshi nie wyszła mu na spotkanie.

Wkrótce zrozumiał, dlaczego. Ona i Gene siedzieli w rogu salonu, grając w pokera na rodzinę. Sądząc z uzbieranych stosików, łatwo było zgadnąć, kto wygrywa.

- Sekwens – zawołała, klaszcząc.
- No cóż – odparł Gene, rzucając swoje karty.
- Cześć, wszystkim – powiedział Daniel.
- Cześć, *abba* – odrzekła bardzo zajęta córka.
- Cześć, Danny. Twoja kolej, aniołku.

Chłopcy popędzili w drugi koniec pokoju, pies za nimi. Daniel przez chwilę stał sam, odłożył teczkę i wszedł do kuchni.

Zastał Laurę i Luanne przy stole. Obie w jasnych bawełnianych sukienkach, przeglądające wielką białą księgę. Album ze zdjęciami ślubnymi.

- Byliście tacy młodzi – powiedziała Luanne. – Och, witaj, Danielu.
- Witaj, Luanne. – I uśmiechnął się do Laury.

Uśmiechnęła się, ale wstała powoli, niemal z ociąganiem, i Daniel poczuł się jak obcy.

– Właśnie telefonowałam do twego biura – rzekła, cmokając go w policzek. – Kolacja stygnie.

- Przepraszam.

– Nie szkodzi. – Uścisnęła przelotnie jego dłoń i podeszła do piekarnika sprawdzić pieczeń.

– Tworzycie piękną parę – stwierdziła Luanne. – No, no. Spójrzcie na tę biżuterię. Wspaniała.

Daniel spojrzął na zdjęcie, które przykuło jej uwagę. Pozowany portret ślubny: on i Laura, trzymający się za ręce, obok nedorzecznie wielkiego tortu weselnego. Tort był pomysłem jego teściowej.

Daniel miał na sobie biały smoking i, idiotycznie wyglądającą, jedwabną koszulę z żabotem, muszkę i szarfę śliwkowej barwy. Uśmiechał się, ale widać było, że jest zmieszany, jak dziecko wystrojone na zabawę.

Laura prezentowała się majestatycznie, nie było w niej nic nedorzecznego. Spowita w jemeńską suknię ślubną i przybranie głowy, które znajdowały się w rodzinie Zadok od

pokoleń, ale w rzeczywistości należały do jemeńskiej gminy w Jerozolimie. Prawdziwe skarby, liczące setki lat, wypożyczane każdej pannie młodej, która ich zażądała. Tradycja sięgająca do czasów pobytu w Sanie, celebrowanie równości społecznej: córki bogaczy i żebraków szły pod *chupa*,* jednako świetnie ustrojone. W dniu swego ślubu każda z nich była królową.

Suknia, przybranie głowy i biżuteria były ciężkie jak kolczuga: tunika i pantalony ze sztywnego złotego brokatu, po trzy pierścienie na każdym palcu, trzy bransolety na każdym nadgarstku, liczne naszyjniki: sznury złotych i srebrnych monet, filigranowe kulki, lśniące jak cukierki, bursztyny, perły i drogie kamienie. Przybranie głowy wysokie, stożkowe, składające się z rzędów białych i czarnych pereł, zwieńczone girlandą białych i czerwonych goździków, perłowe nauszники sięgające do obojczyków, podobne do lśniacej, migoczącej brody, frędzle z turkusowych wisiorów przykrywające pół czoła, tak że widoczna była tylko środkowa część twarzy Laury. Piękne, młodzieńcze rysy i wielkie jasne oczy, uwydatnione klejnotami.

Poprzedniego wieczoru pofarbowano henną jej dłonie i stopy na czerwono. A teraz ten strój. Z trudem mogła chodzić. Najdrobniejsze drgnienie nadgarstka powodowało brzęczenie metalu i drogich kamieni. Otoczyły ją stare kobiety i, mamrocząc niezrozumiale, podpierały ją i prostowały. Inne wygrywały skomplikowane rytmy na cymbałach, wystukiwały melodie na bębenkach z kozłej skóry. Wykrzykując i wyśpiewując kobiece pieśni, subtelne erotyki arabskie. Wśród nich znajdowała się Estelle, mała kobieta wyglądająca jak córka Laury. Śmiała się, tańczyła i śpiewała.

Mężczyźni siedzieli w oddzielnym pomieszczeniu. Jedząc i pijąc Chivas Regal, arak i brandy z rodzynek oraz kawę po turecku wzmocnioną arakiem. Obejmowali się i tańczyli w parach, słuchali Moriego Zadoka, śpiewającego po hebrajsku i aramejsku* pieśni mężczyzn. Historie o Wielkich. Rambam.* Saadia Gaon.* Mori Salim Shabazi. Inni starcy przyłączyli się do niego, śpiewając na zmianę, wygłaszając błogosławieństwa i *diwrei* Tory, sławiące radości małżeństwa.

Daniel siedział u szczytu stołu, pijąc likier, który przed nim postawiono, i zachowując trzeźwy umysł, jak to czynili Jemeńczycy. Obok siedzieli jego ojciec, który śpiewał z innymi, wysokim *czystym tenorem, oraz teść, który milczał.*

Al Birnbaum odpływał. Likier sprawił, że stał się jeszcze bardziej różowy. Klaskał w dłonie, pragnąc być jednym z nich, ale wskórał tylko tyle, że wyglądał obco, jak podróżnik wśród prymitywnych tubylców. Daniel mu współczuł, ale nie wiedział, co powiedzieć.

Później, po ceremonii *jichud*,* Al zaszedł mu drogę, obejmując go, wsuwając pieniądze do jego kieszeni i całując wilgotnymi ustami w policzek.

– To wspaniałe, synu. Cudowne – wybełkotał. Jego oddech był gorący, ciężki od araku. Zespół zagrał *Qetsad Merakdim*. Goście tańczyli przed panną młodą. Al zaczął się kołysać i Daniel położył mu dłoń na ramieniu.

– Dziękuję, panie Birnbaum.

* *Chupa* – baldachim ślubny.

* Aramejski język – język z grupy semickich, spokrewniony z hebrajskim. W Talmudzie wyrażona jest opinia, że Adam mówił po aramejsku. W literaturze żydowskiej występują różne odmiany aramejskiego. W tym języku napisano duże fragmenty Biblii, Targum (aramejskie tłumaczenie Biblii z komentarzem) i większość Talmudu.

* Rambam – Mosze Ben Majmon, Mojżesz Majmonides (1136-1204), hiszpański filozof i halachista. W dzieciństwie opuścił wraz z rodziną Hiszpanię, uciekając przed muzułmańskimi prześladowaniami. Osiedlił się w Egipcie, gdzie pracował jako lekarz na dworze sułtana.

* Saadia Gaon (882-924) – filozof i autorytet halachiczny. Urodził się w Egipcie, przeniósł do Babilonii, gdzie został *gaonem* („znakomitość”, „eminencja” – tytuł przysługujący przewodniczącym akademii babilońskich) w akademii w Surze.

* *Jichud* – na zakończenie uroczystości ślubnej parę odprowadza się do ustronnego miejsca, aby spędziła razem kilka chwil, niegdyś równoznacznych ze skonsumowaniem małżeństwa, obecnie mających jedynie wymiar symboliczny.

– Opiekuj się nią. Wiem, że będziesz. Jesteś dobrym chłopcem. A gdybyś czegoś potrzebował, wystarczy powiedzieć.

– Bardzo dziękuję i doceniam.

– Wystarczy jedno słowo. Będziecie mieli udane życie. Piękne. – Szybkim ruchem otarł łzy i zakaszłał, by ukryć wzruszenie.

Potem nadszedł czas telefonów. Rozmowy międzykontynentalne, zagłuszane trzaskami, płaczliwe skargi osamotnionych rodziców, które zawsze przerywały grę miłosną. Nie bardzo delikatne napomknienia o tym, jak cudownie jest w Kalifornii, pytania o życie w dwupokojowym mieszkanku i o to, czy działa ogrzewanie oraz czy wciąż czuć środek owadobójczy. Al miał przyjaciela, prawnika, który mógłby zatrudnić kogoś z policyjnym doświadczeniem; inny przyjaciel prowadził agencję ubezpieczeniową i mógł znaleźć Danielowi lukratywną posadę. A jeśli jest zmęczony pracą policjanta, zawsze się znajdzie miejsce w interesie wydawniczym...

W końcu Birnbaumowie pogodzili się z faktem, że ich jedyne dziecko nie wróci do domu. Kupili mieszkanie w Talbieh, z tymi wszystkimi sypialniami i doskonale wyposażoną kuchnią, głównie z myślą o sobie. („Na letnie odwiedziny, kochanie. Czy będziecie tak dobrzy i zaopiekujecie się nim?”)

Birnbaumowie odwiedzali ich co roku, z dokładnością Szwajcarskiego zegarka. Dwa pierwsze tygodnie sierpnia. Przyjeżdżali z półtuzinem waliz, z czego połowa to prezenty dla dzieci. Nie chcieli zajmować pokoju państwa domu i upierali się, by spać na piętrowych łóżkach dzieci. Mikey i Benny przenosili się na ten czas do pokoju Shoshi.

Trzydzieści sierpniowych wizyt, plus trzy dodatkowe, po jednej z okazji przyjścia na świat każdego wnuka.

Przez resztę roku państwo Sharavi opiekowali się ich mieszkaniem. Luksus, na jaki policjant nie mógłby sobie pozwolić...

– Wyglądasz jak księżniczka, Lauro – powiedziała Luanne, przewracając kartkę i przyglądając się tańczącemu Jemeńczykowi.

– Wypociłam dwa funty żywej wagi – roześmiała się Laura. Nakłuła pieczeń widelcem. A potem spoważniała i Daniel spostrzegł, że powstrzymuje łzy.

– To była piękna suknia – powiedziała. – Piękny dzień.

Daniel podszedł do niej, objął ramieniem w talii, ciesząc się jej bliskością, nagłym ciepłem, które rozlało się pod jego dotykiem. Uniosła widelec, a Daniel poczuł prąd energii tańczący pod jej skórą.

Ucałował ją w policzek.

Mrugnęła do niego, ułożyła pieczeń na półmisku i podała Danielowi.

– Pomóż mi podawać do stołu, pakad.

Podczas kolacji Luanne i Gene opowiadali o swojej podróży do Eilat. O nurkowaniu w kryształowych wodach Morza Czerwonego, o zaroślach koralowców, ławicach tęczowych rybek, które pływały spokojnie wzdłuż wybrzeża. Gene był przekonany, że długie szare cienie to były rekiny.

– Zauważyłam, że wszyscy sprzedawali, gotowali lub jedli krewetki – powiedziała Luanne. – Wcale się nie czuło, że to żydowski kraj.

– Pierwszorządne krewetki – dodał Gene. – Dorodne, świetnie wysmażone.

Po deserze wszyscy pomagali sprzątać ze stołu. Mikey i Benny śmiali się, balansując stertami talerzy. Soshi napominała ich, by uważali.

Potem dzieci poszły do pokoju Soshi oglądać *Gwiezdne wojny* na wideo. Telewizor, odtwarzacz i taśma były prezentami od dziadków z Los Angeles. Panie powróciły do oglądania ślubnych zdjęć. Gene i Daniel wyszli na balkon. Gene wyjął cygaro i obracał je w palcach.

– Nie wiedziałem, że palisz – powiedział Daniel.

– Raz na jakiś czas wypalam jednego po naprawdę dobrym posiłku. Kubańskie, kupiłem je w bezcłowym sklepie w Zurichu. – Gene sięgnął do kieszeni i wyjął drugie cygaro. – Zapalisz?

Daniel się zawahał.

– Dobrze, chętnie.

Usiedli, oparli nogi na poręczy i zapalili. Poczawszy gorzki smak, Daniel się wzdrygnął. Potem ogarnęło go przyjemne rozluźnienie, a ciepło laskotało go w usta.

– Nawijając do rekinów – powiedział Gene – jak twoje śledztwo?

– Niedobrze. – Daniel opowiedział mu o Juliet, o nie kończących się i bezskutecznych rozmowach z lekarzami i pielęgniarkami, o przesłuchaniach tabunów przestępców seksualnych.

– Dobrze znam tę śpiewkę, chłopie – rzekł Gene. Ale w jego tonie zabrzmiała nutka zadowolenia. Mógł porozmawiać na dobrze znane tematy. – Wygląda na to, że trafiliście na niezłego spryciarza.

– Dziś rano rozmawiałem z psychologiem. Usiłuję ustalić profil psychologiczny mordercy.

– I co powiedział psycholog? – Gene odchylił się do tyłu i założył dłonie na kark, spoglądając na ciemne niebo nad Jerozolimą i wydmuchując kółka dymu ku księżycowi.

Daniel streścił mu wnioski wynikające z konsultacji z Ben Davidem.

– Co do jednego się nie myli – orzekł Gene. – Cały ten psychologiczny szajs na nic się nie zdaje. Pracowałem nad Bóg wie iloma zabójstwami, otrzymywałem kopy profili psychologicznych i nigdy nie rozwiązałem problemu za ich pomocą. Łącznie z przypadkami czubków mordujących seryjnie.

– Więc jak je rozwiązywałeś? – Pozornie głupie pytanie. Daniel jednak czuł się przy nim bezpiecznie. Wiedział, że może mówić szczerze. Bardziej otwarcie niż z własną rodziną.

Gene przyciągnął swoje krzesło bliżej.

– Z tego, co mówisz, wydaje mi się, że wszystko robisz tak jak trzeba. Prawda jest taka, że wielu przypadków nie rozwiązaliśmy. Przestają zabijać albo umierają i po wszystkim. A gdy ich łapiemy, to, w dziewięciu przypadkach na dziesięć, z powodu jakiegoś głupstwa. Parkują samochód w pobliżu miejsca zbrodni i dostają mandat, który odnajdujemy w komputerze. Sprawdzanie archiwów, to co wy robicie. Czasami sypie ich jakaś rozgniewana żona albo przyjaciółka. Albo zabójca zaczyna się zabawiać, dając nam znać, kim jest, a wtedy my właściwie nie mamy już nic do roboty. – Czarnoskóry mężczyzna zaciągnął się cygarem i wydmuchnął kłęb dymu. – Takie przypadki drażnią społeczeństwo, Damiy Boy. Publika chce, żeby ich natychmiast złapać i leczyć.

Trzeba polerować chodniki i czekać, aż zabójca sam się ujawni. To samo powiedział Ben David.

Może to robić sam, nie wysłuchując dobrych rad dwa razy dziennie.

Położył się spać, przytulił i ucałował Laurę.

– Och, twój oddech... Paliłeś?

– Jedno cygaro. Umyłem zęby. Chcesz, żebym umył jeszcze raz?

– Nie, w porządku. Po prostu nie mam ochoty cię całować.

Ale chwilę potem objęła go nogami i tęsknie pieściła palcami jednej ręki jego mosznę, a drugą gładziła po włosach. Rozchyliła usta i pozwoliła się całować.

Obudził się w środku nocy, jego umysł pracował jak maszyna. Myślał o obozach śmierci i zastrzykach podskórnych, o nożach z długimi ostrzami, którymi można odciąć głowę bez piłowania. Krew płynąca rynsztokami i ginąca w kanałach ściekowych. Miasto skąpane we krwi, złociste kamienie nabierające purpurowej barwy. Bezgłowe lalki wołające o ratunek. On sam, zawieszony w powietrzu, jak ptaki Chagalla. Unieruchomiony w przestrzeni, nie mogący runąć na ziemię. Bezsilny.

ROZDZIAŁ 28

Był zaskoczony, po raz pierwszy wojna między dorosłymi skończyła się inaczej.

Zwykle wrzeszczeli na siebie do całkowitego wyczerpania, *złość* rozpraszała się w alkoholu i zmęczeniu, zamierała w bełkocie rozwlekłych słów.

Zazwyczaj ona wytrzymywała dłużej niż Doktor, wypluwała ostatnie przekleństwo, a potem odchodziła, slaniając się na nogach, otumaniona. Oczekujący jej ucieczki chłopiec biegł przed nią, bezpieczny czuł się dopiero w łóżku, schowany pod kołdrą, podczas gdy jej kroki cichły, a przekleństwa zamierały.

Doktor zwykle zostawał przez chwilę w bibliotece, chodząc z kąta w kąt, popijając i czytając. Czasami zasypiał w ubraniu na kanapie krytej pikowaną skórą. Jeśli się wspinał po schodach, także brnął mozolnie. W ostatnim akcie hojności pozostawiał drzwi otwarte, aby chłopiec mógł brać udział w jego koszmarach.

Raz, gdy miał sześć lat, sprawy potoczyły się inaczej.

Wiedział to z całą pewnością, bo jego szóste urodziny były trzy dni wcześniej; zdarzenie uświetnione kolorowo opakowanymi prezentami z najdroższego sklepu z zabawkami w mieście oraz ceremonią krojenia tortu, w której, bez entuzjazmu, uczestniczyli rodzice. A później film o dwudziobym potworze, oglądany w towarzystwie jednej ze służących, tej o końskiej twarzy, która nie znosiła dzieci, a szczególnie nienawidziła jego.

Podczas przerwy poszedł do ubikacji i obsikał ścianę, a potem kupił tyle popcornu i cukierków, że po dwudziestu minutach znów był w ubikacji, rzygając na własne siuski.

Dlatego był pewien, że miał wtedy sześć lat.

Wieczór zakończył się inaczej. On miał na sobie bładoniebieską piżamkę z małpką i papugą. Siedział na szóstym schodku, gładząc wypolerowaną drewnianą poręcz. Słuchając zwykłych dźwięków, szczęśliwy, bo było to coś, do czego przywykł.

I wtedy niespodzianka: żadnych przekleństw. Cisza.

Kłótnie i szamotanina ucichły tak nagle, że chłopiec przez chwilę myślał, że się wzajemnie pozabijali.

A potem usłyszał ciężki oddech, jęk. Czy ktoś cierpiał?

Znowu jęk i dyszenie. Poczul strach, zimne, lodowate palce ściskające jego pierś.

Czy to możliwe? Czy to już koniec?

Ostrożnie, jak jeden z potwornych robotów, które widział na filmie, zszedł po schodach. Ciężkie dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do biblioteki były uchylone. Przez szparę wnikła wąska trójkąt żółtego światła. Paskudnie żółtego, jak siuski.

Usłyszał więcej jęków, poczuł gorzko-słodki zapach i omal nie zwymiotował. Wstrzymał oddech, położył dłoń na brzuchu i mocno przycisnął, aby mdłości przeszły. Idź sobie, powiedział w myśli.

– Och!

Głos matki, ale jakiś inny. Pełen przerażenia. Dyszenie nie milkło, jak odgłos parowozu: to Doktor.

– Och!

Co się dzieje?

– Och, Charles!

Zebrał się na odwagę i podszedł na palcach do drzwi. Spojrzał przez żółte światło i zobaczył ich.

Doktor siedział na kanapie, wciąż ubrany w białą koszulę i krawat, ale ze spodniami i kalesonami wokół kostek u nóg. Jego nogi były wstrętne, włochate i tłuste, jak u goryla.

Ona była naga. Biała jak jej nocna koszula. Zwrócona plecami do drzwi. Jej jasnożółte włosy rozpuszczone i lśniące.

Opierała głowę na ramieniu Doktora, wciskając policzek w jego szyję. Jakby chciała wysać z niego krew, tak jak wampir.

Siedziała na Doktorze. Dłonie wsunęła w jego włosy. Pocierała te włosy, jakby usiłując je wyrwać.

Och, nie, spójrz na jej tyłek!

Zwisał jak dwa gigantyczne jaja, a pomiędzy nimi coś jeszcze. Coś, co wchodziło do środka. Jakiś drag z czarnymi kudłami dookoła, jak różowy lizak grejpfrutowy. Nie kij, wilgotny, różowy drag – siusiak jego ojca!

Och, nie. Znowu zrobiło mu się niedobrze. Czknął, przełknął niesmak i poczuł pieczenie w żołądku.

Siusiak wyglądał jak broń. Jak tłuczek do kartofli.

Można go było używać zamiast maczugi!

Patrzył, wstrzymując oddech, gryząc palce.

Doktor był w niej. A potem wyszedł. Och, nie, nadziewał ją, ranił, dlatego tak płakała i jęczała. Była przebijana siusiakiem Doktora!

Widział twarz Doktora, przetaczającą się w tę i z powrotem, za jej barkiem, zupełnie jakby mu ucięto głowę, ale ona nadal żyła, cała spocona. Spocona głowa żywego trupa, z paskudnym uśmiechem. Cała różowa i wilgotna, zupełnie jak jego siusiak.

Doktor ją zmuszał. Jego obydwie wielkie owłosione łapy spoczywały na jej pośladkach, ściskające je palce znikwały w miękkim białym ciele. Ścisnął ją, aż płakała, biła go po szyi i ciągnęła za włosy, ale nie mogła go powstrzymać. On był nie odczuwającym bólu potworem i zmuszał ją, siłą wpychał jej tę rzecz, a ją to bolało i dlatego płakała!

– Och... Och, Charles...

Różowe i białe, różowe w białe. Pomyślał o szklance mleka, do której wpuszczono kroplę krwi. Gdy krew styka się z powierzchnią mleka, wiruje i zabarwia je na różowo.

– Och, Boże! – krzyknęła głośno. Teraz się modliła, musiało bardzo ją boleć. Zaczęła się szybciej poruszać, podskakiwać, starając się z niego zeskoczyć, uciec przed nim i przed jego tłuczkiem do kartofli, ale on ją trzymał, on ją zmuszał!

Modliła się o pomoc. Czy powinien jej pomóc? Nogi wrosły mu w podłogę. Pierś stała się napięta i obolała. Co ma robić...?

– Tak – powiedział Doktor, szczerząc i zaciskając zęby, i znów je szczerząc, w wilgotnym uśmiechu potwora. – O, tak. Tak.

– Och, Boże! Mocniej, ty draniu! Mocniej!

O co tu chodzi?

– Daj mi to, łajdaku!

Buch, buch.

Buch, buch, jęk.

Uśmiechała się. Jakby.

– Mocniej, do cholery!

Mówiła Doktorowi, żeby ją nadziewał. Mówiła mu, żeby ją krzywdził!

Lubiła, żeby ją bolało!

Doktor był ryczącym i szczerzącym zęby potworem, dyszącym i wypowiadającym słowa,

które brzmiały jak sapanie lokomotywy:

- Masz, weź to sobie, masz.
- Och, nienawidzę cię.
- Kochasz to.
- Nienawidzę cię.
- Chcesz, żebym przestał, suko?
- Nie, och, nie.
- Powiedz to! – ryknął.
- Nie... nie przestawaj, cholera...
- Powiedz to! – wyszczerzył zęby.
- Kocham to.
- No, już lepiej. Powtórz.
- Kocham to, kocham!
- Masz, bierz. Różną cię. Poczuj to.
- Och, och, och. Żydzie... łajdaku... och, och.
- Masz.
- ... przeklęty żydowski fiut. OCH!

Doktor zaczął nagle podskakiwać, unosząc włochaty tyłek z kanapy, unosząc go razem z nią. Nadziewając ją szybko i mocno i wrzeszcząc:

- Cholera!
- Trzepotała jak gałgankowa lalka. Wrzeszczała:
- Nienawidzę cię!

Wydawała takie odgłosy, jakby się dławiła. A potem jej palce wypuściły włosy Doktora i zaczęły wić się jak białe robaki, takie jak te, które chłopiec znajdował czasami pod wilgotnymi kamieniami w ogrodzie.

- Och.
- Suka.

Nagle przestała się ruszać, Doktor bił ją po pupie i śmiał się, szczyrzył zęby, a chłopiec uciekał po schodach, z trudem chwytając oddech i potykając się, a walące serce omal nie wyskoczyło mu z piersi.

Zwymiotował na podłogę. Wskoczył do łóżka i zsiakał się na nie.

Spędził pod kołdrą całą wieczność, dygocąc i zagryzając wargi, drapiąc się po rękach i po twarzy, aż pojawiła się krew. Poczł smak własnej krwi. Ściskając siusiaka. Z całej siły.

Zadając sobie ból, żeby się przekonać, czy to można lubić.

Chyba można.

Upłynęło dużo czasu, zanim usłyszał, jak wchodziła po schodach, łkając, i wtedy zdał sobie sprawę, że nie umarła.

ROZDZIAŁ 29

Gdy kobieta otworzyła drzwi, Shmeltzer był zaskoczony. Spodziewał się kogoś starszego, kogoś w wieku mężczyzny z Hagany, może niewiele młodszego. Ale ona była o wiele młodsza, niewiele po pięćdziesiątce, młodsza niż Shmeltzer. Okrągła dziewczęca twarz, pulchna, ale ładna, chociaż szare oczy spoglądały posepnie. Lekki, umiejętnie nałożony makijaż, gęste ciemne włosy, ściągnięte do tyłu i spięte w kok, lekko przyprószone siwizną. Ciężki obwisły biust, zajmujący większość miejsca pomiędzy szyją a talią. Talia otłuszczona, podobnie jak biodra. Cienkie kostki jak na tak ciężką kobietę. Zupełnie jak Leah. Bez wątplenia zamartwiała się, że jest otyła.

– Tak? – zapytała wojowniczo i niechętnie.

Wtedy zdał sobie sprawę, że on, ten niby mądry detektyw, jest głupi. To, że otworzyła mu drzwi, nie oznacza, że jest żoną. Może siostrzenicą lub gościem. Ale gdy się przedstawił, pokazał jej odznakę i zapytał o Schlesingera, powiedziała:

– Nie ma go teraz. Jestem Eva, pani Schlesinger. Czego pan chce?

– Kiedy się go pani spodziewa?

Kobieta patrzyła na niego, przygryzając wargę. Jej dłonie były małe i miękkie; zaczęła je zaciskać.

– Nigdy – odpowiedziała.

– Co to znaczy?

Zaczęła coś mówić, zacisnęła usta i odwróciła się plecami do niego, uciekając w głąb mieszkania. Zostawiła jednak otwarte drzwi, więc Shmeltzer poszedł za nią.

Pomieszczenie było zwyczajne, jasne i utrzymane w nienaganej czystości. Lśniące duńskie meble, prawdopodobnie zakupione w komplecie w Hamashbir. Na stoliku miseczki z orzechami, suszonymi owocami i słodyczami. Kryształowe zwierzątka i porcelanowe miniaturki, typowo babski gust. Człowiek z Hagany prawdopodobnie nie interesował się dekoracją mieszkania. Półka z tekowego drewna, zastawiona książkami z dziedziny historii i filozofii. Reprodukcyjne krajobrazów na ścianach, ale żadnych fotografii dzieci czy wnuków.

Drugie małżeństwo, pomyślał: stary facet napalony na młódkę, może nawet rozwiódł się z pierwszą żoną, może wyczekiwał, aż owdowieje. Potem przypomniał sobie, że Schlesinger był w Dachau i owa różnica wieku nabrała innego wydźwięku: pierwsza żona zamordowana przez Niemców, może także kilkoro dzieci. Przybył do Palestyny, rozpoczął nowe życie i założył nową rodzinę – znana historia; wielu sąsiadów Schmeltzera z *moszawu* przeżyło to samo.

Czy obydwójce małżonkowie nie mieli dzieci? Może dlatego wyglądała na taką nieszczęśliwą.

Poszła do kuchni i zaczęła wycierać naczynia. Shmeltzer wszedł za nią.

– Co pani rozumie przez „nigdy”?

Obróciła się i stanęła twarzą do niego. Westchnęła i jej pierś imponująco zafalowała. Zauważyła, że Shmeltzer się jej przygląda, i zakryła biust ścierką do naczyń.

Co za przesłuchanie, pomyślał. Nadzwyczaj profesjonalne.

– Mąż jest w szpitalu. Właśnie stamtąd wracam. Ma przerzuty raka, wszędzie. W żołądku i wątrobie, i w trzustce. Lekarze mówią, że wkrótce umrze. Kwestia tygodni, nawet nie miesięcy.

– Przykro mi. – Cóż za idiotyczna odzywka. Nienawidził, gdy inni tak mówili do niego. – Od jak dawna choruje?

– Od tygodnia – warknęła. – Czy to mu daje wystarczające alibi?

– *Gweret* Schlesinger...

– Powiedział mi, że policja go podejrzewa... Jakiś Jemeńczyk oskarżył go o morderstwo. A kilka dni później okazuje się, że ma raka!

– Nikt go o nic nie oskarża, *gweret*. Jest świadkiem, to wszystko.

Eva Schlesinger spojrzała na niego i upuściła talerz na podłogę. Patrzyła, jak się rozbija, a potem wybuchnęła płaczem, ukłękła i zaczęła zbierać kawałki.

– Ostrożnie – powiedział Shmeltzer i ukucnął obok. – Są ostre, pokaleczy pani sobie rękę.

– Mam nadzieję! – I zaczęła je chwycić szybko, jak automat, jak ktoś, kto sortuje warzywa. Shmeltzer zauważył kropelki krwi na jej palcach, chwycił ją za rękę i zmusił, by wstała. Zaciągnął ją do zlewu, odkręcił kran i umieścił zranione palce pod strumieniem wody. Po kilku sekundach krwawienie prawie ustało. Drobne skaleczenia, nic poważnego.

– Proszę – powiedział, oddzierając kawałek papierowego ręcznika z rolki na ścianie. – Trzeba przycisnąć.

Skinęła głową, posłusznie wykonała zalecenie i znowu się rozplakała. Poprowadził ją do salonu, posadził na kanapie.

– Coś do picia? – zapytał.

– Nie, dziękuję, już mi lepiej – wyszeptała wstrząsana łkaniami, a potem zdała sobie sprawę z tego, co mówi, i zaczęła się śmiać. Niezdrowo. Histerycznie.

Shmeltzer nie wiedział, co robić, więc pozwolił jej się śmiać, patrząc, jak na przemian śmieje się i płacze, a wreszcie milknie i zakrywa twarz rękami. Po chwili zaczęła powtarzać:

– Yaakov, Yaakov.

Shmeltzer czekał, spojrzał na poplamiony krwią papierowy ręcznik, którym owinęła palce, a potem na widoczną przez okno pustynię. Piękny widok, skaliste turnie i jaskinie, ale z architektonicznego punktu widzenia zespół budynków na Francuskim Wzgórzu nie miał sensu – wysokościowce na szczycie góry. Jakiś łajdacki developer spieprzył sylwetkę wzgórz, odcinających się na tle nieba...

– Od lat miewał bóle – powiedziała Eva Schlesinger. Shmeltzer poczuł się tak, jakby go oskarżała, obwiniała o chorobę męża. – Wciąż był głodny, jadł jak dzikie zwierzę, wrzucał w siebie jak do śmietnika, ale nigdy nie miał dosyć. Może pan sobie wyobrazić? Powiedzieli mu, że to się bierze z głowy.

– Lekarze – rzekł współczująco. – Większość z nich to palanty. Jak pani ręka?

Zlekceważyła pytanie, oparła na stoliku zdrową dłoń i ciągnęła nieprzerwanie:

– Usiłował im powiedzieć, ale go nie słuchali. Wmawiali mu, że jest czubkiem, wysyłali do psychiatrów, lekarzy od głowy. A to oni właśnie są najgorszymi czubkami, no nie? Bolał go brzuch, nie głowa. Taki ból nie jest normalny. Bez sensu, prawda?

– Kompletnie bez...

– Jedyne, co potrafią, to kazać człowiekowi czekać całymi godzinami, a potem klepią po ramieniu i wmawiają, że to jego wina! – Zamilkła i wycelowała w Shmeltzera wskazujący palec. – On nie jest mordercą!

Shmeltzer dostrzegł płomień w jej oczach. Obfita pierś falowała.

– Oczywiście, że nie...

– Niech mi pan nie wciska ciemnoty, inspektorze! Policja uważa, że jest mordercą. Oskarżają go o śmierć tej arabskiej dziewczyny. Zabili go, przez nich dostał raka. Zaraz po tym, jak Jemeńczyk go oskarżył, ból się wzmógł! Co pan na to powie? Nic mu nie pomagało,

nawet jedzenie! Nie chciał pójść do lekarza. Zaciskał zęby i cierpiał w milczeniu. Ten człowiek to opoka, *sztarker*. Nie będę opowiadać o tym, co przeszedł, ale wycierpiał się za dziesięć. Ale ten ból był gorszy. W nocy chodził po ścianach. Człowiek o żelaznej konstytucji, nie brał żadnych środków przeciwbólowych, tylko zwijał się z bólu! Chodził po mieszkaniu i jęczał. Zbudziłam się i znalazłam go, pełzającego. Jak jakiś owad. Podeszłam do niego, a on wrzasnął, żebym go zostawiła w spokoju. Co. mogłam zrobić?

Zacisnęła pięść, uderzyła w stół, przytknęła dłonie do skroni i zaczęła się kiwać.

Shmeltzer zastanawiał się, co powiedzieć, i uznał, że najlepiej będzie milczeć.

– Taki ból nie jest normalny. A potem zobaczyłam krew, z wszystkich otworów. Sikał nią, kaszłał, pluł. Uchodziło z niego życie. – Odwinęła papier z palców, przyjrzała mu się i odłożyła na stolik. – Oto, co dzieje się z ludźmi. Z Żydami. Prowadzisz uczciwe życie, ciężko pracujesz, a potem rozpadasz się na kawałki, wszystko się rozlatuje. Nie miał dzieci. Cieszę się, że nie musiały na to patrzeć.

– Ma pani rację – powiedział Shmeltzer. – Ma pani stuprocentową rację.

Spojrzała na niego, stwierdziła, że mówi poważnie, i znów zaczęła płakać, targając się za włosy. A potem spojrzała jeszcze raz i zacisnęła pięść.

– Co pan może wiedzieć? Po co ja w ogóle do pana mówię?

– *Gweret...*

Pokręciła przecząco głową, wstała z kanapy, zrobiła krok naprzód, zawadziła stopą o nogę stołu i zatoczyła się.

Shmeltzer szybko się zbliżył i chwycił ją, zanim upadła. Złapał ją pod ramiona i utrzymał w pozycji pionowej. W pierwszej chwili zareagowała, bijąc go, przeklinając i zbryzgując śliną, potem rozluźniła się i bezładnie opuściła ramiona. Poczuli, że opada na niego. Jej obfite ciało było zadziwiająco lekkie, jak beza. Ukryła twarz na jego piersi i przeklinała Boga.

Stali tak przez chwilę. Kobieta łkała w obliczu wdowieństwa. Shmeltzer ją tulił. Zakłopotany.

ROZDZIAŁ 30

Dowcipy na ścianie Baru Finka są wulgarne, uznał Wilbur. Z rodzaju tych, co to widuje się w małomiasteczkowym szynku, w Stanach. Ale kiedy wypijesz wystarczającą ilość Wild Turkey, możesz zapomnieć, gdzie się znajdujesz. Na chwilę.

Sięgnął po „The Jerusalem Post”, przeczytał artykuł jeszcze raz i łyknął burbona. Jeszcze jedna sensacja.

Wilbur był na urlopie, dziesięć dni szaleństwa w Atenach, gdy prasa zaczęła pisać o tych morderstwach. Międzynarodowa „Trib” nie zajmowała się nimi; po raz pierwszy przeczytał o nich na drugiej stronie w „Post”, który przeglądał w samolocie, podczas powrotu na Ben Gurion.

Jak większość zagranicznych korespondentów, Wilbur nie mówił po hebrajsku ani po arabsku, i informacje czerpał z „Post”, aby zapoznać się z żydowskim punktem widzenia, i z angielskiego wydania „Al Fajr”, by poznać punkt widzenia arabski. Obydwa były bardzo stronicze, ale to dobrze, dzięki temu jego artykuły nabierały pikanterii.

Tak więc korzystał z cudzych artykułów lub z tego, co wywączali rzecznicy władzy, a byli oni szczeni, paranoiczni i nieodmiennie pozowali na pokrzywdzonych. Wiecznie się obawiali, że ktoś ich w coś wrobi, a gdy nie mieli ochoty się czymś zajmować, powoływali się na cenzurę wojskową.

Wakacje były udane. Poznał włoską niezależną fotoreporterkę o imieniu Giną, chudą tlenioną blondynę o apetycie na kalmary i kokainę. Spotkali się na plaży, wymienili znaczące spojrzenia, zapalili i podzielili się dawką kokainy z fiołki, którą Giną trzymała w torbie plażowej. Miała pokój w tym samym hotelu co on. Wymeldowała się i zamieszkała z Wilburem. Przez półtora tygodnia zabawiali się na jego koszt, a potem obudziła go wczesnym rankiem, pociągnęła druta i zrobiła śniadanie, zostawiła nad suchą grzanką, *ciao*, i już była za drzwiami, w drodze do Rzymu. Dzika dziewczyna, nieładna, ale lubiąca przygody. Miał nadzieję, że nie zostawiła mu żadnej pamiętki.

Pociągnął łyk Wild Turkey i skinął dłonią, by mu dolali. Dwa morderstwa, możliwość dłuższej serii. Faceci z „Timesa”, w Nowym Jorku i w LA, z pewnością już otrzymali telegraficzne informacje, ale oni zwykle trzymają się z daleka od spraw kryminalnych, wolą tematy polityczne, których zawsze jest pod dostatkiem. Więc może warto nad tym popracować.

Dreńczyło go, że nie był na miejscu, gdy sprawa się zaczęła, ale po pół roku w Izraelu potrzebował wolnego. Ten kraj był męczący, doprowadzał do szaleństwa.

Zalew informacji, ale przeważnie same śmiecie. Grabowski to uwielbiał, produkował artykuły na prawo i lewo, bił rekordy produktywności, zanim nie poniosło go za daleko i nie stracił ręki w Bekaa. Został kaleką i następnego dnia Wilbura odwołano z Rio. Żegnaj piękny kraju. Trochę tam było nudno, bo ile można pisać na temat *favelitos*, generałów i samby; karnawał był tylko raz w roku, ale za to co za kultura, jaki bielutki piasek i te wszystkie kobiety snujące się w topless wzdłuż Ipanema; karmelowe pupcie w majteczkach bikini, zakrywających sam przedziałek.

Po trzech tłustych latach w brazylijskim słońcu Manhattan wydawał się trujący, niezdrowo krzykliwy; przyprawiał o ból głowy. Witaj w domu, Mark. Dom. Przemówienia chłopców z biura w Nowym Jorku, chwała dla Grabowskiego, popijawa z jednorękim Hemingwayem (ciekawe, czy nauczy się pisać proteżę? – zastanawiał się Wilbur) i trzymaj rękę na pulsie w Ziemi Świętej, Mark. Ha, ha.

To nie dla niego. Nie w jego stylu. Marzenia o artykułach na pierwszą stronę dawno zostawił innym. On chciał traktować pracę lekko, cieszyć się życiem. Nie nadawał się na stanowisko w Izraelu.

To tempo.

Historia, którą gdzie indziej można by doić przez tydzień, tutaj blakła po jednym dniu, kiedy atrament nie zdążył nawet wyschnąć, zakasowana czymś nowym. Wariacki rząd koalicyjny, chyba ze dwadzieścia partii – Wilbur był daleki od poznania ich wszystkich – które bez przerwy z sobą walczyły, wrywając sobie tę odrobinę władzy. Zebrania w Knesecie niezmiennie zamieniały się w pyskówki, tydzień temu doszło do bijatyki na pięści. Oni nie potrafili mówić spokojnie; istny Brooklyn, nie ustające oskarżenia i kontroskarżenia o korupcję. Arabowie nie byli lepsi, ciągle lamentowali, zanudzali go, domagali się swoich nazwisk w prasie. Skargi na ucisk z ust facetów w mercedesach, żyjących z jałmużny ONZ.

Każdy o coś walczył; w ciągu pół roku, które Wilbur tu spędził, nie było tygodnia bez ważnej demonstracji politycznej. Zazwyczaj odbywało się ich dwie lub trzy. I strajki: lekarze, pielęgniarki, pracownicy poczty. W zeszłym miesiącu taksówkarze zdecydowali, że chcą więcej pieniędzy od Ministerstwa Transportu, zablokowali taksówkami główne drogi wylotowe z Jerozolimy i Tel Awiwu, spalili stary gruchot na środku King George, smród palonej gumy niósł się do samego nieba. Wilbur musiał zostawić samochód w domu i wszędzie chodzić piechotą, co podrażniło jego nagniotki i zwiększyło antypatię do kraju, do jego żydowskości.

Wilbur skończył drinka, postawił szklanek na barze i rozejrzał się wkoło. Sześć stolików, z czego pięć wolnych. Dwaj faceci w rogu: Margarit z „Dawar” i Aronoff z „Jediot Acharonot”; Wilbur nie zawarł z nimi bliższej znajomości. Jeżeli nawet spostrzegli, że wszedł, nie okazali tego, zajęci jedzeniem orzeszków, piciem piwa imbirowego i prowadzeniem rozmowy ściszonymi głosami.

Piwo imbirowe. Jeszcze jeden problem. Tropiciele nowin, którzy nie traktują picia serio. Nikt nie traktował tego serio. W tym kraju nie było ustalonej granicy wieku. Dziesięcioletek mógł wparować do sklepu i nabyć wysokoprocentowy alkohol. Nikt by nawet okiem nie mrugnął. Wilbur uważał to za snobizm. Jakby uważali trzeźwość za jakąś religijną cnotę, a pijaństwo za słabość goja.

Zażądał następnego Wild Turkey. Barmanem był siostrzeniec właściciela, spokojny dzieciak, w porządku chłopak. W wolnych chwilach studiował podręcznik do matematyki. Skinął głową Wilburowi i przyniósł butelkę, bez komentarza nalał do pełna i spytał go, czy chce coś zjeść.

– Co macie?

– Koktajl z krewetek i homara.

Wilbur poczuł narastającą irytację. Protekcyjny ton.

– A zupy? – spytał z uśmiechem. – Rosół z kurczaka. Z kluskami.

Dzieciak pozostał nieporuszony.

– To także mamy, panie Wilbur.

– Przynieś koktajl z krewetek.

Wilbur patrzył, jak chłopak znika w kuchni. Jeszcze raz przeczytał dowcipy. Odczytana właściwie tablica do badania wzroku pouczyła:

UPRAWIAJĄC
ZBYT WIELE

seksu
tracisz
wzrok

Plakat zaś głosił: „Raz król, zawsze król. Raz rycerz... i wystarczy”^{*}.

Nagle otworzyły się drzwi wejściowe, do baru buchnęło ciepło i wszedł Rappaport z „Post”. Doskonale. Notatka o morderstwie wyszła spod jego pióra i Rappaport był Amerykaninem. Absolwent Princeton, dawny hippis, który pisywał w „Sun” wydawanym w Baltimore. Młody, Żyd, szybko mówiący, od czasu do czasu lubiący wypić.

Wilbur wskazał mu wolny stółek obok siebie i Rappaport usiadł.

– Witaj, Steve.

– Cześć, Mark.

Dziennikarz z „Post” miał na sobie koszulę safari z krótkimi rękawami i zbyt dużymi kieszeniami, dżinsowe szorty i sandały na bosych stopach.

– Bardzo swobodny strój – powiedział Wilbur z aprobatą.

– Przy tym upale. – Rappaport wyjął z jednej ogromnej kieszeni fajkę, woreczek z tytoniem i zapalnik, po czym ułożył je na barze.

Wilbur spostrzegł, że dwaj inni izraelscy dziennikarze także byli ubrani nieoficjalnie. Mieli na sobie długie spodnie, ale lekkie sportowe koszule. Nagle jego garnitur, zapięta pod szyję koszula i rypsowy krawat, które włożył dziś rano, wydały się przesadne i nie na miejscu.

– Święte słowa. – Poluzował krawat i wskazał na zwinięty w rulon „Post”. – Właśnie skończyłem czytać twój kawałek. Niezła robota, Steve.

– Rutyna – odparł Rappaport. – Prosto ze źródła. Policja uporowała się z pierwszym morderstwem, nakarmiła nas kitem o szybkim rozwiązaniu, a my kupiliśmy go. Ale odezwały się pogłoski, że to zbyt łatwe, zbyt cacy, więc mieliśmy swoje wtyki i byliśmy gotowi, gdy znaleziono drugą ofiarę.

Wilbur zachichotał.

– Zawsze to samo gówno. – Wziął gazetę, rozwinął i użył jako wachlarza. – Paskudna historia. Z tego, co tu piszesz.

– Paskudna. Prawdziwa rzeźnia.

Wilburowi spodobały się te określenia. Przydadzą się na później.

– Jakież przesłanki?

– Nic – odparł Rappaport. Miał długie włosy i gęste wąsy, które odgarniał od ust. – Tutejsza policja nie przywykła do takich rzeczy. Nie są odpowiednio wyposażeni, żeby się tym zajmować.

– Amatorzy, co?

Barman przyniósł koktajl dla Wilbura.

– Proszę to samo – rzucił Rappaport. – I piwo.

– Na mój rachunek – dodał Wilbur.

– Dziękuję, Mark – powiedział Rappaport.

Wilbur wzruszył ramionami.

– Muszę na coś wydawać, bo inaczej zaniepokoją się w biurze.

– O moich wydatkach lepiej nie mówić. – Rappaport zmarszczył brwi. – I o braku środków.

– Policja drepcze w kółko? – zapytał Wilbur, chcąc sprowadzić rozmowę na właściwe tory. Trochę zbyt nachalnie i Rappaport chyba to uchwycił. Wziął fajkę, nabił ją i zapalił, po czym spojrział na Wilbura znad smugi dymu.

– Tak samo jak w Stanach – rzekł Wilbur, zacierając nieміłe wrażenie. – Depczą sobie po piętach, mamią prasę.

^{*} Gra słów. *Knight*, „rycerz”, wymawia się tak samo jak *night*, „noc”. A zatem: „Jedna noc... i wystarczy”.

– Nie – powiedział Rappaport. – Tutaj jest inaczej. Wydział Zabójstw radzi sobie w swoich specjalnościach: terroryzm, podrzuczone bomby i tym podobne. Problem polega na tym, że w dziedzinie morderstw na tle seksualnym nie mają doświadczenia. Takie rzeczy są w Izraelu zupełnie nie znane. Byłem w archiwum i znalazłem zaledwie kilka przypadków na przestrzeni trzydziestu lat. I tylko jeden dotyczył serii zabójstw: w zeszłym roku, facet zarzywał prostytutki. Nie złapano go. – Pokręcił głową, pyknął fajkę. – Widziałem więcej przez pół roku w Baltimore.

– W zeszłym roku – dopowiedział Wilbur. – Może to ten sam facet?

– Wątpliwe. Inny *modus operandi*.

Modus operandi. Dzieciak naczytał się kryminałów.

– Dwa pod rząd. Wszystko się zmienia.

– Możliwe – odpowiedział Rappaport. Wyglądał na zmartwionego. Szczera troska dobrego obywatela. Brak profesjonalizmu, pomyślał Wilbur. Jeżeli chcesz działać skutecznie, nie możesz się przejmować.

– Czym się jeszcze zajmujesz, Steve? – zapytał, żeby nie wyglądało, że interesuje się tylko jednym.

– Niedzielna reklama nowego centrum handlowego Ramat Gan i nic więcej.

– Do następnego pseudoskandalu, co?

Zanim Rappaport zdążył odpowiedzieć, barman przyniósł piwo i koktajl z krewetek. Wilbur wyjął kartę American Express i zażądał następnego Wild Turkey.

– Jeszcze raz dziękuję – powiedział Rappaport, opróżniając fajkę i układając ją na popielniczce. – Nie wiem, może to my się zmieniamy. Może to oznaka dojrzałości. Jeden z założycieli Izraela, Jabotinsky, powiedział, że nie będziemy prawdziwym krajem, dopóki nie będziemy mieli izraelskich przestępców i izraelskich prostytutek.

My. Facet jest zanadto przejęty rolą, pomyślał Wilbur. I ta jego typowa arogancja. Naród wybrany. Wydaje im się, że wszystko wynaleźli, że wszystko zmieniają w cnotę. Przepracowałem cztery lata na Manhattanie, pisząc dla „New York Post” i mógłbym dzieciakowi opowiedzieć niejedno o izraelskich przestępstwach.

Uśmiechnął się i powiedział:

– Witam w prawdziwym świecie, Steve.

– Tak.

Pili, jedli koktajl z krewetek, rozmawiali o kobietach, szefach i wynagrodzeniu, a potem znów zgadało się na temat morderstw. Wilbur podtrzymywał rozmowę, namówił Rappaporta na jeszcze jeden koktajl z krewetek. Jeszcze trzy piwa i facet z „Post” zaczął wspominać studenckie lata w Jerozolimie, mówił, jak wtedy było bezpiecznie, nikt nie zamykał drzwi na klucz. Słuchając go, można by pomyśleć: istny raj. Ale Wilbur wiedział, że to tylko iluzja, nostalgia za minionym czasem. Udawał, że go to bardzo interesuje. Zanim Rappaport wyszedł, Wilbur zebrał potrzebne informacje i mógł zasiadać do pisania.

ROZDZIAŁ 31

Dziesięć dni od znalezienia zwłok Juliet i żadnych nowin, ani złych, ani dobrych.

Zawęzili listę przestępców seksualnych do szesnastu nazwisk. Dziesięciu Żydów, czterech Arabów, jeden Druza i jeden Ormianin, wszyscy zatrzymani po pojawieniu się Szarego Człowieka. Żaden nie miał alibi, wszyscy byli poprzednio karani za stosowanie przemocy lub, jeśli siedzieli za coś innego, według psychiatrów więziennych, byli do niej zdolni. Siedmiu zatrzymano pod zarzutem usiłowania gwałtu, trzech dokonało gwałtu, czterech ciężko pobiło kobiety, które odmówiły im seksu, dwóch było notorycznymi podglądaczami, wielokrotnie karanymi za włamania i za noszenie noża – kombinacja, którą lekarze uważają za potencjalnie wybuchową.

Pięciu z tych szesnastu mieszkało w Jerozolimie, sześciu w osiedlach oddalonych o godzinę drogi od stolicy. Dom Druzy był dalej na północ, w wiosce Dalijat el Carmel, położonej wysoko na szczycie zielonych, upstrzonych makami wzgórz wznoszących się nad Hajfą. Mężczyzna był jednak bezrobotny, miał dostęp do samochodu i skłonność do odbywania samotnych przejażdżek. To samo dotyczyło dwóch Arabów i jednego Żyda. Pozostali dwaj Żydzi, Gribetz i Brickner, którzy dokonali zbiorowego gwałtu na piętnastoletniej dziewczynie, byli przyjaciółmi. Przed pójściem do więzienia prowadzili wspólny interes, prowadzili firmę transportową, zajmującą się odbieraniem paczek ze składu celnego w Aszdod i dostarczaniem ich do domów klientów. Po odbyciu kary nadal pracowali razem, jeżdżąc po autostradach starą ciężarówką marki Peugeot. Czyżby wypatrywali czegoś więcej niż zysku? – zastanawiał się Daniel.

Przesłuchał ich oraz Druzę, usiłując znaleźć jakiś związek pomiędzy wjazdem Juliet Haddad do Hajfy i ich domami położonymi niedaleko północnej granicy.

Gribetz i Brickner byli gburowatymi półanalfabetami w wieku około dwudziestu pięciu lat, cuchnącymi potem – typowe umięśnione osiłki. Nie traktowali przesłuchania serio, tręcali się porozumiewawczo i śmiali z niewypowiedzianych żartów, i pomimo pozy twardzieli, Daniel zaczął podejrzewać, że są kochankami, może utajonymi homoseksualistami. Omawianiem ich przestępstwa byli wyraźnie znudzeni, zbywali temat wzruszeniem ramion, traktując je jak poroniony pomysł sprawiedliwości.

– Zawsze była rozwiązła – powiedział Gribetz. – Każdy w rodzinie to wiedział.

– Co to znaczy „zawsze”? – zapytał Daniel.

Gribetz spojrział na niego, nie rozumiejąc.

– „Zawsze”, jak myślisz? – wtrącił się Brickner.

Daniel nie spuszczał oczu z Gribetza.

– Miała piętnaście lat, kiedyście ją zgwałcili. Od jak dawna była... rozwiązła?

– Zawsze – powiedział Gribetz. – Od lat. Wszyscy w rodzinie o tym wiedzieli. Taka się urodziła.

– Urządzali przyjęcia dla rodziny – dodał Brickner. – Potem zabierali Batyę na przejażdżkę i wszyscy faceci włączili na nią.

– Byliście tam?

– Nie, nie. Ale wszyscy o tym wiedzieli.

– Nie zrobiliśmy nic innego – rzekł Gribetz. – Zabawiliśmy się z nią w ciężarówce i nieźle ją przelecieliśmy, ale tym razem żądała pieniędzy, a my powiedzieliśmy, żeby się odpięprzyła. A ona się wściekła, wezwała policję i zrujnowała nam życie.

– Naprawdę nas urządziła – potwierdził Brickner. – Straciliśmy wszystkie zaliczki. Musieliśmy zaczynać od zera.

– Skoro mowa o zaliczkach – wtrącił Daniel – zapisujecie wasze dostawy?

– Na każdy dzień. Potem je wyrzucamy.

– Dlaczego?

– A dlaczego nie? To nasza osobista sprawa. O co chodzi, rząd nie ma dosyć papierów?

Daniel spojrział na raport z aresztowania wydany przez Okręg Północny. Dziewczyna miała złamaną szczękę, straciła dwanaście zębów, pęknięty łuk brwiowy, uszkodzoną śledzionę i tak poszarpaną pochwę, że trzeba było założyć szwy.

– Omal jej nie zabiliście – powiedział.

– Usiłowała odebrać nam pieniądze – zaprotestował Brickner. – To zwykła dziwka.

– Chcesz przez to powiedzieć, że bicie dziwek jest w porządku?

– Noo, nie... pan wie, co mam na myśli.

– Nie. Wytłumacz mi.

Brickner poskrobał się po głowie i zaczerpnął powietrza.

– Mogę dostać papierosa?

– Później. Najpierw wytłumacz, na czym polega twoja filozofia.

– Nie potrzebujemy prostytutek. Ani ja, ani Hillel – stwierdził Gribetz. – Możemy mieć pełno cipek, kiedy tylko zechcemy.

– Dziwki – dorzucił Brickner. – Komu to potrzebne?

– Dlatego ją zgwałciliście?

– To co innego – powiedział Brickner. – Cała jej rodzina dobrze wiedziała, jaka to zdzira.

Po godzinie maglowania nie wydobył z nich nic, co by ich oczyściło. Jednak nie powiedzieli też nic, co by ich pograżyło. W noc, gdy popełniono morderstwa, spali we własnych łóżkach, ale obydwaj byli sami i nikt nie mógł tego potwierdzić. Ich pamięć nie sięgała do okresu poprzedzającego zamordowanie Fatmy, ale przypomnieli sobie, że w dniu poprzedzającym znalezienie ciała Juliet dostarczali paczki do Bet Szemesz. Dokładne sprawdzenie archiwum składu celnego w Aszdod potwierdziło odbiór paczek wczesnym rankiem owego dnia. Shmeltzer wciąż usiłował dotrzeć do rejestru załadunków podczas tygodnia, w którym zabito Fatmę.

Daniel zdawał sobie sprawę, że mogli dostarczyć paczki do Bet Szemesz, które leży tuż za Jerozolimą, i potem kręcić się w pobliżu. Tylko gdzie by zabili i pokroili Juliet? Nie mieszkali w Jerozolimie ani nie mieli tam znajomych, a chłopcy z laboratorium nie znaleźli w ich ciężarówce śladów krwi. Zatrzymani twierdzili, że nigdy nie widzieli Juliet ani nie jeździli do Jerozolimy. Nikt ich tam zresztą nie widział. Po południu tamtego dnia wrócili na północ i spędzili czas na pustej plaży tuż nad Hajfą.

– Ktoś was tam widział? – zapytał Daniel.

– Nikt tam nie chodzi – odparł Brickner. – Woda śmierdzi gównem ze statków. Na plaży pełno jest smaru i trzeba uważać, żeby nie wdepnąć.

– Ale wy tam chodzicie?

– Lubimy to miejsce – uśmiechnął się Brickner. – Jest pusto. Można sikać na piasek i robić, co się podoba.

Gribetz się roześmiał.

– Chcę, żebyście obydwaj poddali się testowi na prawdomówność.

– Czy to boli? – zapytał Brickner, udając głos dziecka.

– Mielście robione takie badanie – rzekł Daniel. – Jest w waszych aktach.

- Och, tak. Kabelki. Przez to nas wpakowali. Nie zgadzam się.
- Ani ja – dodał Gribetz.
- Wynik badania był obciążający, bo byliście winni. Jeżeli jesteście niewinni, oczyścicie się z podejrzeń. W przeciwnym razie zostaniecie uznani za winnych.
- Nie zgadzam się – powiedział Brickner.
- Nie zgadzam się – powtórzył Gribetz jak echo.

Daniel wezwał funkcjonariusza, który ich wyprowadził.

Odpychająca para, ale Daniel skłaniał się do tego, by im uwierzyć. Byli kretynami o niskich popędach, wybuchowymi i psychopatycznymi. Z całą pewnością zdolnymi do pobicia kobiety, gdyby znów się nadarzyła okazja. Ale nie widział ich w roli morderców. Zimne wyrachowanie, na które wskazywały obydwie morderstwa, nie było w ich stylu. Jednak psychopaci potrafili oszukać mądrzejszych od niego i wciąż nie można było dotrzeć do wcześniejszych rachunków z Aszdod. Może znajdzie się w nich coś, co odświeży pamięć chłopaków. Zanim ich wypuści, pošle Aviego Cohena do Nahariji, żeby dowiedział się o nich czegoś więcej, a po wypuszczeniu będą śledzeni.

Druza, Assad Mallah, także nie okazał się geniuszem. Zatrzymany za podglądactwo, był zamkniętym w sobie jakałą, tuż po trzydziestce. Posługiwał się gwarą więzienną, miał bardzo jasne oczy i kartę choroby stwierdzającą neurologiczne zaburzenia, dzięki którym uniknął służby wojskowej. Będąc nastolatkiem, włamywał się do mieszkań w Hajfie, obżerał się jedzeniem z lodówek ofiar i pozostawiał dowód wdzięczności: ekskrementy na podłodze w kuchni.

Z powodu młodego wieku przysądcono mu opiekę kuratora, co nigdy nie doszło do skutku, bo w tym czasie nie było wśród kuratorów ani jednego Druzy. Nikt z opieki społecznej nie chciał się fatygować do Dalijat el Carmel, aby go stamtąd zabrać. Otrzymał jednak kurację innego rodzaju: potężne i regularne lanie, spuszczone ręką ojca, co chyba odniosło skutek, bo jego akta pozostały czyste. Aż pewnej nocy, przed dziesięciu laty, został przyłapany na murze domu niedaleko Technion, w trakcie głośnego orgazmu, gdy jedną ręką trzymał się parapetu okna, przez które zaglądał do sypialni, a drugą bił konia, krzycząc z rozkoszy.

Lokatorami mieszkania była para małżeńska, studenci fizyki, którzy zapomnieli zaciągnąć zasłony. Słyszac hałas, mąż popędził do okna, spostrzegł Mallaha, zbił go do nieprzytomności i wezwał policję. Podczas przesłuchania w Okręgu Północnym Druza natychmiast przyznał się do wielokrotnego podglądania i dziesiątków włamań, dzięki czemu wyjaśniły się zgłoszenia okolicznych poszkodowanych.

Był także miłośnikiem noży. Gdy aresztowano go po raz pierwszy, miał w kieszeni scyzoryk, jak twierdził do czyszczenia i krojenia owoców. Nie znaleziono żadnych dowodów, które przeczyłyby jego zeznaniom. Skonfiskowano nóż. Podczas rozprawy sądowej miał wątpliwe szczęście trafić na sędziego, który był jedynym Druzą w magistracie Hajfy, i otrzymał najwyższą możliwą karę. W Ramie sprawował się dobrze, otrzymał dobre rekomendacje od psychiatrów oraz służby więziennej i został zwolniony przed czasem. Miesiąc przed zamordowaniem Fatmy.

Kiedy został zatrzymany na przesłuchanie, znaleziono przy nim inny nóż. Tępy, o małym ostrzu, zupełnie inny niż te, którymi pocięto ofiary. Daniel zauważył, że Mallah był leworęczny, co, według patologa, wykluczało go jako podejrzanego. Daniel spędził z Mallahem dwie męczące godziny, wyznaczył datę badania wykrywaczem kłamstw i zatelefonował do Okręgu Północnego, zlecając, by go śledzili, gdy pojedzie do miasta.

W tym samym czasie Chińczyk i Daoud przepytывali innych podejrzanych z listy, dzieląc się nimi tak, by Chińczyk zajął się Żydami, a Daoud wziął na cel Arabów. Podejrzani tracili czujność, zastanawiali się, kto jest kto i o co w tym wszystkim chodzi. W ten sposób zmniejszali możliwość skarg na rasizm i brutalne traktowanie, chociaż zdarzały się one nawet

przy zachowaniu największej ostrożności. Narodowa rozrywka.

Dwa dni później uznano, że dziesięciu spośród szesnastu nie mogło popełnić tej zbrodni. Wszyscy zgodzili się na badanie za pomocą wykrywacza kłamstw, żadnemu nie udowodniono kłamstwa. Z pozostałych sześciu trzem także nie udowodniono kłamstwa. Trzech innych nie zgodziło się na badanie: kumple z Nahariji i jeden Arab z Gazy. Daoudowi zlecono śledzenie Araba.

Późnym popołudniem Shmeltzer wszedł do biura Daniela z fotokopiami materiału ze składu celnego w Aszdod. W dniach poprzedzających zamordowanie Fatmy, Brickner i Gribetz odebrali wyjątkowo dużo przesyłek: część ładunku zatrzymanego w dokach na trzy tygodnie z powodu strajku robotników portowych. Przesyłki były adresowane do północnej części regionu centralnego: Afula, Hadera i wioski w dolinie Bet Sze'an, dobre siedemdziesiąt kilometrów na północ od Jerozolimy. Dystans możliwy do przejechania, jeśli wyruszyło się wystarczająco wcześnie.

Daniel, Shmeltzer i Chińczyk zasiedli przy telefonach i obdzwonili wszystkich adresatów, otrzymali informację, że obaj kumple byli przez dwa dni zajęci, do tego stopnia, że spędzili noc w Hadera, parkując ciężarówkę na plantacji daktyli, należącej do jednego z adresatów przesyłki, i gdy facet przyszedł obejrzyć drzewa, wciąż spali. Zapamiętał ich dobrze, bo wstali zaspani, wysikali się z kabiny i zażądali śniadania.

– Czy w przyczepie były paczki?

– Tak. Dziesiątki paczek. Wleźli na nie i wcale się nie przejmowali.

Idioci, pomyślał Daniel, sami mogli podać alibi, ale byli na to zbyt głupi lub przekorni. Możliwe, że podejrzenie o morderstwa zraniło ich ego.

Uznał ich za niebezpiecznych, zlecił śledzenie i przestał się nimi zajmować.

Arab z Gazy, Aldżuni, stanowił ich ostatnią szansą, nie całkiem pewną, ale był zabójcą, który lubił noże i nienawidził kobiet. Zarzynał jedną żonę w napadzie wściekłości z powodu źle ugotowanej zupy, okaleczył drugą i po trzech miesiącach od wyjścia z więzienia zaręczył się z szesnastoletnią dziewczyną. Dlaczego kobiety wiązały się z tym typem? Utajona niechęć do życia? Strach przed samotnością?

Pytania bez odpowiedzi. Daoud nie miał nic do zarzucenia Aldżuniemu – facet prowadził regularny tryb życia, nigdy nie wychodził nocą. Nie nadawał się na podejrzanego. Przeglądanie teczek przestępców seksualnych okazało się daremne.

Daniel spojrział na zegarek. Ósma wieczorem, a on nie zatelefonował do domu. Zadzwoił, nikt nie odebrał, więc zatelefonował do operatorki przyjmującej wiadomości i zapytał, czy *gweret* Sharavi próbowała się z nim skontaktować.

– Niech no sprawdzę... Tak. Jest telefon od niej o czwartej czterdzieści trzy, pakad. Chciała wiedzieć, czy przyłączy się pan do niej i dzieci oraz do... wygląda jak Boonker.

– Brooker.

– Wszystko jedno. Chciała wiedzieć, czy przyjdzie pan na kolację o siódmej trzydzieści.

– Powiedziała gdzie?

– Nie – odparła telefonistka z naganą w głosie. – Prawdopodobnie spodziewała się, że pan do niej zadzwoni.

Odłożył słuchawkę, napił się zimnej kawy z filiżanki na biurku i zwiesił głowę. Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł rozgniewany Shmeltzer z plikiem papierów w zaciśniętej dłoni.

– Spójrz na to, Dani. Jechałem do domu i zauważyłem faceta, rozlepiającego to na murach. Pomyślałem, że zechcesz obejrzyć.

Były to ulotki. Na środku widniało zdjęcie chasyda w wieku około czterdziestki, z brodą i ekstrawaganckimi pejsami. Facet wyglądał na tłustego, miał płaską twarz i zmrużone oczy za okularami w czarnych oprawkach. Ubrany w czarną marynarkę i białą koszulę zapiętą pod szyję. Na głowie miał dużą, kwadratową *kipę*. Na szyi wisiał znaczek z literami WPLA i kilkoma liczbami.

Policyjne zdjęcie en face i z profilu.

STRZEŻCIE SIĘ TEGO MEŻCZYZNY! – głosił napis pod fotografią, po hebrajsku, angielsku i w jidysz.* SENDER MALKO VSKY JEST PRZESTĘPCĄ I GWAŁCICIELEM DZIECI!!! PILNUJ SWOICH POCIECH!!!!!! Pod tymi ostrzeżeniami znajdowały się wycinki z nowojorskich dzienników, tak pomniejszone, że druk był ledwie czytelny. Daniel zmrużył oczy i czytał zmęczony.

Malkovsky pochodził z Williamsburga, dzielnicy Brooklynu. Był ojcem sześciorga dzieci, nauczycielem religii i wychowawcą. Jeden z uczniów zarzucił mu molestowanie seksualne, po czym podobne historie opowiedziało kilkadziesiąt innych dzieci. Malkovsky został zatrzymany przez policję nowojorską, postawiony w stan oskarżenia, wypuszczony za kaucją i nie pojawił się na rozprawie. W jednym z artykułów w „New York Post” wyrażono przypuszczenie, że uciekł do Izraela i powoływano się na jego powiązania z „wybitnymi rabinami chasydzkimi”.

Daniel odłożył ulotkę.

– Mieszka tutaj, łajdak – powiedział Shmeltzer. – W eleganckim mieszkaniu w Qiryat Wolfson. Facet, który to rozlepił, także ma długą brodę, nazywa się Rabinovitch, jest z Brooklynu, dobrze zna sprawę Malkovsky’ego i myślał, że drań siedzi w więzieniu. Rabinovitch przeniósł się do Izraela, kupił mieszkanie na osiedlu Wolfson i pewnego dnia spotkał Malkovsky’ego, który wychodził z mieszkania sto metrów dalej. Strasznie go to rozsierdziło. Sam ma siedmioro dzieci. Poszedł prosto do rabina Malkovsky’ego i opowiedział mu historię *szmuka*. Rabin pokiwał głową i odrzekł, że Malkovsky wyraził skruchę i zasługuje na drugą szansę. Rabinovitch wściekł się i poszedł do drukarni.

– Wychowawca – rzucił Daniel. – Rezygnuje z kricji i wprowadza się do jednego z najelegantszych osiedli w mieście. Skąd ma tyle pieniędzy?

– Rabinovitch także chciałby to wiedzieć. Przypuszcza, że chasydzi dali mu je na polecenie rabina. Może tak mówi przez zazdrość. Rabinovitch jest z innej sekty. Wiesz, jak lubią na siebie napadać. Ale to się trzyma kupy.

– Dlaczego Rabinovitch nas nie zawiadomił?

– Spytałem go o to. Spojrzał na mnie jak na wariata. Według niego, wmieszana w to jest policja. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że Malkovsky mógł przyjechać do kraju i pozostaje na wolności?

– No właśnie?

– Śmierdząca sprawa, Dani. Nie przypominam sobie żadnych wzmianek Interpolu ani żądań ekstradycji, a ty?

– Ja też nie. – Daniel wysunął szufladę biurka, wyjął biuletyny FBI i Interpolu i zaczął je kartkować. – Żadnego Malkovsky’ego.

– Ani żadnych ostrzeżeń z urzędu imigracji – dodał Shmeltzer. – Nic z cła ani od zwierzchnictwa. Ten rabin musi mieć niezłą protekcję.

– Który to rabin?

– Prostnitzer.

– Jest nowy – powiedział Daniel. – Z Brooklynu. Ma małą grupę, która przybyła z Satmars. Przylecieli kilkoma samolotami w zeszłym roku.

– Do Wolfson, co? Żadnego Mea Szearim dla tych świętych?

– Większość z nich mieszka w Ramot. Wolfson jest chyba specjalnie dla Malkovsky’ego, żeby go lepiej ukryć. Od jak dawna jest w kraju?

– Trzy miesiące. Wystarczająco, by narobić szkód. Amator dzieci, ale kto wie, jakie

* Jidysz – język żydowsko-niemiecki, którym posługiwali się Aszkenazyjczycy wschodnioeuropejscy. Zrodził się w średniowieczu wraz z napływem Żydów do krajów słowiańskich po wypędzeniu ich z krajów niemieckojęzycznych. Zapisywany alfabetem hebrajskim, zawiera ok. 20 procent słów hebrajskich i aramejskich. Około 10 procent stanowią wyrazy słowiańskie.

perwersje wyczynia. Może zmienił upodobania. W każdym razie, Dani, ktoś robi z nas idiotów.

Daniel walnął pięścią w biurko. Shmeltzer zdziwiony takim wybuchem cofnął się o krok, a potem uśmiechnął. Ludzka reakcja.

ROZDZIAŁ 32

Qiryat Wolfson wybudowano w luksusowym amerykańskim stylu; mieszkanie tam kosztowało ponad milion dolarów. Piaskowcowe wieżowce i niskie domy, labirynt uliczek i podziemnych garaży, wyłożone dywanami recepcje i szybkie windy, wszystko to przycupnięte na krawędzi skalnego urwiska, w pobliżu centrum, na zachód od Starego Miasta. Roztaczał się stamtąd imponujący widok: siedziba Knesetu, Muzeum Izraela, pasy zieleni otaczające budynki rządowe. Na południowym wschodzie jeszcze więcej zieleni, las Ein Qerem, w którym znaleziono Juliet.

W ciemności kompleks wznosił się ku niebu jak rozczapierzone stalagmity. Poniżej rozlegał się hałas uliczny na *rechow* Herzl. Daniel wprowadził escorta do podziemnego garażu i zaparkował blisko wjazdu. Część miejsc zajmowały amerykańskie samochody: ogromne buicki, chevrolety, chryslery i jeden stary biały cadillac coupe de ville o Hakowatych oponach. Dinozaury, zbyt wielkie na ulice i aleje Jerozolimy. Dlaczego właściciele wlekli je aż tutaj?

Sporo czasu zajęło mu znalezienie mieszkania Malkovsky'ego. Przed jego drzwiami stanął po dziewiątej. Mieściło się na parterze zachodniej części kompleksu, wybudowanego dookoła małego, wybrukowanego podwórka. Na zaopatrzonych w trzy zamki drzwiach nie było wizytówki. Daniel zastukał, usłyszał ciężkie kroki, odsuwanie zasuw i stanął twarzą w twarz z mężczyzną z ulotki.

– Tak? – zapytał Malkovsky. Był ogromny, zwalisty jak niedźwiedź, o rozpostartej na piersi brodzie, która wyglądała jak włochaty śliniak, sięgający prawie do pasa. Gęsty, rudobrazowy zarost przysłaniał policzki. Cerę miał rumianą, a porowaty nos ogromny i płaski. Czoło niskie, nad nim zaś gęste i kręcone włosy. Na głowie miał tę samą kwadratową jarmułkę co na zdjęciu, ale zsuniętą do tyłu.

Zarośnięty jak Ezaw, pomyślał Daniel. Ogromny, blokuje prawie całe wejście. Spojrzał poza niego: pokój, silny zapach rosolu z kurczęcia, podłoga zarzucona zabawkami, gazety, pusta butelka ze smoczką. Spozrzegł goniące się dzieci, śmiejące się i wołające w jidysz. Gdzieś w głębi płakało niemowlę. Po chwili mignęła postać kobiety w chustce na głowie. Wkrótce płacz ucichł.

– Policja – powiedział Daniel po angielsku. Wyjął dowód tożsamości i podsunął Malkovsky'emu przed okulary.

Malkovsky zlekceważył to, nieporuszony. Na z gruba ciosanej twarzy pojawił się wyraz znudzenia. Odchrząknął i wyprostował się na całą wysokość.

– *Frummer?* – zapytał, patrząc na *kipę* Daniela.

– Mogę wejść?

Malkovsky otarł czoło. Pocił się, z wysiłku, nie ze zdenerwowania. Miał zasnutą mgłą okulary i brązowe plamy pod pachami podkoszulka. Pod podkoszulkiem miał wełniany *tallit katan*, strój zalecany do noszenia w dzień: prostokątny kawałek tkaniny z wycięciem na głowę i frędzlami na każdym rogu. Spodnie miał czarne i workowate. Na stopach czarne półbuty z zadartymi noskami.

– Czego pan chce? – zapytał po hebrajsku.
– Porozmawiać z panem.
– Kto to, Sender? – zawołał kobiecy głos.
– *Gorniszt*. – Malkovsky wyszedł z mieszkania i zamknął za sobą drzwi. Jego ciało trzęsło się jak galareta.
– Wszystko załatwione – powiedział. – Nie potrzebuję pana.
– Wszystko?
– Absolutnie wszystko. Niech pan powie swemu szefowi, że jestem w porządku.
A gdy Daniel nic nie powiedział, Malkovsky poskubał wąsy i zapytał:
– *Nu*, w czym problem? Więcej papierów?
– Nie mam dla pana żadnych papierów.
– Więc o co chodzi?
– Prowadzę śledztwo. Dowiedziałem się o pańskiej przestępczej przeszłości i lepiej będzie, jak porozmawiamy.
Malkovsky poczerwieniał, wstrzymał oddech, jego oczy zabłysły gniewem. Zaczął coś mówić, zamilkł i znów otarł czoło. Zaciśnął pięści ogromne jak bochny chleba i zaczął nimi bić po udach.
– Odejdź, policjancie – zawołał. – Moje papiery są w porządku! Wszystko zostało załatwione!
– O jakim załatwianiu pan mówi, panie... czy może rabbi Malkovsky?
Malkovsky skrzyżował ramiona na piersi. Rumieńce powyżej brody stały się purpurowe; oddychał z trudem.
– Nie muszę z panem rozmawiać.
– To pański przywilej – rzekł Daniel. – Ale wrócę tu za godzinę z dokumentami i *minjanem* oficerów policji. Pańscy sąsiedzi będą zaintrygowani.
Malkovsky patrzył na niego z góry, zaciskając masywne pięści.
– Dlaczego mnie nękanie? – zapytał, ale jego opór zaczął topnieć, a oburzenie zmieniało się w zwykły strach.
– Jak już powiedziałem, rabbi...
– Nie jestem rabinem!
– Pańska przeszłość zmusza mnie do rozmowy z panem na temat pewnych zbrodni, które miały miejsce po tym, jak imigrował pan do Izraela.
– Głupie gadanie. Nie mam żadnej przeszłości. Nie wiem, o czym pan mówi. – Malkovsky rozwarł dłonie i przejechał jedną nad drugą w geście zamykania. – *Genuk*. Dosyć.
– Żadne *genuk*, dopóki nie porozmawiamy.
– Nie ma o czym mówić. Jestem stałym mieszkańcem. Moje papiery są w porządku.
– Skoro mowa o papierach – rzucił Daniel. Wyjął ulotkę z kieszeni i podał Malkovsky’emu.
Ogromny mężczyzna patrzył na nią z otwartymi ustami. Jedną ręką zgniótł papier, drugą zasłonił twarz.
– Kłamstwa.
Rozwarł dłoń i kulka papieru spadła na podłogę.
– Są inne, panie Malkovsky, setki innych, porozlepiane na murach, kioskach, w całym mieście. To tylko kwestia czasu.
– Kłamstwa – zawołał Malkovsky. – Grzeszne plotki. – Odwrócił się ku ścianie, szarpiąc brodę i pejsy.
Daniel chwycił go za ramię, czując, jak palce grzęzną w miękkim ciele. Człowiek z gliny. Golem.
– Musimy porozmawiać – powiedział.
Malkovsky milczał, targając brodę. Ale zapadł się w sobie i pozwolił, by Daniel

wyprowadził go na zewnątrz, w spokojny róg podwórka, ocieniony przez drzewa pieprzowe, rosnące w doniczkach z terakoty. Na dworze panował półmrok, rozjaśniony pomarańczowymi plamkami elektrycznego światła, padającego z okien.

– Niech mi pan wszystko opowie – zażądał Daniel.

Malkovsky patrzył na niego nieruchomym wzrokiem.

Daniel powtórzył:

– Niech mi pan opowie.

– Byłem chory – powiedział Malkovsky, jakby recytował wyuczoną lekcję. – Miałem mdłości, dźwigałem ciężar, który *jecer ha-ra* złożył na moich ramionach.

Roztkliwiający się nad sobą hipokryta, pomyślał Daniel. Mówi o złych impulsach, jakby były niezależne od jego wolnej woli. Widok tego człowieka, z brodą i pejsami, w rytualnym stroju, budził w nim obrzydzenie.

– I przerzucał pan ten ciężar na ramiona innych – rzekł chłodno. – Na bardzo małe ramiona.

Malkovsky zadrżał, zdjął okulary, jakby ostrość widzenia sprawiała mu ból. Pozbawione osłony jego oczy były małe, zezujące ku dołowi, niespokojnie rozbiegane.

– Ciężko pracowałem, by to odpokutować – powiedział. – Prawdziwa *teszuwa*... W ostatni Jom Kippur rebe docenił moje wysiłki. Pan *jestfrummer menez*, wie pan, co to *teszuwa*.

– Niezbędną częścią *teszuwa*, skruchy, jest *widduj* – powiedział Daniel. – Całkowita spowiedź. A pan tylko się nad sobą lituje.

Malkovsky był oburzony.

– Odbyłem właściwą *widduj*. Mój rebe mówi, że robię duże postępy. A teraz niech pan o mnie zapomni... Zostawi mnie w spokoju!

– Nawet jeśli odejdę, inni i tak nie zapomną. – Daniel wyjął następną ulotkę i podał Malkovsky'emu.

Malkovsky zaczął bić się w pierś i szeptać spowiedź Jom Kippur. Stał, szarpiąc brodę i wyrzucając z siebie litanie grzechów.

– Grzech, którym zgrzeszyliśmy wobec Ciebie jawnie i w ukryciu... I grzechy, za które winniśmy złożyć ofiarę za grzech...

Gdy doszedł do ostatniego przewinienia, włożył palec do ust i przygryzł go, zamknawszy oczy, z *kipa* na bakier. Dyszał gwałtownie i chrapliwie.

– Czy robił to pan kiedy z którymś własnym dzieckiem? – spytał Daniel. – Czy ograniczał się pan do cudzych?

Malkovsky nie zareagował na to pytanie, nadal się modląc. Daniel zaczekał, powtórzył swoje pytanie. Niech wielki lajdak wie, że nie zbędzie go czczymi frazesami.

Po chwili Malkovsky odpowiedział.

ROZDZIAŁ 33

Biblioteka była najlepszym pokojem w domu.

Salon był nudny: wszystkie te kanapy, malowidła, meble i bibeloty pod szklanymi kloszami, których nie wolno mu było dotykać; a teraz, kiedy miał dziewięć lat, już nawet nie miał na to ochoty.

Kuchnia była w porządku, jeżeli chciało się jeść, ale poza tym także była nudna. Zapasowe sypialnie w skrzydle dziecięcym były zawsze zamknięte, a jego własna sypialnia śmierdziała siuškami i rzygowinami. Pokojówki twierdziły, że to jego urojenie i że pokój ładnie pachnie. Nie chciały tam sprzątać.

W pokoju Doktora był kilka razy, zaglądał do szuflad, ścisnął miękką pasiastą bieliznę i niebieskie piżamy z białym wykończeniem oraz inicjałami Doktora na kieszeni z przodu. Reszta rzeczy: skarpetki, swetry, a w szafie spodnie i garnitury, była nudna. Jedyną interesującą rzeczą, jaką tam znalazł, było grube czarne wieczne pióro ze złotą stalówką, wsunięte pomiędzy dwa swetry, schowane przed nim. Ukradł je, zabrał do swego pokoju i usiłował nim pisać, a kiedy okazało się, że nie działa, rozwalił je młotkiem, aż zmieniło się w czarny pył. Spróbował go. Był niesmaczny, więc wypluł resztki, wycierając język, a czarna ślina ściekała mu po policzku.

Lodowy pałac był zawsze zamknięty. Oczywiście. Wpuszczała go tam tylko wtedy, gdy była naprawdę pijana i prosiła go, żeby jej przyniósł aspirynę z łazienki. Albo gdy z wizytą przyjeżdżała Sarah, co miało miejsce tylko dwa lub trzy razy w roku, ale zawsze ją denerwowało.

W dni odwiedzin Sarah matka wołała go wysokim drżącym głosem, który go przerażał: „Kochanie! Chodź tu-taj! Kochanie!”, kazała mu wejść na łóżko pod śliską satynową pościel i obejmowała miękkim, nagim ramieniem. Czuł uścisk jej dłoni, miękkiej, wilgotnej i lepkiej. Z ust dolatywał przesiąknięty dżinem oddech, gorący i słodki, ale obrzydliwie słodki, jakby wyrzygała cukierka.

W dni odwiedzin Sarah matka stawiała się naprawdę nieznośna, napierała na niego, tak że jej cycki białe i drżące uciskały mu pierś. Czasami pochylała się tak nisko, że mógł zobaczyć brodawki, podobne do wielkich różowych dropsów. Gładziła go po policzku i mówiła: „Chodź dziecinko, powiedz mamusi. Czy ta paskudna suka traktuje cię pogardliwie? Traktuje cię z góry, jakbyś był śmieciem?” Gdy go tak obśliniała, kot przyglądał mu się z zazdrością, podkładał się i drapał ukradkiem, a potem szybko się wycofywał, więc o nic nie można go było oskarżyć.

Nie miał pojęcia, o czym ona mówiła: traktować z góry, pomiatać, więc tylko wzruszał ramionami i odwracał od niej wzrok. A ona zaczynała od nowa, wymachując pustą szklanką i mówiąc drżącym głosem:

– Mała smarkula, wyobraża sobie, że jest kimś lepszym od ciebie i ode mnie, myśli, że jest taka cholernie sprytna. Oni tak zawsze. Bardzo sprytni, wybrany naród. Wybrani, by zniszczyć świat, no nie? No nie? Odpowiedz mi!

Wzruszenie ramion.

– Kot ci odgryzł język, czy co? A może ona rzuciła na ciebie urok, ta czarownica z wybranego narodu? Ha! Wybrani, by mieć wielkie nosy, jeśli chcesz wiedzieć. Nie uważasz, że jej nos jest wielki? Jest okropna i paskudna, nie uważasz? Nie uważasz?

Według niego Sarah była w porządku. Była od niego o siedem lat starsza, więc miała szesnaście lat. Była prawie dorosła i raczej ładna, z gęstymi ciemnymi włosami, łagodnymi brązowymi oczyma i szerokimi ładnymi ustami. Jej nos także wydawał mu się w porządku, ale nic nie powiedział, tylko wzruszył ramionami.

– Okropna mała suka.

Mimo że zajmowała pokój obok jego pokoju, nie widywali się często. Sarah pływała albo czytała lub telefonowała do hotelu do matki, albo wychodziła wieczorami z Doktorem. Ale gdy mijali się w korytarzu, zawsze się do niego uśmiechała i mówiła „cześć”. Kiedyś przyniosła puszkę kandyzowanych owoców, aż z drugiego końca miasta, gdzie mieszkała, i podzieliła się z nim, i nawet nie miała mu za złe, że zjadł wszystkie wiśnie.

– Nie uważasz, że jest okropna, wstrętne małe nic z haczykowatym nosem? Odpowiedz mi, do cholery!

Poczuł, że szczypie go w ramię zimnymi, wilgotnymi palcami. Ale tylko zacisnął usta, żeby nie płakać.

– Jest, prawda?

– Tak, mamó.

– Naprawdę jest małą suką, dobrze o tym wiesz. Zrozumiesz, gdy będziesz starszy. Minęło dziesięć lat, a ona nie może mi ofiarować jednego dnia. Mała, zarozumiała gudłajka! Śmieszne słowo, prawda, kochanie?

– Jasne, mamó.

Gorące, przesiąknięte dżinem westchnienie, uścisk wilgotnej dłoni, palce wpijające się w jego ramię, szczypiące go i rozmasowujące. Rozcierające całą rękę aż po nadgarstek. Opadające na jego nogę. Rozmasowujące.

– Mamy tylko siebie, kochanie. Cieszę się, że możemy tak na sobie polegać.

Zawsze przywoziła ją matka. Taksówka zatrzymywała się przed domem. Sarah wysiadała pierwsza, potem jej matka. Całowała ją na pożegnanie, odprowadzała do drzwi, ale nigdy nie wchodziła do środka. Była to niska, śniada kobieta, o imieniu Lillian, dość ładna; Sarah była do niej bardzo podobna. Nosiła eleganckie ubrania: błyszczące suknie, buty na bardzo wysokich obcasach, długie płaszcze z futrzanymi kołnierzami, czasami kapelusz z woalką; i wciąż się uśmiechała. Kiedyś dostrzegła go, jak się jej przyglądał z okna salonu, uśmiechnęła się i pomachała mu ręką, zanim wsiadła do taksówki i odjechała. Uznał, że to był bardzo miły uśmiech.

Gdy Doktor był w domu, wychodził przed dom i rozmawiał z Lillian, ścisnął jej dłoń i zabierał walizki Sarah. Wyglądało na to, że się lubią, rozmawiali przyjaźnie, jakby mieli sobie dużo do powiedzenia. Nie mógł zrozumieć, dlaczego się rozwiedli, skoro tak świetnie się ze sobą zgadzali. Zastanawiał się, czy jego matka i Doktor kiedykolwiek odnosili się do siebie tak przyjaźnie. Odkąd sięgał pamięcią, zawsze ze sobą walczyli i kłócili się nocami.

Dwa razy w ciągu każdej wizyty Doktor i Sarah wychodzili we dwoje. Raz na kolację, raz na lody. Wiedział, bo słyszał, jak o tym rozmawiali, planując, co zjedzą. Pieczone jagnię. Żeberka. Lody „Płonąca Alaska”. Pudding ryżowy. Matka także ich słyszała. Zawołała go i wyszeptała do ucha: „Zachowują się jak para prosiąt, obrzydliwie. Idą do eleganckiej restauracji i jedzą jak świnie, a ludzie na nich patrzą. Więcej z nimi nie pójdę, obrzydliwość. Powinieneś zobaczyć jego koszulę po powrocie. Ona je czekoladowe lody i cała się nimi paprze. Sukienka wygląda jak zużyty papier toaletowy!”

Pomyślał o tym, o lodach czekoladowych wyglądających jak plamy na papierze toaletowym i zaczął zastanawiać, jak smakuje ludzkie gównó. Raz spróbował maleńki kawałeczek kociego gówna z małej kuwety. Położył go na języku i bardzo szybko wypluł, bo

smakowało naprawdę okropnie. Od samego spróbowania rozboleł go brzuch i chciało mu się wymiotować przez trzy dni. Na łóżko matki. To byłoby wspaniałe, wielkie rzygi na białej satynie. Na Doktora i na Sarah, i na pokojówki. Biegać po całym domu, nie! Latać! I bombardować wszystkich bombami z gówna i rzygowin. Moc!

Władza!

Raz widział Sarah w kabinie przy basenie. Zajrzał przez otwarte okno. Zdejmowała kostium kąpielowy i przeglądała się w lustrze, zanim się ubrała.

Miała małe cycuszki z czekoladowymi sutkami.

Jej skóra była opalona, poza białym paskiem od stanika i białymi pośladkami. Cipkę porastały czarne włosy.

Dotknęła cipki i uśmiechnęła się do odbicia w lustrze. Potem pokręciła głową i podniosła nogę, żeby włożyć majtki.

Zobaczył różową, wąską linię, ukazującą się spod włosów, zupełnie jak rana w książkach Doktora.

Pośladki miała jak dwa jajka, małe, brązowe. Wyobraził sobie, że się rozchylają i spomiędzy nich wydobywa się żółta maź.

Włosy na głowie miała ciemne, ale nie takie czarne jak na cipce. Stała w majtkach i szcztokowała włosy, aż lśniły. Kiedy podniosła ramiona, jej cycuszki zrobiły się płaskie i sterczały tylko czekoladowe czubki. Nucila pod nosem.

Miał ochotę ją pogryźć i spróbować, jak smakuje.

Poczuł, że na myśl o tym jego siusiak robi się twardy i boli tak bardzo, że zląkł się, że mu pęknie i odpadnie, a z dziury wypłynie mu cała krew jon od tego umrze. ‘

Ból minął dopiero po dłuższej chwili.

Po tym zdarzeniu zaczął Sarah trochę nienawidzić, ale nadal uważał, że jest w porządku. Miał ochotę wślizgnąć się do jej pokoju, grzebać w szufladach, ale zawsze zamykała drzwi na klucz. Kiedy wróciła do swego domu, a pokojówki nie zdążyły zamknąć jej pokoju, wszedł tam i zajrzał do szuflad. Zostawiła tylko pudełko z nylonowymi pończochami i zapach perfum.

To go naprawdę rozgniewało.

Chyba za nią tęsknił.

Wyobraził sobie, że ją kroi i zjada, a ona smakuje jak kandyzowane owoce.

Dom był tak wielki, że zawsze wydawał się pusty. Co było w porządku; kręciły się tam tylko pokojówki, a one były głupie, mówiły z obcym akcentem i nucily dziwne piosenki. Nienawidziły go – poznawał to po sposobie, w jaki na niego patrzyły i szeptały, gdy przechodził obok nich. Zastanawiał się, jak wyglądają ich cipki. I ich cycki. Pomyślał, że pewnie mają kwaśny smak, jak warzywa. Zaczął się im przyglądać. Gdy to zauważały, złościły się, mamrotały pod nosem i odchodziły, mówiąc w obcym języku.

Biblioteka była fajna, bo jej dwuskrzydłowe drzwi zawsze zamykano na klucz. Kiedy pokojówki posprzątały, mógł wejść do środka, zamknąć się na klucz i nikt nie wiedział, że tam jest.

Lubił wielkie, miękkie skórzane fotele. I książki. Książki Doktora, pełne wspaniałych, przerażających obrazków. Miał swoje ulubione i zawsze sięgał po nie na początku. Murzyński chłopiec chory na słonowaciznę (długie słowo; potrzebował czasu, by je odczytać), jego jaja były wielkie, ogromne! Każde z nich jak arbuz. Kiedy pierwszy raz to zobaczył, nie wierzył własnym oczom. Ilustracja przedstawiała chłopaka siedzącego na krześle, z rękami na kolanach, a jaja zwisały do samej podłogi! Chłopak wyglądał na przestraszonego. Dlaczego ktoś mu ich po prostu nie utnie, żeby chłopak znów mógł chodzić? Dlaczego go nie zoperują, żeby nie musiał się martwić?

Lubił też obrazki z ludźmi opóźnionymi w rozwoju, pozbawionymi czół i z wiszącymi z ust językami, tak wielkimi jak kiełbasa salami. Dziwna niedorozwinięta pani o bardzo

płaskiej twarzy, stojąca nago obok miarki; mierzyła zaledwie trzydzieści siedem cali, nie miała włosów wokół cipki, chociaż była stara. Nagie karty i olbrzymy, także obok miarki. Ludzie bez palców, rąk i nóg. Jeden facet całkowicie pozbawiony członków; wyglądał naprawdę głupio, co pobudziło go do śmiechu.

Masa innych nagich ludzi z owrzodzeniami, plamami, pociętymi kośćmi i dziwacznymi garbami. Pęknięte odbyty i zajęcze wargi. Nagie tłściochy. Naprawdę okropnie tłści ludzie, tak tłści, że wyglądali, jakby powlekała ich skórka pomarańczowa, cała pomarszczona i pofałdowana. Jedna pani miała brzuch, który zwisał jej poniżej kolan, zakrywając cipkę. Ktoś, chirurg, tak jak Doktor, powinien jej wyciąć cały ten tłuszcz i może użyć go do wyrobu świec, czy czegoś, albo dać go chudzielcom, żeby się ogrzali. Tłści ludzie powinni zostać okrojeni, żeby ładniej wyglądali. Ci z książek prawdopodobnie nie zrobili tego, bo operacja byłaby zbyt kosztowna. Musieli całe życie chodzić spowici w zwały tłuszczu.

Pewnego razu obejrawszy tłściochów, wyszedł z biblioteki, wrócił do swego pokoju i ulepił grube ludziki z plasteliny. Potem wziął ołówek i pilnik do paznokci i ścinał ich, odkrawał kawałki głów, rąk i nóg, obierał ich, siekał, aż stali się całkiem maleńcy. Potem zebrał kawałeczki i ścisnął bardzo mocno, tak że plastelina wylaziła pomiędzy palcami. Wrzucił ją do klozetu i spuścił wodę, wyobrażając sobie, że tłściochy toną, wołając: „Och, nie! O Boże!” Patrzył, jak wirują wkoło i w końcu znikają, i czuł się jak ich władca, co sprawiało, że jego siusiak zrobił się twardy i obolały.

*

Na najwyższej półce rzeźbionej biblioteczki stała zielona książka, naprawdę ciężka; żeby ją zdjąć, musiał wspiąć się na fotel i uważać, by nie upuścić jej na kryty skórą blat biurka Doktora i nie roztrzaskać stojącej tam czaszki, której Doktor używał jako przycisk do papierów. Czaszka małpy, mniejsza od ludzkiej, ale on lubił udawać, że była to czaszka człowieka. Jednego z liliputów z obrazka. Może liliput usiłował napaść na rodzinę chłopca, a on zabił liliputa i wszystkich obronił, jak wielki bohater, a potem obdarł go ze skóry i w ten sposób zdobył czaszkę.

Zielona książka była stara, nosiła datę 1908 i miała długi tytuł: *Atlas chirurgii klinicznej*. Napisał ją profesor Bockenheimer, czy jakoś tak, z miasta o nazwie Berlin. Chłopiec zajrzał do swojej encyklopedii dla dzieci i stwierdził, że Berlin jest w Niemczech.

Na pierwszej stronie ktoś napisał coś dziwnym, pajęczym pismem. Długo trwało, zanim odcyfrował ten napis:

Charlesowi, memu uczonemu koledze, z najwyższą wdzięcznością za gościnność i stymulujące rozmowy.

*Z najlepszymi życzeniami
Dieter Schwann*

Obrazki w zielonej książce wyglądały jak żywe, jakby je można było wziąć do ręki albo jakby sieje oglądało przez stereoskop. W książce było napisane, że to są zdjęcia modeli. Modele wykonane zostały przez faceta o nazwisku F. Kalbow z – naprawdę ciężko powtórzyć – z Instytutu Patoplastyki w Berlinie.

Jednym z modeli była twarz mężczyzny z dziurą o nazwie mięsak. Ta dziura przykrywała nos i usta mężczyzny. Widać było tylko oczy, a potem tę dziurę, w środku była żółta i różowa. Inny model przedstawiał siusiaka, całkiem rozgniecionego, z jakąś szarawą, pomarszczoną rzeczą dookoła i wielką raną na czubku. Wyglądał jak dżdżownica z czerwoną głową. Ulubioną ilustracją było duże zdjęcie odbytu z czymś różowym i podobnym do kwiatu dookoła. Ogródek kwiatowy wokół dziury w dupie.

Były to bardzo nieprzyzwoite obrazki. Miał ochotę wziąć nóż i wyciąć je wszystkie, żeby wszystko stało się ładne i czyste.

Być szefem i wszystkich wyratować.

Bardzo lubił noże i narzędzia w czarnym skórzanym etui obok małpiej czaszki.

Od środka futerał wyłożony był czerwonym aksamitem. Na nim wydrukowano złotymi literami: „Jetter und Scheerer: Tuttlingen und Berlin”. Znowu to samo miasto, Berlin. To pewnie miasto lekarzy. Pełno w nim rzeczy dla lekarzy.

Noże i instrumenty lekarskie przymocowane były skórzanymi paskami. Mnóstwo noży; kiedy ruszyło się futerał, dźwięczały. Ostrza były ze srebrnego metalu, uchwyty gładkie, białe, lśniące, z czegoś, co wyglądało jak wnętrze muszli.

Lubił rozwiązywać rzemyki i wyjmować noże, jeden po drugim, potem układać je jak patyczki do lodów, w litery i wzory na blacie biurka. Jego inicjały z liter-noży.

Były naprawdę ostre. Przekonał się o tym przypadkiem, gdy musnął palcem czubek jednego z nich i skóra otworzyła się, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Było to głębokie skaleczenie i przstraszył się, ale czuł się dobrze, oglądając różne warstwy własnej skóry, które znajdowały się pod spodem. Na początku nawet nie bolało: potem zaczęło krwawić, bardzo, i poczuł ostry, pulsujący ból. Wziął bibułkę, owinał nią palec i patrzył, jak z białej robi się czerwona. Siedział tak długi czas, aż krwawienie wreszcie ustało. Odwinął palec, polizał bibułkę; miała smak soli i papieru, zmiął ją i wepchnął do kieszeni.

Po tym wypadku ciął się od czasu do czasu. Żeby poczuć się jak władca noży. Małe, cieniutkie cięcia, które nie krwawiły długo, żłobki na czubkach paznokci. W pokrowcu znajdował się przyrząd do ściskania. Ścisnął nim palec, aż robił się tak purpurowy, gorący i pulsujący, że nie można było dłużej wytrzymać. Używał bibulek do wysuszania krwi, zbierał kawałki skrwawionego papieru i chował w pudle z zabawkami w swojej szafie.

Po zabawie nożami szedł czasem do swego pokoju, zamykał drzwi na klucz i wyjmował pilniki, nożyczki, agrafki i ołówki. Układał je na biurku, lepił ludziki z gliny i robił im operacje, używając czerwonej plasteliny zamiast krwi, wykonywał mięsaki i kwiaty otaczające odbyt, obcinał ręce i nogi.

Czasem wyobrażał sobie, że plastelinowe ludziki wrzeszczą: „Och, nie!” I: „O mój Boże!” Obcinając im głowy, uciskał je.

„Już ja ci pokażę!”

Od tygodnia bawił się nożami, gdy znalazł Książkę o nożach.

W książce o nożach nie było zdjęć ludzi, tylko rysunki noży i narzędzi. Katalog. Przewracał kartki, dopóki nie trafił na rysunki przedstawiające noże z czarnego skózanego futerału. Spędził dużo czasu, dopasowując ilustracje do narzędzi, poznając ich nazwy i zapamiętując je.

Siedem z nich, o krótkich ostrzach, nosiło nazwę skalpel.

Składany z małym spiczastym ostrzem nazywał się lancet.

Te z długimi ostrzami nazywały się bistury,

Cienkie, okrągłe rzeczy to igły chirurgiczne.

Ostra łyżka to zgłębnik.

Przedmiot podobny do widelca z dwoma szpikulcami to detektor.

Rurka z otworem – kaniula; a spiczasta rzecz, która pasowała do otworu – trójgraniec.

Opasłe narzędzie z grubym, płaskim ostrzem to raspator.

To do ściskania, z boku, kleszcze zajęcza warga.

Na dnie futerału znajdował się jego ulubiony nóż. Dzięki niemu czuł się naprawdę jak władca, mimo że wciąż bał się go wyjmować. Był tak wielki i niebezpieczny.

Nóż do amputacji. Trzeba go było trzymać w obu rękach. Zatoczył nim łuk i prosto w mięką, białą szyję.

Ciach, ciach.

„O Boże!”

„Już ja ci pokażę!”

W bibliotece były też inne rzeczy. Wielki mosiężny mikroskop i drewniana skrzynia z preparatami: nogi much, które wyglądały jak włochate drzewa, czerwone komórki krwi,

płaskie i koliste, jak latające talerze. Ludzkie włosy, bakterie. Oraz pudełko igieł do zastrzyków podskórnych w jednej z szuflad biurka. Wyjął jedną z nich, odpakował i wbił w skórzany fotel przy ścianie, w miejscu, gdzie nikt nie mógł tego zauważyć. Robił zastrzyki, udając, że fotel jest zwierzęciem, kłuł raz po raz, słyszał wrzaski zwierzęcia, aż zmieniło się w człowieka, nagą, paskudną osobę, dziewczynę, która krzyczała:

„Och, nie! O Boże!”

– Masz! – I zastrzyk. – Ja ci pokażę! – Obrót igłą.

Ukradł tę igłę, zabrał do swego pokoju i schował z pokrwawionymi bibułami.

Miły pokój. Pełno w nim przyjemnych rzeczy.

Ale najbardziej lubił noże.

ROZDZIAŁ 34

Nowe przesłuchania, więcej ślepych zaułków; pięciu detektywów harowało jak pociągowe konie.

Nie znajdując nowych wskazówek, postanowił prześledzić stare tropy. Pojechał do więzienia przy placu Rosyjskim i przesłuchał Anwara Rashmawiego, skupiając się na ostatniej rozmowie brata Fatmy z Issą Abdelatifem, starając się wywnioskować, czy ten ostatni powiedział coś na temat miejsca pobytu Fatmy po jej odejściu z Saint Saviour. Oraz na tym, jak Abdelatif zareagował na wiadomość o śmierci Fatmy.

Strażnik wprowadził Anwara ubranego w strój więzienny o trzy numery za duży. Daniel od razu poznał, że brat Fatmy się zmienił, był wrogi i nie sprawiał już wrażenia wyrzutka. Wszedł do pokoju przesłuchań, patrząc spode łba wyzywającym wzrokiem, zlekceważył powitalne słowa Daniela oraz polecenie strażnika, by usiadł. Zniecierpliwiony strażnik popchnął go na krzesło i powiedział:

- Siadaj tu. – Po czym zapytał Daniela, czy czegoś potrzebuje.
- Nic mi nie trzeba. Możesz odejść.

Gdy zostali sami, Anwar skrzyżował nogi, odchylił się na oparcie krzesła i wbił wzrok w sufit, nie reagując na pytania Daniela lub traktując je jak kiepskie żarty.

W niczym nie przypominał mazgaja, który przyznał się do winy dwa tygodnie temu. Ośmielony swoim nowym statusem bohatera. Strażnicy powiedzieli Danielowi, że ojciec odwiedza go regularnie, grają we dwójkę w szeszbisz, słuchając radia Amman i paląc papierosy, jak najlepsi kumple. Po wizycie stary człowiek wychodził z celi z dumnym uśmiechem.

Minęło dwadzieścia bezowocnych minut. W pokoju było gorąco i duszno. Daniel czuł ucisk w piersi. Przepocone ubranie lepiło się do skóry.

- Zacznijmy od nowa – powiedział. – Dokładne słowa.
- Czyje dokładne słowa?
- Abdelatifa.

Węże nie mówią.

Jak płyta, która się zacięła.

Daniel otworzył notatnik.

– Kiedy się przyznałeś, powiedziałeś, że mówił bardzo dużo. Mam to w moich notatkach: „... zaczął iść ku mnie z nożem, mówiąc, że już nie żyję, tak samo jak Fatma. że ona nic dla niego nie znaczyła, była śmieciem, który należy wyrzucić”. Pamiętasz, prawda?

- Nic nie pamiętam.
- Co jeszcze powiedział na temat śmierci Fatmy?
- Chcę mego adwokata.
- Nie potrzebujesz adwokata. Nie rozmawiamy o twoim przestępstwie, tylko o zamordowaniu Fatmy.

Anwar uśmiechnął się:

- Sztuczki. Oszustwa.

Daniel wstał. Podeszedł do brata Fatmy i przyjrzał mu się.

– Kochałeś ją. Zabiłeś, by ją pomścić. Myślałem, że chcesz się dowiedzieć, kto ją zabił.

– Ten, kto ją zabił, już nie żyje.

Daniel nachylił się nad Anwarem.

– Otóż nie. Ten, kto ją zabił, popełnił następne morderstwo... Wciąż jest na wolności i śmieje się z nas.

Anwar zamknął oczy i pokręcił głową.

– Kłamstwa.

– To prawda, Anwar. – Daniel wyjął gazetę, „Al Fajr” i machał nią przed twarzą Anwara, dopóki ten nie otworzył oczu. – Sam przeczytaj – dodał.

Anwar odwrócił wzrok.

– Przeczytaj to, Anwar.

– Kłamstwa. Rządowe kłamstwa.

– „Al Fajr” jest rzecznikiem Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Dlaczego OWP miałyby drukować rządowe kłamstwa?

– Rząd kłamie.

– Abdelatif jej nie zamordował. W każdym razie nie osobiście. Na wolności jest ktoś jeszcze. Śmieje się i spiskuje.

– Wiem, co pan robi – powiedział Anwar. – Usiłuje mnie pan nabrać.

– Usiłuję ustalić, kto zabił Fatmę.

– Ten, kto ją zabił, już nie żyje.

Daniel się wyprostował, cofnął o krok i spojrzał na Anwara. Jego upór i ograniczoność denerwowały go i przyprawiały o ucisk w klatce piersiowej. Patrzył, jak Anwar pluje na podłogę i rozmazuje ślinę czubkiem buta.

Daniel czekał. Ucisk w piersi zmieniał się w ognistą obręcz, która ścisnęła płuca, powodując prawdziwy, palący ból.

– Idiota – usłyszał samego siebie. – Usiłuję znaleźć tego, kto zarznął ją jak kozę. Tego, kto rozplątał jej zwłoki i szukał wewnątrz trofeów. Jakby to była koza przed wyprowadzeniem na *suk*.

Anwar zakrył uszy rękami i wrzasnął:

– Kłamstwa!

– Zrobił to jeszcze raz, Anwar – głośno powiedział Daniel. – Wciąż będzie to robił. Będzie zarzynał.

– Kłamstwa! – krzyknął Anwar. – Brudne kłamstwa!

– Rzeźnik, słyszysz mnie?

– Żydowski kłamca!

– Twoja zemsta jest chybiona! – wrzasnął Daniel. – Hańba dla rodziny!

– Kłamstwa! Żydowskie oszustwa!

– Chybiona, słyszysz mnie, Anwar? Wstyd!

– Brudny żydowski kłamca! – Anwar szczękał zębami, zbielełe dłonie zaciskał na uszach.

– Chybiona zemsta. Hańba. Żart. – Daniel obrzucał go słowami. – Chybiona – powtórzył, patrząc w oczy Anwara, tak aby ten mógł czytać z jego warg. – Tak samo jak twoja męskość.

Anwar wydał bolesny krzyk z głębi brzucha, zerwał się z krzesła i rzucił do gardła Daniela. Daniel zamachnął się zdrową ręką i uderzył w twarz wierzchem dłoni. Zaczepił obrączką o okulary i strącił je z nosa Anwara. Potem chlasnął go jeszcze raz, mocniej, trafiając w kość policzkową. Anwar upadł do tyłu.

Leżał rozciągnięty na kamiennej posadzce, trzymając się za pierś i z trudem chwytając oddech. Po pokrytych dziobami i bliznami policzkach spływała krew.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i wszedł strażnik z pałką.

– Wszystko w porządku? – spytał, spojrzawszy najpierw na zadyszanego Anwara na

podłódze, a potem na Daniela, który stał nad więźniem, rozcierając knykcie.

– W jak największym – odparł Daniel, także zadyszany. – Nic się nie stało.

– Kłamlivy żydowski pies! Faszysta! Nazista!

– Wstawaj – rzucił strażnik. – Stań z rękami opartymi o ścianę. Rusz się.

Anwar ani drgnął, więc strażnik szarpnięciem podniósł go z podłogi i skuł kajdankami, wykręcając jego ręce do tyłu.

– Rzucił się na mnie – powiedział Daniel. – Prawda wytrąciła go z równowagi.

– Kłamliva syjonistyczna świnią. – Anwar wykonał nieprzyzwoity gest. – *Qus Amak!* Pieprzyć cipę twojej matki.

– Zamknij ryj – powiedział strażnik. – Nie chcę cię więcej słyszeć. Nic panu nie jest, pakad?

– Nic a nic. – Daniel zaczął zbierać rozsypane kartki z notesu.

– Skończył pan z nim? – spytał strażnik, chwytając Anwara za kołnierz.

– Tak. Skończyłem.

W drodze powrotnej do komendy zastanawiał się przez chwilę, dlaczego stracił nad sobą panowanie. Ta introspekcja sprawiała mu przykrość, więc zaczął rozmyślać o dwóch zamordowanych dziewczynach.

Ich ciała nie nosiły śladów związania. Znieczulenie heroiną wystarczająco je unieruchomiło. Brak śladów walki świadczył o tym, że zgodziły się na zastrzyk. W przypadku Juliet było to zrozumiałe – używała narkotyków już wcześniej, była przyzwyczajona do łączenia narkotyków z seksem na sprzedaż. Ciało Fatmy było jednak czyste, wszystko wskazywało na jej niewinność i brak doświadczenia. Być może Abdelatif nauczył ją palić haszysz lub wachać kokainę, ale zastrzyk dożylny to coś zupełnie innego.

Zgoda na wstrzyknięcie świadczyła o wielkim zaufaniu do robiącego zastrzyk, o całkowitym poddaniu się mu. Pomimo szaleństwa Anwara, Daniel wierzył, że przyznając się do winy, chłopak powiedział prawdę. Że Abdelatif rzeczywiście wspominał o śmierci Fatmy. Jeżeli użył tego słowa w znaczeniu dosłownym, był jedynie współuczestnikiem rzezi. Albo posłużył się nim w znaczeniu symbolicznym – przehandlował swoją owieczkę nieznanemu. W oczach muzułmanów uprawiająca pozamałżeński seks dziewczyna była warta tyle samo co martwa dziewczyna.

W obydwu przypadkach Fatma musiała się zgodzić na tę transakcję, co było wielkim wyczynem nawet dla dziewczyny, która uciekła z domu. Czy jej poddanie się było ironicznym finałem: zakorzenione poczucie niższości kobiety sprawiło, że przywiązała się do szumowiny w rodzaju Abdelatifa i była mu posłuszna tylko dlatego, że był mężczyzną? Czy też sprawiła to osobowość samego mordercy? Może był on autorytatywnym człowiekiem, budzącym zaufanie?

Należało to rozpatrzyć.

Ale była też Juliet, profesjonalistka. Czynniki kulturowe nie wyjaśniały jej poddania się.

Pracując jako posterunkowy w Katamonim, Daniel poznał wiele prostytutek i instynktownie im współczuł. Sprawiały na nim wrażenie biernych, niewykształconych kobiet, które mają o sobie niskie mniemanie i nie wierzą we własne człowieczeństwo. Pokrywają to jednak cyniczną pozą, udając, że są twarde i drapieżne, a ich klienci stanowią zdobycz. Dla kogoś takiego poddanie się było towarem na sprzedaż. Uległość, nie do pomyślenia za darmo.

Juliet mogłaby się stać uległą za pieniądze. Prawdopodobnie za niewielką sumę. Przywykła do zabawiania zboczeńców. Zastrzyk z heroiny nie był dla niej nowością, chętnie by go przyjęła.

A zatem jakiś typ autorytatywny z pieniędzmi, ale niekoniecznie dużymi.

Daniel oparł głowę na biurku, zamknął oczy i starał się to wszystko zobaczyć, zmienić myśli na obrazy.

Budzący zaufanie mężczyzna. Pieniądze i narkotyki.

Raczej uwodzenie niż gwałt. Słodkie słówka i namowy, urok, o którym wspomniał Ben David, łagodne negocjacje, a potem ukłucie igłą, odrętwienie i sen.

A to, wbrew temu, co powiedział psycholog, świadczyło, że zabójca był bardziej tchórzliwy niż Szary Człowiek. Może bał się stawić czoło ofiarom i odkryć, jakie są jego zamiary. Skrywa swoją prawdziwą naturę, aż do chwili, gdy kobiety tracą przytomność. A wtedy rozpoczyna swój atak w stanie chłodnego samoopanowania: precyzyjnie, porządnie, chirurgicznie. Podniecając się na widok krwi, pracując stopniowo, tnąc coraz głębiej, wrywając organy, aż do całkowitego zapamiętania się. Daniel wspomniał spustoszenia poczynione w ciele Fatmy – tu musiał nastąpić orgastyczny wybuch. A potem czas na ochłonięcie i powrót spokoju. Pobranie trofeów, obmywanie ciała, mycie włosów. Zwykła praca przedsiębiorcy pogrzebowego.

Tchórz. Z całą pewnością tchórz.

Postawienie się na miejscu zabójcy sprawiło, że poczuł się obrzydliwie. Spekulacja, która nie powiedziała mu nic pewnego.

Gdybym był Fatmą, komu zaufałbym na tyle, by pozwolić, aby mi zrobił zastrzyk?

Lekarzowi.

Dokąd bym poszedł, gdybym był Juliet i potrzebował lekarstwa na padaczkę?

Do lekarza.

W kraju było wielu lekarzy. „Mamy jeden z najwyższych wskaźników stosunku liczby lekarzy do liczby mieszkańców” – przypomniał mu Shmeltzer. „Ponad dziesięć tysięcy lekarzy, a wszyscy oni to aroganckie skurwiele”.

Wszyscy, mimo że większość lekarzy było nisko opłacanymi pracownikami państwowymi. Doświadczony kierowca autobusu zarabiał więcej niż lekarz.

Prawie każda żydowska i arabska matka chciałyby mieć syna lekarza.

Lekarze, z którymi rozmawiał, twierdzili, że nie znali żadnej z dwu dziewczyn. Co począć, wlec każdego lekarza na przesłuchanie?

Na jakiej podstawie, Sharavi? Przeczucia?

Zresztą, cóż warta była jego intuicja? Ostatnio nie mógł polegać na swoich instynktach.

Wstawał o świcie, skradał się do drzwi jak włamywacz. Doznawał porażek przez cały dzień i wracał do domu po zapadnięciu nocy, nie chcąc rozmawiać o prowadzonym śledztwie. Zamykał się w pracowni z wykresami i statystykami kryminalnymi, z których nic nie wynikało. Nie telefonował z biura do Laury. Jadł w biegu, obrażając Boga pospieszną modlitwą po posiłku.

Od czasu, gdy wezwano go na oględziny zwłok Fatmy, nie rozmawiał z ojcem. Dziewiętnaście dni. Nie zajmował się Gene'em i Luanną.

To śledztwo – porażki i frustracje, zaraz po sprawie Szarego Człowieka – bardzo go zmieniło. Czuł, jak wycieka z niego poczucie człowieczeństwa, rodzą się wrogie impulsy. Napaść na Anwara wydawała mu się całkiem naturalna.

Nie czuł się tak od czasu odniesienia rany, operacji ręki i pustych godzin spędzonych na rehabilitacji.

Przestań się nad sobą litować, pomyślał zirytowany.

Użalać się z powodu kilku tygodni bezskutecznej pracy. Wyrzucać sobie stracony czas, gdy dwie kobiety zostały zarżnięte, i kto wie, ile spotka to samo.

On nie jest pracą, a praca nie jest nim. Tak powiedział mu Lipschitz, psycholog w ośrodku rehabilitacyjnym, usiłując przedrzeć się przez jego depresję i nawracające koszmary, w których towarzysze broni eksplodowali, rozbryzgując się jak różowa mgła. Wyperswadować chęć oderwania tej beużytecznej bryły mięsa, zwisającej z lewego nadgarstka i ukarania się za to, że przeżył.

Unikał rozmowy z Lipschitzem, aż wreszcie wyrzucił z siebie wszystko podczas jednej sesji, spodziewając się współczucia i przygotowany na jego odrzucenie. Ale Lipschitz tylko

kiwał głową na swój irytujący sposób. Przytakiwał z uśmiechem.

– Jesteś perfekcjonistą, kapitanie Sharavi. A teraz musisz się nauczyć żyć z defektem.

Czemu marszczysz brwi? O co chodzi?

– Moja ręka.

– Co z twoją ręką?

– Jest bezużyteczna.

– Według twoich terapeutów, zaangażowane ćwiczenia mogą ją uczynić o wiele bardziej użyteczną.

– Wciąż ćwiczę, a ona nadal jest bezużyteczna.

– Co znaczy, że jesteś nieudacznikiem.

– No bo jestem, prawda?

– Ręka jest tylko częścią ciebie.

– Jest mną.

– Zrównujesz swoją lewą rękę z całą osobą.

(Milczenie).

– Hmm.

– Czy to nie tak jak w wojsku? Nasze ciała są naszymi narzędziami. Bez nich jesteśmy bezużyteczni.

– Jestem lekarzem, nie generałem.

– Jest pan majorem.

– Dziękuję, kapitanie. Tak, jestem majorem. Ale przede wszystkim lekarzem. Jeżeli niepokoi się pan o poufność...

– Nie dbam o to.

– Rozumiem... Dlaczego marszczy pan czoło? Co pan czuje w tej chwili?

– Nic.

– Proszę mi powiedzieć. Wyrzucić to z siebie, dla pańskiego dobra... No, kapitanie.

– Pan nie...

– Co ja nie?

– Pan mi nie pomaga.

– Niby czemu?

– Potrzebuję rady, a nie uśmiechów i kiwania głową.

– Rozkaz od przełożonych?

– Teraz kpi pan sobie ze mnie.

– Ani trochę, kapitanie. Ani trochę. Zazwyczaj moja praca nie polega na dawaniu rad, ale może w tym przypadku powinienem zrobić wyjątek.

(Szelest przeglądanych papierów).

– Jest pan doskonałym żołnierzem, doskonałym oficerem, w tak młodym wieku. Pański profil psychologiczny ujawnia wysoki poziom inteligencji, idealizm, odwagę, ale także wielką potrzebę struktury... struktury narzuconej z zewnątrz. Więc radzę, by pan pozostał w wojsku lub zaangażował się w jakiejś organizacji paramilitarnej.

– Zawsze chciałem być prawnikiem.

– Hmm.

– Nie sądzi pan, że się do tego nadaje?

– O co panu chodzi, kapitanie? Nie jestem wróżbitą.

– Potrzebuję rady, doktorze. Czekam na nią.

– O tak, rady. Nie powiem nic odkrywczego, kapitanie Sharavi. Tylko tyle: niezależnie od tego, na jakim polu będzie pan działał, porażki są nieuniknione. Im wyżej pan zajdzie, tym większe porażki. Niech pan zapamięta, że pańskie zadanie i pan to nie to samo. Jest pan osobą wykonującą pracę, niczym mniej i niczym więcej.

– To wszystko?

– To wszystko.

– Według harmonogramu to jest nasza ostatnia sesja. Chyba że odczuje pan gwałtowną potrzebę rozmowy ze mną.

– Dziękuję, doktorze. Żegnam.

Nienawidził tego psychologa; po latach uznał go za proroka.

Nie był pracą. Praca nie była nim.

Łatwo powiedzieć, trudno wprowadzić w życie.

Postanowił odzyskać swoje człowieczeństwo, być lepszym dla najbliższych, a mimo to wykonać pracę.

Praca. Łatwe przypadki rozwiązywały się same. Przy innych trzeba było opierać się na domysłach udających profesjonalizm.

Lekarze. Wciąż wracał do nich myślą, ale istniały inne autorytety poza lekarzami, zmuszające do posłuszeństwa i pokory.

Profesorowie, naukowcy. Nauczyciele, jak Sender Malkovsky... Ten człowiek wyglądał zupełnie jak rabin. Człowiek boży.

Ludzie Boga. Tysiące. Rabini, szejkwowie, imami, mułłowie, księża, mnisi... Miasto obfitowało w ludzi, którzy przypisywali sobie znajomość świętych prawd.

Wieże i iglice. Fatma szukała schronienia w ich cieniu.

Była dobrą mużulmańską dziewczyną, wiedziała, jaki rodzaj współczucia może uzyskać od mułły, i uciekła prosto do chrześcijan, prosto do Josepha Rosellego. Czy przesadą było wyobrażać sobie, że chrześcijanka Juliet zrobiła to samo?

Jednakże śledzenie mnicha przez Daouda nie przyniosło nowych rewelacji na temat Rosellego. Chadzał na wieczorne spacerunki i po kilku minutach wracał do Saint Saviour. Dziwne, ale nie obciążające. Telefony do Seattle nie ujawniły nic bardziej złowrogiego niż kilkakrotne aresztowanie za nieposłuszeństwo: demonstracje przeciwko wojnie w Wietnamie w czasach, gdy Roselli był pracownikiem socjalnym.

Ben David mówił o związku polityki z morderstwem, ale nawet jeśli w tym wypadku istniało takie powiązanie, Daniel go nie widział.

Za dnia Roselli przebywał w obrębie klasztoru i Daniel zlecił śledzenie go Daoudowi na przemian z kilkoma oficerami patrolującymi Stare Miasto. Dzięki temu arabski detektyw miał czas na wykonywanie innych zadań, z których ostatnie omal nie zakończyło się katastrofą.

Daoud krążył po targowisku w Gazie, wypytując o Aldżuniego, który mordował żony, gdy przyjaciel podejrzanego rozpoznał Daouda i wytykając go palcem, krzyknął na całe gardło: „Policja! Zdrajca!” Pomimo nieogolonej twarzy, kaffijah i szarawej szaty oszust rozpoznał w nim „zielonookiego diabła”, który aresztował go zeszłego roku za handel narkotykami. W Gazie roiło się od zabójców, Daniel zląkł się, że zabiją Daouda. Było mało prawdopodobne, że Aldżuni to ich poszukiwany, a według Daouda cały czas spędzał w domu, wrzeszcząc na żonę i nigdy nie wychodząc na nocne wypadki. Daniel zlecił, by wojsko miało na oku Aldżuniego i odnotowało, gdyby wybrał się w podróż. Daoud nie skarżył się, że odwołano go z misji, ale wszystko miał wypisane na twarzy. Daniel wyjaśnił mu, że nie pokpił sprawy i że coś takiego mogło się zdarzyć każdemu. Zlecił mu przesłuchanie mieszkańców okolicznych wiosek i nakazał oszczędzanie sił na Rosellego.

Jeżeli nawet chrześcijańskie sumienie Daouda cierpiało z powodu konieczności śledzenia mnicha, nie dał tego po sobie poznać.

Malkovsky, inny wzór cnót religijnych, pozostawał pod obserwacją Aviego Cohena, który doskonale nadawał się do tego zadania: jego bmw, modne ubranie i twarz mieszkańca północnego Tel Awiwu pasowały do osiedla Wolfson. Mógł się ubrać w strój do tenisa, wziąć rakietę i nikomu nie wydawał się podejrzanym.

Okazało się, że dzieciak jest w porządku, dobrze poradził sobie z Jalomem oraz z Bricknerem i Gribetzem. Nie został rozszyfrowany przez obleśną parę, nagrał na ich temat

całe taśmy magnetofonowe, a teraz śledził Malkovsky'ego.

Prześladowca dzieci spędzał całe godziny na wędrówkach po okolicy z czwórką swoich pociech, zdzierając z murów ulotki, drąc je na drobne kawałeczki i wyrzucając do papierowych toreb.

Według Cohena był szorstki dla własnych dzieci, wrzeszczał na nie, dyrygował nimi jak właściciel niewolników, ale nie maltretował ich seksualnie.

Gdy zdarł wszystkie ulotki, jego dni stały się monotonne: każdego ranka udawał się na *szacharit* z *minjanem* do *jesziwy* rabina Prosnitzera za Mea Szearim. Jeździł tam małym subaru, do którego z trudnością się wciskał. W murach *jesziwy* pozostawał aż do lunchu. Avi widział go kilka razy spacerującego z rebe, zakłopotanego, gdy stary mężczyzna wygrażał mu palcem i łajał za nieuwagę i niewypełnianie praktyk religijnych. W południe wracał do domu na lunch, po czym wychodził z płamami na koszuli, by przemierzać podwórko, wyłamując sobie palce.

– Nerwus z niego – powiedział Avi do swego magnetofonu. – Jakby walczył z własnymi emocjami.

Chodził tak przez kilka minut i wsiadał do subaru; resztę dnia spędzał, garbiąc się nad pulpitem. Wracał do domu po zapadnięciu zmroku, zaraz po odmówieniu *maariw** z *minjanem*, nie zatrzymując się po drodze na żadne figle.

Pogrążony w studiach lub tylko udaje, myślał Daniel.

Zlecił młodym policjantom, by wybadali, czy nie molestuje dzieci w domu. Spróbował się dowiedzieć, czyim protegowanym jest Malkovsky, ale bezskutecznie.

Czas, by po raz dziesiąty zatelefonować do Laufra.

Ludzie Boga.

Wrócił do domu o wpół do siódmej, przygotowany na kolację w rodzinnym gronie, ale stwierdził, że wszyscy już zjedli: falafel i amerykańskie hamburgery w barze na King George.

Dayan szczekał na powitanie, a chłopcy rzucili się na tatę. Ucałował ich delikatne policzki i obiecał, że za chwilę się nimi zajmie. Nie nalegali i pobiegli się bawić. Shoshi odrabiała lekcje przy kuchennym stole. Uśmiechnęła się do niego, objęła i ucałowała, a potem wróciła do pracy nad równaniami z algebry.

– Jak ci idzie? – zapytał Daniel. Matematyka sprawiała jej największe trudności. Zwykle musiał jej pomagać.

– Dobrze, *abba*. – Przygryzła ołówek i podrapała się po głowie. Pomyślała chwilę i wpisała wynik. Właściwy.

– Doskonale, Shoshi. Gdzie jest *ima*?

– Maluje.

– Miłej zabawy.

– Mhm.

Drzwi do pracowni były zamknięte. Ze środka dochodził zapach terpentyny. Zastukał, wszedł i zobaczył Laurę w niebieskim kitlu, pracującą nad nowymi płótnami, w mocnym świetle lampy. Krajobraz Betlejem w odcieniach umbrzy, ochry i beżu, łagodnie oświetlony niskim zimowym słońcem, z lawendowymi wzgórzami w tle.

– Piękne.

– O, cześć, Danielu. – Nie wstając ze stołka, pochyliła się, by pocałować Daniela. Do sztalug przypięła dwanaście zdjęć przedstawiających Betlejem, które zrobiła w czasie zeszłorocznej wyprawy.

– Jadłś już?

– Tak. – Wzięła pędzel i nałożyła smugę cienia na wieżycze kościoła Antonio Belloni. – Nie wiedziałam, kiedy wrócisz do domu.

Spojrzał na zegarek.

* *Maariw* (z hebr. „sprowadzenie wieczoru”) – modły wieczorne, odmawiane zwykle po zmroku.

– Szósta trzydzieści sześć. Myślałem, że to dość wcześnie.
Odłożyła pędzel, wytarła ręce w szmatkę i zwróciła się ku niemu.
– Nie mogłam przewidzieć, o której wrócisz, Danielu – powiedziała spokojnie. – Przykro mi. W lodówce jest jeszcze jeden hamburger. Chcesz, żebym ci go odgrzała?
– Nie trzeba. Sam go odgrzeję.
– Dzięki. Jestem w połowie pracy, chcę skończyć kilka budynków.
– Piękne – powtórzył.
– Dla Gene’a i Luanne. Prezent na pożegnanie.
– Co u nich?
– Wszystko dobrze. – Mażnięcie, trochę oleju, szmatka. – Byli w Hajfie, zwiedzali północne wybrzeże. Naharija, Acre, Rosz Hanikra.
– Kiedy wracają do Stanów?
– Za kilka dni... Dokładnie nie wiem.
– Dobrze się bawią?
– Na to wygląda. – Zsunęła się ze stołka. Daniel myślał, że go obejmie. Ale ona odstaąpiła od płótna i zmierzyła perspektywę, wróciła na stołek i zaczęła zamalowywać prostokąty o barwie ochry.
Daniel odczekał chwilę i wyszedł, by zrobić sobie kolację. W czasie gdy jadł i zmywał, chłopcy zajęli się oglądaniem *Gwiezdných wojen*. Urzeczeni filmem, odmówili, gdy im zaproponował zapasy.

ROZDZIAŁ 35

Biurko Laufra zaścielały wycinki z gazet. Zastępca komendanta układał je jak przerośniętą talię kart.

– Śmiecie – powiedział. – Niech pan czyta.

Daniel wziął wycinek i natychmiast odłożył, zdawszy sobie sprawę, że już to widział. Gazeta nosiła tytuł „Haarec”. Daniel lubił jej niezależność, trzeźwy ton. Sprawozdania na temat morderstw były, jak zawsze, wzorowane na faktach, zwarte, pozbawione dreszczyku dla żadnych sensacji czytelników.

Prasa związana z partiami pisała różnie. Organ rządowy zamieścił krótką niedbałą notatkę na ostatniej stronie, jakby pomijanie zbrodni milczeniem miało sprawić, że znikną.

Gazeta opozycji potraktowała sprawę szeroko. Podając nazwisko Daniela i przypominając sprawę Lippmanna, przypominając szczegóły skandalu, rozpisując się o tym, że przed zamordowaniem go, Lippmann był ulubieńcem partii rządzącej. Dając do zrozumienia w nie bardzo subtelny sposób, że wzrost przestępczości jest winą rządu: zaniechanie podwyżek pensji policjantów doprowadziło do korupcji i nieudolności, źle zarządzane Ministerstwo Zdrowia nie potrafiło rozwiązać problemu chorych psychicznie pacjentów, frustracja spowodowana polityką socjalną i ekonomią partii rządzącej spowodowała w społeczeństwie „głęboko zakorzoną alienację i towarzyszące jej wrogie impulsy. Impulsy, które mogą doprowadzić do rozlewu krwi”.

„Ha-olam Ha-zeh” i inne gazety ilustrowane wykonały swoje zadanie: sensacyjne tytuły i wzmianki o perwersyjnym seksie na pierwszych stronach. Pełne krwawych szczegółów historie, walczące o lepsze z fotografiami nagich kobiet. Daniel odłożył je na biurko.

– Czemu znów do tego wrócili? Od czasu Juliet minęły już dwa tygodnie.

– Niech pan czyta, to jeszcze nie wszystko – powiedział Laufer, bębniąc palcami o stół. Podniósł gruby plik wycinków i pokazał Danielowi.

Te fragmenty były po arabsku: „Al Fajr”, „Al Sha’ab” i inne gazety miejscowe na wierzchu sterty, zagraniczne na spodzie.

Arabski, pomyślał Daniel, to wylewny, poetycki język, lubujący się w przerośnięciach. A owego ranka arabscy dziennikarze byli w szczytowej formie: Fatma i Juliet, dwie dziewice, męczennice rasistowskiego spisku, uprowadzone, splugawione i pozbawione życia przez grasującą nocami syjonistyczną klikę.

Miejscowe gazety wołały o „kategoryczne rozwiązania” i „kontynuację walki, tak aby nasze siostry nie musiały ginąć na próżno”. Do zemsty nie nawoływano tylko dlatego, że nazwanie rzeczy po imieniu mogłoby podrażnić cenzurę.

Ale zagraniczna prasa arabska wołała pełnym głosem: oficjalne artykuły z Ammanu, Damaszku, Rijadu i krajów nad Zatoką Perską przepełniała nienawiść i żądza zemsty. Obok widniały brutalne rysunki przedstawiające zwykłe antyżydowskie symbole: ociekające krwią gwiazdy Dawida, śliniący się mężczyźni o zakrzywionych nosach, z pejsami i w kipach, przytykający długie ostrza noży do gardeł spowitych we flagę Organizacji Wyzwolenia Palestyny zawołanych piękności o oczach łani. Kipy przyozdobione były swastykami;

Arabowie lubują się w przypisywaniu nazizmu swoim kuzynom. Syryjczycy posunęli się do tego, by łączyć morderstwa z jakimś żydowskim okultystycznym rytuałem składania ofiar z ludzi, ceremonią dożynek, wymyśloną przez autora artykułu.

Paskudztwa, pomyślał Daniel, przypominając sobie wystawę Der Sturmer, którą widział w Holocaust Memoriał, i Czarną Księgę, którą pokazał mu Ben David. Ale nic nowego.

– Typowe szaleństwo – powiedział Laufrowi.

– Po prostu gówno.

Dał Danielowi artykuł po angielsku, wycięty z porannej edycji międzynarodowej „Herald Tribune”.

Była to dwukolumnowa wiadomość telegraficzna bez komentarza, zatytułowana: „Czy nowy Kuba Rozpruwacz skrada się ulicami Jerozolimy?” Podtytuł: „Brutalne morderstwa – twarde orzechy do zgryzienia dla izraelskiej policji. Możliwe motywy polityczne”.

Anonimowy dziennikarz nadał zabójcy imię – Rzeźnik – amerykański zwyczaj, który bardzo krytykował Gene („Zapewnia złoczyńcy uwagę, której łaknie, i wzmacnia go, a jednocześnie przeraża ludzi. Każdy dzień bez aresztowania go wystawia nas na śmieszność”). Aktualne wiadomości na temat zabójstw były skąpe, ale sugestywne, a po nich następowało streszczenie przypadku Szarego Człowieka, zawierające obszernie cytaty ze „źródeł, które mówią pod warunkiem, że nie zostaną zidentyfikowane”. Sugerowano, że obydwaj seryjni mordercy zostaną prawdopodobnie na wolności, ponieważ oficerowie policji izraelskiej nieudolnie prowadzą śledztwo, są źle opłacani i: „Zajmują niską pozycję w społeczeństwie, w którym cenione są osiągnięcia intelektualne i wojskowe, ale poniżana jest służba domowa”. Co ilustruje trwająca od pół roku sytuacja nowych rekrutów, którzy musieli się zwrócić o zasiłek do pomocy społecznej, oraz pikieta żon pod siedzibą Knesetu.

Artykuł w „Herald Tribune” roztrząsał, czy morderstwa są objawem „poważniejszych schorzeń w społeczeństwie izraelskim, zbiorową utratą niewinności, która oznacza koniec starego idealistycznego porządku syjonistycznego”. Cytaty politycznych ekstremistów podawano na równi z opiniami racjonalnych erudyków, co w rezultacie dało dziwną mieszankę statystyki, spekulacji i budzącej mdłości krytyki prasy arabskiej. Wszystko razem podane w ponurym, pełnym namysłu tonie, który sprawiał, że całość wydawała się sensowna.

Ostatni akapit był nasycony nieomal radosnym pesymizmem: „Turystyka zawsze stanowiła ważną część kruchej gospodarki Izraela i w świetle obecnych trudności ekonomicznych izraelski rząd podjął szczególnie wielkie starania, by zaprzeczyć, jakoby ich kraj stanowił niebezpieczne miejsce dla mieszkańców i odwiedzających. Lecz biorąc pod uwagę ostatnie dokonania Szarego Człowieka i Rzeźnika, przewidywania ekspertów co do wzrostu przemocy w stosunku do Arabów i Żydów oraz jednoczesną niezdolność policji izraelskiej do radzenia sobie z brutalnością, owe wysiłki mogą się zakończyć niepowodzeniem”.

Daniel odłożył wycinek i usiadł.

– Kto to napisał?

– Korespondent, *puć* o nazwisku Wilbur. Zastąpił Grabowskiego, tego, który zlekceważył kordon w Bekaa i stracił rękę. Ten nowy zaczął jakieś pół roku temu i większość czasu spędza u Finka, zalewając się do nieprzytomności.

Daniel przypomniał sobie konferencję prasową, w której wziął udział kilka miesięcy temu.

– Ciemny, jakby spuchnięty, o siwych włosach i przekrwionych oczach?

– Tak, przekłety *szikor*.^{*} Tylko tego nam trzeba. – Laufer odsunął papiery i zrobił porządek na środku biurka. – Jego ostatnia historia dotyczyła zbioru fig. Wspaniali arabscy robotnicy zgięci w pół przy pracy.

– Jest zwolennikiem Organizacji Wyzwolenia Palestyny?

^{*} *Szikor* – pijany goj.

– Z tego, co wiem, nie ma żadnych politycznych preferencji. Jest przeciwnikiem pracy, ot co, swoje wiadomości czerpie z drugiej ręki i ubiera to w słowa, żeby brzmiało głęboko. Całe to gówno na temat „anonimowych źródeł”. – Zastępca komendanta usiadł i spojrzał na Daniela. – Tym razem także odgrzebał kupę gówna. Wyciągnął historię sprzed dwóch tygodni i teraz każdy pismak zechce go prześcignąć. Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, niż poczuć jego tyłek pod butem, ale jesteśmy z nim związani: wolna prasa i całe to gadanie. Mamy tu demokrację, prawda? Pokażemy gojom, jacy jesteśmy praworządni.

Laufer wziął wycinek z „Herald Tribune”, spojrzał na niego i przedarł na pół, a potem jeszcze raz na pół.

– Teraz, gdy się przekona, jaki odniósł sukces, będzie eksploatował temat Rzeźnika, dopóki sprawa nie zostanie rozwiązana. I mogę się założyć, że inni wyleżą ze skóry, aby go prześcignąć. Dranie. – Na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmiech. – Rzeźnik. Teraz pański zabójca ma imię.

Pański zabójca. Zupełnie jak jedno z rodziców obwiniające tego drugiego o zachowanie ich nieznośnego dziecka.

– Nie rozumiem, dlaczego mamy się przejmować prasą – powiedział Daniel.

– Chodzi o to, że pański zespół nie dokonał niczego konkretnego. Dajecie im wielki cycek do ssania.

Daniel milczał.

Laufer podniósł głos:

– Wysłałem wam cztery notatki z pytaniami. Na żadną nie otrzymałem odpowiedzi.

– Nie było nic do zakomunikowania.

– Nie obchodzi mnie, czy jest coś do zakomunikowania! Jeżeli wysyłam notatkę służbową, oczekuję odpowiedzi!

– Będę bardziej sumienny w wypełnianiu pańskich żądań.

Zastępca komendanta wstał, oparł się knykciem o blat biurka i naprężył tors jak goryl.

– Dość tych bzdur – zawołał. – Nie życzę sobie protekcyjnego tonu. – Walnął tłustą dłonią w biurko. – A teraz słucham, co nowego?

– Już mówiłem, nic.

– I co robiliście, aby uzyskać tak wspianiały rezultat?

Daniel zreferował mu wszystkie poczynania, przesłuchiwanie przestępców seksualnych, śledzenie i przesłuchiwanie taśm. Po- wiedział, że ślady cięć świadczą o tym, że obydwie kobiety zostały zabite takimi samymi nożami. Wiedział dobrze, że napomknięcie o podobieństwie fizycznym łączącym Fatmę i Juliet będzie policzkiem wymierzonym w pyzată twarz zastępcy komendanta, wypomnieniem, że jego przedwczesne oświadczenie dla prasy stało się w komendzie przedmiotem kpin.

Laufer jednak zdawał się rozkoszować trudną sytuacją, wpytując Daniela o wszystkie drobiazgi, które nie miały znaczenia. Kiedy się wreszcie nasycił, Daniel wyjął z dyplomacji ulotkę i podał ją Laufrowi.

Zastępca komendanta spojrzał na nią, po czym zmiął i wepchnął do kosza na śmieci.

– No i co?

– Nie zostałem powiadomiony o jego obecności.

– Zgadza się.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie dwóch morderstw seksualnych, a w okolicy pojawia się przestępca seksualny...

– On molestuje dzieci, Sharavi, nie jest mordercą.

– Czasami to idzie w parze.

Laufer uniósł brwi.

– Na czym opiera pan to stwierdzenie?

Biurokratyczny ignorant, pomyślał Daniel. I pomyśleć, że dochrapał się stanowiska dzięki

jego osiągnięciom.

– Według danych amerykańskich, sprawozdań FBI... Okazuje się, że kilku seryjnych morderców molestowało również dzieci. Czasami przechodzą na zmianę fazy molestowania i zabójstw. Kiedy indziej popełniają obydwaj rodzaje przestępstw. Jeżeli pan sobie życzy, mogę przedstawić źródła.

Laufer przygryzł wargę. Odchrząknął i powiedział, usiłując odzyskać twarz:

– Twierdzi pan, że większość seryjnych zabójców molestuje dzieci?

– Niektórzy z nich.

– Jaki procent?

– Źródła nie podają.

– Jeśli cytuję pan statystyki, musi pan umieć przytoczyć liczby.

Daniel milczał. Laufer się uśmiechnął. Teraz on był górą.

– Niektórzy mordercy, Sharavi, są także złodziejami. Inni nieostrożnie prowadzą samochody. Zbieżność z pedofilstwem może być całkowicie przypadkowa. Nie można na jej podstawie podejrzewać Malkovsky'ego.

– Co ten facet robi, żeby uzyskać taką protekcję?

– Protekcja nie ma z tym nic wspólnego – warknął Laufer. – Nigdy nie był o nic oskarżony.

– Uciekł przed rozprawą.

– Jest Żydem, Sharavi. Widział pan tę brodę, długą jak u Mojżesza. Przysługuje mu Prawo do Powrotu.

– Tak samo jak Meyer Lansky, którego odesłaliśmy z powrotem do Ameryki.

– Malkovsky to nie Lansky, może mi pan wierzyć. Zresztą nie otrzymaliśmy z Ameryki żądania ekstradycji.

– Na razie – powiedział Daniel. – Co się stanie, gdy je otrzymamy?

Laufer zlekceważył to pytanie.

– Na razie jest dobrze kontrolowany. Jego rebe poręczył za niego.

– Nie wiedziałem, że zatrudniamy rabinów w charakterze opiekunów sądowych.

– Dość tego! Podjęto decyzję, która nie powinna pana interesować.

– Ten człowiek ma poważne kłopoty psychiczne. Wyznał mi, że czuje pociąg erotyczny do własnych córek. Twierdzi, że ich nie molestuje, ale myślę, że kłamie.

– Myśli pan? Nękał go pan, prawda?

– Rozmawiałem z nim.

– Kiedy i gdzie?

– Wczoraj w jego mieszkaniu.

– Co jeszcze pan zrobił?

– Zaleciłem śledzenie.

– Przez kogo?

– Przez Cohena.

– To ten nowy. Jak sobie radzi?

– Dobrze.

– Mówiłem panu, że to dobry dzieciak. W każdym razie niech pan odwoła śledzenie i da chłopakowi inne zadanie.

– Tat nicaw...

– Niech go pan odwoła, Sharavi. Malkovsky jest pod dobrą opieką. Niech się pan zajmie swoją sprawą, a może ją pan rozwiąże.

Daniel czuł, że pali go w trzewiach. Zaciskał szczęki tak mocno, że musiał je świadomie rozluźnić, aby móc odpowiedzieć.

– Jeżeli nie aprobeje pan moich metod działania, niech mnie pan odsunie od tej sprawy.

Laufer spojrział na niego twardym wzrokiem, a potem zaczął klaskać.

– Bardzo dramatycznie, Sharavi. Jestem pod wrażeniem.

Wyjął z kieszeni koszuli jednego angielskiego owala, zapalił i strącił popiół na wycinki z gazet. Brzegi papieru zwęgliły się i zwinęły. Laufer zdusił żar palcem. Przyglądając się czarnym smugom na czubku palca, powiedział:

– Czy i kiedy zostanie pan odsunięty, nie zależy od pana. A na razie niech się pan trzyma z daleka od spraw administracyjnych i skoncentruje na bieżącym zadaniu. Proszę mi powiedzieć, ile razy spotkał się wasz zespół?

– Ile razy?

– Ile razy zebraliście się wszyscy razem, żeby wymienić informacje?

– Dwa.

– To za mało. W tego rodzaju przypadkach komunikacja jest sprawą nadrzędną. Porównywanie, zestawianie, wiązanie jednego z drugim. Mogliście coś przeoczyć, innego Anwara Rashmawiego. – Laufer bawił się popiołem z papierosa, pozwalając, by jego słowa zrobiły wrażenie. – Komunikujcie się między sobą – powtórzył. – A pan niech poszerzy horyzonty. Otworzy nowe kanały śledztwa.

Daniel wziął głęboki oddech i powiedział cicho:

– Na przykład?

– Arabskie dziewczyny krojone jak mięso na kebab. Może arabskie gazety nie mylą się tak bardzo. Pomyślał pan, by porozmawiać z Mosze Kaganem i jego gangiem?

– Mam uznać rabiego Kagana za podejrzanego?

– Rabbi Kagan wyobraża sobie, że jest nowym Kahanem. Według niego Arabowie są podlejszymi istotami, nieczystymi zwierzętami. Chodzi do ich osad i obrzuca wyzwiskami. Nazywa ich psami. On i jego *gwura* chuliganów są bardzo kłopotliwi. Garstka łobuzów. Chcą jednego: pretekstu, by rozwalać ludziom głowy. Chyba logiczne, że któryś z nich uznał zarzycanie nieczystych zwierząt za swoje *micwa*.*

– Nie – odparł Daniel. – Wcale nie jest logiczne. Ale sprawdzaliśmy ich w zeszłym roku, po wyborze Kagana. Nie znaleźliśmy żadnych dowodów gwałtu, oprócz pyskówek i paru niegroźnych utarczek z komunistami.

Ale mówiąc to, przypomniał sobie słowa Ben Davida: „Rasistowska polityka i psychopatia mogą chodzić w parze... Nie wszyscy jesteśmy jagniętami. Dlatego szóste przykazanie ma sens... „

– Czasy się zmieniają – stwierdził Laufer. – To, co było szalone, staje się jeszcze bardziej zwariowane.

– Trzeba wziąć pod uwagę, że jest członkiem Knesetu...

– Jedno miejsce – powiedział Laufer. – Aberracja... W przyszłym roku nie zostanie wybrany. Za kilka lat znów będzie bił czarnuchów w Brooklynie.

Brooklyn, pomyślał Daniel. Gdzie będzie za kilka lat Malkovsky? Nic nie powiedział, ale Laufer przejrzał jego myśli.

– Pan najwyraźniej lubi rozmawiać z rabinami, więc niech pan z nim pogada. Pańska *kipa* powinna nawiązać pomost pomiędzy wami. Słyszałem też, że on lubi Jemeńczyków, stara się ich pozyskać, aby pokazać, że nie jest rasistą. Niech pan do niego wpadnie, przekaże pozdrowienia od całego cholernego wydziału. Jego ostatnia demonstracja kosztowała nas dwa tysiące dolarów amerykańskich. Dodatkowe manewry, barykady, nowe tarcze. Niech mu pan przekaże pozdrowienia i zapyta, czy chuliganie zmienili się w rzeźników.

Laufer spojrział na biurko i zaczął porządkować papiery. Pieczętował je i podpisywał. Daniel stał jeszcze chwilę, wiedząc, że jeżeli wyjdzie oficjalnie nie odprawiony, komendant będzie się złościł.

– Coś jeszcze, tat nicaw?

Laufer spojrział na niego, udając zdumienie jego obecnością.

* *Micwa* – przykazanie, obrządek.

– Nic. Może pan odejść. I zająć się swoimi sprawami.

Wrócił do swego biura, połączył się przez radiostację z Avim Cohenem w Wolf son i kazał mu wracać do komendy. Gdy chłopak pojawił się po dwudziestu minutach, opowiedział mu o decyzji Laufra.

– Pieprzony gryziپیۆرک – wybuchnął młody samal. – Akurat gdy zacząłem wyczuwać zbroczenića. Staje się coraz bardziej nerwowy, ciągle się ogląda. Drapie się w głowę i w krocze, chodzi po podwórku. Dziś rano przejeżdżał koło szkoły, zatrzymał się na chwilę i zaglądał przez bramę. Wiem, że coś knuje, pakad.

– Która to szkoła?

– Publiczna szkoła religijna – Dugma, na *rechow* Ben Zvi.

Szkoła, do której chodzą Mikey i Benny. Daniel wyobraził sobie ogromną sylwetkę Malkovsky'ego na tle ogrodu.

– Jego dzieci tam chodzą?

– Nie. Uczęszczają do Prosnitzer Heder, niedaleko Mea Szearim. Odwiózł je tam i w drodze do domu zatrzymał się przy Dugma.

– Tylko patrzył czy robił coś jeszcze?

– Tylko patrzył, ale mówię panu, że staje się coraz bardziej nerwowy. Wrzeszczy na żonę, coraz później pokazuje się w *jesziwie*. I zawsze jest sam. Nie widziałem go z rebe. Wczoraj wyszedł wcześniej, wrócił do domu i został tam cały dzień, nie poszedł na wieczorny *minjan*, nic. Może jest przeziębiony, czy coś, ale ja bym na to nie liczył. Z tego, co o nim wiemy, można sądzić, że molestuje własne córki. – Avi z niesmakiem pokręcił głową. – Jest na głodzie. To najgorszy okres odwyku.

Przystojna twarz chłopaka jaśniała podnieceniem. Detektywistyczna żyłka, dreszcz przygody. Dzieciak dobrze sobie poradzi, uznał Daniel.

– Cholera – powiedział Avi. – Nie można tego jakoś obejść?

– Nie. Rozkaz był jednoznaczny.

– Jaką on ma protekcję?

– Nie wiem. – W wyobraźni Daniela niedźwiedziowata postać przedarła się przez ogrodzenie. Metalowe oczka siatki otworzyły się pod jej ogromnym ciężarem. Maleńkie ciałka na boisku, bawiące się i podskakujące, nieświadome zbliżającego się potwora. Gdy dzieci zaczęły nabierać rysów twarzy i upodobniać do Laury, pozbył się tej wizji i stwierdził, że zaciska pięści aż do bólu.

– Twoim nowym zadaniem jest towarzyszenie Chińczykowi. Masz robić wszystko, co ci nakaże. – Wielki detektyw kręcił się po Starym Mieście, przeczesując *suk*, stragany i kawiarnie, przemierzając wszystkie ciemne uliczki. Szukając alfonsów i ludzi z marginesu, którzy widzieli Fatmę lub Juliet.

– Do czego mu jestem potrzebny?

– Powie ci, gdy do niego dołączysz – odparł Daniel. Obydwaj wiedzieli, że to typowa odpowiedź biurokraty.

Avi nadał się, lecz szybko się rozchmurzył i uśmiechnął szeroko, błyskając białymi zębami i mrużąc niebieskie oczy.

– To mi wygląda na łatwą pracę, pakad – powiedział.

– Nie licz na to. Jossi ma mnóstwo energii.

– O, tak. Wiem. Prawdziwy *gewer*.^{*} Ale ja nie jestem dziewczyną. Dotrzymam mu kroku.

– Tym lepiej dla ciebie – odrzekł Daniel, dziwiąc się naglej zmianie nastroju i powrotowi arogancji typowej dla synalka z bogatej rodziny. Cohen miewa dobre chwile, ale wciąż trzeba nad nim pracować. – Miłej zabawy.

Zamiast wyjść, Avi podszedł bliżej.

– Chodzi mi o to, że nie będę za bardzo zajęty.

^{*} *Gewer* – mężczyzna, samiec.

- Skarżysz się na przydzielone zadanie?
- Nie, Dani – uśmiechnął się Avi. Po raz pierwszy zwrócił się do Daniela, nazywając go inaczej niż „pakad”. – Wspaniałe zadanie, prawdziwy rarytas. Chcę tylko powiedzieć, Dani, że będę miał mnóstwo energii. Na dodatkową robotę.
- Nie – uciał Daniel. – Zapomnij o tym. To rozkaz z samej góry.
- Rzecz w tym – powiedział Avi, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu – że nie chodzi o zwykłą robotę. Poznałem dziewczynę w Wolfson. Bogatą, raczej ładną. Jej rodzice mieszkają w Południowej Afryce. Studiuje na Uniwersytecie Hebrajskim. Mieszka w pięknym apartamencie. Samiuteńka. Zadziałała chemia. Kto wie, może z tego wyniknie prawdziwa miłość?
- *Mazel tow** – powiedział Daniel. – Zaproś mnie na wesele.
- Prawdziwa miłość – powtórzył Avi. – Nie ma nic złego w tym, że odwiedzę tam swoją słodką przyjaciółkę? Pogram z nią w tenisa, popływam w basenie. Nie ma nic złego w miłosnych wizytach, prawda?
- Nie – odrzekł Daniel z uśmiechem. – Nie ma w tym nic złego.
- Cohen spojrział na zegarek.
- Jeśli pakad pozwoli, pobiegnę już. Mam z nią randkę za kilka minut. Bliny i mrożona herbata, lunch na jej balkonie. – Więcej zębów. – Z balkonu jest świetny widok.
- Nie wątpię.
- Nie ma nic złego we wspólnym lunchu, prawda?
- Zmykaj stąd – powiedział Daniel. – I zadzwoń do Jossiego, kiedy już zjesz swoje bliny. Avi zatarł ręce, zsalutował i już go nie było.
- Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, Daniel połączył się przez radiostację z Chińczykiem. Słyszalność była zła i musieli krzyczeć, by przebić się przez trzaski. Daniel powiedział mu, żeby do niego zatelefonował. Po kilku minutach olbrzym zadzwonił. W tle rozbrzmiewała arabska muzyka, brzęczenie tac i pomruk rozmów.
- Gdzie jesteś, Jossi?
- W Kawiarni z Tysiąca Nocy, niedaleko Bramy Damasceńskiej. Patrzy na mnie wiele oczu. O co chodzi?
- Jak ci idzie?
- Gówniana robota. Nikt nie chce mówić. Są tym znudzeni. Wierzą w to, co przeczytali, w całą tę pisaninę. o syjonistycznym spisku. Słyszałem nawet, że ma się odbyć strajk generalny, aby zaprotestować przeciwko morderstwom. Człowieku, gdybyś ty wiedział, jak teraz na mnie patrzają. To telefon właściciela, odesłałem go, żeby podał kawę. W każdym razie rozmawiałem z ludźmi z patrolu granicznego, mają się na baczności. Możesz powiedzieć w Latam, żeby wysłali więcej tajniaków, na wszelki wypadek.
- Dobry pomysł. Chciałem się z tobą skontaktować, żebyś wiedział, że za kilka godzin zgłosi się do ciebie Cohen. Przydzieliłem go tobie. Staraj się go zająć.
- A co z amatorem dzieci?
- Laufer kazał go zostawić w spokoju.
- Czemu, do cholery?
- Protekcja. Cohen podejrzewa, że facet coś knuje. Widział go, jak przyglądał się dzieciakom ze szkoły.
- Cudownie! – zawołał Chińczyk.
- To szkoła moich dzieci. Będę trzymał rękę na pulsie. Może wstąpię tam i pogadam z nauczycielką. Zabiorę dzieci na lunch. Ostatnio trochę zaniedbałem rodzinę.
- Jasne. Musisz być dobrym tatą. Kiedy mój maluch pójdzie do szkoły, także będę tam wpadał. Co mam robić z Cohenem?

* *Mazel tow* – zwrot oznaczający „powodzenia”, „na szczęście”, którym Żydzi pozdrawiają się przy radosnych okazjach.

– Okazało się, że nieźle potrafi wypytywać ludzi. Pokaż mu, z kim warto pomówić. Oczywiście, jeżeli zechcesz go wysłać na zakupy, to też będzie w porządku.

Nastąpiło dłuższe milczenie, a potem Chińczyk się roześmiał.

– Gdzieś daleko? Na drugi koniec miasta?

– Możesz. Twierdzi, że rozsadza go energia.

Śmiech.

– Ale jeśli jego energia się wyczerpie, nie chcesz, żebym go skarcił. To taki miły dzieciak. Nie można go zmuszać do pracy, gdy jego kruche małe ciało nie daje rady.

– Pod żadnym pozorem. Najnowsza kurenda od władz nakazuje, że mamy szanować naszych oficerów. Traktować ich po ludzku.

– Co znaczy, że gdy któryś kicha lub smarka, mam go nie obciążać pracą, a nawet wysłać do łóżka. Nie chcemy, żeby nasz mały Avi dostał gorączki.

– Boże uchowaj.

– Boże uchowaj – roześmiał się Chińczyk. – Boże uchowaj.

ROZDZIAŁ 36

Kot był wielkim krokiem naprzód ku prawdziwej nauce.

Gdy to się stało, on miał dwanaście lat, był dobrze zaawansowany w fantazjach seksualnych, od dwóch lat energicznie się masturbował, na twarzy pojawił mu się zarost, ale nie miał pryszczy jak inne dzieciaki. Cerę miał zdrową, czystą.

Gdy skończył dwanaście lat, w jego głowie zaczął się rozlegać hałas – czasem zaledwie brzęczenie, niekiedy ryk samochodu wyścigowego. Zastanawiał się, skąd się tam wzięła cała ta maszyneria.

Gdy się brandzlował, hałas cichł, zwłaszcza gdy myśli o seksie łączyły się z dobrymi obrazami: krew, jego eksperymenty z owadami; ona na kolanach Doktora, ich wrzaski i klótnie w trakcie „tego”.

Wyobrażał sobie, że robi to z siedzącą na nim dziewczyną. On ściska jej pośladki, zadaje jej ból, kończy z nią i wszystko porządkuje. Nie z jakąś szczególną dziewczyną, z wieloma dziewczynami. Wyobrażał je sobie, scalając fragmenty różnych dziewczyn. Miał w głowie obrazy zebrane z czasopism i filmów oraz wspomnienia realnych dziewczyn, które widział na ulicy. Dziewczyny wszelkich typów, ale najlepsze były niskie i śniade, jak Sarah. Duże cycki i ładne usta, które doskonale nadawały się do wrzasku.

Teraz Sarah miała duże cycki.

Była w college’u, odwiedziła ich w czasie ostatniej przerwy semestralnej, ale z chłopakiem, jakimś bubkiem o imieniu Robert, który studiował, by zostać prawnikiem, i lubił słuchać samego siebie. Spali w oddzielnych pokojach. Wiedział dlaczego, bo słyszał, jak matka wrzeszczała na Doktora, że nie życzy sobie, by jakaś mała flądra z haczykowatym nosem cudzołożyła w jej domu. Ale czasami w nocy lub wczesnym rankiem Sarah wstawiała i szła do pokoju Roberta.

Wtedy było czego posłuchać.

Gdy odwiedzała ich Sarah, Doktor wychodził z nią co wieczór. Wojna w bibliotece została odłożona na później. Gdy odjeżdżała, klócili się jeszcze bardziej, ale tylko raz na jakiś czas. Doktor rzadko bywał w domu. Dzięki czemu awantury stawały się czymś nadzwyczajnym.

W wieku dwunastu lat nabrał rozumu, mimo że jego oceny wciąż były takie same. Lepiej rozumiał życie, potrafił sobie wytłumaczyć niektóre rzeczy, które dziwiły go, gdy był mały. Na przykład, co robili jego matka i Doktor, gdy po klótni ona siadała mu na kolanach, nadziejąc się na niego, podskakując, wrzeszcząc i wyzywając go od pieprzonych łajdaków.

Wiedział co.

Ale nie wiedział dlaczego.

Awantury w bibliotece wywoływały u niego gigantyczne wzwody. W kieszeni szlafroka nosił chusteczki.

Obydwoje byli pieprzonymi kreaturami. Nienawidził ich, życzył im, by zdechli w trakcie, gdy to robili, i zostawili mu cały dom i wszystkie pieniądze. Kupiłby sobie mnóstwo różności, zwolnił służące i wynajął ładne dziewczyny z ciemnymi włosami, żeby były jego

niewolnicami.

Ona była teraz stale pijana. O każdej porze dnia. Chwiała się na nogach, gdy wstawała z łóżka. Cały pokój cuchnął dżinem i śmierdzącym oddechem. I zrobiła się cała tłusta i nalana. Oczy miała podkrążone. Włosy wyglądały jak sucha słoma. Była naprawdę do niczego.

Doktor niczym się nie przejmował. Przestał udawać. Od czasu do czasu wpadali na siebie rankami. On czekał przy krawężniku na szkolny autobus, a Doktor nadjeżdżał swoim ogromnym samochodem, wpadał do domu po ubrania albo po coś innego. Wysiadał z samochodu, wyglądając na zakłopotanego, mówił „cześć”, patrzył na drzewa albo na krzaki, albo na coś innego, a potem odchodził, nawet się nie wysiłając na bzdurne pytania o szkołę i przyjaciół.

– Cześć, synu.

– Cześć.

Pieprzona kreatura.

I ona także.

Ona stała się kompletnym zerem. Gdy go teraz wołała, nawet nie odpowiadał, po prostu pozwalał jej wrzeszczeć, aż dawała za wygraną. Miał dwanaście lat, zarost i nie chciał wysłuchiwać jej gównianego gadania, wachać śmierdzącego oddechu i oglądać obwisłych cyczków. Była zbyt pijana, żeby po niego pójść. Z trudnością otwierała oczy. Robił, na co miał ochotę. Miał prawdopodobnie więcej swobody niż jakiegokolwiek dziecko na świecie. Więcej niż ktokolwiek.

Z wyjątkiem kota.

Zwykle przebywał w lodowym pałacu, jedząc mięso, pozwalając się głaskać i wylizując małym różowym języczkiem szklanekę po dżinie. Upijał się i zasypiał na wielkim satynowym łożu.

– Śnieżynko. Chodź tu, cukiereczku.

Jedyne stworzenie, o które się troszczyła. Kapała go w szamponie, wyczesywała pchły małym metalowym grzebyczkiem, a potem zgniatała pomiędzy palcami i wrzucała do szklanki z chlorkiem w płynie. Raz poprosiła go, żeby opróżnił szklanekę. Wylał zawartość na podłogę w łazience, zostawił pchły na płytkach; małe czarne piegi. Chętnie zobaczyłby je na jej twarzy.

Po tych zabiegach kot otrzymywał specjalny poczęstunek: sucharki z luksusowego sklepu. Te o smaku ryby miały kształt rybek, wołowe wyglądały jak małe krówki, a z kurczęcia miały kształt kurzej głowy. Łamała je na kawałeczki i dawała kotu, susząc mu futerko, nacierając oliwką i wiążąc różowe kokardki na jego głupiej głowie.

Kocur, ale obciął mu jaja. Teraz nosił różowe kokardki.

Kot eunuch. Tłusty i obrzydliwy. Cały dzień wylegiwał się na łożku, zbyt pijany, by spacerować, i sikający, gdziekolwiek miał ochotę.

Ale jednej nocy kot spacerował.

Niezwykłej nocy – oni kłócili się w bibliotece.

Stał na schodach i słuchał. Nie był pewien, czy potem zaczną to robić. Nie wiedział, czy będzie bił konia do własnych myśli, czy do ich pieprzenia. Ale czekał przygotowany, w szlafroku i z chusteczkami w kieszeniach.

Naprawdę nieźle się lżyli.

– Ty, gudłaju, złamasie.

– Zamknij się, pijana cipo.

Nudy.

Wrzeszczeli jeszcze trochę, a potem coś się stukło.

– Niech cię cholera, Christino, ta popielniczka była od Dunhilla!

– Pieprz się, Charles.

Doktor coś odpowiedział, ale niewyraźnie. Musiał się nachylić, żeby ich słyszeć.

Ona odpyskowała.

Nudy.

Nowe wrzaski, długotrwałe. Potem cisza. Może? Cisza.

Ciężkie oddechy. W porządku!

Po raz pierwszy po długiej przerwie. Poczuł, że ma wzwód, zszedł na palcach po schodach, pragnąc się znaleźć jak najbliżej. Nadepnął na coś miękkiego i śliskiego, usłyszał dźwięk, od którego serce nieomal wyskoczyło mu z piersi. Jakby kogoś duszono. Ale ów dźwięk nie docierał z biblioteki. To było tuż obok, tuż przy nim!

Wstał. Miękką rzecz wciąż wiała się pod jego stopą. Poczuł na kostce ostry ból, coś go drapnęło!

Cofnął się i spojrzał w dół, tak przerażony, że się zsikał w pidżamę.

Kot syczał na niego i wystawiał pazury. Kocie oczy lśniły w ciemności. Kopnął go. Kot wrzasnął jeszcze raz i umknął po schodach, popiskując.

– Co to było, do diabła?

– Nic, Christino, nie przejmuj się tym.

– To... brzmiało jak pisk Śnieżynki... O mój Boże!

– To nic takiego. Dokąd się wybierasz?

– On cierpi! Śnieżynko, złotko!

– Och, nie. Ty chyba nie. Ty...

– Złaż ze mnie!

– Nie mogę zacząć i po prostu...

– Złaż ze mnie łajdaku. Muszę go poszukać!

– Nie do wiary. Raz na rok... a ty... Au, cholera!

Chrząknięcie. Kroki.

– Dobrze, trzymaj się ode mnie z daleka, ty pijana cipo!

Bliższe kroki.

– Śnieżynko!

Nadchodzi. Trzeba zwiewać, ale ciało odmówiło mu posłuszeństwa. O cholera. Przyłapie go. Już po wszystkim. Już nie żyje!

– Śnieżynko! Cukiereczku!

Ruszaj się. O Boże, stopy wreszcie ożyły... uciekać... co tchu...

– Gdzie jesteś, kochanie?

Wyszła z biblioteki, zataczając się w stronę schodów. Wołając kota, więc może nie usłyszała, jak on uciekał dziesięć stóp przed nią, wstrzymując oddech, Boże spraw, by mnie nie usłyszała...

– Kiciu, tu jestem. Chodź do mnie. Kici kici! Chodź do mamusi.

Wpadł do swego pokoju, akurat gdy weszła na szczyt schodów, rzucił się na łóżko i nakrył kołdrą.

– Och, Śnieżynko, kochanie, gdzie jesteś? Nie chowaj się, cukiereczku. Mamusia ma coś dla ciebie!

Był okutany jak mumia i obejmował materac, by nie dygotać.

– Kiciu? Słodyczko?

Zapomniał zamknąć za sobą drzwi! Ona zbliża się do jego pokoju!

– Śnieżynko!

Stała w drzwiach. Czuł jej woń. Bał a Versailles i dzin. Nagle dostał czkawki. Serce waliło mu jak oszalałe. Słyszał huk w uszach, był pewien, że ona też to słyszy.

– Gdzie się chowa mój mały niegrzeczny chłopiec?

Chowa się, nigdy więcej tego nie zrobię, obiecuję, obiecuję.

– Chodź tu, niegrzeczny chłopczyku.

W jej głosie nie ma gniewu. O nie! O Boże!

– Mały kochany zły chłopczyk!

Uratowany. Przemawia nie do niego!

– Kici kici!

Puch, puch, jakby cała krew napływała mu do mózgu, a on się nią udławi i umrze.

Nadal stoi w drzwiach i woła tym pijackim, drżącym głosem śpiewaczki operowej.

– Kiciu, kiciu, Śnieżynko. Jeśli coś cię boli, mamusia ci pomoże!

Ryk w jego głowie stał się głośniejszy niż kiedykolwiek dotąd. Przygryzał wargę, aby nie wyrwał mu się jakiś okrzyk.

– Chodź do mnie! Mamusia ma coś dla ciebie. Twój pyszny, ulubiony tuńczyk!

Głos docierał z daleka, niknął w oddali. Niebezpieczeństwo minęło. Po chwili znów powtarzała: „Śnieżynko! Słodyczko!”, wydając obrzydliwe kliwe odgłosy, po których poznał, że znalazła pieprzonego zwierzaka i że go całuje.

Mało brakowało.

Więcej mu się to nie przydarzy.

Czekał osiemnaście dni. Przez ten czas wszystko sobie dokładnie zaplanował.

Osiemnaście dni, bo tyle czasu minęło, gdy pewnego razu zapomniała zamknąć drzwi do swego pokoju.

Tego popołudnia wrócił do domu ze szkoły, przekąsił coś i poszedł do swego pokoju. Służące były na dole, paplając, opowiadając swoje zagraniczne dowcipy i udając, że pracują.

On także udawał, siedział przy biurku i markował odrabianie lekcji. Drzwi zostawił otwarte na oścież, tak aby mógł słyszeć znaczące odgłosy: rzyganie, spuszczenie wody – znak, że pozbyła się popołudniowego posiłku.

Robiła to coraz częściej. Nie pomagało, robiła się coraz tłuściejsza i pulchniejsza. Potem zawsze wypijała więcej džinu i zasypiała. Spała jak kamień.

Czekał, naprawdę cierpliwie. Czekanie sprawiało mu przyjemność, bo miał czas rozmyślać o tym, co się stanie. Wszystko było zaplanowane, wiedział, że wszystko zależy od niego.

Gdy był pewien, że usnęła, podszedł na palcach do drzwi, rozejrzał się po korytarzu i wyjrzał na dół. Służące wciąż sprzątały, słyszał pracujący odkurzacz i ich gadanie.

Bezpieczny.

Otworzył drzwi do jej pokoju.

Leżała na łożu z baldachimem, rozwalona, z szeroko otwartymi ustami. Wydobywał się z nich dziwny świszczący odgłos. Kot leżał zwinięty obok jej poduszki, równie odrażający. Gdy wszedł, kot otworzył oczy i rzucił mu takie spojrzenie, jakby był panem na włościach, a on włamywaczem.

Odechrząknął, taka próba. Jeżeli ona się zbudzi, zapytają, jak się czuje i czy czegoś nie potrzebuje. Taki sam test przeprowadzał przed wślizgnięciem się do biblioteki, gdzie się zamykał, by bawić nożami, czytać wielką zieloną księgę Schwanna i inne książki oraz przeglądać rzeczy w szafie.

Nic. Odplynęła.

Jeszcze jedno chrząknięcie.

Nic.

Sięgnął do kieszeni, wyjął przekąskę z tuńczykiem i pokazał kotu.

Niebieskie oczy zmrużyły się, a potem otwarły szeroko.

– Zainteresowany, mały kutafonku?

Kot ruszył naprzód, ale szybko zrezygnował.

Leniwy i tłusty, jak ona. Miał wszystko, czego zapragnął, nie byłoby nic dziwnego, gdyby się okazało, że robiła mu dobrze... nie, nie mogła, nie miał jaj. Prawdopodobnie nie miewał wzrodu.

Pomachał sucharkami.

Kot przyglądał się im, potem jemu, potem znów spojrział na sucharek w kształcie ryby, zalazawionymi, chciwymi oczami. Oblizął się i napiął jak do skoku.

Cukiereczku. TUNCZYK!

Nie skoczył. Wiedział, że coś tu nie gra.

Uśmiechnął się do kota, dotknął ustami przekąski.

Polizał, popatrz, co mam. A ty nie masz.

Kot się przybliżył, znieruchomiał.

Włożył sucharki do kieszeni. Kot nastawił uszu.

Chodź tu, chodź. Kici, kici...

Kot ani drgnął, wyczuł zapach, ale nie wiedział, co robić. Tępy głupek.

Cofnął się o krok, jakby mu w ogóle nie zależało. Kot przyglądał mu się.

Wyjął sucharka. Polizał go. Uśmiechnął się szeroko. Jakby nigdy nie jadł nic równie pysznego.

Kot zrobił kilka ostrożnych kroczków, kołyszając łóżkiem.

Liźnięcie.

Mniam, mniam.

Pomachał sucharkiem, włożył między zęby i skierował się do wyjścia.

Kot zeskoczył z łóżka i bezszelestnie wylądował na białym dywanie. Aby to zrobić, stanął na śpiącej, użył jej wielkiego brzucha zamiast trampoliny. Spała tak twardo, że nic nie poczuła.

Szedł ku drzwiom, od niechcenia.

Chodź tu, słodyczko.

Kawałek sucharka odprysł mu do ust; nie był nawet taki zły.

Może ja to zjem, ty mały, porośnięty futrem gnojku.

Kot postępował za nim w pewnej odległości.

On zaś wyszedł z pokoju, uśmiechając się i liżąc sucharka.

Byli teraz na podeście schodów. Zamknął drzwi do lodowego pałacu.

Kot zamiauczał przyjaźnie.

Proś, głuptasie.

Szedł dalej, liżąc sucharek. Niezłe, naprawdę. Jak smażona ryba Kot szedł za nim.

Tutaj, kotku, głupi, pieprzony kotku.

Krok naprzód, kot za nim, krok naprzód, kot za nim.

Rzut oka w dół, by sprawdzić, co robią służące.

Wciąż paplają i odkurzają. Droga wolna.

Do pokoju, liżąc sucharek i wymachując nim zachęcająco.

Kot za nim.

Zamknąć drzwi, przekręcić klucz, złapać włochatego gnojka za kark i mocno nim rzucić o ścianę.

Bum! Kot miauknął i zjechał po ścianie, upadł na łóżko. Był żywy, ale coś sobie złamał. Leżał tam, wyglądając naprawdę śmiesznie.

Otworzył najniższą szufladę biurka, wyjął igłę do podskórnych zastrzyków, którą sobie specjalnie przygotował. Lidokainę z jednej z owych maleńkich buteleczek z gumowymi korkami, które Doktor trzymał w szafie w bibliotece, razem z pudełkami zapasowych igieł, gumowymi rękawiczkami, bandażami i pustą torbą lekarską. Torba Glandstone, taką nosiła nazwę, wydawała fantastyczne westchnienie, gdy się ją otwierało i zamykało. Kilka razy podbierał potrzebne materiały, chował do torby, a wreszcie przyniósł ją do swego pokoju.

Szeroki uśmiech. „Cześć, jestem doktor Terrific. Co panu dolega?”

Wypróbował lidokainę na owadach oraz na myszy, którą znalazł na wpół martwą w pułapce na strychu. Najczęściej od razu zdychały, więc chyba miała silne działanie. Ale z owadami nie było żadnej przyjemności. Takie małe. Samo wbicie igły i już po wszystkim. A

mysz była cała pokiereszowana, prawie nieżywa już, gdy ją znalazł.

Kot to było coś nowego. Krok naprzód. Prawdziwa nauka.

W szkole pieprzył naukę, bo to nie była żadna nauka. Nauczyciel pierdoła, same słowa, żadnej praktyki.

Kot usiłował spełznąć z łóżka, ale nie mógł, po prostu leżał.

Kot był prawdziwy. Prawdziwa nauka. Wszystko zaplanowane. W bibliotece był podręcznik pediatrii, czytał go godzinami, zanim znalazł dawki leku stosowane dla noworodków. Zgodnie z tabelą rozcieńczył lidokainę, dodał jeszcze więcej wody, wymieszał wszystko w szklance, mając nadzieję, że nie zniszczył lidokainy.

Był tylko jeden sposób, by to sprawdzić.

Kot znów starał się zleźć z łóżka. Miał powleczone mgłą oczy i włókł za sobą bezwładne tylne łapy.

Pieprz się, gnojku.

Złapał parszywca, wbił mu igłę w pierś i wstrzyknął lidokainę. Robił to ładnych parę razy, według książki, stosował anestezję.

Kot zaskrzeczał, przez chwilę się wyrywał, a potem zadrzał i sztywny znieruchomiał.

Położył kota na biurku, brzuchem do góry, na gazecie, którą wcześniej przygotował.

Nie rusza się... cholera! To nie fair!

Nie, poczekaj... Taaa, jest jak trzeba, pierś podnosi się i opada. Bydlak wciąż oddycha, słabo, ledwie co widać, ale dycha!

Świetnie!

Wysunął dolną szufladę jeszcze raz i wyjął dwa noże, które wybrał z pudełka w bibliotece: największy skalpel i zakrzywiony bistur. Potrzymał je w dłoni, patrząc, jak kot oddycha, wiedząc, że to prawdziwa nauka, a nie żadne owady czy na wpół żywa mysz.

– Cześć, jestem doktor Terrific. Co panu dolega, panie Kocie, panie Śnieżynko? Panie Chujogłowy, któryś nieomal zrujnował mi życie?

Kot leżał.

Poważna sprawa.

Zobaczył świat na czerwono.

Ryk w głowie stał się głośniejszy.

Wziął głęboki wdech. Jeszcze kilka oddechów, zanim świat przejaśniał.

– Cześć, panie Kocie.

Czas na operację.

ROZDZIAŁ 37

Piątek. Wysiłki Daouda, śledzącego mnicha, były równie produktywne jak oranie betonu.

W ciągu ostatniego tygodnia Roselli pozostawał w murach Saint Saviour. Wyszedł tylko na krótki spacer w srode w nocy, zaraz po dwunastej. Nawet nie spacer. Pięćdziesiąt kroków przed siebie, a potem nagle obrócił się na pięcie, jakby zaniepokojony, i szybko uciekł schronić się w klasztorze. Daoud właśnie zaczął za nim iść, jakieś dziesięć metrów z tyłu, przebrany za franciszkanina z nasuniętym na twarz kapturem. Gdy Roselli zawrócił, Daoud szedł dalej, a gdy się mijali, ukrył głowę w brązowych fałdach habitu i wbił wzrok w ziemię, jakby zagłębiony w kontemplacji.

Gdy Roselli przeszedł ze dwadzieścia kroków, zbliżając się do zakrętu Casa Nova, Daoud odważył się obejrzeć. Zobaczył, jak mnich znika za zakrętem. Wtedy szybko ruszył w stronę klasztoru, cicho stąpając w butach o miękkiej podeszwie. Wyszedł zza zakrętu, akurat na czas, by zobaczyć, jak jego zdobycz znika za wielką bramą. Zatrzymał się, nadsluchując, usłyszał oddalające się kroki i czekał w ciemności jeszcze godzinę, by się upewnić, że Roselli zostanie na noc za murami klasztoru.

Obserwował bramę aż do świtu, chodząc w tę i z powrotem St. Francis Road w dół Aqabat el Khanqa do Via Dolorosa, czytając Biblię arabską, nie spuszczając oka z wieży klasztoru. Zamknął księgę, gdy miasto budziło się pod złotym blaskiem słońca, patrzył na ranne ptaszki wyłaniające się z cienia i, wsunawszy Biblię pod pachę, zaczął się oddalać spieszny krokiem starego człowieka, wmieszawszy się w strumień robotników i ludzi zmierzających na modlitwę, który wyniósł go do Bramy Nowej.

Usłyszał ryk silników, pobekiwanie i gardłowe okrzyki. Sprzedawcy warzyw i owoców zachwalali swój towar; w stronę miasta pędzono stada owiec na targ. Odetchnął przesiąkniętym słodką wonią powietrzem i, wciąż przebrany za mnicha, szedł wśród kłębow pyłu i suchego łąna, aż do oddalonego o dwa kilometry samochodu.

Nocna obserwacja była trochę nudna, ale Daoud lubił samotność, chłód ciemnych i pustych uliczek. Czerpał dziwną przyjemność z kontaktu z szorstkim i ciężkim habitem i wielką, oprawną w skórę Biblią, którą przyniósł z domu. Jadąc samochodem do domu w Betlejem, zastanawiał się, jakby to było, gdyby poświęcił swoje życie Chrystusowi.

Shmeltzer nadal sprawdzał lekarzy. Stwierdził, że są arogancji cenią swój czas, bez mała jak jacyś książęta. W piątek zjadł w Sheratonie śniadanie ze swoją przyjaciółką z Szin Bet, patrząc, jak wcina pszenne naleśniki z cukrem pudrem i syropem klonowym i nagrał na taśmie magnetofonu w jej torebce prośbę o to, by skontaktowała się z Mosadem oraz sprawdziła dom publiczny w Bejrucie, w którym pracowała Juliet Haddad. Po południu przesłuchiwał i porównywał nagrania. Była to drobiazgowo i wymagająca cierpliwości praca, która sprawiała mu przyjemność.

Piątkowy wieczór spędził, podobnie jak pięć poprzednich wieczorów, z Evą Schlesinger, czekając na korytarzu Oddziału Onkologii Hadassah. Potem wziął ją pod rękę, gdy drżąca wyszła z pokoju, w którym jej mąż leżał nieprzytomny, podłączony do monitorów i odżywiany przez rurki.

Shmeltzer oparł się o balustradę i patrzył na ludzi śpieszących po korytarzach, nie zdając sobie sprawy z jego obecności. Pielęgniarki, technicy. Lekarze – nie mógł się od nich uwolnić. A przecież byli nic niewarci. Pamiętał ich reakcje na tętniaka Leah, cholerne wzruszenia ramionami i fałszywe współczucie.

Raz zajrzał do pokoju Schiesingera i zdumiał się, jak bardzo starzec zmarniał w tak krótkim czasie. W ciele miał pełno igieł i rurek, sterczały z niego jak czułki jakiegoś potwora morskiego, gigantycznej meduzy, i spowijały to, co z niego zostało. Aparaty pomiarowe i różne urządzenia popiskiwały, jakby miały coś do powiedzenia. Cała ta technologia miała rzekomo podtrzymywać życie, tak twierdzili ci w białych kitlach, ale według Shmeltzera wysysały życie ze starego palmachaja.

Po wizycie w szpitalu szli niekiedy na kawę lub herbatę, spędzali godzinę, uciekając od przytłaczającej atmosfery cholernego szpitala, rozmawiali o błahostkach, unikając najważniejszego tematu. Ale dziś wieczorem Eva powiedziała, żeby ją zawiózł prosto do domu. W drodze na Francuskie Wzgórze była milcząca i siedziała na miejscu obok Shmeltzera, trzymając się jak najdalej niego. Gdy doszli do jej drzwi, przekręciła klucz w zamku i rzuciła mu gniewne spojrzenie. Nie, to mało powiedziane, spojrzenie pełne nienawiści.

Niewłaściwa pora, niewłaściwe miejsce, pomyślał i nastawił się na coś niemiłego, czując się jak idiota, który wplątał się w sytuację skazaną na niepowodzenie. Ale zamiast wyładowywać na nim swój gniew, Eva spojrzała mu głęboko w oczy, westchnęła, wzięła go za rękę i wciągnęła do mieszkania. Po chwili leżeli obok siebie w jej łóżku. Powiedz to wprost, *szmuku*: w ich łóżku. W łóżku jej i jej męża. Schlesinger nie będzie w nim spał już nigdy więcej, ale Shmeltzer i tak czuł się jak intruz.

Jakiś czas leżeli bez ruchu, nadzy i pocący się na pościeli, trzymając się za ręce i patrząc w sufit. Obydwoje milczeli, bo brakło im słów. Niczym niedobrana para ptaków. On – kościste ptaszysko; ona – cała w piórach, jak wypchana, o ciężkich i płaskich piersiach, udach miękkich i białych niczym ciasto na chałę.

Zaczęła płakać. Shmeltzer czuł, jak w gardle wzbierają mu słowa pociechy, unieruchomione przez zahamowania psychiczne. Uniósł jej dłoń, przyłożył pulchne palce do ust. I nagle zwrócili się ku sobie, zderzając się jak magnesy o przeciwnych biegunach. Oblapiali się i obejmowali, Shmeltzer tulił ją, słuchał jej łkań, ocierał mokre policzki, czując się, i to naprawdę było szaleństwem, młody i silny. Jakby czas był ciastem i jakiś współczujący bóg przywrócił mu solidną porcję.

Chińczyk spędził następną piątkową noc w Bramie Damasceńskiej oraz w jej pobliżu, wypyując ludzi z marginesu lub z nimi żartując. Wszyscy, Arabowie i Żydzi, obiecywali mu, że gdy tylko coś zobaczą lub usłyszą... i tak dalej.

O pierwszej nad ranem seria podawanych z ust do ust informacji doprowadziła go do podrzędnego alfonsa o nazwisku Gadallah ibn Hamdeh, znanego pod przydomkiem Mały Hook. Był to garbus, drobny złodziejaszek i krętacz, który dorabiał stręczycielstwem dziewczyn przy Jericho Road. Chińczyk znał go z widzenia, ale nigdy nie miał z nim do czynienia osobiście i nie był zaznajomiony z jego unikami. Mineła godzina, nim go znalazł w drugiej części Starego Miasta, na skwerze Omar ibn el Khatab, wewnątrz Bramy Jafskiej. Rozmawiał z parą ludzi z plecakami, stojąc na najwyższym stopniu schodów wiodących na David Street, tuż za fasadą Petra Hotel.

Chińczyk zatrzymał się i przez chwilę patrzył na konferujących w ciemności, zastanawiając się, czy nie odbywa się tu handel narkotykami. Ibn Hamdeh kłaniał się i drapał, szeroko gestykulował rękami, jakby malował w powietrzu obraz, wciąż sięgając za plecy, by dotknąć swego garbu. Ludzie z plecakami śledzili jego ruchy i uśmiechali się jak ufni idioci. Z wyjątkiem samotnego zamiataacza ulic, który wkrótce skręcił w Armenian Patriarchate Road, byli na placyku sami. Rynek Aftimos i pozostałe sklepy na ulicy Davida były

zamknięte i pogrążone w ciemności.

Zbyt rzucające się w oczy jak na handel narkotykami, pomyślał Chińczyk. Chodzi o jakiś szwindel.

Para z plecakami wyglądała na jakieś dziewiętnaście, dwadzieścia lat, chłopak i dziewczyna. Wysocy, mocno zbudowani, w szortach, koszulkach i butach turystycznych. Ich nylonowe plecaki miały aluminiowe stelaże. Skandynawowie, uznał, sądząc po nordyckich rysach twarzy i jasnych, kręconych włosach. Górowali nad małym garbusem, który nieustannie paplał w łamanej angielszczyźnie. Kłamiąc jak z nut wysokim piskliwym głosem.

Gdy chłopak wyjął pieniądze, Chińczyk wynurzył się z mroku, uklonił się Skandynawom i zapytał Małego Hooka po arabsku, o co, do cholery, chodzi. Garbus natychmiast jakby się skurczył. Odwrócił plecami do pieniędzy i do detektywa. Chińczyk wyciągnął rękę i schwycił go za łokieć. W oczach chłopaka z plecakiem błysnęła pełna agresywności opiekuńczość. Miał na brodzie brzoskwiniowy zarost i wąskie usta zaciśnięte w wiecznie zagniewanym grymasie.

– To mój przyjaciel, człowieku.

– To oszust – powiedział Chińczyk po angielsku, a gdy chłopak nadal zachowywał się wrogo, pokazał mu odznakę policyjną. Ludzie z plecakami zerknęli na nią, a potem spojrzeli po sobie.

– Powiedz im – rozkazał Chińczyk garbusowi, który krzywił się jak w agonii i dreptał w kółko, nazywając Skandynawów „moimi przyjaciółmi” i przesadnie odgrywając rolę ofiary.

– Posłuchaj, człowieku – powiedział chłopak z plecakiem. – Szukamy noclegu. Ten facet nam pomaga.

– Ten facet to naciągacz. Powiedz im prawdę, Hook.

Ibn Hamdeh zawahał się. Chińczyk ścisnął jego ramię i mały człowieczek zaczął skrzeczeć:

– Jestem naciągaczem. Tak. – Roześmiał się, obnażając górne zębiała pozbawione zębów oraz dolne siekacze w stalowych koronkach. – Jestem miłym facetem, ale naciągaczem. Ha, ha.

– Co wam naopowiadał? – zwrócił się Chińczyk do pary z plecakami. – Że jego siostra ma przytulne mieszkanie z ciepłym łóżkiem, bieżącą wodą i darmowym śniadaniem? Wydadcie mu trochę pieniędzy, a on was tam zaprowadzi?

Dziewczyna skinęła głową.

– On nie ma siostry. A gdyby miał, byłaby złodziejką. Ile chciał za tę przysługę?

Skandynawowie odwrócili wzrok z zakłopotaniem.

– Pięć dolarów amerykańskich – powiedziała dziewczyna.

– Razem czy od każdego z was?

– Od każdego z nas.

Chińczyk pokręcił głową i kopnął ibn Hamdeha w tyłek.

– Ile możecie wydać na pokój? – spytał.

– Nie za wiele – odparł chłopak, spoglądając na trzymane w rękach banknoty i chowając je do kieszeni.

– Spróbujcie w YMCA. Jedna mieści się we wschodniej Jerozolimie, druga w zachodniej.

– Gdzie jest taniej? – spytała dziewczyna.

– Myślę, że w obydwu jednakowo. Ta aa wschodzie jest mniejsza, ale za to bliżej. – Wytłumaczył im, jak dojść.

– Dziękuję – powiedział chłopak i odeszli. Głupie dzieciaki.

– A teraz – mówił Chińczyk, ciągnąc ibn Hamdeha w górę ulicą Davida i popychając go na kratę na drzwiach sklepu z pamiątkami – teraz mi powiedz, czy wiesz, kim jestem. – Obrócił małego drania, sprawdzając, czy nie ma broni. Znalazł tani nóż z rączką udającą masę perłową, który garbus ukrył w bucie. Następnie ustawił go twarzą do siebie i przyjrzał się jego

tlustym włosom, rybim rysom twarzy, garbowi, okrytemu kwiecistą koszulą, wydzielającą woń stęchłego potu.

– Tak, proszę pana... policja.

– Śmiało. Co chciałeś powiedzieć?

Mały Hook zadrżał.

– Skośne Oko, co? – zapytał Chińczyk. Złapał ibn Hamdeha za pasek i unióś kilka cali ponad ziemię. *Szum* ważył mniej niż sztanga Chińczyka. – Wszystko, co o mnie słyście, to prawda.

– Oczywiście, proszę pana.

Chińczyk potrzymał go chwilę w powietrzu, po czym postawił i opowiedział, co usłyszał na ulicy. Spodziewał się oporu i zamierzał go trochę przycisnąć. Ale wypytywanie zdawało się cieszyć małego garbusa. Natychmiast się otworzył. Zaczął szybko opowiadać o mężczyźnie, który wystraszył jedną z jego dziewczyn zeszłego czwartku nocą, przy Jericho Road, tam gdzie skręca na wschód, tuż nad Silwan. Jakiś Amerykanin z oczyma szaleńca, który pojawił się jakby znikąd, pieszo... dziewczyna nie zauważyła żadnego samochodu i uznała, że ukrywał się gdzieś przy drodze.

Osiem dni temu, pomyślał Chińczyk. Dokładnie tydzień po zamordowaniu Juliet.

– Dlaczego tak długo zwlekałeś z doniesieniem, dupku?

Mały garbus zaczął swój pełen uniżenia taniec – szurał nogami i wzruszał ramionami.

– Nie zdawałem sobie sprawy, proszę pana...

– Nieważne. Opowiedz mi, co się wydarzyło.

– Amerykanin zaproponował jej seks i pokazał zwitek dolarów amerykańskich. Ale przestraszyła się jego oczu i odmówiła.

– Zawsze była wybredna?

– Teraz wszystkie się boją. W mieście jest Rzeźnik. – Ibn Hamdeh spojrział na niego z wyrzutem, jakby chciał powiedzieć: wy, policjanci, nie wywiązujecie się ze swojej roboty.

Chińczyk utkwiał w nim ciężkie spojrzenie i *szum* znów stał się uniżony.

– Po czym poznała, że to Amerykanin?

– Nie wiem – odparł Mały Hook. – Tak mi powiedziała.

Chińczyk chwycił go za ramię.

– Wysł pamięć.

– Na proroka! Powiedziała, że to Amerykanin. – Mały Hook mrugnął szelmowsko. – Może miał flagę amerykańską...

– Stul pysk. O jaki rodzaj seksu pytał?

– Po prostu o seks, powiedziała mi tylko tyle.

– Spełniała dziwaczne zachcianki?

– Nie, nie. To dobra dziewczyna.

– Prawdziwa dziewica. Co jej zrobił? Gdy mu odmówiła?

– Nic, proszę pana.

– Nie zmuszał jej? Nie próbował przekonać?

– Po prostu odszedł z uśmiechem.

– W którą stronę poszedł?

– Nie powiedziała.

– Nie patrzyła?

– Może... nie powiedziała mi.

– Jesteś pewien?

– Tak, proszę pana. Gdybym wiedział, na pewno bym panu powiedział.

– Co było nie w porządku z jego oczami?

Mały Hook narysował coś dłońmi w powietrzu, potarł swój garb.

– Powiedziała, że miał bezbarwne oczy. Całkiem bezbarwne. Szalone. I dziwny uśmiech,

bardzo szeroki. Szczerzył zęby. Ale to był uśmiech zabójcy.

– Dlaczego?

Garbus wysunął głowę do przodu i poruszał nią jak indyk dziobiący ziarno.

– Nieszczęśliwy uśmiech. Szalony.

– Tak ci powiedziała?

– Tak.

– Ale nie powiedziała, w którą stronę odszedł?

– Nie, proszę pana, ja...

Chińczyk usiłował wydusić z niego więcej: rysopis, narodowość, ubranie; wypytywał, co szalonego było w jego oczach, co dziwnego w szerokim uśmiechu. Nie wyciągnął nic ponad to, co już słyszał. Nie dziwota. Alfons nie widział tego człowieka, wszystko, co mówił, pochodziło z drugiej ręki, od dziewczyny.

– Gdybym mógł powiedzieć więcej, na pewno bym panu powiedział.

– Jesteś dobrym, uczciwym obywatelem.

– Jak najbardziej, proszę pana. Bardzo chcę współpracować.

Chińczyk spojrział na niego i pomyślał: mały drań sam wygląda na wariata, wymachuje rękami, pociera garb, jakby się masturbował.

– Sam porozmawiam z tą dziewczyną. Gdzie ona jest?

Ibn Hamdeh wzruszył ramionami.

– Uciekła, proszę pana. Może do Ammanu.

– Jak się nazywa?

– Czerwona Amira.

– Imię i nazwisko.

– Amira Nasser. Czerwona, bo ma czerwone usta i czerwone włosy.

Niepodobna do dwóch pierwszych ofiar. Chińczyk poczuł, że jego entuzjazm opada.

– Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

– Tej nocy, gdy zobaczyła Bezbarwne Oczy. Spakowała torbę i już jej nie było.

– W środę?

– Tak, proszę pana.

– A ty pozwoliłeś jej odejść?

– Jestem przyjacielem, nie właścicielem niewolnic.

– Prawdziwy kumpel.

– Tak, proszę pana.

– Gdzie mieszka jej rodzina?

– Nie wiem, proszę pana.

– Powiedziałaś, że uciekła do Ammanu. Dlaczego akurat tam?

– Amman to piękne miasto.

Chińczyk spojrział na niego sceptycznie, zmarszczył czoło i uniósł pięść.

– To prawda, przysięgam na Allacha! Pracowała dwa miesiące, była chętna, cicha. To wszystko, co wiem – powiedział ibn Hamdeh.

Dwa miesiące. Niedługo. To pasowało do tego, co mu powiedziano o ibn Hamdehu. Garbus dorabiał sobie na boku i nie był profesjonalnym alfonsiem. Obiecywał początkującym dziwkom opiekę i dach nad głową w zamian za procent od ich zarobków, ale nie zostawały u niego na długo. Gdy się przekonały, że niewiele mógł im dać, porzuciły dla ostrzejszych rajfurów. Chińczyk maglował go jeszcze przez chwilę. Pokazał fotografie obydwu ofiar i otrzymawszy negatywne odpowiedzi, zanotował rysopis Amiry Nasser. Zastanawiał się, czy wkrótce ujrzy ją pociętą, wypucowaną i owiniętą w białe prześcieradło.

– Mogę już odejść, proszę pana?

– Nie. Gdzie mieszkasz?

Ibn Hamdeh podał mu numer dziury przy alei Aqabat el Mawlawijeh. Chińczyk zapisał i

połączył się z komendą, by to zweryfikować, żądając równoczesnego sprawdzenia Garbusa i Amiry. Ibn Hamdeh czekał nerwowo, aż nadejdą dane, tupiąc nogami i głaszcząc swój garb. Gdy radiostacja nadała odpowiedź, okazało się, że adres był prawdziwy. Rok temu ibn Hamdeh został przymknięty za kradzież, ale wypuszczono go warunkowo. W jego aktach nie było danych o stosowaniu przemocy. I ani słowa o Amirze Nasser.

Chińczyk dał ibn Hamdehowi swoją wizytówkę i powiedział, by do niego zadzwonił, gdyby usłyszał coś więcej o człowieku z bezbarwnymi oczami. Odprowadził do Bramy Jafskiej i kazał spadać.

– Dziękuję, panu. Musimy oczyścić miasto z okropieństw. Teraz życie nie jest dobre.

Garbus zatrzymał się przed bramą, skręcił w ulicę wiodącą w kierunku Dzielnicy Chrześcijańskiej i zniknął w ciemności.

Bezbarwne oczy, myślał Chińczyk, idąc na wschód David Street, a potem skręcając na północ w Souk Khan e-Zweit ku Bramie Damasceńskiej. Uśmiech szaleńca. Ruda dziwka. Prawdopodobnie znów ślepy zaułek.

Przed zamknięciem *suk* został zroszony wodą z polewaczki. Kocie łby wciąż były wilgotne i lśniły w księżycowej poświacie, która docierała pomiędzy łukami. Ulica targowa była pusta, z wyjątkiem ludzi z patrolu granicznego i żołnierzy. Od strony Bramy Damasceńskiej dochodził hałas. Minął kawiarnię, nie patrząc na biesiadników i odganiając ręką dym papierosów, po czym z ulgą wyszedł na chłodne powietrze nocy.

Nad głową miał rozświetloną gwiazdami kopułę nieba, czarnego jak kir. Naprężył mięśnie, wyłamał palce, aż strzeliły stawy i zaczął krążyć wśród namiotów Targu Niewolników. Kupił wodę sodową w jednym, stanął z tyłu i, popijając, patrzył na dziewczynę o wyglądzie Europejki, która niezgrabnie wykonywała taniec brzucha. Bezbarwne oczy, uśmiech szaleńca. Garbus był prawdopodobnie niepoprawnym łgarzem, więc pewnie i teraz zmyślił opowiastkę. A może nie. Może opowiedział to wszystko, bo chciał pogadać.

Jedna rzecz się zgadzała – czas. Tydzień pomiędzy morderstwami. Zabójstwo w czwartkową noc, podrzucenie ciała w piątek rano. Jeżeli Czerwona Amira miała być ofiarą numer trzy, jej ucieczka wyjaśniała przerwę po Juliet. Może ten facet wykonywał jakieś zajęcie, które pozwalało mu wychodzić tylko w czwartki i piątki.

Z drugiej strony, czerwone włosy nie pasowały. Może cała historia to tylko bzdury.

Napił się wody sodowej i planował następne poczynania:

Sprawdzić Czerwoną Amirę – teraz na to jest zbyt późno. Obejrzeć miejsce, gdzie Amerykanin złożył jej propozycję, sprawdzić, czy jest tam jakaś kryjówka, gdzie można się zacząć lub zostawić samochód. To także praca na dzień.

Jeżeli znajdzie coś interesującego, zatelefonuje do Daniego jutro wieczorem. Na razie nie miał nic, co by usprawiedliwiło przeszkadzanie w szabacie.

Tancerka potrząsnęła cynelami i pokręciła tyłkiem. *Pusztakim* powitali to radosnymi gwizdami i okrzykami. Kiepska, ocenił ją Chińczyk, z całą pewnością Europejka, studentka chcąca zarobić kilka szekli. Za grosz pikanterii, zbyt chuda do takiej pracy, kiedy się rusza, widać jej żebra. Wyszedł z namiotu i spostrzegł Charliego Khazaka w zielonej koszuli, która niemal jarzyła się w ciemności. Charlie stał przed swoim przybytkiem rozkoszy i palił papierosa. Gnojek nie zapomniał ich tańca z przydeptywaniem stopy. Zauważywszy Chińczyka, wydmuchnął dym i szybko skrył się w namiocie. Gdy ten zajrzał do środka, już go nie było. Pojawił się po czterdziestu minutach i nadział się na wylaniającego się z mroku Chińczyka, który czyścił sobie zęby patyczkiem do nadziewania szaszłyków i ziewał szeroko jak ogromny żółty kot.

– *Szalom szabat*, Charlie.

– *Szalom szabat*. Pytałem o ciebie, bo chciałem pomóc.

– Jestem wzruszony – odrzekł Chińczyk.

– Mówię poważnie, Lee. Te morderstwa są niedobre dla nas wszystkich. Zła atmosfera.

Ludzie nie wychodzą z domu.

– Jakie to smutne. – Chińczyk odgryził kawałek drewnianka i zaczął je żuć i przelikać.

Charlie przyjrzał mu się.

– Chcesz coś zjeść? Na mój rachunek.

– Nie. Już coś przetrąciłem. Na twój rachunek. – Chińczyk uśmiechnął się, wyjął z kieszeni jeszcze osiem patyczków do szaszłyków i upuścił je na ziemię. Przeciągnął się, znów ziewnął i z chrzęstem wyłamał sobie palce. Nie kot, uznał Charlie. Pieprzony skośnooki tygrys, którego należy trzymać w klatce.

– A więc interes upada – stwierdził detektyw. – Szkoda. Kto wie, może zająłbyś się uczciwą robotą? – Słyszał takie bajeczki i obietniczki od innych alfonsów i handlarzy narkotyków. Odkąd prasa zaczęła rozdmuchiwać sprawę Rzeźnika, ruch na Zielonej Linii zmniejszył się o połowę. W zakamarkach, ślepych uliczkach i pozbawionych nazwy zaułkach dzielnicy mużułmańskiej spadek był jeszcze większy. Wszystkim prostytutkom wpajano do głowy, by odmawiały obcokrajowcom, dziewczyny pracujące przy granicy zniknęły z ulic, przedkładając spędzanie czasu przy ognisku domowym. Stręczyciele musieli wkładać więcej wysiłku, by nakłonić je do roboty, a w zamian otrzymywali mniejsze zyski.

– Wszystko upada – powiedział Charlie, zapalając papierosa. – Powinienem wyjechać do Ameryki. Mam kuzyna w Nowym Jorku. Jeździ rolls-royce'em.

– Zrób to. Dam ci na bilet.

Wielki telewizor włączono na cały regulator. Z głębi namiotu dobiegł pisk opon.

– Co dziś wyświetlasz?

– *Francuski łącznik*.

– Stare – skrzywił się Chińczyk. – Ma chyba... ile? Piętnaście, dwadzieścia lat.

– Klasyka, Lee. Ludzie uwielbiają pościgi samochodowe.

– To dlaczego przyszło tak mało widzów? Twój barman powiedział, że miałeś puścić coś nowego. *Piątek trzynastego*. Pełno noży i krwi.

– Nie czas i nie miejsce – ze smutkiem odparł Charlie.

– Nagły przypływ dobrego smaku? – zapytał Chińczyk z uśmiechem. – Uszy do góry. To minie. Powiedz mi, rabbi Khazak, co wiesz o prostytutce Amirze Nasser.

– Nowa ofiara?

– Odpowiedz na pytanie.

– Brunetka, milutka, duże cycki.

– Myślałem, że jest ruda.

Charlie zastanawiał się przez chwilę.

– Możliwe. Tak, widziałem ją z rudymi włosami, ale to była peruka. Jej naturalne włosy są ciemne.

– Zazwyczaj nosi czarne czy czerwone?

– Na zmianę. Widziałem ją też z jasnymi.

– Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

– Chyba ze trzy tygodnie temu.

– Kto się nią opiekuje?

– Kto chce. To idiotka.

Chińczyk wyczuł, że należy to rozumieć dosłownie.

– Opóźniona?

– Albo prawie. Tego nie widać. Jest ładniutka, bardzo milutka. Ale gdy się z nią porozmawia, widać, że ma pusto pod sufitem.

– Lubi zmyślać?

– Nie znam jej tak dobrze, Lee. Jest związana z Rzeźnikiem?

„Rzeźnik”. Pieprzona prasa.

– Mały Hook mówi, że się nią opiekował.

- Mały Hook opowiada różne bzdury.
- Możliwe, że pracowała dla niego?
- Jasne. Mówiłem już, że to idiotka.
- Skąd pochodzi?
- Nie mam pojęcia.

Chińczyk położył dłoń na ramieniu Charliego.

- Skąd ona jest, Charlie?
- Dobrze, Lee, zbij mnie, śmiało – powiedział Charlie zmęczonym głosem. – Niby dlaczego miałbym coś ukrywać? Chcę, żeby ta sprawa się wyjaśniła, jeszcze bardziej niż ty.

Chińczyk chwycił Charliego za koszulę, roztarł syntetyczny materiał między palcem wskazującym i kciukiem, oczekując, że zaiskrzy.

- Mocno wąpię, dupku.
- Nie chodzi mi o to... – wyjąkał Charlie, ale wielki mężczyzna puścił go i odszedł w kierunku Bramy Damasceńskiej, długim, posuwistym krokiem drapieżcy.
- Co tam takiego interesującego? – krzyknęła dziewczyna.
- Widok – odparł Avi. – Piękny księżyc. – Ale nie zaprosił, by przyszła popatrzeć.

Miał na sobie czerwone obcisłe spodenki i nic więcej. Stał na balkonie i prężył się, wiedząc, że wygląda wspaniale.

- Wracaj, Avraham – powiedziała dziewczyna najbardziej uwodzicielskim tonem. Położyła dłonie na piersiach. – Dzieci czekają.

Avi nie zareagował. Obserwował mieszkanie na parterze domu po przeciwnej stronie podwórza. Malkovsky wrócił trzy godziny temu. Mało prawdopodobne, by wyszedł znowu. Ale coś trzymało Aviego na balkonie i sprawiało, że myślał magicznie, jak dziecko: gdy tylko się odwróce, coś się stanie.

- Av-ra-ham!

Zepsuta smarkula. Dlaczego tak jej spieszo? Już dwa razy zrobił jej dobrze.

Drzwi do mieszkania wciąż były zamknięte. Rodzina skończyła posiłek około dziewiątej, śpiewając szabatowe pieśni niezgranym chórem. Tłusty Sender wyszedł raz o wpół do dziewiątej i rozpiął pas u spodni. Przez chwilę Avi myślał, że zobaczy coś ciekawego, ale okazało się, że wielki świntuch po prostu się obżarł i musiał popuścić pas i odetchnąć świeżym powietrzem. Teraz była jedenasta; pewnie leżał już w łóżku, maltretując żonę albo robiąc coś gorszego. Tej nocy we własnym domu.

Ale i tak przyjemnie było stać na balkonie.

- Avi, jeżeli zaraz nie przyjdiesz, zasnę!

Począł jeszcze chwilę, żeby sobie nie myślała, że może nim pomiatać. Rzucił ostatnie spojrzenie na mieszkanie Malkovsky'ego i wrócił do środka.

- Jestem gotowy, kochanie – powiedział, stając przy łóżku. Wsparł ręce na biodrach i pozwolił się podziwiać.

Dziewczyna nadała się, skrzyżowała ramiona na piersi. Brodawki wezbrały słodką obietnicą.

- Nie wiem, czy ja jestem gotowa.

Avi zdjął spodenki, pokazał jej, co miał do pokazania, i dotknął jej, sięgając pod kołdrę.

- Myślę, że jesteś, najmilsza.
- O tak, Avi.

ROZDZIAŁ 38

W piątek o wpół do jedenastej przed południem Daniel zatelefonował do Beit Gwura. Mimo że osada znajdowała się niedaleko, w połowie drogi między Jerozolimą i Hebronem, połączenie było kiepskie. Stała sprawa, Kagan protestował w Knesecie, twierdząc, że to wynik spisku rządowego. Daniel musiał wykręcać numer dziewięć razy, zanim uzyskał połączenie.

Zgłosił się jeden z pachołków Kagana, mówiąc:

– Gwura. Słabość to śmierć – po hebrajsku z amerykańskim akcentem.

Daniel się przedstawił, a mężczyzna spytał:

– Czego pan chce?

– Muszę porozmawiać z rabbim Kaganem.

– Nie ma go.

– A gdzie jest?

– Wyjechał. Jestem jego zastępcą, nazywam się Bob Arnon. Czego pan chce?

– Porozmawiać z rabbim Kaganem. Gdzie on jest, *adon* Arnon?

– W Haderze. Z wizytą u Mendelsohnów, może pan o nich słyszał? – zapytał sarkastycznym tonem.

Shomo Mendelsohn, zabity w wieku dziewiętnastu lat. Miły, wrażliwy chłopak, który łączył służbę wojskową z trzyletnimi studiami w hebrońskiej *jesziwie*. Pewnego popołudnia, Daniel pamiętał, że był to piątek, chłopcy z *jesziwy* wyszli wcześniej na Erew Szabat. Shlomo kupował pomidory na straganie na hebrońskim *suku*, gdy z tłumu wynurzył się jakiś Arab, wykrzyknął swoje hasło i trzykrotnie uderzył Shlomo w plecy. Chłopak upadł na stertę warzyw, zalał je purpurą i wykrwawił się na śmierć, nie doczekawszy się pomocy od tłoczących się arabskich gapiów.

Wojsko i policja okrążyły dziesiątki podejrzanych, których przesłuchano i wypuszczono, a zabójca pozostał na wolności. Do zabójstwa przyznała się grupa z Bejrutu, ale w komendzie podejrzewano gang łobuziaków działających w okolicy Surif. Podobno uciekli za granicę do Jordanu.

W tym czasie Moshe Kagan kandydował do Knesetu. Sprawa nawinęła mu się w samą porę. Wykorzystał sytuację, pocieszając rodzinę chłopca i zbliżając się do jej członków. Ojciec Shlomo złożył publiczne oświadczenie, nazywając Kagana prawdziwym wybawcą Izraela. Po trzydziestu dniach żałoby Kagan zorganizował pochód rozwścieczonych zwolenników, którzy przedefilowali przez arabską część Hebronu, ramię w ramię z panem Mendelsohnem. Niesiono afisze z wizerunkiem anielskiej twarzy zamordowanego chłopca i wypisanymi sloganami, domagano się polityki twardej pięści wobec „wściekłych psów i Arabów”. Wybijano szyby, wymachiwano pięściami. Dla utrzymania porządku trzeba było wezwać wojsko. W prasie ukazały się zdjęcia żydowskich żołnierzy aresztujących żydowskich demonstrantów. Gdy doszło do wyborów, Kagan zgarnął wystarczającą liczbę głosów, by zasiąść w Knesecie. Jego przeciwnicy mówili, że Shlomo był jego biletem do parlamentu.

– Kiedy ma wrócić? – zapytał Daniel.
– Nie wiem.
– Przed szabatem?
– A jak pan myśli? On jest *szomer szabat* – powiedział Arnon z politowaniem.
– Proszę mnie połączyć z jego domem. Chcę rozmawiać z jego żoną.
– Nie wiem.
– Czego pan nie wie?
– Czy powinienem pozwolić, by jej pan przeszkadzał. Ona gotuje, przygotowuje.
– Panie Arnon, i tak z nią porozmawiam, nawet jeżeli będę musiał do niej przyjechać. Ja także jestem *szomer szabat* i podróż przerwie moje przygotowania do święta.

Cisza na linii. Arnon prychnął, wreszcie powiedział:

– Proszę poczekać. Połączę pana. Jeśli wasz rząd nie pozrywał linii.

Daniel czekał kilka minut, zaczął się zastanawiać, czy połączenie nie zostało przerwane, kiedy do telefonu podeszła żona Kagana.. Widywał ją na zebraniach przedwyborczych: wysoka, przystojna kobieta, wyższa od męża, z dużymi czarnymi oczami i bladą cerą bez śladu makijażu. Ale nigdy z nią nie rozmawiał i zdziwiło go brzmienie jej głosu, miękkie i dziewczęce, bez echa wrogości.

– Przepraszam, inspektorze – powiedziała. – Mój mąż jest poza miastem i spodziewam się go tuż przed szabatem.

– Chciałbym z nim porozmawiać zaraz po szabacie.

– W sobotę wieczorem mamy *Melawe malka*,* ku czci pary nowożeńców. Czy sobota rano odpowiadałaby panu?

– Tak. Powiedzmy o dziewiątej. W państwa domu.

– Dziękuję, inspektorze. Zanotuję to sobie.

– Dziękuję, *rebecyn* Kagan. *Szalom szabat*.

– *Szalom szabat*.

Daniel odłożył słuchawkę, myśląc: Cóż za uprzejma kobieta, wypełnił dokumenty i spojrzął na zegarek. Wpół do jedenastej. Był w biurze od piątej czterdzieści pięć, czytał i przeglądał stare dane, posłuszny sugestii Laufra, że musieli coś przeoczyć. I czekał na znalezienie nowego ciała.

Nikt jednak nie dzwonił. Denerwująca beczynność.

Dwa pełne tygodnie, dwa piątkowe ranki, odkąd znaleziono Juliet. I nic. Zaburzenie rytmu.

Daniel stwierdził, że jest zawiedziony. Następne morderstwo dostarczyłoby nowych poszlak, może jakiegoś znaku, który doprowadziłby ich wprost do zabójcy.

Modlisz się o następne morderstwo, Sharavi?

Poczuł niechęć do samego siebie. Odmeldował się i wyszedł z komendy, obiecując sobie, że zapomni o pracy do końca szabatu. Żeby uspokoić duszę i być gotowym do modlitw z jasnym umysłem.

Odwiedził ojca w jego sklepie, został z nim dłużej niż zwykle, jedząc pite i popijając sok pomarańczowy, podziwiając nowe klejnoty. Gdy zaprosił ojca na sobotni lunch, otrzymał zwykłą odpowiedź:

– Chciałbym synu, ale już jestem zaproszony.

Wzruszenie ramion i grymas; ojciec wciąż był zakłopotany, choć minęło tyle czasu. Daniel uśmiechnął się na myśl o pulchnej i radosnej pani Moscovitz, naprzykrzającej się Yehesqelowi Sharavi swoją zupą, czulentem* i pieczonymi na złoto kurczętami. Trwało to już

* *Melawe malka* (z hebr. „towarzysząc królowej”) – posiłek spożywany w sobotę wieczorem, na pożegnanie odchodzącego szabatu, o którym myśli się jak o królowej.

* Czulent – potrawa szabatowa, którą przetrzymuje się gorącą w piecyku lub na palenisku od poprzedniego dnia i podaje jako główne danie na sobotni obiad.

ponad rok, ojciec skarżył się, ale nic nie robił, by przed nią uciec. Był wdowcem od bardzo dawna i może w obecności mocnej kobiety czuł się bezsilny. A może to ja nie doceniam ich związku, pomyślał Daniel.

Pasierb w wieku trzydziestu siedmiu lat. To by dopiero było.

– W takim razie po lunchu, *abba*. Mamy gości z Ameryki. Interesujących ludzi. Laura i dzieci cieszą się, gdy przyjdiesz.

– Ja także chętnie ich zobaczę. Co myślisz o spince, którą podarowałem Shoshanie?

– Przykro mi, *abba*, ale jej nie widziałem.

Ojciec nie okazał zdziwienia.

– Motyl – powiedział. – Srebrny z malachitowymi oczami. Ujrzałem ją we śnie, dwie noce temu. Wiosna w Galilei, chmary srebrzystych motyli przykrywających słońce. Taka przemawiająca do wyobraźni wizja. Zacząłem pracować wczoraj o świcie i skończyłem po południu, tuż przed przyjściem Laury i dzieci.

– Byli tu wczoraj?

– Tak. Po lekcjach. Laura powiedziała, że robili zakupy w Hamashbir i zdecydowali się wstąpić. To musiało być przeznaczenie – uśmiechnął się. – Bo właśnie wychodziłem ze sklepu z tabliczką czekolady w kieszeni. Szwajcarską z malinowym nadzieniem. Michael i Benjamin pożerali ją jak dzikie lwy. Poczęstowałem Shoshanę, ale ona powiedziała, że słodczyce są dla dzieci, a ona już z tego wyrosła. Więc dałem jej tego motyla. Zieleń malachitu wspinała współgra z tymi cudownymi oczami. Taka piękna dziewczynka.

– Wróciłem do domu, kiedy już spała – powiedział Daniel, myśląc: Ale się od nich oddaliłem. – Jestem pewien, że pokaże mi ją dziś wieczorem.

Ojciec zrozumiał jego zawstydzenie, podszedł do Daniela, pogłaskał go i pocałował w policzek. Muśnięcie bokobrodem wywołało u Daniela falę wspomnień. Poczul się jak mały chłopiec, słaby, ale bezpieczny.

– Jestem zawalony robotą – rzekł.

Ojciec zatrzymał dłoń na jego ramieniu, lekką jak motyl. Yehesqel Sharavi milczał.

– Czuję się tak, jakbym grzązał w czymś... nieczystym. Czymś, na co nie mam wpływu.

– Jesteś najlepszy, Danielu. Nikt nie zrobiłby więcej.

– Nie wiem, *abba*. Naprawdę nie wiem.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Wszystko, co można zrobić, to pracować i się modlić – powiedział w końcu jego ojciec.

– Reszta jest w rękach Boga.

Te słowa wypowiedziane przez kogoś innego zabrzmiałyby patetycznie; frazes zamykający dyskusję. Ale Daniel rozumiał ojca i wiedział, że on naprawdę tak myśli. Zazdrościł staremu człowiekowi jego wiary i zastanawiał się, czy kiedykolwiek osiągnie taki poziom, na którym zaufanie do Wszechmogącego może rozwiązać wszelkie wątpliwości. Czy może mieć nadzieję, że kiedyś osiągnie ten rodzaj religijnej pogody ducha, która odpędza koszmary i uspokaja rytm bicia serca?

Nigdy. Spokój ducha był poza jego zasięgiem. Zbyt wiele widział.

Skinał głowę i powiedział:

– Amen. Panu niech będę dzięki – odgrywając rolę sumiennego syna i pozbawionego wątpliwości wyznawcy. Ojciec musiał się zorientować, że to udawanie, spojrzał na Daniela pytającym wzrokiem, wstał i zaczął się krzątać wokół biżuterii, porządkując, układając, wyglądając aksamit. Daniel pomyślał, że zasmucił ojca.

– Pomogłeś mi, *abba*. Jak zawsze.

Ojciec pokręcił głową.

– Ja kuję srebrne druty, Danielu. Nie znam się na niczym więcej.

– To nieprawda, *abba*...

– Synu – rzekł ojciec stanowczo. Spojrzał na niego i Daniel poczul się jak mały chłopiec.

– Wracaj do domu. Zbliża się szabat. Czas odpoczynku i odnowy. Wszyscy odpoczywają, nawet Bóg.

– Tak, *abba* – powiedział Daniel, ale pomyślał: Czy Zło szanuje boski kalendarz? Czy Zło kiedykolwiek odpoczywa?

Wrócił do domu o wpół do dwunastej, zobaczył minę Laury i wiedział, że albo wyjaśnił sobie to i owo, albo dojdzie do straszliwej awantury. Został z nią w kuchni, nadskakując jej z uśmiechem, nie przejmując się brakiem wzajemności. Laura z wielkim przejęciem brzękała garnkami i nastawiała termometr piekarnika. W końcu zmiękła, pozwoliła, aby pogłaskał ją w szyję i śmiała się, gdy ustawił ją na swoich stopach i zatańczyli w ciasnym, przegrzanym pomieszczeniu.

Wytarła ręce, nałała dla nich obydwójga mrożoną kawę i serdecznie ucałowała zimnymi ustami i językiem. Ale gdy on spróbował ją pocałować, cofnęła się i poprosiła, by usiadł.

– Posłuchaj – powiedziała i usiadła naprzeciw niego. – Wiem, co usiłujesz zrobić. I doceniam to. Ale musimy porozmawiać.

– Myślałem, że rozmawiamy.

– Wiesz, o co mi chodzi, Danielu.

– Byłem bardzo zajęty i nie miałem czasu dla was. To się więcej nie powtórzy.

– Chodzi o coś więcej. W ciągu kilku ostatnich tygodni żyjesz w innym świecie. Czuję się tak, jakbyś wykluczył mnie... nas wszystkich ze swego życia.

– Przepraszam.

Laura pokręciła głową.

– Nie chcę cię zmuszać do przeprosin. Musimy porozmawiać. Usiąść tutaj i powiedzieć, co nam leży na sercu. Co czujemy. – Położyła dłoń na jego ręce, biały len na mahoniu. – Mogę się tylko domyślać, co przeżywasz.

– To paskudna sprawa, nic, czego by warto było słuchać.

– Ale ja chcę słuchać! Jak możemy być sobie bliscy, jeśli ślizgamy się po powierzchni?

– Opowiedz mi o tym, co robisz – powiedział Daniel. – Jak ci idzie malowanie widoku Betlejem?

– Cholera jasna! – Cofnęła dłoń. – Dlaczego jesteś taki uparty?

– Ja także jestem ciekawy, czym żyjesz – rzekł spokojnie. – Ty możesz się ze mną podzielić pięknem: sztuką, sprawami domowymi, opowiadaniem o dzieciach. Ja nie mam nic do podarowania.

– Twoja praca...

– Moja praca to krew i okrucieństwo.

– Zakochałam się w policjancie. Poślubiłam policjanta. Nigdy ci nie przyszło do głowy, że to, co robisz, uważam za piękne? Jesteś stróżem prawa, obrońcą państwa żydowskiego, wszystkich tutejszych matek i dzieci. Nie ma w tym nic paskudnego.

– Też mi obrońca. – Odwrócił wzrok i napił się kawy.

– Daj spokój, Danielu. Przestań się obwiniać za okropieństwa świata.

Chciał spełnić jej życzenie. Zastanawiał się, od czego zacząć i jak sformułować myśli. Ale słowa wirowały mu w głowie jak ubrania w pralce, słyszał przypadkowe dźwięki, których nie potrafił połączyć w sensowną całość.

Musiał tak siedzieć przez długi czas, bo z natury cierpliwa Laura wstała zdruzgotana. Taki sam wyraz widział niedawno na twarzy ojca.

Prawdziwy z siebie zwiastun radości, pakad Sharavi.

– Jeżeli nie możesz tego zrobić teraz, nie szkodzi. Mogę poczekać, Danielu. Ale w końcu będziesz mi musiał opowiedzieć.

– Mogę – powiedział Daniel, chwytając ją za nadgarstek. – I chcę.

– Więc zrób to. Nie ma innego wyjścia.

Nabrał powietrza w płuca i zmusił się, by zacząć.

Kwadrans po dwunastej, zrzuciwszy ciężar z serca, pojechał do Liebermana, by odebrać zakupy. Odańczył balet słownych łamańców z ciekawskim właścicielem sklepu, aby uniknąć dyskusji na temat śledztwa. Następnie wstąpił do kwaciarni na *rechow* Gershon Agron, gdzie kupił bukiet stokrotek, które kazał ozdobić paprotką i bilecikiem, na którym napisał: „Kocham Cię”.

Zmagając się z korkami, dotarł o dwunastej dwadzieścia osiem do szkoły Dugma, akurat na czas, by odebrać chłopców. Zatrzymał samochód przy krawężniku i rozglądał się za Senderem Malkovskym, przypatrując się rodzicom czekającym na dzieci.

Amator dzieci był nieobecny, co nie zdziwiło Daniela. Wypatrując go, dał upust irracjonalnemu niepokojowi, podobnemu do tego, który kaze ludziom zaglądać pod łóżko w poszukiwaniu duchów.

Miał jeszcze dwie minuty, które wykorzystał na zastanawianie się, co mógł knuć Malkovsky. Czy Avi miał go teraz na oku, czy też przemierzał z Chińczykiem ulice Starego Miasta? Raptem zdał sobie sprawę, że znów pochłaniają go sprawy zawodowe, i starał się myśleć o czym innym. O motylach.

Mikey i Benny wyszli poza bramę, spostrzegli go i krzyknęli z radości. Wpadli do samochodu jak dzicy. W drodze po Shoshi nie milkli ani na chwilę, wymyślając sobie nawzajem i opowiadając żarciki. Gdy dojechali pod szkołę, Shoshi akurat z niej wychodziła w towarzystwie koleżanek. Wszystkie wymachiwały dużymi plastikowymi torebkami, które właśnie weszły w modę, podskakując, śmiejąc się i szczebiocząc jak stadko ptaków.

Daniel uznał, że jego córka jest bez wątpienia najładniejsza. Żadna inna nie mogła się z nią równać.

Zatopiona w rozmowie minęła samochód. Daniel zatrąbił i Shoshi spojrzała na niego zawiedziona. Zazwyczaj wracała do domu pieszo. Chciał jej zrobić miłą niespodziankę, ale widać było, że dziewczynka jest zakłopotana, bo traktuje ją jak małe dziecko. Powiedziała coś koleżankom i podbiegła do samochodu. Do bluzki miała przypiętą broszkę z motylem.

– Cześć, *abba*. Cóż to za specjalna okazja?

– Wróciłem wcześniej do domu i pomyślałem, że możemy się gdzieś wybrać.

– Co będziemy robić? – spytał Mikey.

– Jedźmy do zoo – zawołał Benny.

– Pojedziemy do zoo, *abba*? – spytał Mikey. – Fajnie. Fajowo.

Shoshi skarciła ich wzrokiem.

– Możecie się przymknąć? Zoo jest nudne, a poza tym w szabat wcześniej je zamykają.

– Zoo jest fajne – powiedział Mikey. – To ty jesteś nudna.

– Cicho bądźcie – ofuknął ich Daniel. – Za godzinę *ima* będzie potrzebowała naszej pomocy. Możemy wstąpić do parku i pograć w piłkę albo coś w tym rodzaju.

Soshi wyjrzała z samochodu i krzyknęła do koleżanek:

– Poczekajcie! – Ale jej nie usłyszały. – *Abba* – powiedziała, zwracając się do Daniela – nie skończyłam rozmowy. Mogę wysiąść i pójść piechotą?

– Jasne. Miłej zabawy.

– Nie jesteś na mnie zły?

– Ani trochę. Bądź w domu o drugiej.

– Dzięki. – Przesłała mu pocałunek i pobiegła, by dogonić koleżanki.

– Możemy pojechać do zoo? – zapytał Benny, gdy Daniel włączył silnik.

– Po co mam jechać do zoo? Mam dzikie zwierzęta tutaj, w samochodzie.

– Wrrr – zawarczał Mikey, marszcząc twarz i nastawiając pazury. – Wrrr.

– Ja też – zawołał Benny. – Wrrr. – I zaczął drapać powietrze.

Daniel spojrzał na ich odbicie we wstecznym lusterku. Małe lewki, tak nazywał ich jego ojciec. Ale wyglądali raczej na kocięta.

– Wrrr!

– Zupełnie jak dzikie zwierzęta. Zaryzcie jeszcze raz.

ROZDZIAŁ 39

Szabat upływał w świątecznym nastroju. Od chwili, gdy Daniel zbudził się w sobotę rano, otaczała go wiosenna atmosfera.

Poszedł do synagogi na *szacharit* i został po nabożeństwie. Owinięty w tałas, słuchał rabina objaśniającego cotygodniową porcję Tory. Wrócił do domu w południe i natknął się na Gene'a i Luanne, gdy wysiadali z windy. Nieśli kwiaty, dwanaście czerwonych róż, z hotelowej kwiaciarni. Laura wstawiła je do wody i ustawiła wazon obok bukietu stokrotek. Daniel wygłosił *kidusz* nad butelką Hagefen Riesling i wszyscy zaczęli nakładać potrawy na talerze.

Posiłek trwał godzinę. Następnie posprząтали, pozmywali naczynia i wrócili do stołu na deser, rozmowy, kawę i arak. Shoshi odciągnęła Gene'a na partyjkę pokera na rodzynki i wygrała cztery z siedmiu rozdań, zanim czarnoskóry mężczyzna zdrzemnął się na kanapie.

– Och, Gene – rzuciła Luanne i wróciła do opowiadania o ich wycieczce do Negew.

O wpół do trzeciej zawitał ojciec Daniela, ubrany w ciężki czarny strój szabatowy, śnieżnobiałą koszulę i dużą *kipę* haftowaną złotem. Dzieci obskoczyły go, wołając:

– *Saba! Saba!* – Okrywały pocałunkami jego brodę, a stary mężczyzna wciskał im do rączek cukierki. Chłopcy odbiegli, rozwijając otrzymane skarby, a Shoshi schowała swoje do kieszeni.

– *Abba* Yehesquel – zawołała Laura, obejmując swego teścia.

– Leora – powiedział, zwracając się do niej hebrajskim imieniem. – Jak zawsze piękna.

Daniel przedstawił ojca Luanne. Uprzątnął dla niego miejsce u szczytu stołu i przyniósł butelkę i kieliszek. Gdy ojciec Daniela usiadł, Shoshi usadowiła się na jego kolanach.

– Miło pana poznać, panie Sharavi – powiedziała Luanne. – Ten motyl jest przepiękny.

– *Saba* zrobił także kolczyki dla *imy* – oznajmiła Shoshi. Laura założyła włosy za uszy, odstawiając srebrne wisioriki koronkowej roboty. Ku dołowi zwisały z nich maleńkie złote piórka.

– Śliczne.

– Mój *saba* jest najlepszy.

Yehesquel uśmiechnął się, wzruszył ramionami i napił się araku. Laura wyszła z pokoju i wróciła ze skrzynką pełną biżuterii, którą ułożyła na obrusie.

– Wszystkie są dziełami mego teścia.

– Takie delikatne – powiedziała Luanne, oglądając precjoza. Wzięła do ręki filigranową bransoletkę wysadzaną turkusami i podniosła do światła.

– Nauczyłem się kowalstwa w srebrze, gdy byłem małym chłopcem – rzekł starzec po angielsku z silnym akcentem hebrajskim. – A gdy człowiek uczy się czegoś w dzieciństwie, pamięta przez całe życie.

– Mój ojciec jest skromny – dodał Daniel. – To mistrz w swojej sztuce.

– Bezalel był artystą – powiedział ojciec Daniela. – Robił naczynia do świątyni, a Bóg prowadził jego rękę. Ja jestem rzemieślnikiem. Uczę się na błędach. My, Żydzi, zostaliśmy rzemieślnikami, bo nas do tego zmuszono – dodał, zwracając się do Luanne. – W Jemenie

żyliśmy pod władzą muzułmanów, a muzułmanie nienawidzą rzemiosł i oddali je w ręce Żydów.

– Dziwne – powiedziała Luanne.

– Taka jest ich wiara. Nazywali nas *usta*, mistrzowie, ale zepchnęli nas na dno. Wykonywaliśmy siedemdziesiąt rzemiosł: tkactwo, garbarstwo, garncearstwo, koszykarstwo, płatnerstwo. Rzemiosło to dobre zajęcie dla Żyda, bo nie przeszkadza mu w studiowaniu Tory. Zrobisz garnek, a gdy go wypiekasz w piecu, otwierasz książkę i czytasz. Muzułmanie to rozumieją. Oni kochają swój Koran.

– Mówiono mi – powiedziana Luanne – że Żydzi mieszkający w krajach arabskich są traktowani z szacunkiem.

Yehesqel się uśmiechnął. Gdy się odezwał, jego słowa brzmiały jak wyliczanka.

– Na początku Mahomet myślał, że Żydzi przejdą na wiarę muzułmańską. Więc mówił o nas same dobre rzeczy i uczynił Mojżesza wielkim prorokiem islamu. Nawet umieścił części Tory w Koranie – *Israiljat*. Wciąż się tam znajduje. Ale gdy powiedzieliśmy: nie, my chcemy pozostać Żydami, Mahomet bardzo się rozłościł i powiedział, że Żydzi są *cofrim*... Jak to będzie po angielsku, Danielu?

– Niewierni.

– Niewierni. Chrześcijanie to również niewierni. Czasami niewiernych zabijano, czasami wyrzucano z kraju. W Jemenie byliśmy trzymani i ochraniani, jak dzieci. Żyliśmy w małych osadach, w górach. Nawet Sana, obecna stolica, była dawniej tylko dużą wsią. Żyliśmy w biedzie. Wielu Arabów także było biednych, ale my byliśmy biedniejsi, bo nie pozwalano nam posiadać ziemi ani handlować. Zajmowaliśmy się rzemiosłem, bo potrzebowali naszych wyrobów. Każda wioska miała taką *tekes*...

– Ceremonię – powiedział Daniel.

– Najsilniejszy imam we wsi zabijał kozła i odmawiał modlitwę muzułmańską, mówił Allachowi, że Żydzi należą do niego. Płaciliśmy imamowi wysokie podatki, *gezijah*, i wyrabialiśmy to, czego potrzebował. Gdy nasz imam przegrywał z innym, przechodziliśmy na własność zwycięzcy.

Yehesqel wyszeptał błogosławieństwo, zjadł kawałek miodowego ciastka i popił arakiem.

– Nie szanowano nas, pani Brooker. Ale było to lepsze niż śmierć. Żyliśmy tak setki lat, pod władzą sunnitów.* Potem Zajdi Shiia pokonał sunnitów i chciał stworzyć bardzo mocny islam. Wszystkie żydowskie niemowlęta płci męskiej odebrano rodzicom i oddano rodzinom muzułmańskim. Bardzo zły okres, jak niewolnictwo w Egipcie. Usiłowaliśmy ukryć naszych synów, ale ci, których na tym przyłapano, ponosili śmierć. W 1646 roku sędzia Muhammad al Sahuli ustanowił *gezerah ha Meqamsim* – prawo skrobania. Zaszczyt skrobania wszystkich *batej szimusz*, toalet, w Jemenie przypadł Żydom. W 1679 al Mahdi, imam z Jemenu, wygnał nas z Sany. Musieliśmy iść przez pustynię do miejsca zwanego Mauza, bardzo niezdrowego miejsca, *bica*...

– Bagna.

– Bagna pełne wszelkich chorób. Wielu z nas zmarło w czasie drogi, a jeszcze więcej, gdy dotarliśmy do Mauzy.

– Mówi pan my i nas – powiedziała Luanne. – Jakby pan tam był.

Yehesqel się uśmiechnął.

– Byłem tam, pani Brooker. Rabini mówią nam, że wszystkie dusze zostały stworzone w jednym czasie. Dusza żyje wiecznie. To znaczy, że mój duch był w Egipcie, na górze Synaj, w Sanie i w Oświęcimiu. Teraz przybył, by odpoczywać w Euec Israel*, by żyć wcielonym w

* Sunnici – większy z dwóch odłamów islamu, wierny ortodoksyjnej tradycji Sunny (zbiór obyczajów i praktyk islamu oparty na słowach i czynach Mahometa, spisanych na podstawie opowiadań jego towarzyszy), uznający czterech pierwszych kalifów za prawowitych następców Mahometa.

* Erec Israel – Kraj, Ziemia Izraela, kraj przyobiecany przez Boga potomkom Jakuba, czyli Dzieciom Izraela albo Izraelitom.

Żyda. Jeżeli Bóg będzie łaskawy, pozostanę wolny aż do przyjścia Mesjasza. – Odlamał kawałek ciasta i podniósł go do ust.

– *Saba* – powiedziała Shoshi – opowiedz o Mori Yikhya.

Ciasto zawisło w pół drogi.

– Ach, Mori Yikhya.

– Pozwól dziadkowi zjeść – powiedziała Laura.

– Nic nie szkodzi – rzekł stary mężczyzna. Odłożył ciasto i połaskotał Shoshi pod brodą.

– Kto to był Mori Yikya, *motek*? – Wielki *Chacham* w Sanie.

– I?

– Wielki *cadyk*..*

– Doskonale.

– *Chacham* znaczy „mądry człowiek” – wyjaśnił Daniel. – *Cadyk* znaczy „sprawiedliwy człowiek”.

– Jak brzmiało pełne imię i nazwisko Moriego Yikhya, Shoshano?

– Mori Yikhya Al Abyad. Proszę, *saba*, opowiedz nam o znikających Torach i magicznym źródle. Proszę.

Yehesqel skinął głową i zaczął opowiadać:

– Mori Yikhya Al Abyad, wielki cadyk, był jednym z tych, którzy umarli podczas wędrówki do Mauzy. Mieszkał w Sanie i pracował jako *sofer*, pisał *mezuzot* i *tefillin* oraz *sifrei* Tory. Halacha,* żydowskie prawo, mówi, że gdy *sofer* pisze Torę, musi mieć czysty umysł, bez żadnego grzechu. Najważniejsze jest, aby miał czysty umysł, gdy pisze imię Boga. Wielu *sofrim* przed napisaniem imienia Boga chodzi do *mykwy*,* specjalnej łaźni. Mori Yikhya przygotowywał się w inny sposób. W jaki, Shoshano?

– Wskakiwał do piecyka!

– Tak, zanim napisał imię Boga, rzucał się w ogień i tak się oczyszczał. Chroniła go jego *cidkut*, prawość. Dlatego jego *Tory* stały się niezwykle. Na czym polegała ich niezwykłość, Shoshano?

– Jeżeli czytał je zły człowiek, słowa znikaly.

– Doskonale. Jeżeli człowiek o grzesznym sercu chciał przeczytać jedną z Tor Mori Yikhya, strony żółkły, a litery znikaly.

– W Jerozolimie znajdują się zwoje pergaminu, które ludzie uważają za napisane przez Mori Yikhya. Nikt nie śmie ich tknąć. – Uśmiechnął się. – Wkrótce zniknęłyby z nich wszystkie słowa.

– A teraz o zaczarowanym źródle, *saba* – powiedziała Shoshi. Bawiła się lokami brody dziadka, nawijając je sobie na szczupłe palce. – Pro-oszę.

Yehesqel połaskotał ją pod brodę, napił się araku i mówił:

– Gdy Mori Yikhya umarł, stała się straszna rzecz. Leżał na piasku i przestał oddychać w samym sercu pustyni, gdzie nie było ani trochę wody. Wszyscy umierali. Halacha mówi, że ciało należy obmyć przed pochówkiem. Ale tam nie było wody. Żydzi posmutnieli, nie wiedzieliśmy, co robić. Modliliśmy się i odmawialiśmy *tefillim*, ale nie wolno było czekać. Halacha mówi także, że ciało trzeba pochować szybko. I nagle coś się zdarzyło. Coś niezwykłego.

Wskazał na Shoshi.

– Wytrysło zaczarowane źródło! – zawołała.

– Tak. Wśród piasku trysnęło źródło. Stał się wspaniały cud na cześć Mori Yikya. Umyliśmy go, oddaliśmy mu cześć i pochowaliśmy go. A potem napełniliśmy wodą butle i

* Cadyk (hebr. *cadik* – „mąż sprawiedliwy”) – człowiek prawy, wokół którego koncentrują się praktyki religijne.

* Halacha (z hebr. „droga”, „ścieżka”) – prawna spuścizna judaizmu. Nazwa stosowana do prawa zwyczajowego uzupełniającego pisane lub łącznie do praw zwyczajowych i pisanych.

* *Mykwa* (z hebr. „wodozbiór”) – basen z wodą bieżącą, nzbieraną z deszczu lub pochodzącą ze źródła, służący do rytualnego oczyszczania i ablucji.

napiliśmy się. Dzięki Mori Yikhya uratowało się wielu ludzi. A gdy jego duch dotarł do nieba, źródło wyszło.

– Piękna opowieść – zachwyciła się Luanne.

– Jemeńczycy są doskonałymi gawędziarzami – dodała Laura. – Dlatego wyszłam za mąż za Daniela.

– Co opowiadał ci *abba, imal* – spytała Shoshi.

– Że jestem milionerem – powiedział Daniel. – Że nazywam się Rockefeller i posiadam setkę białych koni, i mogę zamieniać kapustę w złoto.

– Och, *abba!*

– Jest taka książka z pięknymi wierszami zwanymi *diwan* – powiedziała Laura. – Zostały ułożone, aby je śpiewać. Mój teść zna je wszystkie na pamięć. Zaśpiewasz dla nas, *abba Yehesqel*?

Stary mężczyzna poklepał się po jabłku Adama.

– Mam suszę w gardle.

– Oto twoje zaczarowane źródło – oznajmił Daniel, nalewając mu araku. Ojciec opróżnił kieliszek, potem jeszcze pół i w końcu dał się namówić na występ.

– Zaśpiewam – powiedział – *diwan* Moriego Salima Shabaziego, największego jemeńskiego cadyka. Najpierw *peullot*.

Akompaniując sobie ruchami ciała, zaczął recytować. Najpierw cicho, potem głośniej, czystym, wysokim tenorem. Wyśpiewywał po hebrajsku, a Daniel po angielsku szeptał Luanne do ucha. *Peullot*, śpiewany do oryginalnej melodii Uczącej ponad czterysta lat, wychwalał nadzwyczajne czyny Wielkiego Nauczyciela Shabaziego, który położył kres wygnaniu w Mauzie, zsyłając nieszczęście na imama z Sany. Grób Moriego Shabaziego w Ta'izz stał się świątynią nawet dla muzułmanów. Mori Shabazi był tak skromny i bogobojny, że ilekroć czciciele chcieli ozdobić grób kwiatami, z kamienia nagrobnego wypływał strumień wapna do bielenia, a w końcu cały monument rozpułnął się w powietrzu.

Gene otworzył oczy i usiadł, zasłuchany. Nawet chłopcy zaprzestali zabawy.

Starzec śpiewał przez bite pół godziny. O tęsknocie za Syjonem. O wiecznym dążeniu Żydów do duchowego i fizycznego odrodzenia. Wreszcie umilkł, przepłukał gardło arakiem i spojrzał na Daniela.

– Chodź, synu. Zaśpiewamy o naszym przodku Morim Shalomie Sharavim, tkaczu. Znasz dobrze ten *diwan*.

Detektyw wstał i ujął dłoń ojca.

O czwartej starszy pan wyszedł na popołudniowe czytanie Tory. Laura wyjęła z biblioteczki książkę.

– To współczesny przekład jemeńskich pieśni kobiecych. Wydany przez Ośrodek Kobiet w Tel Awiwie. Mój teść nigdy by ich nie zaśpiewał. Prawdopodobnie nigdy ich nawet nie widział. W Jemenie istniała segregacja płci. Kobiety nie uczyły się pisać ani czytać. Nie uczyły się języków dla wykształconych ludzi: hebrajskiego ani aramejskiego. Odegrały się na mężczyznach, układając pieśni po arabsku. Prawdziwy feminizm, naprawdę. O miłości, seksie, o tym, jak głupi są mężczyźni, powodowani żądzą i agresją.

– Amen – powiedziała Luanne.

– Robi się niebezpiecznie – rzekł Gene do Daniela. Wstał z kanapy i podciągnął spodnie.

– Moja ulubiona pieśń – mówiła Laura, przewracając kartki – jest o „Męskiej pannie”. Opowiada o dziewczynie, która ubierała się jak mężczyzna i została mocarnym sułtanem. Jest tam kapitalna scena, gdy dziewczyna daje czterdziestu i jednemu rabusiom proszek usypiający, zdejmując z nich ubrania i każdemu z nich wpycha rzodkiew do...

– Więcej nie słucham – zawołał Gene.

– Ani ja – zawtórował mu Daniel.

Zostawili roześmiane kobiety i zabrali dzieci oraz Dayana do Parku Dzwonu Wolności.

Gdy Daniel wyszedł z domu, zmrużył oczy przed słońcem. Poczuł jego ciepło na twarzy. Szedł i wszystko wydawało mu się nienaturalnie jaskrawe: trawa i kwiaty tak barwne, jakby świeżo pomalowane, a powietrze pachniało suszoną na słońcu bielizną. Spojrzał na Gene'a. Twarz czarnoskórego mężczyzny pozostała nieporuszona, więc Daniel domyślił się, że tylko jego percepcja tak wzrosła. Doświadczał nadwrażliwości ślepeca, któremu w cudowny sposób przywrócono wzrok.

– Twój tata, to naprawdę ktoś – powiedział Gene, gdy szli przez pole, które graniczyło z parkiem. – Ile ma lat?

– Siedemdziesiąt jeden.

– Rusza się jak dziecko. Zadziwiający.

– W ogóle jest zadziwiający. Ma piękne serce. Moja matka umarła w czasie porodu. On był dla mnie ojcem i matką.

– Nie masz braci ani siostr?

– Nie. Tak samo jak Laura. Nasze dzieci nie mają żadnych wujów ani ciotek.

Gene spojrzał na chłopców i Shoshanę, biegnących przez wysokie trawy.

– Ale i tak masz liczną rodzinę.

– Tak. – Daniel zawahał się. – Gene, chcę cię przeprosić, że tak mało się wami zajmowałem.

Gene machnął ręką.

– Nie masz za co przepraszać. Na twoim miejscu postępowalbym tak samo.

Weszli do parku pełnego szabatowych spacerowiczów, przeszli pod łukowatymi pergolami, na których kwitły różowe i białe oleandry, minęli piaskownice i plac zabaw, grządki z różami i replikę Dzwonu Niepodległości ofiarowaną przez Żydów z Filadelfii. Dwóch mężczyzn na przechadzce. Dwóch z wielu.

– Co to dziś mamy, Dzień Ojca? – spytał Gene. – Nigdy nie widziałem tylu mężczyzn z dziećmi.

Pytanie zaskoczyło Daniela. Uważał, że szabatowy spacer po parku to coś normalnego. Jedno popołudnie w tygodniu, gdy matki miały wolne, a ojcowie zajmowali się dziećmi.

– W Ameryce jest inaczej?

– Zabieramy dzieci na spacer, ale nie tak masowo jak tutaj.

– W Izraelu mamy sześciodniowy tydzień pracy. Sobota to dzień, który poświęcamy dzieciom. – Szli dalej, a Daniel rozejrzał się, starając się zobaczyć świat oczami Gene'a.

Miał rację. Wszędzie pełno było nastolatków, pary, całe rodziny. Ze Wschodniej Jerozolimy przyszły trzypokoleniowe klany arabskie, piknikujące teraz na trawnikach.

Przeważali jednak paradujący tatusiowie. Duży mocni faceci i blade wymoczki. Siwobrodzi oraz chłopcy wyglądający zbyt młodo, by być ojcami. Ojcowie w czarnych garniturach i kapeluszach z *pejot** i brodami oraz tacy, którzy nigdy nie nosili *kipy*. Kierowcy ciężarówek, właściciele sklepów, żołnierze jedzący fistaszki, palący papierosy i mówiący: „Tak, tak, *motek*” do trzymany za rączkę dzieci.

Jeden jegomość usnął pod dębem. Leżał na plecach, a jego dzieci, cztery dziewczynki, budowały domki z patyczków po lodach. Dwuletni maluch wpadł pod nogi Daniela i Gene'a, biegnąc do mężczyzny ubranego w szorty i podkoszulek i krzyząc: „*Abba! Abba!*”, dopóki mężczyzna nie podniósł go i nie ucałował, uspokajając cmokaniem.

Dwaj detektywi zatrzymali się i usiedli na ławce. Daniel przywiązał smycz Dayana do oparcia i powiedział:

– Siad.

Spaniel nie usłuchał go i Daniel dał za wygraną. Rozejrzał się, szukając Mikeya i Benny'ego, dostrzegł ich po drugiej stronie parku, gdzie wspinali się na metalową strukturę w

* *Pejot* (z hebr. „rogi” lub „boki”) – pejsy, długie pasma włosów noszone przez ultraortodoksyjnych Żydów przed lub za uszami, zgodnie z biblijnym wymogiem: „Nie będziecie strzygli włosów dookoła waszej głowy”.

kształcie statku kosmicznego. Shoshi spotkała przyjaciółkę i szły razem wzdłuż ogrodzenia placu dla wrotkowiczów. Obydwie dziewczynki miały spuszczone głowy i zatopione były w poważnej rozmowie.

Chłopcy dotarli na szczyt statku kosmicznego, zeszli na ziemię i pobiegli w stronę pociągu, znikając za wagonikami.

– Pozwalasz, by znikali z pola widzenia? – zapytał Gene.

– Jasne. Czemu nie?

– W LA nie mógłbyś tak zrobić. Po parku kręci się zbyt wielu dziwaków.

– W naszych parkach jest bezpiecznie – odparł Daniel, starając się zapomnieć o Senderze Malkovskym.

Gene miał taką minę, jakby chciał coś powiedzieć. Coś związanego ze śledztwem. Ale się powstrzymał.

– To dobrze – rzekł tylko z zadowoleniem i wyprostował nogi.

Siedzieli wśród krzyków i śmiechów, ale bezruch i pełne żołądki działały usypiająco.

Gene opuścił ręce wzdłuż boków.

– Bardzo miło – powiedział i zamknął oczy. Wkrótce zaczął miarowo oddychać i rozchylił usta, pochrapując z cicha. Nieborak, pomyślał Daniel. Luanne ciągała go po całym kraju. („Sześćdziesiąt trzy kościoły, Danny Boy” – prowadziła ewidencję).

Siedząc obok śpiącego kolegi, poczuł, że też ogarnia go senność i nie walczył z tym. Czas się odprężyć. Odpocząć i zregenerować. Czas zamknąć oczy policjanta, te wytrenowane w podejrzliwości oczy, wypatrujące wszelkich odchyłeń od normalności, wszelkich dziwactw i usterek, których zwykle oko nie dostrzegało.

Nie detektyw, nie ochroniarz. Po prostu jeden z ojców. Facet w Parku Dzwonu Wolności, na spacerze z dziećmi.

Powieki stały się ciężkie. Pozwolił im opaść. *Szalom szabat*. Prawdziwie spokojny szabat.

Nie zdawał sobie sprawy, że ktoś go obserwuje. Że jest obserwowany od chwili wejścia do parku.

Wielki murzyn i mały murzyński icked. I ten mały niedopiesek, w sam raz na chwilę zabawy.

Pięknie, po prostu pięknie.

Amos i Andy. King Kong i icked-mosiek z czarną twarzą.

Murzyński icked, świetny żart. Ewolucja wsteczna w swoim zenicie, selektywny dobór ze względu na głupotę i słabość.

Bo ten mały dupek był głupi. I dlatego umieścił swoje nazwisko w książce telefonicznej. Robili to wszyscy w tym pieprzonym kraju. Wystarczy wyszukać ważniaka, pójść pod jego dom i strzelić mu w twarz, gdy podejdzie do drzwi wyjściowych.

Chodź i weź mnie. Nagła ofiara. Po prostu dodaj żydowskie geny.

To mu przypomniało o wynalazku, o którym rozmyślał, będąc dzieckiem. Mały Oświęcim, zielona skrzynka na kółkach. Szybkie pozbywanie się niepotrzebnych zwierzątek. I innych *untermensch* utrapień. Oczyszczyć świat. Wyciąć wszystkie w pień.

Spójrzcie tutaj. Rufus i czarnoskóry icked-mosiek, zwisający z ławki jak wyrwane pędy.

Co otrzymasz, krzyżując czarnucha z ickiem? Portiera, który posiada kamienicę? Lichwiarza, który wypruwa flaki samemu sobie?

Wielki haczykowaty nos zmiażdżony na płasko.

Obrzezanie za pomocą piły łańcuchowej.

Mężczyzna poczuł, że w gardle wzbiera mu śmiech, i zmusił się, by go zdławić. Udawał, że odpoczywa, siedząc na trawie z innymi ludźmi, częściowo schowany za gazetą, dzięki peruce i wąsom podobny do innych. Przeszukując park chłodnym okiem, zza ciemnych okularów. Zjedną ręką na gazecie, z drugą w kieszeni, zabawiając się z samym sobą.

Wszystkie te dzieciaki i rodziny. leki i czarnuchy z pustyni. Ach, jak cudownie byłoby

poigrać z nimi wielką piłą łańcuchową. A może z kosiarką do trawników lub zjedną i drugą. Z czymś nieubłaganym, napędzanym benzyną... Nie, o silniku atomowym, z gigantycznymi ostrzami, tak ostrymi jak jego małe pięknotki, ale wielkimi. Wielkimi jak skrzydła helikoptera.

I głośnym, wydającym ryk jak syrena przeciwlotnicza. Budzącym panikę, przesywającym uszy. Ścinającym krew w żyłach.

Przyjść tu z kosiarką o nuklearnym napędzie, przejechać nią po ludzkim trawniku, słuchając wrzasków, skosić wszystko do gołego.

Wrócić do pierwotnej zupy.

Wspaniała zabawa. Rozkoszne ryzyku, ryzyku. Może kiedyś.

Jeszcze nie teraz. Teraz miał inne rzeczy do zrobienia. *Hors d'oeuvres*.

Projekt *Untermensch*.

Ta, która nie pozwoliła mu działać, zaburzyła rytm tygodniowy, naprawdę go wkurzyła.

Głupia czarna dziwka z pustyni, której nie wystarczyły jego pieniądze.

Obserwował ją przez kilka dni, zainteresowała go jej twarz, doskonale pasująca do jego wyimaginowanych obrazów. Nawet gdy zakładała tę lepka czerwoną perukę, wciąż wyglądała jak trzeba. Zdjąłby ją, z całą resztą.

Zdjąłby z niej wszystko.

Wtedy ona podchodzi i pieprzy go.

Nierealne.

Ale to właśnie sobie wyobrażał, odchodząc od swego planu.

Próbował działać nieschematycznie... to nigdy się nie sprawdzało.

Najważniejszy był plan. Przestrzeganie reguł. Utrzymywanie wszystkiego w porządku.

Tamtej nocy wrócił do domu i ukarał siebie za przekroczenie granic.

Posługując się jedną z małych tańczących pięknotek, najmniejszym skalpelem, wykonał serię karnych nacięć na białej napiętej skórze po wewnętrznej stronie ud. Blisko krocza... tylko niech ci nie drgnie ręka, ha, ha, bo inaczej będzie to poważna operacja endokrynologiczna.

Ciach, ciach, tańcz, tańcz, krzyże z zagiętymi końcami. Po jednym na każdym udzie. Z krzyży wyciekła krew; spróbował jej, gorzka i metaliczna, zatruta porażką.

Masz, pokażę ci, paskudny chłopaku.

Głupia czarna dziwka z pustyni.

Opóźnienie, ale nie szkodzi. Termin można przedłużyć pod warunkiem, że święty cel zostanie osiągnięty.

Projekt *Untermensch*. Słyszał śmiechy dzieci. Wszystkie te zewnętrzne dźwięki doprowadzały go do bólu głowy, napełniały jego czaszkę okropnym rykiem. Nakrył twarz gazetą, skupiając się na wyciszeniu hałasu; wyobrażając sobie swoje małe pięknotki śpiące na aksamitnej wyściółce, takie lśniąco i czyste, przedłużenie jego woli, techniczna doskonałość.

Struktura jest najważniejsza. Trzymać krok.

Krok defiladowy.

Tańcz, tańcz.

ROZDZIAŁ 40

Moshe Kagan wydawał się raczej rozbawiony niż obrażony. Usiadł z Danielem w salonie tanio umeblowanego czteropokojowego klockowatego domku o wysokim fundamencie, niczym nie różniącego się od innych domów w osiedlu Gwura.

Jeden kąt pokoju wypełniały pudła z ubraniami. Na ścianie za Kaganem wisiał oprawiony plakat z małymi owalnymi portretami wielkich mędrców. Obok niego akwarela przedstawiająca Zachodni Mur w stanie sprzed 1967 roku. Nie oświetlony słońcem przestronny plac, lecz wąskie miejsce modłów z murem na zapleczu i ocienione przez tandetne domy arabskie. Daniel pamiętał, jak szedł tamtędy, omijając martwe ciała i unikając kul snajperów. Ostatnie szczątki Świątyni wyglądały jak kupa śmieci usypana za murem, a Jordańczycy usiłowali spalić ostatnie świadectwa trwającej trzy tysiąclecia obecności Żydów w Jerozolimie.

Pod akwarelą widniało ręcznie malowane logo partii Gwura przedstawiające niebieską zaciśniętą pięść oraz napis: ZAPOMNIEĆ ZNACZY UMRZEĆ. Na lewo stała oszklona biblioteczka z dwudziestoma tomami Talmudu i Pięcioksiąg *Mikra'ot Gedolot* z rabinicznym komentarzem, *Megila*,* rozprawy kabalistyczne, Kodeks Prawa Żydowskiego. O biblioteczkę oparte były uzi i karabin szturmowy.

Na niebie świeciło wściekle czerwone słońce. Autostrada do Hebronu była pusta i rozgrzana. Zjazd do Beit Gwura odgałęział się siedem kilometrów przed Hebronem. Droga była kręta, o złej nawierzchni i wznosiła się stromo w górę. Wjeżdżając do osiedla, Daniel minął strażnika, a następnie ścigany wrogimi spojrzeniami mieszkańców Gwury, został doprowadzony do drzwi domu Kagana.

Masa mięśniaków, pełno spluw, ale sam lider był zupełnie inny. po pięćdziesiątce, mały, sprawiający wrażenie kruchego i wesolutki, ze zmierzwioną brodą barwy whisky i opadającymi kącikami niebieskich oczu. Policzki miał zapadnięte, włosy przeredzone, a na nich czarną aksamitną *kipe*, która przykrywała większą część głowy. Jego ubranie było proste i nieskazitelnie czyste – biała koszula, czarne spodnie, czarne półbuty – i luźno na nim zwisało, jakby niedawno stracił sporo na wadze. Ale Daniel nigdy nie widział, by był choć trochę grubszy, ani na plakatach, ani podczas spotkań przedwyborczych.

Kagan wziął zielone jabłko z patery na stoliku do kawy, który stał pomiędzy nim a Danielem. Wytarł je dłonią. Podsunął paterę Danielowi, ale ten podziękował. Pobłogosławił owoc i ugryzł. Gdy jadł, na żuchwie pojawiały się ścięgna. Miał podwinięte do łokci rękawy, które odsłaniały cienkie przedramiona, opalone z wierzchu i białe jak brzuch ryby od spodu. Wciąż nosił ślady po porannych *filakteriach*.

– Okropność – powiedział w doskonałej hebrajszczyźnie. – Zarzynane arabskie dziewczyny.

– Jestem wdzięczny, że zechciał pan o tym ze mną porozmawiać, rabbi.

* *Megila* (z hebr. „zwój”) – określenie odnoszące się do pięciu ksiąg hebrajskiej Biblii (Rut, Pieśń nad Pieśniami, Lamentacja, Kohelet, Estery), ponieważ niegdyś czytano je z osobnych zwojów.

Rozbawienie Kagana zmieniło się w otwarty uśmiech. Przed rozmową zjadł pół jabłka.

– Okropność – powtórzył. – Utrata każdego ludzkiego życia to tragedia. Wszyscy jesteśmy stworzeni na podobieństwo boże.

Daniel poczuł się tak, jakby z niego kpieno.

– Słyszałem, że odnosi się pan do Arabów jak do istot niższych.

Kagan tylko machnął ręką.

– Retoryka. Walę z grubej rury, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Rozumiem.

– Oczywiście, jeżeli sprowadzają się do roli zwierząt, postępując jak podludzie, wytykam to bez skrępułów.

Kagan zjadł całe jabłko, po czym skonsumował ogryzek. Gdy został już tylko ogonek, wyjął go z ust i skręcał między palcami.

– Sharavi – powiedział. – Stare jemeńskie nazwisko. Jest pan potomkiem Moriego Shaloma Sharawiego?

– Tak.

– Ani chwili wahania, co? Wierzę panu. Jemeńczycy mają najlepsze *jikhus*, najznamienitsze pochodzenie z nas wszystkich. Wasz *nusakh* modlitwy jest najbliższy oryginału, sposobu, w jaki Żydzi *dawen* przed wygnaniem do Babilonu. Do jakiego *minjanu* pan należy?

– Czasem się modlę przy Kotelu. Kiedy indziej zbieramy *minjan* w moim domu.

– W pańskim domu... ach, tak, wykałaczką w Talbieh. Niech się pan tak nie dziwi, inspektorze. Powiedział pan Amonowi, że jest pan religijny, więc sprawdziłem, czy to prawda, a nie jakiś rządowy fortel. Z tego, czego się zdołałem dowiedzieć, jest pan tym, za kogo się podaje... i pańska *kipa* nie jest na pokaz.

– Dziękuję za słowa uznania – powiedział Daniel.

– Nie musi się pan unosić – mówił dalej jowialnie. – Niech pan ma pretensje do rządu. Cztery miesiące temu usiłovali tu przemyścić agenta. Myślę, że nic pan o tym nie wie. Notabene Jemeńczyk, ciekawy zbieg okoliczności. On także nosił *kipę*, wiedział, co ma mówić, błogosławione to, błogosławione owo. Wzywał imię boskie nadaremno. A to jeden z grzechów głównych, ale rząd nie dba o grzechy.

Kagan wziął z patery następne jabłko. Podrzucił je i złapał.

– Nieważne. Wyczuliśmy go i odesłaliśmy z powrotem. – Cmoknął i pokręcił głową. – Csk, csk. Żydzi szpiegujący Żydów, za to ginęły tysiące? Gdyby pozbawione kręgosłupa stare damy ze sprawującej władzę partii spędzały tyle czasu na ściganie terrorystów, co zajmuje im nękanie dobrych Żydów, mielibyśmy taki Erec Israel, jaki zaplanował dla nas Wszechmogący: jedyne miejsce na ziemi, gdzie Żyd mógłby spacerować po ulicach jak księżę. Nie bojąc się pogromu czy wbitego w plecy noża. – Kagan zamilkł, by zaczerpnąć tchu. Daniel usłyszał, że mężczyzna sapie, widocznie ma astmę. – W każdym razie, inspektorze Sharavi, *minjan* w pańskim budynku jest aszkenazyjski, nie dla pana. Pan powinien podtrzymywać tradycję szlchetnego dziedzictwa jemeńskiego, nie mieszając się z Europejczykami.

Daniel wyjął notatnik.

– Potrzebna mi jest lista członków...

– Jestem pewien, że już ją pan ma. W czterech egzemplarzach. A może nawet więcej.

– Uaktualniona lista, z podaniem miejsc pracy oraz funkcji pełnionych w osiedlu. W przypadku tych, którzy podróżują, ich marszruta.

– Marszruta – roześmiał się Kagan. – Pan żartuje.

– To bardzo poważna sprawa, rabbi. Zacznę ich przesłuchiwać już dzisiaj. Po południu przyjadą inni oficerowie. Zostaniemy tu tak długo, aż przesłuchamy wszystkich.

– Dzieci także? – kpiąco zapytał Kagan.

– Dorosłych.

– Dlaczego mielibyście wykluczać maleństwa, inspektorze? Uczymy ich zarzynania Arabów, gdy tylko zostaną odstawione od piersi. Cudowne. Prastary syjonizm w chwili świetności. – Odłożył jabłko i spojrzał Danielowi w oczy. – W jakich wojnach pan walczył? Wygląda pan na zbyt młodego na udział w walkach 1967 roku. Jom Kippur czy Liban?

– Nie dowiedział się pan tego?

– To nie miało znaczenia. Ale nietrudno będzie ustalić.

– W wojnie 1967. Teatr Jerozolimy.

– Należy pan do uprzywilejowanych.

– A gdzie pan był w 1967, rabbi?

– Patrolowałem ulice Crown Heights, w Brooklynie. Aresztując *szwarces*, żeby nie napadali na żydowskie staruszki i nie kradli im talonów z pomocy społecznej. Nie tak chwalebne zajęcie jak oswobodzenie Jerozolimy, ale zgodne z jego filozofią. A przynajmniej było takie, dopóki Żydzi z Izraela nie stali się tak miękczy i głupi jak Żydzi w Ameryce.

Daniel spojrzał na swój notes.

– Niektórzy członkowie pańskiej partii są notowani. Czy w osadzie pojawili się jacyś nowi ludzie z kryminalną przeszłością?

Kagan się uśmiechnął.

– Ja byłem notowany.

– Za zakłócanie porządku i nielegalne zgromadzenia. Mnie interesuje notowanie za przemoc.

To ubodło Kagana. Zmarszczył brwi, chwycił jabłko i wgryzł się w nie tak gwałtownie, że sok pociekł mu po brodzie. Otarł twarz papierową serwetką i jeszcze raz poczęstował Daniela.

– Naprawdę nie ma pan ochoty na jabłko, inspektorze?

– Nie, dziękuję.

– Grzeczny Izraelczyk? Teraz naprawdę jestem podejrzliwy.

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie, rabbi. Czy ktoś z nowych był notowany lub karany za przemoc?

– Niech mi pan powie, inspektorze, ryzykował pan życie w 1967 roku, po to by Żyd mógł osiągnąć nowy poziom samoobmowy?

– Rabbi – powiedział Daniel – śledztwo i tak postępuje naprzód. Jeżeli zechce pan współpracować, wszystko pójdzie szybciej.

– Współpracować – powtórzył Kagan, przesadnie wymawiając słowo, jakby się uczył nowego języka. – Jak długo prowadzi pan to śledztwo?

– Od początku.

– Od początku – powtórzył Kagan. – Więc, bez wątpienia, w trakcie prowadzenia śledztwa odwiedził pan jeden lub dwa domy arabskie. I bez wątpienia poczęstowano tam pana czymś do jedzenia. Arabska kultura chełpi się swoją gościnnością.

– Rabbi Kagan...

– Chwileczkę. Niech mi pan pozwoli skończyć, inspektorze. – Kagan mówił cicho, lecz dobitnie. – Był pan częstowany jedzeniem przez Arabów. Te ich oryginalne maleńkie naczynka z orzechami, owocami i ziarnami. Może przed podaniem potarli je o mięso z osła. Może na nie napluli. Ale pan się uśmiechał, dziękuję, *sahib*, i zjadł to wszystko, prawda? Pańskie wychowanie kazało panu uszanować ich kulturę. Boże uchwaj, któryś z nich mógłby się poczuć urażony, prawda? A teraz jest pan tutaj, w moim domu, częstuję pana owocem, a pan odmawia. Nie obawia się pan, że mnie obrazi. Kto by się przejmował znieważaniem Żyda? – Kagan patrzył na Daniela, czekając na odpowiedź. Nie doczekawszy się, mówił: – Mamy tutaj śliczną odwieczną syjonistyczną demokrację, prawda, Danielu Sharavi, potomku Moriego Shaloma Sharawiego? Kłaniamy się pokornie tym, którzy nami

pogardzają, ale *kwell*, by obrażać naszych braci. O to pan walczył w 1967 roku, inspektorze? Strzelał pan i zarzynał Arabów, aby ich wyzwolić, żeby mieć przywilej zapewniania im darmowej opieki lekarskiej i talonów opieki społecznej oraz by uczynić z nich naszych małych, brudnych kumpli? Żeby się mogli mnożyć jak szczury i spychać nas do Morza Śródziemnego? A może kierowały panem pobudki materialistyczne? Może chciał pan, żeby pańskie dzieci miały magnetowidy, „Playboya”, haszysz, aborcję, wszystkie te wspaniałe prezenty, które gojowie tak chętnie nam oferują?

– Rabbi – powiedział Daniel. – Tu chodzi o morderstwo, nie o politykę.

– Ach – odparł Kagan z niesmakiem. – Pan nie rozumie, o co chodzi. Oni pana zindoktrynowali, pozbawili pana solidnego jemeńskiego kręgosłupa.

Wstał, założył ręce za plecy i zaczął przemierzać pokój.

– Jestem członkiem Knesetu. Nie muszę godzić się na te brednie.

– Nikt nie umknie sprawiedliwości – powiedział Daniel. – Jeżeli moje śledztwo doprowadzi mnie do samego premiera, udam się do jego domu i będę mu zadawał pytania. Pytał o harmonogram wyjazdów.

Kagan przestał chodzić, zwrócił się ku Danielowi i spojrzał na niego.

– W normalnej sytuacji uznałbym takie przemówienie za stek bzdur, ale to pan rozwikłał tę sprawę z Lippmannem, prawda?

– Tak.

– Jak to się stało, że pańskie dochodzenie doprowadziło pana do mnie?

– Nie powiem tego. Ale jestem pewien, że dostrzeżę pan pewną logikę.

– Jedyne, co widzę, to szukanie politycznego kozła ofiarnego. Zabito kilka Arabek, obwińmy Żydów z jajami.

Daniel otworzył swoją dyplomatkę, wiedząc, że Kagan ma rację. Czuł się jak hipokryta. Wyjął fotografie miejsc, gdzie znaleziono Fatmę i Juliet, i podał je Kaganowi. Lider Gwury wziął je, obejrzał bez mrugnienia powieką i zwrócił Danielowi.

– Więc? – spytał niedbale, ale jego głos zabrzmiał ochryple.

– Jestem przeciwny czemuś takiemu, rabbi.

– To robota Araba. Hebron, 1929. Żaden członek Gwury nie zrobiłby czegoś takiego.

– Proszę mi to pozwolić stwierdzić, a dam panu spokój.

Kagan huśtał się na piętach i targał brodę. Podeszedł do gablotki z orzechowego drewna i wyjął tom Talmudu.

– Dobrze, dobrze – powiedział. – Dlaczego nie? Ta sprawa obróci się przeciwko rządowi. Ludzie nie są głupi. Zrobi pan ze mnie prześladowanego bohatera. – Otworzył książkę, poślinił palec i zaczął przewracać kartki. – A teraz proszę odejść, inspektorze. Muszę nauczać Tory i nie mam czasu na pańskie *nariszkajt*.^{*} – Spojrzał na Daniela rozbawiony. – I kto wie, może gdy spędzi pan trochę czasu z nami, coś na pana spłynie. Zrozumie pan własne błędy i zacznie *dawen* z właściwym *minjanem*.

Członkowie Gwury byli różnorodną grupą. Daniel rozmawiał z nimi w jadalni, prowizorycznym pomieszczeniu z betonową podłogą, krytym brezentem i umeblowanym aluminiowymi stołami i składanymi krzesłami. Z kuchni dochodziły szcękanie naczyń i woń rozgrzanego oleju.

Niemal połowę grupy stanowili Izraelici: młodzi Marokańczycy, Irakijczycy, kilku Jemeńczyków. Dawniej dzieci ulicy, wszyscy mieli nieugięte spojrzenia i cięte języki. Amerykanie byli ortodoksyjnymi typami o nieporządnym brodach i w zbyt dużych *kipach* lub trudnymi do skategoryzowania osobami świeckimi.

Arnon należał do tych ostatnich. Był to mężczyzna w średnim wieku o kręconych siwych włosach, długich gęstych pejsach, ciężkim podbródku i wielkim złamanym nosie. Mieszkał w Izraelu od dwóch lat, był trzykrotnie aresztowany za zakłócanie porządku publicznego i raz

^{*} *Nariszkajt* – brednie, bzdury.

skazany za napad.

Ubrany był w wyblakłe dżinsy, a na koszulce z nadrukiem NEW YORK YANKEES miał skrzyżowane pasy podtrzymujące pistolet. Koszulka była obcisła i odsłaniała grube, włochate ramiona oraz podkreślała wydatny brzuch. Zza pasa wystawała wypolerowana drewniana rękojeść niklowanego rewolweru kaliber. 45, amerykańskiego kolta. Rewolwer umieszczony był w skórzanym futerale, ręcznej roboty, i Daniel pomyślał, że Arnon wygląda jak mały chłopiec bawiący się w amerykańskiego kowboja.

Oprócz kolta zastępca Kagana nosił myśliwski nóż w pochwie z panterki i trzymał w dłoni czarny kij baseballowy, z rękojeścią owiniętą taśmą klejącą, która już dawno nabrała brudnoszarej barwy. Poinformował Daniela, że jest weteranem i chętnie opowiadał o sobie, najpierw po hebrajsku z akcentem amerykańskim, a potem, gdy Daniel odpowiedział mu w tym języku, przeszedł na angielski.

– Widziałem akcję w Korei. Walczyliśmy z twardymi małymi pijawkami... i żadnym Arabów, to pewne. Kiedy wróciłem do Stanów, zajmowałem się tym i owym.

– Co pan przez to rozumie?

– Wyświadczałem ludziom różne przysługi. Ostatnio pracowałem w barze w Nowym Jorku, w Harlemie. Wspaniałe miejsce, słyszał pan o nim? Przepracowałem tam pięć lat i nigdy nie miałem problemu z czarnuchami. – To ostatnie stwierdzenie zostało potwierdzone wyszczerzeniem zębów i klepieniem kija baseballowego.

– Mogę obejrzeć pański nóż?

– Ten? Jasne. Prawdziwy skarb, mam go od piętnastu lat. – Amon wyjął nóż z pochwy i podał go Danielowi, który obrócił go w dłoni i obejrzał szerokie, ciężkie ostrze z wyostrzonym jak brzytwa ząbkowanym brzegiem. Groźna broń, ale z tego, co powiedział mu Levi, nie ta, której szukali. Wprawdzie Szary Człowiek posługiwał się ząbkowanym ostrzem, ale mniejszym i nie tak ostrym...

Oddał nóż Amonowi.

– Ma pan jakieś inne noże, panie Arnon?

– Inne? O tak. Całe pudło noży rybackich, które przywiozłem ze Stanów. Nie miałem okazji ich użyć. Mówią, że Morze Galilejskie to wspaniałe miejsce na łowienie ryb. Czy to prawda?

– Tak. Jakie to noże, panie Arnon?

– Jeden do patroszenia ryb i jeden do skrobania. Szv jarski nóż wojskowy... powinien tam być, tak mi się wydaj. Może jeszcze zapasowy do skrobania. Nóż do ukrycia pod poduszką i antyczny miecz japońskiego samuraja, który kupiłem w Manili. Splywy też pana interesują?

– Na razie nie. Wkrótce przyjadą następni detektywi. Oni zechcą je obejrzeć.

– Jasne – odparł Arnon z uśmiechem. – Ale gdybym to ja był Rzeźnikiem, który kroi arabskie dziwki, nie afiszowałbym się z nożem.

– A co by pan zrobił, panie Arnon?

– Wytarłbym go do czysta, naoliwił i dobrze ukrył. Gdybym nim był. Mówię to tylko hipotetycznie.

– Chciałby mi pan hipotetycznie jeszcze coś powiedzieć?

– Tylko tyle, że szczeka pan pod niewłaściwym drzewem. Gwura nie zawraca sobie głowy pojedynczymi Arabami. To problem socjologiczny: wszyscy muszą stąd odejść.

Kobiety weszły do jadalni, gdy Daniel skończył wypytywać mężczyzn. Charakteryzowała je dziwna mieszanina buty i służalczości. Ze stoickim spokojem i bez cienia uśmiechu odrzuciły sugestię Daniela, by nie zabierały z sobą dzieci.

– Pytania, które będę zadawał, nie są odpowiednie dla uszu dzieci – powiedział jednej z pierwszych. Przyszła z trojgiem maleństw; najstarsza dziewczynka miała pewnie ze cztery lata, najmłodsze popiskiwało w ramionach matki.

– Nie. Chcę, żeby widziały – odrzekła. – Nalegam. – Była młoda, blada, o wąskich

ustach, ubrana w pasiastą lejbę z długimi rękawami, sięgającą poniżej kolan. Włosy okryła białą chustą. Na ramieniu zawiesiła uzi. Małe paluszki niemowlęcia muskały lufę karabinu.

– Dlaczego?

– Chcę im pokazać, jak to jest.

Mówiła jak dziecko. Jak nastolatka walcząca z rodzicami o swoje prawa. Taka młoda, a już ma trójkę dzieci. Oczy miała jasne i czujne. Piersi ciężkie od pokarmu.

– Jak co jest, *gweret* Edelstein?

– Jaki jest świat. No, proszę, niech pan zadaje pytania. – Spojrzała na swoje pociechy, pogłaskała je po włosach. – Słuchajcie uważnie, dzieci. To się nazywa nękanie. To się składa na bycie Żydem.

Do południa przepytał jedną trzecią członków grupy i nikt nie wydał mu się interesujący, oprócz Arnona z jego nożami i wyrokiem za napad. Ale i on sprawiał wrażenie raczej chojraka niż kogoś naprawdę podejrzanego. Starzejący się twardziel, żyjący swymi fantazjami. Okazało się, że napad, za który został skazany, był wynikiem różnicy zdań na spotkaniu przedwyborczym. Lewy sierpowy Arnona wylądował na nosie człowieka niosącego plakat z napisem: TERAZ POKÓJ, a gdy wmieszała się policja, Arnon stawiał jej opór. Pierwsze wykroczenie, żadnej przeszłości kryminalnej. Nie wyglądał na psychopatycznego mordercę, ale nigdy nie można być pewnym. Zlecił śledzenie Kowboja Boba.

O wpół do pierwszej rozległ się dzwon obwieszający lunch i członkowie osady zebrali się w jadalni przy sałatce i smażonej rybie. Zajmowali miejsca automatycznie i Daniel zdał sobie sprawę, że przydzielono je im już wcześniej. Zwolnił swoje krzesło i wyszedł z jadalni. Przy drzwiach spotkał Kagana i jego żonę.

– Poszczyściło się panu, inspektorze? – głośno zapytał lider. – Znalazł pan wśród nas jakichś szalonych zabójców?

Pani Kagan wzdrygnęła się, jakby jej mąż powiedział jakiś nieprzyzwoity żart.

Daniel uśmiechnął się niezobowiązująco i ruszył ścieżką w kierunku budki strażnika. Oddalając się, słyszał, jak Kagan mówi do żony. Coś o starej kulturze, przemianach i wstydzie.

O dwunastej czterdzieści sześć Shmeltzer i Avi Cohen podjechali bmw Cohena do budki strażnika. Laufer zażyczył sobie, by członków Gwury przesłuchiwało czterech ludzi. Daniel usłyszał go częściowo i odwołał Aviego ze Starego Miasta na popołudnie, ale nie była to praca dla Daouda. Nie miał również zamiaru odciągać Chińczyka od jego bieżących zadań.

Zainteresowała go opowieść o Amerykaninie o bezbarwnych oczach, który dziwnie szczerzył zęby. Pomimo braku zaufania do Małego Hooka było to już coś – samotna boja pojawiająca się na bezkresnym oceanie nicości. Dał Chińczykowi do pomocy Daouda. Arab miał z nim pracować aż do zapadnięcia zmroku, kiedy zaczynał śledzenie Rosellego. Chodziło o to, by oni dwaj i Cohen włożyli całą swoją energię w potwierdzenie historyjki Małego Hooka, by znaleźli kogoś jeszcze, kto widział Bezbarwnookiego. Oraz o znalezienie Czerwonej Amiry Nasser. Czarne włosy i fakt, że była ociężała umysłowo, plasowały ją w tej samej lidze co Fatmę i Juliet. Do tej pory udało im się jedynie zebrać wiadomości, jakoby Amira miała rodzinę w Jordanii i tam uciekła. I odnaleźli jej kartę w szpitalu Hadassah, z której wynikało, że przez pół roku leczyła się na syfilis. Żadnej pomocy od opieki społecznej, żadnych danych rządowych, prawdziwa profesjonalistka, żyła z tego, co zarobiła.

Avi zaparkował bmw obok escorta Daniela. Wysiedli obydwaj ze Shmeltzerem i ruszyli ścieżką w górę, wzbijając pył. Daniel przywitał się z nimi, opowiedział o tym, co zdziałał, dał im listę członków Gwury oraz zlecił, by sprawdzili ich broń, zwracając szczególną uwagę na Boba Arnona. Każde ostrze, choćby trochę podobne do opisanych przez Leviego, należy zabrać i opisać.

– Co sprawia, że ten Arnon jest dla nas interesujący? – zapytał Shmeltzer.

– Amerykanin, ma zamiłowanie do zabawy spluwami i nożami, w czerwcu przywalił komuś lewym sierpowym i nienawidzi Arabów.

– Ma bezbarwne oczy? – spytał Shmeltzer z kwaśnym uśmiechem. Znał Małego Hooka z czasów jego kariery kieszonkowca i nie bardzo wierzył w opowiadanie garbusa.

– Przekrwione – powiedział Daniel. – Poza tym nie ma w nich nic szczególnego.

– Pieprzone polityczne gierki. Nasz przyjazd tutaj to kompletna strata czasu.

Avi przytakiwał jak posłuszny syn.

– Zróbcie, co należy – dodał Daniel. – Wyślijcie sprawozdanie Laufrowi i wracajcie do swoich zajęć.

– Laufer znał mego ojca – powiedział Cohen. – Myśli, że jestem jego człowiekiem. A ja uważam, że ma posrane w głowie.

– Co z Malkovskym? – spytał Daniel.

– Nic. Nadal zdenerwowany. Wolałbym go mieć na oku, zamiast zabawiać się w te gówniane gierki popaprańca.

– Spotkałem popaprańca dziś rano – dodał Shmeltzer. – Chciał wiedzieć, cośmy tu zdziałali. Szykuje nowe oświadczenie dla prasy. Powiedziałem, że dopiero zaczęliśmy i jest za wcześnie, by coś powiedzieć, ale z tego, co widać, wszyscy są niewinni jak nowo narodzone jagnięta i, czy szacowny tat nicaw życzy sobie, byśmy kontynuowali kierunek śledztwa. A on na to, co przez to rozumiem. A ja: „Czy mamy sprawdzać wszystkich członków parlamentu i ich ludzi?”

Daniel się roześmiał.

– A co on?

– Jak stary samochód. Zaczął prychać i pokastywać, a potem popędził do ubikacji. Najwyraźniej naładowany pociskami o niewielkim zasięgu.

*

Daniel wrócił do Jerozolimy o wpół do trzeciej, kupił falafel od sprzedawcy ulicznego niedaleko dworca kolejowego i zjadł go w drodze do komendy. Znalazłszy się w biurze, zaczął spisywać rozmowę z Kaganem na urzędowym formularzu, chcąc się z tym jak najszybciej uporać. Następnie zadzwonił do telefonistki i poprosił o połączenie z Chińczykiem. Zanim powiedział, o co mu chodzi, przerwała mu:

– Ktoś właśnie chce się z panem połączyć. Dać go?

– Jasne. – Odczekał minutę trzasków, po czym usłyszał Salmana Afifa, wąsatego Drużę, telefonującego z jeepa patrolu granicznego.

– Jestem tu z kilkoma Beduinami. Tymi, o których rozmawialiśmy pierwszego ranka. Przenieśli się na południe i znaleźli coś, co chyba chciałbyś zobaczyć.

Powiedział Danielowi, co to jest, i podał swoje zamiary, używając współrzędnych wojskowych. Daniel wyjął mapę i znalazł miejsce, trzy i pół kilometra na północ od grzbietu Scopus. Półtora kilometra za obszarem, którego przeczesanie zlecił po znalezieniu ciała Fatmy.

Tak blisko.

– Jak się tam najlepiej dostać?

– Mogę przyjechać do miasta – powiedział Afif – i zawieźć cię oślimi ścieżkami, ale szybciej będzie, gdy pokonasz pierwszy kilometr na piechotę, do miejsca, gdzie zbocze staje się łagodniejsze. Stamtąd jest prosta droga. Jakie masz buty?

– Wytrzymają. Wychodzę. Spotkamy się tam, gdzie powiedziałeś. Dziękuję, że masz otwarte oczy.

– Nic z tych rzeczy – odparł Druza. – Ślepy by zauważył.

Daniel odłożył słuchawkę, odsunął papiery i połączył się z medycyną sądową.

ROZDZIAŁ 41

Zaparkował escorta naprzeciw Amelia Catherine, włożył słomkowy kapelusz o wąskim rondzie, aby osłonić się przed bezlitosnym słońcem Judei, zapiął ciasniej paski sandałów i wysiadł. Dozorca, Zia Hadżab, siedział przy wejściu do szpitala. Zapadnięty w to samo plastikowe krzesło, najwyraźniej drzemiał.

Spojrząwszy na jar, gdzie została znaleziona Fatma, Daniel prędko ruszył ku grzbietowi wzgórza, przekroczył szczyt i zaczął szybko schodzić zakosami, na zgiętych kolanach.

Czuł się zwinny i lekki. Gorąco promieniujące od rozpalonej pustyni wcale mu nie przeszkadzało.

Zbliżało się lato. Od znalezienia Fatmy minęły dwadzieścia trzy dni. Śledztwo wkraczało w nową porę roku. Pora deszczowa była w tym roku krótka, złagodzona gorącymi wiatrami ze wschodu, ale strzępki roślinności wciąż lgnęły do opadającego tarasami zbocza, przecząc nieuniknionemu nadejściu lata. Zapierając się piętami i rozstawiając ramiona dla utrzymania równowagi, na wpół szedł, na wpół skakał po rdzawej terra rossie. Potem czerwona ziemia zaczęła ustępować pasom bladej rędziny, kredowego wapienia, który wyglądał jak plastik, ale może być uprawiany, jeśli się wie, jak się do tego zabrać, aż wreszcie całe podłoże stało się blade, twarde i nieustępliwe: pole skalnego rumoszu o barwie wyschniętych kości. Grunt, który raczej rozpuści się, niż da uprawiać, pustka urozmaicona jedynie ostatnimi wiosennymi chwastami.

Jeep Afifa stanowił plamę barwy khaki na tle kredy, rosnącą, w miarę jak Daniel się do niej przybliżał. Daniel zdjął kapelusz i zaczął nim wymachiwać, zobaczył migające niebieskie światło patrolu granicznego. Gdy znalazł się w odległości czterdziestu metrów od jeepa, silnik zastartował. Daniel podbiegł truchtem, nie zwracając uwagi na żwir pomiędzy palcami, i nagle uzmysłowił sobie, że na żadnym z ciał nie znaleziono piasku.

Afif dodał gazu i jeep zakołysał się na boki. Daniel wszedł, a Druza gwałtownie zawrócił i pomknął naprzód.

Silnik jeepa ryczał, gdy Afif torturował jego przekładnię, manewrując pomiędzy wychodniami wapienia i prac poprzez łożyska wyschniętych strumieni. Druza miał na szyi czerwoną bandanę, jego wielkie wąsy pokrywał jasny pył, a blade oczy schowane były za lustrzankami.

– Co to za Beduini?

– Miejscowi. Już ci mówiłem. Nie związani z żadnym wielkim klanem. Pędzą kozy i owce w kierunku Ramallah, przybyli tu na lato. Obozują na północ od miasta, Daniel przypomniał sobie małe obozowisko na północy, dziewięć lub dziesięć niskich czarnych namiotów utkanych z koziej wełny, pod upalnym słońcem.

– Niedaleko Ramot?

– Tak – odparł Afif. Zmienił bieg i zwolnił, aby wjechać pod górę, zakręcił kierownicą, a następnie przyspieszył.

– Od jak dawna tam wypasają?

– Osiem dni.

– A przedtem?

– Dalej na północy. Prawie przez miesiąc.

Beduini, pomyślał Daniel, trzymając się uchwytów. Prawdziwi, a nie uśmiechnięci, obwieszeni biżuterią biznesmeni, którzy organizują wycieczki z namiotami i przejażdżki na wielbłądach dla turystów w Beerszewie. Najbardziej nieoczekiwani informatorzy.

Beduini cenią sobie wolność i lekceważą mieszczuchów, których uważają za służalczych wyrobników. Wybrali życie w terenie, który ma ich w najwyższej pogardzie, i jak wszystkie stworzenia pustynne, umiejętność przetrwania zmienili w wyrafinowaną sztukę.

Kameleony, pomyślał Daniel. Mówią ci to, co chcesz usłyszeć, pracują po obu stronach każdego ogrodzenia. Glubb Pasha stworzył Legię Arabską, bazując na talencie Beduinów. Bez nich armia Jordanii nie przetrwałaby dwudziestu czterech godzin. A po 1967 roku Beduini wykonali woltę i na ochotnika zgłosili się do wojska izraelskiego, służąc za przewodników. Teraz krążyły pogłoski, że niektórzy z nich pracują dla Organizacji Wyzwolenia Palestyny, jako kurierzy, przewożą granaty w jukach i podrzucają bomby w Gazie. Istne kameleony.

– Czemu do was przyszli? – zapytał Daniel.

– Nie przyszli – odparł Afif. – Patrolowaliśmy teren, zataczając łuk na południowy wschód z Al Jib i ktoś doniósł o podejrzanym ruchu przy drodze do Ramot. Okazało się, że to pracująca do późna ich ekipa budowlana. Miałem lornetkę, zobaczyłem ich i postanowiłem przyjrzeć się im z bliska.

– Miałeś z nimi przedtem jakieś kłopoty?

– Nie. Sprawdzamy ich regularnie. To biedacy. Mają dość kłopotów z utrzymaniem przy życiu kóz w drodze na rynek i nie porywają się na żadne głupstwa. Uderzyło mnie, że wszyscy zgromadzili się w jednym miejscu. Wyglądało to na jakąś naradę, chociaż ich obóz był o dobry kilometr na północ. Podjechałem bliżej i zobaczyłem, że skupili się przy wejściu do pieczary. Gdy usłyszeli, że nadjeżdżamy, zaczęli odchodzić. Ale ich zatrzymałem i sprawdziłem, co jest w środku. Gdy się przekonałem, kazałem im zostać przy pieczarze i wezwałem ciebie.

– Myślisz, że mają z tym coś wspólnego?

Druza skreślił koniuszek wąsa.

– Z Beduinami nigdy nic nie wiadomo. Ale nie. Myślę, że mówili prawdę. W pieczarze nie było żadnych śladów niedawnej bytności. Tylko stare, wyschnięte łajno. Psów lub szakali.

– Ilu Beduinów weszło do pieczary?

– Dzieciak, który to znalazł, jego ojciec i kilku innych. Dojechaliśmy tam niedługo po ich nadejściu. Nie pozwoliliśmy, aby inni wchodzili.

– Będę potrzebował ich odcisków palców i śladów stóp, dla porównania. Specjaliści z medycyny sądowej powinni tu być w przeciągu godziny. Czeka nas dużo pracy.

– Damy sobie radę.

– Świetnie. Ilu masz ludzi?

– Dziesięciu.

– Każ im przeszukać okolicę w promieniu półtora kilometra od pieczary. Niech szukają wszystkiego, co im się wyda niezwykle. Innych pieczar, ubrań, przedmiotów osobistych, odpadków. Znasz procedurę.

– Chcesz, żeby przeczesać teren?

– Do tego potrzebowałbyś posiłków. Myślisz, że warto?

– Minęły tygodnie – odparł Afif. – Jedenaście dni temu był ten silny chamsin.

Zamilkł i czekał, by Daniel podjął decyzję. Szansa na to, że po wiosennej burzy zachował się odcisk stopy lub jakiś inny ślad, była minimalna.

– Przeczescie teren w odległości pół kilometra od pieczary. Jeżeli znajdziecie inne pieczary, zgłóście to i czekajcie na dalsze instrukcje. Jeśli nie, wystarczy staranne obejrzenie

okolicy.

Druza skinął głową. Jechali naprzód, przecinając sieć płytkich wadi, zasłanych odłamkami skał i suchymi gałęziami. Podwozie jeepa dzwoniło bombardowane tańczącym zwirem. Afif cisnął gaz do dechy, wznecając tumany pyłu. Daniel opuścił rondo kapelusza, przykrył dłonią nos i usta i wstrzymał oddech. Poczul, że siła ciężkości wgniała go w oparcie, kiedy jeep wjeżdżał pod górę. Na horyzoncie ukazał się obóz Beduinów – ciemny podłużny namiot, tak niski, że wydawał się cieniem. Gdy podjechali bliżej, Daniel dostrzegł pozostałe samochody patrolu granicznego: dwa jeepy i ciężarówkę z płócienną budą, wszystkie z błyskającymi niebieskimi światłami.

Ciężarówka stała przy pagórku z wapienia. Otaczała ją brązowa, falująca chmura: nieustannie poruszające się stado kóz. W pobliżu tkwił nieruchomy pasterz z kijem w dłoni.

– Jaskinia jest tam – powiedział Afif, wskazując wapienny pagórek. – Wlot znajduje się po przeciwnej stronie.

Zatrzymał jeepa kilka metrów od stada kóz i wyłączył motor.

Przy krytej płótnem ciężarówce stało dwóch Beduinów, chłopiec i mężczyzna, otoczeni przez ludzi z patrolu granicznego. Pozostali nomadowie wrócili do swoich namiotów. Widać było tylko mężczyzn, dorośli Beduini i chłopcy siedzieli po turecku na stertach barwnych koców, nieruchomi i milczący. Daniel wiedział jednak, że w obozie są także kobiety, zawoalowane i wytatuowane. Zerkające przez szczeliny w kozłej skórze, zgromadzone w tylnej części namiotu, zwanej *haramluk*, czekające wśród piecyków i kuchennych przyborów, aż zostaną zawołane, by usłużyć mężczyznom.

Na niebie ukazał się sęp, zatoczył nad obozem koło i odleciał na północ. Kozy zadrzały, po czym uspokoiły się na komendę pasterza.

Daniel ruszył za Afifem, który przeciskał się przez stado. Zwierzęta potulnie przepuszczały ludzi i ziewały szyki za nimi, zlewając się w przeżuwającą i parszczącą masę sierści i rogów.

– Rodzina Jussef ibn Umar – powiedział Afif, gdy się zbliżyli do dwóch Beduinów. – Ojciec to Khalid, a chłopiec Hussein.

Podał Danielowi ich karty tożsamości i dokonał prezentacji, nazywając Daniela wyższym oficerem i dając do zrozumienia, że jest kimś, kogo należy szanować. Khalid Jussef ibn Umar odpowiedział ukłonem i zmusił syna, by się także pokłonił. Daniel pozdrowił ich oficjalnie i skinął głową Afifowi. Druza wycofał się i poszedł instruować swoich ludzi.

Daniel obejrzał karty tożsamości, zrobił notatki i przyjrzał się dwóm Beduinom. Chłopiec liczył lat dziesięć, był mały jak na swój wiek, miał okrągłą poważną twarz, ciekawe światła oczy i ogoloną do skóry czaszkę. Jego ojciec miał głowę owiniętą szerokimi pasami białego materiału, obwiązany sznurem skręconym z koziej sierści. Obydwaj nosili obszerne, ciężkie szaty z grubej ciemnej wełny. Ich tkwiące w sandałach stopy były pokryte pyłem, paznokcie spękane i żółte. Chłopiec nie miał małego palca u lewej stopy. Obydwaj wydzielali kwaśną woń koziego mleka i mięsa.

– Dziękuję za pomoc – Daniel zwrócił się do starszego ibn Umara. Mężczyzna znów się pokłonił. Był chudy, pochylony, zarosnięty i niewielkiego wzrostu, o suchej, jakby wygarbowanej skórze, jedno oko zmętniało od zaćmy. Twarz miał zapadniętą z powodu braku zębów, a dłonie powykęcane i pokryte bliznami. Według karty liczył lat trzydzieści osiem, ale wyglądał na sześćdziesiąt. Skarłowaciały i zniszczony, jak wielu z nich, przez niedożywienie, choroby, trudy pustynnego życia.

Mawiano, że czterdziestoletni Beduin jest starcem, zbliżającym się do wieku, w którym staje się bezużyteczny. W niczym nie przypomina szlachetnego zdobywcy pustyni rodem z powieści T. E. Lawrence’a, pomyślał Daniel, spoglądając na Khalida, ale wszakże większość angielskiej pisaniny to wierutne bzdury. Daniel i jego koledzy z ogólniaka zrywali boki z hebrajskiego przekładu *Siedmiu filarów mądrości*.

Chłopiec wpatrywał się w ziemię, potem uniósł wzrok i spojrzał na Daniela. Daniel uśmiechnął się do niego i chłopiec znów gwałtownie opuścił głowę.

Jasne oczy, jasna cera, bystre dziecko. Niski, lecz w granicach normalnego wzrostu. W porównaniu z ojcem, prawdziwy okaz zdrowia. Z całą pewnością wynik dziesięcioletnich wakacji na obozie poza Ramot. Pracownicy socjalni, nauczyciele, objazdowe kliniki, szczepienia, odżywki. Pogardzane sposoby mieszczuchów...

– Pokażcie mi pieczarę – powiedział.

Khalid Jussef ibn Umar zaprowadził go na drugą stronę wyszczerbionego pagórka. Hussein deptał ojcu po piętach. Gdy doszli do wlotu, Daniel powiedział im, by poczekać na zewnątrz.

Odstąpił do tyłu, aby obejrzeć porośnięty krzewami pagórek. Poziomo warstwowy wapień uległ strzaskaniu w wyniku jakiegoś trudnego do określenia wybuchu i wyglądał jak rozkładający się tort. Po północnej ścianie spływała woda, która przez setki lat wyłobila w skale spiralę podobną do muszli ślimaka. Ujście muszli stanowiło szczelinę, która, na pierwszy rzut oka, wydała się Danielowi zbyt wąska, by mógł się tam zmieścić człowiek. Lecz gdy podszedł bliżej, stwierdził, że to tylko złudzenie optyczne. Zewnętrzny fałd wystawał na tyle, by zamaskować otwór w skale, podłużne zagłębienie, wystarczająco obszerne, by przez nie przejść. Daniel łatwo się przezeń przesliznął.

W środku panował chłód, powietrze było nieruchome i ciężkie, przesiąknięte wonią piżma i dzikości.

Daniel był zaskoczony, gdyż zamiast ciemności, których się spodziewał, powitało go łagodne światło. Spojrzał w górę i dostrzegł jego źródło: w szczycie spirali znajdował się otwór, przez który wpadał ukośny promień słonecznego światła, złagodzony refrakcją i tańczącymi w powietrzu drobinami pyłu.

Smuga światła padała na środek niskiego, płaskiego fragmentu skały – mierzącego około dwóch metrów długości i pół metra szerokości – którego reszta niknęła w ciemności.

Na skale widniała rdzawa plama w kształcie kobiecego ciała. Zewnętrzne zarysy sylwetki, obrzeżone czerwono-zielonymi liniami, które miejscami przechodziły w promieniste frędzle, rozpluwające się delikatnie.

Zarys ofiary złożonej na czymś w rodzaju ołtarza. Jakby wryty w wosku.

Daniel chciał podejść bliżej, przyjrzeć się dokładniej, lecz wiedział, że musi poczekać na ekipę lekarza sądowego, został więc na miejscu i zadowolił się spoglądaniem z pewnej odległości.

Obrysowane nogi były lekko rozchylone, ręce ułożone wzdłuż tułowia.

Kształt wygrawerowany przez krew.

Krew ulega szybkiemu rozkładowi. Wystawiona na działanie czynników atmosferycznych zmienia barwę na szarą, zieloną, niebieską, na całą gamę kolorów niekojarzących się z krwią. Daniel jednak widział już wystarczająco wiele, by ją rozpoznać. Spojrzał na Beduinów, wiedząc, że oni także wiedzą, co to. Zarzynali swoje zwierzęta, krew spryskiwała im ubrania; gdy brakło im wody, chodzili w nich całe tygodnie, nie mogąc ich wyprać. Nawet chłopiec powinien wiedzieć, co pozostawiło plamy na skalnym ołtarzu.

Khalid poruszył się niespokojnie. Niepewnie odwrócił wzrok.

Daniel powrócił do oględzin skały.

Zarys był pozbawiony głowy, kończył się na szyi. Daniel wyobraził sobie rozciągnięte bezsilnie ciało, z odchyłoną do tyłu głową. Przez rozplataną szyję uchodziła krew.

Przez chwilę miał wrażenie, że spostrzegł białą plamkę, przylepioną do górnej krawędzi skały, lecz światło nie docierało do tej części ołtarza i Daniel nie miał pewności, czy rzeczywiście jest tam coś białego.

Obejrzał resztę pieczary. Strop był nisko sklepiony i łukowato wygięty. Na jednej ze ścian zauważył plamy, które także mogły być krwawe. Obok skalnego ołtarza widoczne były

ślady stóp. W rogu spostrzegł stos odpadków: połamane gałązki, pokruszone kamienie, kulki wyschniętego łąjna.

– Jak tu trafiłeś? – zapytał Khalida.

– Mój syn to znalazł.

– Jak znalazłeś tę pieczarę? – zwrócił się do Husseina.

Chłopiec milczał. Ojciec spojrział na syna, szturchnął go w kark i nakazał mówić.

Hussein coś wymamrotał.

– Mów głośniej! – rozkazał ojciec.

– Pędziłem... kozy.

– Rozumiem – powiedział Daniel. – I co się stało?

– Jedno młode odłączyło się od stada i weszło do pieczary.

– Jedno z kozłat?

– Maleńkie. Nowo narodzone. – Hussein spojrział na ojca. – Białe z brązową plamką na głowie. Lubi uciekać.

– I co wtedy zrobiłeś? – zapytał Daniel.

– Poszedłem za nim. – Dolna warga chłopca zadrżała. Wyglądał na przerażonego.

To tylko dziecko, Daniel napomniął samego siebie. Uśmiechnął się i przykucnął, by ich twarze znalazły się na tym samym poziomie.

– Doskonale sobie radzisz. Jesteś bardzo odważny, skoro opowiadasz mi takie rzeczy.

Chłopiec zwiesił głowę. Ojciec ujął go pod brodę i szeptał do jego ucha.

– Wszedłem do środka – mówił dalej Hussein. – Zobaczyłem stół.

– Stół?

– Skale – powiedział Khalid Jussef ibn Umar. – On to nazywa stołem.

– Słusznie – Daniel zwrócił się do chłopca. – Wygląda jak stół. Dotykałeś czegoś w pieczarze?

– Tak.

– Czego dotykałeś?

– Tego kawałka materiału – odparł, wskazując biały strzępek.

Istny koszmar dla lekarza sądowego, pomyślał Daniel. Ciekawe, co jeszcze zostało zmienione?

– Pamiętasz, jak wyglądał ten materiał?

Chłopiec zrobił krok naprzód.

– Jest tam, można go wziąć.

Daniel go powstrzymał.

– Nie, Hussein, chcę, żeby wszystko zostało bez zmian, aż do czasu nadejścia innych policjantów.

Na twarzy chłopca znów odmalowało się przerażenie.

– Ja... nie wiedziałem...

– Nic się nie stało – uspokoił go Daniel – Jak wyglądał ten materiał?

– Białe w niebieskie paski. I brudny.

– Czym ubrudzony?

Chłopiec się zawahał.

– Powiedz mi, Hussein.

– Krwią.

Daniel spojrział na materiał. Spostrzegł teraz, że strzęp jest większy, niż mu się wydawało. Tylko mała część była biała. Reszta ginęła w splamionych krwią skałach. Miał nadzieję, że tyle wystarczy do badań.

Hussein znowu coś wymamrotał.

– Co mówisz, synu? – spytał Daniel.

– Myślałem... myślałem, że to dom dzikiego zwierzęcia!

– To zupełnie prawdopodobne. Jakie zwierzęta tu żyją?
– Szakale, króliki, psy. Lwy.
– Widziałeś tu lwy? Naprawdę? – Daniel stłumił uśmiech. Lwy w Judei wymarły przed wiekami.

Hussein skinął głową i odwrócił wzrok.

– Mów prawdę, chłopcze – upomniął go ojciec.
– Słyszałem lwy – powiedział Hussein z nieoczekiwaną pewnością. – Słyszałem, jak ryczały.

– Przyśniło ci się – rzekł Khalid, szturchając go lekko. – Głupstwa.

– Co zrobiłeś, po tym jak ruszyłeś ten materiał? – spytał Daniel.

– Wziąłem koźlątko i wyszedłem z pieczary.

– A potem?

– Opowiedziałem ojcu o stole.

– Bardzo dobrze – pochwalił go Daniel, prostując się. Po czym zwrócił się do ojca chłopca: – Będziemy musieli wziąć odciski palców syna.

Hussein się rozplakał.

– Cicho bądź! – skarcił go Khalid.

– To nie będzie bolało, Hussein – zapewnił go Daniel, znowu kucając. – Daję ci słowo. Policjant położy twoje palce na podkładce nasiąkniętej atramentem, a potem odcisnie je na papierze, odbijając rysunek twoich linii papilarnych. A potem umyje ci palce. Może również wziąć odciski twoich stóp, używając gliny i wody. Jedno i drugie ani trochę nie boli.

Hussein nie dał się przekonać. Wytarł nos, zakrył oczy ręką i nie przestawał pochlipywać.

– Ciii. Nie zachowuj się jak kobieta – skarcił go ojciec, odciągając jego rękę od twarzy. Otarł oczy chłopca własnym rękawem.

– Bardzo dobrze się sprawiłeś – powiedział Daniel. – Dziękuję. – Uśmiechnął się, po czym zwrócił do Khalida: – Czy ktoś jeszcze dotykał czegoś w pieczarze?

– Nie – odparł Khalid. – Nikt tam nie wchodził. To obrzydliwe.

– Od jak dawna wypasacie koło pieczary?

– Od ośmiu dni.

– A gdzie byliście przedtem?

– Tam. – Beduin wskazał na strop.

– Na północy?

– Tak.

– Jak długo wypasaliście na północy?

– Od końca ramadanu.

Jeden miesiąc księżycowy, co dokładnie zgadzało się z tym, co powiedział Afif.

– Widzieliście tutaj kogoś? Zwłaszcza nocą?

– Tylko jeepy z niebieskimi światłami. Ciągłe tędy jeżdżą. Czasem także ciężarówki wojskowe.

– Nikogo więcej?

– Nikogo.

– A dźwięki? Słyszeliście coś niezwykłego?

– Nic. Tylko odgłosy pustyni.

– Jakie to odgłosy?

Jussef ibn Umar podrapał się po brodzie.

– Gryzonie, szelest liści na wietrze. Żuk toczący kawałek łajna.

Jego słowa, dokładność obserwacji, przywróciły wspomnienia. Nasłuchiwanie podczas nocnej warty, nauka o tym, że bezwzględna cisza nie istnieje.

– Muzyka nocy – rzekł Daniel.

Khalid spojrzał na niego badawczo, zastanawiając się, czy ten mieszczuch z niego nie

kpi. Przekonawszy się, że mówi poważnie, skinął głową i powiedział:

– Tak, proszę pana. I ani jednej fałszywej nuty.

Steinfeld wyszedł z pieczary, marszcząc czoło. Zdjął rękawiczki, otrzepał spodnie i zbliżył się do Daniela. Kilku innych techników pobierało Beduinom odciski palców, śladów stóp oraz pobierało próbki włókien z ich szat. Ludzie Afifa przemierzali sąsiedztwo, wpatrując się w ziemię w poszukiwaniu dowodów.

– Coś okropnego – orzekł Steinfeld, zerkając na nomadów.

– Śmierdzą bardziej niż ich kozy.

– Co możesz mi powiedzieć?

– Jeszcze niewiele. Pobrałem próbki wody destylowanej, przeprowadziłem test orthotolidinowy. I to jest krew. Na resztę pieczary najlepsze będzie spryskanie luminolem, ale trzeba robić to po ciemku, żeby wyraźnie widzieć świecące plamy. Musisz nakryć tę dziurę u szczytu.

Daniel wezwał człowieka z patrolu granicznego i polecił nakrycie dziury brezentem.

– Szczelnie! – zawołał Steinfeld za odchodzącym oficerem. – Zrobiłem badania grupy krwi – zwrócił się do Daniela. – Grupa zero. Tak samo jak u dwóch innych ofiar oraz u czterdziestu trzech procent populacji. Wiele z tego nie wynika. Jeśli chodzi o inne badania, sądzę, że istnieje różnica w haptoglobinie, ale nie licz na to, bo mogę się mylić. Krew szybko się rozkłada, zwłaszcza w takich warunkach. Nie znajdziemy tu nic, co by się przydało w sądzie.

– Zapomnij o sądzie – powiedział Daniel. – Byłbym szczęśliwy, gdyby ci się udało zidentyfikować chociaż jedną krew.

– Najlepsze, co mogę zrobić, to zabrać próbki krwi do laboratorium. Może któraś będzie jeszcze nadawała. Mam tu człowieka, który zdrapuje krew ze skał, i drugiego, który pobiera próbki wszystkiego, łącznie z gównem, wyglądającym na tygodniowe i z całą pewnością psie. Jeżeli znajdziemy coś interesującego, dowiesz się o tym pierwszy.

– A co z tkaniną?

– Wygląda na bawełnę – odparł Steinfeld. – Może taką samą jak w przypadku ofiary numer jeden, ale to bardzo pospolity materiał. Uprzedzając twoje następne pytanie, powiem, że ślady stóp są świeże – sandały naszych przyjaciół koczowników. Trochę odcisków palców, pewnie także ich. – Spojrzał na zegarek.

– Coś jeszcze? Krew coraz bardziej się starzeje.

– Już nic. Dziękuję, że przyjechałeś tak szybko. Kiedy otrzymam wyniki?

Steinfeld prychnął.

– Potrzebne ci na wczoraj, no nie?

ROZDZIAŁ 42

Szalała z powodu kota, wrzeszczała i płakała, zataczała się po domu, otwierając szafy i szuflady, wyrzucając ich zawartość na podłogę, przydając roboty służącym. Zajrzała do kuchni, do piwnicy, do jego pokoju – gdzie nie bywała od lat. Wyśpiewując drżącym płaczącym operowym głosem:

– Śnie-żyńko, chodź-tutaj, chodź-tutaj!

Mimo że był bardzo ostrożny, zaniepokoił się trochę, gdy wtargnęła do jego pokoju i zaczęła go przeszukiwać.

– Widziałeś moje maleństwo? Odpowiedz mi, do cholery!

– Nie, mammo.

– O Boże!

Łkanie, płacz, wrywanie włosów z głowy.

Posprzątał naprawdę porządnie, nie pozostawił najmniejszej plamki krwi. Posługując się nożyczkami chirurgicznymi z futerału, pociął wszystko, co pozostało z kociego ciała, na drobniutkie kawałeczki, pozawijał je w gazety i powrzucał do studzienek kanałów w sąsiedztwie. Robił to nocą, gdy było rześko i chłodno, a letnie kwiaty wydzielaly słodką woń.

Przygoda.

Wyszła nawet z domu – po raz pierwszy widział ją poza domem. Włożyła aksamitny szlafrok, który na ulicy wyglądał śmiesznie, i przeszła pół przecznicy, nawołując śpiewnie: „Śnieżynko, wracaj niedobry kocie, niewdzięczniku!” Po czym szybko wróciła, przerażona i blada. Zamknęła się w swoim pokoju i wymiotowała tak głośno, że słycać było przez drzwi.

Gdy wreszcie zrozumiała, że mały gnojek odszedł na dobre, popadła w paranoję. Była przekonana, że ktoś go zabił, upierała się, że to Doktor. Przydybała go kiedyś w bibliotece i oskarżyła o zlikwidowanie kota.

Doktor nie przejął się tym, a ona wrzeszczała, że jest mordercą, zamordował Śnieżynkę, żeby mieć krew do jakichś żydowskich rytuałów, żeby jej dodać do swojej cholernej macy.

W końcu Doktor się rozgniewał i powiedział:

– Może uciekł dlatego, że miał już ciebie dosyć, Christino. Nie mógł znieść, że pijesz i obżerasz się na śmierć.

Potem nastąpiła prawdziwa wojna, więc zszedł po schodach i usiadł na swoim ulubionym szóstym stopniu. Słuchał i pieścił się, zapamiętując obrazy dla późniejszych sesji masturbacyjnych.

Następnego ranka zatelefonowała do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami i powiedziała, że jej mąż morduje zwierzęta, zabił jej rasowego persa i zabrał do szpitala, by przeprowadzać na nim doświadczenia. Następnie zadzwoniła do Rady Lekarzy i doniosła, że Doktor znęca się nad zwierzętami.

Wystarczyło, że otworzyła usta, a wszyscy wiedzieli, że to wariatka. Nikt się nią nie przejmował.

Podczas operacji hałas ucichł. Czuł się, jakby miał osiem stóp wzrostu; wszystko szło jak po maśle.

Sukces, prawdziwa nauka. Starannie rozcinał i zdejmował warstwę po warstwie. Oglądał kolory: żółty tłuszcz, krwistoczerwone mięśnie, wiśniowa wątroba, różowawe jelita, wszystkie te niebieskawe błony, pokryte siecią naczyń krwionośnych, które wyglądają jak drogi na mapie.

Małe, bijące serce, przeciekające na brzegach.

Poczuł, że lubi tego kota, że uważa go za swojego.

Wnętrznosci kota były piękne, zupełnie jak na ilustracjach, które widział w jednej z książek Doktora. Atlas anatomii człowieka – plastikowe kartki z różnymi malunkami. Leżały jedna na drugiej. Zdejmowało się je po kolei, zaczynając od całej osoby – nagiej – a potem były mięśnie; prążkowany człowiek z czerwonymi mięśniami. Dalej były narządy, potem frędzlowaty człowiek miał tylko nerwy i mózg, wreszcie zostawał szkielet.

Właściwie dwoje ludzi – plastikowy mężczyzna i plastikowa kobieta.

Bardziej podobała mu się kobieta. Lubił poznawać jej wnętrze. Cycki składały się głównie z tłuszczu.

Śmieszne.

Wnętrznosci były piękne, bardzo kolorowe, naprawdę skomplikowane.

W szkole mówiono same kłamstwa, nie zaś prawdę, którą widział tutaj.

Żadna nauka.

Gdy się uporał z kotem, przeciął jego przeponę i zwierzę przestało oddychać.

Potem sprzątał, nie śpieszył się, był bardzo dokładny.

Kluczowa sprawa – naprawdę dobrze posprzątać. I nigdy cię nie złapią.

Bez kota zrobiła się nieznośna, bardziej zwariowana. Mnóstwo czasu spędzała w swoim pokoju, gadając sama do siebie. Traciła rozum. Służące nazywały ją Senora Loca, nawet się nie kryjąc z tym, że ją uważają za wariatkę.

Zastanawiał się, dlaczego ona i Doktor wciąż są razem, dlaczego Doktor nie wykopał jej z domu. A potem usłyszał ich, jak się kłócili. Ona oskarżała Doktora, że pieprzył się z młodymi pracownicami szpitala. Groziła, że doniesie na niego, jeśli kiedykolwiek spróbuje z nią takich numerów jak z Lillian. Że będzie dymał autobusem do pracy i jadał na obiad fasolę.

Doktor nic nie odpowiedział, więc można się było domyślić, że groziła mu nie bez powodu.

Kłótnie nie stały się częstsze. Bo Doktor rzadko bywał w domu. Ale gdy był, działo się coś okropnego.

Chociaż umysł chłopca funkcjonował dobrze, miał mnóstwo obrazów i brutalnych wspomnień, którymi mógł się karmić, nic nie mogło się równać z podsłuchiwaniami i podglądaniem.

Gdy miał piętnaście lat, zdarzyło się coś wyjątkowego. Było to tydzień po jego piętnastych urodzinach, których nie obchodzono. Niczego się nie spodziewał, ona była pijana, a Doktor lekceważył jego urodziny od czasu, gdy odmówił *bar micwy*.*

Głupi pojebaniec nigdy nie był religijny. Dlaczego więc on ma się uczyć tego całego żydowskiego gówna?

Czekał, że poczuje się jak w urodziny. Gdy tak się nie stało, powiedział: pieprzę to i pieprzę ich i wyszedł na wieczorny spacer. Kilka przecznic dalej znalazł psa. Złachanego teriera bez obroży. Schwytał go i, ukrywając pod kurtką, przyniósł do domu. W swoim pokoju znieczulił psa i urządził sobie wspaniałą sesję anatomiczną, posługując się wielkim nożem amputacyjnym. Ciesząc się ciężarem noża. I jego siłą.

W nocy miał piękne sny. Stada zwierząt i dziewczyn wrzeszczały i tańczyły przed nim, błagając go, by to z nimi zrobił. Potem siedział na czymś w rodzaju tronu i spoglądał na krew i płomień. Na piekielną scenę, którą dokładnie wysprzątał, i poczuł się dobrze.

* *Bar miewa* (z hebr. „syn przykazania”) – po ukończeniu trzynastu lat i jednego dnia chłopiec jest uważany za pełnoletniego pod względem religijnym i bierze udział w obrzędzie inicjacyjnym.

Obudziła go klótnia.

No! Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

Zszedł na szósty stopień, wspominając sen, czując się naprawdę świetnie.

Część klótni stracił, ale domyślił się, że chodziło o Sarah. A te były zawsze najlepsze.

Ukończyła college z wyróżnieniem, została przyjęta do pierwszej medycznej uczelni, jaką sobie wybrała, i Doktor miał polecieć do niej z wizytą, nagrodzić pieniędzmi i nowymi ubraniami. Wycieczka za granicę, przelot pierwszą klasą, najlepsze hotele, karty kredytowe.

– Kiedy, do diabła, dasz coś takiego mnie?

– A kiedy, do diabła, na to zasłużysz?

– Pieprz się, skąpy draniu. Poświęciłam dla ciebie życie. Zrujnowałam je dla ciebie!

– Znowu to samo.

– Nie wzdychaj nade mną. Masz cholerną rację. Znowu to samo. Nie wyobrażaj sobie, że nie wiem, co robisz.

– Niby co?

– Oddajesz jej całe pieniądze, żeby nic nie zostało we wspólnej własności.

– Myślisz o spadku, co?

– Żebyś wiedział, do cholery! Po cóż innego miałabym żyć?

– Przy twoim pijaństwie i rzyganiu nie spodziewałbym się, że coś odziedzicysz, Christino.

– Zobaczymy, łajdaku. Będę tu stała, gdy ciebie złożą do ziemi. Jeszcze zatańczę na twoim grobie.

– Nie licz na to.

– Jednak liczę.

– Dziesięć do jednego, że twoje elektrolity są do niczego. Bóg wie, co zostało z twojej wątroby. Śmierdzisz jak pijaczka. Jezu!

– Nie wzywaj Jezusa. Jezus mnie kocha, a ciebie nienawidzi, bo ty jesteś zabójcą Jezusa. Nie wywracaj nade mną oczami, ty pieprzony żydowski morderco Chrystusa.

– Nagle stałaś się religijna.

– Zawsze byłam religijna. Jezus mnie kocha, a ja Kocham Jego.

– Masz romans z Jezusem, tak?

– Możesz się śmiać, ty łajdaku. Ja będę zbawiona, a ty spalisz się w piekle, razem z tą swoją haczykowatą suką i jej haczykowatą matką. Puściłabym cię z torbami już teraz, pokazałabym światu, jaki z ciebie złodziej, gdyby to nie oznaczało, że to one położą na forsie swoje brudne łapska, że ich żydowscy nieuczciwi adwokaci wszystko mi odbiorą.

– Myślałam, że to ja im daję.

– Nie próbuj mnie oszukiwać, Charles. Wiem, co knujesz.

– Dobrze, już dobrze, jest tak, jak mówisz.

– Mówię, że twoje haczykowate nosy suki spalą się w piekle razem z tobą. Mówię, że będę przeklęta, jeśli mnie oskubią.

– Sarah jest wspaniałym dzieckiem. Zasłużyła na to. Dam jej wszystko, co będę chciał.

– Wątpię.

– Niby co chcesz powie...?

– Już się nie uśmiechasz? Dobrze wiesz, co chcę powiedzieć.

– Jesteś wstrętna. Zejdź mi z oczu.

– A twoja mała haczykowatą suka ma wielką klasę z tymi włochatymi nogami i nosem jak...

– Lillian jest tysiąc razy bardziej kobieca niż ty.

– ... jak papuzi dziób. Prawdziwa klasa taki nos, no nie?

– Zamknij się, Christino.

– Zamknij się, Christino... usiłujesz mnie wyrzucić na śmietnik, co? Nie byłam taka

wstrętna, gdy zachciało ci się cipki *sziksy*,* prawda? Lekceważysz mnie, kutasie? Nie lekceważyłeś mnie, gdy ci się zachciało cipki *sziksy*, gdy cipka *sziksy* była dla ciebie wszystkim. Wykopałeś z domu swoją haczykowatonosa sukę, żeby mieć to. Spójrz. Takie jasne włosy, słodka, gotowa...

– Jesteś odpychająca. Okryj się.

– Haczykowatonose suki nie mają tego, prawda. Haczykowatonose suki są całe owłosione, brudne i śmierdzące, jak zwierzęta, którymi są. Haczykowatonosa Lillian, haczykowatonosa Sarah...

– Stul pysk!

– Ach, udało mi się zetrzeć uśmiech z twojej twarzy. Myśl o tym, że twój mały aniołek ma brudną...

– Zamknij się, zanim...

– Zanim, co? Zbijesz mnie? Zabijesz? Śmiało. Wróć, żeby zatańczyć na twoim grobie.

– Dosyć.

– Wcale nie dosyć, Charles. Nigdy nie będzie dosyć, bo jesteś złodziejskim, kłamliwym łajdakiem, który chce oddać wszystko, co moje, jakiejś małej dziwce, bo jest przekonana, że jest pieprzoną Dziewicą Maryją, czy kimś tam. Co ty sobie wyobrażasz, ty głupi bękarcie, że orta nie ma cipki? Jak by się dostała na akademię medyczną? Rozchyliła nogi dla komisji egzaminacyjnej...

– Zamknij swój cholerny brudny dziób.

– Prawda w oczy kłuje, co nie?

– Posłuchaj, ty głupia, pijana kretynko! Dostała się na medycynę, bo miała same piątki, *summa cum laude*, Phi Beta Kappa i ma więcej rozumu w małym palcu niż ty w całym swoim zapijaczonym mózgu.

– Same piątki.

– Jesteś zazdrosna o Sarah, bo jest wyjątkowa i zagraża twojej pozycji.

– Jest małą haczykowatonosą suką. Tak samo jak jej matka.

– Jej matka jest damą z klasą. Żałuję, że z nią nie zostałem.

– Więc czemu nie zostałeś?

– Bóg jeden wie.

– Bóg wie – To prawda. Jezus wie. Że jesteś hipokrytą i pieprzonym kłamcą. Była zimna, nudna i owłosiona. A ty chciałeś białych, gładkich nóg. Milutkiej cipki *sziksy*. Chciałeś mieć orgazm w ustach Dziewicy Maryi tak bardzo, że mnie posiadłeś w gabinecie lekarskim, nie zważając na czekających pacjentów. Zgwałciłeś mnie, łajdaku!

– Jeżeli jakkolwiek gwałt miał miejsce, to ty byłaś gwałciicielką...

– Zgwałciłeś mnie i wykorzystałeś. A teraz chcesz oddać to, co zarobiłam, moją krwawicę, twojej haczykowatonosej suce.

– Dosyć. Jestem zmęczony. Wcześniej rano mam operację.

– Jesteś zmęczony? Ja także. Twoimi bzdurami. Dajesz jej te wszystkie ciuchy, fundujesz wycieczkę. Już i tak jest zepsuta.

– Jest wspaniałym dzieckiem i zasługuje na to. Koniec dyskusji.

– Siorbie, tak samo jak jej matka.

– Jej matka dała mi wspaniałe dziecko.

– A ja? Co ja ci dałam? Wydarłam je z własnych flaków. Już nigdy nie będę taka sama!

– Wydarłaś z flaków? Śmiechu warte. Masz takie biodra, że można przez nie przejechać ciężarówką.

– Co ci dałam, pieprzony łajdaku?

– Odmieńca.

* *Sziksa* (jid. *sheques* – dosł. „wada”, „skaza”) – pogardliwa nazwa kobiety nie będącej Żydówką; zwłaszcza młodej kobiety.

- Pieprz się!
 - Dzieciak jest nienormalny, Christino. Bez dwóch zdań.
 - Posłuchaj mnie, pieprzony icku. Jest piękny. Jak grecki bóg. Te rozmarzone oczy. Mały, prosty nos. I wysoki. Już cię dorósł. A będzie jeszcze wyższy. Przerośnie cię. Kiedy mu powiem, żeby bronił swojej mamy, spierze cię na kwaśne jabłko.
 - Jest dziwaczny, Christino. Odziedziczył po tobie wszystkie plugawe geny. Próbowalaś z nim rozmawiać? Jasne, że nie. Byłabyś w stanie? Wiecznie ubzdryngolona.
 - Pieprz się. Jest pięk...
 - Spróbuj kiedyś, pijana kretyńko. Powiedz „cześć” i popatrz na ten jego dziwny uśmiech. To dziwak, tak jak ty. Całymi dniami przesiaduje w swoim pokoju. Bóg wie, co tam wyrabia.
 - Uczy się. To intelektualista. Widać po oczach.
 - Czego się uczy? Nie radzi sobie w szkole. Przez trzy lata nie dostał lepszej oceny niż trójczyna. Ale ty o tym nie wiesz, prawda? Wychowawczyni ciebie nie wzywa. Nikt ciebie nie wzywa, bo wszyscy wiedzą, że jesteś zbyt zalana, żeby rozmawiać. Wzywają mnie. Nauczyciele, psychologowie, pedagodzy szkolni. Wszyscy uważają, że jest dziwny. Dyrektor szkoły dzwonił do mnie w zeszłym tygodniu. Musiałem go przekupić wyposażeniem pracowni przyrodniczej, żeby twój piękny synalek nie został wyrzucony ze szkoły.
 - Powiedziałaś dyrektorowi, że chłopiec ma zwariowanego, okrutnego ojca, który nie zwraca uwagi na niego i na jego matkę, którą zgwałcił? Że jego ojciec zabił Jezusa i chce zabić swoją żonę, żeby mógł się pieprzyć z pacjentkami? Powiedziałaś mu...
 - Żadnych przyjaciół, żadnych zainteresowań. Siedzi w klasie i gapi się w przestrzeń. Twoje geny, Christino. Bóg jeden wie, czy sobie z nimi poradzi. Dyrektor sugeruje, żeby z nim pójść do psychiatry. Rozmawiałem z Emilem Diefenbachem. Pracuje z nastolatkami, powiedział, że chętnie go przyjmie.
 - Nie zabierzesz go do żadnego żydowskiego specjalisty od głowy.
 - Zabiorę go wszędzie, gdzie tylko zechcę.
 - Nie mojego syna.
 - Jest cholernym odmieńcem, Christino... oto, co mi dałaś, nieudacznika. Może jeszcze można mu pomóc, nie wiem. Spróbuję.
 - Po moim trupie, ty brudny intrygancie. Chcesz go zniszczyć. Zatruc jego mózg, tak jak zatrulaś mój. Odebrać mu jego pieniądze, żeby je oddać twojej haczykowatonosej...
 - Żalotne.
 - ... suce. Nie pozwolę ci na to!
 - Niby jak mnie powstrzymasz?
 - Wynajmę adwokata. Matka także ma prawa.
 - Ty nie jesteś matką. Jesteś niczym, Christino. Nigdy nie byłaś matką ani nikim innym.
 - Jestem rodzicielką. Jezus umieścił mnie tutaj, bym go chroniła.
 - Ja też jestem rodzicem. Z nas dwojga tylko ja jestem zdrowy na umyśle.
 - Nie waż się mącić mu w głowie, ty łajdaku!
 - Dobranoc, Christino.
 - Nie masz do niego prawa, łajdaku! Nie ma w nim ani trochę z ciebie!
 - Koniec dyskusji, Christino. Zejdź mi z drogi.
 - Przyjrzyj mu się, łajdaku! Popatrz na jego włosy, nos. Nie ma w nim nic z icka. On nie jest twój.
 - Daj Boże, żeby to była prawda. Odejdź.
 - To prawda, głupi icku. On nie jest twój. On jest Schwanna!
- Milczenie.
- On jest Schwanna, dupku. Nie widzisz podobieństwa?
 - O czym ty, do diabła, mówisz?

– Ach, a więc jesteś zdenerwowany. Chcesz mnie zabić. Zostaw mnie. Będę krzyczała.

– Pytam się: co ty wygadujesz, Christino?

– Tego lata, gdy Schwann u nas mieszkał, miał mnie każdego dnia. Oto, co mówię. Robiliśmy to w domu, na plaży, w basenie!

Cisza.

– Przyjrzyj mu się. Pamiętasz twarz Schwanna. Wielkie podobieństwo, prawda, Charles?

– Bzdura.

– Sam gadasz bzdury, Charles. Odgrywałeś wielkiego lekarza, wygłaszałeś przed Schwannem swoje pompatyczne przemowy na temat chirurgii i jej miejsca w społeczeństwie, myślałeś, że on cię podziwia, i sądzi, że jesteś taki wspaniały, nazywając cię *Herr Doktor Professor*. A jemu cały czas chodziło o mnie. Ja byłam przyczyną, dla której cię wielbił i zapewniał, jak bardzo jesteś wspaniały. Gdy tylko wychodziłeś z domu i zostawiałeś go ze swymi książkami, już przy nim byłam i tarzaliśmy się, i kochaliśmy, i dał mi piękne dziecko bez kropli twojej brudnej krwi. WIĘC TRZYMAJ SIĘ OD NIEGO Z DALEKA, ŁAJDAKU, NIE WAŻ SIĘ GO TKNAĆ. ON NIE JEST TWÓJ!

Cisza. Ciężkie kroki.

– Patrzcie no! Teraz milczy, zmywa się z podwiniętym ogonem. Teraz nie ma nic mądrego do powiedzenia!

ROZDZIAŁ 43

– Dupek będzie z ciebie dumny – powiedział Shmeltzer, wchodząc do sali konferencyjnej. – Czy ta komunikacja ma być pozioma czy pionowa?

– Po przekątnej – odparł Daniel. – Wieształ mapę Jerozolimy i okolic na ścianie obok tablicy. Miejsca, w których znaleziono obydwie ofiary, zakreślono czerwoną kredką, podobnie jak jaskinię.

Shmeltzer zajął miejsce przy stole. Skinął głową Chińczykowi i Daoudowi, sięgając po dzbanek z kawą. Była ósma rano, dwadzieścia godzin po znalezieniu jaskini z zakrwawioną skałą. Pokój mieścił się na parterze komendy. Miał pomalowane na żółto ściany i panował w nim ziąb, spowodowany źle nastawioną klimatyzacją.

Daniel powiesił mapę i sięgnął po wskaźnik. Shmeltzer przysunął mu dzbanek i Daniel nalał sobie kawy. Chińczyk i Daoud zapalili papierosy. Przechłodzone powietrze szybko przesiąkło dymem i napięciem.

– Gdzie jest Cohen? – zwrócił się Daniel do Chińczyka.

– Nie wiem. Miał się ze mną spotkać o siódmej, żeby obejść dzielnicę ormiańską. Nie widziałem go i nie miałem od niego żadnej wiadomości.

– Wagary młodzika – skomentował Shmeltzer. Napełnił swój kubek i pociągnął długi łyk kawy.

– Nie możemy sobie pozwolić na wagarowanie – odpowiedział Daniel. Sięgnął po telefon i zostawił w centrali wiadomość dla samala Cohena, że ma się z nim natychmiast skontaktować, po czym zirytowany odłożył słuchawkę. A już niemal uznał, że dzieciak się dotarł. – Zaczynajmy – powiedział, postukując wskaźnikiem w mapę.

Zeszłego wieczoru zatelefonował do wszystkich współpracowników i poinformował o znalezisku w jaskini. Teraz omówił podstawowe szczegóły, dał im czas na sporządzenie notatek, po czym wrócił na miejsce i wziął sprawozdanie lekarza sądowego.

– Jesteśmy winni kolację Meirowi Steinfeldowi, w Krowie na Dachu. Pracował całą noc i zrobił więcej, niż można się było spodziewać. W jaskini były dwa rodzaje krwi zwierzęcej: gryzonia i psa, oraz jedna próbka krwi ludzkiej, grupa zero, Rh plus. Obydwie ofiary, Fatma i Juliet, miały krew grupy zero, ale różnią się próbą haptoglobiny. Juliet miała typ drugi, najpospolitszy, Fatma zaś miała typ pierwszy, który występuje u zaledwie piętnastu procent populacji. Steinfeld znalazł wyłącznie typ pierwszy, więc wygląda na to, że Juliet nie została zabita w jaskini.

– Nie ma dowodu, że zabito tam Fatmę – wtrącił Shmeltzer. – Piętnaście procent to znowu nie tak mało.

– Nie mamy dowodu – odrzekł Daniel. – Ale istnieją bardzo konkretne wskazówki. Steinfeld szacuje, że utrata krwi była ogromna. Doktor Levi potwierdza, że mogła spowodować śmierć. Analizy antropometryczne konturu ciała na skale wskazują na szczupłą kobietę wzrostu Fatmy. Obfita ilość zaschniętej krwi znaleziona w pyłe, w części, na której spoczywała głowa, wskazuje na głęboką ranę w głowie lub w szyi. Ślady krwi po bokach wskazują na mniejsze, liczne rany na tułowi. Znacie jakieś inne ofiary, które odpowiadałyby

temu opisowi?

– Mogło być inaczej – upierał się Shmeltzer. – Beduini zarżnęli w pieczarze jedną ze swoich kobiet. Dokonali egzekucji za to, że pieprzyła się z nieodpowiednim facetem, albo za to, że odezwała się nie pytana. A potem zakopali ją gdzieś na pustyni.

– Czas się nie zgadza – odpowiedział Daniel. – Steinfeld ocenia, że krew ma trzy do sześciu tygodni. Nie daje głowy, ale z pewnością krew ma więcej niż osiem dni, a Beduini osiem dni temu pojawili się w tej części pustyni. Patrol graniczny miał ich na oku. Gdy zakończyła się pora deszczowa, byli na północy, daleko od pieczary. I strzępek tkaniny pasuje do opisu sukienki, w której widziano Fatmę po raz ostatni. – Przerwał. – A więc nie mamy stuprocentowej pewności, ale przyjmijmy to jako hipotezę roboczą.

Shmeltzer skinął głową i napił się kawy.

– Dobra – powiedział. – Dwa różne miejsca zbrodni. Dlaczego?

– Nie wiem – odparł Daniel. – I żadne z ciał nie zostało umyte w tej jaskini. Od czterech miesięcy nie było tam wody, a obydwa ciała były wymyte dokładnie.

– Można przynieść wodę w butelkach – rzucił Chińczyk. – Zeszłego lata spędziliśmy kilka tygodni w kibucu mojej żony. Pracowałem przy stawach dla karpia, dźwigając butle z destylowaną wodą, do przepłukiwania filtrów. Wielkie plastikowe butle, wypełnione wodą ważą ze trzydzieści kilogramów każda. Dwie takie swobodnie wystarczą, żeby umyć ciało, nie sądzicie?

Shmeltzer wstał i podszedł do mapy.

– Trzeba by je dźwigać cztery kilometry, Jossi. Po zboczach góry, w ciemności. Znasz kogoś, kto by sobie poradził, niosąc jeszcze czterdziestokilogramowe ciało?

Chińczyk wyszczerzył zęby i napiął potężny biceps.

– Przyznajesz się, goliacie? – Shmeltzer pokręcił głową i wrócił na miejsce.

– Wodę można przywieźć na grzbiecie osła – powiedział Daniel. – Ale nikt tam nigdy nie widział osła. A poza tym byłoby to wysoce nieskuteczne. Najbardziej logiczne jest założenie, że Fatma została zamordowana w pieczarze i tam straciła najwięcej krwi. Następnie ciało zostało przeniesione w inne miejsce, gdzie odbyło się mycie. Może tam, gdzie została zabita Juliet.

– Zabija ją, a potem przenosi, żeby umyć – wtrącił Chińczyk. – Bardzo dziwne. Niby po co?

– Mord rytualny na ołtarzu – wyjaśnił Shmeltzer. – Korban, prosto z Biblii. – Uśmiechnął się gorzko. – Może powinniśmy dokładniej wypytać ludzi Kagana.

Korbanot, dawne judejskie ofiary, towarzyszące modłom. Daniel także o tym pomyślał. Spojrzał po zebranych. Wyraz twarzy Daouda był dyplomatycznie wymijający.

– Tak – powiedział Daniel. Wziął kredę i napisał na tablicy:

FATMA: Zabita w jaskini wymyta?

JULIET: Zabita? wymyta?

– Jaskinie są niedaleko Ein Qerem – powiedział Daoud. – W pobliżu miejsca, w którym znaleziono Juliet. I płyną tam strumienie.

Daniel skinął głową.

– Patrol graniczny zaczął je przeszukiwać o świcie. Afif telefonował do nich godzinę temu, ale jak dotąd nic nie znaleźli.

– Może mamy do czynienia z kilkoma miejscami zbrodni – rzekł Shmeltzer – bo jest kilku morderców. Niby dlaczego nie miałyby to być grupa morderczych drani, jakiś kult szaleńców? Z tego, co tu widzę, wcale bym się nie zdziwił. Mogli nanosić wody do pieczary w małych pojemnikach. Jeżeli mordują w swoich domach, mają w czym wybierać.

– Karawana ludzi na pustyni byłaby podejrzana – odpowiedział Daniel. – Ludzie Afifa zlokalizowałiby ją ultraczerwonią.

– Ci chłopcy mają sokoli wzrok, ale nie są nieomylni – odrzekł Shmeltzer. – Przeoczyli

mordercę, który szedł cztery kilometry, niosąc na plecach ciało i całe wyposażenie: noże, prześcieradło, jakieś przenośne oświetlenie. Przyjmując, że pociął ją w nocy.

– Dobrze – powiedział Daniel. – Nie wykluczamy takiej możliwości. Napisał na tablicy: WIELU MORDERCÓW? Przerwał na chwilę, by napić się kawy. Stwierdził, że wystygła i odstawił kubek. – Jeszcze coś – dodał. – Z zewnątrz pieczara wygląda na niedostępną. Ktoś, kto tam wszedł, musiał wiedzieć o jej istnieniu. Nie jest to atrakcyjne miejsce, przewodnicy nie zabierają tam wycieczek.

– Dlatego pomyślałem o Beduinach – powiedział Shmeltzer. – Oni znają każdą szczelinę w ziemi. A może mamy do czynienia z archeologami mordercami.

– Skontaktuj się z uniwersytetem, Nahum, i z Ochroną Przyrody. Spytaj, czy w okolicy są planowane jakieś wykopki i czy w ciągu minionego roku zabierano tam grupy wycieczkowiczów.

Shmeltzer skinął głową i zanotował.

– Następną sprawą – ciągnął Daniel. – Otrzymałem telefon z wojska na temat Aldżuniego, mordercy żony z Gazy. Znudziło mu się być śledzonym i w końcu zgodził się na badanie wykrywaczem kłamstwa. Teł Awiw wykona je i przyśle nam sprawozdanie. Macie coś nowego? W takim razie zajmijmy się opowieścią Małego Hooka o Amerykaninie o bezbarwnych oczach.

– Mały Hook jest kłamliwym śmieciem – odrzekł Shmeltzer. – Kłamię jak z nut.

– Jaki miałby powód, żeby zmyślić taką historię? – zapytał Daniel.

Shmeltzer zaczął wyliczać, zginając palce:

– Uniknięcie aresztowania za złodziejstwo, chęć wyświadczenia nam przysługi, zwrócenie na siebie uwagi.

– Nie sędzę, Nahum – powiedział Chińczyk. – Margines jest w tym przypadku po naszej stronie. Sprawa z Rzeźnikiem źle wpływa na ich interesy. Czerwona Amira mogła nałgać Małemu Hookowi, ale założy się, że on powtórzył wszystko słowo w słowo.

– Pomijając wiarygodność Małego Hooka – wtrącił Daniel – trudno jest dopasować jego opowieść do naszego przypadku. Wygląda na to, że Bezbarwnooki chciał poderwać prostytutkę. Z tego, co wiemy o naszym zabójcy, nie wybiera ofiar pod wpływem impulsu. I żadna z naszych ofiar nie pracowała na ulicy: Fatma nie była prostytutką, a Juliet dopiero przybyła do miasta... nie miała czasu nawiązać kontaktów z domem publicznym i podczas pobytu w Izraelu nie pracowała na ulicy.

– Wystawała na ulicy w Hajfie – mruknął Chińczyk.

– Przez jeden dzień i od razu została zatrzymana. I robiła to nieudolnie. Detektyw z Północnego Okręgu, ten, który ją zatrzymał, powiedział mi, że był zaskoczony, słysząc, że to profesjonalistka. Nie miała pojęcia, że seks na sprzedaż jest legalny, dopóki trzyma buzię na kłódkę. Zatrzymał ją, gdy ewidentnie łamała przepisy prawne zabraniające nagabywania, dosłownie rzucała się na marynarzy. Z całą pewnością żyłaby, gdyby nabrała rozumu, i w końcu znalazłaby pracę. Ale prostytutki i stręczyciele w Jerozolimie, z którymi rozmawiałeś, nie natknęli się ani na nią, ani na Fatmę, prawda, Jossi?

– Zgadza się – odparł olbrzym. – Żadna z nich nie była widziana w miejscach, gdzie się pracuje. Ale Juliet mogła dybać na klienta w mało uczęszczanych uliczkach. I możliwe, że Fatma nie była taka znowu niewinna. Jej chłopak to szuja, może sprzedawał ją innym.

– Może – powiedział Daniel. – Z tego, co zeznał brat Fatmy, Abdelatif powiedział, że ona nie żyje, co mogło oznaczać, że stała się seksualnie swobodna. Ale nikt jej nie widział w akcji, a stałe dziewczyny zawsze zauważają nowo przybyłe konkurentki. – Pokręcił głową. – Nie, nie wyobrażam sobie, żeby któraś z nich natknęła się na mordercę, wystając pod latarnią. To nie był szybki seks. Dostały zastrzyk z heroiny i nie stawiały oporu. Sędzę, że zostały w jakiś sposób uwiedzione. Juliet była narkomanką, więc dla niej heroina mogła stanowić przynętę. Ale jak przekonać tak skromną dziewczynę, jak Fatma, by się położyła i pozwoliła

zrobić sobie zastrzyk?

– Fascynacja nowością – odpowiedział Chińczyk. – Kiedy takie dziewczyny się staczają, robią to błyskawicznie.

– Nie mamy żadnych dowodów, że upadła tak nisko. Kilka dni wcześniej odeszła z klasztoru, czekała na Górze Oliwnej na Anwara, błagała go, by pomógł jej pogodzić się z rodziną. Nie była więc zupełnie zepsuta. Zastrzyk z heroiny to poważny krok, mógł ją przekonać tylko ktoś budzący wielkie zaufanie. Ktoś wykorzystujący swoją pozycję. Dlatego tak długo zajmowaliśmy się lekarzami i dlatego napuściłem Eliasa na mnicha. Co u niego? – zwrócił się do Daouda.

– Nic nowego. Zaczyna iść, a potem nagle zatrzymuje się i zawraca do klasztoru. Najdalej dotarł do końca Via Dolorosa. A zwykle kończy spacer po kilku krokach. Jakby coś go wstrzymywało.

– Nie rezygnuj. Może się dowiesz, co to takiego.

Daoud skinął głową. – Mam jedno pytanie, pakad.

– Jakie?

– Chodzi mi o to zwyczajne poderwanie Amiry. Mamy do czynienia z osobą o zaburzeniach psychicznych, z dewiantem. Może uległ impulsowi i zrezygnował ze swoich zasad.

– Możliwe, Elias. Ale dlaczego wybrałby Amirę Nasser? Fatma i Juliet były do siebie uderzająco podobne, co implikuje, że faceta pociąga określony typ: małe, ładne brunetki, noszące kolczyki. I prawdopodobnie lubi młode – zmyliła go dziecinna twarz Juliet. Bez rudej peruki Amira jest małą brunetką, ale ktoś, kto ją widział przy pracy, nie wiedziałby tego. Zobaczyłby rudowłosą, wytapetowaną i rozneglizowaną zdzirę.

– Może do różnych rzeczy potrzebuje różnych typów – dodał Chińczyk. – Rudowłose do seksu, brunetki do zabijania.

– Zaraz, zaraz – odezwał się Shmeltzer. – Zanim zapędzisz się za daleko, uświadom sobie, że ten Amerykanin nie zrobił nic, co by go obciążało. Rozmawiał o cenie, dziwka go odtrąciła, odszedł i oto cała historia. Być może przestraszył Amirę, bo nie podobał jej się jego uśmiech. Być może miał oczy bez wyrazu – cokolwiek ma to znaczyć. To bardzo mało, chłopcy. A to, że cała opowiadanka pochodzi od garbusa, czyni ją jeszcze mniej znaczącą.

– Zgadzam się z tobą – powiedział Daniel. – Ale lepszy rydz niż nic. A gdy zestawi się ją z całą resztą, wydaje mi się interesująca, Faktu, że Amira była przestraszona, nie można pominąć. prostytutki umieją oceniać swoich klientów, ponieważ od tego zależy ich bezpieczeństwo. Skoro Amira uznała, że jest w nim coś dziwnego, prawdopodobnie tak właśnie było. I czas zdarzenia: czwartkowa noc w tygodniu, gdy miało przypaść następne morderstwo. Jak dokładnie go opisała, Jossi?

Chińczyk przekartkował swój notes.

– Według słów Małego Hooka był to Amerykanin o oczach szaleńca... pojawił się znikąd... Amira uznała, że ukrywał się gdzieś przy drodze. Obejrzałem okolicę. Jest tam małe pole, gdzie można by się schować. Śledczy sądowi znaleźli ślady opon i mnóstwo odcisków stóp, ale wszystko zbyt niewyraźne, by się dało zidentyfikować.

– Co dalej – ponaglał go Daniel.

– Zaproponował pieniądze za seks, ale jego oczy wystraszyły ją i odmówiła. Spytałem Małego Hooka, o co chodziło z tymi oczami, a on na to, że Amira powiedziała, że były bezbarwne. Szalone. I dziwny uśmiech, bardzo szeroki, ukazujący zęby. Ale uśmiech zabójcy. Na pytanie, co sprawiło, że był to uśmiech zabójcy, odparł: „Nieszczęśliwy uśmiech, bardzo szalony”. – Olbrzym zamknął notes. – Usiłowałem wyciągnąć z niego coś więcej, przypierałem do muru, żeby coś wydusić, ale bez skutku. Jeżeli chcesz, mogę z nim jeszcze pogadać.

– Sprawdź, czy został w mieście. – Daniel wstał i napisał na tablicy: AMERYKANIN? –

Dla Amiry słowo Amerykanin może mieć rozmaite znaczenia – powiedział. – Prawdziwy Amerykanin, ktoś, kto mówi po angielsku albo nosi amerykańskie ciuchy. Albo ktoś o wyglądzie Amerykanina, to znaczy o jasnej cerze, grubościsty, w trykotowej koszulce z nadrukiem flagi amerykańskiej. Kto wie, co jeszcze? Ale w każdym razie chodzi o kogoś o wyglądzie obcokrajowca. O mężczyznę, który nie sprawia wrażenia Lewantyńczyka.* Co pozwala na wybór linii postępowania.

– Porównania z zabójstwami za granicą – dodał Shmeltzer. – W Ameryce i Europie.

– Otóż to. Naszym nowym człowiekiem w Interpolu w Bonn jest facet nazwiskiem Friedman. Usiłuję się z nim skontaktować od czasu, gdy Jossi opowiedział mi historię Małego Hooka. Przebywa poza miastem, nikt z jego biura nie potrafi powiedzieć gdzie. Gdy do mnie zadzwoni, poproszę, żeby skontaktował się z szefami Interpolu w całej Europie. Niech sprawdzą, czy mają dane o podobnych morderstwach, popełnionych w ciągu ostatnich dziesięciu lat. To nie powinno być trudne, z wyjątkiem Niemiec, gdzie liczba zabójstw z premedytacją jest równie niewielka jak u nas. A takie perwersyjne rzucają się w oczy. Sytuacja w Ameryce jest bardziej skomplikowana: mają tam w ciągu roku zastraszającą liczbę morderstw na tle seksualnym. I nie są to dane centralne. Każde miasto ma swoją policyjną jurysdykcję. Rzadko komunikują się między sobą. Jednak ostatnio do akcji wkroczyło FBI. Zestawiają przypadki zabójstw z premedytacją i poszukują morderców seksualnych, którzy podróżują po kraju, zabijając ludzi. Są w trakcie sporządzania banku danych komputerowych. Mam sposób, by do nich dotrzeć, omijając drogę służbową. A na razie dobrze byłoby porozmawiać z Amirą. Wiesz, gdzie się obraca, Jossi?

– Wszyscy trzej słyszeliśmy pogłoski, że wróciła z Jordanu – powiedział Chińczyk. – Mieszka w którymś z miast poza Ammanem. Elias i ja słyszeliśmy, że jest w Suweilih. A Cohenowi powiedziano, że w Hisban. Kiedy usiłowaliśmy zlokalizować pochodzenie tych pogłosek, dowiedzieliśmy się tylko tyle, że ktoś powiedział komuś, usłyszawszy to od kogoś.

– Bardzo niepewne źródło – stwierdził Shmeltzer. – A skoro mowa o pogłoskach, Szin Bet potwierdziła stanowczo, że Darusha jest homoseksualistą. W zeszłym roku miał romans z żydowskim lekarzem. Hadżab, dozorca, spędza wolny czas w domu Daroushy w Ramallah, wykonując rozmaite prace. Możliwe, że są parą. Chcesz, żeby ci z Szin Bet to sprawdzili?

– Nie jest to aż tak istotne – powiedział Daniel, myśląc o tym, co usłyszał o Ben Davida na temat utajonego homoseksualizmu. – Bardziej istotne jest, żeby się skontaktowali z oddziałem operacyjnym Mosadu w Ammanie, w celu namierzenia Amiry.

– Nie byli zachwyceni zdobywaniem danych o burdelu w Bejrucie. To też nie wzbudzi w nich zachwyty, Dani. Bezpieka nie zajmuje się dziwkami. Sprawa nie jest polityczna. Wysłanie jednego z ludzi poza Amman, żeby przeczesywał mniejsze miasta, cholernie rzuca się w oczy.

– Sprawa zaczyna być polityczna – powiedział Daniel. – Laufer powiedział mi, że Syryjczycy przygotowują rezolucję ONZ „oskarżającą syjonistyczną okupację o celową rzeź niewinnych Arabek”. Może się więc okazać, że będą chętniejsi do współpracy, niż się spodziewasz. A poza tym nie chcemy od nich nic poza zlokalizowaniem Amiry.

– A jeśli ją zlokalizują, wtedy co, porwanie?

– Najpierw zobaczymy, czy ją znajdą. Zacznijmy od tego.

– Dobrze – odpowiedział Shmeltzer, myśląc o następnym śniadaniu ze swoją przyjaciółką z Sheratonu. Teraz będzie to czysto służbowe spotkanie. Odkąd poznał Evę, wszystkie inne kobiety wydawały mu się płaskie, jak wycięte z kartonu.

– Macie jakieś pytania? – zapytał Daniel.

Chińczyk uniósł rękę.

– Co będzie, jeżeli dostaniemy coś interesującego od Interpolu lub od Amerykanów?

* Lewantyńczycy – potomkowie europejskich przybyszów osiadłych w krajach Lewantu, zwłaszcza w Syrii i Libanie; termin rzadko używany.

– Sprawdzimy wszystkich, którzy przylecieli do nas w czasie pasującym do obydwu morderstw. Porównamy nasze dane i zaczniemy przesłuchiwać obcokrajowców.

Olbrzym chrząknął.

– Tak, wiem – powiedział Daniel. – Kupa dobrej zabawy.

Zadzwoił telefon. Daniel odebrał i usłyszał intrygująco radosny głos Aviego Cohena:

– Dani?

– Tak, Cohen. Lepiej wytłumacz się, dlaczego nie jesteś na zebraniu.

– Mam swoje powody, Dani – wylewnie powiedział dzieciak. – I to nie byle jakie.

ROZDZIAŁ 44

Było naprawdę zabawnie, pomyślał Avi. Ironia losu.

Opuścił plac Rosyjski i szedł na wybrukowany kocimi łbami parking, nie tracąc dobrego nastroju nawet po czterech godzinach biurowej pracy. Przebrnął przez wszystkie słowa, nikogo nie prosząc o pomoc. Chcąc pokazać Sharaviemu, że gdy się przyłoży, poradzi sobie ze wszystkim.

Bmw stało pomiędzy dwoma nie oznakowanymi samochodami. Otworzył drzwi, wszedł, włączył motor i odjechał z piskiem opon, odprowadzany złymi spojrzeniami dwóch umundurowanych policjantów. Skręcił w *rechow* Jafo i popędził na zachód, by po dwudziestu metrach zahamować tuż za betoniarką, której silnik ryczał jak turbiny odrzutowca.

Korek. Zator na Jafo, kierowcy trąbili, pieszy korzystając z sytuacji, przeciskali się pomiędzy unieruchomionymi samochodami. A vi patrzył, jak konny policjant dmucha w gwizdek i, bez powodzenia, usiłuje pokierować ruchem.

Super, pomyślał, patrząc na zadzierającego nosa oficera. Koń był pięknym arabem, jeździec starszym facetem, wyglądającym na Marokańczyka. Stopień samala, zauważył Cohen. Nie awansował wysoko, ale dobrze trzymał się w siodle. Zachowywał godność wśród zgiełku i spalin.

Pierwszy raz w życiu zobaczył konnego policjanta zaraz po wyzwoleniu w 1967 roku, podczas podróży do Jerozolimy, gdzie ojciec załatwiał jakieś służbowe sprawy. Utknęli w korku, tak jak teraz. Avi, nieśmiały pięciolatek, jadł pestki słonecznika i wypluwał łuski przez okno samochodu. Ojciec walił pięścią w klakson, klął i wściekając się, że asystent administracyjny członka Knesetu zasługuje na lepsze traktowanie.

– Kiedy dorosnę, chciałbym nim być, *abba*.

– Kim? Asystentem administracyjnym?

– Policjantem na koniu.

– Nie gadaj głupstw, synu. Oni są wyłącznie na pokaz, bezużyteczni. Cukierek dla przybyszy z Afryki.

– Oni jedzą cukierki, *abba*?

Ojciec wyrócił oczami, poklepał Aviego po kolanie i powiedział:

– W Iraku i w Maroku Żydom nie wolno było jeździć konno. Arabowie im zabraniali. Więc gdy przyjechali do Izraela, koniecznie chcieli dosiadać koni. Kupiliśmy kilka i powiedzieliśmy, że będą mogli na nich jeździć, jeżeli zostaną policjantami. To dla nich wielka frajda, Avi.

– Ten wcale nie wygląda na zadowolonego, *abba*. Wygląda srogo.

– Jest szczęśliwy. Możesz mi wierzyć. Uszczęśliwiliśmy ich wszystkich, po to jest polityka.

Avi spojrzął w lusterko wsteczne, zobaczył, że światło zmienia się na zielone i stado samochodów rusza, by dołączyć do korka. Zaciągnął hamulec ręczny, wysiadł z bmw i poszedł zobaczyć, co spowodowało zastój.

– Wracaj, idioto! – zawołał ktoś. – Nie stój, kiedy trzeba ruszać!

Avi zlekceważył ryk klaksonów. Mała szansa, żeby się coś poluzowało, pomyślał. Korek ciągnął się aż do skrzyżowania z King George.

– Idiota! Zawalidroga!

Teraz widział, co się stało: zepsuła się taksówka jadąca z przeciwnej strony. Z jakiegoś powodu kierowca usiłował zepchnąć ją na przeciwne pasmo i zablokował ruch w obu kierunkach.

Avi szukał sposobu wydostania się z korka. Jeżeli zajdzie taka konieczność, wskoczy na trotuar. Ale po obu stronach Jafo ciągnęły się sklepy i nie było żadnej bramy.

Wspaniale. Spóźni się na spotkanie z Sharavim. Jemeńczyk nie był zachwycony, gdy Avi opuszczał zebrania zespołu.

Trudno. Będzie zachwycony, gdy dowie się, jak dobrze mu poszło. Cała papierkowa robota skończona.

Usłyszał gwizd, spojrzął w górę i zobaczył policjanta konnego, który machał ręką i kazał mu wsiadać do samochodu. Wyjął odznakę policyjną, ale mundurowy już się odwrócił w inną stronę.

– Na pokaz – powiedział Avi i wsiadł do samochodu. Zamknął okna i włączył klimatyzację. Zapalił papierosa, wyłączył silnik i wsunął taśmę z Culture Club do magnetofonu. *Karma Chameleon*. Ten zwariowany Boy George był dziwaczny jak pięcionogie jagnię, ale naprawdę potrafił śpiewać.

Avi pogłośnił magnetofon i zaczął nucić słowa, których właściwie nie rozumiał, i cieszył się, że sprzyja mu szczęście.

Do diabła z końmi, zebraniem i zwierchnikami. Nic nie jest w stanie popsuć mu humoru. Opadł na oparcie, zsunął się nisko i zaczął wspominać poprzednią noc.

Ironia losu. Naprawdę zabawne, ale omal tego nie przegapił. Ponieważ wystawanie na balkonie stało się jego hobby, dziewczyna z Południowej Afryki zaczęła się wściekać. („Jesteś jakimś podglądaczem, Avraham? Mam ci kupić teleskop?”)

Zazwyczaj udawało mu się ją udobruchać pieszczotami i pierwszorzędnym seksem, małe dodatkowe ruchy, które sprawiają, że dziewczyna wie, że masz na względzie jej przyjemność. Zawsze się starał dać jej dobry wycisk, zmieniał pozycje, przedłużając stosunek, aż była u kresu wytrzymałości, a potem znów przyspieszał, tak że w końcu była naprawdę zmęczona i zapadała w głęboki sen. I nie zdawała sobie sprawy z tego, że on wstawał z łóżka.

I na balkon.

Ostatniej nocy jednak on także był z mordowany. Dziewczyna przygotowała na kolację dwa ogromne steki. Jej kieszonkowe musiało być niebosiężne. Jedyne raz oglądał takie filet mignon, gdy wraz z rodziną podróżował po Europie.

Steki, frytki i sałata. A do tego butelka Bordeaux i połowa tortu czekoladowego. Po tym wszystkim Avi poczuł się odurzony, objedzony, ale nadal zdolny do wypełniania swoich obowiązków. Dziękuję, madame.

Objęła go i chichocząc, zaciągnęła do łóżka. A potem czterdzieści cztery minuty (mierzył czas) solidnego pompowania, z dziewczyną, która ścisnęła go, jakby był jej ostatnią deską ratunku. Avi wyduszał siódme poty, wydalając sfermentowane kropelki wina.

Po tym wyczynie on także był zmęczony. Słuchał rytmicznego oddechu dziewczyny, a potem zapadł w sen bez marzeń.

Po raz pierwszy od czasu śledztwa prowadzonego w Wolfson nie wyszedł na balkon.

A potem usłyszał wrzaski. Nie wiedział, jak długo trwały, zanim się obudził. Dziewczyna także się obudziła, usiadła, przytrzymując prześcieradło na piersi, zupełnie jak na filmie. Przed kim, u diabła, się ukrywała?

Znów krzyki. Avi opuścił nogi na podłogę, potrząsnął głową, żeby oprzytomnieć.

– Avraham – zaskrzeczała dziewczyna. – Co się dzieje?

Wstał z łóżka. Dziewczyna chwyciła go za rękę.

– Avraham!

Popiła sobie i wygląda paskudnie, pomyślał Avi. Zniszczona. Wiedział, że taka właśnie będzie za pięć lat. Nawet trzeźwa. Biegając na balkon, postanowił, że wkrótce z nią zerwie.

– Co jest, Avraham?

– Ciii.

Na podwórku był Malkovsky, bosi i w białym szlafroku, który upodobał go do niedźwiedzia polarnego. Zataczał kółka, goniąc dziecko – dziewczynkę, wyglądającą na dwanaście lat.

Jedną z córeczek, drugą pod względem starszeństwa. Avi zapamiętał ją, bo zawsze wyglądała bardzo poważnie i trzymała się w pewnej odległości od pozostałych sióstr.

Sheindel – tak miała na imię.

Sheindel była w piżamie. Jej jasne włosy, zwykle splecione w warkocze, rozsypały się na ramionach, gdy uciekała przed niedźwiedziem polarnym.

Krzyczała:

– Nie, nie, nie! Nigdy więcej!

– Chodź tutaj, Sheindele! Wracaj. Przepraszam!

– Nie! Zostaw mnie! Nienawidzę cię!

– *Sza still!* Cicho! – Malkovsky niezręcznie wyciągnął rękę, żeby ją schwytać.

Avi popędził do sypialni. Wciągnął spodnie i narzucił koszulę, nasłuchując odgłosów z podwórka.

– Nie! Zostaw mnie! Nienawidzę cię! Aaaa!

– Zatrzymaj się! Rozkazuję ci.

– Nienawidzę cię! Nienawidzę! Aaaa!

Avi zapalił lampę. Południowoafrykańska piękność pisnęła i schowała pod prześcieradłem. Avi zamrugał nienawykłymi do światła oczami. Gdzie się podziały kajdanki? Zawsze gotów, a teraz... Wszystko przez to wino... Są na szafce nocnej. Chwycił je. A teraz spluwa...

– Pomocy! – wrzasnęła Sheindel.

– Stul pysk, głupia dziewucho!

– Nie! Nie! Odejdź! Na pomoc!

Avi odzyskał wzrok. Znalazł rewolwer kaliber. 9, wiszący w pokrowcu na oparciu krzesła, wyrwał broń z pochwy, zatknął za pasek od spodni i pognął do drzwi.

– Czy to terrorysta? – spytała dziewczyna spod prześcieradła.

– Nie. Śpij. – Avi otworzył drzwi, myśląc: bywają różne rodzaje terroryzmu.

Wypadł na klatkę i zbiegł, przeskakując po cztery stopnie naraz. Nabuzowany i dziwnie podniecony. Gdy wybiegł na podwórko, w mieszkaniach wokół pozapalały się światła.

Malkovsky stał zwrócony plecami do niego. Sheindel zniknęła z pola widzenia. Potem Avi usłyszał łkanie i szybki oddech i zdał sobie sprawę, że dziewczynka jest schowana za ojcem. Dała się zapędzić w kozi róg. Malkovsky zbliżał się do niej, rozkładając ramiona.

– Sheindel – przymilał się. – Jestem twoim *tate*.

– Nie! – Łkanie, wdech. – Jesteś – łkanie, wdech – *Rasza?* Zły człowiek!

– Zostaw ją – powiedział Avi.

Malkovsky spojrział za siebie, zobaczył wycelowaną w niego berettę. Miał rozbiegane oczy, trupio bladą spoconą twarz.

– Co? – zapytał.

– Jestem detektywem z policji. Odsuń się od niej, Malkovsky. Połóż się na ziemi.

Malkovsky się wahał. Avi podszedł bliżej, nie opuszczając broni. Malkovsky odstał do tyłu. Avi chwycił połą białego szlafroka jedną ręką, otoczył nogą jego kostkę i rzucił go na ziemię, stosując chwyt judo, którego nauczył się na treningu.

Im większy przeciwnik, tym łatwiej go przewrócić, pomyślał, patrząc, jak Malkovsky

pada twarzą w dół. Według słów instruktora, miało to coś wspólnego z dźwignią, ale Avi nigdy dotąd w to nie wierzył.

Pracując szybko i sprawnie, odczuwając radość z powodu własnej kompetencji, wykręcił rękę Malkovsky'ego za plecy. Otyłość mężczyzny utrudniała założenie kajdanków, ale Avi szarpnął mocniej i zatrzasnął kajdanki na tłustych owłosionych nadgarstkach.

– Oj, to boli – zawołał Malkovsky. Oddychał szybko i ciężko. Odwrócił głowę na bok i Avi spostrzegł krew spływającą po wąsach i brodzie. Poranił się, upadając.

– Csk, csk – cmoknął Avi, sprawdzając, czy kajdanki dobrze się trzymają.

Malkovsky jęknął.

Byłoby zabawnie, gdyby tłusty łajdak wyzionął teraz ducha. Na zawał albo coś w tym rodzaju. Prawdziwa sprawiedliwość. Ale byłyby kłopoty z biurokracją.

– Oj.

– Zamknij się.

Uporawszy się z Malkovsky'm, Avi rozejrzał się za dziewczynką. Siedziała na ziemi, podciągnąwszy kolana pod brodę, z głową schowaną w ramionach.

– Już dobrze – powiedział. – Wszystko w porządku.

Małym ciałkiem wstrząsały konwulsje. Avi chciał ją jakoś pocieszyć, ale nie wiedział, czy dotykanie jej byłoby teraz wskazane.

Na podwórku rozległy się kroki. Nadchodziła para starszych ludzi. Sąsiedzi, którzy chcieli sprawdzić, co się dzieje. Avi pokazał im swoją odznakę i powiedział, żeby wrócili do domu. Popatrzyli na rozpląszczone cielsko Malkovsky'ego. Avi powtórzył polecenie i tym razem go usłuchali. Na podwórze wychodzili nowi mieszkańcy. Avi wrzeszczał, żeby się wynosili, aż wreszcie został tylko z Malkovsky'm i jego córką. Ale słyszał, że gapie otwierają okna, szepczą i mamrocą. Widział ich sylwetki, odcinające się na tle okien.

Prawdziwi podglądacze. Cholerne widowisko.

Gdzież, u diabła, podziewa się matka?

Malkovsky zaczął się modlić. Avi słyszał już tę modlitwę, ale nie potrafił sobie przypomnieć gdzie.

Dziewczynka pochlipywała. Położył dłoń na jej ramieniu. Cofnęła się gwałtownie.

Powiedział Malkovsky'emu, żeby nie ważył się ruszyć i, nie spuszczać oczu z Sheindel, podszedł do drzwi jego mieszkania. Nie zdążył zastukać, a już otworzyła mu żona. Musiała tam stać przez cały czas.

Patrzyła na Aviego w milczeniu. Miała długie i jasne włosy, po raz pierwszy widział ją z odkrytą głową.

– Niech pani wyjdzie na zewnątrz – poprosił A vi.

Szła powoli, jakby pogrążona we śnie. Spojrzała na męża i zaczęła go przeklinać w jidysz.

Dobrze, posłuchaj sobie, pomyślał Avi: „gnój”, „kurwiarz”. Nie spodziewał się, że nabożna kobieta może znać takie wyrazy.

– Bayła, proszę – powiedział Malkovsky. – Pomóż mi.

Żona podeszła, uśmiechnęła się do Aviego i zaczęła kopać tłuszczocha w zębra.

Malkovsky ryczał z bólu, wił się bezsilnie, jak wół ciągnięty na rzeź.

Sheindel gryzła palce, żeby nie krzyczeć.

Avi odciągnął żonę od Malkovsky'ego i powiedział:

– Niech pani przestanie i zajmie się córką.

Pani Malkovsky wygięła palce jak szpony, spojrzała na męża i splunęła na niego.

– *Momzer! Meeskeit! Szojn opgetrent?*

Sheindel przestała gryźć knykcie i zawyla.

– Oj – jęknął Malkovsky i modlił się, podczas gdy żona go przeklinała. Teraz Avi rozpoznał modlitwę: *El male rachamim*, modlitwa o śmierć.

– *Sztik dreck! Jencer!* – wrzasnęła Bayla Malkovsky. – *Szojn opgetrent? Szojn opgetrent... gai in drerdarein!* – Rzuciła się na Malkovsky’ego. Avi przytrzymał ją. Wiła się w jego uchwycie, spluwając i przeklinając, a potem zaczęła go drapać, usiłując dosięgnąć oczu.

Avi uderzył ją dłonią w twarz. Spojrzała na niego ogłupiała. Ładna kobieta, jeśli pominąć ponury wyraz twarzy, histerię i workowatą suknię. Zaczęła płakać, zaciskając zęby, żeby powstrzymać łzy. Tymczasem dziewczynka łkała z całego serca.

– Uspokój ją – nakazał matce. – Na miłość boską, rób, co do ciebie należy.

Pani Malkovsky przyłączyła się do córki i obie łkały w zgodnym duecie.

Świetnie. Jom Kippur.

– Oj – wołała, rwąc sobie włosy z głowy. – *Ribojnoj szel ojlam!*

– Żadne oj – powiedział Avi. – Bóg pomaga tym, którzy sobie pomagają. Gdyby od początku robiła pani, co do niej należy, nie doszłoby do tego.

Zawstydzona kobieta przestała łkać. Wyrwała sobie sporą garść włosów i gwałtownie podrzucała głowę. W górę i w dół, w górę i w dół, jak jakiś zepsuty robot.

– Zajmij się córką – zawołał Avi, tracąc cierpliwość. – Idźcie do domu.

Kobieta dała za wygraną, podeszła do córki i lekko dotknęła jej ramienia. Dziewczynka uniosła mokrą od łez twarz. Matka rozwarła ramiona, oferując pociechę.

Avi patrzył, jaka będzie reakcja dziewczynki.

– Sheindele – powiedziała pani Malkovsky. – *Bubbele.* – Uklękła przy córce i objęła jej głowę. Sheindel pozwoliła się objąć, ale nie objęła matki.

Cóż, pomyślał Avi, dobrze, że jej nie odepchnęła. Więc może coś je jeszcze łączy. Ale żeby matka godziła się na coś takiego...

Pani Malkovsky wstała i podniosła Sheindel.

– Idźcie do domu – powiedział Avi, zdumiony własnym tonem.

Zniknęły za drzwiami.

– Teraz zajmę się tobą – Avi zwrócił się do Malkovsky’ego.

Tłuścioch chrząknął.

– Co tu się dzieje? – odezwał się jakiś nowy głos. – O co chodzi?

Na podwórku pojawił się mały ‘łysy człowieczek z siwymi wąsami. Wyglądał śmiesznie w sportowej wiatrówce, narzuconej na pizamę. Greenberg, zarządzający budynkami. Avi widywał go już wcześniej.

– Ty – powiedział Greenberg, patrząc na beretkę. – Stale cię widzę na basenie i na korcie tenisowym.

– Jestem detektyw Cohen. Wypełniam specjalne zadanie i chcę, żeby pan zatelefonował na komendę.

– Co on zrobił?

– Złamał prawa boskie i ludzkie. Niech pan pójdzie do swego mieszkania, wykręci numer 100 i powie telefonistce, że detektyw Avraham Cohen potrzebuje policyjnej karetki, którą należy wysłać na tutejszy adres.

Malkovsky znów zaczął się modlić. Akompaniowały mu szepty i skrzypienie otwieranych okien.

– To miłe miejsce, bardzo spokojne – powiedział Greenberg, starając się pogodzić z rzeczywistością.

– Więc niech nadal takim zostanie. Niech pan zatelefonuje, zanim ludzie zorientują się, że wynajmuje pan mieszkania niebezpiecznym przestępcom.

– Przestępcy? Nigdy...

– Numer 100 – przerwał Avi. – Pośpiesz się pan. Bo jak nie, zastrzelę go na miejscu i będzie miał pan dużo sprzątanina.

Malkovsky jęknął.

Greenberg pobiegł do domu.

ROZDZIAŁ 45

Sekretarka Laufra lubiła pakada Sharawiego, zawsze uważała, że jest miłutki, jeden z najmilszych. Więc gdy wszedł do pokoju, uśmiechnęła się, spodziewając się przyjemnej pogawędki. Ale on, zamiast usiąść, przeszedł obok niej.

– Nie może pan tego zrobić, pakad! – zawołała zaskoczona. – Tam trwa narada!

Daniel zlekceważył jej protesty i otworzył drzwi.

Zastępca komendanta konferował z syfonem wody sodowej, gładząc metal i spoglądając na przycisk. Na widok Daniela szybko odstawił syfon i powiedział:

– O co chodzi, Sharavi?

– Muszę wiedzieć, gdzie on jest.

– Nie mam czasu na te bzdury, Sharavi. Proszę natychmiast wyjść.

– Nie wyjdę, dopóki nie powie mi pan, gdzie on jest, tat nicaw.

Zastępca komendanta zerwał się z krzesła, obiegł biurko, podszedł do Daniela i zatrzymał się tak blisko niego, że omal go nie potrącił.

– Wynocha.

– Chcę wiedzieć, gdzie jest Malkovsky.

– Nie powinien pana obchodzić.

– Jest moim podejrzanym. Chcę go przesłuchać.

– Wyjść.

Daniel nie przejął się tym.

– Malkovsky jest podejrzanym w sprawie o morderstwo. Muszę z nim porozmawiać.

– Głupie gadanie – powiedział Laufer. – On nie jest Rzeźnikiem. Osobiście się upewniłem.

– Jakie dowody przytoczył, żeby przekonać pana o swojej niewinności?

– Niech pan mnie nie usiłuje przesłuchiwać, Sharavi. Wystarczy, że stwierdzę, że jest poza obszarem pańskiego działania.

Daniel gniewnie wzruszył ramionami.

– Ten człowiek jest niebezpieczny. Gdyby Cohen go nie zatrzymał, wciąż gwałciłby dzieci, korzystając z oficjalnej protekcji.

– Ach, Cohen – rzucił zastępca komendanta. – Jeszcze jeden objaw braku subordynacji, za który pan – i on-będziecie odpowiadać. Oczywiście, oskarżenie wobec Cohena będzie łagodniejsze z powodu jego niedoświadczenia. Niewłaściwy przykład dawany przez oficera kierującego sprawą.

– Cohen był...

– Tak, wiem, Sharavi. Dziewczyna w Wolf son, jeden z owych małych zbiegów okoliczności. – Laufer wskazał palcem w kierunku nieba. – Niech pan mnie nie obraża swymi gierkami. Zachciewa się panu zabawy, proszę bardzo. Oto nowa gra, zwana zawieszeniem. Jest pan odwołany od sprawy Rzeźnika, od wszystkich spraw, bez wynagrodzenia, do czasu dyscyplinarnego kolegium. Gdy z panem skończę, wyląduję pan w Katamon Tet, kierując ruchem.

– Nie – powiedział Daniel. – To moja sprawa. Nie oddam jej Laufer patrzył na niego zdumiony.

– Postradał pan zmysły?

A gdy Daniel nie odpowiedział, zastępca komendanta wrócił za biurko, usiadł, sięgnął po oprawny w skórę kalendarz i zaczął w nim notować.

– Niech pan spróbuje zadzwonić do Australii, jeśli pan sądzi, że piękniś zdoła panu pomóc. Pańska protekcja dawno przestała działać. – Zastępca komendanta roześmiał się głośno. – Zabawne, bo to przez pana. – Laufer wziął z biurka opakowanie English Ovals, stwierdził, że jest puste, zgniótł je i odłożył. – Robi pan wiele hałasu, szkodząc samemu sobie, jak mały brązowy szczur grzebiący w śmietniku.

– Gdybym nie grzebał w śmieciach – rzekł Daniel – nadal by pan przekładał papiery w Beerszewie.

Laufer wydał zduszony kwik i uderzył pięścią w blat biurka. Oczy wylazły mu z orbit, a twarz nabrała purpurowej barwy. Daniel patrzył, jak przełożony robi głęboki wdech, a potem wypuszcza powietrze przez zeszywniałe wargi, zaciska grube paluchy rozpostarte na biurku.

A potem nagle się uśmiecha. Chłodnym, porozumiewawczym uśmiechem.

– Aha. Teraz rozumiem. Teraz to, a przedtem bicie Rashmawiego, stara się pan o rentę ze względu na wyczerpanie psychiczne?

– Nic mi nie jest – powiedział Daniel. – Chcę pracować nad moją sprawą. Wolę łapać kryminalistów, niż ich osłaniać.

– Nie ma pańskiej sprawy. Od tej chwili jest pan zawieszony. – Laufer nadstawił mięsistą dłoń. – Odznaka.

– Pan nie mówi poważnie.

– Co?

– Jeżeli stąd wyjdę jako zawieszony, pierwsze kroki skieruję do prasy.

– Wszelkie kontakty z prasą są zabronione. Złamię pan rozkaz, i jest pan skończony na dobre.

– W porządku – powiedział Daniel. – Jestem uczulony na ruch uliczny.

Laufer odchylił się na oparcie krzesła, przez chwilę spoglądał w sufit, a potem spojrzał na Daniela.

– Sharavi, Sharavi, naprawdę sądzi pan, że boję się pańskich pogrózek? Jeśli zacznie pan mówić, co to da? Mały pyskawy detektyw, niezdolny do rozwiązania sprawy, którą mu przydzielono, stara się odwrócić uwagę od własnej nieudolności, uskarżając się na przełożonych. Kiepska sprawa, nawet na warunki miejscowe.

Zastępca komendanta splótł ręce na brzuchu. Twarz miał spokojną, niemal uszczęśliwioną, ale nadal bębnił palcami o blat biurka.

Nie umie blefować, pomyślał Daniel. Shoshi przejrzałaby go na wylot.

– Nie mam zamiaru rozmawiać z miejscowymi dziennikarzami – powiedział Daniel. – Pójdę do zagranicznych. Międzynarodowa prasa uwielbia takie rzeczy: gwałciciel dzieci, chroniony przez policję, skrada się ulicami Jerozolimy. „Podejrzany, osobisty protegowany zastępcy komendanta, Avigdora Laufra, został przyłapany na molestowaniu własnej córki. Oficer, który go zaaresztował, został dyscyplinarnie... „

– To sięga znacznie wyżej niż do Avigdora Laufra, głupcze! Nie zdaje pan sobie sprawy, z kim ma pan do czynienia!

– Im wyżej, tym lepiej. Będą to jedli łyżkami.

Laufer znów zerwał się z krzesła.

– Spróbuj to zrobić, a będziesz skończony, na zawsze: zniszczone świadectwa pracy, utrata ubezpieczenia społecznego, bez emerytury, bez przyszłości. Nikt cię nie przyjmie do przyzwoitej pracy. Będziesz miał szczęście, jeśli znajdziesz robotę przy uprzątnięciu gówna z Arabami.

– Tat nicaw – rzekł Daniel – niewiele o sobie wiemy. Proszę się zapoznać z moją sytuacją. Od dnia ślubu moi teściowie usiłują mnie zwabić do Ameryki. To dobrzy Żydzi, głęboko wierzący w państwo Izrael, ale chcą mieć córkę przy sobie. Oferują mi dom, samochód, sfinansowanie wykształcenia moich dzieci oraz pracę w korporacji teścia. Bardzo przyzwoitą pracę: kierownicze stanowisko, regularne godziny i więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek zarobię tutaj, więcej niż pan kiedykolwiek zarobi. Jedyne, co mnie tu trzyma, to właśnie moja praca, właściwe jej wykonywanie.

Zastępca komendanta milczał. Daniel wyjął odznakę z portfela.

– Chce pan ją?

– Niech cię diabli – zawołał Laufer. – Idź do diabła.

Całe szczęście, że jest gryziopiórkiem, a nie detektywem. Al Birnbaum nigdy nie posiadał korporacji, spędził życie na dostarczaniu papieru drukarniom. Ale to dawne dzieje; od dziesięciu lat był na emeryturze.

ROZDZIAŁ 46

Opuścił gabinet Laufra i wrócił do swego pokoju. Postawił na swoim, ale zwycięstwo go nie cieszyło.

Stracił szansę przesłuchania Malkovsky'ego, bo Cohen dokonał aresztowania w pojedynkę. I jeśli gwałciciel dzieci był zabójcą, nigdy się o tym nie dowiedzą. Sprawa pozostanie nie rozwiązana, jak w przypadku Szarego Człowieka.

Zastanawiał się, czy ma wezwać Cohena, zmyć mu głowę i usunąć z zespołu. Ale dzieciak uratował córkę Malkovsky'ego, jego postępowanie na miejscu zatrzymania było bez zarzutu, a intencje jak najlepsze. Nie mógł podejrzewać, co się działo w czasie, gdy on pocił się nad papierami.

Z dobrym skutkiem. Wszystkie szczegóły aresztowania dokładnie udokumentowane na odpowiednich formularzach, pismo bez zarzutu, ani jednego błędu ortograficznego. Musiał nad tym spędzić większą część nocy. W tym czasie – żegnaj, Malkovsky. Wywieziony tylnymi drzwiami pod policyjną eskortą, skuty kajdankami z jednym z członków Szin Bet, przebrany za chasyda. Szybka jazda na Ben Gurion, ominięcie kontroli paszportów oraz ochrony i miejsca w pierwszej klasie dla obojgu w najbliższym odrzutowcu El Al na lotnisko Kennedy'ego.

Potężny skandal został szybko zażegnany. Ludzie wkrótce zapomną. Z pewnością przydarzą się ciekawsze rzeczy. Daniel postanowił szybko wykorzystać sytuację, zanim afery całkiem przycichnie: osaczyć obrońcę Anwara Rashmawiego, skończyć z bzdurami na temat przesłuchań dyscyplinarnych i wydobyć od Laufra, jak przebiegło przesłuchanie Malkovsky'ego. Jeżeli można to było tak nazwać – trzy lub cztery szybkie pytania w pomieszczeniu na zapleczu lotniska, a potem do widzenia. Baba z wozu, koniom łżej. Przyciśnięty przez Daniela zastępca komendanta zgodził się również na to, by Mosad skontaktował się ze śledczymi w Nowym Jorku, aby przesłuchali Malkovsky'ego w związku z morderstwami Fatmy i Juliet.

Triumf wyłącznie symboliczny, ponieważ, w świetle odkrycia zakrwawionej skały w jaskini, Daniel przestał uważać Malkovsky'ego za podejrzanego. Facet był otyły i w złej kondycji, w więzieniu uskarżał się na brak powietrza w celi. Badający go lekarz stwierdził niebezpiecznie wysokie ciśnienie. Niemożliwe, by w tym stanie zdrowia dźwigał ciało ofiary przez pustynię. Choć możliwe, że wchodził w skład morderczej grupy, której istnienie podejrzewał Shmeltzer.

Morderczy chasydzi – istne szaleństwo.

Ale nie w tym problem. Zwierzchnictwo nic nie wiedziało o jaskini, wysyłając Malkovsky'ego do Nowego Jorku. Wkroczyło w kompetencje Daniela, skalało je polityką.

Takie rzeczy zdarzały mu się już wcześniej, lecz tym razem nie chciał tego przepuścić.

Ryj w śmieciach.

Zadzwoń do Australii.

Zaczął rozmyślać o Gavrielim, zastanawiał się, czy podoba mu się w Melbourne, jak sobie radzi z obowiązkami attache ambasady. Wspaniały Gideon doskonale się prezentował w

smokingu, umiał konwersować na przyjęciach, wiedział, jakie pić wino. A jednak Daniel był przekonany, że jest daleki od zadowolenia.

Ryć w śmieciach i wszczynać raban. Kąsać rękę, która go karmiła. I to dobrze karmiła, nie jakimiś odpadkami.

Laufer to głupiec, ale jego słowa otworzyły stare rany.

Choć wtedy nie miał wyboru.

Wciąż się zastanawiał, dlaczego zlecono mu sprawę Lippmanna. Gavrieli nigdy mu tego nie powiedział, unikał Daniela od czasu złożenia raportu.

Z pewnością wiedział, że prawda wyjdzie na jaw.

A może liczył na jej ukrycie lub nieskuteczne śledztwo? Całe gadanie na temat talentów Daniela było tylko sprytnym wybiegiem, służącym zawładnięciu nowym pionkiem?

Gavrieli zawsze umiał mówić.

Poznali się w 1967 roku, na początku maja, zaraz po Passze, na treningowym obozie wojskowym koło Ashold. Piękna wiosna, sucha i balsamiczna, ale w bazie pojawiły się pogłoski, że Nasser zamierza przenieść swoje oddziały na Synaj. Nikt nie był pewien, co się stanie.

Daniel miał wtedy dziewiętnaście lat, rok po jesziwie, był świeżo wyszkolonym komandosem, wciąż wspominającym skoki ze spadochronem – śmiertelny strach przed rzuceniem się w przestworza. Skierowany do 66 Batalionu, wrócił do bazy w stopniu sierżanta, w czerwonym berecie i butach komandosa. Tak nowiutkich, że czuł się w nich jak przystrojony w kostium na święto Purim.*

W roku 1966 poddano go serii testów fizycznych i psychologicznych, a następnie przydzielono do jednostki komandosów. Dowódcą był Gideon Gavrieli. Z tego, co o nim słyszał, Daniel spodziewał się kogoś o wygarbowanej skórze, lecz ujrzał wysokiego, ciemnowłosego i niebieskookiego mężczyznę o prezencji aktora filmowego oraz o wielkiej dozie arogancji.

Gideon Wspaniały. Zaledwie o sześć lat starszy od Daniela, ale dojrzalszy o całe dziesięciolecie. Obydwoje rodzice byli prawnikami i liczyli się w partii sprawującej rząd, na dodatek ojciec – emerytowany generał. Szczęśliwe dzieciństwo w willi w Zahala, lekcje konnej jazdy w Caesarea Country Club, abonamenty do filharmonii i do Habimach, wakacje spędzane za granicą. Następnie trzy udane lata w wojsku, odznaczenia dla strzelca wyborowego, ranga kapitana w wieku dwudziestu lat, i prosto na Uniwersytet Hebrajski, gdzie został wybrany na przewodniczącego studenckiej braci. Miesiąc po tym, jak ukończył studia na wydziale prawa, zaczęło wrzeć na południowej granicy, więc wezwano go do wojska, by objął rozkazy. Powiadano, że wkrótce zostanie majorem, jednym z najmłodszych, i na pewno na tym nie poprzestanie.

Natychmiast upatrzył sobie Daniela, wezwał go do dowództwa, poczęstował waflami i rozpuszczalną kawą.

– Jesteś Jemeńczykiem.

– Tak.

– Powiadają, że Jemeńczycy są inteligentni. Czy ciebie też to dotyczy?

– Nie do mnie należy odpowiedź.

– Nie czas na skromność. Nieważne, co na ten temat słyszałeś. Egipcjanie nas zaatakują. Wkrótce będziecie strzelać nie tylko do papierowych celów. Jesteś inteligentny czy nie?

– Jestem.

– Dobrze. Cieszę się, że to przyznajesz. Mogę ci powiedzieć, że testy to potwierdziły. Chcę, żebyś w przyszłym tygodniu zdał jeszcze kilka egzaminów. Chcą cię awansować na porucznika. Spodziewam się, że otrzymasz doskonale stopnie. Czy to jasne?

* Purim – święto przypadające 14 dnia miesiąca *adar* (zaczynającego się w lutym lub marcu), upamiętniające zwycięstwo Żydów w Persji. W dniu tym dzieci, a czasem i dorośli przebijają się w fantazyjne stroje.

- Tak.
- Powiedz mi, czym się zajmuje twój ojciec?
- Jest jubilerem.
- W razie gdybyś przeżył, co planujesz zrobić ze swoim życiem?
- Nie wiem.
- Parasz się jubilerstwem?
- Trochę.
- Ale nie jesteś tak dobry jak twój ojciec?
- Nie.
- I nigdy nie będziesz?
- Nigdy.
- Często przypadek. Myślałeś o innych zawodach?
- Myślałem o prawie.
- Zapomnij o tym. Jemeńczycy są zbyt prostolinijni, by stać się dobrymi prawnikami. Co jeszcze?
- Nie wiem.
- Dlaczego?
- Nie zastanawiałem się nad tym.
- Błąd. Zaczynj się zastanawiać już teraz, Sharavi. Nie ma sensu unosić się na wodzie, gdy możesz się nauczyć pływać.

Cztery tygodnie później czołgali się w ciemności po błotnistym zboczu na północny wschód od Scopus, ku ufortyfikowanym okopom, otaczającym Wzgórze Amunicji. Dwaj niedobitkowie spośród pięcioosobowej grupy, wysłanej, by zlikwidować snajperów z Legii Arabskiej.

Ziemia niczyja. Przez dziewiętnaście lat Jordańczycy umacniali swoją stronę wzgórze, pozostając na pozycjach w oczekiwaniu *diihadu*: okopy – czterdzieści obramowanych betonem ran, zadanych zboczu wzgórze, niektóre tak dobrze zamaskowane, że nie było ich widać nawet za dnia.

Teraz była noc. Trzecia nad ranem, w godzinę po rozpoczęciu ataku. Najpierw grunt został przygotowany przez bombardowanie artyleryjskie; następnie wykorzystano czołgi do zlokalizowania min nieprzyjaciela. W ślad za nimi przybyli saperzy ze swoim hałaśliwym sprzętem, wysadzili zasieki – izraelskie i jordańskie – które dzieliły zbocze od zawieszenia broni w 1949 roku.

W innych miejscach działały Izraelskie Siły Lotnicze – niszcząc odrzutowce Nassera, zanim zdążyły się oderwać od ziemi. Syryjczycy przełknęli gorzką pigułkę w Golan. Ale Jerozolima była zbyt cenna, znajdowało się w niej zbyt wiele świętych miejsc, by ryzykować powietrzny atak na wielką skalę.

Co oznaczało walkę wręcz, żołnierz przeciwko żołnierzowi.

Obecnie po obydwu stronach pozostali zdesperowani mężczyźni. Oddziały Arabskiej Legii Husajna skryły się w dwóch długich bunkrach na szczycie wzgórze, skąd posuwali się w dół siecią okopów. Wojownicy z 1966 pełzli w górę, jak robactwo. Mierząc postęp na metry, ścigając się ze wschodzącym słońcem – z okrutnym światłem poranka, które oświetli ich jak pluskwy na prześcieradle.

Ostatnie pół godziny było istnym koszmarem artyleryjskiego ognia zaporowego i wrzasków, trzasku rozłupywanych drzew oliwnych, wołania o nosze i sanitariuszy, jęków konających, które rozlegały się echem dłużej, niż dałoby się to wytłumaczyć prawami fizyki. Oddalona o trzysta metrów na południowy zachód Stara Brytyjska Szkoła Policyjna stała w płomieniach. Magazyny UNRWA, używane przez Jordańczyków do strzelania z zasadzki, przypominały ognisko. Z pozycji zajmowanych przez Legię wlatywały po zakrzywionych trajektoriach pociski artyleryjskie, a za nimi granaty i ogień broni automatycznej, ryjący

ziemię morderczymi wybuchami, rozsiewający gorące metalowe ziarno, które nigdy nie wyda owoców.

Pierwsi dwaj żołnierze z kompanii padli jednocześnie, w kilka sekund po wyruszeniu ku płytkiemu okopowi, który znajdował się przed Oenzetowskim zbiornikiem wody. Trafił ich ukryty snajper, którego nie objął zasięg podczerwieni. Trzeci zginął kibucnik o rumianych jak jabłka policzkach, Kobi Altman. Upadek jego towarzyszy skłonił go do improwizacji – poderwał się i, wystawiając się na widok, rzucił się biegiem w stronę okopu, ostrzeliwując go ze swego uzi. Zabijając Jordańczyków, dopóki nie został ustrzelony przez jedenastego z kolei. Korzystając z osłony, Gavrieli i Daniel popędzili naprzód, strzelając na ślepo do okopu, i wykończyli ostatniego legionistę.

Gavrieli ukląkł na krawędzi okopu i zlustrował go, trzymając uzi w pozycji gotowości. Daniel zarzucił sobie ciało Kobiego na ramię i czekał.

Żadnych dźwięków, żadnego ruchu. Gavrieli skinął głową. Schylili się i zaczęli powoli posuwać się w górę. Gavrieli wziął Kobiego za nogi, aby podzielić się ciężarem. Szukali bezpiecznego miejsca, by złożyć ciało, korzystnej pozycji, gdzie granat wzniosłby się wysokim łukiem rzucony od podstawy wieży ciśnię. Ich plan był prosty: osłaniani przez wybuch, pobiegną w kierunku wielkiego bunkra w północno-zachodniej części zbocza, gdzie stacjonują dziesiątki legionistów, strzelając bez ostrzeżenia. Rzucając więcej granatów, w nadziei, że beton ustąpi. Jeżeli przeżyją, wrócą po ciało Kobiego.

Gavrieli oglądał zbocze, szukając kryjówek. Wreszcie wskazał grube drzewo oliwne. Przesunęli się o dwa metry, zanim grzmot wystrzałów nie cofnął ich z powrotem do okopu.

Znowu rozległy się strzały. Ziemia pod Danielem drżała. Czuł, że jest podrzucany jak piórko. Przywarł do podłoża i wpił się w nie paznokciami, aby nie upaść na stertę ciał, wypełniających okop. Czekał.

Strzały ucichły.

Gavrieli znów wskazał drzewo. Z wielkiego bunkra wzleciał pocisk smugowy i rozerwał się w przestworzach, oświetlając szkarłatem twarz dowódcy. Nie było na niej śladu arogancji – wyglądała staro, umazana pyłem i wyniszczona, skurczona smutkiem i zmęczeniem.

Zaczęli się czołgać w stronę młodego drzewa, tam gdzie zostawili ciało Kobiego. W jednej chwili obaj obejrzeni się na dźwięk docierający z okopu.

Wypełzał stamtąd człowiek, jedno z ciał ożyło. Upiór wstał, chwiejąc się w ciemności i ściskając karabin, wypatrywał celu.

Gavrieli wycelował w pierś zjawy.

Człowiek uskokzył. Daniel padł i odczołgał się w ciemność. Z uzi na ramieniu. Chciał sięgnąć po broń, ale obawiał się, że każdy ruch może zdradzić jego pozycję.

Jordańczyk się zbliżał. Strzelając w miejsce, w którym przed chwilą był Daniel. Nie trafiał, ale pociski lądowały coraz bliżej celu.

Daniel usiłował się odturlać. Zarośla cicho trzeszczały. Serce waliło mu jak młotem. Był pewien, że legionista je słyszy.

Jordańczyk przystanął. Daniel słyszał jego oddech.

Jordańczyk wystrzelił. Daniel się odturlał.

Chwila ciszy, ciągnąca się w nieskończoność. Omal nie pękły mu płuca.

Gavrieli jęknął. Jordańczyk odwrócił się, wycelował, gotów z nim skończyć.

Daniel wzniosł się na klęczki, jednocześnie ujmując uzi. Legionista usłyszał to, zrozumiał, co się dzieje, i w ułamku sekundy powziął decyzję – tego z prawej – strzelając do nie zranionego wroga.

Daniel nie miał szansy, aby odpowiedzieć ogniem. Padł na ziemię, poczuł, że pocisk przeleciał tuż obok skroni.

Jordańczyk nie przestawał strzelać. Daniel przywarł do podłoża, pragnąc się zapaść, tęskniąc za bezpieczeństwem grobu.

Padając, zgubił uzi, który szczęknął o skałę. Jordańczyk obrócił się i strzelił w karabin.

Daniel rzucił się do przodu i chwycił Jordańczyka za kostki nóg. Razem potoczyli się do rowu.

Sapali i dyszeli, drapali i gryźli, turlając się we krwi i błocie. Bliźnięta syjamskie. Karabiny uwięzły pomiędzy ich ciałami, niczym jakaś śmiertelna pępowina. Przywierali do siebie w śmiertelnym uścisku. Pod nimi znajdowała się podściółka z martwych ciał, uginająca się i jeszcze ciepła, cuchnąca krwią i kordytem oraz zatęchłymi wyziewami z rozluźnionych kiszek.

Daniel upadł twarzą na tę podściółkę, poczuł, jak martwa dłoń muska jego wargi nie ostygłymi jeszcze palcami. Lepka maź lgnęła mu do skóry. Przeturlał się, obejmując karabin ramionami. Jordańczykowi udało się zyskać przewagę i wyrwał broń z jego rąk.

Legionista nie miał czapki. Daniel złapał go za włosy i przyciągnął mężczyznę ku sobie. Spozrzegł, że jest młody, ma policzki bez zarostu, wąskie wargi i pierzasty wąsik.

Usiłował ugryźć go w brodę.

Jordańczyk się wywinął. Walczyli o karabin, unikając bagnetu, który sterczał z lufy.

Nagle Jordańczyk wypuścił karabin. Daniel poczuł spotniałe dłonie, zaciskające się na jego szyi. Płynąca z wnętrza ciemność zlewała się z ciemnością nocy. Modlił się, by ucisk palców zelżał, wściekle kopiąc Jordańczyka w krocze.

Jordańczyk wrzasnął z bólu. Turlali się po masie martwych ciał. Daniel poczuł, że bagnet musnął mu policzek. Poszukał oczu Jordańczyka, umieścił kciuk w dolnej części oczodołu i wcisnął palec ku górze, wydzierając gałkę oczną.

Legionista znieruchomiał na ułamek sekundy, a potem ból i wstrząs podwoiły jego siłę. Wpił zęby w ramię Daniela i zacisnął szczęki. Daniel wyłamał mu trzy palce, które pękały z trzaskiem jak patyki.

Nie do wiary, ale Jordańczyk wciąż się trzymał. Zgrzytał zębami i pomrukiwał, bardziej automat niż człowiek. Wyrwał się z morderczego uścisku, uniósł karabin i uderzył kolbą w splot słoneczny Daniela. Podściółka z martwych ciał zamortyzowała uderzenie, ale Daniel poczuł, że uszło z niego powietrze. Obolały i chwilowo bezsilny, patrzył, jak pozbawiony oka Jordańczyk wykrzywia wargi w bezgłośnym wyciu i jeszcze raz unosi karabin, bez zamiaru strzelania, usiłując zabić Żyda w bardziej intymny sposób: przebić bagnetem.

Zostanę zabity przez zjawę, pomyślał Daniel, starając się złapać oddech, gdy bagnet runął w dół. Odturlał się ostatkiem sił i ostrze bagnetu miękko weszło w martwe ciało. Legionista wypuścił karabin. Daniel sięgnął, by go chwycić.

Nie dość szybko – Jordańczyk miał go znowu. Ale teraz wrzeszczał, błagał Allacha o litość, macał ręką swoją okaleczoną twarz. Gałka oczna dyndała na więzadle, uderzając w policzek. Wyglądała jak jakiś makabryczny rekwizyt teatralny. Był wstrząśnięty okropnością swoich obrażeń.

Daniel usiłował się podnieść, poczuł, że się zapada w torsach i sflaczałych członkach.

Jordańczyk starał się połamanymi palcami wepchnąć oko na miejsce. Macał niezręcznie, podczas gdy druga jego ręka dziko wymachiwała bagnetem.

Daniel chwycił poruszający się karabin, trafiając na metal, nie na drewno. Zauważył, że ostrze bagnetu rozcina mu lewą dłoń. Poczuł ostry przesywający ból od palców po rdzeń kręgowy. Zamknął oczy, dzwoniło mu w uszach. Starał się cofnąć rękę, ale pozostała nadziana na bagnet, podczas gdy Jordańczyk obracał bagnetem, wpychając go głębiej i niszcząc tkanki.

Ten obraz destrukcji, on sam, jeszcze jeden odpadek ludzki na stosie wypełniającym okop, dodał mu sił.

Uniósł obie nogi i kopnął, wyginając ciało w łuk. Zraniona ręka pozostała przyszpilona do podściółki z martwych ciał.

Rzucił się resztą ciała na Jordańczyka, nie dbając o ognistą masę, którą stała się jego lewa

ręka, pragnąc, by owa reszta pozostała nienaruszona.

Rwąc się ku górze, czuł, że ostrze bagnetu obraca się, tnie, piłuje nerwy, więzadła, ścięgna. Zaciskając zęby, wędrował gdzieś poza ból, podczas gdy jego stopy natrafiły na szczękę Jordańczyka i Daniel był w końcu wolny.

Karabin upadł na bok, rozrywając nową porcję ciała. Wyrwał bagnet z ręki, oswobadzając poszarpane tkanki.

Jordańczyk przyszedł do siebie po kopniaku i znów starał się ugryźć Daniela. Ten zaś uderzył dłonią zdrowej ręki w nos Jordańczyka. Jordańczyk upadł. Daniel za nim, drąc mu twarz jak rozszałały szakal, odrywając ucho, wydłubując drugie oko, zmieniając wroga w ochłap, który płakał bezsilnie, podczas gdy Daniel użył swojej nie okaleczonej dłoni, by zmiążyć krtań wroga.

Zacisnął obie ręce na szyi legionisty. Okaleczona dłoń była bezużyteczna, skrwawiona masa, ale co miał z nią zrobić? Napierał, wyciskając duszę z przeciwnika.

Gdy młody Jordańczyk przestał się wywijać, Daniel odwrócił głowę i zwymiotował.

Upadł i przez chwilę leżał na stosie ciał. Usłyszał wystrzał i skowytanie Gavrielego. Uniósł się na łokciach. Pomacał w okopie i udało mu się zdjąć z jakiegoś ciała okrwawioną koszulę. Obwiązał czystym rogiem poszarpaną rękę, która teraz paliła, jakby ją smażyono na rozgrzanym tłuszczu.

Następnie wyczołgał się z okopu i zbliżył do Gavrielego.

Dowódca żył. Miał otwarte oczy, ale jego oddech brzmiał słabo i chrapliwie. Gavrieli rzucił się i dygotał, podczas gdy Daniel z trudem rozpiął jego koszulę. Wreszcie udało mu się. Obejrzał ranę, czystą, małą dziurkę. Wiedział, że jej wylot będzie gorszy, ale nie mógł poruszyć Gavrielego, by to sprawdzić. Pocisk wszedł z prawej strony piersi, omijając serce, ale prawdopodobnie przebijając płuco. Daniel nachylił twarz nad ziemią, namacał krew.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział.

Gavrieli uniósł brew i zakaszłał. Oczy miał pełne bólu. Wstrząsały nim dreszcze.

Daniel wrócił do okopu. Walcząc z własnym bólem, zdarł bluzy wojskowe z dwóch martwych Jordańczyków. Wygramoliwszy się, jedną z nich nakrył Gavrielego, drugą zwinął i umieścił pod jego stopami.

Znalazł nadajnik Gavrielego i szeptem wezwał pomoc medyczną, podając lokalizację, informując, że okop został zneutralizowany. Następnie doczołgał się do ciała Kobięgo. Kibucnik miał rozchylone wargi, wyglądał dziwnie dostojnie. Daniel zamknął mu usta i ruszył na poszukiwanie obydwu uzi.

Po chwili macania w ciemności znalazł karabin Kobięgo, potem swój, wyszczerbiony, ale nadający się do użytku. Przyniósł broń na miejsce, gdzie leżał Gavrieli, i rzucił obok rannego. Potem tylko czekał.

Bitwa toczyła się nadal, ale zdawała się oddalać. Już nie jego problem. Słyszał wystrzały od północy i odpowiedzi dział, które wstrząsały wzgórzem.

Gavrieli zatchnął się i Daniel pomyślał, że przestanie oddychać. Ale po chwili oddech wrócił, słaby, ale miarowy. Daniel przysunął się bliżej, utrzymując go w ciepłe. Pilnując uzi. Spowita bólem ręka wydawała się dziwnie pokrępowana.

Cierpieć znaczyło żyć.

Po godzinie przybyła pomoc. Gdy ułożono go na noszach, zaczął płakać.

Minęły trzy miesiące. Gavrieli przyszedł odwiedzić go w ośrodku rehabilitacyjnym. Był gorący dzień, przesiąknięty wilgocią. Daniel siedział na zadaszonym patio, nienawidząc życia.

Gavrieli prezentował plażową opaleniznę. Miał na sobie białą trykotową koszulkę i białe szorty – *apres tennis*. Był bardzo dziarski. Płuco się wygoiło, oznajmił, jakby stan jego zdrowia był największym zmartwieniem Daniela. Połamane żebra się pozrastały. Odczuwał pewien ból i stracił na wadze, ale ogólnie czuł się wspaniale.

Daniel przeciwnie. Czuł się jak kaleka i niedołęga. Jego przygnębienie było głębokie i mroczne, ustępowało jedynie rozdrażnieniu. Dni miały, spowite ogłupiającą szarą mgłą. Noce były gorsze – zapadał w duszące, przerażające sny, by po przebudzeniu odnaleźć beznadzieję poranków.

– Ty także dobrze wyglądasz – skłamał Gavrieli. Nalał do szklanki owocowego ponczu, a gdy Daniel odmówił jej przyjęcia, wypił sam. Rozbieżność stanu ich zdrowia wprawiała Gavriego w zakłopotanie; pokasływał, krzywił się, jakby chciał pokazać Danielowi, że on także ucierpiał. Daniel chciał, żeby sobie poszedł, milczał przytłoczony jego sposobem bycia i stopniem wojskowym.

Przez nużące pół godziny prowadzili wymuszoną rozmowę, automatycznie wspominając wyzwolenie Starego Miasta: Daniel musiał walczyć z medykami o pozwolenie na marsz przez Bramę Gnojną, gdzie mógł zginąć trafiony przez snajpera. Słuchając, jak rabbi Goren dmie w *szofar*,* zapłakał z radości i ulgi, a jego ból uleciał na złocistą chwilę, w której wszystko wydawało się warte zachodu. Teraz nawet tamto wspomnienie było pozbawione blasku.

Gavrieli opowiadał o nowym, powiększonym państwie Izrael, opisał swoją wizytę w Hebronie, na Grobie Przodków. Daniel kiwał głową i milczał, pragnąc jedynie samotności, samolubnej przyjemności wczuwania się w rolę ofiary. W końcu Gavrieli poczuł, co się dzieje, i wstał z poirytowaną miną.

– A skoro już tu jestem... – powiedział – zostałeś kapitanem. Lada dzień nadejdą dokumenty. Gratulacje. Do zobaczenia wkrótce.

– A ty? W jakiej jesteś randze?

Ale Gavrieli już się oddalał i nie usłyszał pytania. Albo udawał, że nie słyszy.

Został awansowany na podpułkownika. Daniel zobaczył go rok później na Uniwersytecie Hebrajskim. Gavrieli miał na sobie letni mundur podpułkownika z baretkami. Spacerował w towarzystwie podziwiających go studentów.

Daniel był już po zajęciach i, jak zwykle, wybierał się do domu. Ukończył pierwszy rok studiów, z dobrymi ocenami, ale bez poczucia spełnienia. Wykłady wydawały mu się słabe i zbyt pedantyczne. Podręczniki jawiły się jako zbiór pogmatwanych, nie mających związku wiadomości, które służą oddaleniu od prawdy. Uczył się tego bez zainteresowania, wypluwał obowiązkowo podczas egzaminów, porównując poznawane przedmioty do racji przetworzonej żywności, które miał w swoim wojskowym zestawie – ledwo wystarczające do utrzymania się przy życiu, dalekie od zapewnienia satysfakcji.

Gavrieli spostrzegł go i zawołał. Daniel szedł dalej – teraz przyszła kolej, by on udawał głuchego.

Nie był w nastroju do rozmowy ze Wspaniałym Gideonem. Nie był w nastroju na jakiegokolwiek rozmowy. Od czasu wyjścia z ośrodka rehabilitacyjnego unikał starych przyjaciół i nie szukał nowych. Wszystkie dni były takie same: poranne modlitwy, jazda autobusem na uniwersytet, bezpośrednio po zajęciach powrót do mieszkania nad sklepem jubilerskim, gdzie sprzątał i przygotowywał kolację dla siebie i dla ojca. Wieczorem się uczył. Jego ojciec niepokoił się, ale nic nie mówił. Milczał nawet wtedy, gdy Daniel zebrał wszystką biżuterię, którą wykonał, będąc nastolatkiem – przeciętna robota, ale trzymał ją przez lata – i przetopił na bryłkę srebra, którą zostawił na stole w pokoju za sklepem.

– Hej, Dani. Dani Sharavi!

Gavrieli krzyczał. Daniel nie miał wyboru, nie mógł udawać, że go nie rozpoznaje, musiał się zatrzymać. Obejrzał się, zobaczył kilkanaście twarzy. Studenci popatrzyli w tę samą stronę co ich bohater. Na niskiego, śniadego studenta w *kipie*, przypiętej do afrykańskiej fryzury, z pokrytą bliznami dłonią, która wyglądała jak ochłap wyrzucony przez rzeźnika.

– Witaj, Gideon.

* *Szofar* (z hebr. „róg”) – starodawny instrument dęty, który w Rosz ha-Szana budzi ludzi z duchowej drzemki i wzywa ich do pokajania się. Najczęściej wykonuje się go z wydrążonego rogu baraniego.

Gavrieli powiedział kilka słów swoim fanom, którzy niechętnie się rozeszli, a sam zbliżył się do Daniela. Spojrzał na tytuły książek w jego rękach. Wydawał się rozbawiony.

– Prawo?

– Tak.

– Nienawidzisz tego, prawda? Nie opowiadaj mi głodnych kawałków, widzę to po twojej minie. Mówiłem, że to nie dla ciebie.

– Owszem, dla mnie.

– Jasne, jasne. Posłuchaj, właśnie skończyłem gościnny wykład – opowieści wojenne i inne brednie – i mam kilka minut. Napijesz się kawy?

– Ja nie...

– Daj spokój. I tak miałem do ciebie zatelefonować. Jest coś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać.

Weszli do bufetu studenckiego. Wyglądało na to, że wszyscy znają Gavrielego. Kobieta podająca ciastka specjalnie dla niego wybrała największą bułeczkę czekoladową. Daniel, na którego spłynęła chwała towarzysza, otrzymał drugą co do wielkości.

– Więc, jak ci leci?

– Dobrze.

– Kiedy widziałem cię poprzednio, byłeś w złym nastroju. Przygnębiony. Lekarze mówili, że to trochę trwało.

Cholerny kłamca Lipschitz.

– Lekarze powinni trzymać gęby na kłódkę.

Gavrieli się uśmiechnął.

– Nie mieli wyboru. Dowódca ma prawo wiedzieć. Posłuchaj, rozumiem, że nienawidzisz prawa. Ja także go nienawidzę, nie przepracowałem w zawodzie ani jednego dnia i nie zamierzam robić tego w przyszłości. Opuszczam wojsko, bo chcą ze mnie zrobić urzędasza.

Ostatnie zdanie zostało wypowiedziane teatralnym tonem. Daniel wiedział, że powinien zareagować zaskoczeniem. Napił się kawy, ugryzł kawałek czekoladowej bułeczki. Gavrieli spojrzał na niego i niezrażony mówił dalej:

– Nadchodzą nowe czasy, przyjacielu. Pora, by poznawać nowe obszary – dosłownie i w przenośni. Czas, by się podnieść. Posłuchaj, rozumiem twoje przygnębienie. Ja także byłem przygnębiony. Jedyne, na co miałem ochotę przez kilka pierwszych tygodni po wyjściu ze szpitala, to grać w dziecięce gry. Nigdy nie miałem na to czasu, bo byłem zbyt zajęty, studiując i służąc w wojsku. Szachy, warcaby, szeszbesz, amerykańska gra o nazwie „Monopol” – zostajesz kapitalistą, zagarniasz kraj i eliminujesz pozostałych graczy. Grałem z dziećmi mojej siostry. Bez przerwy. Wszyscy myśleli, że mi odbiło, a ja po prostu łaknąłem odmiany. Każdej głupiej nowości. Potem, przez trzy tygodnie, jadłem wyłącznie hamburgery i popijałem szampanem. Rozumiesz.

– Jasne – powiedział Daniel, ale wcale go nie rozumiał. Nowe doświadczenia były ostatnią rzeczą, jakiej pragnął. To, co widział i robił, sprawiło, że chciał spokojnie przejść przez życie.

– Kiedy skończyłem z grami – ciągnął Gavrieli – wiedziałem, że muszę się czymś zająć. Ale nie prawem. Nie chciałem zostać w wojsku. Potrzebowałem nowego wyzwania. Dlatego zostałem policjantem.

Nie potrafiąc ukryć zdziwienia, Daniel powiedział:

– Nigdy bym nie pomyślał.

– Tak, wiem. Ale mówię o nowej policji, profesjonalnej. Najlepsza technologia, wzrost wynagrodzenia, zrównanie z armią. Koniec z kretynami. Marzą mi się inteligentni, wykształceni oficerowie: uniwersyteckie typy, co najmniej z dyplomu szkół średnich. Otrzymałem stanowisko pakada, co jest znacząco niżej niż moja ranga w wojsku, ale mam dynamiczną pracę i kieruję zespołem ludzi. Chcą, abym zreorganizował Wydział Dochodzeń,

sporządził plan bezpieczeństwa nowych terytoriów. Odpowiadam bezpośrednio przed komendantem dzielnicy, bez żadnych pośredników, bez biurokracji. Za pół roku mam zostać raw pakadem. A potem droga prosto w górę, aż do emerytury. – Gavrieli zamilkł. – Chcesz się do mnie przyłączyć?

– Nie sądzę – roześmiał się Daniel.

– Nie ma się z czego śmiać. Jesteś zadowolony z tego, co robisz?

– Jest w porządku.

– Jasne. Znam twoją osobowość – prawo to nie dla ciebie. Będziesz siedział na tyłku i rozmyślał, dlaczego świat jest taki skorumpowany, dlaczego uczciwi ludzie nie zwyciężają. Na dodatek rozliczenia są zawsze skomplikowane, nic nigdy nie wiadomo. No i w tej chwili jest zastój, duże firmy nie przyjmują nowych pracowników. Bez powiązań rodzinnych potrzeba wielu lat, żeby zacząć zarabiać na życie. Będziesz się musiał zajmować sporami dzierżawca-właściciel i innymi bzdurami. Trzymaj ze mną, Dani, a dopilnuję, żebyś szybko przebrnął przez kurs dla rekrutów i by cię ominęła cała brudna robota.

Gavrieli ułożył palce na kształt ramki i umieścił je tak, aby twarz Daniela znalazła się w środku.

– Wyobrażam sobie ciebie jako detektywa. Zniekształcona ręka nie ma znaczenia, bo będziesz się posługiwał rozumem, nie pięściami. A praca jest ciekawa, na ulicy, nie jakaś gadanina. Będziesz miał pierwszeństwo w wyborze wszelkich zaawansowanych kursów, zostaniesz przydzielony do Wydziału Dochodzeń i od razu skoczysz do rangi raw samal. A to oznacza najciekawsze sprawy – szybko sobie wyrobisz reputację i wkrótce staniesz się mefakeahem. A gdy ja pójdę w górę, zabiorę cię ze sobą.

– Nie wydaje mi się – powtórzył Daniel.

– Bo się nad tym nie zastanawiałeś. Wciąż się unosisz na wodzie. Przyjrzyj się dobrze tym książkom prawniczym, tym angielskim bzdurcom na temat prawa zwyczajowego. Jeszcze jeden podarunek od Brytyjczyków. Ich sędziowie noszą peruki i pierdzą w togi. Zastanów się i rozważ, czy to jest coś, co naprawdę chciałbyś robić przez resztę życia.

Daniel otarł usta i wstał.

– Muszę iść.

– Podwieźć cię?

– Nie, dziękuję.

– W porządku. Masz moją wizytówkę, zadzwoń, gdybyś zmienił zamiar.

Zatelefonował na dwa tygodnie przed początkiem nowego roku akademickiego. Dziewiętnaście dni później nosił mundur. Patrolował Katamonim. Gavrieli obiecał, że mu tego oszczędzi, ale Daniel odrzucił przysługę. Chciał popracować na ulicach, poczuć smak pracy, której Gavrieli nigdy nie wykonywał. Bo pomimo całej inteligencji i oleju w głowie, Gavrieli był w pewien sposób naiwny. Łudził się, że jest niezniszczalny, w czym utwierdzało go ujście z życiem ze Wzgórza Amunicji.

Psychiczne pęknięcie, myślał Daniel, które oddziela go od ciemnej strony życia.

Zapłacił za to znalezieniem się w złym miejscu w nieodpowiednim czasie, spłynął, zmyty nieczystościami Lippmanna.

Gideon grał wedle własnego scenariusza. Daniel nie miał powodu, by się czuć winnym tego, co się stało. Nie miał powodu, by przeproszać za wykonywanie swojej pracy.

Spojrzał na zegarek. Którą godzinę mają teraz w Melbourne? Osiem godzin później. Późny wieczór.

Jakieś przyjęcie w ambasadzie? Wspaniały Gideon, trzymający się blisko ambasadora, wypielegnowane palce ściskające szklaneczkę, podczas gdy on prawi komplementy damom i opowiada dowcipne anegdotki.

Attache wykonawczy. Kiedy wszystko zostało powiedziane, okazało się, że jest po prostu gorylem. Garnitur i spluwa. Musiał się czuć nędznie.

W przeciwieństwie do mnie, pomyślał Daniel. Ja mam mnóstwo powodów do radości. Zabójca na wolności, okrwawione skały i heroina. Szaleni chasydzi, *korbanot*, dziwni mnisi, zaginione dziwki, wystraszone przez obcokrajowców o bezbarwnych oczach.

Siedząc w białej celi, usiłując to wszystko powiązać. Pół kilometra na południowy wschód od Wzgórza Amunicji.

ROZDZIAŁ 47

Lepkie lato. Ma teraz siedemnaście lat, trzy miesiące dzielą go od osiemnastych urodzin. Wszedł do biblioteki i poprosił Doktora o samochód. Musiał powtórzyć dwa razy, zanim kutas spojrzął znad specjalistycznego pisma i zwrócił na niego uwagę.

– O co chodzi?

– O samochód.

– Dlaczego chcesz mieć samochód?

– Wszystkie dzieciaki mają własne.

– Ale po co ci samochód?

– Żeby jeździć w różne miejsca. Dojeżdżać do szkoły.

– Tak ci zależy na szkole, co? – Uśmiech.

Wzruszenie ramion.

– Chodzi mi o to, że oblałeś większość przedmiotów. Nie sądzę, żeby szkoła coś dla ciebie znaczyła.

Wzruszenie ramionami.

– Nie, nie sądzę, że powinienem dać ci samochód, ot, tak, po prostu.

Uśmiechał się z wyższością. Dupek miał dwa samochody na własność, jeden wielki i powolny oraz drugi niski, sportowy, który wyglądał jak członek w erekcji. Żadnego z nich nie pożyczał. Jej samochód był duży i powolny, ale od dawna nim nie jeździła, więc Doktor postawił go na blokach.

Śmierdziel był dziany, tyle forsy, tyle samochodów, a on musiał się uczyć jazdy, prowadząc starego gruchota jednej ze służących, zardzewiałego grata, którego trudno było zaparkować. Z tego powodu dwukrotnie oblał egzamin.

– Pożycz mi pieniądze. Zwrócę.

– Och, naprawdę? – Rozbawienie.

– Tak.

– Niby skąd je weźmiesz?

– Znajdę sobie pracę.

– Pracę.

– Tak.

– A do jakiej to pracy masz kwalifikacje?

– Mogę pracować w szpitalu.

– W szpitalu.

– Tak.

– Co byś tam robił?

– Cokolwiek.

– Cokolwiek?

– Cokolwiek.

Doktor porozmawiał z głównym woźnym – niedorozwiniętym czarnuchem – i załatwił mu pracę salowego. Czarnuch nie był zachwycony tym pomysłem; dyskutowali z Doktorem,

podczas gdy on czekał tuż obok. Rozmawiali o nim, jakby był niewidzialny.

– Sam nie wiem, doktorze. To brudna praca.

– W porządku, Jewel. W sam raz dla niego.

Czarnuch przyjął go do pracy. Odtąd zmywał siki i rzygowiny z podłóg w salach chorych, opróżniał worki cewników, wynosił śmiecie, w których nie było nic interesującego.

Po dwóch tygodniach przesiąkł smrodem, którego nie mógł się pozbyć. Gdy zbliżył się do Doktora, kutas aż się wzdrygnął.

Kiedy dyrektor administracyjny dowiedział się o *wszystkim*, przeniósł go na inne stanowisko, nie chcąc, by syn ordynatora kardiochirurgii wykonywał taką gównianą pracę.

Został przydzielony do działu pocztowego, co było doskonałe. Nie musiał tkwić w miejscu i sortować, po prostu robił za kuriera, przynosił przesyłki z miejsca na miejsce.

Pracował tak całe lato i zapoznał się z wszystkim zakamarkami szpitala, z każdym gabinetem, każdą pracownią.

Zadziwiające, jak bezmyślni bywają ludzie, zostawiając rzeczy byle gdzie – nie zamknięte kasetki z pieniędzmi, torebki na biurku, wychodząc do klopa.

Podkradał drobne sumki, które składały się na wielkie sumy.

Kradł bloczki z blankietami recept i lekarstwa, zawsze w niewielkich ilościach. Demerol, percodan, ritalin, seconal i inne takie, które sprzedawał dilerom z Nasty Boulevard, mieszczącego się o kilka przecznic od szpitala.

Czasami otwierał koperty z czekami i sprzedawał je za pięć procent wartości, na które opiewały. Czasami zdarzał się ktoś na tyle głupi, by wysłać gotówkę na fundusz dobroczynny szpitala. Taka forsa natychmiast przechodziła na jego własność.

Otwierał pudła z książkami i zabierał te, które wydały mu się interesujące – mądre medyczne teksty o seksie i krojeniu. Raz znalazł stos książek pornograficznych w szafce na oddziale internistycznym – białe kobiety pieprzące się z czarnuchami i vice versa. Zabrał książki do domu i wyciął z nich zdjęcia kobiet, w które się wpatrywał, aż się nabuzował i mógł się spuścić.

Powoli, lecz skutecznie, jego sytuacja finansowa zmieniła się z bardzo złej na doskonałą.

Kluczową sprawą była ostrożność. Zaplanować coś, wykonać zgodnie z planem i dobrze posprzątać.

Uśmiechał się do każdego, był szybki, uprzejmy, zawsze chętny do pomocy. Bardzo lubiany. Kilka pielęgniarek zerkało na jego koguta, a także jeden z sanitariuszy, który z pewnością był pedziem. Ale nie interesowali go; jeżeli nie umieli wrzeszczeć, byli nudni.

Wspaniałe lato, bardzo pouczające. Dostarczał pocztę na oddział patologii. Ci mieli nerwy, jedli lunch w towarzystwie sztywniaków. Szefem oddziału był ten wysoki facet z brytyjskim akcentem i przyszyżoną siwą brodą. Palił mentolowe papierosy, jednego za drugim, i strasznie kaszłał.

Pewnego razu dostarczył na patologię paczkę rękawiczek. W biurze nie było nikogo. Zaczął otwierać szuflady biurka sekretarki, szukając czegoś zajmującego, gdy nagle, z końca korytarza, dobiegło brzęczenie. Z jednej z pracowni, które przylegały do gabinetów.

Zajrzał tam. Drzwi były otwarte, w pomieszczeniu panował chłód. Białobrody stał nad swoim trupozsem. Sztywny leżał na stalowym stole – mężczyzna. Miał chuja. Jego skóra była zielonoszara.

Białobrody posługiwał się piłą elektryczną z małym kółkiem, które wyglądało jak radełko do krojenia pizzy, aby odciąć wierzch czaszki truposza. Roznosił się dziwny smród spalenizny. Stał i wdychał go. Smród wywoływał mdłości, ale jednocześnie podniecał go.

– Tak? – zapytał Białobrody. – Co tam masz?

– Pudło z rękawiczkami.

– Postaw tutaj.

Białobrody znów zaczął piłować, uniósł wzrok i spostrzegł, że wciąż tam stoi,

przyglądając się wszystkim nożom i narzędziom. Cięcie w kształcie litery Y w piersi sztywnego, otwór jamy ciała, wszystko, co najlepsze wywalone na wierzch, można było dostrzec kręgosłup. Starszy gość, kutas całkiem wyschnięty. Twarz nie ogolona. Na stalowych stołach leżały, umieszczone na tacach, próbki organów – rozpoznał wszystkie, co sprawiło mu przyjemność. Wiadro krwi, fiołki z płynami, tak jak w jego doświadczeniach, ale wielki, ładny pokój.

Prawdziwa nauka.

Białobrody uśmiechnął się:

– Zainteresowany?

Skinięcie głową.

Białobrody dalej piłował, zdjął skalp, niczym żydowską czapkę. Byłoby zabawnie, gdyby truposz rzeczywiście okazał się ickiem – kutas był zbyt skurczony, by poznać.

– Kora mózgowa – powiedział Białobrody, wskazując palcem. – Kosmiczna galareta, która stwarza złudzenie nieśmiertelności.

Co za gówno.

Chciał powiedzieć: Wiem, co to jest, dupku. Widziałem tego całą masę, przyglądałem się temu równie spokojnie jak ty.

Lecz tylko skinął głową. Zgrywał głupka. Bo tak było bezpiecznie.

Białobrody uniósł mózg, zważył go na wadze, jakich w supermarkecie używa się do warzyw.

– Ciężki – powiedział. Uśmiech. – Musiał być inteligentny.

Nie wiedział, co odpowiedzieć, tylko skinął głową i patrzył, aż Białobrody się wyprostował, spojrzął mu w twarz i zapytał:

– Nie masz nic do roboty?

Sama sprzedaż leków dawała mu dochody czterokrotnie większe niż jego gówniana pensja. Lato przyniosło ogromne korzyści. W wielu dziedzinach.

Po raz pierwszy w życiu oglądał Doktora w jego naturalnym otoczeniu. Kutafon okazał się jeszcze większym dupkiem, niż na to wyglądało w domu. Rozkazywał wszystkim dookoła, nigdy nie minął lustro, aby w nie spojrzeć, choć nie wiadomo, dlaczego chciał oglądać haczykowany nos, wystający brzuch i tę zaczerwienioną i krostowatą cerę. Czerwona twarz oznaczała, że jest chory, pewnego dnia gnojek kipnie na zawał, nie mogąc się zoperować i wyleczyć.

Kipnie i zostawi całą forszę Sarah. Już wkrótce doktor Sarah. Ale ona chce być psychiatrą, nie chirurgiem. Niewyopieprzalne.

Śledził Doktora i naprawdę nieźle go poznał. Kutafon nie domyślał się, że jest pod nadzorem. Mogli stać tuż obok siebie, a on nigdy nic nie zauważył.

Doktor był dziwakiem. Odmieńcem. Nic nie znaczącym kawałkiem gówna.

A on był niewidzialny. Wspaniale.

Doktor lubił młódki. Okazało się, że ona miała rację, wrzeszcząc o tym, że pieprzy się z podfruwajkami.

Kutas flirtował z wszystkimi, ale poważnie interesował się jedną. Audrey, małą brunetką, siedemnastolatką, pieprzoną uczennicą liceum, jak on, Pan Niewidzialny. Ona wiedziała, czego chce.

Niska, ale kształtna – wielka dupa, wielkie cycki, czesała się w koński ogon i chodząc, kręciła biodrami.

Doktor mógłby być jej ojcem.

Nie ma wątpliwości, że to robili. Widział, jak wchodziła do gabinetu Doktora, gdy jego sekretarka poszła do domu. Najpierw stuknęła i Doktor jej otwierał; potem dał jej klucz. Po pół godziny wystawiała głowę na korytarz, patrząc, czy droga jest wolna, chichotała i wymykała się, kręcąc tyłkiem. Odchodziła korytarzem, wymachując torebką, pewnym krokiem, jakby

mówiła: udało się.

Wyobrażając sobie, że nikt nie zauważył.

Ale ktoś zauważył.

Niewidoczny człowiek, niosący duże pudło, które zasłaniało jego twarz. Nawet jeżeli stał się widoczny, był bezpieczny.

Chętnie by ją pociął i oczyścił.

Obrazy w umyśle.

Wrzeszczące obrazy.

Pewnego razu Doktor i Audrey omal nie wpadli. Jeden z dozorców przyszedł wcześniej, otworzył drzwi gabinetu, skąd Doktor natychmiast go wyprowadził. Wyglądał na wściekłego. Kutafon nie miał na sobie białego kitla. Tylko spodnie i koszulę, źle pozapinane guziki i rozwiązany krawat.

Po tym zdarzeniu wychodzili ze szpitala. Wychodzili raz lub dwa razy w tygodniu, do motelu, tuż przy Nasty Boulevard. Paskudne miejsce, trzydzieści kilka pokoi dookoła podwórka dla samochodów; na dachu ręcznie malowane szyldy, reklamujące łóżka wodne i elektryczny masaż.

Prawdziwy syf. Czuł się obrażony faktem, że ludzie mogą tak nisko upaść.

Śledził ich, idąc piechotą, co nie stanowiło problemu, bo miał długie nogi, a motel mieścił się niedaleko, pięć przecznic od szpitala.

Zajął stanowisko za wysokim krzakiem, przykucnął i patrzył.

Doktor zaparkował samochód w pobliżu, na ciemnej bocznej uliczce, i obydwójce poszli do motelu. Doktor opierał swoją wielką łapę na jej ramieniu. Audrey kręciła tyłkiem i chichotała. Zawsze zachowywali się tak samo: szli do tego samego pokoju, numer dwadzieścia osiem, na końcu. Nuuuda.

W recepcji siedział wychudzony żółtek o zapadniętych policzkach; wyglądał tak, jakby całymi godzinami palił opium. Miał problemy z pęcherzem moczowym, co pół godziny chodził do ubikacji. A może sobie wstrzykiwał – facet nosił długie rękawy.

Za biurkiem recepcjonisty wisiała gablotka z duplikatami kluczy do pokoi.

Ułożył sobie pewien plan, ulepszał go przez trzy tygodnie. Patrząc, starając się nie zwracać uwagi na ryk narastający w głowie, na myśl o tym, co tam robili.

Plan to kluczowa sprawa.

Czwarty tydzień przeznaczony był na działanie. Przyniósł wyposażenie, ubrał się na ciemno, jak jakiś ninja, czując się dobrze i wiedząc, że walczy o słuszną sprawę.

Pierwszego dnia nie udało mu się. Gdy recepcjonista wyszedł sikać/dawać sobie w żyłę, w biurze pojawił się inny żółtek, także wyglądający jak ruina. Żółtek numer dwa po prostu stał. Gdy recepcjonista wrócił, chwilę rozmawiali.

Następnego dnia – sukces. Żółtek numer jeden wyszedł. Wtedy biegiem wpadł do biura, chwycił duplikat klucza do pokoju dwadzieścia osiem i wypadł pędem. Gdy żółtek numer jeden wrócił, on już był w drodze do pokoju dwadzieścia osiem.

Ściemniło się. Na podwórku stało niewiele samochodów; w kilku innych pokojach także zatrzymali się goście, ale wszystkie okna były zasłonięte. Nikt się nie kręcił na zewnątrz.

Czekał z gigantycznym wzwodem, tak twardym, że mógłby wyważyć drzwi.

Przyłożył ucho do drzwi i usłyszał mamrotanie, które brzmiało jak pomruki miłosne.

Począł jeszcze chwilę, by mieć pewność, że już to robią, po czym wsunął klucz do zamka, otworzył drzwi i wpadł do środka, zapalając światło. Biegał po pokoju i, śmiejąc się, robił zdjęcia.

Przyłapał ich w dobrej pozycji. Audrey siedziała na Doktorze, prezentując pośladki i podskakując na nim, tak jak ona. Jej tyłek był mniejszy i jędrniejszy oraz bardziej śniady, ale zabawa polegała na tym samym, nadziać się i zsunąć.

Pstryk.

Wrzaski.

– Co, do diabła... Ty!

Pstryk.

Audrey wpadła w histerię, zaczęła płakać, starała się z niego zejść. Doktor trzymał ją, wrzeszczał na niego, ale wprost do jej ucha.

Istna komedia.

Wyglądali tak, jakby się nienawidzili, ale wciąż byli złączeni i nie mogli się od siebie uwolnić!

Doskonale. Pstryk, pstryk! Obrazy w umyśle będą jeszcze lepsze niż te rzeczywiste. Patrząc na nich, szamoczących i wrzeszczących, omal nie spuścił się w spodnie.

Pstryk.

Usiłowali się rozłączyć. Strach powodował, że stali się niezręczni. Upadli.

Inna pozycja, pstryk.

Pstryk, pstryk.

Wreszcie Audrey się uwolniła i łkając, pobiegła nago do łazienki. Nie przestawał fotografować Doktora, usłyszał, że Audrey wymiotuje – widocznie kobiety mają taki zwyczaj.

Twarz Doktora spurpurowiała, jego wzwód opadał. Zgarnął prześcieradła, usiłując się przykryć.

Pstryk.

– Ty mały... – Doktor wstał i ruszył ku niemu.

Facet były obwisły, niezdrowy. Popchnął go w pierś i Doktor upadł na łóżko, prezentując tyłek.

Pstryk.

Doktor wstał.

Schował aparat, uśmiechnął się i podszedł do drzwi.

– Do zobaczenia, tato.

Następnego dnia na jego łóżku pojawiła się karteczka.

„Jaki chcesz samochód?”

Dostał dwa. Jaguara XKE roadster, dla przyjemności, i plymoutha, którym jeździł, gdy nie chciał się rzucać w oczy.

Cieszył się nimi przez kilka tygodni, pozwalając, by Doktor sądził, że na tym się skończy. Aż pewnego popołudnia przeszedł obok sekretarki i, nie pytając o pozwolenie, otworzył drzwi z napisem WSTĘP WZBRONIONY i wtargnął do gabinetu Doktora.

Kutas siedział za biurkiem, pisząc coś w karcie pacjenta. Uniósł wzrok, starał się wyglądać godnie, przybrał groźną minę, ale nie bardzo mu się udało. Najwyraźniej był śmiertelnie wystraszony.

– O co chodzi?

– Musimy porozmawiać, tato.

– Jasne. Siadaj.

Na biurku Doktora stało pudełko z cedrowego drewna, pełne cygar. Głupota ze strony chirurga serca, ale facet nigdy nie stosował się do własnych zaleceń.

Popatrzył na Doktora, wziął sobie cygaro, obliznął je i zapalił.

Doktor zaczął coś mówić. Ojcowskim tonem. Ale zamilkł.

– Czego chcesz?

Prosto z mostu, żadnego „synu”, nie udając, że chodzi o coś innego niż interesy.

Nie odpowiedział. Poczekał, aż na końcu cygara zbierze się dużo popiołu, po czym strząsnął go na dywan.

Doktor zacisnął zęby, żeby zachować milczenie.

Wydmuchnął kółka dymu.

– Posłuchaj, tato – powiedział w końcu – zdjęcia są w bezpiecznym miejscu, wraz z instrukcją, by je otworzyć, gdyby coś mi się stało, więc nawet nie myśl, żeby się mnie pozbyć.

– Nie bądź śmieszny. Nie mam najmniejszego zamiaru cię skrzywdzić...

– Dobrze.

– Uwierz mi, zawsze pragnąłem tylko, żebyś...

– Skończ tę gównianą gadkę. – Pochylił się do przodu, zrzucając szare drobinki popiołu na biurko. Na karty Doktora. Wziął jedną z nich.

– Nie możesz tego czytać...

– Niby czemu?

– To poufne informacje o pacjencie.

– Gówno prawda.

Doktor westchnął i przybrał przymilny ton:

– Posłuchaj, wiem, że nasze stosunki nie były...

– Daj se siana. Już raz mówiłem! – powiedział głośno. Doktor nerwowo spojrzął na drzwi.

Przekartkował kartę zdrowia. Żadnych ciekawych obrazów. Nuuuuda. Odłożył ją.

– Zdjęcia są zapakowane, tato. Jedna przesyłka zaadresowana do mamy, druga do doktora Shoenfelda, trzecia do rodziców Audrey. Mogę zrobić, co zechcę.

Doktor gapił się na niego. Zmrużył oczy.

Przez chwilę obydwaj milczeli.

– Czego chcesz? – w końcu zapytał Doktor.

– Przysług.

– Jakich przysług?

– Takich, jakie mi będą potrzebne.

Doktor nie przestawał się gapić.

Cygaro nabrało smaku gówna. Wypluł je na lśniący blat biurka Doktora, gdzie wyglądało jak zeschnięte łajno.

– Nie potrzebuję ich wiele, tato. Kilka.

– Na przykład? – Udawał chojraka, ale robił w gacie ze strachu.

Teraz on się uśmiechnął.

– Dowiesz się w swoim czasie.

Wstał, podszedł do Doktora. Klepnął go w ramię i znów się uśmiechnął.

– Będziemy w kontakcie, ogierze.

ROZDZIAŁ 48

Kwadrans po pierwszej Daniel otrzymał wiadomość z Tel Awiwu, że Aldzuni, facet z Gazy, który zarzynał żony, przeszedł badanie wykrywaczem kłamstw. O wpół do drugiej połączył się z Chińczykiem. Na Starym Mieście bez zmian.

– Co u Cohena?

– Wciąż dąsa się za Malkovsky'ego, ale wygląda na to, że wziął się do roboty.

– A jak Daoud radzi sobie z Rosellim?

Olbrzym wybuchnął śmiechem.

– Co cię tak śmieszy? – zapytał Daniel.

– Daoud spędził ranek przebrany za sparaliżowanego żebraka, błagając o datki przy Czwartej Stacji Drogi Krzyżowej. Był tak przekonujący, że jakiś arabski policjant przyłożył mu pałką w podeszwy i nawrzeszczał, żeby przestał profanować święte miejsca.

– Jak się czuje?

– Jest diabelnie dumny i obolały. Szkoda, że go nie widziałeś, Dani. Brudny, w łachmanach i dygoczący.

– Rzuć ode mnie miedziaka do jego puszkę – powiedział Daniel.

– Już to zrobiłem. Pogadamy później.

O drugiej zatelefonował Shmeltzer.

– Wydział archeologii Uniwersytetu Hebrajskiego i przyrodnicy obiecali mi, że się pośpieszą ze sporządzaniem spisów tras swoich wycieczek. Zjadłem śniadanie z damą. Nasze żądanie, by szukać tej dziwki Nasser, zostało wzięte pod uwagę.

– Nic lepszego nie mogą zrobić?

– Wygląda na to, że zechcą współpracować. Randka z damą natychmiast doszła do skutku, co oznacza, że traktują nas poważnie. Sądzę, że zajmą się szukaniem Nasser, jeśli nie będzie to niebezpieczne. Problem polega na tym, że tym z Ammanu potrzeba dużo czasu, by się zabrać do rzeczy. Nie będą organizować całej akcji z byle powodu.

– Bądź czujny – powiedział Daniel. – Jeżeli trzeba będzie popchnąć sprawę, daj mi znać.

– Nie sądzę, żeby to coś dało – odparł Shmeltzer. – Jestem teraz w Tel Awiwie, w szpitalu Beilison. Dlatego nie mogłem zadzwonić wcześniej. Dostałem wiadomość od jednego z lekarzy, z którym rozmawiałem kilka tygodni temu. Chirurg okulista, Krieger, chciał mi coś opowiedzieć o jednym ze swoich kolegów, anesteziologu o nazwisku Drori. Pamiętasz zeszłoroczne zamieszanie wokół lekarza, który odmówił zrobienia narkozy arabskiemu dziecku? Zezwotemu niemowlęciu, które wieszono na salę operacyjną? Matka zaczęła błagać Allacha, aby naprostował oczka jej maleństwu, by mogło rzucać kamieniami w syjonistów. Doktorek się wściekł, powiedział, żeby się pieprzyła i że ma nadzieję, że dzieciak oślepnie. I odszedł. To właśnie Drori.

– Pamiętam. Jeden z lewicowych członków Knesetu chciał go zaskarżyć.

– Tak. Sardoffsky i jego marksistowskie bzdury. W każdym razie po dwóch dniach sprawa ucichła i po wszystkim. Ale według Kriegera, ten Drori naprawdę nie znosi Arabów. Po incydencie i niemowlakiem stał się jeszcze bardziej wojowniczy, wypytuje arabskich

pacjentów, zanim zgodzi się nimi zajmować, każe im przysięgać, że wspierają kraj i że uważają Jassera Arafata za wrednego psa. Gdy ktoś z personelu szpitala usiłuje mu przemówić do rozumu, by oddzielił politykę od medycyny, traci rozsądek. To słowa Kriegera. Na dodatek Drori jest samotny, nieżonaty, nietowarzyski. Krieger twierdzi, że kilka razy podczas nocnego dyżuru widział, jak Drori wsiada do samochodu i wraca rano, nie ogolony, w tym samym ubraniu. Jest pewien, że facet nie spał i wyprawiał Bóg wie co przez całą noc.

– Zakrada się i zabija.

– Tak podejrzewa Krieger. Na początku nie chciał w to wierzyć, ale im dłużej się zastanawiał, tym bardziej Drori pasował mu na naszego Rzeźnika. Oczywiście, nie był szczęśliwy z tego powodu, że go wsypuje. Czuł się jak donosiciel. Ale obowiązek obywatelski i tak dalej.

– Myślisz, że chodzi o jakieś osobiste porachunki?

– Możliwe. Ale Drori rzeczywiście wydaje się dziwny.

– Co jeszcze o nim wiesz?

– Z danych wynika, że dwa lata temu przyjechał tu z Anglii, a właściwie ze Szkocji. Prawdziwe nazwisko – Denzer, Selwyn Denzer. Rozwiódł się z żoną i zostawił ją z kilkorgiem dzieci. Personel szpitala twierdzi, że jest bardzo dobrym specjalistą, ale trudno z nim wytrzymać.

– Czy brak snu wpływa na jakość jego pracy?

– Na razie nie, ale czekają, że coś sknoci. Chętnie by się go pozbyli.

– Gdzie mieszka?

– W Petah Tikwa.

– Trochę daleko.

– Tak. Ale dzięki nowej autostradzie może się szybko przemieszczać. Kto wie, może drugie morderstwo wskazuje na kogoś spoza Jerozolimy. A facet jest fanatykiem, może nadawać symboliczne znaczenie swoim rytuałom.

– Jakież związki z Kaganem?

– Według Kriegera, Drori uważa, że Gwura jest zbyt umiarkowana.

– Dobrze – powiedział Daniel. – Dowiedz się, co robił w noc, gdy popełniono obydwa morderstwa.

– Zrobi się.

Gdy Shmeltzer się rozłączył, Daniel, po raz dziesiąty, zatelefonował do Bonn i spytał o człowieka z Interpolu. Sekretarka zapewniła go, że pan Friedman otrzymał jego wiadomość i wkrótce się odezwie. Wszelkie próby przyspieszenia sprawy spotkały się z chłodną obojętnością.

Daniel zebrał mapy oraz teczki i wyszedł z biura. Pojechał do hotelu Laromme. W holu panował ścisk, turyści stali w kolejce do recepcji, by się zameldować. Obsługiwał ich cały pluton recepcjonistów.

Telefon wewnętrzny był cały czas zajęty. Daniel rozejrzał się za kierownikiem i spostrzegł go przy wózku na bagaże, rozprawiającego z windziarzem. Gdy windziarz odszedł, Daniel powiedział:

– Yigal, zadzwoń do państwa Brooker. Nie znam numeru pokoju.

Kierownik uniósł brwi.

– Powinienem coś o nich wiedzieć?

– To moi przyjaciele.

– Ach, w takim razie nie ma po co do nich dzwonić. Ona wyszła z hotelu o dziesiątej rano i spotkała się przy postoju taksówek z przystojną blondynką. On jest na basenie.

– Zadziwiasz mnie, Yigal. Może chcesz dołączyć do mego zespołu?

Yigal wzruszył ramionami.

– Rzucają się w oczy.

Daniel wszedł na teren basenu. Wrzawa, ciała w bikini, błyski ciemnych okularów. Woda w basenie miała turkusowogranatowy odcień. Pływały same dzieciaki i jeden starszy jegomość, powoli sunący żabką.

Gene drzemał na leżaku przy stoliku pod parasolem. Jedną ręką zakrył oczy, drugą wyciągnął wzdłuż boku. Na podstawce, w pobliżu dłoni, stała butelka heinekena i w połowie opróżniona szklanka z piwem. Miał na sobie prążkowane zielono-białe spodenki. Nogi porośnięte siwymi włoskami, wystający brzuszek.

Wygląda jak foka, pomyślał Daniel. Samiec fokki, rozłożony na skale.

Usiadł na krześle. Podeszła kelnerka. Zamówił colę z limoną. Gdy dziewczyna przyniosła napój, zaczął go powoli sączyć, przyglądając się drzemiącemu Gene'owi.

Gene poruszył się. Uniósł ramię. Zaciśnął powieki, a potem uniósł je i spojrzał na Daniela.

– Cześć – powiedział i podał mu rękę.

Daniel uścisnął ją.

– Wyglądacie na pogodzonego ze światem, poruczniku Brooker.

Gene uśmiechnął się, przeciągnął i wyjął spod stołu ręcznik.

– Pracuję nad opalenizną. – Otarł czoło i przejechał ręcznikiem po twarzy. – Lu jest w muzeum, na jakimś wykładzie na temat archeologii biblijnej. Myślę, że razem z Laurą. Co słychać?

– Muszę porozmawiać z FBI. Potrzebuję twojej pomocy, Gene.

Gene natychmiast poderwał się na nogi.

– No, no – powiedział. – Już myślałem, że nigdy nie poprosisz.

Pojechali do domu Daniela. Laura zostawiła wiadomość, że Shoshi zostanie po lekcjach w szkole, żeby wykonać pracę z fizyki. Chłopcy byli u kolegów. Ona i Luanne wrócą o piątej, najpóźniej o wpół do szóstej.

Gene usiadł przy stole w jadalni i głąskał Dayana. Daniel przyniósł teczeki, mapy, ołówki i stertę papieru. Rozplatał przewody telefoniczne, postawił aparat obok Gene'a i usiadł. Wziął kartkę ze sterty i zaczął na niej pisać. Równoległe do lewego marginesu umieścił kolumnę cyfr, obok każdej z nich poczynił notatki. Skończywszy, podał kartkę przyjacielowi, który włożył okulary i zaczął czytać.

– To zupełnie nowy program. Nazywa się VICAP – powiedział Gene. – To znaczy Violent Criminal Apprehension Program.* Federalni lubują się w akronimach.

– Uwielbiają też papierkową robotę, dlatego zawracam ci głowę. Zwykle opóźniają wszystko o wiele tygodni.

– Jeżeli to mają być przeprosiny, nic nie słyszałem. – Gene czytał przez chwilę. – Mało danych. A te, co masz, bardzo ogólne. Zabójstwo na tle seksualnym, okaleczenia – szyja, piersi, genitalia. Widziałem tego całą masę.

– Są różnice. U pierwszej ofiary genitalia zostały pokrojone. Drugiej je wycięto.

– Właśnie. To pracuje dla nas i przeciwko nam. Zależy jak zaprogramowali komputer. Źle dla nas, jeżeli oparli się na schemacie ran, bo dajemy im dwa zbiory danych, redukując szanse znalezienia czegoś wspólnego. Jeżeli zaś oparli się na sekwencjach – a nie wiem, czy tak zrobili – a my wyjedziemy z odmiennym układem, będzie je trudniej dopasować. – Gene czytał dalej. – Może dobrym tropem będzie mycie zwłok. Ale nawet to nie jest takie dziwne. To dobry sposób, by usunąć wszelkie ślady. Większość tych psychopatów lubi zabawiać się z ciałem, odbyć z nim stosunek płciowy. Przed laty, w 1949, mieliśmy w LA głośną sprawę. Czarna Dalia. Pocięto ją i spuszczone z niej krew, tak jak z waszych dwóch. Nigdy nie znaleziono sprawcy. Jak daleko wstecz mają szukać?

– Jak najdalej mogą.

– Jeżeli dobrze pamiętam, najwcześniejsze dane dotyczą nie rozwiązanych spraw sprzed

* Violent Criminal Apprehension Program – Program Aresztowania Brutalnych Przystępców.

dziesięciu lat. Większość to zupełnie świeże sprawy. Z każdym rokiem jest coraz więcej i więcej. Świat robi się coraz przyjemniejszy.

Gene jeszcze raz przejrzał listę.

– Dobrze, bierzmy się do dzieła – powiedział, odkładając kartkę. – Różnica czasu między nami a Los Angeles wynosi dziesięć godzin, a siedem między nami a Wirginią. Mają tam ósmą rano. W porządku, McGuire powinien już tam być.

Daniel wybrał numer automatycznych połączeń międzynarodowych i usłyszał nagraną informację, że wszystkie są zajęte. Zadzwoił do miejscowej centrali i po kilkuminutowej debacie otrzymał połączenie. Oddał słuchawkę Gene'owi, który wybrał numer Wirginii i czekał.

– Cisza.

– Czasami trzeba poczekać dłużej.

Gene skinął głową, bębniąc palcami w słuchawkę.

– Ten McGuire to bardzo sympatyczny gość, współpracuje z federalnymi. W Zakwestionowanych Dokumentach w akademii FBI w Quantico. A dawniej pracował w LA. Wspólnie zajmowaliśmy się sprawą fałszerstwa dokumentów, która... O, jest sygnał.

Po chwili rozmawiał ze swoim człowiekiem, mówiąc niskim, spokojnym głosem:

– Halo, Sam? Mówi Gene Brooker. Dzwonię z Bliskiego Wschodu... Tak, dobrze usłyszałeś. Pomagam w rozgryzieniu pewnej sprawy. Opowiem ci po powrocie. Chcę dotrzeć do VICAP, a w szczególności do banku danych o mordercach seryjnych. Mamy kilka zabójstw i szukamy podobnych. Chciałbym się zapoznać z materiałami na temat zadanych ran i *modus*, sprawdzić, czy coś, co macie, nie pasuje do naszych... Nie, nic politycznego... Nic a nic, masz moje słowo. Słowo honoru. Po prostu staramy się schwytać mordercę, który może działać w szerokim promieniu... Tak, wiem, stale się rozwija. Macie jakieś wypracowane profile?... Biorę, co dacie. To z kim mam rozmawiać?... Naprawdę? Ty to zrobisz? Wspaniale. Masz u mnie dług wdzięczności. Masz czym pisać? Oto dane...

Przedyskutowawszy z McGuire'em informacje z listy Daniela, podał swój numer telefonu w hotelu Laromme, nakrył dłonią słuchawkę i powiedział:

– Chce oddzwonić na twój numer biurowy.

– Dobrze – przytaknął Daniel. – I tutaj. – Zapisał obydwa numery, a Gene przedyskutował je facetowi z FBI.

Jeszcze raz podziękował rozmówcy i odłożył słuchawkę.

– Wszystko załatwione – rzekł. – Kilka dni, może trochę dłużej. Jeszcze nie profilują. Mają podstawowe dane statystyczne i porównania.

– Dziękuję, Gene.

– Nie ma sprawy.

Jeszcze raz omówili wszystkie fakty. Gene okazywał zrozumienie i służył mu dobrymi radami, ale nie powiedział nic, czego Daniel by nie wiedział. A najbardziej brakowało mu właśnie nowych pomysłów.

O wpół do czwartej Danielowi zaczęło burczeć w brzuchu. Zdał sobie sprawę, że nie jadł śniadania ani lunchu.

– Zjadłbyś coś? – zapytał.

– Owszem.

Właśnie wstał, by przygotować kanapki z serem i zaparzyć kawę, gdy zadzwonił telefon. Telefonistka z komendy z informacją, że ma na linii pana Friedmana z Bonn, który jej grozi, że odłoży słuchawkę, jeżeli w ciągu pół minuty nie znajdzie mu pakada Sharavi.

– Daj go – rzucił Daniel.

– Powinieneś nam mówić, kiedy wychodzisz z biura – powiedziała telefonistka i połączyła go z Bonn.

– Sharavi.

– Mówi Friedman. Słyszałem, że macie kłopoty. – Człowiek z Interpolu mówił szybko i głośno, jak ktoś wykrzykujący słowa pożegnania przez okno jadącego pociągu.

– Potrzebujemy pomocy.

– To zrozumiałe. Strasznie trudno się do ciebie dodzwonić. Wygląda na to, że tam u was nikt nic nie wie.

Dwa miesiące w Niemczech i facet uważa, że jest *Übermensch*. Daniel nie dał się sprowokować, powiedział mu, czego potrzebuje, i zakończył szczegółowym opisem ran.

– Ohyda – skomentował Friedman. – Dane z Grecji także?

– Tak.

– To trochę potrwa.

– Rób, co możesz.

– Pamiętaj, że dane komputerowe są opóźnione. Niektóre tak zwane bieżące dane pochodzą sprzed roku. Nowsze dane można uzyskać tylko bezpośrednio od ludzi.

– Wiem. Możemy czekać najwyżej cztery tygodnie. Będę wdzięczny za wiadomości.

– Dlaczego szukacie w Europie?

– Możliwe, że podejrzany był w Europie.

– Co to znaczy „możliwe”?

– Ze źródeł wynika, że to Amerykanin, ale istnieje możliwość, że jest Europejczykiem.

– Źródła głupie czy przebiegłe?

– Niedostępne. Miejsca pobytu nieznane.

– Kiepska sprawa – stwierdził Friedman.

– Gdybym ją umiał rozwiązać, nie dzwoniłbym do ciebie.

– Nie bądź taki drażliwy. Załatwię ci, czego potrzebujesz. Mówię tylko, że sprawa wygląda kiepsko. Powiniennem wiedzieć coś więcej?

– Nie.

– Bo jeśli tak, wolałbym wiedzieć z góry. Oni tu nie przepadają za nami, myślą, że wszystkie kłopoty związane z terroryzmem to nasza wina. Gdybym mógł dać im coś więcej, byłoby „mi łatwiej”.

– Jeśli tylko znajdziemy coś nowego, ty dowiesz się pierwszy – powiedział Daniel. Podał swój numer domowy i odłożył słuchawkę. Zobaczył, że Gene uśmiecha się znacząco.

– Przyjacielska pogawędka – powiedział.

– Nowy człowiek – odparł Daniel. – Żaden z nas nic nie zawdzięcza drugiemu. Jeszcze.

Poszedł do kuchni, zaparzył kawę i zaczął układać plasterki żółtego sera na żytnim chlebie.

– Zmiana współpracowników zawsze jest trudna – rzekł Gene, wchodząc do kuchni. – Spędziłem sześć lat na układaniu sobie stosunków z pewnym kapitanem, dostałem nowego i musiałem zacząć wszystko od nowa.

– Wiem coś o tym – odpowiedział Daniel, otwierając lodówkę. – Chcesz musztardy?

ROZDZIAŁ 49

Nikt się do niego nie odzywał, ale Wilbur mógł bez tego żyć. Obejdzie się.

Cotygodniowa porcja wiadomości o Rzeźniku zadowalała Nowy Jork. Kawałki były przyjmowane z zainteresowaniem i w Stanach, i na całym świecie. Z tak wielkim, że trzy ostatnie udało mu się podpisać nazwiskiem.

Kluczową sprawą była pomysłowość, umiejętność sprzedania tego, co się miało. W sprawie takiej jak ta fakty były mniej istotne niż smaczek.

A smaczku nie brakowało: prastare miasto, atmosfera rodem z Tysiąca i Jednej Nocy, napięcia etniczne, potwór z nożem.

Doskonałe wizualnie. Zaczął nawet myśleć o scenariuszu do filmu.

No i podłoże polityczne. Zabijano Arabki – implikacje były oczywiste.

Najpierw poszedł do Silwan i zastukał do drzwi rodziny pierwszej ofiary, mając nadzieję, że mu o niej opowiedzą.

Nie wpuścili go i nie chcieli z nim gadać, więc dopadł profesora socjologii z uniwersytetu Bir Zeit: wyedukowanego w Columbii małego wypierdka o nazwisku El Said, zakochanego w sobie i złaknionego rozgłosu. Profesorek chętnie cytował mądrości na temat politycznych korzeni brutalnej zbrodni w społeczeństwie rasistowskim.

Wydoiwszy go, zajął się perspektywą historyczną. Spędził wiele godzin w archiwum „Jerusalem Post”, nieciekawym miejscu w północnej części miasta, niedaleko okopconej sadzą okolicy przemysłowej. Żeby się tam dostać, musiał kluczyć wśród rozwożących gazety ciężarówek, a potem wejść przez coś w rodzaju rampy ładunkowej. Nieopodal mieściła się rzeźnia czy może przetwórnia kurzego mięsa. Wchodząc do archiwum, słyszał popiskiwanie ptaków i czuł smród palonego pierza.

W środku wcale nie było lepiej: rzędy sięgających sufitu, przeładowanych regałów, pokiereszowane stoły, podłoga kryta spękaniem linoleum, ani jednego komputera w polu widzenia. Bibliotekarz stary, przygarbiony, powłóczący nogami, o załzawionych oczach i niezdrowej cerze.

Żywcem z Dickensa, uznał Wilbur, spodziewając się, że stary przyk zaszkrzyta zębami na jego widok.

Przyk jednak okazał się kompetentny, wiedział, gdzie czego szukać. Wziął od Wilbura pieniądze i wrócił z teczką, zanim ten skończył przeliczać resztę.

Zdecydowawszy, że da spokój polityce, szukał danych o zabójstwach seksualnych, w nadziei, że uda mu się obalić jakieś mity. Lokalna prasa powtarzała to, co powiedział mu Rappaport owego popołudnia u Finka: morderstwa o podłożu psychicznym były w Izraelu właściwie nieznanne. Ale owo przekonanie mogło wynikać z samozadowolenia Narodu Wybranego. Nie zamierzał przyjąć tego na wiarę.

Przejrzał wszystkie wycinki i sprawozdania, zapoznał się z tekstami Rappaporta i innych dziennikarzy piszących na temat przestępstw. Cofając się do 1948 roku, stwierdził, że tak było istotnie – wskaźnik brutalnych przestępstw był niski i przez trzydzieści siedem lat istnienia państwa pozostawał stosunkowo stały. Zabójstwa, które tutaj mieli, to przeważnie

rodzinne porachunki, zabójstwa nieumyślne i drugiego stopnia; o morderstwach seryjnych i seksualnych nie słyszano. I z tego, co wiedział, nie wynikało to z ukrywania faktów. Od 1948 roku prasa była wolna.

Fakt pojawienia się dwóch serii zabójstw w niewielkim odstępnie pozwalał na nowe ujęcie sprawy: sumienne, teoretyczne rozważania na temat zmian społecznych, wpływających na nagły wzrost brutalności. Nie potrzebował żadnych nowych źródeł; El Said i inni akademicy będą uszczęśliwieni możliwością celebrowania na zamówienie.

Zapotrzebowanie na takie ujęcie sprawy osiągało wyżyny, szczególnie w Europie. Nowy Jork domagał się nowego materiału. Inni korespondenci zagraniczni złościli się, że pozostają w tyle. Teraz żaden z nich nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Tak samo Rappaport – dzieciak pozieleniał z zawiści, przekonany, że go ograbiono.

Następne źródło wyschło. A policja nabrała wody w usta.

Ale to nie problem. On już miał coś nowego na uwadze. Im więcej o tym myślał, tym bardziej atrakcyjny wydawał mu się ów scenariusz.

Zaczął od szkicu i uznał, że potrzebuje więcej danych.

Zapoznał się z pierwszą serią zabójstw, przypisywanych jakiemś gulowi,* którego nazwano Szarym Człowiekiem. Sklecił z tego niezły kawałek retro. Przy okazji dowiedział się, że śledztwem kierował ten sam detektyw, który zajmuje się Rzeźnikiem – specjalista z Wydziału Zabójstw, o nazwisku Sharavi. Nie cytowano żadnych jego wypowiedzi, nie zamieszczono żadnych zdjęć. Prawdopodobnie silny, milczący typ albo po prostu nie życzył sobie pytań na temat własnej skuteczności w rozwiązywaniu spraw.

Wilbur zatelefonował do jego biura na Wzgórzu Francuskim, ale nikt się nie zgłosił, co go nie zaskoczyło. Zlecił przykowi z archiwum, by szukał wszystkiego, co dotyczyło detektywa, i otrzymał serię wycinków z zeszłej jesieni, które otworzyły mu oczy.

Elazar Lippmann, były członek Knesetu. Lojalny członek głównej partii. Specjalność – kryminologia i reforma więziennictwa. Mianowano go naczelnikiem więzienia Ramie. Rozprowniał o humanitarnych zmianach, edukacji i resocjalizacji. Prawdziwy złoty chłopiec. Maleńki wąsik jak u Omara Sharifa, dobre zęby. Wydawało się, że wszyscy za nim przepadają. Dobry stary Stevie Rappaport przeprowadził z nim wywiad dla piątkowego Dodatku, amatorszczyzna zalatująca uwielbieniem dla bohatera.

Toteż wszyscy byli zaskoczeni, gdy pół roku później Lippmann został wciągnięty w zasadzkę i zamordowany w drodze do pracy – zastrzelony z karabinu maszynowego, razem ze swym kierowcą.

Daniel Sharavi prowadził dochodzenie, wyznaczony bezpośrednio przez zastępcę komendanta, co, wzięwszy pod uwagę nie rozwiązana sprawą Szarego Człowieka, oznaczało, że jest dobry lub ma dobre plecy.

Facet działał skutecznie i dokładnie, uznał Wilbur, czytając wycinki na temat sprawy Lippmanna i podziwiając metody Sharaviego: więzienie przewrócono do góry nogami, przesłuchano wszystkich – więźniów i strażników, zgarnięto wszystkich przywódców gangów i ich kumpli. Wypytywano palestyńskich działaczy, a nawet klientów Lippmanna, których reprezentował, będąc adwokatem przed dziesięciu laty, zanim zabrał się do polityki.

W końcu okazało się, że to jeszcze jeden paskudny przypadek korupcji. Lippmann nie był bohaterem, lecz obrzydliwą kreaturą. Cztery miesiące po jego śmierci prasa uśmierciła go po raz drugi.

Sharavi wyjaśnił sprawę, i to bardzo szybko. Przekopał brudy i wykrył, że Lippmann był skorumpowany od samego początku, przebrał miarę, gdy objął stanowisko naczelnika więzienia: dwa opasłe konta w bankach szwajcarskich, jedno na Bahamach – majątek zebrany za wyświadczenie przysług: dodatkowe odwiedziny, wcześniejsze zwolnienia, a nawet nielegalne przepustki na weekendy dla niebezpiecznych zbrodniarzy. Ci, którzy odmawiali

* Gul – w baśniach Wschodu duch żerujący na trupach, wampir. Także rabuś zwłok.

placenia, byli karani: Żydów zamykano w celach, w których siedzieli Arabowie, i odwrotnie, a specjalnie wybrani strażnicy odwracali głowy, gdy podłoga spływała krwią.

W tej sytuacji znalezienie zabójców nie było trudne – trzej bracia osiemnastoletniego włamywacza, który odmówił placenia i dlatego skończył z rozwalonym nosem i rozciągniętym odbytem.

Dziwny facet ten Lippmann.

Jeden z ludzi Sharaviego przyłapał zastępcę naczelnika na myszkowaniu w biurku szefa i wpychaniu zdjęć do kieszeni. Fotografie przedstawiały *call girls* zabawiające się z politykami. Nic zdrożnego: po prostu wino, przekąski, krótkie spódniczki, wesołe scenki z przyjęć. Politycy byli pijani. Jednym z nich okazał się zastępca komendanta, inny złoty chłopiec, Gideon Gavrieli. Gazety zamieściły jego fotografię – podobny do Warrena Beatty'ego, z szerokim uśmiechem uczniaka.

Gavrieli twierdził, że poza uczestnictwem w jednym z przyjęć jest czysty. Ktoś mu uwierzył i wysłał go do Australii.

Sharavi awansował na nadinspektora.

Intrygujący facet, pomyślał Wilbur. Dwie nie rozwiązane serie zabójstw, a pomiędzy nimi wykopanie szefa. Człowiek w takiej sytuacji nie może się cieszyć zbytnią popularnością zwierzchników. Ciekawe, co się z nim stanie.

Gdy nadeszła poczta, Wilbur siedział przy swoim biurku w Beit Agron, gapiąc się na wentylator i popijając Wild Turkey z kartonowego kubka.

Zapukano do drzwi. Wilbur opróżnił kubek i wepchnął go do kosza na śmieci.

– Wejść.

Pojawił się chudy jasnowłosy chłopak.

– Poczta, panie Worberg.

Mutti, licealista, który pracował na pół etatu jako goniec. Co oznaczało, że Sonia, sekretarka, znowu bez pozwolenia wyszła na lunch.

– Połóż na biurku.

– Tak, panie Worberg.

Obok maszyny do pisania wylądowało pół tuzina kopert oraz najnowsze wydania „Time’a”, „Newsweeka” i „Herald Tribune”. W maszynie tkwiła kartka z wypisanym nagłówkiem: RZEZNIK. SCENARIUSZ FILMOWY, autor Mark A. Wilbur. Poniżej tytułu nieskażony papier.

Wilbur wyciągnął arkusz z maszyny, zgniótł go i rzucił na podłogę. Sięgnął po „Herald Tribune” i zaczął szukać swojego najnowszego kawałka na temat Rzeźnika. Nic. A to już trzy dni. Poczł ukłucie niepokoju i sięgnął do szuflady, w której trzymał butelkę Wild Turkey. Chwycił szyjkę i zdał sobie sprawę, że Mutti wciąż tam stoi, uśmiecha się i gapi. Wyjął butelkę.

Małomówny dzieciak. Jego ojciec był jednym z dozorców w budynku. Mutti chciał zostać semickim Jimmym Olsonem. Grabowsky zrobił go swoim pomocnikiem. Teraz odziedziczył go Wilbur. Posłuszny chłopak, ale z całą pewnością nie typ naukowca. Wilbur dawno zrezygnował z nauczania go, jak brzmi jego nazwisko.

– O co chodzi?

– Potrzebuje pan czegoś jeszcze, panie Worberg?

– Tak, skoro pytasz. Zejdź na dół do Wimpy i przynieś mi hamburgera z cebulą, majonezem i przyprawami. Rozumiesz?

Mutti energicznie skinął głową.

– A do picia?

– Piwo.

– Dobrze, panie Worberg. – Chłopak wybiegł i trzasnął drzwiami.

Wilbur sięgnął po pocztę. Potwierdzenie czeków podróжных z pobytu w Grecji.

Zaproszenie na przyjęcie Klubu Prasowego w Tel Awiwie. List ekspresowy od prawnika z Nashville, dopominającego się o alimenty dla Żony Numer Dwa. Uśmiechnął się – list wędrował przez Rio i Nowy Jork, co trwało sześć tygodni. Dwa tygodnie po ostatecznym terminie, który wyznaczył ów orzeł sądownictwa, grożący mu „energicznymi krokami sądowymi”. Wilbur odłożył list i przeglądał resztę poczty. Rachunki, biuletyn Muzeum Rockefellera, zaproszenie na konferencję prasową zorganizowaną przez kobiety WIZO na temat nowego sierocińca. Śmieci. I wreszcie, w połowie stosiku, coś, co przykuło jego uwagę.

Zwykła biała koperta, bez znaczków, tylko jego nazwisko wypisane drukowanymi literami z taką siłą, że „W” rozdarło papier.

W środku był arkusik papieru-biały, tani, bez znaku wodnego.

Do arkusika przyklejone dwa fragmenty tekstu po hebrajsku, obydwa wydrukowane na błyszczącym białym papierze, prawdopodobnie wycięte z książki.

Wpatrywał się w nie, nie mając zielonego pojęcia, co oznaczają, ale sposób, w jaki zostały dostarczone, wgniecione litery adresu, wycinki z książki – wszystko to było jakieś dziwne.

Wpatrywał się w hebrajskie pismo, przypadkowe kąty i krzywizny.

Niezrozumiałe.

Ale z całą pewnością dziwaczne. Poczł lekki ucisk w żołądku.

Wiedział, czego mu potrzeba.

Gdy Mutti wrócił z jedzeniem, powitał chłopaka jak dawno utraconego syna.

ROZDZIAŁ 50

Skwarny czwartek. Gdy Daniel dotarł na miejsce, powietrze było gorzkie od woni palonej gumy i kordytu. Ciszę przerywały strzały i zatrzuwała nienawiść.

Na południe od wjazdu do Beit Gwura droga do Hebronu była zastawiona blokadami – stalowymi kratami, obsadzone wojskiem i oskrzydlane przez ciężarówki wojskowe. Daniel zaparkował escorta na skraju szosy i dalej ruszył pieszo. Mundur pakada zapewniał mu wolne przejście.

W odległości dziesięciu metrów od barykad stała zapora, uformowana z czterech szeregów żołnierzy. Ludzie z Gwury stali stłoczeni za żołnierzami, oko w oko z żandarmami, którzy chodzili w tę i z powrotem, uniemożliwiając napór do przodu, zaganiając mieszkańców do osady. Ludzie z Gwury wymachiwali pięściami i wykrzykiwali nieprzyzwoite wyrazy, ale nie czynili żadnych wysiłków, by zaatakować żandarmerię. Daniel pamiętał mieszkańców, bo niedawno ich wypytywał, teraz ich twarze wykrzywiła złość. Rozejrzał się, szukając Kagana albo Boba Arnona, ale nie spostrzegł żadnego z nich.

Po drugiej stronie kordonu kotłowali się młodzi Arabowie, którzy przyszli tu z Hebronu, niosąc plakaty i flagi Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Niektóre plakaty leżały wdeptane w ziemię. W powietrzu unosił się dym. Arabowie przyturlali z miasta opony samochodowe i podpalili je. Płomienie zostały ugaszone, a dymiące opony, podobne do ogromnych, spieczonych obwarzanków, zwalono na pobocze.

Punkt dowodzenia znajdował się w ciężarówce wojskowej wyposażonej w radiostację. Stała ona obok drogi, na pokrytej pyłem polance otoczonej starymi figowcami. Dookoła ciężarówki stało kilka krytych brezentem jeepów żandarmerii, wszystkie bez załogi.

Dalej za drzewami była następna polana, jeszcze dalej winnica. Szmaragdowe liście ocieniały grona owoców, które w popołudniowym słońcu lśniły jak ametysty. Polanę wypełniały cztery karetki i pół tuzina furgonetek. Niektóre furgonetki były zamknięte i pod strażą żołnierzy. Obok nich stał pojazd cywilny – mały fiat barwy błota, z hebrońskimi tablicami rejestracyjnymi. Miał spuszczone z opon powietrze, nosił ślady pocisków, a przednia szyba była stłuczona.

Dwie furgonetki i jedna karetka odjechały, wzbijając pył z pobocza drogi, aż dotarły do zapór, gdzie skręciły na asfalt i włączywszy syreny, pośpieszyły na północ, z powrotem do Jerozolimy. Daniel zobaczył ruch wokoło innej karetki: białe kitle, karmazynowe woreczki z krwią, lśnienie butli kroplówek. Rozpoznał charakterystyczną sylwetkę pułkownika Marciano, stojącego przy przednim zderzaku ciężarówki, i podszedł ku niemu. Poruszał się szybko i ostrożnie, nie przestając śledzić akcji.

Kordon żołnierzy zbliżył się do Arabów, którzy cofnęli się, ale nie bez oporu. Manifestanci szamotali się z wojskiem, wznosili nienawistne okrzyki, jęczeli z bólu. Rozlegały się tępe odgłosy zderzeń metalu z ciałem.

Marciano podniósł do ust tubę i wyszczekał rozkaz.

Tylny szereg wystrzelił z karabinów w powietrze. Tłum manifestantów zafalował.

Przez chwilę wydawało się, że Arabowie się rozejdą. Nagle niektórzy z nich zaczęli

wykrzykiwać slogany OWP i siadać na asfalcie. Ci, którzy zaczęli się wycofywać, dołączyli do nich, potykając się i upadając. Zostali uniesieni przez pierwszy szereg żołnierzy i zepchnięci do tyłu. Żołnierze chwytali siedzących Arabów za kołnierze i szybko odprowadzali do żandarmów, którzy popychali ich do furgonetek. Nowa utarczka, więcej aresztowań, napór ciał, wrzenie i spluwanie.

W kilka sekund Arabowie zostali zmuszeni do cofnięcia się o parę metrów. Wtedy ze środka tłumu wleciały ogromne kamienie i posypały się na kordon. Jeden z nich wylądował tuż obok Daniela, który podbiegł, by się skryć za pobliskim jeepem.

Zobaczył żołnierzy zasłaniających się rękami. Z policzka jednego z rekrutów trysnęła krew.

Marciano ryknął w tubę.

Żołnierze wystrzelili kilka salw, tym razem ponad głowami demonstrantów. Arabowie w panice rzucili się do ucieczki, kilku z nich zostało stratowanych.

Krzyki, kamienie.

Nowe okrzyki. Więcej kamieni.

Jeden żołnierz runął na ziemię.

Rozkazy przez tubę. Kamienie. Żołnierze wystrzelili gumowe pociski prosto w tłum. Kilku Arabów upadło ze skręconym ciałem.

Tłum się rozpieczęł, Arabowie uciekali w stronę Hebronu, każdy na własną rękę. Potykali się jedni o drugich, w pośpiesznym biegu ku bezpieczeństwu.

Nagle spośród uciekających wyłonił się długowłosey, brodaty mężczyzna około dwudziestki i z dzikim błyskiem oczu rzucił się w kierunku wojska. W jednej ręce dzierżył długi nóż, w drugiej wielki kawał betonu.

Podniósł nóż na żołnierzy, którzy zwarli szeregi i wystrzelili. Tym razem ołowiane pociski.

Ciało długowłosego mężczyzny wzniosło się w powietrze, obróciło, przesywane kulami, dziurawione i wydzielające dym. Czarne dziury wypełniły się czerwienią i trysnęła krew. Równie gwałtownie jak się pojawił, upadł, zalewając krwią drogę.

Kilku z pierzchających Arabów obejrzało się, by patrzeć, jak konał. Przystanęli sparaliżowani, z ustami zastygłymi w niemym okrzyku.

Kordon wojska posuwał się naprzód, depcząc ciała zabitych, spychając wycofujących się Arabów dalej do tyłu. Parli przed siebie, dopóki wszyscy buntownicy nie uciekli lub zostali zatrzymani.

Na drodze pozostały plamy krwi, bezwładne ciała i puste łuski po nabojach.

Z karetek nadbiegli pielęgniarze z noszami, zbierali rannych żołnierzy i Arabów, pozostawiając na koniec martwego nożownika.

– Niech szcześnie! – wrzasnął mężczyzna z Gwury. Inni mieszkańcy podjęli okrzyk i zaczęli go wyśpiewywać. Ruszyli naprzód. Pułkownik Marciano powiedział coś przez tubę; ostatni szereg kordonu zmienił kierunek i stanął twarzą do ludzi z Gwury.

– Naprzód! – wrzasnęła jedna z kobiet. – Strzelajcie do Żydów! Przeklećci naziści!

Żołnierze stali bez ruchu. Granitowe oczy w dziecińczych twarzach.

Daniel podszedł do Marciano. Pułkownika otaczali podwładni, ale powitał Daniela skinieniem głowy, wydając rozkazy spokojnym głosem.

Marciano był ogromnym mężczyzną – liczył dwa metry wzrostu – o jajokształtnym ciele, które niepewnie balansowało na długich, szczudłowatych nogach. Jego łysa głowa także miała kształt jajowaty, twarz ogorzała, poryta głębokimi bruzdami, z wielkim mięsistym nosem i słabo wykształconym podbródkiem. Bez tuby mówił słabym głosem. Człowiek sukcesu, bohater ataku na Synaj w 1967 roku i Jom Kippur. Od dwóch lat był szefem bezpieczeństwa Judei. Uporządkowany myśliciel i zagorzały wielbiciel dzieł filozoficznych i historycznych, które zdawał się pochłaniać w biegu.

Gdy podwładni odeszli z rozkazami, uściskał dłoń Daniela, mówiąc:

– Już po wszystkim.

– Z telefonu, który otrzymałem, wynikało, że zajścia mają coś wspólnego z prowadzonym przeze mnie śledztwem.

– Możliwe. Chwileczkę.

Dwaj żołnierze nieśli zabitego Araba na pobocze drogi, wlokąc go tak nisko, że ciągnął poślakami po pyłe. Marciano podniósł tubę do ust i powiedział ostro:

– Podnieście go. – Zaskoczeni żołnierze usłuchali.

Zanim Marciano opuścił tubę, zbliżył się jakiś porucznik i zapytał:

– Co z nimi, Barukh? – Wskazując na ludzi z Gwury, którzy wciąż krzyczeli i przeklinali.

– Poinformuj Shimshona w Hebronie, że ruch *na* północ od miasta zostaje wstrzymany na dwadzieścia cztery godziny – odrzekł Marciano. – I dopilnuj, żeby nikt bez uzasadnionego powodu nie przekroczył granic do końca dnia. Kiedy polecenie zostanie spełnione, zostaw ich w spokoju, żeby ochłonęli.

Porucznik otarł czoło i odszedł.

– Chodźmy – rzucił Marciano. Obszedł ciężarówkę, wszedł do przyczepy. Daniel za nim. Usiedli na karbowanej stalowej podłodze. Marciano zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko, wyjął zza pasa menażkę, pociągnął łyk i podał ją Danielowi. Woda była zimna i słodka.

Marciano rozprostował swoje długie nogi.

– Oto, jak to było – powiedział. – Około dwóch godzin temu jedna z mieszkańek Gwury stała przy drodze w osadzie, czekając na podwiezienie do Jerozolimy. Ciężarna. Miała wyznaczoną wizytę w szpitalu Shaarei Zedek. Jeden z zastępców Kagana, Amerykanin o nazwisku Arnon, zajmujący się transportem, miał wrócić do osady z samochodem pełnym podręczników szkolnych. Po powrocie miał zabrać Torah i zawieźć ją do szpitala. Spóźnił się. Czekala sama, robiąc na drutach. Nagle nadjechał ten samochód. – Marciano wskazał fiata o barwie błota. – Wysiadło trzech Arabów, dwaj mieli rzeźnicze noże. Trzeci trzymał pistolet, jedną z tych tanich czeskich pukawek. Zaczęli się zbliżać do ciężarnej. Z przerażenia nie mogła się ruszyć. Zaczęli coś mówić o ofierze krwi i grzesznych rytuałach, o zemście za zmarłe dziewice. Zaczęła wrzeszczeć. Zatkali jej usta dłonią i powlekli do samochodu. Tymczasem nadszedł Arnon, zobaczył, co się dzieje, i ruszył biegiem na pomoc. Miał pistolet, biegł, wywijając bronią, ale bał się, że trafi kobietę. Uzbrojony Arab zaczął strzelać. Trzy razy chybił, ale w końcu trafił Arnona w brzuch. Arnon upadł. Ciężarna kobieta uciekła i ruszyła pędem, wrzeszcząc na całe gardło. Arabowie za nią. Tak się złożyło, że w pobliżu właśnie spacerowała pani Kagan, słyszała krzyki i pobiegła zobaczyć, co się dzieje. Załadowała uzi i ustawiła w pozycji bojowej. Uzbrojony Arab strzelił do niej, chybił i zaczął uciekać. Pani Kagan goniła wszystkich trzech, otworzyła samochód, zabiła dwóch i zraniła trzeciego. W tym czasie zaczęli nadchodzić Gwurnicy. Wyciągnęli rannego Araba z samochodu i pobili go na śmierć.

Marciano zamilkł i zaciągnął się papierosem.

– Piękny obrazek, co, Dani? Zaczekaj, to jeszcze nie koniec. Trzej Arabowie byli tylko częścią bandy. W mieszkaniu w Hebronie czekali czterej inni – noże, całun. Jakby się szykowali do zemsty. Gdy fiat nie wrócił, tamci faceci przyjechali zobaczyć, co się stało, ujrzeli ludzi z Gwury, stojących wokół martwych ciał ich towarzyszy, i wyciągnęli swoje czeskie pistolety. Gwurnicy spostrzegli ich i pobiegli w ich stronę. Kupa strzałów, wszystkie chybione. Arabowie szybko wrócili do Hebronu, opowiadając wszystkim, że Żydzi oszaleli i mordują palestyńskich bohaterów. Na domiar złego jeden z profesorów z Bir Zeit, osioł o nazwisku El Said, był z wizytą u wuja, usłyszał nowinę, wystąpił na środek *suku* i wygłosił zaimprovizowaną przemowę, która wzburzyła tłum. Resztę widziałeś.

Marciano palił przez chwilę, napił się wody z manierki. Rozległo się wycie syren ambulansów, a potem ucichło w oddali, zagłuszane warkotem motorów i epitetami

wykrzykiwanymi przez mieszkańców Gwury.

– Co się tyczy twojego śledztwa – podjął pułkownik – znaleźliśmy w fiacie gazetę z artykułem, wiesz którym.

– Nie czytałem dzisiejszej gazety – powiedział Daniel.

– W takim razie pokażę ci go. – Marciano podniósł się na klęczki, wystawił głowę z ciężarówki i przywołał żandarma. – Wyjmij ze skrzynki z dowodami torbę z napisem „numer dziewięć”.

Żandarm oddalił się truchcikiem.

– Gdzie jest Kagan? – zapytał Daniel.

– Ze swoją żoną. Strzelanie do Arabów wytrąciło ją z równowagi. Zaraz potem załamała się i zabrano ją do Hadassah na obserwację.

Daniel przypomniał sobie pełen spokoju wdzięk kobiety i miał nadzieję, że nic jej nie będzie.

– Jaka jest liczba ofiar? – zapytał.

– Trzech zabitych z fiata. Ciężarna kobieta tylko trochę podrapana, ale nie zdziwię się, jeżeli straci dziecko. Rana Arnona, trafionego w brzuch, wygląda poważnie. Stracił dużo krwi... Gdy go zabierali, był nieprzytomny. Widziałeś tego z nożem, bez wątplenia stanie się bohaterem. Głupiec, nie zostawił nam wyboru. Sześciu moich chłopców postrzelonych. Kilku Arabów z obrażeniami spowodowanymi przez gumowe pociski. Dziesięciu zatrzymanych, łącznie z El Saidem i czterema gangsterami z drugiego samochodu. Zabieramy ich do Ramie. Możesz ich wypytać pod wieczór, choć wątpię, czy się czegoś dowiesz. Jeszcze jedna akcja-reakcja.

Wrócił żandarm z papierową torbą. Marciano odebrał ją, wyciągnął ze środka złożoną gazetę i podał Danielowi.

Poranny „Al Quds”. Na pierwszej stronie nagłówek: **NOWE DOWODY W SPRAWIE MORDERSTW RZEŹNIKA WSKAZUJĄ NA ZBRODNICZY SPISEK SYJONISTÓW.** Tłumaczenie na arabski zagranicznej korespondencji Marka Wilbura, udekorowane kwiecistymi wstawkami autoryzowanymi przez miejscowego redaktora.

– W naszych gazetach mamy to samo – rzucił Marciano. – Bez tych dodatkowych bzdur.

– Od wschodu słońca jestem w terenie – powiedział Daniel i natychmiast pożałował swego przepraszającego tonu. Teren. Pustynia w pobliżu jaskini mordercy. Zataczał koła, jak jakiś judejski pustelnik. W nadziei, że znajdzie... co? Nowy dowód? Kosmiczny wgląd w sprawę? Odcięty od rzeczywistości, aż wrócił do samochodu i otrzymał od Shmeltzera wiadomość o rozruchach.

Przeczytał artykuł, z każdą linią odczuwając coraz większą złość.

Mark Wilbur twierdził, że otrzymał wiadomość od kogoś – kogoś anonimowego – kto może być samym Rzeźnikiem. Do czystej kartki papieru przyklejone były dwa wersety, wycięte z hebrajskojęzycznej Biblii, których dokładne tłumaczenie i wyjaśnienia sporządził „znawca Biblii”.

Według Wilbura, pierwsze to „pochodzące ze Starego Testamentu tradycyjne usprawiedliwienie judaizacji Palestyny”:

„Albowiem umiłował ojce twoje i obrał nasienie ich po nich, i wywiódł cię, idąc przed tobą w mocy swojej z Egiptu; aby wygładził narody bardzo wielkie i mocniejsze nad cię na wejście twoje: i wprowadził cię, i dał ci ziemię ich w osiadłość, jako to widzisz dnia dzisiejszego”. Piąta Księga Mojżeszowa (4, 37-38).*

Drugi wycinek został określony jako „zbiór Mojżeszowych rytuałów ofiarnych wyjęty z Księgi Leviticusa”:

„A jeśli by z drobiu ofiarował ofiarę za grzech, to jest owcę bez makuły”. (4, 32)

* Wszystkie cytaty z Biblii przełożonej z łacińskiego na język polski przez ks. Jakuba Wujka, dosłowny przedruk z autentycznej edycji krakowskiej z roku 1599 (Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa).

„A jelita i nogi wypłucz w wodzie”. (1, 13)

„Cokolwiek się dotknie mięsa jej, będzie poświęcone. Jeśli szata krwią jej będzie pokropiona, wypiorą ją na miejscu świętym”. (6, 20)*

Wypłucz w wodzie, pomyślał Daniel. Oprócz prowadzących śledztwo nikt nie wiedział o myciu ciał ofiar. Wykluczając przeciek, oznaczało to, że list *mógł* być prawdziwym, materialnym dowodem, którego Wilbur nie sfalszował.

Zacisnął szczęki i czytał dalej:

„...nie można wykluczyć możliwości religijno-etnicznych motywacji krwawych poczynań Rzeźnika. Obydwie ofiary były młodymi Arabkami i, choć policja odmówiła podania szczegółów śledztwa, od czasu znalezienia pierwszej ofiary, to jest od około miesiąca, przeważają pogłoski o rytualnym okaleczeniu Fatmy Rashmawi, lat 15”.

Dalszy ciąg artykułu utrzymany był w podobnym duchu. Omawiał konflikt pomiędzy „prawcowymi religijnymi osiedleńcami z Zachodniego Wybrzeża a tubylczą ludnością palestyńską”, zauważał, że „choć w obrządku żydowskim modlitwy zastąpiły składanie ofiar ze zwierząt, częste nawiązywanie do rytuałów ofiarnych pozostało ważną częścią liturgii”, podawał wybór cytatów z najbardziej płomiennych przemówień Moshe Kagana, podkreślając, że lider Gwury posługuje się Biblią, aby usprawiedliwić „przymusową ekspansję terytorialną”. Wspominał o gniewie narastającym wśród wielu Izraelitów w stosunku do „tego, co jest postrzegane jako przypadkowe akty terrorystyczne pozbawionych prawa wyborczego Palestyńczyków”.

Przypominał wszystkim o istnieniu tradycji zemsty na Bliskim Wschodzie.

Starał się obarczyć winą za morderstwa Gwurników lub im podobnych, ale nie mówiąc tego wprost. Sprawiając wrażenie obiektywności i prawdomówności. Czyniąc więcej szkody przez implikacje i niedomówienia, niż gdyby wyraził je bezpośrednio.

– Wolność prasy to wspaniała rzecz – uśmiechnął się Marciano.

Daniel włożył gazetę do torby i powiedział:

– Zatrzymam to. Co jeszcze masz?

– Broń zaopatrzoną w etykiety i gotową do zdejmowania odcisków palców. Staraliśmy się chronić samochód, ale ludzie z Gwury dokładnie zatarli wszelkie ślady. Mieszkanie w Hebronie jest opieczętowane i strzeżone. Kiedy twoi ludzie będą mogli się nim zająć?

– Natychmiast. Możesz mnie połączyć z Francuskim Wzgórzem?

– Bez trudu – odrzekł Marciano, gasząc papierosa.

Wyszli z przyczepy ciężarówki i wsiedli do szoferki. Pułkownik nacisnął kilka guzików, podał Danielowi słuchawkę, pożegnał się, życzył mu powodzenia i wysiadł. Daniel patrzył, jak Marciano kroczy po asfalcie, przystaje, by przyjrzeć się plamie krwi, rozmawia z podwładnym, beznamiętnie spoglądając na ludzi z Gwury, którzy zaczęli się rozchodzić do domów.

Tempo zdarzeń spowolniało. Tylko upał nie mijał. Znad winnicy uniosło się stado kruków, przeleciało nad głowami żołnierzy, zatoczyło koło i ptaki usiadły na figowcach. Ogromne, leniwe ptaszyska. Ich dobrze odżywione ciała porośnięte granatowo-czarnymi piórami lśniły jak naoliwione. Sadowiły się w milczeniu na szarych, powykręcanych gałęziach.

Podejrzliwe stworzenie, taki kruk. Noe wysłał jednego, aby poszukał suchego łądu; kruk wrócił, nie wypełniwszy polecenia. Przekonany, według tego, co mówili rabini, że Noe ma zamiary wobec jego partnerki.

Daniel przez chwilę spoglądał na ptaki. Następnie zajął się nadajnikiem.

* Leviticus (z łac. „dotyczący Lewitów”) – Księga Kapłańska, trzecia z biblijnego Pięcioksięgu. Rozwija przepisy odnoszące się do kultu, małżeństwa, moralności, dobroczynności, bluźnierstwa, roku jubileuszowego, uczynionych ślubów itd. Zawiera również opowieść o wykroczeniu i ukaraniu synów Aarona: Nadaba i Abi.

* W istocie jest to werset 27.

ROZDZIAŁ 51

Wilbur nie usłyszał, jak nadchodzili. Świątował powodzenie swoich publikacji na temat Rzeźnika – najwyższe nakłady – spędzając popołudnie u Finka, objadając się stekiem z frytkami, zakrapianym suto Wild Turkey oraz heinekenem. Bar był pusty. Wszyscy gryzmolili na temat rozruchów w Gwurze. Cieszył się samotnością, opróżniając piąty kufel, gdy poczuł na łokciu żelazny uścisk, spostrzegł błysk odznaki oraz ramię w szarym rękawie, oplatające mu szyję.

– Co, do diabła... – Usiłował się obejrzeć. Na jego kark opadła wielka ciepła dłoń, tak że nie mógł ruszyć głową i musiał patrzeć wprost przed siebie. Druga dłoń chwyciła go za pasek i przytrzymała, by nie zsunął się ze stołka.

Szukał wzrokiem barmana, kogokolwiek, kto byłby świadkiem zdarzenia. Nikogo.

– Policja. Pójdzie pan z nami – odezwał się beznamiętny głos.

– Zaraz, chwilę... – Został uniesiony ponad stołek, postawiony na podłodze i odprowadzony do czekającego przy wyjściu samochodu z włączonym silnikiem.

Gdy go tak wlekli, usiłował się skupić na szczegółach.

Samochód: biały, czterodrzwiowy ford escort. Nie dojrzał tablic rejestracyjnych. Kierowca zasłaniał twarz gazetą.

Tylne drzwi otworzyły się. Został wepchnięty do środka i znalazł się obok młodego faceta. Przystojny. Opalony. Z brodą. W obcisłej czerwonej koszulce polo i opiętych szpanerskich dżinsach. Gniewna twarz.

– Zapnij pas – polecił Beznamiętny Głos, po czym wsiadł również i zatrzaskał drzwi. Wilbur przyjrzał się mu: starszy gość, luźny garnitur, okulary, blada twarz, nos jak ptasi dziób, wąskie wargi. Semicka wersja faceta z „amerykańskiego horroru”. Coś w jego twarzy przypomniało Wilbura o ból brzucha.

Starał się opanować strach, powtarzając sobie: nie przejmuj się, mają tu demokrację. Nie ma tu typów w rodzaju Tontons Macoute/Savak, chyba że... to nie są policjanci. Dojrzał wprawdzie błysk odznaki, ale gliny demokratycznego państwa nie powinny się tak zachowywać.

Przez myśl przemknęły mu przerażające obrazy. Izraelska mafia. Albo grupa jakichś szalonych Arabów, mimo że żaden z dwóch na tylnym siedzeniu nie wyglądał na Araba. A może szaleńcy z Gwury dopadli go za opis rozruchów.

Czwarty mężczyzna obszedł samochód od tyłu i usiadł obok kierowcy. Gęste czarne włosy, wysoki i potężny, pewnie ten, który go chwycił za kark. Czarna koszulka polo. Rozłożyste ramiona – bary ciężarowca. Pod jego ciężarem trzeszczało siedzenie.

– Co tu się, u diabła, dzieje?

– Zapnij pas – powtórzył Beznamiętny Głos, a gdy Wilbur się zawahał, obydwaj z Przystojniakiem przypięli go pasem.

Kierowca wrzucił bieg. Kędzierzawy, z jarmułką na fryzurze afro. Czarna jarmułką szydełkowej roboty, z czerwonymi różami dookoła. Pasek ciemnej skóry nad białym kołnierzykiem koszuli – czarny Żyd?

Kędzierzawy wyjechał z ulicy HaHistadrut na King George, skręcił na północ, przeleciał na żółtym świetle skrzyżowanie Jafo i pędził Straus, wyprzedzając inne samochody.

Scena zupełnie jak z wiejskiego filmu, pomyślał Wilbur. Francuskiego lub włoskiego. Tylko że rozgrywała się w rzeczywistości, a on był śmiertelnie przerażony.

Escort pędził, aż trafił na czerwone światło przy Malkhei Israel, gdzie Kędzierzawy skręcił w alejkę tak wąską, że mury domów nieomal ocierały się o samochód. Samochód mknął, podskakując na wybojach.

Wilbur wpił paznokcie w kolana. Tłukł kością ogonową o siedzenie, mimo że większość nierówności amortyzowały ciała Beznamiętnego Głosu i Przystojniaka, Ściskające go z dwóch stron. Patrzyli wprost przed siebie, nie zwracając na niego uwagi, jakby nie było kim zwracać sobie głowy. Cuchnęli potem i wodą kolońską. Beznamiętny Głos trzymał jedną rękę pod marynarką.

Bardzo delikatny.

Alejka wiła się serpentynami. Kędzierzawy przyspieszył.

Wilbur wbił wzrok w podłogę, aby go nie zemdlilo.

Wyskoczyli na Jehesqel, skręcili w lewo na Szmuel Hanawi i Wilbur pomyślał: To policjanci. Wiozą mnie do komendy na Francuskie Wzgórze.

Oburzające.

Pozwolił sobie na gniew, zaczął dobierać słowa oficjalnego protestu.

Ale samochód minął komendę i mknął ku północy. Wilbur znów poczuł przyprawiające o mdłości przerażenie.

– Żądam... – zaskrzeczał. Jak głupek.

– Cisza – powiedział Beznamiętny Głos.

Kędzierzawy nie zwalniał. Przejechali przez północne przedmieścia, minęli Ramot Eszkol i miasto straciło swój miejski charakter.

Przekłeta pustynia. Nie zabudowane tereny przed Ramot. A potem północne wzgórza.

Ramot A.

Ramot B.

Wilbur zmuszał się do obserwowania szczegółów, obmyślając artykuł. Artykuł, w którym opíše tych łajdaków: Urowadzenie dziennikarza; Protest Departamentu Stanu. Międzynarodowy skandal. Artykuł Marka A. Wilbura. Wywiady telewizyjne, talk show. Obiad w Białym Domu. Sprzedaż scenariusza... Kto zagra jego, Wilbura? Redford? Zbyt pozbawiony wyrazu...

Historia prawdziwa.

Czterej mężczyźni w samochodzie milczeli. On naprawdę nic ich nie obchodził.

I to go przerażało.

Szczegóły:

Osiedla mieszkaniowe naprędce sklecone dla nowych imigrantów – skupiska prostych pudełek, betonowe cegły obłożone wapniem. Przygnębiające. Jak blokowiska w Nowym Jorku. Tylko że te tutaj wyglądały jak zjawy, oddzielone akrami piasku.

Pranie na sznurach.

Kieszonkowy park z piniami i drzewami oliwkowymi. Zakwefione kobiety popychające wózki. Chasydzi spacerujący ze splecionymi z tyłu rękami. Małe centrum handlowe.

Garstka ludzi. Zbyt daleko, by dostrzec, co się stało.

Nieważne.

Escort śmigający tak szybko, że grzechotało podwozie.

Ramot Pollin.

Kilkoro ludzi, a potem nikogo. Coraz bardziej opustoszałe okolice.

Nie dokończone fundamenty. Rusztowanie. Szkielety budynków. Stacja benzynowa z prefabrykatów na betonowej podstawie, mętne od pyłu szyby zalepione taśmą, cztery

podłużne rowy, tam, gdzie kiedyś będą pompy.

Ale żadnych robotników, ani śladu aktywności. Pewnie jakiś cholerny strajk.

Rowy. Ciągniki. Kratery ze śpiącymi buldożerami i dźwigami.

Nie dokończone drogi, zasypane pyłem.

Spokój. Cisza.

Wybój na drodze, a potem zagłębienie. W dole następny plac budowy, ale martwy, całkowicie pusty – jedno piętro z betonowych bloków, drewniana konstrukcja. W oddali widać namioty. Beduini? Dokąd go wiozą, u diabła?

Kędzierzawy odpowiedział na to pytanie, zjeżdżając z drogi przez błotnisty rów na plac budowy. Wzdłuż muru z betonowych bloków, aż natrafił na mierzący sześć stóp szerokości wlot i wjechał do środka.

Wewnątrz stał inny samochód, ukryty w cieniu. Czerwone bmw. Szare od kurzu.

Kędzierzawy wyłączył silnik.

Wilbur rozejrzał się wokół: ciemne, wilgotne pomieszczenie, prawdopodobnie przyszły podziemny garaż. Kryte sklejką i czarną papą. Na pokrytej pyłem podłodze wałały się śmiecie: ścinki nabijanego gwoździami drewna, kawałki tynku, strzępki izolacji, krzywe metalowe pręty, w powietrzu unosiła się potężna dawka azbestowych drobin.

Grabowski zabawiał go kiedyś opowieściami o tym, jak izraelska mafia grzebała swoje ofiary w fundamentach wznoszonych budynków. Religijni chasydzi, którzy byli *kohenami* – czymś w rodzaju kapłana – bali się wejść do tych budynków, ponieważ żydowskie prawo zabrania im przebywać w sąsiedztwie trupów.

Teraz przestało go to bawić.

Nie, niemożliwe. Kędzierzawy ma na głowie jarmułkę. Miły żydowski chłopiec, żaden mafioso.

Wtedy przypomniał sobie, co wyrabiali faceci w jarmułkach w dzielnicy diamentów.

O cholera.

– Dobra – powiedział Beznamiętny Głos. Otworzył drzwi. Wilbur dostrzegł wyrzucenie pod marynarką. Broń. Wełniany garnitur, a dupiek nawet się nie spocił.

Wszyscy, z wyjątkiem Kędzierzawego, wysiedli z samochodu. Beznamiętny Głos ujął Wilbura za łokieć i poprowadził przed maskę *samochodu*.

Przystojniak i Ciężarowiec przyglądali mu się, ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Ciężarowiec zwrócił się przodem ku niemu. Wilbur zobaczył, że to syn Wschodu – cholerny skośnooki olbrzym o lodowatym spojrzeniu. To sen. Za dużo alkoholu – za chwilę obudzi się z potężnym kacem.

Trzasnęły drzwiczki. Kędzierzawy wysiadł z samochodu z aktówką w jednej ręce i gazetą, którą przedtem zasłaniał sobie twarz, w drugiej.

Wilbur spojrział na gazetę. Dzisiejsza międzynarodowa „Trib”, z jego artykułem o Rzeźniku na drugiej stronie.

Beznamiętny Głos ścisnął go za łokieć. Przystojniak i Skośnooki cofnęli się w cień, ale Wilbur nadal wyczuwał ich obecność.

Kędzierzawy podszedł bliżej. Mały facecik – nie czarny, raczej jakiś mieszaniec, z rodzaju tych, których widuje się w Brazylii. Ale z dziwnymi złocistymi oczyma, które w mroku świeciły, niczym ślepią kota. Dłoń, w której trzymał gazetę, była zmasakrowana – sztywna, pokryta lśniącymi różowymi bliznami. Wielki kontrast z całą resztą skóry, która była brązowa, gładka i bez skazy. Twarz jak pupcia niemowlęcia. Ale oczy stare.

– Witamy, panie Wilbur. – Łagodny głos, prawie bez akcentu.

– Kim jesteście? – Kim jesteście, do kurwy nędzy!

– Daniel Sharavi. Rozumiem, że pytał pan o mnie.

Przeklęty pryk z archiwum. Wszyscy trzymali się razem.

– W trakcie mojej pracy...

– Właśnie o tym chcemy porozmawiać – powiedział Sharavi. – O pańskiej pracy. – Pomachał „Herald Tribune”.

Wilbur poczuł gniew. Więcej niż gniew, wściekłość, za to, co przeżył przez tych drani.

– Cuchnąca sprawa – zawołał. – Porwaliście mnie jak jacyś...

– Stul cholerny ryj – powiedział Beznamiętny Głos, mocniej ściskając łokieć Wilbura. Gorsza angielszczyzna niż Sharawiego, ale właściwie dobrane słowa i ton.

Sharavi spojrział na Beznamiętny Głos, uśmiechnął się, jakby chciał przeprosić za kolegę. A więc czeka go jedna z owych procedur w-dwa-ognie-między-złym-i-dobrym-gliniarzem.

– Proszę usiąść – powiedział Sharavi, wskazując sklejkę położoną na dwóch ceglach.

– Postoję.

Beznamiętny Głos zawiódł go do sklejki i posadził. Brutalnie.

– Siadaj.

Wilbur przyjrzał mu się. Wyglądał jak księgowy. Rewident księgowy, przynoszący złe nowiny.

Wilbur nie opuszczał wzroku.

– Gestapowskie taktyki – powiedział.

Beznamiętny Głos ukląkł przed nim i paskudnie się uśmiechnął.

– Jesteś specjalistą od gestapo?

Gdy Wilbur nic nie odpowiedział, dupek wstał, tupnął, wzbijając pył i rzucił:

– *Szmuk.*

Sharavi powiedział do niego coś po hebrajsku i facet się cofnął, krzyżując ramiona na piersi, tak jak pozostali.

Sharavi podniósł betonowy blok, postawił go naprzeciw Wilbura i usiadł.

– Pański wczorajszy artykuł był bardzo interesujący – zaczął.

– Do rzeczy.

– Aby uzyskać dokładną bibliografię przytoczonych fragmentów, korzystał pan z pomocy „znawcy Biblii”.

Wilbur milczał – Można spytać, z czyjej pomocy?

– Moje źródła są poufne. Wasz rząd przyznaje prawo...

Sharavi się uśmiechnął.

– Mutti Abramowitz nie jest wielkim znawcą. Prawdę powiedziawszy, jego ojciec wyznał, że zawsze miał kiepskie stopnie ze studiowania Biblii.

Mały facecik oparł dłonie na kolanach i pochylił się do przodu, oczekując odpowiedzi.

– O co tu chodzi? – spytał Wilbur.

Sharavi zlekceważył pytanie, otworzył aktówkę i zaczął w niej grzebać. Z twarzą zasłoniętą wiekiem zapytał:

– Gdzie pan był w czwartek trzy tygodnie temu?

– Niby skąd mam wiedzieć!

– Na dzień przed znalezieniem ciała Juliet Haddad.

– Nie wiem, gdzie wtedy byłem, prawdopodobnie... Zaraz, chwileczkę. Nie muszę odpowiadać. – Wilbur wstał. – Chcę adwokata.

– Po co panu adwokat? – łagodnie spytał Sharavi.

– Pogwałciliście moje prawa. Radzę wam, odczepcie się ode mnie, bo jak nie...

– Niech pan siada, panie Wilbur – rzekł Sharavi.

Beznamiętny Głos zrobił krok naprzód, z ręką pod marynarką.

– Siadaj, *szmuku.*

Wilbur usiadł, w głowie kręciło mu się od alkoholu i z wrażenia.

– Co pan robił w czwartek trzy tygodnie temu? – powtórzył Sharavi.

– Nie mam pojęcia. Właśnie wróciłem z Grecji, ale wy chyba o tym wiecie, no nie?

– Niech pan powie, co panu wiadomo na temat śmierci Fatmy Rashmawi i Juliet Haddad.

- Moje artykuły mówią same za siebie.
- Twoje artykuły to kupa gówna – odrzekł Beznamiętny Głos.
- Niech opowie o ranach na ciele Juliet Haddad – powiedział Sharavi prawie szeptem.
- Skąd mam o nich wiedzieć, do cholery?

Sharavi rozłożył „Herald Tribune”, poszukał palcem miejsca, odnalazł je i odczytał na głos:

– „... pojawiły się pogłoski o okaleczeniu ofiarnym”. Gdzie pan słyszał takie pogłoski, panie Wilbur?

Wilbur nie odpowiedział. Sharavi zwrócił się do pozostałych i zapytał:

– Słyszeliście takie pogłoski?

Wszyscy trzej pokręcili głowami.

– Nie słyszeliśmy takich pogłosek, panie Wilbur. Gdzie pan je słyszał?

– Moje źródła są poufne.

– Twoje źródła są gównno warte – odparł Beznamiętny Głos. – Jesteś kłamcą. Zmyśliłeś to.

– Inspektor Shmeltzer jest pozbawiony taktu – powiedział Sharavi z uśmiechem – ale ma rację co do istoty sprawy, panie Wilbur. – Mały łajdak uniósł ręce dłońmi do góry, sama słodycz i dobroć. Okaleczona dłoń była pokryta wypukłymi bliznami.

– Mutti Abramowitz w charakterze znawcy Biblii – powiedział, kręcąc głową. – Ten błazen Samir El Said jako uczony socjolog. Pogłoski o „okaleczeniach ofiarnych”. Ma pan bujną wyobraźnię, panie Wilbur.

– Kłamliwy *szmuk* – stwierdził Beznamiętny Głos.

– Słuchajcie – rzekł Wilbur. – Ta zabawa w-dobrego-i-złego-gliniarza nic wam nie da. Oglądaliśmy te same filmy.

– Lubi pan filmy, prawda? – Sharavi sięgnął do aktówki, wyjął jakieś papiery i podał je Wilburowi.

Notatki i tytuł jego scenariusza. Nie oryginał, fotokopie.

– Nie macie prawa...

– Bardzo interesująca lektura – powiedział Sharavi. – Wygląda na to, że ma pan mnóstwo pomysłów na temat Rzeźnika.

– To fikcja...

Sharavi się uśmiechnął.

– Wiele pomysłów – powtórzył. – To pan ochrzcił go Rzeźnikiem, prawda? W pewnym sensie wymyślił go pan.

– Co jeszcze skradliście z mojego biura?

– Niech pan nam powie wszystko, co panu wiadomo o zamordowaniu Fatmy Rashmawi i Juliet Haddad.

– Już powiedziałem. Wszystko, co wiem, jest w moich artykułach.

– Twoje artykuły to gównno – stwierdził Beznamiętny Głos, Shmehzer.

– To oburzające – wybuchnął Wilbur.

– Morderstwa są zawsze oburzające – powiedział Sharavi.

– Włamanie do mego biura, kradzież moich osobistych...

– Zupełnie jak Watergate – podsunął Sharavi.

– Wilburgate – podjął Shmeltzer. – Gównogate. – Powiedział coś po hebrajsku. Przystojniak i Skośnooki roześmieli się.

Sharavi pokręcił głową. Pozostali umilkli.

– Bujna wyobraźnia – powiedział, kierując uwagę z powrotem na Wilbura. – Słyszysz pan pogłoski, których nie słyszała policja, otrzymuje listy od kogoś, kogo uważa pan za Rzeźnika...

– Niczego takiego nie powiedziałem, ja tylko...

– Daje pan to do zrozumienia. Podobnie jak daje pan do zrozumienia, że ludzie z Gwury są odpowiedzialni...

– Analizuję fakty – przerwał mu Wilbur. – Prowadzę poszukiwania i stawiam możliwe hipotezy...

– Możliwe hipotezy?

– Właśnie, szefie.

– Wygląda na to, że wie pan na temat Rzeźnika więcej niż ktokolwiek. Jego motyw, jego „okaleczenia ofiarne”, to, co się dzieje w jego głowie. Musi doceniać pańskie zrozumienie, uważać pana za przyjaciela, skoro przysłał panu list – list bez znaczków. List bez odcisków palców poza tymi, które są identyczne ze zdjętymi z pańskiej butelki i maszyny do pisania. Są na nim wyłącznie pańskie odciski palców.

– Ta koperta była wsunięta do mojej skrzynki na listy.

– Tak. Tak mówi Mutti. Ale poczta leżała w skrzynce przez całą godzinę, zanim ją wyjął i przyniósł panu.

– Co oznacza?

– Co oznacza, że to pan mógł ją tam włożyć.

– Bzdura.

– Nie – odparł Sharavi. – To możliwa hipoteza. Bzdura to Mutti Abramowitz jako znawca Biblii.

– Po co miałbym coś takiego robić? – zapytał Wilbur, wiedząc, że pytanie jest głupie, a odpowiedź oczywista. – Ja go nie napisałem.

Sharavi zastanawiał się w milczeniu.

– Dziś rano – powiedział wreszcie – zginęło pięciu mężczyzn, kobieta prawdopodobnie straci dziecko, a jeden mężczyzna sporą część jelita. Kilku innych jest rannych. A wszystko z powodu „wiadomości”, które pan wymyślił.

– Winić posłańca – powiedział Wilbur. – Skądś to znam.

– Z całą pewnością. Moje poszukiwania dowodzą, że nie po raz pierwszy wymyśla pan wiadomości. Rytualne morderstwa w Mardi Gras, które okazały się samobójstwami, expose, które niczego nie wyjaśnia.

Wilbur starał się zachować zimną krew.

– Nie mamy o czym mówić.

– Ale to jest dawne oszustwo – powiedział Sharavi. – Mnie interesuje, jak daleko posunął się pan w obecnym zmyśleniu. Czy możliwe, że był pan aż tak spragniony smakowitego kryminału, żeby popełnić zbrodnię?

Wilbur zerwał się na nogi.

– Co pan gada, do cholery?

Sharavi zamknął aktówkę, umieścił ją sobie na kolanach i się uśmiechnął.

– Nauka przez czyny, panie Wilbur. To gwarantuje realizm.

– Nic więcej nie powiem. – Serce Wilbura kołatało, dłonie dygotały. Zmusił się do chłodnego tonu: – Ani słowa bez mojego adwokata.

Sharavi odczekał dłuższą chwilę. Niechaj milczenie zrobi swoje.

– Gdzie pan był w czwartek trzy tygodnie temu, panie Wilbur?

– Nie wiem. Ale kiedy zamordowano pierwszą, byłem w Grecji! Za cholernym Morzem Śródziemnym!

– Siadaj – powiedział Shmeltzer.

– Postoję – odpowiedział Wilbur. – To jest jakieś gówniane nękanie.

Sharavi uciszył Shmeltzera gestem dłoni.

– Może pan stać, jeśli pan woli. – Złociste oczy patrzyły nieruchomo. – Proszę mi powiedzieć, panie Wilbur, jakie ostre narzędzia posiada pan oprócz zestawu noży kuchennych Sabatier w kuchni oraz noża Armii Szwajcarskiej na biurku.

- To bez sensu – rzekł Wilbur. Jego serce nie chciało się uspokoić.
- Wynajmuje pan inne mieszkanie poza tym na *rechow* Alharizi?
- Żądam obecności adwokata.
- Obficie cytował pan Samira El Saida. Co was łączy?

Wilbur milczał.

- Gadaj, *szmuku* – rzucił Beznamiętny Głos.
- Nie mam nic do powiedzenia.
- Utrzymuje pan stosunki homoseksualne z profesorem El Saidem?

To zaskoczyło Wilbura. Usiłował zachować twarz pokerzysty, ale uśmiech Sharaviego powiedział mu, że bezskutecznie.

- Sądzę, że nie – mówił dalej mały drań. – Jak dla niego jest pan trochę za stary.
- Nie jestem homoseksualistą – powiedział Wilbur, myśląc: czemu, do diabła, się tłumaczę?
- Lubi pan kobiety?
- A pan?
- Ja nie lubię ich kroić.
- Jezu.
- *Szmuk* jest religijny – stwierdził Beznamiętny Głos.
- Nie mam nic do dodania – powiedział Wilbur.
- Niech pan posłucha – odezwał się Sharavi. – Mamy mnóstwo czasu. Gdy się ściemni, zapalimy latarki, żeby odstraszyć szczury.
- Proszę bardzo – mruknął Wilbur.

Przez półtorej godziny Sharavi wypytywał go, gdzie kupuje bieliznę pościelową, jakiego mydła używa, ile kilometrów dziennie przejeżdża samochodem. Czy ma zdrowe oczy, jakie lekarstwa przyjmuje, co woli, kąpiel w wannie czy prysznic. Jak się zapatruje na higienę osobistą. Wydawałoby się, że pytania nie mają związku z morderstwami. Drobiazgi, nad którymi nigdy się nie zastanawiał. Zadawał w kółko te same pytania, nieznacznie zmieniając ich sformułowanie. A potem, raptem, pytał o coś zupełnie innego.

Usiłował zbić go z pantałyku.

Traktował jak jakiegoś cholernego mordercę.

Wilbur opierał się, jak mógł. Chciał wywieść małego drania w pole. Ale w końcu stwierdził, że ustępuje, skołowany uśmiechami i powtórzeniami Sharaviego, który nie przejmował się jego wybuchami.

Kiedy dziennikarz spostrzegł, że zaczyna przegrywać bitwę, już ją właściwie przegrał, i ogłupiały odpowiadał na pytania. Od długotrwałego stania rozboleły go nogi, ale nie usiadł, by nie wyglądało, że się poddał.

Wmawiał sobie, że mały drań także spuszcza z tonu.

Traktuje go jak doradcę, a nie podejrzanego.

Zaczyna mu wierzyć.

Po dziewięćdziesięciu minutach Sharavi skończył wypytywanie i zaczął gawędzić o błahostkach. Wilbur poczuł wielką ulgę. Nareszcie usiadł i skrzyżował nogi.

Po dwudziestu minutach skończyli pogawędkę. Piwniczna nora stała się mroczna i zimna. Zapadła noc.

Sharavi powiedział coś do Skośnookiego, który podszedł i poczęstował Wilbura papierosem. Odmówił. W końcu Sharavi zatrzasnął swoją aktówkę, uśmiechnął się i powiedział:

- I po wszystkim.
- Wspaniale – odparł Wilbur. – Podrzucicie mnie na Beit Agron?
- Nie – odrzekł Sharavi, udając zaskoczonego.

Skośnooki oparł łapę na ramieniu Wilbura. Podszedł Przystojniak i zakuł Wilbura w

kajdanki.

– To jest podinspektor Lee – powiedział Sharavi, spoglądając na syna Wschodu. – A to inspektor Cohen. Zabiorą pana z powrotem do Jerozolimy. Do więzienia na placu Rosyjskim, gdzie zostanie pan aresztowany za utrudnianie śledztwa i odmawianie odpowiedzi.

Wilbur obruszył się i chciał zaprotestować, ale zabrakło mu energii i dał za wygraną. Sharavi otrzepał spodnie.

– Do widzenia, Mark. Gdyby zechciał mi pan powiedzieć coś więcej, chętnie pana wysłucham.

Gdy bmw odjechało, Daniel zwrócił się do Shmeltzera:

– I co o tym sądzisz?

– Po oczach widać, że to alkoholik. Gdybyś widział te wszystkie butelki. Ale nic, co znaleźliśmy w jego mieszkaniu i w biurze, go nie obciąża. A pobyt w Grecji daje mu alibi na morderstwo Fatmy, chociaż, jeżeli ma tu pomocników, alibi nie ma znaczenia. Co Ben David powiedział ci na temat tego listu?

– Ze cytaty z Biblii mogą wskazywać na fanatyka lub kogoś, kto chce na takiego wyglądać. Jedno jest pewne: ktokolwiek to pisał, nie jest znawcą Biblii. Fragmenty z Leviticusa są ni z gruszki, ni z pietruszki. Ten na temat mycia nóg odnosi się do samca zwierząt. Sprawa śmierdzi, ktoś próbuje nas zmylić.

– Ktoś usiłuje przypisać to Żydom – powiedział Shmeltzer. – A to dokładnie w stylu tego *szmuka* Wilbura. – Splunął na pył. – Ben David nic nie mówił o piśmie, jakim zaadresowano kopertę?

– Drukowane litery, pisane bardzo powoli przez kogoś biegłego w pisaniu po angielsku. Co, wraz z faktem, że posłużono się językiem angielskim, a nie hebrajskim, przemawia za tym, że to obcokrajowiec. Tylko że cytaty z Biblii są po hebrajsku. Ale zanim po was przyjechałem, wstąpił do mnie Meir Steinfeld i powiedział coś, co rzuca nowe światło na hebrajskie cytaty. Ich tekst jest identyczny z drukowanym u nas wydaniem Biblii hebrajsko-angielskiej, bardzo popularnej wśród turystów. Pokazał mi egzemplarz, Nahum. Tekst jest drukowany w dwóch językach. Każdy może wybrać fragment po angielsku, a potem znaleźć hebrajski odpowiednik. A adres na kopercie to jednak trudniejsza sprawa.

– Jakiś pieprzony antysemita – rzucił Shmeltzer. – Pieprzone oszczerstwo.

– Istnieje również możliwość, że człowiek, który wysłał list, zna hebrajski i angielski i posługuje się obydwojema językami, żeby się z nami zabawiać. Mordercy seryjni lubią takie zagrania.

– Jeżeli autor listu jest zabójcą.

– Jeżeli – zgodził się Daniel. – List może być zwykłą podróbką. Ale wzmianka o myciu?

– Przeciek z prasy – stwierdził Shmeltzer.

– Gdyby w prasie wiedzieli o myciu zwłok, ktoś by o tym napisał. Nawet Wilbur wspomina tylko ogólnie o ofiarach. Ben David uważa, że sposób pisania liter jest wymowny. Mówi, że powolność i przyciskanie pióra wskazują na wyrachowanie i tłumiony gniew, silny gniew. Darcie papieru wskazuje na to, że grozi wybuch tłumionej złości.

– Co oznacza?

– Że jeśli autor listu jest naszym mordercą, prawdopodobnie będziemy mieli następną ofiarę. Może już wkrótce, dziś jest czwartek.

– Chyba że to Wilbur, którego trzymamy pod kluczem – powiedział Shmeltzer.

– Niekoniecznie. Przecież jesteś zwolennikiem teorii grupy.

– Ale chętnie potrzymam go trochę w ciupie, żeby zobaczyć, czy taka odsiadka nie odświeży mu pamięci.

– Miałeś frajdę z przesłuchania, co, Nahum?

– Piękna robota.

Wsiedli do escorta. Daniel włączył silnik, wyjechał z piwnicy na skalistą powierzchnię.

Ziarenka żwiru bombardowały podwozie. Na horyzoncie widoczna była półkula zachodzącego słońca. Nie dokończona budowla rozplynęła się w mroku.

– Drori, ten anestezjolog, odpada – rzekł Shmeltzer. – W ciągu obydwu nocy, kiedy popełniono morderstwa, miał dyżur w szpitalu i przeprowadzał operacje na pogotowiu. Dziwna sprawa, że czwartkowej nocy, kiedy zabito Fatmę, był tam także Krieger, ten, który poinformował nas o Drorim. Operowali razem. Krieger usiłował wsypać kolegę.

– Porachunki osobiste, tak jak podejrzewaliśmy – stwierdził Daniel.

– Śledziłem Droriego, żeby się przekonać, dokąd jeździ nocami, gdy Krieger ma dyżury. Prosto do jego mieszkania, żeby dmuchać żonę Kriegera. Nieśmiertelna zazdrość. Drań chciał nas wykorzystać w charakterze świadków. Gdybym nie był taki zapracowany, dałbym mu nauczkę.

– Dowiedziałeś się czegoś o wyprawach na pustynię?

– Uniwersytet i Ochrona Przyrody jeszcze sprawdzają. Biurokracja.

Daniel wyjechał na autostradę i pomknął na południe. Przez chwilę milczeli. Minęli górny Ramot, a potem A i B. Tuż przed nimi zatrzymał się autobus z Egged. Wysiadło z niego kilkudziesięciu ciemno ubranych chłopców z *jesziwy*. Czekające na przystanku matki powitały ich uściskami i przysmakami. Autobus gwałtownie ruszył, zajeżdżając drogę escortowi i Daniel musiał ostro skręcić, aby na niego nie wpaść.

– Idiota – mruknął Shmeltzer. Poprawił na nosie okulary. Gdy ujechali jakieś sto metrów, powiedział: – Aresztowałeś dziennikarza, *Herr* pakad. Ściągniesz sobie na głowę kubły politycznego gówna.

– Włożę kapelusz – odparł Daniel. Docisnął gaz do dechy i pomknął ku miastu i jego tajemnicom.

ROZDZIAŁ 52

Cudownie, cudownie, cudownie, myślał, masturbując się, Człowiek o Szerokim Uśmiechu. A wtedy przyszło mu do głowy, że gada jak pieprzony Welk Lawrence'a, i zaczął chichotać.

Ale przecież było cudownie. Pustynne czarnuchy i icki napażwały się. Rozrywając jedni drugich na strzępy i skrzecząc jak haczykowatonose drapieźniki, którymi w istocie byli.

A on, ich pogromca.

Plan *Untermensch*.

W jego umyśle pojawił się obraz dwóch nacierających hord szczurów, przebierających małymi szczurzymi łapkami. Wybiegających z kanałów ściekowych, z rur, ze zlewów.

Małe brązowe pustynne szczurze czarnuchy z małymi główkami omotanymi w szmaty i z czarnymi bokobrodami. Małe różowo-szare szczurze icki w jarmułkach i z brodami. Popiskujące, pokwikujące i kąsające. Wygryzające dziury jak na zdjęciach w wielkiej zielonej księdze Schwanna.

Chrup. I nie ma ogona.

Chrup. Nie ma ucha.

Pożerające się nawzajem, aż nie pozostało nic poza małą kupką kości i małymi szczurzymi plamami, które łatwo posprzątać.

I błogosławiona cisza – przestrzeń dla białego człowieka.

Żadnego ryku złej maszynierii.

Dużo miejsca na łokcie.

Chrup.

Cóż za wspaniałe uczucie, puścić coś w ruch i patrzeć, że działa, dokładnie tak, jak się zaplanowało.

Prawdziwa władza.

Prawdziwa nauka.

Wadzą. Myśl o niej sprawiała, że gotów był się spuścić wcześniej, niż zaplanował. Zatracił się w orgazmie na kilka szarpiących mózg chwil, kołysząc się na łóżku w przód i w tył, ściskając członek i przesuwając po nim jedną dłonią, podczas gdy druga pieściła na pół wygojone skaleczenia w kształcie swastyk na udach.

Panowanie nad umysłem.

Tak jak zapanował nad Doktorem, chociaż kutafon był tylko jednym ze szczurów, a on miał ich teraz całą masę, pierzchających na jego rozkaz.

Ale ważnym szczurem, prawdziwym Michelangelo obrazów umysłu.

Nie. Dalim. U niego były najlepsze obrazy umysłu – miękkie zegary, przepiórki gotowane w ich własnym gównie. A mówiono, że był ickiem. Kłamstwa!

Władza nad Doktorem. Musiał uważać, by nie przesadzić z szantażem – drogi stary papcio był żarłoczną świnią i ani trochę o niego nie dbał. Przedobrzysz, i trudno przewidzieć, jak gotów zareagować.

Ważną rzeczą jest zachowanie równowagi. Uderzać tylko w wypadkach, gdy chodzi o coś

naprawdę istotnego. Przydusić mocno i szybko, bez litości, a potem zniknąć. Przez resztę czasu pozwolić mu żyć tak, aby miał złudzenia, że jest wolnym człowiekiem.

Wycisnąć z niego forszę. Mnóstwo szmalu – więcej niż ma ktokolwiek w jego wieku, ale nie tyle, by zniszczyć Doktora – kutafon nadal kroił ludzi i zgarniał forszę, te wszystkie domy z apartamentami, akcje, obligacje.

Bogacz, jak oni wszyscy.

Jak nauczyć pływać żydowskie dziecko?

Wrzuć grosik do basenu. Reszta przyjdzie z czasem.

Małe sumki, które wyciskał, rosły nadszpiewanie szybko. Część odkładał na konto, niektóre deponował, razem z obligacjami.

Wolnymi od podatków komunalnymi i wysoko oprocentowanymi korporacji – odcinał kupony co miesiąc, pobierał procenty, nie ruszając wkładu. Doktor powiedział swemu prawnikowi, że nadszedł czas, by przekazać część akcji jego ukochanemu synowi, aby obejść podatki od spadku.

Planowanie rodzinnej fortuny. Fajny tatuńcio.

Gotówka oraz obligacje i akcje, które będzie mógł sprzedać, gdy tylko zechce. Doktor przedstawił go swemu maklerowi i powiedział odpalantowanemu dupkowi, że chce, aby jego ukochany syn wcześniej nauczył się zarządzać finansami i podejmować samodzielne decyzje.

Superpapcio.

I samochody – Jag, super, ale przykuwający uwagę. Idealny od czasu do czasu, by pędzić w wielkim stylu i poczuć się jak Król Gówna, Cesarz Prawdziwej Nauki. Plymouth, paskudny, ale godny zaufania, z wielkim bagażnikiem na zabawki i na wszystko, co potrzebne.

Doktor dał mu trzy karty kredytowe na paliwo. Rachunki i ubezpieczenie zawsze były opłacane na czas.

Miał cały dom dla siebie – Doktor się wyprowadził i mieszkał w kondominium niedaleko szpitala. Ona była teraz stale zalana, nie opuszczała łóżka, robiła pod siebie.

Doktor, ten doskonały mąż, wynajmował prywatne pielęgniarki, aby się nią opiekowały. Każdego tygodnia inna: tłuste murzyńskie babska i zniewieściałych pedałów, którzy po prostu przy niej siedzieli, rozwiązując krzyżówki, paląc papierosy, zmieniając prześcieradła oraz kradnąc biżuterię i żarcie.

Służące odeszły; ich miejsce zajęła opóźniona w rozwoju Murzynka, która przychodziła raz na tydzień, by odkurzyć i pozmywać.

W domu zaczęło cuchnąć starością i stęchlizną. Odór śmierci. Tylko jego pokój był czysty. Oraz biblioteka.

Te dwa pomieszczenia sprzątał on sam.

Czystość bliska boskości.

Przyjemny spokojny dom, on był Panem na Dworze.

Próbował sił w college'u, wybierając najłatwiejsze przedmioty i przychodząc na zajęcia tylko po to, by je zaliczyć. Pracował w szpitalu dla czystej przyjemności, dostarczając pocztę trzy razy w tygodniu. Najbogatszy goniec w całym mieście.

Czytał czasopisma i książki w bibliotece szpitalnej i wiele się nauczył. Wślizgiwał się do pracowni patologii, otwierał szuflady z ciałami i gmerał przy nieboszczykach, ocierał się o ich chłodne mięso, oglądał przyjazne otwory oraz słoje z narządami. Wgrywał do umysłu nowe obrazy.

Noce były najlepsze.

Sunął samochodem przez Nasty Boulevard, gapiąc się na pijaków, zboczeńców, narkomanów, obrzydliwców i dziwki. Używając jaguara, by zadawać szyku, albo plymoutha w poważniejszych sprawach. Tęsknił za nowymi tożsamościami. Odwiedzał sklepy z wyposażeniem dla teatrów na Nasty i kupował kapelusze, okulary optyczne i

przeciwsłoneczne, sztuczne wąsy, brody i peruki, aby wyglądać inaczej. I być innym. Ćwiczył mówienie różnymi głosami, odmienne sposoby bycia.

Mógł być każdym!

Na początku tylko jeździł i patrzył. Minał motel, w którym nakrył Doktora z siusiumajtką, i zobaczył kilka samochodów i nowego żółtka w recepcji.

Zatrzymał się, zamknął oczy i wyobrażał sobie, co się dzieje w środku. Ile dziwek pieprzy się z pijakami, jakie rzeczy wyrabiają. Cenna pożywka dla obrazów umysłu.

Dziwki, kwintesencja kobiecości.

Postanowił się do nich zbliżyć, jeździł za nimi przez wiele tygodni, rzucając im uśmiechy, ale jeszcze niegotowy na kontakt, zanim wreszcie się odważył, a serce waliło mu tak jak wtedy, gdy siedział na schodach.

Poderwał pierwszą lepszą, jedną z wielu lafirynd, podpierających latarnię. Wyrecytował słowa opracowanej formułki i nawet się nie zainteresował, jak wyglądała. Spojrzał na nią, dopiero gdy wsiadła do samochodu i gdy przejechali razem kilka przecznic.

Kompletne dno: tłusta murzyńska suka, wielkie usta i białe cienie na powiekach. Obwisłe cycki, zmarszczki – musiała mieć ze czterdziestkę.

Skręcili plymouthem w boczną uliczkę i ugodzili na ciągnięcie druta na przednim siedzeniu.

Szybko się spuścił; suka odkaslnęła i splunęła w chusteczkę, jakby to były śmiecie. Całkowicie niezadowolający, ale zawsze początek.

Kilka następnych razów było podobnie, ale jemu i tak się podobało, gromadził w umyśle obrazy na przyszłość. Potem, leżąc w łóżku, wyobrażał sobie, jak rozcina dziwki, bada ich upragnione jamy, oczyszcza je, spokojny i opanowany.

A potem spotkał Nightwing.

Pracowała na własny rachunek, na spokojnym rogu, kilka przecznic za grupą lafirynd. Dobra struktura kostna, widoczna pomimo ciemnej szminki, białego wampirzego makijażu i długasnnych sztucznych rzęs. Mięsiste uda, rozsadzające czarną jedwabną minispódniczkę. Cała na czarno.

Odrobinę od niego starsza, zaraz po dwudziestce. Mała i krępa, długie czarne włosy, wielkie czarne oczy, wspaniała twarz.

Twarz Sarah!

To załatwiło sprawę! Podobieństwo zupełnie go odurzyło, do tego stopnia, że przyspieszył i odjechał, nic nie zrobiwszy. Przejechał milę, zanim przyszedł do siebie, zawrócił i podjechał powoli do rogu.

Jaguarem, odpicowany, tweedowa marynarka, płócienna czapka z daszkiem z przodu i z tyłu, wąsiki. Tożsamość: wyrafinowany Brytyjczyk.

Rozmawiała, targując się, z tłustym Latynosem. Latynos pokręcił głową i odszedł. Wykonała nieprzyzwoity gest.

Zwolnił, przyjrzał się jej dokładnie, obejrzał twarz Sarah.

Najpierw zauważyła samochód, lśniące zderzaki, pochyle światła, kształt karoserii. Zwęszyła forszę, spojrzała na niego i oblizwała wargi.

Ostre małe białe ząbki. Kocie ząbki.

– Hej, chłoptysiu, chcesz się zabawić?

Dziwny akcent. Makaroniarski, latynoski?

Wciąż oszołomiony, przejechał obok, spojrzał we wsteczne lusterko i zobaczył, że podniosła palec.

Następnej nocy przyjechał plymouthem, w innym kapeluszu, bez sztucznych wąsów. Nie poznała go.

– Hej, chłoptysiu.

Otworzył drzwi.

– Wskakuj, mała. – Przybrał ton luzaka, ale był tak zdenerwowany, że omal nie zsikał się w spodnie.

Podeszła do krawężnika, pochyliła się, cycki wyjrzały z czarnego nylonowego stanika.

– Cześć.

Zlustrowała go dokładnie.

– Cześć, mała.

Zatrzepotała sztucznymi rzęsami, jakby to były skrzydła ćmy.

Cofnęła się. Zabawa w chyba-nie-jesteś-gliną.

Czarujący uśmiech.

– Czy ja wyglądam na gliniarza, mała?

– Nikt nie wygląda na gliniarza, chłoptysiu.

Uśmiechaj się, pokaż jej forszę.

– Gdybym chciał pogadać, dołączyłbym do grupy raperów.

Zawahała się, rozejrzała wkoło, podrapała w kolano.

Powoli ruszył z miejsca.

– Zaczekaj, chłoptysiu.

Teraz ona się uśmiechała, pokazując kocie ząbki, zła Sarah. Na ten widok zupełnie stracił głowę. Poczul taki wzwód, jakby jego rura ważyła tonę.

Wsiadła, zatrzasnęła drzwi i przeciągnęła się. Jak kot. Powiedziała cenę.

– Dobrze, mała.

Niedbale.

Przyjrzała mu się. Przeciągnęła.

– Przejedź trzy przecznice i skręć w prawo, chłoptysiu.

– Co tam jest?

– Miłe i wygodne miejsce na zabawę.

Dwie minuty później stara pozycja jej-głowa-na-jego-kolanach. Ale inaczej: spodziewał się, że natychmiast wybuchnie, ale podobieństwo do Sarah odmalowało w jego umyśle takie obrazy, że na chwilę się wstrzymał. Pozwolił jej pracować, przycisnął jej głowę, bawił się jej włosami, a potem się spuścił.

– Dobra!

Ta nie splunęła. „Mniam?”. Z uśmiechem.

Jak nic kłamała, ale on i tak był zadowolony.

Kochał ją.

Ponieważ była to prawdziwa miłość, zapłacił jej więcej, niż się zgodzili, wypatrywał jej następnej nocy, i jeszcze następnej, nie znając jej imienia, nie wiedząc, kogo o nią pytać. Sarah, która połyka? Wrócił do domu głodny, zmęczony, złapał bezpańskiego psa i żywił się nauką oraz wspomnieniami, aż trzeciej nocy spotkał ją na innym rogu, dalej na wschód.

Znów cała w czerni, nadal piękna.

Nie poznała go, dopóki nie podeszła bliżej.

– Witaj, chłoptysiu.

Dziwny akcent, ale z całą pewnością nie latynoski.

Zanim mu obciągnęła, zapytał, jak jej na imię.

– Nightwing.

– Cóż to za imię?

– Moje uliczne imię, chłoptysiu.

– A prawdziwe imię?

– Ulica jest prawdziwa, chłoptysiu. Zadajesz zbyt wiele pytań. Pogaduszki to strata czasu.

– Koci uśmiech. – No, no, tylko popatrzcie... Młoda krew, co powiesz na drugi raz? Jesteś taki milutki. Dam ci zniżkę.

Zapłacę tyle co zwykle.

Czyż nie jest słodki... och, taki niecierpliwy. No, dalej, przyciśnij moją głowę, ciągnij mnie za włosy, mocniej, jeśli to ci ma pomóc.

*

Spotykali się regularnie, przynajmniej raz na tydzień, czasami dwa. Odjeżdżali coraz dalej i dalej od Nasty, na wzgórze, z których było widać bulwar. Parkowali w bocznych, ocienionych drzewami uliczkach, zawsze do buzi – żadne z nich nie chciało się upaprać.

Randki od niechcenia, żadnego trzymania-się-za-rączki w kinie. Podobała mu się jej szczerłość, fakt, że ani on, ani ona nie odczuwali potrzeby rozmowy czy innych kłamstw.

Ale i tak dowiadywał się o niej coraz więcej. Lubiła mówić, poprawiając szminką usta.

Była spoza miasta, pracowała na Nasty od pół roku, najpierw dla alfonsa, ale teraz na własny rachunek. Alfons, paskudny czarnuch o imieniu BoJo, oskarżył ją o ukrywanie pieniędzy i ją pociął. Pokazała mu bliznę pod jednym z cyczków, wypukłą i różową, w kształcie zamka błyskawicznego. Polizał ją.

Jej niezależność polegała na tym, że wciąż musiała się kryć, trzymała się z daleka od niewolnic alfonsów, ograniczała się do cichych zakątków. Co stawało się coraz trudniejsze, alfonsi panoszyli się coraz bardziej, spychając ją na wschód, coraz dalej od uczęszczanych okolic Nasty. Ale wzgórze były w porządku. Wszystko było w porządku.

– Nie mam problemów, chłoptysiu. Nie mam kłopotów z wiązaniem końca z końcem.

Czasami mówiła o sobie, ale nie odpowiadała na pytania. Nawet te dotyczące jej akcentu, którego on nadal nie potrafił określić – cygański?

Jej tajemniczość nie przeszkadzała mu. A nawet mu się podobała.

Bez całej tej lipy: pokój-miłość-zwierzenia-i-związki.

On płacił, ona ssała. Zaczął wozić w bagażniku plymoutha lodówkę. Kupował piwo, pepsi, oranżadę. Odświeżała sobie usta po robocie, lizała jego brodawki zimnym językiem, przez koszulę. To podkręcało go w kilka sekund.

Stawał się specjalistą, wytrzymywał coraz dłużej i dłużej, zaproponował, że będzie jej płacił za czas, a nie za jeden raz. Zgodziła się z zachwytem, powiedziała mu, że jest absolutnie słodki. Brała się do dzieła z udawanym zapalem, który przyprawiał go o zawrót głowy, szepcząc, że zrobi dla niego wszystko, wystarczy, że-jej powie, czego pragnie.

– Wystarczy to, co robisz, mała.

On także przybrał imię uliczne – Dr Terrific.

Obraz w umyśle: „D. T. kocha N. „wryte w korze mózgu.

– Daj spokój, chłoptysiu. Jesteś za młody, by być doktorem.

– Zdziwiłabyś się.

– Ale masz forsy tyle co lekarz, no nie?

– Chcesz zarobić więcej?

– Jasne.

Kiedy indziej:

– Skoro jesteś lekarzem, masz pewnie wszystkie rodzaje lekarstw, co nie?

– Leki są niezdrowe.

– Droczysz się ze mną, prawda?

Tajemniczy uśmiech.

Po ich dwudziestej randce wahała heroinę i zaproponowała jemu, żeby spróbował. Odmówił i przyglądał się, jak robi się zamroczona i miękka, bawił się jej ciałem, gdy leżała na wpeł przytomna.

Prawdziwa miłość.

W wieku dziewiętnastu lat poznał z ludzkich spojrzeń, że jest przystojny. Był pewien, że wygląda na starszego, może na jakieś dwadzieścia cztery lub dwadzieścia pięć lat. Gdy miał dziewiętnaście i pół, życie stało się czystsze: ona umarła, po prostu przestała oddychać i leżała w łóżku, we własnych odchodach, aż jedna z wynajętych pielęgniarek przyszła z

kuchni i zauważyła, co się stało.

Teraz dom należał wyłącznie do niego. Łatwo „przekonał” Doktora, by pozwolił mu tam zostać.

Dziewiętnaście i pół i już na samym szczycie: własna chata, kupa forsy oraz prawdziwa miłość z głową na kolanach.

Wysprzątał lodowy pałac. Pociął dywany, wywalił wszystkie meble. Powiedział nierozgarniętej czarnej służącej, żeby spryskała pokój środkiem dezynfekującym i pootwierała okna. Zdecydował, że zostanie pusty.

Pewnego ranka obudził się w świetnym nastroju i z jasno wytyczonym celem. Długo zwlekał z rozpoczęciem śledztwa. Wiedział, że nadeszła pora, i zaczął szukać w książce telefonicznej pod „Prywatni detektywi”.

Chciał, żeby to była agencja jednoosobowa. Duże firmy zajmowały się wielkim biznesem i nie potraktowano by go serio.

Znalazł pół tuzina odpowiednich, mieszczących się w tanich dzielnicach. Obdzwonił je, wsłuchując się w głosy rozmówców i umówił na spotkanie ze sprawiającym wrażenie najbardziej wygłodniałego.

Z paskudą o nazwisku J. Walter Fields, podejrzany adres, niedaleko Nasty Strip.

Późnym popołudniem.

Biuro mieściło się na trzecim piętrze rozwalającej się rudery, z pijusami drzemiącymi przy wejściu. Połowa lokali świeciła pustką. Podłogę pokrywało spękane linoleum o barwie gówna. Korytarze cuchnęły szczynami. U sufitu wisiały nagie żarówki.

Biuro Fieldsa stanowił pojedynczy pokój za oszklonymi drzwiami. Z jednej strony sąsiadowało z męskim kibelem, z drugiej – z agencją.

NIEZAWODNI DETEKTYWI

J. W. FIELDS, PREZES

Wewnątrz dekoracja jak z kiepskiego przedstawienia: zapach starych ubrań, brudne ściany, przenośny wentylator na krześle, metalowe biurko, szafki na akta. Okno upstrzone przez muchy, a za nim nieruchomy neon i kryty papą dach po drugiej stronie alejki.

Fields był niskim, tłustym facetem pod sześćdziesiątkę. Wilgotne, wygłodniałe oczy, kiepski garnitur, okropne dżiászła. Trzymał nogi na biurku i obracał w ustach lukrecjowe cukierki. Na widok wchodzącego uniósł jedną brew. Wielki pokaz znudzenia.

– Taaa?

– Mam umówione spotkanie – odparł niskim głosem.

Fields spojrział na blat staromodnego metalowego biurka, na którym leżał kalendarz oparty o rdzewiejącą podstawkę.

– Pan doktor Terrif? – zapytał, wymawiając nazwisko jak „tariff”.

– Zgadza się.

– Kogo próbujesz nabrać, dzieciaku? Wynoś się stąd. Nie zabieraj mi czasu.

– Ma pan mnóstwo roboty, co?

– Nie pozwalaj sobie, dzieciaku. – Grubym kciukiem wskazał drzwi. – Spieprzaj stąd.

Chłopięce wzruszenie ramionami.

– Dobra. – Wyciągając gruby zwitek banknotów, chowając je z powrotem i odwracając się w stronę drzwi.

Paskudas pozwolił mu ująć klamkę i dopiero wtedy przemówił. Starając się ukryć głód, który brzmiał w jego głosie.

– Hola, dokąd to, dzieciaku?

– Doktorze.

– Jasne, jasne. Jesteś doktorem. A ja jestem Mister Universe.

Pogardliwe spojrzenie na paskudę.

– Nie mamy o czym rozmawiać – odparł z klasą, otworzył drzwi i wyszedł.

Uszedł korytarzem z dziesięć kroków, zanim usłyszał człapanie tanich podeszew Fieldsa.

– Daj pan spokój... doktoru. Nie bądź pan taki wrażliwy.

Zlekceważył te słowa i szedł dalej.

– Porozmawiajmy, doktoru. – Fields podbiegł, żeby go dogonić. – Daj pan spokój, doktorze Terrif.

Zatrzymał się, odwrócił, spojrzał na żalostną kreaturę.

– Nie umiesz się zachować, Fields.

– Posłuchaj, pan... Ja nie...

– Przepróż. – Władza.

Fields zawahał się. Wyglądał, jakby miał zwymiotować. Jakby stał na trampolinie umieszczonej nad dołem kloacznym.

Zastanawiał się, oblizując wargi. Można by przysiąc, że w oczach kutafona pojawiają się sumy dolarów, jak w okienku automatu do gry.

Jeszcze sekunda, wstrzymał oddech i skoczył:

– Musi pan zrozumieć, doktoru. W mojej pracy spotyka się różne szumowiny. Niektórzy próbują mnie okpić... Wygląda pan bardzo młodo... dobre geny, jest pan szczęściarzem, doktoru... W porządku, przepraszam. Może zaczniemy od początku?

Wrócili do nory Fieldsa. Detektyw sięgnął po szary kubek, który kiedyś był biały, i zaproponował mu kawę.

Prędzej napiłbym się jadu węża, kutafonie.

– Przejdźmy do interesów, Fields.

– Jasne, jasne, jestem do usług. Doktoru.

Opowiedział oblesnemu typowi, czego sobie życzy. Fields słuchał w napięciu, starając się wyglądać na myślącą formę życia. Ssać lukrecję i powtarzając:

– Mhm, mhm – oraz... – Mhm, mhm, doktoru.

– Myślisz, że temu podołasz?

– Jasne, jasne, doktoru. Nie ma problemu. Ten facet, Schwann, chce pan od niego forsy, czy vice Wersal?

– Nie pańska sprawa – odparł automatycznie, nie tracąc spokoju. Niskim głosem zupełnie jak u bogatego faceta, nawykłego do rozkazywania. Wczuj się w rolę.

– W porządku. Nie ma sprawy, doktoru. Tylko że czasem pomaga znajomość motywacji. Jeśli wie pan, co mam na myśli.

– Rób to, za co ci płacę, i nie zwracaj sobie głowy motywacją.

– Jasne, jasne.

– Kiedy możesz mieć informacje?

– Trudno powiedzieć, doktoru. Zależy od wielu rzeczy. Nie bardzo wiem, od czego zacząć.

– Oto zaliczka. I dodatek. – Wstał i odliczył banknoty, stówka ponad to, czego zażądał Fields. Zrobił to od niechcienia, całkowicie opanowany.

– Będę miał wydatki, doktoru.

Następna setka powędrowała do łapy detektywa.

– Jeżeli zdobędziesz informacje przed upływem trzech tygodni, dostaniesz jeszcze dwie setki.

Fields energicznie skinął głową, omal nie spuszczać się w swoje tanie spodnie.

– Dobra, jasne, doktoru. Trzy tygodnie. Jak się skontaktujemy?

– Odezwę się. Nie wstawaj. Sam trafię do wyjścia.

– Jasne. Robić z panem interesy to prawdziwa przyjemność.

Opuściwszy biuro, zamknął za sobą drzwi, stanął za nimi i usłyszał:

– Pieprzony bogaty szczeniak.

Nightwing zaczęła regularnie brać przy nim heroinę. Kilka pierwszych razy wahała ją, a

potem zaczęła wstrzykiwać pod skórę.

– Nie daję sobie w żyłę. To naprawdę niebezpieczne, chłoptysiu.

Ale dziesięć dni później wstrzyknęła sobie do żyły w nodze.

– Nic mi nie będzie.

Przeczytał całe mnóstwo medycznych książek na temat uzależnień, wiedział, że jest biochemicznie zatruta, ale nic nie powiedział. Gdy odpływała, badał jej ciało. Zdawała sobie sprawę z tego, co z nią robi, uśmiechała się i wydawała ciche kocie pomruki, gdy próbował, lizał i smakował.

Pewnej nocy, gdy parkowali na bocznej uliczce na wzgórzach, z Nightwing rozwaloną na przednim siedzeniu plymoutha, usłyszał ryk motorów i zobaczył czerwone światła. Minęły ich dwa samochody patrolowe w drodze do jednego z domów na wzgórzu. Włamanie? Bezgłośny alarm? Jeśli tak, gliny wróca, będą objeżdżać okolicę w poszukiwaniu podejrzanych. Pomyślał o heroinie w czarnej plastikowej torebce Nightwing i przerażony odjechał.

Aresztowany za narkotyki – idealne życie rozpieprzone w drobny mak!

Ustawił bieg na luz i zjeżdżał ze wzgórza z wyłączonymi światłami. Nightwing spała jak zabita, bezwładna i pochrapująca. W tej chwili wydawała mu się brudna, nienawidził jej, miał ochotę rozciąć ją, sięgnąć w głąb, oczyścić. A potem myśli naukowe ustąpiły myślom miłosnym.

Dojechał do Nasty, włączył silnik i światła, próbował się uspokoić. Ale przerażała go myśl o tym, że zostanie aresztowany za narkotyki; czytał w książkach psychiatrycznych o więzieniach i wiedział, co robią tam ze świeżym młodym białym mięsem.

Homoseksualizm spowodowany deprawacją: zamknięty w celi z czarnymi psycholami, którzy rzną jego tyłek. Władza nad Doktorem słabnie, kutafon zawiaduje adwokatami, sprawia, że trzymają go w ciupie tak długo, jak on zechce. Może nawet wynajmuje jakiegoś czarnucha, żeby go zadzgał.

Skreślił z bulwaru, minął pięć przecznic, zaparkował i sięgnął po torebkę Nightwing. Rzemycek był pod jej tyłkiem. Pociągnął. Poruszyła się, ale nadal spała.

Szybko, nerwowo przeglądał zawartość torebki: prezerwatywy, plastikowy portfel, kosmetyki, grzebień, cukierki miętowe i inne śmiecie, które tam trzymała. Wreszcie znalazł małą lśniącą kopertę. Wyrzucił ją z samochodu i nie uspokoił się, zanim nie przejechał dziesięciu mil.

Zatrzymał się jeszcze raz, na światłach. Wyłączył silnik. Torebka leżała na jego kolanach. Nightwing wciąż spała.

Gdy całkiem ochłonął, ciekawość zwyciężyła strach. Otworzył torebkę, wyjął plastikowy portfel.

W środku było prawo jazdy, zdjęcie Nightwing bez makijażu wampa. Po prostu ładna, śniada dziewczyna. Bliźniacza siostra Sarah.

Lilah Shedaheh. Wzrost pięć stóp, dwa cale, waga sto czternaście funtów. Data urodzenia, z której wynikało, że ma teraz dwadzieścia trzy lata. Adres w Niggertown, prawdopodobnie z czasów, gdy pracowała dla BoJo.

Shedaheh. Do diabła, cóż to za nazwisko?

Gdy się obudziła, powiedział jej, że wyrzucił narkotyki. Usiadła gwałtownie, zaczęła się pieklić.

– O cholera! To była chińska kokaina!

– Ile warta?

– Kilkaset dolców.

– Bzdury, mała.

– Pięćdziesiąt – i to nie bzdury! Chińska kokaina jest mocna...

– Masz tu sześćdziesiąt. Kup sobie więcej. Ale nie noś jej przy sobie, gdy jesteś ze mną.

Chwyciła pieniądze.

– Zabawny z ciebie facet.

Poczuł płomienny gniew, od gardła po odbył. Hałas złej maszynierii stał się ogłuszający.

Rzucił jej przeciągłe, miazdzące spojrzenie, pełne pogardy, takie samo jak to, które przywołało do porządku Fieldsa.

– To nasza ostania randka, mała.

Panika pod milowymi rzęsami.

– Oj, daj spokój, chłoptysiu.

– Dla mnie to też trudne, mała.

Wyciągnęła rękę, przejechała długimi czarnymi paznokciami po jego przedramieniu. Nic nie czuł – obojętność była łatwa.

– Oj, daj spokój, doktorze. Ja tylko żartowałam. Jesteś naprawdę fajny, najlepszy. Największy.

Odsunął jej dłoń, ze smutkiem pokręcił głową.

– Czas, żeby się rozstać, dziecino.

– Oj, daj spokój. Było nam tak dobrze. Nie pozwól, by mała...

Błagała. Zła maszynieria rozbrzmiewała w jego głowie, sprawiając, że czuł się pusty. Bezużyteczny.

W jednej chwili jego dłoń znalazła się na jej szyi. Cienka szyja, miękka szyja, miła i krucha pod jego palcami. Popchnął ją na drzwi. Dojrzał przerażenie w jej oczach i poczuł gigantyczny wzwód.

Lekki ucisk tętnicy szyjnej, zatamowanie krwi płynącej do mózgu, na ułamek sekundy. A potem zwolnienie ucisku. Niech oddycha. Niech wie, co z nią może zrobić, gdy zechce. Niech wie, że jest ćmą nad płomieniem. Trzepoczącą się w uchwycie szczypiec.

Niech wie, kto trzyma owe szczypce.

– Słuchaj uważnie, mała. Dobrze?

Usiłowała coś powiedzieć. Strach sparaliżował jej struny głosowe.

– Lubię się z tobą spotykać... jesteś wspaniała. Ale chcę, żebyśmy doszli do porozumienia. Dobrze? Skiń głowę, jeśli się zgadzasz.

Skinienie.

– Piękno naszego związku polega na tym, że dajemy sobie nawzajem to, czego potrzebujemy. Prawda?

Skinienie.

– Co oznacza, że obydwójce musimy być szczęśliwi.

Skinienie.

– Nie dbam o to, czy chcesz się zabić heroiną. Ale nie chcę wpakować się w kłopoty. To chyba uczciwe, no nie?

Skinienie.

– Więc się nie narkotyzuj, gdy jesteś ze mną. Piwo jest w porządku, jedno lub najwyżej dwa. Jeśli spytasz mnie o pozwolenie i dam ci je. Bez niespodzianek. Ja szanuję twoje prawa, a ty szanuj moje. Dobrze?

Skinienie?

– Przyjaciele?

Skinienie, skinienie, skinienie.

Puścił ją. Miała oczy okrągłe ze strachu, widział w nich szacunek.

– Masz, mała. – Dał jej ekstra pięćdziesiątaka. – To na zgodę, żeby ci pokazać, że chcę dla ciebie jak najlepiej.

Usiłowała wziąć pieniądze. Dłonie jej drżały. Wsunął banknot pomiędzy jej cycki. Wskazał na swoje krocze i powiedział:

– Znow jestem gotowy.

Gdy skończyli, zapytał:

- Co to za nazwisko Shehadeh?
- Arabskie.
- Jesteś Arabką?
- Kurwa, nie. Jestem Amerykanką.
- Ale twoja rodzina jest arabska?
- Nie chcę o nich mówić. Stanowczo.

A potem spojrzała na niego w panice, zastanawiając się, czy go znów nie uraziła.

Uśmiechnął się w duchu. Pomyślał: Związek nabrał nowego wymiaru. Nadal randki i prawdziwa miłość, ale zostały ustalone role. Każde z nich zna swoje miejsce.

Ujął jej twarz w dłonie, poczuł, że dygoce. Pocałował ją w usta, bez języka, po przyjacielsku. Delikatnie, pokazując jej, że wszystko jest w porządku. Że jest litościwy.

Będą żyli razem długo i szczęśliwie.

Po trzech tygodniach poszedł zobaczyć się z Fieldsem. Mały kutas okazał się zaskakująco dokładny. Ścisnął tłustymi łapskami grubą teczkę z napisem „Schwann D. „na nalepce.

- Jak się pan ma, doktorku?
- Oto forsa. Co ty masz?

Fields wsunął pieniądze do kieszeni koszuli.

– Dobra i zła wiadomość, doktorku. Dobra to ta, że znalazłem q nim wszystko. Zła to ta, że sukinsyn nie żyje.

Powiedział to, mrugając okiem. Czym wydał na siebie wyrok śmierci.

– Nie żyje?

– Martwy. – Śmierdziel wzruszył ramionami. – Czasami w tego rodzaju sprawach można się procesować o spadek, ale ten Schwann był obcokrajowcem – przeklętym Szwabem. Jego ciało odesłano z powrotem do Niemiec. I jak stamtąd dochodzić swego? Będzie potrzebny międzynarodowy adwokat.

Nie żyje. Tata nie żyje. Jego korzenie stracone. Siedział oniemiały, przygnieciony bólem.

Fields uznał oszołomienie za rozczarowanie i starał się go pocieszyć:

– Ciężka sprawa, co, doktorku? Ale taki facet jak pan, lekarz i w ogóle, będzie to sobie mógł odpisać. Zapłacić mniejszy podatek. Mogłoby być gorzej, nie?

Plecie bzdury i jeszcze bardziej pogarsza własną sytuację.

Paskudas gapił się na niego.

Otrząsnął się z odrętwienia.

– Daj mi tę teczkę.

– Mam dla pana sprawozdanie, doktorku. Wszystko dopięte na ostatni guzik.

– Chcę teczkę.

– Cóż, zwykle zachowuję tecki. Pan dostaje kopię, ja ponoszę koszty ksero, dodatkowe wydatki.

– Dwadzieścia dolarów załatwi sprawę?

– Raczej trzydzieści, doktorku.

Fields wziął trzy dziesiątki i podał teczkę.

– Należy do pana, doktorku.

– Dzięki. – Wstał, wziął teczkę jedną ręką, drugą chwycił staromodny kalendarz na biurko i zardzewiałą podstawką rąbnął kutaфона w twarz.

Fields bez słowa osunął się na biurko. Spod twarzy sączyła się krew, wsiąkająca w bibułę.

Wytrzeł ręce w chusteczkę, podniósł detektywa i dokładnie obejrzał. Przód jego twarzy był spłaszczony i skrwawiony, nos zmiażdżony. W nadgarstku nadal pulsowało słabe tętno.

Położył go twarzą na blacie i rąbnął podstawką kalendarza w tył głowy. Uderzał tak wielokrotnie, odczuwając przyjemność. Każąc mu zapłacić za Schwanna, za mrugnięcie kaprawym okiem.

Nie ma tętna – jak to możliwe? Rdzeń przedłużony rozgnieciony na miazgę.

Wyjrzał przez okno: tylko neon i gołębie na dachu. Zaciągnął żaluzję, zamknął drzwi, sprawdził, czy w którejś z teczek albo w kalendarzu nie ma nazwiska Schwanna, wytarł do czysta ręce oraz wszystko, czego dotykał – należyte sprzątanie było bardzo ważne.

Odrobina krwi prysnęła mu na koszulę. Zapiął kurtkę; to załatwi sprawę.

Zabrał teczkę Schwanna i zostawił kutafona, aby się wykrwawił – Wyszedł na korytarz i odszedł niedbałym krokiem. Czując się jak król, jak cesarz wszystkiego.

Doktor T.

Owo dobre samopoczucie wzrastało w drodze do domu. Patrzył na pijaków, narkomanów, zбочeńców. Wszyscy uważają ich za złych, bardzo złych. Jak wielu z was, nieudacznicy, dokonało tego? Wspominał, jak wyglądała twarz Fieldsa, kiedy mu ją zmiażdżył. Słabe tętno. A potem nic.

Wielki krok naprzód, doktorze Terrific.

Wróciwszy do domu, położył teczkę Schwanna na łóżku, rozebrał się do naga, masturbował dwukrotnie, po czym wziął zimną kąpiel, która sprawiła, że stał się gniewny i zapragnął krwawych obrazów umysłu. Wytarłszy się do sucha, jeszcze raz się masturbował, szczytował słabo, lecz przyjemnie i, wciąż nagi, wziął teczkę.

Szlachetny Schwann nie żyje.

A on odcięty od korzeni.

Zła maszyna zaczęła zgrzytać.

Niepotrzebnie się śpieszył, trzeba było zabawić się z Fieldsem, naprawdę go ukarać. Przenieść ciało do domu, do badań, do prawdziwej nauki.

Tylko że ciało faceta mogło być obrzydliwe, cuchnące. Więc niewielka strata.

Zresztą nie ma co płakać nad wylanym mlekiem... wylaną krwią, ha, ha.

Uśmiechnął się, zabrał teczkę do stęchłego, pustego pomieszczenia, które kiedyś było lodowym pałacem, usiadł na gołej drewnianej podłodze i zaczął czytać.

ROZDZIAŁ 53

Czternaście minut, zanim czwartkowa noc zmieniała się w piątkowy ranek, brat Roselli wyszedł z klasztoru Saint Saviour i ruszył na wschód St. Francis Street.

Elias Daoud, okutany w zatęchły habit franciszkanina i ukryty w cieniu *Casa Nova Hospice*, nie był zaskoczony. Roselli zazwyczaj szedł Via Dolorosa, przemierzając drogę Chrystusa w odwrotnym kierunku, dochodził do klasztoru Biczowania. Zawahawszy się przy kapliczce, jakby kontemplował wyjście, zawracał. Teraz szedł dalej, do ulicy handlowej, która przecinała wzdłuż Stare Miasto, oddzielając dzielnicę żydowską od chrześcijańskiej. Dotarłszy tam, nerwowo rozglądał się dokoła.

Nie robił nic, co by było warte śledzenia.

Dziwny ptaszek, pomyślał Daoud. Zaczynał mieć dość mnicha za nudę, którą wprowadził do jego życia. Noc w noc musiał godzinami przesiadywać, nieruchomy jak kocie łby pod stopami, ubrany w szorstkie, brudne habity lub łachmany żebraka. Tak bezmyślnie, że zaczął się zastanawiać, czyjego nieużywany mózg nie osłabnie.

Jego gniew wzrastał, w miarę jak o tym rozmyślał, a potem odzywało się poczucie winy, że się złości na człowieka służącego Bogu.

Dość dziwnego człowieka służącego Bogu. Dlaczego szedł i przystawał, jak jakaś napędzana wiatrem zabawka? Dlaczego zmierza w jakimś kierunku, tylko po to, by raptem zawrócić, jakby kierował nim jakiś niewidzialny lalkarz?

Konflikt wewnętrzny, co do tego Daoud i Sharavi byli zgodni. Człowiek przeżywający konflikt wewnętrzny. Jemeńczyk nakazał mu dalsze śledzenie mnicha.

Zaczął odczuwać urazę do Sharawiego. Za to, że trzymał go z dala od ciekawszych zdarzeń.

Ale bądźmy szczerzy: to nie nuda była powodem rozdrażnienia. Tydzień to znowu nie tak długo, a Daoud był z natury cierpliwy, zawsze cieszyła go samotność tajniaka, przebieranie się i zmiana tożsamości.

Gniewał go fakt, że został wykluczony.

Dobrze wywiązał się z zadania, zidentyfikował córkę Rashmawich. Mimo to, gdy sprawa nabrała wydźwięku politycznego, stał się niechcianym balastem. Nie ufali mu i nie chcieli powierzyć ważniejszej pracy.

Pozostali, nawet młody Cohen, niewiele starszy od rekruta, bez doświadczenia i głupawy, tworzyli zwarty zespół. Zajmowali się tym, co najciekawsze.

Podczas gdy on, Elias Daoud, wysiadywał nocami i śledził dziwnego mnicha, który przemierzał dwieście metrów i zawracał.

Wiedział, co go czeka, gdy śledzenie się skończy: zostanie odwołany od sprawy Rzeźnika, wróci do Kiszle, może nawet znów jako mundurowy, będzie gonił kieszonkowców okradających turystki oraz złodziei psów. Może kiedyś znów jakieś zadanie dla tajniaka, jeżeli sprawa nie będzie polityczna.

Gdy się pracowało dla Żydów, wszystkie sprawy były polityczne.

Żaden ze znanych mu Arabów nie zmartwiłby się, widząc, że Żydzi znikają.

Nacjonalistyczne poglądy stawały się coraz bardziej popularne, nawet wśród chrześcijan. On nie podzielał zainteresowania polityką. Załóżmy, że kraj bez Żydów byłby lepszy, ale wtedy obróciliby się przeciwko sobie chrześcijanie i muzułmanie; tak było zawsze, od setek lat. I wiadomo, kto by zwyciężył – wystarczy spojrzeć na Liban.

Więc chyba jednak Żydzi byli potrzebni. Nie u władzy, oczywiście. Ale kilku, dla rozrywki.

Wyszedł na St. Francis Street i spojrzął na wschód. Sylwetka Rosellego była widoczna sto metrów dalej. Właśnie minął drogę Es Sajjida. Wyraźnie słyszał człapanie mnisich sandałów. Daoud także nosił sandały, ale jego miały gumowe podeszwy. Policyjne. Zasłonięte sięgającym do ziemi habitem.

Roselli szedł przed siebie, zbliżając się do skrzyżowania z rynkiem. Daoud trzymał się w cieniu budynków, gotowy zanurkować w bramę, gdyby mnich zawrócił.

Roselli minął abisyński klasztor, przystanął, skręcił w prawo na Souq El Attarin i zniknął.

Minęła chwila, zanim Daoud się zorientował. Zaskoczony, zaczął biec. Nuda ustąpiła miejsca niepokoju.

Myślał: a jeśli go zgubię?

Od Souq odchodziły dziesiątki wąziutkich drózek oraz alejek prowadzących do dzielnicy żydowskiej. Małe podwórca i stare domy o glinianych kopułach, odbudowane przez Żydów, sierocińce, jednoizbowe szkoły oraz synagogi. Jeżeli ktoś chciał się zgubić, ta część miasta była najodpowiedniejsza.

Nie mam szczęścia, myślał ze smutkiem, biegnąc cicho w ciemności. Wszystkie te leniwe noce, a potem ułamek sekundy i klęska.

Czwartkowa noc. Jeżeli Roselli jest Rzeźnikiem, może uderzyć.

Przyspieszył, myśląc: Boże, nie pozwól mi go zgubić.

Skręcił na El Attarin, odetchnął, przycisnął się do zimnego kamiennego muru i rozejrzał się dookoła.

Modlitwy poskutkowały – sylwetka Rosellego, doskonale widoczna w świetle księżyca, przesuwała się pomiędzy łukami. Mnich szedł szybko i zdecydowanie pustą ulicą handlową.

Daoud za nim. W nocnym powietrzu unosiła się kwaskowosłodka woń produktów, zapach świeżo farbowanej skóry, korzeni, orzechów, kawy.

Roselli zbliżał się do końca suku, gdzie Attarin łączył się z ulicą Habad.

Czego mnich może szukać w sercu dzielnicy żydowskiej? A może zamierza skręcić na zachód, do dzielnicy armeńskiej? Ale franciszkanin ma tyle samo wspólnego ze Spiczastymi Kapeluszami co z Żydami.

Daoud zachowywał odległość, chowając się i klucząc, nie spuszczać oka z Rosellego, który wciąż podążał na południe. Minął kolumnadę Cardo, przeszedł przez plac dzielnicy żydowskiej z eleganckimi sklepami. Przeciął duży parking, teraz pusty.

Przy murze stali dwaj strażnicy graniczni. Obejrzeni się na odgłos sandałów Rosellego, spojrzeli na niego, a potem na nadchodzącego Daouda. Chwila zastanowienia i powrócili do swoich spraw.

Dwóch mnisich, nic nadzwyczajnego.

Roselli przeszedł obok podcienia, który za dnia służył za biuro ormiańskim lichwiarzom. Nie okazał najmniejszego zainteresowania katedrą Świętego Jakuba ani Ortodoksyjnym Klasztorem Ormiańskim. Daoud szedł za nim do Bramy Syjonu, przebiegając w myślach katolickie świątynie w tej okolicy: kościół Świętego Piotra z Amiens? A może mnich zmierza poza mury Starego Miasta, do krypty Śpiącej Marii – franciszkanie byli powierzeni grobowi matki Jezusa...

Żadna z tych świątyń jednak nie okazała się celem Rosellego.

Wewnątrz Bramy Syjonu mieściły się żydowskie szkoły – *jesziwy*. Na miejscu starych, które w 1948 roku Husajn zmienił w gruzy, powstały nowe budowle, arabskie domy

wybudowane przez Jordańczyków, które zostały skonfiskowane w 1967 roku, aby odbudować szkoły.

Typowy dla Jerozolimy miszmasz.

Hałaśliwe miejsca te *jesziwy* – Żydzi lubią wyśpiewywać nauki, tak aby słuchał ich świat. Nad drewnianymi pulpitami garbią się ubrani na czarno pejsaci mężczyźni i dzieci, zgłębiając Stary Testament i Talmud. Recytują i debatuje bez wytchnienia, nawet o tak późnej porze – jaskrawe światło okien rozjaśniało ciemności nocy. Przechodząc obok, Daoud usłyszał ciche melodyjne głosy.

Bez wątpienia heretycy, ale trzeba im oddać jedno: mają wielką zdolność do koncentracji.

Roselli przeszedł obok większych *yesziw*, zbliżył się do mniejszej, która znajdowała się w głębi, niemal zasłonięta przez sąsiadujące z nią szkoły.

Ohavei Torah Talmudic Academy – zwieńczony kopułą budynek o brzydkiej fasadzie. Z przodu małe pokryte pyłem podwórko, z boku wielkie drzewo pinii, którego konary rzucały sieć cieni na cztery parkujące tam samochody.

Mnich zniknął za drzewem. Daoud zmniejszył, dzielącą ich odległość i zobaczył, że za drzewem znajdował się wysoki kamienny mur, oddzielający *jesziwę* od trzypiętrowego budynku z kamieni. Dalszej drogi nie widać. Co ten mnich zamierza?

W chwilę później mnich wynurzył się zza drzewa, ale już nie jako mnich.

Habit zniknął. Roselli miał na sobie tylko spodnie i koszulę.

A na głowie jedną z owych żydowskich mycek!

Daoud patrzył ze zdumieniem, jak nowy, żydopodobny Roselli podchodzi do drzwi Ohavei Torah Talmudic Academy i stuka.

Otworzył mu kilkunastoletni chłopak. Spojrzał na Rosellego, jakby go znał. Uścisnęli sobie ręce i chwilę rozmawiali; chłopak skinął głową i zniknął, zostawiając Rosellego w drzwiach.

Daoud nagle się zaniepokoił: co to takiego? Jakiś żydowski spisek? Jakiś kult? Czyżby list z cytatami z Biblii wysłany do amerykańskiego dziennikarza mówił prawdę? Czyżby wszystkie te pogłoski o żydowskich ofiarach krwi miały się okazać czymś więcej niż pogłoskami?

Tylko tego mu brakowało: arabski detektyw wyciąga na światło dzienne morderczy żydowski spisek.

Możliwość, że Żydzi pogodzą się z tym, była równie prawdopodobna jak to, że wybiorą Arafata na premiera.

Czas ściąć głowę posłańcowi. A któż lepiej nadawał się na kozła ofiarnego niż Elias Daoud. Nawet sukces przynosił mu porażkę.

Oto moje przeznaczenie, pomyślał, pozostać skromnym. *Kismet* – jeżeli pozwolisz mi, Boże, na muzułmańskie bluźnierstwo.

Lecz czyż mógł teraz zrobić coś innego, niż wykonywać swą powinność? Przemknął pomiędzy dwoma zaparkowanymi samochodami i ukucnąwszy, kontynuował obserwację *jesziwy*.

Roselli nadal stał w drzwiach. Wyglądał jak rudobrody Żyd w mycce. Daouda korciło, by do niego podejść. Zastanawiał się, co ma robić, gdy mnich wejdzie do środka.

I co się tam odbywa poza recytacjami? Bezsilna arabska dziewczyna skuta łańcuchami w lochu? Następna niewinna ofiara, przygotowana do rytualnej rzezi?

Zadrżał, mimo że noc była ciepła. Poczul dodający otuchy ciężar beretty. I czekał.

W drzwiach ukazał się inny mężczyzna. W typie rabiego. Wysoki, lat około czterdziestu, z długą ciemną brodą. Bez marynarki, w koszuli i kamizelce, z owymi dziwnymi frędzlami u pasa spodni.

On także uścisnął dłoń Rosellego.

Gratulował mu?

Czego?

Roselli i rabin wyszli z *jesziwy* i skierowali się wprost ku samochodom, za którymi ukryty był Daoud.

Pochylił się nizej. Minęli go, skręcili w prawo i idąc ramię w ramię, wyszli z Bramy Syjonu na południe i skierowali się ku górze Syjon* – Al Sion, części Al Quds tradycyjnie wyznaczonej Żydom. Jej imieniem nazwali swój ruch i uczcili ją, określając ją mianem góry, choć w rzeczywistości był to zaledwie niewielki pagórek.

Daoud wyprostował się i ruszył za nimi, patrzył, jak minęli biura Agencji Turystycznej i Grób Dawida i zeszli drogą, która prowadziła do autostrady Hatiwat Jeruszałajim.

Droga była pusta. Roselli i rabin przecięli autostradę i wspięli się na skalną krawędź, która ciągnęła się wzdłuż jezdni.

I zniknęli.

Po drugiej stronie, na zboczu wzgórza. Daoud to wiedział. Na skalistym zboczu nad doliną Hinnom. Na lewo znajdowała się wioska Silwan, paliło się tam zaledwie kilka światełek.

Daoud przeszedł na drugą stronę autostrady.

Gdzie się podzieli? Co się kryło na zboczu wzgórza, inna pieczara mordercy?

Przekroczył grań, starając się stąpać bezszelestnie pośród suchych krzewów. I natychmiast ich spostrzegł. Siedzieli kilka metrów od niego, pod pierzastym parasolem postrzępionej akacji.

Siedzieli i rozmawiali. Słyszał ich głosy, ale nie rozróżniał słów.

Ostrożnie podszedł bliżej, nastąpił na suchą gałązkę, zobaczył, że podnoszą głowy.

– To tylko mysz – powiedział rabin po angielsku.

Wstrzymując oddech, zrobił jeszcze jeden krok naprzód, i jeszcze jeden. Ku innemu drzewu, karłowatej pinii. Znalazł się wystarczająco blisko, by odróżnić słowa. Usiadł powoli i oparł się o pień, wysunął berettę spod habitu i położył na kolanach.

– No cóż, Josephie – rzekł rabin. – Odmówiłem ci już trzy razy, więc myślę, że teraz muszę cię wysłuchać.

– Dziękuję, rabbi Buchwald.

– Nie ma za co dziękować. To mój obowiązek. Jednakże moim obowiązkiem jest także przypomnienie ci, jak wielki krok podejmujesz. I jakie są tego konsekwencje.

– Zdaję sobie z tego sprawę, rabbi.

– Na pewno?

– Tak. Sam już nie wiem, jak wiele razy wybierałem się do rabiego, ale coś mnie wstrzymywało i zwracałem. Przez ostatnie dwa miesiące wciąż o tym rozmyślałem, medytowałem i wznosiłem modlitwy. Wiem, że właśnie to pragnę robić, że muszę to robić.

– Będziesz musiał zmienić tryb życia. Twoja przeszłość zostanie całkowicie wymazana. Będziesz sierotą.

– Wiem.

– Twoja matka... zechcesz ją uznać za zmarłą?

Długie milczenie.

– Tak.

– Jesteś tego pewien?

– Nawet gdybym nie był, ona na pewno się mnie wyrzeknie. Skutek będzie ten sam.

– A co z ojcem Bernardo? Mówisz o nim z wielkim przywiązaniem. Możesz się go wyrzec, ot, tak?

* Syjon – początkowo punkt terenu lub znak, później terminem tym nazwano jedno ze wzgórz Jerozolimy. Z czasem mianem Syjonu zaczęto określać nie tylko górę, ale świątynię, Jerozolimę, a później całą Ziemię Świętą. Identyfikowano go z centrum żydowskiego życia religijnego. Nowożytny ruch dążący do odbudowania państwa żydowskiego w jego historycznej siedzibie przybrał nazwę syjonizmu.

- Nie twierdzą, że będzie to łatwe, ale tak.
- Najprawdopodobniej zostaniesz wyklęty.

Znów cisza.

- To nie ma znaczenia. Już nie ma.

Daoud usłyszał westchnienie rabina. Dwaj mężczyźni siedzieli chwilę w milczeniu. Roselli nieruchomo. Buchwald, kołysząc się lekko, koniuszki jego wełnistej brody rozświetlał blask gwiazd.

– Josephie – powiedział w końcu. – Nie mam ci wiele do ofiarowania. Moja praca polega na zapędzaniu zbłąkanych owieczek z powrotem do owczarni. Jestem do tego stworzony, nie do prowadzenia rozmów. W najlepszym razie znajdzie się dla ciebie cela i chleb.

- Nawykłem do tego, rabbi.

Buchwald odchrząknął.

– Tak. Jestem pewien. Ale oprócz izolacji czeka cię wrogość. A ja nie będę cię mógł pocieszać, nawet gdybym tego chciał, a nie chcę. Poradzę ci, byś się trzymał z dala od innych.

Roselli nie odpowiedział.

Rabin zakaszczał.

- Nawet gdybym przyjął inną postawę, byłbyś wyrzutkiem. Nikt by ci nie ufał.

- To zrozumiałe – odparł Roselli. – Wziąwszy pod uwagę fakty historyczne.

– No i jest jeszcze sprawa twego statusu, Josephie. Jako mnich cieszyłeś się prestiżem, przysługującym wykształconemu człowiekowi. Wśród nas twoja wiedza będzie bezwartościowa. Zacznesz od najniższej pozycji. Wiedza przedszkolaków będzie większa od twojej.

– To wszystko nie ma dla mnie znaczenia, rabbi. Wiem, co mam robić. Poczułem to w chwili, gdy moja stopa dotknęła Ziemi Świętej. Czuję to mocniej niż kiedykolwiek dotychczas. Rdzeń wiary jest żydowski, cała reszta to sprawy uboczne.

– Piękne słowa – prychnął Buchwald. – Rdzeń, wiara, całe to inteligenckie gadanie... Odrzuć to, zapomnij o tym. Chcesz być żydem. Skup się na tym, co robisz. Pozwól przemówić czynom, Josephie. Cała reszta to... – Rabin wznosił ręce do góry.

- Powiedz mi, rabbi, co mam robić, a ja to uczynię.

- Ot, tak, po prostu?

Roselli milczał.

- No, dobrze, już dobrze – powiedział rabin Buchwald.

– Chcesz być żydem, dam ci szansę. Ale twoja szczerłość będzie badana na każdym kroku. W porównaniu z tym, co cię u nas czeka, pobyt w klasztorze to prawdziwe wakacje.

- Jestem gotów.

- Albo tak ci się wydaje.

Rabin wstał. Roselli także.

- Jeszcze jedno – powiedział mnich.

- Co?

– Wypytywano mnie na temat zbrodni Rzeźnika. Pierwsza z zabitych dziewczyn mieszkała przez pewien czas w Saint Saviour. To ja ją znalazłem, zbłąkaną, zmęczoną i głodną, niedaleko klasztoru, i przekonałem ojca Bernardo, by ją przygarnął. Inspektor policji wypytywał mnie o to, a po drugim morderstwie znów do mnie przyszedł. Nie jestem pewien, ale możliwe, że mnie podejrzewa.

- Dlaczego tak sądzisz, Josephie?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Denerwuję się, rozmawiając z policjantami. Przypuszczam, że ma to związek z dawnymi marszami protestacyjnymi. Byłem kilka razy aresztowany. Policjanci traktowali nas bardzo brutalnie. Nie lubię ich i chyba jest to widoczne.

- Spowiedzi są dla katolików – powiedział Buchwald. – Dlaczego mi to opowiadasz?

– Nie chcę, aby rabin lub *jesziwa* mieli kłopoty, gdy znów przyjdą mnie przesłuchiwać.
– Zrobiłeś coś takiego, co może nam sprawić kłopoty?
– Boże uchojaj – zawołał Roselli łamiącym się głosem. – Tylko tyle, że się nią zainteresowałem.
– Więc nie masz się o co martwić – odparł rabin. – Wracajmy. Już późno. Mam jeszcze coś do zrobienia.

Rabin ruszył z powrotem. Roselli za nim. Przeszli w odległości kilku metrów od drzewa Daouda. Wstrzymywał oddech, dopóki nie zbliżyli się do autostrady. Wtedy wstał i poszedł za nimi.

– Kiedy się wprowadzisz? – zapytał Buchwald.
– Myślałem o poniedziałku. Będę miał dość czasu, by się pozbierać.
– Jak chcesz. Ale zawiadom mnie, abym przygotował moich chłopców na przyjęcie nowego studenta.

– Zawiadomię, rabbi.

Przekroczyli grzbiet i przystanęli, by przepuścić samotną ciężarówkę.

Daoud przykucnął nieopodal. Widział ich poruszające się usta, ale warkot motoru zagłuszył słowa. Przeszli na drugą stronę jezdni i zaczęli się wspinać na łagodną górę Syjon.

Daoud trzymał się w bezpiecznej odległości i nastawiał uszu.

– Miewam koszmarny sny na temat Fatmy – pierwszej ofiary – mówił Roselli. – Zastanawiam się, czy mogłem coś zrobić, by ją uratować.

Rabin Buchwald położył dłoń na ramieniu mnicha i poklepał go lekko.

– Wykazujesz wyraźne zdolności cierpiętnicze, Josefie Roselli. Możliwe, że uda nam się zrobić z ciebie żyda.

Daoud odprowadził ich do drzwi *jesziwy*, gdzie Roselli podziękował rabinowi, szybko narzucił habit i samotnie skierował się na północ.

Hipokryta, pomyślał Daoud, spoglądając na własny habit. Rozgniewało go głupie gadanie na temat rdzenia wiary, pomysł, by odrzucać Chrystusa, jak niepotrzebny balast. Poprzysiągł sobie deptać Rosellemu po piętach, w nadziei, że odkryje inne sekrety pokręconego mnicha.

Doszedłszy do parkingu w dzielnicy żydowskiej, Roselli przystanął, wszedł po schodach na mur i ruszył wzdłuż fortyfikacji. Zatrzymał się dopiero pod blankami. Niedaleko stało dwóch strażników granicznych. Dwaj wąsaci Druzowie, z lornetkami i karabinami.

Strażnicy spostrzegli mnicha i podeszli do niego. Skinął im głową, uśmiechnął się. Chwilę gawędzili. Następnie Druzowie oddalili się. Zostawszy sam, Roselli usadowił się we wnęcie pomiędzy krenelazem, podciągnął kolana i oparł brodę na dłoniach.

Siedział tak, spoglądając w ciemność, cichy i nieruchomy, aż do świtu. Nie zdając sobie sprawy z obecności Daouda, który śledził go spoza furgonetki patrolu granicznego, wdychając wyciewy wyciekającej z baku benzyny.

ROZDZIAŁ 54

Piątkowy ranek. Bez kolejnej ofiary. Daniel spędził większą część nocy na rozmowie z Markiem Wilburem oraz na kierowaniu obserwacją Scopus i innych zalesionych okolic. Zaprzestał wypytywania dziennikarza o czwartej nad ranem, przekonany, że jakkolwiek nieuczciwy, Wilbur nie jest mordercą. Wrócił do domu, aby przespać się trzy godziny. O ósmej znów był w komendzie.

Zbliżając się korytarzem do swego biura, zauważył kogoś stojącego w pobliżu drzwi. Mężczyzna obejrzał się i ruszył w stronę Daniela. Okazało się, że to Laufer.

Zastępca komendanta szedł szybkim krokiem. Wyglądał na zdecydowanego i ponurego. Machał rękami, jak na paradzie wojskowej.

Nadszedł czas na burę za aresztowanie Wilbura.

Zamknęli dziennikarza w pojedynczej celi. Aby zastosować klauzulę bezpieczeństwa, wykorzystali zamieszki, które spowodował w Beit Gwura. Opóźnili papierkową robotę, zlecając ją Aviemu Cohenowi. Z tego, co Daniel widział, nieszczęsny dzieciak wciąż nie radził sobie z formularzami. Ale teraz sprawa na pewno wypłynęła; prawnicy doszli po nitce do kłębka i poinformowali zwierzchników.

Laufer był zaledwie trzy metry od niego. Daniel spojrzał mu w oczy, szykując się na odparcie napąści.

Ku jego zaskoczeniu zastępca komendanta powiedział jedynie:

– Dzień dobry, Sharavi. – I poszedł dalej.

Wszedłszy do swego biura, Daniel zrozumiał dlaczego.

Przy jego biurku siedział jakiś mężczyzna, zapadnięty w fotelu, z brodą wspartą na dłoniach, drzemiący. W popielniczce leżało nie dopalone cygaro, z którego unosił się dym o gorzkim zapachu.

Pierś mężczyzny falowała, na twarzy pojawiały się grymasy. Znajoma, rumiana twarz ponad korpulentnym ciałem o krótkich członkach, tęgie uda w nogawkach spodni, rozplaszczone na fotelu, wyglądały jak kielbasy w kiszkiach. Podbródek porastała maleńka siwa bródka.

Daniel wiedział, że mężczyzna liczy siedemdziesiąt pięć lat, ale wyglądał na dziesięć lat młodszego. Zawdzięczał to gładkiej skórze i zaskakująco chłopięcym żółtoszarym włosom. Na kłapach pogniecionej metalicznoszarej sportowej marynarki wyłożone były końce kołnierzyka rozpiętej pod szyją białej koszuli, odsłaniając pozbawione włosów różowe ciało.

Przyciasne spodnie miały barwę gołębioszarą i wymagały odprasowania. Odsłaniały one tanie buty o karbowanych podeszwach. Z kieszonki sportowej marynarki wystawała strojna brązowa chusteczka z jedwabiu, kłócąca się z resztą stroju.

Daniel zamknął drzwi. Korpulentny mężczyzna nadal spał, nie zmieniając dobrze znanej pozy. Reporterzy uwielbiali go fotografować drzemiącego w trakcie pełnienia oficjalnych funkcji – nieobecnego duchem, zapadniętego w fotel, obok jakiegoś sztywno wyprostowanego dygnitarza.

Narkolepsja, sugerowali jego przeciwnicy; facet ma uszkodzony mózg i nie nadaje się do

pełnienia funkcji. Inni uważali, że to rodzaj afektacji. Część wystylizowanego wizerunku, który wypracował sobie w ciągu dwudziestu lat.

Daniel przeszedł obok pulchnych szarych kolan, obszedł biurko i usiadł.

Zgodnie z obietnicą Shmeltzera, teczka z napisem: DANE O WYPRAWACH już na niego czekała. Otworzył ją. Drzemiący mężczyzna otworzył bladoszare oczy, chrząknął i spojrzał na Daniela.

Daniel odłożył teczkę na bok.

– Dzień dobry, panie majorze, – Dzień dobry, pakad Sharavi. Poznaliśmy się na uroczystym otwarciu filharmonii. Miał pan wtedy wąsy.

– Istotnie. – Trzy lata temu, Daniel prawie o tym zapomniał. Zajmował się wtedy ochroną i nie zamienili z majorem ani słowa.

Major spowaźniał, usiadł prosto i zmarszczył czoło.

– Czekam na pana od godziny – rzekł, całkowicie rozbudzony. Zanim Daniel zdążył odpowiedzieć, ciągnął dalej: – Te morderstwa, wszystkie nonsensy o rzeźnikach, ofiarach i zemście są dla mnie kłopotliwe. Przybywa coraz mniej turystów. Jak tam śledztwo?

Daniel zaczął streszczać rezultaty.

– To wszystko już wiem – przerwał mu major. – Pytam, co nowego?

– Nic.

Major sięgnął po zgasłe już cygaro, zapalił je i zaciągnął się dymem.

– Oto uczciwy człowiek. Diogenes byłby zadowolony. A tymczasem miasto wrze. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy u szczytu recesji, to spadek turystyki. Ten list, z fragmentami z Biblii, ma to jakiś sens?

– Możliwe.

– Bez wykrętów, proszę. Czy naszym mordercą jest Żyd? Ubierający się na czarno?

– Nie ma dowodów, że to robota jakiejś grupy.

– A co z paczką Kagana?

– Nie ma dowodów. Osobiście wątpię, by to był on.

– Dlaczego?

– Dokładnie ich sprawdziliśmy.

– Avigdor Laufer sądzi, że są mocno podejrzani – Avigdor Laufer sądzi bardzo wiele.

Major się roześmiał.

– Tak, to osioł. – Śmiech zabrzmiał sztucznie i nagle zamarł.

– Ten list może pochodzić od kogoś, kto usiłuje rzucić winę na religijnych Żydów.

– To profesjonalna opinia czy tylko pogląd Żyda, noszącego *kipe*?

– Cytaty z Biblii nie pasują do sytuacji. Są ni z gruszki, ni z pietruszki.

– Pięknie, pięknie – powiedział major bez zainteresowania. – Ważne jest to, co z tym robicie.

– Jedyne, co mamy do zrobienia, to ciągnąć śledztwo dalej.

Major zmrużył oczy.

– Żadnych usprawiedliwień, co?

Daniel pokręcił głową.

– Kiedy coś wskóracie?

– Nie mogę niczego obiecać. Seryjni mordercy zawsze sprawiają wiele trudności.

– Seryjni mordercy – powtórzył major, jakby słyszał tę nazwę po raz pierwszy. A potem wymamrotał coś, co brzmiało jak „mrówki mordercy”.

– Słucham.

– A ten Wilbur, kiedy go wypuścicie?

– Będzie odpowiadał za utrudnianie śledztwa. Szykujemy dokumenty.

– Chyba nie macie zamiaru go oskarżyć?

– Traktujemy go jak każdego innego...

– Daj pan spokój, pakad. Nie jesteśmy dwoma Kurdami w fabryce nawozów, więc dość tego gówna.

– Ukrył ważny dowód.

– Jest mordercą?

– To możliwe.

– Prawdopodobne?

– Nie.

– Więc go wypuście. Nie potrzebuję dodatkowych kłopotów. Wystarczy mi pański... seryjny rzeźnik.

– Może się okazać przydatny.

– Niby jak?

– Jeżeli zabójca zechce się z nim znów skontaktować...

– Nie będzie się kontaktował z więźniem, pakad.

– Może zostać wypuszczony w trakcie sprawy i pozostawać pod nadzorem.

– A jeśli zechce wyjechać z kraju?

– Można temu zapobiec.

– Chce pan z niego zrobić zakładnika? Nie jesteśmy w Bejrucie.

– Mamy wystarczające...

– Wypuście go – powiedział major. Nagle jego ton stał się kąśliwy, a twarz stwardniała, jakby wykuta w granicie. Pochylił się do przodu i dźgnął powietrze cygarem. Jak bagnetem. Odrobina popiołu spadła na biurko Daniela.

– Z całym szacunkiem...

– Jeżeli mnie pan szanuje, niech się pan nie wyklóca i wypuści tego idiotę. Rozmawiałem z jego szefem w Nowym Jorku, prezesem korporacji, dla której Wilbur pracuje. Wiedzą, że jego postępowanie nie jest profesjonalne. Obiecał zachować jego aresztowanie w tajemnicy i przenieść go gdzieś, gdzie nie będzie mógł narobić nowych szkód. Nie od razu, za miesiąc lub dwa. Ale umowa jest ważna, tylko jeśli natychmiast go uwolnimy.

– A tymczasem będzie pisał.

– Będzie pisał, ale jego artykuły, wszystkie artykuły dotyczące sprawy Rzeźnika, będą przeglądane przez cenzora.

– Nikt z dziennikarzy, ani miejscowi, ani zagraniczni, nie traktują cenzury poważnie – odrzekł Daniel. – Wiedzą, że się chlubimy naszą demokracją, większą od amerykańskiej. Wszystko przechodzi.

– Jego pisanina nie przejdzie. Minie miesiąc i bękart wyjedzie – powiedział major. – Tolerowaliśmy gorszych. – Nowa kupka popiołu. – No, Sharavi, potrzebuję gwarancji pańskiej współpracy. Szef Wilbura, ten prezes, będzie w Jerozolimie w przyszłym miesiącu. Szczyci się, że jest domorosłym archeologiem. Powitam go na lotnisku oficjalnie, chlebem i solą, a potem oprowadzę go po instytucie Allbrighta, po muzeum Rockefellera i po jakichś miejscowych wykopkach. Byłbym wdzięczny, pakad, gdyby wszystko poszło gładko.

– Proszę mi podać popielniczkę – powiedział Daniel. Odebrał ją z rąk majora, zgarnął do niej popiół i wytarł blat biurka chusteczką.

– Ręka rękę myje, pakad. Wszystkie małe mrówki są zadowolone. Panu się to pewnie wydaje niemoralne, ale dla realisty to chleb powszedni.

– Potrzebuję pozwolenia prokuratora na wycofanie oskarżenia – rzekł Daniel. – Ale przypuszczam, że już się tym zajęto.

– Co za detektyw – powiedział major z uśmiechem. Machnął cygarem. – Niech się pan nie dąsa. Taka przesadna prawomyślność jest dobra dla żołnierzy i pielgrzymów. A jedyne, co zrobili dla tego miasta, to doprowadzenie go do ruiny.

– Sender Malkovsky – rzucił Daniel. – Jakiemu umywaniu rąk zawdzięcza swoją sytuację?

Major pozostał niewzruszony.

– Trzeba mieć szeroki pogląd na sprawę, pakad Sharavi. Nasze miasto jest zbiorem maleńkich mrowisk. Żyją tu mrówki różnego koloru, małe mrówcze armie. Każda z nich myśli, że Bóg, Allah lub Jezus nakazał, by pożerać mrówki z innej armii. Niech pan się zastanowi. To potencjalny powód do rozlewu krwi. I przez dwa tysiąclecia mieliśmy właśnie to. Teraz dostaliśmy nową szansę. I jedynym sposobem, by jej nie stracić, jest zachowanie równowagi. Pluralizm. Każdy mrówczy cesarz w swoim mrowisku. A pański Rzeźnik grozi zachwianiem tej równowagi.

– Malkovsky nie jest mrówką. On gwałci dzieci.

Major zaciągnął się cygarem, odpędził dłonią ten komentarz i dym.

– Z tego punktu widzenia Malkovsky jest postrzegany jako pomyłka. Ale gdy spojrzeć na to szerzej, wcale nie jest pomyłką. Coś panu powiem, pakad. Największy konflikt w Jerozolimie nie dotyczy Żydów i Arabów. My pozostaniemy u władzy. Oni będą nadal *kwetch*. Ale tylko na pokaz. W głębi serca cieszą się z wszystkiego, co im dajemy: szkoły, opieka zdrowotna. Jordańczycy nigdy im tego nie dali i oni to wiedzą. Arafat jest papierowym bohaterem, członkiem klanu Husseinów. Arabowie pamiętają, jak ludzie Husajna konfiskowali ich ziemię, by ją tanio sprzedać. Więc Arabowie przywykną, my przywykniemy. Status quo, które nigdy nie było cacy-cacy, ale da się znieść. Zasadniczy konflikt istnieje między Żydami i Żydami. Ortodoksami i wszystkimi innymi. Ci czarno odziani to fanatycy, nie uznają państwa, chcą zniszczyć wszystko, o co walczyliśmy. Zamienić Izrael w jeszcze jeden Iran, rządzony przez żydowskich ajatollahów. Niech pan pomyśli: żadnych kin, żadnych kawiarni, muzeów czy sal koncertowych, fanatycy nakazujący umieszczać *mezuzę* na każdych drzwiach i *dawen* trzy razy dziennie. A jak nie – chłosta na skwerze Syjon. A oni bardzo się mnożą – po dziewięcioro, dziesięcioro dzieci w rodzinie. Tysiące emigrują z gett w Ameryce, aby budować getta tutaj. Garbią się całymi dniami w *jesziwach*, żyją z zasiłków, żaden z nich nie odszedł ani jednego dnia w wojsku. Tysiące wrogów państwa. I to wrogów niebezpiecznych, bo są tłumieni – seksualnie i emocjonalnie. Pan wie, do jakich brutalnych czynów to prowadzi. W Mea Szearim co sobotę mamy płonący autobus. Nawet boisko do piłki nożnej, któreśmy dla nich pobudowali, nie kanalizuje agresji.

– Major zapalił zgasłe cygaro. – Przemoc. Oto dlaczego religijne implikacje tego listu wydają mi się prawdopodobne. Ci w czerni są zdolni do przemocy wobec każdego, kto ich obraża. Jednak pan mnie zapewnia, że nie ma dowodów, że sprawcą jest jakkolwiek konkretna grupa.

– Malkovsky – przypomniał mu Daniel.

Wyraz twarzy majora świadczył o tym, że sprawa jest błaha.

– Rebe Malkovsky'ego – Prosnitzer – jest potencjalnie cenny. To ktoś, z kim należy się liczyć. Jest kuzynem rebe Satniara. Zerwał z Satmarem trzy lata temu z powodu dyskusji na temat linii sukcesji. To, oczywiście, nie jest ważne. Oni wciąż się kłócą między sobą. Ale aby przybrać nową tożsamość, Prosnitzer przyjął stanowisko propaństwowe. Niech pan pomyśli: pański ultrafanatyczny typ: czarny kapelusz, pejsy, getry – powiada, że sprawiedliwi Żydzi powinni wspierać państwo.

– Członkowie Agudy* czynią to od lat.

– Członkowie Agudy są bez znaczenia. Jedyne, czego pragną, to budować koszerne hotele i bogacić się. A Prosnitzer to ktoś. Człowiek z charyzmą. Kiedy mówi swoim chasydom, że zwycięstwo w 1967 było znakiem od Mesjasza, to nabiera znaczenia.

– Nigdy nie słyszałem, żeby mówił coś takiego – rzekł Daniel.

– Powiedział mi to prywatnie. Czeką na odpowiednią chwilę, by to powiedzieć publicznie. Sprawa z Malkovskym trochę opóźniła ten moment, ale rabin zobowiąże się do

* Aguda (z hebr. „Związek Żydów”) – skrajnie prawicowa partia o charakterze religijnym, działająca w różnych krajach. Powstała w 1912 r. w Katowicach.

tego, w zamian za kilka przysług. Drobnych przysług, które z największą przyjemnością mu zagwarantuję, bo gra idzie o dużą stawkę. Eksponowanie perwersyjności jednego z uczniów rabina jest destrukcyjne. Niech pan pomyśli: to najazd na fanatyków, pierwszy wyłom uczyniony w ich zwartych sztykach. To są zwolennicy z natury. Konformiści. Jeden zaczyna, inni podążają jego śladem. Bardzo szybko i łatwo jest wprowadzić dwuznaczność do ich systemu wiary – twórcze napięcie. Brak absolutu osłabia fanatyzm. Cel walki ulega zatarciu, wzmacniając nasz pluralizm.

– Mrówki wędrujące z mrowiska do mrowiska? – spytał Daniel.

Major spojrział na zegarek i wstał.

– Robi się późno. Spędziłem mnóstwo czasu na teoretyzowaniu. Oczekuję, że Mark Wilbur zostanie natychmiast zwolniony, bez żadnego nękania. Nie mam wątpliwości, że jest pan inteligentnym facetem. Jeżeli zechce pan kiedyś podyskutować szerzej o mrowiskach, proszę zatelefonować do biura lub do domu. Obydwa numery są podane w książce telefonicznej. Poświęćmy na to wieczór, wypijemy kilka sznapsów i zajrzyjemy do paru książek filozoficznych. Gdy skończy pan z tym Rzeźnikiem.

Daniel został sam i przejrzał teczkę dotyczącą wycieczek. Uniwersytet przedstawił listy uczestników dziewięciu wypraw w okolice jaskini mordercy. Trzy ekspedycje rocznie w ciągu ostatnich trzech lat. Badania były tam prowadzone od 1967 roku, ale starszych list nie załączono. (Shmeltzer dołączył notatkę: „D., powinieneś zobaczyć ich akta, co za bałagan. Profesorowie”).

Ostatnia wyprawa miała miejsce minionego lata, powierzchniowe wykopki w odległości półtora kilometra na północ od jaskini. Sponsorował ją Wydział Archeologii. Dwie wcześniejsze były prowadzone przez Wydział Geologii i dotyczyły retencji wody. Uczestnikami byli pracownicy wydziału, studenci i wizytujący naukowcy. Podano tylko nazwiska profesorów, stale te same pół tuzina nazwisk. Dwaj z nich byli teraz poza krajem. Shmeltzer przepytiał pozostałych czterech, z czego trzy kobiety, i nie trafił na żaden trop. Lista studentów była niekompletna, zestawiona na podstawie bezładnych zapisków. Wszyscy studenci byli Izraelitami, z wyjątkiem jednego Nigeryjczyka, który powrócił do Afryki pół roku przed pierwszym morderstwem. Jeszcze ich nie wypytywano.

Żadna z prywatnych agencji turystycznych nie organizowała wycieczek w tę część pustyni, co nie było dziwne, bo nie znajdowało się tam nic nadzwyczajnego. Jeżeli turyści chcieli oglądać pustynię, pokazywano im targ z wielbłędami w Beerszewa, Masadzie, Ein Gedi oraz błotniste kąpiele nad Morzem Martwym.

Pół roku temu Ochrona Przyrody zabrała w okolice pieczary jedną grupę wycieczkowiczów, gdzie obserwowali jednoroczne rośliny pustynne. Przewodniczka, Nurit Blau, obecnie była żoną członka kibucu Sa'ad. Shmeltzer zatelefonował do niej. Okazało się, że ma małe dziecko, sprawiała wrażenie zmęczonej, nie pamiętała z wycieczki nic poza ulewą, z powodu której musiano ją zakończyć przed czasem. Nikt z uczestników nie zapadł jej w pamięć. Kilku z nich mogło być obcokrajowcami, ale naprawdę nie pamięta. Jak można się spodziewać, że zapamięta coś sprzed pół roku?

Sprawdzenie nazwisk w biurze Ochrony Przyrody nie przyniosło żadnych rezultatów. Listy zgłoszeń trzymano tylko do dnia wycieczki. A i te były niekompletne. Większość uczestników nie rezerwowała miejsc z góry, lecz pojawiała się bezpośrednio na miejscu, wpłacała należność i wyruszała w teren.

Skape dane. A zresztą owe listy niczego nie dowodziły. Każdy mógł wyruszyć na pustynię. Jednak procedura to procedura. I nie mieli nadmiaru poszlak. Cohen i Chińczyk wypytywali studentów, usiłując ustalić brakujące nazwiska.

O ósmej dwadzieścia pięć Daniel wyszedł ze swego biura i ruszył korytarzami do pozbawionych wizytówki drzwi gabinetu Amosa Harela. Zastukał, odczekał chwilę, wszedł i stanął twarzą w twarz z tajniakiem o szarych oczach.

Harel trzymał dymiącego gauloisa w jednej ręce, pióro w drugiej. Miał na sobie trykotową koszulkę i dzinsy. Biała broda, którą zapuścił na potrzeby ostatniego zadania, zniknęła, odsłaniając bladą, szczupłą twarz poznaczoną zacięciami.

– Dzień dobry, Dani.

– Dzień dobry.

Harel nie zaprosił go do środka, po prostu stał, czekając, co mu powie. Był o dziesięć lat starszy od Daniela, w stopniu raw pakada, ale nie przywiązywał wagi do rang i koncentrował się wyłącznie na pracy. Najtwardszy z twardzieli, choć patrząc na niego, nie sposób było tego zgadnąć: wąskie ramiona, przygarbione plecy, w których utkwily trzy odłamki szrapnela, zawdzięczone Anwarowi Sadatowi. Dysponował emocjonalnym barometrem, który nigdy go nie zawodził, oraz miał nosa do drobnych nieregularności i podejrzanych przesylek.

– Dzień dobry, Amos. Czy twój człowiek pilnuje skrzynki na listy Wilbura?

– Sprawdził ją dwie godziny temu. Nic.

– Wilbur wychodzi z paki – polecenie z samej góry. Możliwe, że otrzymasz żądanie zaprzestania nadzoru. Wyświadczyć mi przysługę i nie śpiesz się za bardzo.

– Ile czasu potrzebujesz?

– Dzień albo półtora, do czasu gdy mój człowiek przejmie nadzór. Nie będziesz miał problemu z ukryciem tego?

– Nie. Nie będę – odparł szef Latam. – Najmniejszego.

Dziękowanie mu byłoby nie na miejscu. Daniel odwrócił się na pięcie i wyszedł. Wróciwszy do swego pokoju, zatelefonował do Shmeltzera w więzieniu przy placu Rosyjskim, chcąc się dowiedzieć, jakie wyniki przyniosło poszukiwanie Czerwonej Amiry Nasser przez Mosad. Nie zastał starszego detektywa, więc rozważył, czy nie skontaktować się bezpośrednio z Mosadem. Uznał, że lepiej trzymać się drogi oficjalnej, bo tamtejsi faceci nie lubią improwizacji.

– Połącz mnie z podinspektorem Lee – polecił oficerowi w centrali więzienia.

Po upływie minuty zgłosił się Chińczyk i Daniel opowiedział mu o swoim porannym gościu.

– Ten śpioch? I jaki jest?

– Czarujący. Ocenia świat w kategoriach owadów. Posłuchaj, jeśli masz jakieś pytania do Wilbura, zadaj mu je teraz. Wkrótce wychodzi.

– Już wyszedł. Wyprowadziło go dwóch osiłków. Pomóc Aviemu z papierami? Dzieciak strasznie się nad nimi poci.

– Jasne. Wyciągnąłeś z Wilbura coś więcej?

– Nic a nic. Karmiliśmy go. Poiliśmy kawą. Facet pękł, ale gadał same bzdury. Przez ostatnią godzinę opowiadał o swoim dzieciństwie. Wygląda na to, że miał podłego ojca, prawnika, który chciał, by synalek poszedł w jego ślady, i nigdy nie cenił dziennikarzy. – Chińczyk ziewnął do słuchawki.

– Gdzie jest Nahum?

– Nazwawszy Wilbura *szmukiem* po raz setny, wyszedł, mówiąc coś o przepytывaniu studentów.

– Nazwiska z uniwersyteckich list uczestników wypraw na pustynię. Postaraj się go złapać i pomóż mu w tym wypytywaniu. powiedz mu też, że potrzebne mi są świeże dane o poszukiwaniu Amiry Nasser. Zabierz z sobą Cohena, żeby przyspieszyć sprawę, ale zwolnij go o drugiej. Ma zastąpić człowieka z Latam przy skrzynce na listy Wilbura. Powiedz mu, żeby poszedł do Hamashbir i kupił sobie trochę ubrań – nic nadzwyczajnego, jakiś strój kibucnika. I niech zgoli brodę, krótko się ostrzyże i załatwi sobie okulary.

– Znęcanie się nad policjantami – roześmiał się Chińczyk. – Zbiorę do butelki jego łzy i przedstawię jako dowód na zebraniu sprawozdawczym. Dzwoniła Aviva, ma wolne przedpołudnie. Mogę wpaść do domu na śniadanie?

Daniel się zastanowił. Wycieczkowicze z uniwersytetu mogli poczekać.

– Ale najpierw skontaktuj się z Nahumem. Potem idźcie wszyscy na śniadanie.

– Ostatni posiłek Cohena-powiedział Chińczyk, chichocząc.

O ósmej czterdzieści Daniel zatelefonował do żony.

– Kocham cię – powiedział. – Przepraszam, że wypadłem z domu w takim pośpiechu.

Zgadnij, kto na mnie czekał w moim biurze?

– Premier?

– Ktoś ważniejszy.

– Mówisz poważnie?

– Bardzo poważnie.

– Kto?

– Major.

– W twoim biurze?

– Otwieram drzwi, a on tam siedzi i śpi.

– Zawsze myślałam, że to spanie jest na użytek mediów.

– Dziś rano było na mój użytek.

– Czego chciał?

– Żebym wypuścił amerykańskiego dziennikarza i w ogóle sprawdzić, jak posuwa się śledztwo.

– Jestem pewna, że był zadowolony.

– Byłby, gdybym rozwiązał sprawę morderstw, które dla niego są niedogodnością.

Laura milczała.

– Naciski? – spytała wreszcie.

– Spodziewałem się tego.

– Posłuchaj, zanim zapomnę. Jakies kwadrans temu telefonował Gene, powiedział, że starał się złapać cię w biurze, ale nie mógł się dodzwonić.

– Jest w Laromme?

– Chyba tak. Wiesz, że w tę niedzielę odlatują do Rzymu?

– Już?

– To już cztery tygodnie, kochany.

Daniel westchnął.

– Nie martw się – powiedziała Laura. – Luanne już mówi o przyjeździe w przyszłym roku. Dziś wieczorem przyjdą do nas na sabatowy obiad. Uda ci się wrócić do domu na trzecią?

– Jasne.

– Doskonale. Wino i ciasta czekają u Liebermana. Druga kobieta twego życia ma nową sukienkę i chce, żebyś ją zaaprobował, zanim w niej wystąpi.

– Powiedz jej, że ją kocham. Powiedz to wszystkim dzieciom.

Następnie zatelefonował do hotelu Laromme.

Gene odebrał po pierwszym sygnale.

– Miałem nadzieję, że to ty – powiedział. – Nie można się do ciebie dodzwonić. O co tu chodzi? Ochrona?

– Raczej złe kable. Co nowego?

– McGuire przesłał mi dane komputerowe. Wydaje mi się, że mam dla ciebie soczysty kasek. Masz coś do pisania?

– Mam. Mów.

– Mają pięćset osiemdziesiąt siedem nie wyjaśnionych przypadków, które mogą być uznane za seryjne. Dwieście dziewięćdziesiąt siedem przy użyciu noża. W dziewięćdziesięciu jeden przypadkach ofiary zostały pocięte podobnie jak wasze. Bank danych sięga piętnaście lat wstecz; dalej, niż się spodziewałem. Ale dane z ostatnich pięciu lat są stosunkowo

uboższe.

– Dziewięćdziesiąt jeden – powtórzył Daniel, wyobrażając sobie sterty okaleczonych ciał.

– Nie tak wiele, wzięwszy pod uwagę, że wiele z nich ma mieszany *modus*: nóż i broń palna, nóż i uduszenie. No i różnorodność ofiar: mężczyźni, dzieci, staruszki, pary. Według mnie to ich nie eliminuje, niektóre z tych potworów mają szeroki wachlarz typów ofiar i narzędzi, którymi się posługują. Trzeba te wszystkie przypadki uporządkować w podzbiorach.

– Młode kobiety – powiedział Daniel.

– Właśnie. Pięćdziesiąt osiem ofiar w wieku od siedemnastu do dwudziestu siedmiu lat. Bawiąc się w statystykę, FBI wydzieliło siedem podgrup, z których każda wydaje się dziełem tego samego zabójcy lub zabójców. Ale jeśli postawisz na ciemną karnację, różne ostrza i podanie narkotyków, sprawa się zawęży i staje się naprawdę interesująca: siedem przypadków, żadna z ofiar nie była uduszona, co samo w sobie jest niezwykle. Jest jeden dodatkowy przypadek, który pasuje do reszty, z wyjątkiem tego, że nie ma wzmianki o wielu ostrzach. Pierwszy przypadek miał miejsce w Los Angeles: pocięta dziewczyna, znaleziona czternaście lat temu. W marcu 1971 roku. W jaskini. Jak ci się to podoba?

– To w Los Angeles są jaskinie? – zapytał Daniel, ściskając krawędź blatu biurka.

– W otaczających górach jest ich mnóstwo. Ta, o której mówimy, znajduje się w parku Griffitha. To duży obszar na północ od Hollywood, tysiące akrów. Jest tam zoo i planetarium, ale większa część to teren porośnięty dziką roślinnością.

– Została zabita w jaskini?

– FBI twierdzi, że tak.

– Jakie jest położenie tej jaskini?

– Oprogramowanie nie jest jeszcze tak dokładne. Poczekaj chwileczkę. Chcę, żebyś usłyszał coś więcej: ofiara nazywała się Lilah Shehadeh. Opisana jako dwudziestotrzyletnia kobieta, typ kaukaski, czarne włosy, brązowe oczy. Ale Shehadeh to arabskie nazwisko, prawda?

– Tak – odparł Daniel, czując wzrastające podniecenie. – Mów dalej.

– Wielokrotne rany zadane kilkoma różnymi ostrzami. Śmierć przez wykrwawienie. Przedawkowanie heroiny, które spowodowało ogólne znieczulenie. Żadnych dowodów oprócz mydła Ivory – wygląda na to, że została umyta.

– W jaskini?

– Nie ma ani słowa, że gdzie indziej. W parku Griffitha są strumienie. W marcu zawsze przybierają po deszczach. Co tu jeszcze mamy... Shehadeh była narkomanką i prostytutką. Usiłuję sobie przypomnieć, czy słyszałem o tym przypadku, ale nie pamiętam. Pracowałem wtedy w Wydziale Południowo-Zachodnim, po przeciwnej stronie miasta. Szczerze mówiąc, pojedynczy przypadek pocięcia dziwki nie jest wart zapamiętania. Przed chwilą rozmawiałem z kumplem z Wydziału Hollywood. Prosiłem, by odnalazł akta i oddzwonił, żeby przedyktować szczegóły.

– Dziękuję, poruczniku Brooker.

– Dalej: przypadek numer dwa miał miejsce dwa lata później. W lipcu 1973 roku. W Nowym Orleanie. Także prostytutka, Angélique Breau. Znieczulona demerolem i pocięta tak samo jak Shehadeh. Ślady mydła i szamponu: Dial i Prell... morderca nie trzyma się jednej firmy kosmetycznej. Zabito ją gdzie indziej, ale znaleziono w krypcie cmentarza St. Louis, czyli w miejscu podobnym do pieczary. Obie ofiary potraktowano podobnie jak twoje: Shehadeh wycięto pochwę; Breau pozbawiono jajników. Ta ostatnia zapisana jest jako kobieta typu kaukaskiego, czarnobrazowa, dziewiętnaście lat. Nowy Orlean słynie z mieszanych ras. Jeżeli wpisują w kwestionariuszu prawa jazdy „typ kaukaski”, nikt się nie wyklóca. Z nazwiskiem Breau mogła być Paryżanka, szcurem wodnym Cajun, kreolską Mulatką lub jakąkolwiek inną mieszanką.

– Ciemna. Jak mieszkanki obszaru Morza Śródziemnego.

– Bardzo możliwe.

– Równie dobrze mogła być Arabką, Gene. Niektórzy Marokańczycy i Algierczycy noszą francuskie nazwiska.

– Hmm. Też możliwe. Ale dwie następne z całą pewnością nie są Arabkami. Co świadczy o tym, że nasz zabójca kieruje się wyglądem, a nie narodowością.

Kobiety o ciemnej karnacji, pomyślał Daniel. Pełno ich na ulicach krajów Bliskiego Wschodu, Śródziemnomorskich i Ameryki Łacińskiej. A jednak zabójca – jeśli to ten sam zabójca – przybył do Jerozolimy.

Szuka czegoś więcej niż charakterystycznego wyglądu...

– Trzecie zabójstwo miało miejsce w kwietniu 1975 roku, dwadzieścia jeden miesięcy po Breau – ciągnął Gene. – Północno-wschodnia Arizona, pustynne okolice Phoenix. Nazwisko ofiary: Shawnee Scoggins, kobieta, Indianka. Osiemnaście lat, czarnobrazowa. Usunięto jajniki i nerki. Zamordowana gdzie indziej, znaleziona przy autostradzie, niedaleko jednego z rezerwatów. Sprawą zajęła się policja rezerwatu. Dziewczyna była karana za narkotyki. Świeże ukłucia igły na ramieniu, przedawkowanie heroiny, żadnych śladów włókien, brak wzmianki o mydle. Ale brak również danych o rozmaitych ostrzach, więc może lokalna policja pominęła te fakty z powodu złej procedury śledczej lub niedokładnej sekcji zwłok. Cała reszta pasuje. Uważam, że ją także należy tu wliczyć.

– Dobrze.

– Po Scoggins była trzydziestodwumiesięczna przerwa, do grudnia 1977. Znow Kalifornia, ale część północna, w pobliżu San Francisco. Tę pamiętam: striptizerka, Maria Mendoza, dwadzieścia jeden lat, czarnobrazowa, notowana za prostytutkę i narkotyki. To, co z niej zostało, znaleziono obok jaskini w Mount Tamalpais.

– A nie wewnątrz jaskini?

– Pytałem o to McGuire. Wydruki mówią „obok”, nie mówią, jak blisko. Trudno zrozumieć, dlaczego niektóre dane zamieszczają, a inne pomijają.

– Zabita na miejscu?

– Nie. Gdzieś indziej, miejsce niezidentyfikowane. Ta była naprawdę pocięta, Danny. Usunięto wszystkie organy wewnętrzne, dostała dosłownie sama skóra i kości. Policja San Francisco miała do czynienia z serią nie wyjaśnionych morderstw, przypisywanych pewnemu szaleńcowi, który pisywał do gazet listy, podpisując się jako Zodiak. Ostatnie zabójstwo, o które go podejrzewano, miało miejsce w październiku 1975 roku, dalej na wschód, w Sacramento. Policjanci myśleli, że Zodiak wrócił, aby ich prześladować. Zapamiętałem tę Mendozę tylko dlatego, że jeden z podejrzanych w sprawie Zodiaca przeniósł się do Los Angeles, niedługo potem, jak znalezione zostało ciało Mendozy, i byliśmy bardzo czujni. Obserwowaliśmy go, ale nic z tego nie wynikło.

– Jak się nazywał?

– Karl Witik. Student biologii. Biały, ale wynajmował dom w Watts. Po pokojach biegały myszy i wiewiórki. Ale to nie jest wasz człowiek. Wyzionął ducha na początku 1978. A w 1979 i 1981 miały miejsce dwa następne morderstwa Zodiaca. Więc chyba nie jest również tym z San Francisco.

– Osiem – powiedział Daniel, spoglądając w notatki. – Jeszcze cztery.

– Jeszcze cztery – powtórzył Gene. – I robią się coraz paskudniejsze. Mendoza była ostatnią nie pokawałkowaną na tej liście. Reszta była pozbawiona członków: sierpień 1978, Miami w stanie Floryda; czerwiec 1980, Sun Valley, Idaho; marzec 1982, Crater Lake, Oregon; styczeń, 1984, Hana, Hawaje. Młode kobiety o ciemnej karnacji, żadnych włókien ani odcisków. Ślady mydła, heroina, kości cięte rozmaitymi ostrzami, części ciała rozrzucone w zalesionych lub pustynnych okolicach. Trzy ofiary nie zostały zidentyfikowane, w tym jedna, której głowy nie odnaleziono. Tę z Crater Lake zidentyfikowano jako Sherry Blumenthal, siedemnastoletnia uciekinierka z Seattle. Ta sama stara śpiewka: narkotyki,

prostytycja. „Szczątki znalezione w stanie daleko posuniętego rozkładu, na północnym brzegu jeziora”. – Gene zamilkł. – Wygląda na waszego faceta, prawda?

– *Modus* jest identyczny – powiedział Daniel. Jego zwilgotniałe dłonie zostawiały ślady na biurku. – Morderca podróżnik.

– Bestia autostrady. Wygląda na to, że odbywał dalekie podróże.

Daniel jeszcze raz przejrzał notatki.

– Dwa morderstwa w Kalifornii. Może to jego baza.

– Ten sam stan, ale LA i San Francisco są od siebie oddalone o czterysta mil. Może po prostu lubi tamtejszy klimat.

Daniel popatrzył na spis miejsc zbrodni.

– Wszystkie te miejscowości mają dobry klimat, prawda?

– Hmm. Niech się zastanowię. Oregon, Luizjana, można tam nieźle zmoknąć i zmarznąć, ale tak, generalnie łagodny klimat.

– Miejsca, w które się jeździ na urlop?

– Raczej tak. Dlaczego?

– Przerwy między morderstwami wynoszą średnio dwa lata – powiedział Daniel. – Może zabójca żyje przez pewien czas normalnie, a potem wyjeżdża na urlop i morduje.

– Niech spojrzę na daty – rzekł Gene. Przez chwilę milczał.

– Nie, nie sądzę. Styczeń na Hawajach wypada po sezonie, mglisto i deszczowo. Nowy Orlean i Miami są w lipcu gorące i parne, ludzie przyjeżdżają tam na zimę. Ale przecież istnieje mnóstwo osób, które nie muszą mieć wakacji, aby podróżować. Kierowcy ciężarówek, wszyscy, których praca wymaga, by się przemieszczali. I nie przywiązują zbyt wielkiej wagi do przerw między morderstwami. Może zabijać cały czas. FBI przewiduje sześć nie odkrytych ofiar, na jedną figurującą w danych.

Pięćset osiemdziesiąt siedem razy sześć.

– Ponad trzy tysiące nie odkrytych morderstw – powiedział Daniel. – Jak to możliwe?

– Uciekinierzy, wyrzuceni z domu, sieroty, osoby zaginione, których nie odnaleziono. Wielki kraj, wielki bałagan. To nie tak jak u was, Danny.

Daniel pogodził się z liczbami i wrócił do notatek.

– Pierwsze morderstwo miało miejsce czternaście lat temu, co mówi nam coś na temat wieku zabójcy. Ile mógł mieć lat? Co najmniej czternaście?

– Słyszałem o morderstwach na tle seksualnym popełnionych przez dzieci – powiedział Gene. – Ale takie sprawiają wrażenie mniej przemyślanych. Są sfuszerowane. Tutaj wszystko jest starannie przeprowadzone, ofiary znieczulone narkotykami. Sądzę, że to ktoś dorosły. Co najmniej osiemnaście lub dziewiętnaście lat, najprawdopodobniej dwadzieścia.

– Dobrze. Bądźmy ostrożni i przyjmijmy szesnaście – stwierdził Daniel. – Teraz miałby co najmniej trzydziestkę. Przypuszczalnie więcej.

– Jeżeli Shehadeh była pierwsza.

– Jeżeli nie, *może* być znacznie starszy. Ale niewiele młodszy.

– Zgoda.

– Trzydziestka albo starszy – głośno myślał Daniel. – Amerykanin lub ktoś, kto często bywa w Ameryce. – Jeżeli nie jest Amerykaninem, wszystkie te podróże do Stanów są odnotowane w paszporcie, pomyślał.

– Sto do jednego, że to Amerykanin – powiedział Gene. – Orientuje się w terenie. Wie, gdzie zabijać, gdzie podrzucać ciało. Niektóre z tych miejsc znajdują się na uboczu. Amerykanie są podejrzliwi wobec obcokrajowców. Jeżeli jakiś by się tam kręcił, wyszłoby to w śledztwie. Chyba że Interpol uważa inaczej.

– Nie. Wciąż czekam na wiadomość z Interpolu. Jedna rzecz, Gene: w Ameryce jest podróżującym zabójcą, jeździ z miasta do miasta. A tutaj tkwi w Jerozolimie. Dlaczego nie zamorduje jednej dziewczyny w Jerozolimie, innej w Tel Awiwie, następnej w Hajfie?

– Może Jerozolima ma dla niego jakieś szczególne znaczenie. Kalanie świętości albo coś w tym rodzaju.

– Może – powiedział Daniel, ale jego myśli galopowały:

Plugawienie świętości trzech wyznań. Plugawienie kobiet. Śniadych kobiet. Arabki. Meksykańska striptizerka. Indianka. Jakaś Mulatka z Luizjany. Być może Żydówka – Blumenthal z Oregonu.

– Wszystkie zidentyfikowane ofiary pochodziły z rasowej lub etnicznej mniejszości.

– Ale tutaj tylko Arabki. Największa etniczna mniejszość.

– Rasista?

– Zabójca Żyd? Kaganizm usprawiedliwiony przez Biblię i doprowadzony do krwawego ekstremum?

– Albo *libel* krwi, jak się upierał Shmeltzer. Ktoś oskarżający o to Żydów?

– Kimkolwiek był nadawca listu do Wilbura, skalał też Biblię. Wycinając z niej tekst i naklejając jak jakieś żądanie okupu. Który z przestrzegających zasady wiary Żydów uczyniłby tak, skoro zdania można było bez trudu przepisać?

– Chyba że nie zna się hebrajskiego.

– Koperta zaadresowana drukowanymi literami alfabetu angielskiego.

– Nie zna hebrajskiego. Obcokrajowiec.

– Obcy.

Siejący nienawiść, szczujący Żydów przeciw Arabom? Semitów przeciwko semitom?

Prawdziwy antysemita.

Rasistowski amerykański maniak. Opowiadanie Amiry Nasser o obcokrajowcu z oczyma szaleńca nabierało coraz więcej sensu. Szalone oczy, dziwny uśmiech... Cholera, gdzie się podziewają spece z Mosadu, gdy są najbardziej potrzebni?

– ... tylko ogólne, my potrzebujemy dokładnych danych – mówił Gene. – Najlepszym sposobem będzie rzut oka w akta policyjne albo przynajmniej telefoniczne zdobycie najistotniejszych szczegółów. Mogę ci pomóc z San Francisco i Nowym Orleanem. W innych miastach nie mam kontaktów osobistych, ale może jeden amerykański gliniarz zechce pomóc drugiemu.

– Już i tak wiele zrobiłeś, przyjacielu. Sam do nich podzwonię. Masz adresy i numery telefonów?

Gene podał mu je i powiedział:

– Zatelefonować do nich to dla mnie żaden problem, Danny. Zrobię to szybciej. Uwierz mi.

– Zostały ci tylko trzy dni w Jerozolimie, Gene. Nie chcę ci zabierać końcówki urlopu.

Cisza.

– Posłuchaj – wreszcie odezwał się Gene. – Mogę odłożyć wyjazd.

– Gene, Rzym jest piękny...

– Rzym to znowu kościoły. Jeszcze większe. Świątynie i malowidła ścienne. Freski na sufitach przyprawiają mnie o sztywnienie karku.

Daniel się roześmiał.

– A poza tym – ciągnął Gene – macie tu mnóstwo świętych miejsc, których Lu jeszcze nie widziała. Właśnie dziś rano uskarżała się, że ją ominą wykłady na temat garncarstwa czy czegoś tam. Istnieje więc szansa, że jeśli ci jestem potrzebny, namówię ją do zmiany marszruty. Ale muszę wiedzieć od razu, bo jeśli nie, będziemy mieli kłopoty z zamianą biletów.

– Jesteś mi potrzebny, Gene.

– Miło słyszeć. Możesz mi to powtórzyć w czasie dzisiejszego obiadu. A na razie pozwól, że się zajmę tymi telefonami. Pa.

Z Ameryki do Izraela.

A Europa?

Zadzwoił do Friedmanna w Bonn, wiedząc, że w Niemczech mają wczesny ranek i nie przejmując się, że człowiek z Interpolu zostanie zerwany z łóżka.

Usłyszał znany już głos automatycznej sekretarki.

Rzucił słuchawkę, przejrzał swoje notatki. Wciąż powracała ta sama myśl:

Rasistowski zabójca.

Ostrożny. Wyrachowany.

Manipulant.

Przypomniał sobie zdanie, które przemówiło do niego, gdy przeglądał książki na temat psychopatycznych zabójców:

Mengele zza rogu.

Pomyślał o obrzydliwych książeczkach oglądanych w biurze gen Davida. Czarna księga faszystowskiego horroru.

„Przeczytaj rozdział »Morderstwo dla zysku«, - powiedział psycholog. „Eksperymenty chirurgiczne”.

Ja także myślę o tym w kategoriach nazizmu...

„Widzisz, wcale mnie nie potrzebujesz. Twoja podświadomość wiedzie cię we właściwym kierunku”.

Jego podświadomość. Obumierała, usychała, zanikała, bo się nią nie posługiwał. Ale dane z komputera FBI tchnęły w nią nowe życie. W jego umyśle powstawał obraz zabójcy – niewyraźny obraz, rozmazany zarys, odstręczające rysy niknące w mgłę niepewności. Ale z pewnością obraz.

Daniel był przekonany, że ma rację.

Zabójca nie był Żydem ani Arabem.

Amerykaninem o dziwnych oczach, chorym umyśle i rasistowskich poglądach. Bestia z autostrady podkradająca się do stada.

Amerykanie. Mieszkało ich to i przyjeżdżało tysiące. Ale pod obserwacją znaleźli się tylko Roselli i Wilbur. Obaj nie bardzo obiecujący: dziennikarz był nieetyczny, ale nie był zabójcą; wielką tajemnicę mnicha stanowiła chęć, by stać się Żydem.

Co sprawiało, że wydawał się intrygujący, ale nie czyniło zeń podejrzanego.

Pod warunkiem, że nie miał innej wielkiej tajemnicy.

Z tego, co podsłuchiwał Daoud, Roselli zdawał sobie sprawę, że jest obserwowany. Czy jego wizyta w *jesziwie* miała ukryć coś innego?

Daniel poinstruował Daouda, by nadal śledził Rosellego.

– Tak, pakad – odparł Arab z namysłem, ale i z napięciem. Biedny chłopak był już pewnie straszliwie znudzony. Jeżeli wkrótce nic się nie zdarzy, Daniel postara się lepiej wykorzystać jego talenty. Dalsza obserwacja Rosellego może być prowadzona przez jednego z przebranych w suknie i kaffije chłopców Harela.

Zamyślił się nad Rosellim. Z mnicha w studenta *jesziwy*.

Duchowe powołanie? Czy jeszcze jeden zwrot nie zrównoważonej psychiki?

Jeszcze jeden zwariowany Amerykanin? O oczach szaleńca?

Po ulicach Jerozolimy spacerowały tysiące Amerykanów. Jak znaleźć tego z oczyma szaleńca? To jakbyś przesiewał granulki złota, poszukując drobin żużlu.

Wielki bałagan, ale mały kraj. Jeden obcokrajowiec nie może się tu ukrywać w nieskończoność.

Wziął pióro i nakreślił plan.

Sprawdzić linie lotnicze, przejrzeć strona po stronie dziesiątki tysięcy nieskomputeryzowanych danych paszportowych – nudna droga, którą głośno skrytykował Chińczyk, lecz jedyny sposób, by zdobyć coś na temat zabójcy. Rejestry hoteli, pensjonatów, schronisk, domów noclegowych, agencji wynajmu domów i firm wypożyczających

samochody, biur podróży, kibuców i *moszawów*, które przyjmują zagranicznych ochotników.

Diabelski pomiot nie mógł się głęboko ukryć. Wyrzebią go na powierzchnię i położą kres plugastwu.

Po raz pierwszy od długiego czasu poczuł odrobinę nadziei. Mistrzostwo myśliwego.

Z zamyślenia wyrwało go stukanie do drzwi.

– Tak?

Drzwi się uchyliły i umundurowany policjant wsunął głowę w szparę. Młody, wystraszony, z puchem zarostu na policzkach, najwyraźniej tuż po kursach szkoleniowych. Zamrugał powiekami, podrzucił głowę i odwracając wzrok od Daniela, spytał:

– Pakad Sharavi?

– Tak. Wejdz.

Policjant został na korytarzu, tylko jego głowa wsunęła się głębiej. Rozglądał się niespokojnie jak kurczak pod nożem *szoqueta*.

– O co chodzi?

Mundurowy przygryzł wargi. Kiedy się wreszcie odezwał, połykał słowa.

– Nowe ciało, pakad. Powiedzieli, żeby pana zawołać, że pan wszystko wie. W Talpijot, w pobliżu dzielnicy fabrycznej. Niedaleko miejsca, do którego odholowujemy źle zaparkowane samochody.

KSIEGA TRZECIA

Rozdział 55

Sprawność doktora Leviego była godna podziwu. W kilka godzin po zabraniu ciała do Abu Kabir podał przez telefon wyniki sekcji.

Lecz patolog z równym skutkiem mógł się nie spieszyć, bo rany na zwłokach numer trzy były identyczne jak u Fatmy i Juliet. Wyjątek stanowiła jedna informacja, którą Daniel przewidział: zabójca zabrał jajniki i nerki Shahin Barakat.

Tak samo postąpił dziesięć lat temu ze swoją trzecią amerykańską ofiarą, Indianką, Shawnee Scoggins.

Ciało Shahin zostało znalezione w gaju eukaliptusowym, gdzie wyrzucono je jak śmiecie. Rozkładające się i cuchnące, przesiąknięte mentolem. Kilka metrów od policyjnego podwórka.

Jakby nam grał na nosie.

Shahin. Jeszcze jedna nie tknięta ładna buzia, ponad ziejącą raną w szyi. Dziewiętnastolatka o grubych, lśniących, falujących włosach. Delikatne, przekłute uszy, brak kolczyków.

Jednakże w przeciwieństwie do dwóch poprzednich ofiar była mężatką. Jej mąż od wielu dni nachodził posterunek Kiszle i nie odstępował policjantów, błagając, by szukali jego żony.

– Byłej żony – szybko sprostował patrolujący policjant, Mustafa Habiba, opowiadając Danielowi swoją wersję historii, gdy ten przyszedł na posterunek. Po czym, spieszenie i nieproszony, przyniósł pakadowi filiżankę kawy po turecku oraz kawałek bakławy owiniętej w wytłuszczony papier. Arabski policjant był pozostałością po czasach jordańskiej okupacji, niewykszolony, dobiegający sześćdziesiątki i oczekujący na emeryturę od Żydów. Pozostawiono go na służbie, bo znał wszystkie boczne zaułki i ich mieszkańców oraz ze względu na to, że góra chciała zachować pozory ciągłości.

– Wyrzucał ją, a potem zmieniał zamiar i chciał, żebyśmy ratowali jego małżeństwo. Skąd mieliśmy wiedzieć, co się stało tym razem, pakad?

Habibie przydałoby się golenie, a jego mundurowi odprasowanie. Jego zarośnięta twarz wyrażała strach. Daniel zabrał go na komendę, gdzie Habiba zdawał się nie na miejscu w sterylnej pustce pokoju przesłuchań. Wyglądał jak przybysz z przeszłości.

Czterdzieści lat pobierania bakszyszków i wykpiwania się od roboty, okazując

biurokratyczną obojętność, pomyślał Daniel, a teraz jest przerażony, że ta sama obojętność okrutnie zwróci się przeciwko niemu.

– Nie mogliśmy wiedzieć – płaczliwie powtórzył Habiba.

– Nie mogliście – zgodził się Daniel. Miał dość jego przerażenia.

– Co by zmieniło, gdybyśmy jej szukali? – upierał się Habiba. – Gdy Rzeźnik chce kogoś, i tak go dopadnie.

Stary policjant mówił o zabójcy z nabożnym lękiem. Podziw zmieszany z pogardą dla policji. Uważa drania za jakiegoś nadczołowieka, demona – żydowskiego demona. Bezsilność – hołd oddawany złu – rozzłościła Daniela i musiał się powstrzymać, by nie zbesztać starego policjanta.

– Żebyśmy ratowali jego małżeństwo – mruknął Habiba. – Jesteśmy zbyt zajęci na takie bzdury.

Daniel opanował złość.

– Oczywiście, że tak. Może pan wracać do Kiszle. Nie trzeba, by śledztwo w sprawie morderstwa odciągało pana od pilnych spraw.

Habiba spurpurowiał.

– Nie chodziło mi o to, pakad...

– Nieważne. Wracajcie do Kiszle, oficerze Habiba. Bez obawy o waszą emeryturę.

Habiba chciał coś powiedzieć, ale uznał, że lepiej zamilczeć i wyszedł z pokoju.

Daniel spojrzął na zegarek. Szósta po południu. Żegnaj rodzinie, żegnaj szabacie. Mąż czekał w innym pomieszczeniu, pocieszany przez krewnych pod czujnym wzrokiem Chińczyka i Shmeltzera. Daniel usiłował coś z niego wyciągnąć, ale nieszczęśnik był zbyt roztargniony, niemal w stanie katatonicznym. Milczał jak zakłęty, poruszał jedynie rękami, drapiąc twarz do krwi. Jego nieczułość na ból zmroziła serce Daniela.

Może Daoud poradzi sobie lepiej. Lada chwila miał wrócić ze Starego Miasta. Gdy go stamtąd odwołano, nie potrafił ukryć radości, dumy, że uznano go za kogoś o specjalnych talentach. I ulgi, że nie musi śledzić Rosellego. Pora nie mogła być lepsza. Śledząc go wczorajszej nocy, dostarczył mu żelaznego alibi.

Daniel usiłował sobie wyobrazić Rosellego jako studenta *jesziwy* i zastanawiał się, jak długo mnich zostanie wierny swojej najnowszej kochance. Spartańskie warunki mieszkania i siedemnastogodzinny dzień pracy, których Buchwald wymagał od uczniów, mogły się okazać zbyt podobne do rygoru klasztorowego. Ale Daniel podejrzewał, że Roselli jest jednym z owych filozoficznych koników polnych, wciąż przeskakujących od jednej wiary do innej. Poszukiwaczem, który nigdy nie znajdzie tego, czego szuka, bo każdy powinien sam zapełnić własną pustkę. Nie załatwi tego za nas żaden rabbi, ksiądz ani mułła.

Co nie oznacza, że poszukiwacze zrezygnują z poszukiwań. Albo z oblegania Jerozolimy. Miasto działa jak psychiczny magnes, przyciągając z całego świata różnych Rosellich oraz tych, którzy obiecują im zbawienie. Podczas pierwszego spotkania Pod Gwiazdą Shmeltzer skarżył się na napływ fanatyków i czubków, jakby to było coś nowego. A przecież Jerozolima zawsze przyciągała takich ludzi. Pielgrzymi i samobiczujący się, krzyżowcy i fałszywi mesjasze, wizjonierzy, derwisze, szarlatani. Gotowi wycisnąć krew z każdego kamienia, ujrzeć płomienie, liżące każdy nagrany słońcem meczet.

Poszukiwacze. Niektórzy z nich ponad wszelką wątpliwość szaleni. Inni balansujący na skraju szaleństwa. Jednak na przekór im wszystkim miasto przetrwało niejedną zagładę i odrodzenie. A może właśnie dzięki nim.

Szaleni, ale nieszkodliwi, poszukujący równowagi wewnętrznej.

W przeciwieństwie do morderczego, dybiącego na zdobycz, prześmiewczego potwora, którego ścigali.

Bestia na autostradzie.

Nieład, wewnętrzna zapaść, piekło na ziemi – oto, czego łaknął.

Daniel poprzysiągł sobie, że wyśle go na krzesło elektryczne.

Siedział przed wizjerem udającym lustro i przyglądał się Daoudowi prowadzącemu przesłuchanie. Jeżeli nawet Abdin Barakat zdawał sobie sprawę, że jest obserwowany, nie dawał tego po sobie poznać.

Arabski detektyw uciekał się do wszelkich sposobów: autorytet, współczucie, cierpliwość, apelowanie do uczuć męzkowskich i jego potrzeby schwywania mordercy, by pomścić śmierć żony. Ale bezskutecznie: Barakat całkowicie się od niego odciął, tak samo jak przedtem od Daniela.

Jeżeli jego smutek był proporcjonalny do oddania, żaden mężczyzna nigdy nie kochał kobiety bardziej, niż Abdin Barakat kochał swoją Shahin. Jego smutek był niemy, ale przez to jeszcze silniejszy. Daniel nigdy nie słyszał równie wymownej opery tragicznej.

Wygląda jak trup, pomyślał Daniel. Zapadnięte policzki, nieruchoma, pozbawiona życia twarz, matowe oczy, zapadnięte w ciemnych oczodołach. Cera biała, jak wybielone bandaże.

Młody człowiek zmumifikowany przez cierpienie.

Osiem lat starszy niż Shahin, ale i tak wciąż młody. Wysoki, szczupłej budowy, o źle ostrzyżonych włosach, popękanych paznokciach i w poplamionym ubraniu robotnika.

Ślusarz, pracujący w jednym ze straganów na Starym Mieście. Naprawa garnków i patelni, firma rodzinna. Ojciec był szefem i właścicielem. Przez cztery lata po ślubie mieszkali z żoną w dwóch izbach nielegalnie dobudowanych na najwyższym piętrze siedziby rodzinnej w dzielnicy mużulmańskiej. Miejsce do gotowania i mała sypialnia dla Abdina i Shahin. Ich imiona się rymowały, co nasuwało myśl o harmonijnym współżyciu. Czegoż, poza dziećmi, mogli więcej pragnąć?

Daniel był pewien, że przyczyną rozvodu stał się brak potomstwa. Cztery jałowe lata wyczerpały cierpliwość rodziny Abdina. Muzułmanie uważają, że z bezpłodnej kobiety nie ma żadnego pożytku, co sprawia, że mężczyzna może się od niej bardzo łatwo uwolnić: *talaq*, słowne doniesienie, wystarczy do rozpoczęcia procesu. Trzy doniesienia i zerwanie jest ostateczne.

W pomieszczeniu za lustrem Barakat zaczął płakać. Początek załamania. Daoud podał mu chusteczkę. Barakat chwycił ją, załkał głośniej, usiłował się opanować, ale bez skutku. Ukrył twarz w dłoniach i zaczął się kołysać w przód i w tył. Cały czas kręcił przecząco głową.

Daoud wyjął następną chusteczkę i spróbował jeszcze raz.

Cierpliwość się opłacała. Po dwóch godzinach słuchania, podawania chusteczek i łagodnego namawiania, Daoud zmusił Barakata, by zaczął mówić. Cicho, lecz gwałtownie, nieomal histerycznie.

Niewielkie zwycięstwo. Arabski detektyw zdawał sobie z tego sprawę. Wypytywał go, stosując język ciała, nachylając się tak blisko, że mogliby się pocałować, kładąc mu dłonie na ramionach, dotykając kolanami jego kolan. Krzycząc na cały głos, tak jakby w małym pomieszczeniu istnieli tylko pytający i przepytywany.

– Kiedy widział ją pan po raz ostatni, panie Barakat?

Barakat wpatrywał się w podłogę.

– To ważne. Niech pan sobie przypomni, panie Barakat.

– W po-poniedziałek.

– Ostatni poniedziałek?

– Tak.

– Jest pan pewien?

– Tak.

– Nie w niedzielę ani we wtorek?

– Nie. Poniedziałek to dzień... – Barakat wybuchnął płaczem i znów ukrył twarz w dłoniach.

Daoud spojrzał ponad nim, przez lustro, na Daniela, uniósł brwi i wskazał dłonią

magnetofon. Cierpliwie czekał, aż łkania ucichną.

– Panie Barakat, co to za dzień, poniedziałek?

– W poniedziałek było... po wszystkim.

– Po czym?

Brak odpowiedzi.

– Po trzecim *talar*? – podsunął mu Daoud.

– Tak – odparł Barakat ledwie dosłyszalnym głosem.

– W poniedziałek było po rozwodzie?

Skinienie głową, łzy, nowe chusteczki.

– Shahin miała odejść z waszego domu w poniedziałek?

– Tak.

– Dokąd planowała się udać?

– Nie wiem – odpowiedział, nie odsłaniając twarzy.

– Gdzie mieszka jej rodzina?

– Nie ma rodziny. Tylko matkę w Nablusie.

– A ojciec?

– Nie żyje.

– Kiedy umarł?

– Wiele lat temu. Jeszcze przed... – Łzy spływające po zapadniętych policzkach, lśniące na śladach po rozdrapaniu.

– Jeszcze przed waszym ślubem?

– Tak.

– A bracia albo siostry?

– Nie miała sióstr ani braci.

– Była jedynaczką? Nie było w rodzinie żadnego mężczyzny? – Ton Daouda był pełen niedowierzania.

– Tak. Wielka hańba. – Barakat wyprostował się na krześle. – Jej matka nie mogła donosić ciąży, bezużyteczne organy, wciąż choroby kobiece. Mój ojciec powiedział...

Barakat zamilkł w pół zdania i odwrócił twarz od detektywa. Jedną dłonią wodził w roztargnieniu po podrapanej twarzy.

– Co powiedział pański ojciec?

– Że... – Barakat pokręcił głową i spojrzał wzrokiem skopanego psa.

– Powiedz mi, Abdin.

Minęła dłuższa chwila.

– Nie ma powodu, żeby wstydzić się za słowa ojca – zachęcał go Daoud.

Barakat zadrżał.

– Mój ojciec powiedział... powiedział, że łądzwie matki Shahin były przeklęte, że była nawiedzona przez ducha... przez dzina. Powiedział, że Shahin też została przeklęta. Że wiano zostało zdobyte podstępem.

– Przez dzina.

– Tak. Jedna z moich ciotek jest *kodia*, ona to potwierdziła.

– Czy ciotka usiłowała wypędzić z niej dzina? Uderzała w cynowy bębenek?

– Nie, było za późno. Powiedziała, że opętanie jest zbyt silne, i zgadzała się z moim ojcem, że należało odesłać Shahin. Jako córka ona też była dotknięta. Owoc zepsutego drzewa.

– Oczywiście – zgodził się Daoud. – To ma sens.

– Przed ślubem nikt nam nie powiedział o dzinie – powiedział Barakat. – Zostaliśmy oszukani, mówi mój ojciec. Staliśmy się ofiarami.

– Twój ojciec jest dobrym biznesmenem – rzekł Daoud. – Zna się na wartości towaru.

Daniel wyczuł w jego tonie sarkazm i zastanawiał się, czy Barakat także to usłyszy. Ale

młody człowiek tylko skinął głową. Zadowolony, że ktoś to rozumie.

– Mój ojciec chciał pójść do *waaf* – powiedział. – Żeby nas rozsądził i zażądał posagu od jej matki. Ale wiedział, że to na nic. Starowina nic już nie miała, zaszła za daleko.

– Gdzie zaszła?

– Tutaj. – Barakat stuknął się w czoło. – Dżin umiejscowił się w głowie, nie tylko w łędźwiach. – Wyprostował się, bardziej pewny siebie i wyzbyty poczucia winy. Sięgnął po szklankę z wodą, której do tej chwili nawet nie tknął.

Widząc zmianę, jaka w nim nastąpiła, Daniel pomyślał: pokrył smutek warstewką oburzenia. Tymczasowa łatanina.

– Jej matka jest szalona? – zapytał Daoud.

– Całkowicie. Ślini się, jąka, nie umie zachować czystości. Ma celę w jakimś przytułku!

– Gdzie jest ten przytułek?

– Nie wiem. Gdzieś na peryferiach Nablus.

– Shahin nigdy jej nie odwiedzała?

– Nie. Ja jej zabroniłem. Zarażenie... Wystarczy jeden defekt. Cała linia jest przeklęta. Nieuczciwie zdobyła posag!

Daoud skinął głową ze zrozumieniem i nalał Barakatowi więcej wody. Gdy młody człowiek się napił, Daoud powrócił do wypytywania, starając się dowiedzieć, dokąd Shahin mogła pójść Po wyrzuceniu z domu. Pytał o przyjaciółki i znajomych, którzy mogli ją do siebie przyjąć.

– Nie. Nie miała żadnych przyjaciółek. Shahin całymi dniami siedziała sama w domu i nie chciała mieć nic wspólnego z innymi kobietami.

– Dlaczego?

– Przeszkadzały jej ich dzieci.

– Nie lubiła dzieci?

– Na początku lubiła. Potem się zmieniła.

– Jak?

– Dzieci przypominały jej, że ma defekt. Zrobiła się złośliwa. Złościły ją nawet dzieci moich braci. Mówiła, że są źle wychowane. Pełzają po niej jak insekty.

Rozgniewana, samotna kobieta, pomyślał Daniel. Żadnych Przyjaciółek. Pozbawiona poczucia bezpieczeństwa, które dawał jej mąż, stała się bezsilna jak Fatma i pozbawiona korzeni jak Juliet.

Rzeźnik wybiera słabe.

Ale gdzie się pasie stado?

– Powróćmy do poniedziałku – powiedział Daoud. – Q której godzinie widziałeś ją po raz ostatni?

– Nie wiem.

– W przybliżeniu.

– Rano.

– Wczesnym rankiem?

Barakat zamyślił się, stukając paznokciem w zęby.

– Wychodzę do pracy o ósmej. Wtedy jeszcze była... – Słowa zamarły mu w gardle. Nagle znów zaczął płakać. Konwulsyjnie.

– Była jeszcze co?

– O Allachu, pomóż mi! Ja nie wiedziałem. Gdybym wiedział, nigdy bym...

– Co robiła, gdy wychodziłeś do pracy? – Daoud przyciskał go łagodnie, ale stanowczo.

Barakat wciąż płakał.

– Cicho już, cicho.

Barakat uspokoił się.

– A teraz, Abdin, powiedz mi, co robiła, gdy widziałeś ją po raz ostatni.

Barakat wymamrotał coś niezrozumiałego.

Daoud pochylił się niżej.

– Co?

– Ona... O litościwy Allachu! Ona sprzątała!

– Co sprzątała?

Łkanie.

– Co sprzątała, Abdin?

– Kuchnię. Myła naczynia! Po moim śniadaniu!

Po tym wyznaniu Barakat znów się zamknął w sobie. Przypominał manekin, nie człowieka. Odpowiadał na pytania Daouda, ale pobieżnie, chrząkając, pomrukując, wzruszając ramionami i kręcąc głową, gdy tylko mógł tym zastąpić słowa. Bąkając monosylabami, gdy było to konieczne. Wyciąganie z niego odpowiedzi było ciężką pracą, ale Daoud nie dawał za wygraną, wciąż wałkując ten sam temat, wracając do przyczyny, która spowodowała rozwód z Shahin.

– Czy kiedykolwiek starała się naprawić swój defekt? – Specjalnie sformułował pytanie tak, jakby odpowiedzialność spoczywała wyłącznie na barkach kobiety.

Skinienie.

– Jakie podjęła kroki?

– Modlitwę.

– Modliła się. Sama?

Skinienie.

– Gdzie?

– Al Akcza.

– Inni także się za nią modlili?

Skinienie.

– Kto?

– Mój ojciec uprosił *waqf*. Spotkali się ze starymi prawymi mężczyznami.

– Żeby się modlić za Shahin?

Skinienie.

– I...

– I co?

Barakat znów zaczął płakać.

– O co chodzi, Abdin?

– Ja... ja także się za nią modliłem. Nocami recytowałem sury z Koranu. Śpiewałem *zikr*, aż zemdlałem. Allach zamknął przede mną uszy. Jestem niegodzien.

– To musiał być silny dżin – powiedział Daoud.

Dobrze gra swoją rolę, pomyślał Daniel. Wiedział, co chrześcijanie sądzą na temat muzułmańskich duchów.

Barakat zwiesił głowę.

Daoud spojrział na zegarek.

– Chcesz jeszcze wody, Abdin? Czy coś do jedzenia?

Pokręcił głową.

– Czy Shahin była kiedyś u lekarza?

Skinienie.

– U jakiego lekarza?

– Zielarza.

– Kiedy?

– Rok temu.

– A potem już nie?

Zaprzeczenie.

- Jak się nazywa ten zielarz?
- Profesor Mehdi.
- Profesor Mehdi z ulicy Ibn Sina?

Skinienie.

Daoud zmarszczył czoło, podobnie jak Daniel za lustrem. Mehdi był znachorem i przeprowadzał nielegalne aborcje. Kilka razy aresztowano go za oszustwa i wypuszczano, gdy władze miasta wzięły na serio zarzuty jego adwokata o nękanii innych narodowości.

- Co zalecił profesor Mehdi?

Wzruszenie ramionami.

- Nie wiesz?

Przeczący ruch głową.

- Nie powiedziała ci?

Barakat wyrzucił ręce w górę, a potem je opuścił.

- Wziął ode mnie pieniądze, ale nie pomógł. Po co to wszystko?

- Poszła do lekarza medycyny?

Skinienie.

- Przed czy po profesorze Mehdim?

- Po.

- Kiedy?

- Miesiąc temu. A potem jeszcze raz.

- Kiedy?

- Zanim... – Barakat przygryzł wargi.

- Zanim odeszła?

Skinienie.

- Kiedy, przed odejściem?

- W niedzielę.

- Poszła do lekarza na dzień przed odejściem?

Skinienie.

- Poszła na kurację?

Barakat wzruszył ramionami.

- Po co tam poszła?

Napięcie, wzruszenie ramion.

Daoud także zeszytniał, wyglądał, jakby chciał udusić Barakata. Bębniąc palcami o stół, odchylił się na oparcie krzesła, zmuszając się do zachęcającego uśmiechu.

- Była u lekarza na dzień przed odejściem, ale ty nie wiesz, po co.

Skinienie.

- Jak się nazywa ten lekarz?

- Nie wiem.

- Zapłaciłeś za wizytę?

Przeczący ruch głowy.

- Kto zapłacił lekarzowi, Abdin?

- Nikt.

- Lekarz przyjął Shahin za darmo?

Skinienie.

- Wyświadczył jej przysługę?

Przeczenie.

- Więc dlaczego?

- Lekarz z ONZ. Ona miała kartę uchodźcy. Mogła tam pójść za darmo.

Daoud przysunął swoje krzesło bliżej do Barakata.

- Gdzie jest gabinet tego lekarza z ONZ?

– To nie gabinet. To szpital.

– Który szpital, Abdin?

W tonie detektywa pojawiło się napięcie i Barakat dobrze je słyszał. Wcisnął się w krzesło, kuląc się przed Daoudem. Przybrał minę skrzywdzonego, oznaczającą: „Robię, co mogę”.

– Jaki szpital? – zapytał Daoud głośno. Zerwał się na nogi i przestał udawać cierpliwość.

– Duży różowy – szybko powiedział Barakat. – Duży różowy na szczycie Scopus.

ROZDZIAŁ 56

Pacjenci Amelia Catherine zaczęli się schodzić o wpół do dziesiątej. Najpierw grupka mężczyzn, którzy nadeszli pieszo z miasta. Zia Hadżab mógł ich zacząć od razu wprowadzać do środka, ale zmusił ich do czekania przy łukowatym wejściu na teren, podczas gdy sam popijał słodką mrożoną herbatę i ocierał pot z czoła, siedząc na swoim krześle.

W taki upał nikt go nie będzie popędzał.

Oczekujący mężczyźni również odczuwali upał, spacerowali, by się nie spiec, krzywili się i przesuwali palcami paciorki różańców. Większość z nich nosiła oczywiste znamiona choroby lub kalectwa: zabandażowane lub ujęte w łubki kończyny, pozszywane rany, zainfekowane oczy, porozrywana skóra. Kilku z nich sprawiało wrażenie zdrowych, prawdopodobnie symulanci, którzy przyszli po pigułki, aby je potem odsprzedać; czysty zysk przy opłatach, które tu wnosili.

Jeden z mężczyzn podniósł szatę i oddał mocz na mur szpitala. Kilku innych zaczęło gderać. Dozorca nie zwracał na nich uwagi, westchnął i napił się chłodnej herbaty.

Płacą tak niewiele, że mogą poczekać.

Dopiero dziesiąta, a upał już rozpalał wnętrze Hadżaba. Powachlował się gazetą, zaglądając do szklanki. Na powierzchni herbaty unosił się kawałek lodu. Przechylił szklankę tak, aby lód wpadł mu pomiędzy zęby. Delektował się uczuciem chłodu, a potem umieścił lód na języku.

Obejrzał się na dźwięk silnika diesla. Przed szpital zajechała ciężarówka UNRWA, jedna z tych z Nablus, i zatrzymała się przy frontowych drzwiach. Kierowca wysiadł i opuścił klapę przyczepy, wypuszczając dwudziestu lub trzydziestu mężczyzn, którzy dołączyli do pieszych przybyszów z miasta. Obie grupy zmieszały się, tworząc tłum niezadowolonych. Narzekania przybrały na sile.

Hadżab podniósł z ziemi wykaz chorych, wstał i stanął wśród ludzi. Gromada godna politowania.

– Kiedy będziemy mogli wejść, proszę pana? – zapytał bezzębny starzec.

Hadżab uciszył go wzrokiem.

– Dlaczego czekamy? – zapytał inny. Młodszy, o zuchwałej twarzy, rozbieganych oczach i pokrytych strupami powiekach. – Przejechaliśmy kawał drogi z Nablus. Musi nas zbadać lekarz.

Hadżab uniósł dłoń i spojrzął na wykaz. Siedemdziesięciu pacjentów wyznaczonych na Sobotnią Klinikę Mężczyzn, nie licząc tych, którzy przyjdą bez umówionej wizyty albo będą się usiłować wdrzeć na podstawie nieważnych już kart uchodźców lub bez kart. Pracowita upalna sobota, ale czwartki bywały jeszcze gorsze. Wtedy przychodziły kobiety, całe ich stada, trzy razy więcej pacjentek niż pacjentów. Kobiety były słabe psychicznie, wykrzykiwały: „Nieszczęście!” przy byle schorzeniu. Gdakały i skrzeczały jak sroki, pod koniec dnia głowa Hadżaba pękała z bólu.

– Niechże pan nas wpuści – powiedział ten z chorymi oczami. – Mamy jakieś prawa.

– Cierpliwości – powiedział Hadżab, udając, że studiuje wykaz. Naśladował pana

Baldwina, dobry administrator musi pokazać, kto tu rządzi.

Mężczyzna z laską przysiadł na ziemi. Inny pacjent spojrział na niego i powiedział:

– *Sehhetak bel donja*. Zdrowie jest najważniejsze. – Przytaknął mu chór głosów.

– Wystarczy, że jesteśmy chorzy – powiedział Rozbiegane Oko. – A tu jeszcze lekceważą nas gryziopiórki.

W tłumie zawrzało. Rozbiegane Oko podrapał się po tyłku i otworzył usta, by coś dodać.

– No, dobrze – rzekł Hadżab, podciągając spodnie i wyjmując pióro. – Przygotujcie karty.

Skończył przyjmowanie pierwszej grupy, gdy nadjechała druga ciężarówka, tym razem z Hebronu, i zaczęła wspinaczkę drogą z południowego wschodu. Jej silnik kichał, rzeził przy zmianie biegów, prawdopodobnie wymagała niejednej naprawy. Hadżab chętnie by się nią zajął, pokazałby, co potrafi zdziałać za pomocą Iducza i śrubokręta, ale to już przeszłość. *Al maktoub*.

Ciężarówka z Hebronu z trudem wjeżdżała na szczyt Scopus. Gdy tak się chwiała i podskakiwała, z przeciwnej strony, od campusu żydowskiego uniwersytetu, nadjechał biały dwudrzwiowy subaru i zatrzymał się przy drodze do Amelia Catherine. Turysta, pomyślał Hadżab, zauważywszy tablice wypożyczonego samochodu i żółtą nalepkę „Hertz” na tylnej szybie.

Drzwi samochodu otworzyły się, wysiadł z niego duży facet w ciemnym garniturze i ruszył w kierunku Amelia Catherine. Na jego pierś padły promienie słoneczne i odbiły się w czymś błyszczącym. Aparaty fotograficzne, z całą pewnością turysta. Dwa aparaty na długich paskach. Wyglądały na kosztowne, duże, czarne, chromowane, z wielkimi obiektywami, które sterczały jak nosy.

Facet stanął na środku drogi, nie zwracając uwagi na zbliżającą się ciężarówkę, pomimo hałasu, jaki robiła. Zdjął osłonę z obiektywu jednego z aparatów i zaczął fotografować szpital.

Hadżab zmarszczył czoło. Takich rzeczy po prostu się nie robi. Nie bez opłaty. Na rzecz Hadżaba.

Wstał z krzesła, otarł usta i zrobił krok naprzód, zatrzymał się na widok ciężarówki z Hebronu, która minęła szczyt i jechała prosto na faceta z aparatami, który nie przestawał pstrykać – co on, głuchy, czy jak?

Kierowca ciężarówki spostrzegł go późno, nacisnął na hamulce, które zapiszczały jak przerażone kozły – jeszcze jedna praca dla dobrego mechanika – i zaczął trąbić. Facet z aparatami podniósł wzrok, pomachał dłonią, jak jakiś zapóźniony w rozwoju, i zszedł z drogi. Kierowca zatrąbił jeszcze raz, już tylko dla zasady. Facet z aparatami uklonił się i zaczął biec. Prosto w stronę Hadżaba.

Gdy się zbliżył, Hadżab stwierdził, że to Japończyk. Bardzo duży i szeroki jak na Japończyka, ale bez wątpienia Japończyk. Z głupkowatym uśmieszkiem turysty, w źle skrojonym garniturze, z szerokim uśmiecchem, w okularach z grubymi szklami i przylizanymi włosami. Aparaty wisiały na nim jak części ciała – japońskie noworodki przychodziły chyba na świat z przyczepionymi aparatami.

Oni byli najlepsi, ci Japończycy. Bogaci, wszyscy co do jednego, i naiwni. Łatwo ich było przekonać, że opłata jest obowiązkowa. Hadżab pozował dla japońskiej grupy w zeszłym miesiącu i zainkasował po pięć dolarów od każdego z nich. Pieniądze te nadal trzymał w puszcze po kawie pod łóżkiem w Ramallah. Pod własnym łóżkiem.

– Nie wolno fotografować – powiedział stanowczo, po angielsku.

Japończyk uśmiechnął się i uklonił, wycelował aparat w różane krzewy pod łukiem, pstryknął zdjęcie i ustawił obiektyw na drzwi frontowe.

– Nie, nie, nie może pan tutaj fotografować – powiedział dozorca, stając pomiędzy Japończykiem a drzwiami i machając palcem przed wielką żółtą twarzą. Japończyk uśmiechnął się szerzej, nie rozumiejąc. Hadżab szukał w pamięci angielskich słów i przypomniał sobie jedno, którego nauczył go pan Baldwin: – Zabronione!

Japończyk rozdziawił usta, pokiwał głową i uklonił się. Wycelował obiektyw aparatu, Nikon, i nastawił ostrość na Hadżaba. Nikon pstryknął i zaszumiał.

Hadżab zaczął coś mówić. Jego uwagę przykuł na chwilę odgłos otwieranej kłapy w ciężarówce z Hebronu i stukot, gdy uderzyła o asfalt. Japończyk nie przejął się łoskotem i uwiecznił Hadżaba.

– Nie. Nie. – Hadżab kręcił przecząco głową.

Japończyk patrzył na niego. Wypuścił jeden aparat i chwycił drugi. Ciężarówka z Hebronu odjechała.

– Nie – powtórzył Hadżab. – Zabronione!

Japończyk uśmiechnął się, uklonił i zaczął przyciskać migawkę drugiego aparatu.

Idiota. Może „nie” znaczy „tak” w ich języku, chociaż ci z zeszłego miesiąca zrozumieli. A może ten jest po prostu uparty.

Zbyt duży, by go zastraszyć, uznał Hadżab. Najlepsze, co może zrobić, to przerwać mu fotografowanie i odegrać małą pantomimę z pomocą portfela.

Powiedział, zwracając się do tego idioty:

– ONZ mówi, że trzeba płacić za zdjęcia. – Włożył rękę do wewnętrznej kieszeni, ale w przedstawieniu przeszkadzili mu pacjenci z Hebronu, kuśtykający do wejścia.

Agresywna grupa, przeszli obok, nie pokazując kart. Typowe zwierzęta z Hebronu. Gdziekolwiek się pojawili, stwarzali problemy.

– Zaczekajcie – zawołał Hadżab, podnosząc dłonie.

Pacjenci parli naprzód, nie zwracając na niego uwagi. Otoczyli dużego Japończyka i, z mieszaniną zainteresowania i nieufności, przyglądali się, jak robi zdjęcia.

– Karty – zażądał Hadżab, rozstawiając ręce, by nie przepuścić żadnego z nich. – Musicie pokazać karty! Lekarze nie przyjmą was bez kart.

– Przyjął mnie w zeszłym miesiącu – powiedział jeden z mężczyzn. – Mówił, że karta nie jest konieczna.

– A teraz jest konieczna. – Hadżab odwrócił się do Japończyka i chwycił go za ogromne ramię. – Przestać. Żadnych zdjęć.

– Niech robi zdjęcia – wybełkotał mężczyzna z obandażowaną szczęką i opuchniętymi ustami. Uśmiechnął się do Japończyka i powiedział po arabsku: – Zrób mi zdjęcie, złoty bracie.

Łobuzy z Hebronu zarechotały.

– I mi.

– Mnie też. Chcę zostać gwiazdą filmową!

Japończyk pstrykał migawkę za migawkę.

Hadżab targał mężczyznę za ramię, które było twarde jak blok wapienia i równie odporne.

– Nie, nie! Zabronione, zabronione!

– Dlaczego nie wolno mu fotografować? – zapytał jeden z pacjentów.

– Przepisy ONZ.

– Zawsze jakieś przepisy! Głupie przepisy!

– Zapomnij o przepisach! Wpuść nas do szpitala, jesteście chorzy!

Kilku pacjentów parło naprzód. Jednemu z nich udało się wyminąć Hadżaba. Dozorca krzyknął:

– Stać! – i spryciarz się zatrzymał. Przygarbiony mały facecik z pobladłą cerą i przerażoną twarzą. Pokazał na gardło i brzuch.

– Karta? – powiedział Hadżab.

– Zgubiłem – z trudem wycharczał człeczyna, trzymając się za brzuch.

– Bez karty lekarz cię nie przyjmie.

Mężczyzna jęknął z bólu.

– Wpuść go! – krzyknął ktoś. – Zwymiotował w ciężarówce, całą zasmrodził.

– Wpuść i mnie, ja także zwymiotowałem – odezwał się głos z tłumu.

– I ja. Mam biegunkę.

Śmiechy i sprośne dowcipy.

Japończyk uznał, że śmieją się z jego powodu; na każdy żart reagował przyciśnięciem migawki.

Istny cyrk, pomyślał Hadżab, a wszystko z powodu tej mały z aparatem. Wyciągnął rękę, by wyrwać Japończykowi nikon, a kilku awanturników dopadło drzwi.

– Przestań fotografować! – powiedział. – Zabronione!

Japończyk uśmiechnął się i wciąż pstrykał.

Do drzwi zmierzało coraz więcej pacjentów. Żaden z nich nie fatygował się, by okazać kartę.

Pstryk, pstryk.

– Zabronione!

Japończyk przestał, opuścił aparat na szeroką pierś.

Pewnie wypstrykał cały film, pomyślał Hadżab. Za nic nie pozwoli mu włożyć nowego filmu na terenie szpitala.

Ale zamiast sięgnąć do kieszeni po następny film, Japończyk wyciągnął rękę, by uścisnąć dłoń Hadżaba.

Hadżab podał mu rękę i szybko ją cofnął, a potem odwrócił dłonią do góry:

– Dwadzieścia dolarów, amerykańskich. Przepisy ONZ.

Japończyk znów się uśmiechnął, uklonił i odszedł.

– Dwadzieścia dolarów – roześmiał się przechodzący obok pacjent.

– Dwadzieścia dolarów. Za co, za pocałunek? – dodał inny.

W pierwszej chwili Hadżab miał zamiar pobiec za nimi, ale zrezygnował. Japończyk znów stanął na środku drogi, z kieszeni marynarki wyjął trzeci aparat, mniejszy, i zrobił jeszcze trochę cholernych zdjęć, wreszcie wsiadł do subaru i odjechał.

Prawie wszyscy pacjenci z Hebronu dotarli do drzwi. Zaledwie kilku łazęgów wlokło się jeszcze, utykając drobnymi krokami.

Hadżab wrócił na swoje krzesło. W tak upalny dzień nie warto marnować energii. Usadził dupsko na cienkim plastiku i otarł pot z czoła. Jeżeli wewnątrz zacznie się piekło, to nie jego problem.

Odchylił się na oparcie, wyprostował nogi i pociągnął długi łyk herbaty. Rozłożył gazetę i zaczął studiować ogłoszenia o sprzedaży używanych samochodów. Zapomniał o otoczeniu, zapomniał o Japończyku i o żartach symulantów. Nie zwracał już uwagi na kuśtykających maruderów i nie zauważył dwóch nowych, którzy nie przyjechali ciężarówką. Którzy wyłonili się, korzystając z zamieszania wywołanego przez Japończyka, z gęstych pinii, rosnących za terenem szpitalnym.

Mieli na sobie długie, ciężkie szaty i zwisające burnusy, które zasłaniały ich twarze. I choć nikt nie żądał, by okazali swoje karty, mieli w kieszeniach karty uchodźców, podobne do wydanych przez UNRWA. Niezłe kopie, wydrukowane przed kilku godzinami.

Wewnątrz rzeczywiście zaczęło się piekło. Klimatyzacja wysiadła, zmieniając budynek w łaźnię parową. Dwóch lekarzy nie przyszło. Pacjentów przyjmowano z godzinnym opóźnieniem, a było ich wielu, chorych i pokiereszowanych. Nie mieścili się w poczekalni, więc stali, siedzieli i opierali się o ściany korytarza.

Nieruchome powietrze nasiąkało wonią nie mytych ciał i chorobami. Nahum Shmeltzer zajął pozycję przy północnej ścianie i patrzył na przechodzących lekarzy, pielęgniarki i pacjentów.

Małe, doklejone wąsiki były dziwaczne, tkwiły nad ustami jak kawałek plastra. Nie ogolił się i nie umył, więc czuł się równie brudny jak inni. Na domiar złego szaty, które otrzymał w Latam, były szorstkie jak włosienica i ciężkie jak ołów. Nahum pocił się jak chory człowiek

i wstrząsały nim dreszcze.

Jedyną pociechę stanowiło wspomnienie uśmiechu, jaki ten kostium wywołał na twarzy Ewy. Shmeltzer zabrał ją z Hadassah i zawiózł do domu, usiłował namówić, by coś zjadła, a potem trzymał w ramionach przez cztery godziny, zanim zasnął, wiedząc, że ona nie zmruży oka przez całą noc, czekając na telefon. Stary człowiek dogorywał; Eva chciała na czas wrócić do szpitala i być przy nim w chwili śmierci.

A jednak gdy Shmeltzer wstał o piątej i przebrał się za Araba, kącki jej ust uniosły się na chwilę, krótką chwilę, ale dobre i to... Pal licha, że było mu niewygodnie.

Z tego, co zauważył, Daoud nie miał takich kłopotów. Arab stał po przeciwnej stronie holu, wtopiony w otoczenie, świeży jak poranek. Od czasu do czasu spoglądał na Shmeltzera. Opierał się plecami o drzwi archiwum i czekał na sygnał, by nieznacznie poruszyć rękami.

Na tyle nieznacznie, że nikt tego nie zauważał. Pracowite dłonie i nieruchoma twarz.

Może Arabowie nie przejmują się w takich sytuacjach, pomyślał Shmeltzer. Gdyby można było im zaufać, świetnie nadawaliby się na tajniaków.

Arabowie. Otoczony przez Arabów. Z wyjątkiem obozu pracy w 1948 roku, nigdy nie przebywał z tyloma naraz.

Gdyby wiedzieli, kim jest, rozdarliby go na strzępy. Beretta wystrzelałaby kilku z nich, ale nie wszystkich. Co nie znaczy, że obawia się, że go rozpoznają. Przejrzał się w lustrze po charakterystyce zdumiony, że tak doskonale wygląda. Ahmed ibn Shmeltzer.

Ktoś zapalił papierosa. Inni poszli w jego ślady. Facet stojący obok szturchnął go i spytał, czy ma fajki. Chociaż amerykańska pielęgniarka, Cassidy, dwukrotnie zwracała uwagę, głośno i w kiepskiej arabszczyźnie, że nie wolno palić.

Arabowie zlekceważyli ją; babskie gadanie, z równym skutkiem mógłby porykiwać osioł.

– Masz fajki? – spytał sąsiad, znów go szturchając.

– Nie mam – odparł Shmeltzer po arabsku.

Pielęgniarka Cassidy znów wyjrzała na korytarz i wywołała nazwisko. Jakiś żebrak o kulach chrząknął i zaczął się przepychać w jej stronę.

Shmeltzer przyglądał się pielęgniarce, gdy prowadziła kalekę do gabinetu. Płaska jak decha, ani śladu piersi, żadnych bioder. Typ wysuszonej cipy, wykorzystywanej przez oślizgłych szejków w rodzaju Al Bijadięgo.

Po chwili z innego gabinetu wyszedł sam szejek. Cały odprasowany i nieskazitelny w białym kitlu. Spojrzał pogardliwie na tłum pacjentów, odsunął mankiet i odsłonił lśniący złoty zegarek.

Białą łabędź wśród ubłoconych kaczek, pomyślał Shmeltzer, i zdaje sobie z tego sprawę. Śledził wzrokiem Al Bijadięgo, który sunął korytarzem w stronę archiwum. Daoud na czas odstąpił od drzwi, usiadł na podłodze i udawał, że śpi.

Al Bijadi otworzył drzwi kluczem. Arogancki gnojek, co on tutaj robi, pracując jako wolontariusz, zamiast wynająć sobie gabinet w Ramallah lub przy dobrej ulicy we Wschodniej Jerozolimie? Po co się zniża do cuchnących nędzarzy, kiedy mógłby robić wielkie pieniądze, przyjmując rodziny bogaczy lub lecząc zamożnych turystów w Intercontinental Hotel.

Z zebranych na jego temat informacji wynikało, że jest playboyem o kosztownych wymaganiach. Nie pasował na filantropa. Chyba że kierował nim ukryty motyw.

Jak dostęp do ofiar.

Dani miał teorię, że Rzeźnik jest psychopatą z czymś ekstra, rasistą macającym pomiędzy Żydami i Arabami. Shmeltzer nie był o tym przekonany, ale jeśli tak było, świadczyło to przeciw Al Bijadięmu, który doskonale nadawał się na Rzeźnika. Shmeltzer powiedział to podczas spotkania zeszłej nocy. Nikt się z tym nie zgodził, ale też nikt nie zaprzeczył.

Ale on przecież pasował, gówniarz, łącznie z tym jego pobytem w Ameryce.

„Dziesięć lat temu, Nahum”, Dani miał obiekcje. Ich typowy spór.

„Skąd wiesz?”

„Sprawdziliśmy dane w biurze paszportowym”.

Dziesięć lat. O cztery lata za późno, by dopasować go do dwóch morderstw z komputera FBI.

Ale Shmeltzer nie miał zamiaru tak łatwo zrezygnować z drania. Zanim się zainstalował w Detroit, w stanie Michigan, na studia, Al Bijadi mieszkał w Ammanie, gdzie uczył się w ekskluzywnej szkole z internatem, tej samej, którą ukończyły dzieci Husajna. Taki bogaty dzieciak z łatwością mógł kursować między Jordanem a Ameryką jako turysta, posługując się paszportem jordańskim. Wszystkie podróże, które odbył przed powrotem do Izraela, nie zostały odnotowane w tutejszych aktach.

Jednak Amerykańskie Biuro Imigracyjne będzie je miało w swoim archiwum. Dani zgodził się skontaktować z biurem, chociaż zdobycie takich informacji potrwałoby wiele tygodni, a nawet miesięcy.

Na razie jednak doktor Hassan Al Bijadi wydawał mu się podejrzany. Mocno podejrzany.

Nie było powodu, by koniecznie wiązać tutejszego Rzeźnika z amerykańskimi zabójstwami. Podobieństwo, aczkolwiek bardzo duże: pieczary i heroina, mogło stanowić czysty zbieg okoliczności. Ale może pewne typy maniaków posługują się podobnymi metodami. Jakiś wspólny rys psychologiczny każe zarzynać kobiety i patroszyć je w podobny sposób, a potem wyrzucać je do jaskiń. Czarnoskóry przyjaciel Daniela powiedział, że podobieństwo jest zbyt silne, by było przypadkowe. Amerykański detektyw znał się na rzeczy, ale nawet on tylko teoretyzował. Brakowało niezbitych dowodów...

Al Bijadi wyszedł z archiwum, niosąc kilka kart choroby, zamknął drzwi na klucz, przeszedł nad siedzącym na podłodze paudem i skrzywił usta z niesmakiem.

Wybredny, pomyślał Shmeltzer. Może jeden z utajonych homoseksualistów. Lekarz od głowy powiedział, że wśród seryjnych morderców zdarzało się ich wielu.

Wystarczy spojrzeć na dziewczynę, którą sobie wybrał. Panna Cassidy była pozbawiona wszelkich kobiecych krągłości, a przecież taki bogaty strojniś jak Al Bijadi mógłby sobie pozwolić na *coś* lepszego.

Dziwna para. Może to sprawka obydwójga. Gabinetowi radykałowie podlegający do krwawej rewolucji – morderczy tandem. Shmeltzerowi zawsze podobał się pomysł, że zabójca nie działał w pojedynkę. Kilka miejsc działania, partner pomagający nosić towar z i do pieczary, stoi na czatach, starannie myje ciała – zajęcie w sam raz dla pielęgniarzki pana doktora.

Partnerka ułatwiająca wabienie ofiar. Kobieta prędzej zaufa innej kobiecie, zwłaszcza siostrzyczce w białym fartuchu. Uwierzy jej, gdy ta powie: „Odpręż się. Ten zastrzyk dobrze ci zrobi”.

Zaufanie... Może Cassidy sama załatwiła dwie pierwsze Amerykanki – maniaczka seksualna. Czemu nie? A potem, po czterech latach, do Ameryki przybywa Al Bijadi. Spotykają się w Harper Hospital, orientują, że łączy ich wspólne zainteresowanie, i zakładają klub zabójców.

Trochę naciągane. Ale nigdy nie wiadomo. Dość spekulacji. Od rozmyślania rozboleła go głowa. Potrzebowali teraz poczciwego, staromodnego niezbitego dowodu.

Stara szwajcarska pielęgniarka, Catherine Hauser, wyszła na korytarz i wywołała nazwisko pacjenta. Na korytarzu panował gwar i nikt nie zwrócił na nią uwagi.

– Cisz! – rozkazał Al Bijadi, który wchodził do gabinetu. – Natychmiast się uciszcie!

Mężczyźni go usłuchali.

Al Bijadi spojrzął na nich i skłonił głowę niczym udzielny ksiądz.

– Niech pani jeszcze raz wyczyta nazwisko, sestro Hauser.

Stara pielęgniarka powtórzyła. Pacjent powiedział:

– To ja. – Wstał i poszedł za nią. Al Bijadi zniknął w gabinecie.

Shmeltzer oparł się o ścianę i czekał. Mężczyzna obok niego zdobył papierosa od kogoś innego i wydmuchiwał smugi dymu, które długo unosiły się w przegrzonym powietrzu. Po przeciwnej stronie korytarza Daoud rozmawiał z człowiekiem z klapką na oku. Ahmed ibn Dayan...

Dwaj inni lekarze, starszy Arab, Darousha i Kanadyjczyk, Carter, wyszli z jednego z gabinetów, prowadząc, wspartego na ich ramionach, pacjenta z nogą w gipsie.

Jak miło.

Dobroczyńcy. Nie bardzo nadawali się na podejrzanych. Co prawda Kanadyjczyk Carter to prawie Amerykanin. Z łatwością mógł się znaleźć w Stanach. Ale podczas czterech pierwszych zabójstw znajdował się w Ameryce Południowej. Będąc na ostatnim roku medycyny, zaczął się w Korpusie Pokoju i pojechał do Ekwadoru. Powrócił po kilku latach, już jako lekarz. Prawdziwy dobroczyńca, łagodny hippis, w głębi serca prawdopodobnie antysemita – jak każdy, kto pracuje dla UNRWA. Ale jego referencje od Korpusu Pokoju robiły wrażenie: oddany lekarz, uratował życie wielu chorych, zapobiegł wybuchowi epidemii cholery, pomagał w budowie wiosek, zapór, ple, ple, ple. Myślałby kto, że doktor Richard Carter sika szampanem.

Darousha także pasowałby na cadyka: słynny z uprzejmości, brak zainteresowań polityką, dobrze się zgadza z żydowskimi lekarzami, studiował w Hadassah i dostawał wysokie oceny. Taki bez skazy, że nigdy nie ukarano go nawet mandatem. Wszyscy twierdzili, że naprawdę lubi uszczęśliwiać ludzi. A szczególnie dobry jest dla dzieci.

Jedynym faktem świadczącym przeciwko niemu był homoseksualizm. Przyjaciółka z Szin Bet słyszała plotki o jego wielu kochankach płci męskiej, i o romansie z żonatym lekarzem żydowskim. Ostatnim jego przyjacielem był skretyniały dozorca, pilnujący bramy. Musieli stanowić niezłą parę – dwóch pękatych jegomościów tarzających się na łóżku.

Sam homoseksualizm jednak nie stanowił obciążenia w toczącej się sprawie, uznał Shmeltzer. Według lekarzy od głowy, kluczowym słowem było: „utajony”. Teoria zakładała, że brutalność wynikała z chęci stłumienia impulsów homoseksualnych. Zabójca pragnął je zrekompensować przez zachowania supermęskie i przez panowanie nad kobietami poprzez ich niszczenie.

Jeżeli Darousha stał się jawnym homoseksualistą, to znaczy, że przestał tłumić swoje instynkty. Nie ma czego ukrywać i czym się denerwować. Chyba że wydawało mu się, że nikt nie zna prawdy o nim...

Cała ta psychologia to bzdury. Łącznie z profilem psychologicznym mordercy, który czarny przyjaciel Daniego przytoczył z akt FBI: Mężczyźni, którzy zarzynają kobiety, to zwykle sadystyczni psychopaci. Co można by porównać z odkrywczym stwierdzeniem, że aby coś zmniejszyć, należy zredukować jego rozmiar. Masło maślane. Miły facet, ten czarny, z pewnością ma więcej doświadczenia niż oni tutaj, a Nahum Shmeltzer był ostatnią osobą, która odrzuciłaby pomoc z zagranicy. Gdyby tylko mieli jakiś niezbity dowód.

Właśnie tego poszukiwali dziś rano, upchnięci wśród całego tego smrodu i zarazy. Spojrzał na Daouda z nadzieją, że szansa wkrótce się nadarzy. Przekłete szaty świerzbiły nie do wytrzymania.

O pierwszej po południu lekarze zrobili sobie przerwę na lunch. Pacjentów poczęstowano darmową kawą i ciastem, które podano na składanych stołach na podwórku przed szpitalem. Rzucili się na to jak wygłodniałe zwierzęta.

Ruszają się wcale zwinnie, pomyślał Shmeltzer, jak na facetów o kulach i z laskami. Dał znak Daoudowi.

Arabski detektyw, korzystając z zamieszania, wziął się do pracy przy zamku u drzwi archiwum.

Maruda, pomyślał Shmeltzer, nie spuszczał oka z korytarza. Jeszcze chwila, a sam weźmie się do dzieła.

W końcu zamek ustąpił. Daoud przekreślił go i spojrzał na Shmeltzera, który zlustrował korytarz.

Droga wolna, ale zamieszanie ustawało.

Teraz, dał znak koledze.

Daoud uchylił drzwi, wślizgnął się do środka i zamknął je za sobą.

Na korytarzu zapanował spokój. Shmeltzer czekał, aż Arab wykona zadanie. Nagle za zakrętem rozległy się kroki. Pojawił się jakiś mężczyzna, typ z Zachodu. Szedł szybko, jak ktoś, kto wie, czego chce.

Baldwin, administrator. Amerykanin. Według Daniego, prawdziwy drań, nie chcący współpracować z policją. Co więcej, *szmuk* był poza Stanami tylko w czasie, gdy miały miejsce dwa ostatnie morderstwa z akt FBI. Które i tak niekoniecznie należało łączyć z poprzednimi. Przy ofiarach nie znaleziono żadnych dokumentów stwierdzających tożsamość.

Pieprzony gryziپیórek. Shmeltzer chętnie by go widział w roli zabójcy. Nie lekarz, ale kręcił się po szpitalach wystarczająco długo, by nauczyć się, czego trzeba na temat lekarstw i operacji chirurgicznych.

Patrzcie go, nosi safari Wielkiego Białego Ojca i czarne błyszczące buty z twardymi skórzanym obcasami, które stukają o podłogę. Buty gestapowca.

Szmuk szedł szybko, ale wzrok miał utkwiony w gazecie, „Time”. Zbliży się, a w ręce trzyma wielki pęk kluczy.

Zmierza wprost do archiwum, zdał sobie sprawę Shmeltzer. Piekło i szatani, jeśli Daoud wyjdzie stamtąd właśnie teraz i stanie oko w oko z tym draniem.

Shmeltzer przesunął się tak, by stanąć tuż przy drzwiach. Usłyszał szmery i wystukał umówiony sygnał. Arabski detektyw zamknął się od środka i znieruchomiał.

Baldwin podszedł bliżej, uniósł wzrok znad gazety i spostrzegł Shmeltzera.

– Tak? – powiedział. – Potrzebujesz pomocy? – zapytał po arabsku.

Shmeltzer oparł się o drzwi, złapał się za pierś i jęknął.

– O co chodzi? – spytał Baldwin, spoglądając na niego z góry – Boli – wyszeptał Shmeltzer.

– Co?

– Boli.

– Ale co boli?

– Tutaj. – Głośniejszy jęk. Shmeltzer zamrugał powiekami i ugiął kolana.

Baldwin chwycił go za łokieć, upuszczając „Time”. Shmeltzer zaczął się ślaniać, pozwalając, by łajdak go podtrzymał. Myślał przy tym z satysfakcją. Prawdopodobnie pierwsze jego uczciwe zajęcie.

Amerykanin chrząknął, z trudem wepchnął klucze do kieszeni, uwalniając drugą rękę, by utrzymać bezwładne ciało Shmeltzera w pionowej pozycji.

– Byłeś już u lekarza?

Shmeltzer zrobił nieszczęśliwą minę i pokręcił głową.

– Czekam. Czekam cały dzień... och! – westchnął boleściwie.

Zaniepokojony Baldwin uniósł wyblakłe brwi.

– Serce? Czy to serce?

– Och! Oooch!

– Jesteś chory na serce?

– Och! Boli!

– Dobrze. Posłuchaj – powiedział Baldwin. – Posadzę cię na podłodze. Poczekasz tutaj, a ja sprowadzę jednego z lekarzy.

Pomógł mu się osunąć na podłogę i popędził w stronę wschodniego skrzydła. W chwili gdy zniknął za zakrętem, Shmeltzer zerwał się na nogi, zastukał do drzwi archiwum i powiedział:

– Natychmiast wychodź!

Drzwi się otwały i pojawił się Daoud, jego oczy płonęły podnieceniem. Sukces.

– Tędy – powiedział Daoud, wskazując na zachód.

Ruszyli biegiem.

Oddalwszy się od archiwum, Shmeltzer zapytał:

– Masz coś?

– Wszystko. Pod kieckami.

– *Mazel tow.*

Daoud rzucił starszemu mężczyźnie pytające spojrzenie. Biegli. Minęli gabinety przyjęć i pracownię rentgenowską. Korytarz kończył się pozbawioną okien ścianą, na której wisiała tablica informacyjna.

– Zaczekaj – powiedział Shmeltzer. Przystanął i obejrzał ogłoszenia, odczepił kartkę z planem pracy kliniki i wsunął do kieszeni.

Skręcili w prawo w mniejszy korytarz z szeregiem drewnianych drzwi. Przypominając sobie kserokopie, które przejrzeni zeszłej nocy, Shmeltzer zauważył, że pokoje mijane wcześniej służyły za pomieszczenia dla służby i za magazyny. Brytyjczycy rozpieszczali się podczas swego panowania: całe zachodnie skrzydło służyło temu, aby byli dobrze ubrani i dobrze odżywieni. Pomieszczenia dla armii lokajów, pokojówek, kucharzy, pralnie, szafy na bieliznę pościelową, na srebra, kuchnia, piwniczka na wino.

Obecnie owe pomieszczenia przekształcono na mieszkania dla dobroczyńców, dla lekarzy i pielęgniarek, których nazwiska zdobiły drzwi. Shmeltzer zauważył, że pokój Al Bijadiego sąsiadował z pokojem Cassidy. Biegąc, automatycznie zapamiętywał inne nazwiska na kolejno mijanych drzwiach.

Za nimi, zza rogu, rozległy się głosy; najpierw pełne niepokoju, potem zaskoczenia.

Głosy się zbliżały. I odgłos kroków. Stukot gestapowskich obcasów.

W końcu małego korytarzyka znajdowały się oszklone drzwi, które ustąpiły po przekręceniu mosiężnej klamki. Shmeltzer i Daoud wybiegli na wybrukowany placyk, strzeżony przez dwa posągi lwów. Przeskoczyli kilka stopni i znaleźli się na zapleczu szpitala, na zaniedbanym terenie, niegdyś pieczołowicie pielęgnowanym, obecnie stanowiącym obszar czerwonej ziemi, ograniczony resztkami ligustrowego żywopłotu, a dalej ścianą starych pinii. Puste rabaty i łaty rdzawej gleby, a na nich bezładnie rozrzucone zagajniki młodych drzewek. W zachodniej części terenu znajdował się ogrodzony wybieg dla zwierząt; reszta stanowiła otwartą przestrzeń.

Ale całość ogrodzona była siatką, liczącą trzy metry wysokości.

Uwięzieni.

– I co teraz? – zapytał Daoud, truchtając w miejscu.

Shmeltzer się zatrzymał, bolały go kolana, serce waliło wściekle. Pomyślał: Będzie zabawnie, jeżeli naprawdę dostanę zawału.

Zlustrował teren, obejrzał się na szpital. Większość parteru różowego budynku stanowiły szyby. Okna balkonowe, wychodzące na osłonięty okapem ganek. W czasach Mandatu służył za solarium. Cholerni Brytyjczycy smażyli się na słońcu, gdy ich imperium gniło od środka. W głębi była jadalnia.

Ganek stał pusty i nie wykorzystany, ale jeśli ktoś znajdował się w jadalni i wyjrzy przez okno, z łatwością ich dostrzeże. Kłapa.

Cóż mogli zrobić?

– Naprzód – powiedział, wskazując na północ.

To, co niegdyś stanowiło gładki trawnik, teraz pokryte było pyłem, kamieniami i igłami pinii. Schronili się w zagajniku, przebiegli kilka metrów pod osłoną drzew i znaleźli się na nie porośniętym stromym zboczku, opadającym ku północnej części posiadłości, ku krawędzi klifu. Z ogrodzenia wycięto prostokąt siatki, przez który widać było błękit nieba. Drzwi do

raju.

Piękny widok, pomyślał Shmeltzer. Kremowe i śliwkowe zarysy pustyni, opadające tarasami, pokryte zielenią wzgórza Judei.

Szafirowe niebo, a pod nim wielki, podobny do koca, obszar pustyni. Wzgórza jak fałdy. Jaskinie jak dziury wyżarte przez mole.

Jaskinie.

Obejrzał się i zobaczył dwie postacie na ganku. Jedna w ubraniu barwy khaki, druga w bieli. Postały chwilę i wróciły do środka.

Kto by się przejmował chorym starcem arabskim?

Daoud otworzył siatkowe drzwi. Wyjrzał na zewnątrz.

– Jakże zejście? – zapytał Shmeltzer.

Arab opadł na ziemię, podczołgał się do krawędzi i spojrzał w dół.

– Niewielki spadek, łatwy do pokonania – powiedział zaskoczony. – Wygląda jak szlak turystyczny.

Daoud ruszył przodem. Shmeltzer za nim. Wylądowali na miękkim, płaskim podłożu, na obszernym tarasie – trzy metry na dwa. Na pierwszym z kilku ogromnych stopni, wyrobionych w zboczu.

– Zupełnie jak schody – powiedział Daoud.

Shmeltzer skinął głową. Poniżej stopni znajdowała się gęsta plątanina suchorośli. Paskudnych, zielonoszarych kolców i wici. Niektóre zbrązowiały od słońca.

Spostrzegł rozdzielające się gałęzie, rozstępujące się niczym Morze Czerwone. Obydwaj detektywi wsunęli się w zarośla, postępując gęsiego wąską ścieżką, z trudem mieszczącą jedną osobę. Płaskie podłoże pod ich stopami zmieniło się we wklęsły rów, zapadli się nagle i musieli rozstawić ramiona, aby utrzymać równowagę. Wkrótce przywykli do wklęsłości i schodzili szybko i pewnie po zboczu wzgórza, schylając się, by nie zaczęły ich kolczaste gałęzie nad głowami.

Shmeltzer zwolnił kroku i spojrzał na gałęzie. Łuk zieleni – klasyczny łuk jerozolimski, stworzony przez naturę. Nie przepuszczający światła jak dach, z wyjątkiem kilku niewielkich punkcików, przez które przeświecało słońce, tworząc lśniące białe geometryczne wzory na ubitej ziemi.

Tunel, pomyślał. Wiodący wprost na pustynię, ale z góry widać tylko zarośla, krętą szarozieloną linię. Prawdopodobnie wymodelowany wiele lat temu przez Brytyjczyków lub może przez Jordańczyków, którzy przyszli tutaj po nich, lub przez Turków, którzy byli tu przed nimi. Droga ucieczki.

– Jak sobie radzisz? – zapytał Daouda. – Masz, co trzeba?

Arab poklepał się po ubraniu.

– Jest na miejscu.

– Dobrze. Idźmy dalej. Zobaczmy, dokąd ten tunel prowadzi.

ROZDZIAŁ 57

Po pewnym czasie Nightwing stała się bardziej otwarta i zaczęła opowiadać o sobie, leżąc w jego ramionach na tylnym siedzeniu plymoutha, kiedy już zrobiła mu dobrze. Mówiła o swoim dzieciństwie, o tym, że była tłusta, pryszczata i nie lubiana, terroryzowana przez tego dupka ojca, który co noc wchodził do jej łóżka i ją gwałcił. Następnego ranka zawsze miał wyrzuty sumienia i odgrywał się na niej, bijąc ją i nazywając dziwką. Reszta rodziny godziła się z tym i traktowała ją jak śmiecia.

Raz dojrzał w jej oczach łzy, od których zrobiło mu się niedobrze. Wysłuchiwanie historii o jej gównianych przeżyciach przyprawiało go mdłości. Ale nie przerywał, siedział i udawał, że słucha ze współczuciem. Jednocześnie wypełniał swój umysł obrazami: prawdziwe doświadczenia naukowe na skomlących kundlach, dotykanie sztywniaków w laboratorium patologii, przebliski wspomnień o tym, co zrobił z Fieldsem, jak wyglądała jego głowa rozwalona na kawałki. Myśląc: Nietrudno być psychoanalitykiem.

Pewnej nocy jechali wzdłuż Nasty, zbliżając się do parkingu, gdy powiedziała:

– To on. To BoJo!

Zwolnił i przyjrzał się alfonsowi, zobaczył kościstego czarnucha w śliwkowym garniturze z klapami z czerwonego sztucznego futra, w czerwonym kapeluszu z opaską ze sztucznej skóry leoparda i pawimi piórami. Mały gnojek stał na rogu ulicy, rozmawiając z dwoma tłustymi dziwkami, obejmując je i ukazując w uśmiechu pełno złotych zębów.

Nightwing zapadła się niżej i szarpnęła go za ramię.

– Przypiesz! Nie chcę, żeby mnie rozpoznał!

Zwolnił jeszcze bardziej i zapytał z uśmiechem:

– Czemu się boisz takiego wypierdka?

– Jest mały, ale zły.

– Akurat.

– Uwierz mi, doktorze T. Szybko, wynośmy się stąd!

– Dobra.

Po tym zdarzeniu zaczął obserwować czarnucha.

BoJo miał stałe zwyczaje, pokazywał się na bulwarze w środy, piątki i niedziele, zawsze około jedenastej wieczorem. Zwykle nadjeżdżał z południowej części miasta pięcioletnim luszczącym się śliwkowym pontiakiem grand prix, z gangsterskimi oponami na chromowanych kołach, z lśniącym srebrzyście winylowym dachem, z wnętrzem obitym sztucznym futrem gronostajowym i śliwkowymi lamówkami, ze złotymi monogramami „BJ” na drzwiach i z zaciemnionymi szybami, na których znajdowały się nalepki, ostrzegające, że cała ta kupa gówna jest chroniona przez superwrażliwy system alarmowy.

Samochód alfonsa zawsze stał w tym samym miejscu, w południowej części Nasty, gdzie parkowanie było zabronione. Gliny nigdy nie dały mu mandatu. Gdy BoJo wysiadał z samochodu, zawsze się przeciągał, potem złotą zapalniczką w kształcie króliczka z „Playboya” zapalał długą śliwkowego shermana ze złotym ustnikiem i włączał alarm. To samo powtarzało się, gdy wracał do samochodu.

Wieczory małego gnojka również były zawsze takie same. Przechadzka w kierunku zachodnim po Nasty, do północy zbieranie pieniędzy od prostytutek i reszta nocy, w środy i piątki, spędzona na popijawie w cuchnącym barze dla alfonsów, zwanym Ivan's Pistol Dawn, a w niedziele – na wpatrywaniu się w striptizerki w klubie o nazwie Lube Job.

Doktor Terrific śledził go. Nikt nie zwracał uwagi na schludnie ostrzyżonego faceta w wiatrówce, podkoszulku, świeżo wypranych dżinsach i niebieskich tenisówkach. Jeszcze jeden żołnierz na przepustce, szukający przygody.

Żołnierz przeznaczenia.

Od czasu do czasu BoJo wychodził z jedną ze striptizerek z Lube Job lub z dziwką. Od czasu do czasu inny czarnuch, duży, jasnoskóry, napakowany typek, kręcił się wokół, odgrywając rolę goryla. Ale zwykle BoJo był sam, krocząc bulwarem, jakby do niego należał. Prawdopodobnie czuł się bezpiecznie dzięki niklowanemu rewolwerowi, wielkiej kowbojskiej spluwie kaliber .45 z białą kolbą wyłożoną sztuczną perłową macicą. Czasami wyjmował spluwę ze schowka na rękawiczki i wymachiwał nią jak zabawką, zanim ją zatknął za pasek od spodni.

Skurczybyk z całą pewnością czuł się pewnie, idąc tanecznym krokiem, śmiejąc się cały czas, szczerząc zęby, jakby się chwalił kopalnią złota. Nosił obcisłe, aksamitne spodnie, które sprawiały, że jego patykowate nogi wydawały się jeszcze chudsze, szyte na miarę frymuśne marynary z wypchanymi ramionami, lakierki na wysokich obcasach. Pomimo obcasów był niski. Czarny skarłały wypierdek.

Łatwy do namierzenia.

Śledził śmiecia od wielu tygodni i był na straży owej gorącej piątkowej nocy, gdy BoJo wrócił ze swego obchodu i popijawy o wpół do czwartej rano. Stał na czatach obok cuchnącego głównym śmietnika, ale nie był ani trochę znużony. Pozwalał, by smrody przenikały przezeń, a sam unosił się powyżej, niczym jakiś anioł z czystym, pozbawionym myśli umysłem.

Widząc tylko twarz Fieldsa, a potem twarz BoJo, a potem obie twarze zlewające się w jedną białą-czarną maskę.

Świerzbily go ręce.

BoJo wyszedł z Nasty i skręcił w boczną uliczkę, strzelając palcami i potykając się, prawdopodobnie zamroczony przez nadmiar alkoholu lub trawki, lub jednego i drugiego. Zatrzymał się w odległości przecznicy od pontiaca, tak jak zawsze, podciągnął spodnie i zapalił shermana. Płomyk zapalniczki w kształcie króliczka oświetlił jego małą twarz na krótką, paskudną chwilę.

Gdy tylko płomyk zgasł, doktor Terrific wybiegł cicho z alejki, schludnie ostrzyżony superheros przeznaczenia.

Wyjął spod wiatrówki łom, sprężystym krokiem podbiegł do pontiaca, uniósł łom i z całej siły rąbnął w przednią szybę. Brzęk tłuczonego szkła rozbrzmiewał słodko w jego uszach, gdy wsiadał do samochodu i powoli ruszał wzdłuż chodnika.

Alarm zaczął wyc.

BoJo zaciągnął się dymem. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Minęła jeszcze chwila i alfons także zawył.

Unisono z alarmem.

Muzyka duszy.

Dupek wyciągnął spluwę i zataczając się na wysokich obcasach, ruszył biegiem w kierunku pontiaca. Potykał się i przeklinał, wreszcie stanął i z rozdziawioną gębą wpatrywał się w rozbitą szybę. Alarm nie milkł.

BoJo podskoczył w miejscu, zamachnął się rewolwerem, rozejrzał, splunął i zaklął:

– Chodź no tu, ty skurwielu, cholerny, pieprzony skurwielu!

Alarm zrywał sobie elektroniczne struny.

A on tkwił nieruchomy jak nieboszczyk, kucając z łodem w dłoni. Gotowy. Głupi czarnuch go nie widział, nie przyszło mu na myśl, by spojrzeć na miejsce obok kierowcy. Nadal podskakiwał, spluwał i przeklinał, nachylając się, by pomacać palcem to, co pozostało z przedniej szyby, gapiąc się na szkło, które rozprysło się na setki szklanych paciorków, rozsypanych na desce rozdzielczej i na siedzeniach pokrytych sztucznym futrem gronostajowym.

Powtarzając: „Skurwielu, cholerny, pieprzony skurwielu” – jakby wabił kurczęta, potykając się w butach na wysokich obcasach, wymachując spluwą. W końcu zatknął ją za pasek, wyjął pilota z kieszeni i wyłączył alarm.

Wycie ucichło, a cisza zdawała się jeszcze głośniejsza.

Doktor T. wstrzymał oddech.

– Kurwa – powiedział BoJo, zdejmując kapelusz i pocierając łysiejącą czaszkę. – Kurwa, pieprz się, cholerny skurwielu.

Czarnuch otworzył pozłacanym kluczykiem drzwi po stronie kierowcy, zrzucił szkło z siedzenia i z deski rozdzielczej, wsłuchując się w smutną pieśń, gdy okruchy sypały się do rynsztoka. Jeszcze raz powiedział: „Kurwa!” i zaczął oglądać resztki przedniej szyby, jakby to był jakiś zły sen, z którego zaraz się obudzi i Wszystko będzie dobrze.

Ale nie było.

Cholera. Pieprzone gówno.

Słynne ostatnie słowa, bo gdy dupek się wyprostował, patrzył wprost w gładko wygoloną twarz superherosa.

– Cześć, jestem doktor Terrific – usłyszał. – Co panu dolega?

– Powiedz no mi, co... – Tu poczuł ogłuszający ból, gdy łom wyrznął go w nos, miażdżąc mu twarz i gruchocząc kości jego wstrętnej, czarnej, małpiej czaszki.

Tak łatwo. Zupełnie jak z Fieldsem.

Tak łatwo, poczuł wzwód.

Galaretka jeżynowa, myślał, okładając czarnucha raz po raz, odstępując do tyłu i wycierając się chusteczkami, aby sobie nie poplamieć ubrania. Wycierał łom do czysta i pozostawiał go obok ciała. Używając chusteczek do wyjęcia czterdziestki piątki zza pasa czarnucha, położył spluwę na kroczu alfonsa.

– Umgawa, umgawa. Ssij to, czarny chuju.

Następnie wszedł w alejkę, gdzie zostawił swój polaroid, wrócił do tej sterty czarnych, oślizgłych odpadków i sfotografował je, zanim odszedł niedbałym krokiem.

Zatrzymał się na światłach trzy przecznice dalej i znalazł na swoich butach i podkoszulku kilka maleńkich plamek z krwi. Wytarł buty. Podkoszulek zniknął pod zapiętą na suwak wiatrówką. Ruszył naprzód. Dwie przecznice dalej czekał plymouth, miły i wygodny. Wsiadł i przejechał milę, do alejki ze śmietnikami. Otworzył bagażnik i zwilżył trochę szmat wodą i alkoholem z plastikowych butelek, które zabrał ze szpitala. Rozerwał aparat fotograficzny na kawałki, wyobrażając sobie, że to ciało czarnucha. Wytarł każdy kawałek i wrzucił je do trzech różnych śmietników.

Odjechał, wpychając chusteczki do kilku mijanych studzienek kanalizacyjnych. Oderwał rożek najbardziej zakrwawionej i go zjadł.

Następnie wyjął puszkę piwa z lodówki w bagażniku. Wypił je od niechcenia.

Po dwudziestu minutach znalazł się na bulwarze i przechadzał się pośród zboczeńców i degeneratów, wiedząc, że wszyscy należą do niego, że może ich mieć, gdy tylko zechce.

Znalazł czynny całą dobę bar szybkiej obsługi. Za ladą stała ospowata dziwka. Poprosił ją o klucz do męskiej toalety, umył się, obejrzał twarz, podotykał się, nie bardzo wierząc, że wszystko stało się naprawdę.

Wrócił do lady, zamówił u dziwki podwójnego cheeseburgera i waniliowy koktajl mleczny, usiadł na pękniętym plastikowym stołku i jadł. Naprawdę zadowolony z kolacji.

Prócz niego jedynymi klientami była para cuchnących pedałów, motocyklistów w czarnych skórach, napychających się hot dogami i cebulą. Spozręgli go, szturchnęli się porozumiewawczo i usiłowali zmusić go, by spuścił wzrok.

Jego uśmiech sprawił, że dali za wygraną.

Myślał, że jego zdjęcie z martwym czarnuchem i galaretką z jeżyn zrobi wrażenia na Nightwing. Że okaże wdzięczność swemu bohaterowi. Ale ona tylko spojrzała na niego tak, jakby był brudny. Przez chwilę czuł się źle, zemdliło go i poczuł przerażenie, tak jak wtedy, gdy był dzieckiem i, napinając zwieracz, siedział na szóstym stopniu, bojąc się, że go przyłapią.

Spojrzał jej w oczy, usłyszał narastający hałas w głowie, i pomyślał: Głupia, niewdzięczna cipa. Poczuł w ustach piekącą wściekłość, a w dłoniach chłód stalowego łomu. Uciszył je głębokim wdechem i wspomnieniami zdychającego czarnucha. Czarne od krwi lakierki.

Bądź obojętny. Cierpliwy.

Ale wiedział, że nie ma dla niej nadziei. Romans skończony.

Podarł fotografię na drobne kawałeczki, zjadł je, i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Przeciągnął się i ziewnął.

– Zrobiłem to dla ciebie. Teraz jesteś bezpieczna, mała.

– Taaa. – Wymuszony uśmiech. – W-wspaniale. Dziękuję. Jesteś wspaniały!

– Zrób mi dobrze, mała. – Rozkaz.

I po chwili:

– Jeszcze raz, mała.

Zawahala się, zobaczyła wyraz jego twarzy.

– Tak, jasne, dla ciebie gratis... – I opuściła dłoń.

Po tym zdarzeniu ich stosunki uległy zmianie. Nadal się spotykali, ona brała od niego pieniądze, robiła, co zażądał, ale się wycofała. Emocjonalnie. Wiedział to.

Już nie chłopak i dziewczyna, lecz wymuszona miłość i szacunek dziecka dla rodzica.

I tak było w porządku. Mdlilo go od wysłuchiwanie jej płaczliwych historii o podłym starym tatuśku, o wszystkich chujach, które nie mogły stanąć, o jednym, który lubił ją dręczyć.

Cholerne brzęczenie. Jeśli o niego chodzi, mogą to jeszcze trochę pociągnąć.

Ale ona wszystko popsula. To, co się stało, to jej wina. Bezmyślność, brukająca jego dziedzictwo.

Brukająca Schwanna.

Musiał przyznać Fieldsowi tę jedną rzecz. Ta kupa gówna była sumienna. Sprawdzał zagraniczne książki telefoniczne, archiwa w biurach zatrudnienia i urzędach imigracyjnych, zalecenia lekarskie, spisy pracowników, rejestracje samochodów. Świadczenia zgonów.

Praca prywatnego detektywa bardziej polegała na uwijaniu się niż na wysilaniu umysłu.

Nauczył się czegoś: masa informacji po prostu leżała na ulicy, wystarczyło się schylić i podnieść, jeśli się wiedziało, jak to zrobić.

Najlepsze informacje Fields uzyskał z osobistego archiwum szpitalnego Schwanna. Ze szpitala Doktora, tego samego szpitala, w którym on pracował od dwóch lat! Na oddziale patologii. Przynosił tam pocztę tysiące razy, nadal to robi.

Wszystkie fakty miał pod nosem, a płacił głupkowi za to, żeby je znalazł!

Na myśl o tym dygotał, miał ochotę pociąć samego siebie. Uspokoił się piwem i pieszczotami, powiedział sobie, że na błędach należy się uczyć.

On się nauczył. Od cholernego worka gnoju, który już nie żył.

Trzeba mieć otwarty umysł.

Na pierwszy rzut oka sprawozdanie Fieldsa to jeden wielki bałagan, no bo i czego można się spodziewać po nędznym niechluj: tani papier, rozmazany atrament, ośle uszy, tekst

wystukany na taniej maszynie, brakujące litery, literówki, nierówny margines. Na owych marginesach Fields nabazgrał ręcznie komentarze. Najwyraźniej zamierzał wydusić z niego więcej pieniędzy, okazując się nadzwyczajnie pomocny. Pisał wszystko w takim tonie, jakby się zwracał do kumpla. Żałował, że nie może go przywołać do życia, po to, by go jeszcze raz załatwić.

Mimo to sprawozdanie było święte, niczym Biblia.

Błogosławie cię, tato.

Codziennie poświęcał trochę czasu na studiowanie Biblii. Siadał nago na podłodze w lodowym pałacu i czytał ją, pieszcząc się. Czasami oddawał jej cześć więcej niż raz, ucząc się na pamięć wszystkich uświęconych słów. Godzinami wpatrując się w zdjęcie, aż twarz Schwanna wryła mu się w mózg.

Jego twarz. Ta sama twarz. Gładko wygolona i przystojna.

Przystojna, bo Schwann chciał mu przekazać swoje dziedzictwo, wcisnął chromosomy odpowiedzialne za twarz do jej brudnego łona.

Zdominował jej tkanki wewnętrzne supersperma Schwanna. Linia sukcesji z ojca na syna, lśniący łańcuch klonów.

Każdy, kto znał Schwanna, powinien to poznać po jego twarzy. Doktor był głupim pomiotem icka i dlatego nie dostrzegał tej oczywistej prawdy.

Nikt nawet o tym nie wspomniał, bo wszyscy byli ogłupieni przez icka. Doktor zapłacił im za to.

Zintensyfikował studiowanie Biblii. Zaczął ją czytać po każdym posiłku. Nowy Testament. Książka o Dieterze, Księga pierwsza, werset pierwszy.

Na początku narodził się Dieter Schwann.

Jedynak – tak samo jak on! – z Hermanna Schwanna i Hildę Lobauer Schwann.

Data owego błogosławionego wydarzenia: 20 kwietnia 1926 roku.

Święte miejsce: Garmisch-Partenkirchen, Niemcy.

(„Elegancka miejscowość narciarska dla bogatych, doktorku”, nabazgrał Fields. „Rodzina prawdopodobnie miała forszę, może nadal ją ma. Możesz spróbować podłączyć się do ich kont bankowych, ale za oceanem trudno sobie poradzić bez zagranicznego pełnomocnika. W razie potrzeby z przyjemnością ci kogoś polecę”).

Babcia Hildę: Fields nie miał o niej wiele do powiedzenia. („Żadnych tropów. Umarła w roku 1962. Nie udało mi się ustalić, kto odziedziczył jej posiadłość. Niemiecki detektyw mógłby zwaćcać coś więcej”). Ale on wiedział, że była piękna. Czysta i chłodna. I jasnowłosa.

Dziadek Hermann: oczywiście lekarz. Nie byle jaki – dwa doktoraty: doktor medycyny i doktor nauk filozoficznych. Profesor chirurgii na Uniwersytecie Berlińskim.

Herr Doktor Professor Hermann Schwann, doktor medycyny, doktor nauk filozoficznych. („Umarł w 1952 roku, nazista. Sprawdziłem w indeksie czasopism. Jego nazwisko ukazało się w 1949 roku w magazynie „Life”, artykuł o procesie w Norymberdze. Wygląda na to, że prowadził eksperymenty w Dachau, został oskarżony o zbrodnie wojenne i uwięziony po wojnie. Zmarł w więzieniu. Nie poszczęściło się łajdakowi, co, doktorku?”)

Nie poszczęściło się Fieldsowi, co?

Rozdział drugi, Werset pierwszy: Dieter staje się mężczyzną.

Superdawca klonu także był lekarzem. Wybitnym, jak wynikało z biblii/sprawozdania:

„Doktorat z medycyny w 1949 roku, na Uniwersytecie Berlińskim – doktor w wieku 23 lat! – staż i stypendium na oddziale patologii chirurgicznej, 1949-1951 – nie każdemu je przyznają! – W 1951 wyemigrował do Stanów Zjednoczonych z wizą studencką na podoktoranckie stypendium w dziedzinie badań mikroanatomicznych. Ukończył je w 1953 i pojechał do Nowego Jorku, aby podjąć pracę jako patolog w Szpitalu Prezbiteriańskim Columbia.

Czytając między wierszami, można odgadnąć podwójny cel emigracji:

A. Dokończenie doskonałego wykształcenia.

B. Wtryśnięcie spermy superherosa do łona-zbiornika, aby wydała perfekcyjne klony.

Pieprzyć łono – sperma żyje!

Doktor Terrific, alias Dieter Schwann Junior. Nie, drugi. Nie, cyfra rzymska: II. II. II.

Doktor Dieter Schwann II.

Herr Doktor Professor Dieter Schwann II: wybitny, słynący na cały świat lekarz, patolog chirurgiczny, mikroanatom, dawca i biorca życia, czyszciciel brudu i szumowin, artysta obrazów umysłu, człowiek czynu.

Dieter Schwann umarł za grzechy świata, ale jego nasienie przeżyło.

Przetrwało.

Szlachetna historia, ale zakończenie sprawozdania roilo się od kłamstw. Apokryfy. Starając się zatrzeć prawdę, Fields tysiącokrotnie zasłużył na śmierć.

To stało się tak szybko. Gnojek zasłużył sobie na nauzkę. Prawdziwa nauka.

Koniec z Przyjemniaczkiem.

Jednak nie usunął kłamstw, nie chcąc niczego zmieniać w biblii. Zmusił się do ich czytania w celu wzmocnienia woli, utwardzenia serca.

„Schwann odszedł z Columbia w 1959 roku. Nie powiedziano dlaczego; akta zostały zamknięte. (Zwąchałem, że facet był trochę na bakier z etyką, co nabiera sensu, gdy śledzi się jego dalsze losy). Potem Rada Stanowa umieściła go w klinice medycznej w Harlemie – to ciesząca się złą reputacją dzielnica czarnuchów – gdzie pracował od 1960 do 1963 roku. Aresztowano go, odebrano mu licencję, odwołał się i przegrał. Po 1963 nie zatrudniony. Drugie aresztowanie w 1964, za posiadanie heroiny i jej sprzedaż. Rok na Rikers Island – to miejskie więzienie w Nowym Jorku – wypuszczony po pół roku. Aresztowany w 1965, odesłany do więzienia stanowego w Attica na siedem lat. W 1969 zmarł w więzieniu z przedawkowania heroiny.

Na marginesie: „Jaki ojciec, taki syn, co nie?”

Odczytywał tę nabazgraną notatkę milion razy, czując wściekłość. Pocierał członek, aż zaczerwieniona skóra nabiegła krwią. Darł paznokciami uda, rozdrapywał skórę, wsłuchiwał w mechaniczny hałas, który narastał niczym grzmot, huczący jak fala przyływu.

„Brak danych o pogrzebie”, napisał Fields. „Prawdopodobnie rola garncarzowa* (doktorek nisko upadł, co?). Żadnego konta bankowego ani kart kredytowych, brak stałego adresu od 1963”. Na marginesie: „Nie liczyłbym na wielkie pieniądze, doktorku. Facet nieźle zaczynał, ale wszystko przepuścił na narkotyki. Większe szanse na to, że skapnie coś z zagranicy. Co o tym myślisz, doktorku?”

Myślał... myślał... myślałmyślałmyślał.

NIC!

Pewnego lata dwie turystki ze Środkowego Zachodu zostały zgwałcone i zarżnięte w pobliżu Nasty. Politycy zajęli się problemem przestępczości. Gliny zareagowały na to jak małe roboty. Wprowadzono godzinę policyjną od dziesiątej wieczorem, łapanki i naloty, aresztowania za plucie na chodnik.

Zagrozenie dla jego stosunków z Nightwing, ale dla doktora T. żaden problem. I tak był gotów zerwać z niewdzięczną cipą. Przemyśliwał, jak to najlepiej zrobić. Planował.

Była to płytka osoba. Jej przerażenie minęło, ale nadal utrzymywała emocjonalny dystans. I chciała go.

– Posłuchaj, doktorku – powiedziała. – Nie ma powodu, żebyś ze mną zrywał. Znajdę inne miejsce. Bezpieczne.

Zastanawiał się chwilę.

* Rola garncarzowa (Haceldama) – w Palestynie, przy ujściu doliny Hinnom do doliny Cedronu; wg Biblii rola zakupiona za 30 srebrników, odrzuconych przez Judasza, na cmentarz dla pielgrzymów.

– Jasne, mała.

Nd północ od bulwaru był wielki park, położony na wzgórzach, Teren z ogrodem zoologicznym, obserwatorium i dziesiątkiem wejść. Powiedziała, żeby tam pojechał, wskazała odludne wejście po wschodniej stronie, prawie całkiem ukryte przez ogromny eukaliptus. Metalowa rama, zabita drewnianymi belkami, której strażnicy nigdy nie zamykali na kłódkę. Wysiadła z samochodu, pchnęła bramę i wjechali do środka.

Park nocą był zupełnie ciemny. Nightwing wskazała na lewo, na krętą drogę, która wiodła na jedną z gór pośrodku parku. Jechał powoli i ostrożnie, bez świateł, zdając sobie sprawę ze stromych zboczy po obu stronach drogi. W miarę jak się posuwali naprzód, światła miasta stawały się coraz mniejsze.

Dotarli prawie na szczyt góry.

– Tutaj – powiedziała. – Zaparkuj pod tymi drzewami i wyłącz silnik. – A gdy się zawahał, dodała: – No, dalej. Nie psuj zabawy.

Zaparkował. Wysiadła.

– Chodź – zawołała. – Chcę ci coś pokazać.

Wysiadł ostrożnie. Ruszył w dół krętą ścieżką pomiędzy drzewami.

Przerazająco. Ale on się nie bał. Jego ciało było twarde i silne. Nie na darmo torturował się całymi godzinami i podnosił ciężary. Jego kocie oczy widziały w ciemności. Teraz był częściowo kotem. Wkład Śnieżynki w jego aryjską *ubermensch* superświadomość.

Übermensch. Kultur. Das Reich. Nucił święte słowa, podążając za kręcącą tyłkiem Nightwing. *Arbeit macht frei.*

W bibliotece można się było nauczyć tylu rzeczy.

Bibliotekarka w college'u była stara i cycata. Niezła. Ale nie w jego typie.

– Przepraszam panią...

Uśmiech.

– Tak. W czym mogę pomóc?

– Hmm. Piszę pracę na temat literatury rasistowskiej. Z socjologii. Gdzie znaleźć materiały?

– Niech no sprawdzę... bibliografia będzie w katalogu. Sprawdź pod bigoteria, rasizm... przesady, etniczność. Jaka epoka cię interesuje?

– Dwudziesty wiek.

– Hmm. Mamy też specjalny zbiór literatury nazizmu i neonazizmu ofiarowany kilka miesięcy temu.

– Naprawdę? (Wiem, suko. Cała ciężarówka makulatury ofiarowana przez ceniarzy z Koalicji przeciw Rasizmowi. Długowłose icki, latynoskie ścierwa i czarnuchy, pragnący zwiększyć pieprzoną świadomość studentów. Pieprzona uroczystość ze świecami i jakimś haczykowatym rabinem, nawijającym o całym tym szajsie pod tytułem pokój-miłość-braterstwo. W gazecie kampusu ukazał się na ten temat obszerny artykuł. Wyciął go i włożył do swoich dokumentów).

– Chciałbyś to przejrzeć?

Uśmiech. Bujające się cycki.

– Chyba tak.

Kazała mu poczekać, wyszła na zaplecze i wróciła z wózkiem papierów.

– Mam. Nie mogę ich wypożyczyć. Musisz je przeczytać na miejscu.

– Dzięki. Bardzo mi pani pomogła.

Uśmiech.

– Po to tu jestem.

Popchał wózek do stołu pod ścianą, z dala od innych, przeszukał pudła i znalazł skarb.

Mein Kampf, po angielsku. Gerald L. K. Smith. George Lincoln Rockwell. *The Thunderbolt. The Klansman.* I klasyka: *Protocols of the Elders of Zion. Der Sturmer* – z

kapitałnymi ilustracjami.

Prawda.

Słowa prawdy zawładnęły nim, obudziły w nim coś, co było słuszne i rzeczywiste.

Miał ochotę zjeść to wszystko, przeżuć i połknąć każdą książkę i broszurę, wprowadzić je wprost do swego genetycznego kodu.

Ale nie książki kłamców.

Płaczliwe, skomlące gówny, wypisane przez icków i ich sympatyków na temat SS, obozów śmierci, Josefa Mengele, doktora medycyny, doktora nauk filozoficznych. Fotografie ofiar, stopy ciał mające budzić odrazę.

Ale jego podkrecały.

Pośród kłamstw zdobycz: książka o procesie w Norymberdze, napisana przez prawnika Żydka, który tam był. Na końcu spis obrońców. Szlachetny *Herr Doktor* Dziadek, zajmujący zaszczytne miejsce pod literą S. Jego piękne nazwisko jaśniejące niczym gwiazda przewodnia.

Niewyraźne zdjęcie grupowe obrońców w rejestrze spraw sądowych.

Ta sama twarz!

Hermann Dieterowi, Dieter Dieterowi II.

Nasienie żyje!

Powracał do biblioteki wielokrotnie. Brał wózek i popychał go do zacisznego kącika – taki pilny chłopiec. Żył z owym skarbem przez wiele tygodni. Przepisując święte sentencje do kołonoatników, zapamiętując słowa, wypalając prawdę w mózgu.

Żydki stały za handlem narkotykami, za światowym komunizmem, za chorobami wenerycznymi. Wojna i zbrodnia. Po to, by cały świat stał się brudny i haczykowatonosy.

Tak powiedział Gerald L. K. Smith. To samo powiedział George Lincoln Rockwell, Robert Shelton. Udowodnili to faktami, wydobyli na światło dzienne łgarstwa dotyczące Holocaustu oraz spisek pejsiastych bankierów.

Führer, szykanowany. Dziadek Hermann, zamknięty, umiera w więziennej celi.

Tata Dieter umiera w więziennej celi!

Ukrzyżowany przez czarnuchów i Żydków od banków i narkotyków, którzy sfinansowali to wszystko!

Heil, tato! Chciało mu się płakać...

Cienkie palce na jego ramieniu przywróciły go do rzeczywistości. Park, nocne powietrze. Doszli do końca ścieżki. Nightwing pogłaskała go po włosach.

Spojrzał na nią, poprzez nią.

Głupia cipa rozpięła kosmatą bluzkę, pokazując cycki, oparła dłonie na biodrach, myśląc, że jest seksowna. Księżyc oświetlił jej twarz, zamieniając ją w szkielet, z powrotem w dziewczynę i znów w szkielet.

Zmiana warstw.

Piękno pod powierzchnią.

– Chodź, milutki. – Wskazała jaskinię. Wzięła go za rękę i poprowadziła do grotty.

Ciemne, pachnące pleśnią miejsce. Wyjęła z torebki latarkę w kształcie pióra, zapaliła, oświetlając żółtkowane skalne ściany, pochyły strop. Sparaliżowany światłem żuk odzyskał zmysły i umknął. W narożnikach pieczary poruszały się inne owady, pająki i jakieś świństwa. Nightwing, nie zwracając na nie uwagi, wpełzła w najdalszy kraniec, pokazując tyłek spod spódniczki mini. Gumka czarnych majteczek wpijała się w pośladki. W zagłębieniu przy ścianie leżał brudny wojskowy koc. Uniosła go, wyciągnęła taną plastikową walizeczkę i ją otworzyła.

Patrząc na jej pewne ruchy, widząc walizeczkę, zrozumiał, że bywała tu wcześniej, tysiące razy, z tysiącami innych mężczyzn. Dzieliła się swoim sekretnym miejscem z innymi, a nie z nim.

Głupia, nieczuła cipa! Po tym wszystkim, co dla niej zrobił, nie ufała mu na tyle, by pokazać mu swoją małą kryjówkę. Zrobiła to dopiero teraz, gdy wprowadziła do niej tysiące innych, wypełniła ją ich kłamstwami i brudnym nasieniem.

Ostatnia kropla przepełniająca czarę. Spoko.

– Co masz w tej walizeczce, mała?

– Zabawki – odparła, oblizując wargi.

– Pokaż je.

– Tylko jeśli obiecasz, że będziesz grzeczny.

– Jasne, mała.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Zabawki były do przewidzenia: nowinki ze sklepu sadomaso, to, co widywał w reklamach na okładkach pornosów: batogi, łańcuchy, bury z ostrogami, ogromny czarny wibrator, skórzane hełmy przyozdobione rzemieniami i gwoździami.

Nuda.

Włożyła buty, podniosła nogę i dała mu kopniaka.

Nuda do kwadratu.

Zdjęła kosmatą bluzkę, włożyła skórzany biustonosz z otworami na sutki.

Nudy na pudy.

Potem włożyła kapelusz. Czarny kapelusz oficera nazistowskiego z szerokim czarnym rondem i esesmańską trupią czaszką. Pod szczyrzącą zęby czaszką skrzyżowane piszczele, oznaczające:

Schwann-Schwann.

– Skąd to masz, mała?

– Skądś. – Podeszła bliżej i długim paznokciem przejechała po wewnętrznej stronie jego przedramienia, myśląc, że go pieści, a w rzeczywistości wbijając mu w ciało gorące igły.

Podniosła rękę i zaszalowała do kapelusza.

– *Heil*, Nightwing! Tra-ta-ta-ta. – Obrzydliwy uśmiech. Kiepski niemiecki akcent. – Chcesz go włożyć, kiedy ci będę robić dobrze, mały Adolfku? Masz, wspaniały kapelusz!

Tylko spokojnie. Opanuj się.

– Jasne, mała.

– Hej. Zabaw się! Lubisz to nazistowskie gównno, no nie? Tak myślałam. – Zaszalowała. – *Heil*, francuska miłość!

Dotykając go, rozpinała mu rozporek.

– Spójrz na mnie. Na *Fraulein* Adolfa Cycker, gotową, by ci obciągnąć druta, aż do Czwartej Rzeszy. Jezu, ale twardy. Naprawdę to lubisz, co nie? Znalazłam to, co cię rajcuje!

Mógł ją załatwić tak samo jak Fieldsa i czarnucha. Ale nie. Ona zasługiwała na coś lepszego.

Zacisnął zęby, walczył z narastającym hałasem, z piekącymi łzami, powiedział:

– Jasne, że tak, mała.

Uśmiechnęła się i ukucnęła.

Wracali do tej jaskini jeszcze trzy razy. Za trzecim razem zapakował do bagażnika prześcieradła, mydło, trochę butelek z wodą i noże. Narkotyki miała w torebce. Wiedział, po ukłuciu na jej udach, że stosowała mocne środki. Nie był zaskoczony, że nic mu o tym nie powiedziała. Tak właśnie postępowali narkomani. Uzależnieni od kłamstw tak samo jak od igły.

Gdy wyjął igłę z jej torebki, była śmiertelnie przerażona. A potem ulżyło jej, że się nie wściekł.

Cała w skowronkach, gdy powiedział:

– Chcesz sobie wstrzyknąć? Nie krępuj się.

– Jesteś pewien? – spytała, głośno dysząc.

– Jasne, mała.

Zanim przebrzmiały jego słowa, wzięła się do roboty, sapiąc, wstrzykując, uśmiechając się.

Czekał. Kiedy zupełnie odpłynęła, poszedł do samochodu.

Następnego ranka po ostatniej randce z Nightwing obudził się z nowym celem, wiedząc, że jest gotowy do większych i lepszych spraw. Podotykał się do wtóru nowych obrazów prawdziwej nauki, poszedł pracować w szpitalu, przyniósł pocztę na oddział chirurgiczny, zaszedł do gabinetu Doktora i przyparł go do muru.

– Czego chcesz?

– Chcę studiować medycynę.

Pieprzony ick był zaskoczony.

– To szaleństwo! Nie zaliczyłeś nawet dwóch lat college’u!

Wzruszenie ramionami.

– Chodziłeś na jakieś zajęcia z nauk przyrodniczych?

– Trochę.

– Jakie masz oceny?

– Radzę sobie.

– Jasne, że sobie radzisz. Świetnie. Wspaniale. Masz same trójczyny i chcesz być lekarzem.

– Będę lekarzem.

Kutafon rąbnął łapą w blat biurka. Gały wyłaziły mu z paskudnej czerwonej mordy. Wściekły, bo aryjski wojownik chce się wkłęcić do spisku medycznego icków.

– Posłuchaj...

– Chcę mieć tytuł doktora medycyny i ty mi to załatwisz.

– Jezu Chryste! Niby jak mam to zrobić?

– To twój problem. – Utkwił wzrok w skurwysynu, miażdżąc go swoim absolutnym spokojem.

Wszedł sprężystym krokiem, gotowy na czekającą go świetlaną przyszłość.

ROZDZIAŁ 58

W sobotę, o wpół do ósmej wieczorem, Daniel kończył właśnie modlitwę *maariw* i *hawdala*, żegnając się z szabatem, który, z powodów zawodowych, właściwie nie zaistniał. Rozmawiając z Bogiem z całym oddaniem człowieka niewierzącego, rozmyślając o śledztwie, przeżuwał nowe informacje, jak kawałek mięsa.

Odłożył *siddur* i zajął się sporządzaniem notatek na spotkanie z zespołem, gdy zadzwoniła telefonistka i powiedziała, że ma na linii pana Vangiddera.

Nie znane nazwisko. Obco brzmiące.

– Powiedział, w jakiej sprawie?

– Nie.

Prawdopodobnie jakiś zagraniczny korespondent. Mimo że władze policji zakazały udzielania informacji na temat Rzeźnika, dziennikarze byli natarczywi jak zawsze.

– Weź jego numer i powiedz, że oddzwonię.

Odłożył słuchawkę i podszedł do drzwi, gdy telefon znowu zadzwonił. Daniel zastanawiał się, czy go nie zlekceważyć. Odczekał chwilę i w końcu odebrał.

– Chodzi o tego Vangiddera. Mówi, że jest policjantem i dzwoni z Holandii. Upiera się, że pan na pewno zechce z nim porozmawiać. I to zaraz, bo wieczorem wyjeżdża na tygodniowy urlop.

Policja holenderska? Czyżby Interpol wreszcie zrobił swoje?

– Dawaj go.

– Dobra.

Czekał niecierpliwie, nasłuchując sygnału i mając nadzieję, że połączenie nie zostało zerwane. W świetle tego, co Shmeltzer i Daoud znaleźli w Amelia Catherine, informacja z Europy może zawęzić śledztwo.

Sygnał został zagłuszony przez serię trzasków, cichy mechaniczny warkot, a potem odezwał się wysoki, radosny głos, przemawiający bezbłędną angielszczyzną.

– Nadinspektor Sharavi? Mówi Joop van Gelder z policji amsterdamskiej.

– Witam. Czy mówię z nadinspektorem?

– Jestem *commissaris* – odparł van Gelder. – To prawie to samo.

Daniel dobrze wiedział, że stopień jego rozmówcy był o oczko wyższy niż nadinspektor. Joop van Gelder był bezpretensjonalny. Poczul do niego instynktowną sympatię.

– Witam, komisarzu. Dziękuję za telefon i przepraszam, że musiał pan czekać.

– Prawdę powiedziawszy, to moja wina – odparł van Gelder, nadal radośnie. – Nie przedstawiłem się jako oficer policji, bo wydawało mi się, że człowiek z Interpolu podał moje nazwisko.

Dzięki, Friedman.

– Nie, przykro mi, komisarzu. Nie podałem.

– Nieważne. Mamy do omówienia ważniejsze tematy, prawda? Dziś rano wasz człowiek przesłał pewne dane na temat zabójstw, które idealnie pasują do nie rozwiązanego morderstwa w naszym mieście. Od razu pomyślałem, że muszę się z panem skontaktować.

Mam wolne i pakuję się przed wyjazdem na urlop w Anglii. Pani van Gelder nie zgodzi się na dalsze opóźnienie Wyjazdu, ale chcę panu przesłać informację.

Daniel podziękował mu jeszcze raz, naprawdę czując wdzięczność.

– Kiedy wydarzyło się to morderstwo, komisarzy?

– Piętnaście miesięcy temu.

Piętnaście miesięcy. Friedman miał rację co do komputera Interpolu.

– Paskudna sprawa – ciągnął van Gelder. – Z całą pewnością zabójstwo na tle seksualnym. Dotychczas nie wyjaśnione. Nasz psychiatra uważa, że ma wszelkie cechy pierwszego spośród serii morderstw psychopaty. Ale nie jesteśmy pewni. Nieczęsto miewamy tu takie rzeczy.

– Tak jak my. – Przynajmniej do niedawna.

– Niemcy znają się na tym – powiedział van Gelder. – I Amerykanie. Zastanawiające, dlaczego. W każdym razie nie doszło do następnego morderstwa, rozważaliśmy więc dwie możliwości: psychiatra się pomylił, to się zdarza, prawda? – Roześmiał się. – Albo morderca był w Amsterdamie przejazdem i pojechał mordować gdzie indziej.

– Podróżujący psychopata – skwitował Daniel i podał dane pochodzące z FBI.

– Przeróżające – powiedział van Gelder. – Ja także usiłowałem dotrzeć do danych FBI. Jednak Amerykanie nie okazali się pomocni. Nie doszło do drugiego morderstwa, więc zaczęli piętrzyć biurokratyczne przeszkody.

Daniel milczał.

– Możemy sprawdzać, czy w bagażach nie ma bomby – ciągnął van Gelder – ale takiego terrorystę jest trudniej namierzyć, prawda?

– Pewnie – odparł Daniel. – Noże można kupić wszędzie. Nawet jeżeli morderca posługuje się stale tymi samymi, zawsze może wytłumaczyć, że są mu potrzebne.

– Lekarz.

– To jedna z naszych hipotez.

– Naszych także, nadinspektorze. Przez pewien czas sądziłem, że ułatwi rozwiązanie sprawy. Sprawdzanie archiwów nie doprowadziło do znalezienia podobnych przypadków w pozostałych krajach Interpolu, ale prawie identyczna zbrodnia miała miejsce we wrześniu 1972 roku w Sumbok, to mała wysepka w południowej części archipelagu Indonezji, która kiedyś stanowiła kolonię holenderską. Nadal konsultujemy się z lokalną policją dawnych kolonii, raz na dwa lata przesyłają nam swoje dane. Jeden z moich urzędników przeglądał sprawozdania i natrafił na opis sprawy: nie rozwiązany przypadek morderstwa i okaleczenia zwłok szesnastoletniej dziewczyny. Na początku myśleliśmy, że wspólnym ogniwem jest sprawa plemienna – nasza ofiara z Amsterdamu była Indonezyjką, a właściwie pół-Indonezyjką. prostytutka, Anjanette Gaikeena. Istniała możliwość, że jej zamordowanie miało związek z jakimś prymitywnym rytuałem lub z zemstą rodzinną. Ale okazało się, że jej rodzina nie jest w żaden sposób powiązana z wyspą Sumbok. Matka pochodzi z północnego Borneo, a ojciec jest Holendrem. Poznali się, gdy służył w wojsku i zamieszkali w Amsterdamie osiemnaście lat temu. Kiedy przeczytałem o tamtejszym morderstwie na tle seksualnym, byłem zaintrygowany. Sumbok składa się z piaszczystej plaży i dżungli – kilka plantacji kauczuku i manioku, żadnego ruchu turystycznego. Potem przypomniało mi się, że kiedyś znajdowała się tam uczelnia medyczna: The Grand Medical Facility of St. Ignatius. Bez jakichkolwiek powiązań z Kościołem katolickim – słowo „święty” zostało użyte, bo brzmi bardziej oficjalnie. W najlepszym razie czwartorzędna szkoła. Bez praw państwowych, słabo wyposażona, ale bardzo droga – nastawiona na robienie pieniędzy, prowadzona przez pozbawionego skrupułów amerykańskiego biznesmena. Wynikły jakieś nieporozumienia na temat podatków i rząd indonezyjski zamknął ją w 1979 roku. Ale w 1972 jeszcze działała i liczyła ponad czterystu studentów – głównie cudzoziemców, którzy nie dostali się na studia gdzie indziej. Udało mi się zdobyć listę studentów z 1972 rocznika i spis wykładowców, po

czym sprawdziłem je z naszymi danymi paszportowymi z czasu morderstwa Gaikeena, ale, niestety, nie znalazłem żadnego związku.

Słuchając van Geldera, Daniel wyjął dane dotyczące morderstw w USA, pochodzące z banku FBI. Shehadeh: marzec 1971. Breau: lipiec 1973. Morderstwo w Sumbok plasowało się pomiędzy nimi.

– Ma pan te listy pod ręką, komisarzu?

– Mam.

– Chciałbym odczytać panu kilka nazwisk, może znajdują się w spisie.

– Oczywiście.

Okazało się, że nie.

– To byłoby zbyt łatwe – powiedział van Gelder. – Tak nigdy nie bywa.

– Ale i tak chciałbym obejrzeć spis.

– Prześlę go panu jeszcze dziś.

– Dziękuję. Proszę mi opowiedzieć więcej o morderstwie w Amsterdamie.

Van Gelder opisał zabójstwo: bestialsko okaleczone zwłoki Anjanette Gaikeeny znaleziono w budzie, gdzie oczyszczano ryby, niedaleko jednego z doków w północno-wschodniej części miasta.

– To najniebezpieczniejsza okolica w mieście – powiedział *commissaris*. – Tuż w sąsiedztwie naszej dzielnicy czerwonych latarni. Był pan w Amsterdamie, nadinspektorze?

– Tylko raz. W zeszłym roku, przejazdem. To, co zdążyłem zobaczyć, było piękne, ale nie miałem czasu na zwiedzanie. Jednak widziałem dzielnicę czerwonych latarni. – Musiał wtedy odsiadywać wyrok dwudniowego aresztu domowego w apartamencie hotelowym, pilnując olimpijskiej drużyny futbolistów oraz sześciu cyklistów. Słuchał, jak sportowcy nerwowo opowiadają sobie sprośne kawały, i ścisnął w rękę uzi. W końcu podopieczni stali się nie do zniesienia i pozwolono im na jedną wycieczkę. Jednomyślny wybór padł na słynną dzielnicę prostytutek z Amsterdamu.

– Każdy ją ogląda – powiedział komisarz ze smutkiem. – Jednak okolica doku, gdzie znaleziono Gaikeenę, nie należy do naszych atrakcji turystycznych. W nocy jest opustoszała, bywają tam jedynie pijani marynarze, włóczędzy i inni nieproszeni goście. Szopy nie zamknięto. Nie było tam nic, co można by ukraść: same ości śledzi i stary powykrzywiany stół. Leżała na stole, na białych prześcieradłach. Okaleczenia dokładnie odpowiadają ranom waszej pierwszej ofiary. Nasz patolog stwierdził, że została uśpiona heroiną, użyto co najmniej trzech noży, ostrych jak skalpele chirurgiczne, ale niekoniecznie musiały to być skalpele. Był zdumiony, że tak dokładnie ją wymyło, nie pozostawiając najmniejszego włókna, które stanowiłoby ślad, spermy lub czegoś, co pozwoliłoby na określenie surowicy. Do umycia ciała i włosów użyto miejscowego mydła, najczęściej wydawanego w hotelach. Sprzedaje się go u nas miliony kostek rocznie, więc nie stanowi żadnej poszlaki. Usiłowaliśmy namierzyć sprzedawcę prześcieradeł, ale bezskutecznie.

– Została zabita na miejscu?

– Nie wiadomo. W każdym razie na pewno tam ją umyło i spuszczone z niej krew. W szopie znajduje się duża rynna do patroszenia i mycia ryb, wystarczająca, by pomieścić kobietę wzrostu Gaikeeny. Prowadzi do morza, ale przed bramą służy znajduje się załamanie. Znaleziono tam ślady ludzkiej krwi zmieszane z odpadkami ryb.

Dokładne badania, pomyślał Daniel. Ale nie na wiele się zdały.

Van Gelder myślał o tym samym.

– Przejrzelśmy listę znanych nam przestępców seksualnych i nożowników. Przesłuchiwalismy wszystkich całymi godzinami, rozmawialismy ze stałymi klientami prostytutek, wypytałismy każdą dziwkę i każdego alfonsa w okolicy, czy nie pamiętają, z kim poszła ostatniej nocy. Wszystkie tropy okazały się fałszywe. Teraz, kiedy wiemy więcej o naszym podróżniku, widać, że była to strata czasu. – Ton Holendra nie brzmiał już radośnie. –

Ale teraz wy go możecie schwytać, przyjacielu. Będziemy pracować razem.

– Dobrze by było – powiedział Daniel – gdyby któreś z nazwisk, które panu przeczytałem, znajdowało się w danych paszportowych.

– Wszyscy są jednakowo podejrzani? – zapytał Holender.

– Poważnie podejrzani. – Daniel wiedział, że van Gelder chce czegoś więcej. Uszeregowania nazwisk od najbardziej podejrzanego, i żałował, że nie może mu tego dać. – Cokolwiek pan znajdzie na temat któregoś z nich, będzie bardzo pomocne.

– Jeżeli sprawdzanie paszportów da pozytywny wynik, chętnie sprawdzimy hotele, linie lotnicze, kierowców autobusów, przewoźników, handlarzy. Jeżeli któraś z osób była w Amsterdamie w czasie zabójstwa Gaikenny, dostarczymy wam wszelkie dostępne dane na jej temat. Wyjeżdżam do Anglii na tydzień. Podczas mojej nieobecności zastąpi mnie Pieter Bij Duurstede. – Van Gelder przeliterował nazwisko i dodał: – Jest nadinspektorem, bardzo sumiennym facetem. Gdy tylko coś się pojawi, natychmiast da panu znać. – Van Gelder podał Danielowi bezpośredni numer do Bij Duurstede. – A ja będę oglądał zmianę warty przed pałacem Buckingham.

Daniel się roześmiał.

– Dziękuję panu, *commissaris*. Był pan bardzo pomocny.

– To moja praca – odparł van Gelder. – Wie pan, my, Holendrzy, chlubimy się naszą tolerancją. Niestety, tolerancja jest czasem mylona z biernością. – Zamilkł. – Schwytajmy tego szaleńca, przyjacielu. Pokażmy mu, że nie tolerujemy takiego zła.

ROZDZIAŁ 59

Wszyscy przyszedli punktualnie, nawet Avi, który, z krótko obciętymi włosami i gładko ogoloną twarzą, wyglądał jak uczeń.

Daniel nawiązał do kwestii wykradzionych kart chorób i powiedział:

– Wszystkie trzy ofiary były pacjentkami Amelia Catherine. Nahum i Elias zdobyli karty dzisiejszego ranka, a ja zapoznałem się z ich zawartością. Fatma i Shahin były badane w Klinice Ogólnego Zdrowia Kobiety, która działa w trzy czwartki każdego miesiąca. Drugi czwartek miesiąca przeznaczony jest na specjalności: ginekologiczną i położniczą, choroby oczu, uszu, nosa gardła, schorzenia skóry oraz neurologiczne. Juliet odwiedziła klinikę neurologii, aby otrzymać lekarstwo na padaczkę.

Fatma była pierwsza: w czwartek przed opuszczeniem klasztoru została przyjęta na leczenie wysypki w pochwie oraz by się pozbyć wszy łonowej. Amerykańska pielęgniarka, Peggy Cassidy, przyjmująca i lecząca większość pacjentek, utrzymuje, że Fatma zgłosiła się, zapewniając, że jest dziewicą i nie ma pojęcia, skąd wzięły się u niej wszy i wysypka, która okazała się infekcją drożdżakami, zwanymi *Candida albicans*. Jednakże podczas wywiadu chorobowego Fatma załamała się i przyznała, że miała stosunek płciowy ze swoim chłopcem, przyniosła wstyd rodzinie i została wyrzucona z domu. Cassidy opisała ją jako „cierpiącą na depresję, lękliwą, samotną i potrzebującą psychospołecznego wsparcia”. Oprócz poczucia winy z powodu utraty dziewictwa i strachu przed rodziną, Fatma była przekonana, że zaraziła wszami Abdelatifa i obawiała się, że chłopak porzuci ją, gdy się o tym dowie, chociaż my wiemy od Maksouda, szwagra Abdelatifa, że prawdopodobnie to on ją zaraził. Abdelatif zadawał się z prostytutkami i nie raz zaraził wszami rodzinę Maksouda.

Cassidy przepisała jej maść – siarczan neomycyny – na zakażenie i poleciła wykonanie odwyszawiającej kąpieli. Sukienka Fatmy została wyprana w szpitalnej pralce. Cassidy usiłowała wspomóc dziewczynę psychologicznie, ale napisała w karcie, że „bariera językowa oraz postawa pacjentki uniemożliwiła nawiązanie stosunków terapeutycznych”. Następną wizyta została wyznaczona na najbliższy czwartek; Cassidy wyraziła wątpliwość, czy Fatma pokaże się po raz wtóry. Jednak przyszła punktualnie, o dziewiętej trzydziści rano, co zgadza się z zeznaniem Anwara Rashmawiego, który obserwował siostrę i Abdelatifa, gdy w czwartek rano wyszli przez Bramę Nową, po czym rozstali się i ruszyli w przeciwnych kierunkach. Abdelatif poszedł na dworzec autobusowy i kupił bilet do Hebronu. Teraz wiemy, dokąd poszła Fatma.

Z notatek Cassidy wynika, że infekcja ustąpiła, Fatma nie miała już wszawicy, ale jej stan emocjonalny pogorszył się – była „w głębokiej depresji”. Cassidy znów usiłowała jej pomóc, ale bez skutku. Wyzaczyła Fatmie wizytę za dwa tygodnie, w dniu Kliniki Zdrowia Ogólnego. Cassidy uznała możliwość konsultacji psychiatrycznej. Jej notatki dotyczące obu wizyt są zgodne z opinią doktora Hassana Al Bijadiego, który również je podpisał.

Detektywi słuchali z kamiennym wyrazem twarzy. Żaden z nich się nie odezwał ani nie poruszył.

– Teraz Juliet – powiedział Daniel. – Została przyjęta w następny czwartek w klinice

neurologicznej, chociaż kliniki różnią się właściwie tylko nazwą. Ją także najpierw zbadała Peggy Cassidy, która zauważyła ślady po ukłuciu igłą na ramionach i nogach, spytała o narkotyki i otrzymała odpowiedź przeczącą. Nie uwierzyła jednak i zanotowała: „Pacjentka prezentuje objawy uzależnienia, a także psychiczne otępienie, a nawet opóźnienie; możliwa afazja na skutek stosowania narkotyków, chroniczne zaburzenia padaczki uogólnionej lub ich kombinacja”. Odnotowała również fakt, że Juliet niedawno przybyła z Libanu i nie ma rodziny ani psychologicznego wsparcia.

– Jeszcze jedna ofiara doskonała – zauważył Chińczyk.

Daniel skinął głową.

– Cassidy uznała, że Juliet prawdopodobnie nie zastosuje się do zaleceń, i także zasugerowała, by wydać jej małą ilość leku, żeby mieć pewność, że wróci na badania encefalograficzne i przeprowadzenie testu na inteligencję. Al Bijadi zbadał ją i wydał potrzebny na tydzień fenobarbital i dilantin oraz potwierdził podpisem notatki Cassidy. Tego samego wieczoru Juliet została zamordowana.

Shmeltzer chrząknął i pokręcił głową. Od kilku dni się nie golił, postarzał się i wyglądał mizernie.

– I nasza nowa, Shahin Barakat – ciągnął Daniel. – W ciągu ostatnich sześciu tygodni była trzykrotnie w Klinice Zdrowia Ogólnego. Za pierwszym razem przyjęli ją Cassidy i doktor Carter, za drugim i trzecim Cassidy i doktor Al Bijadi. Przyszła, żądając ogólnego przebadania, które wykonała Cassidy, a podpisał doktor Carter. Poza infekcją ucha zewnętrznego, leczonej antybiotykami, uznano ją za zdrową, chociaż Cassidy zauważyła, że pacjentka „sprawia wrażenie przygnębionej”. Napisała również, że jest „ustępliwa”.

– Czytaj: „łatwowierna” – wtrącił Shmeltzer.

– Podczas drugiej wizyty sprawdzono ucho, które okazało się zdrowe. Ale Cassidy zanotowała, że pacjentka wygląda na jeszcze bardziej przygnębioną. Skąd my to znamy? A gdy ją zapytała o przyczyny, Shahin zaczęła mówić o niepłodności, której się wstydzi przed mężem i jego rodziną, i o tym, że mąż najpierw ją kochał, a teraz nienawidzi. Już raz na nią uniósł. Była przekonana, że dokończy *talaq* i wyrzuci ją z domu. Zacytuje Cassidy, która napisała: „brak jej wsparcia psychospołecznego oraz pomocy ze strony rodziny. Pacjentka nie ma rodzeństwa, ojciec zmarł, a matkę nazwała »bardzo chorą«. Zapytana o rodzaj choroby, odpowiadała z wyraźnym napięciem i wykrętnie, co sugeruje jakieś problemy psychiatryczne”.

Cassidy zasugerowała, by Shahin poddała się badaniu miednicy, aby zdiagnozować przyczynę niepłodności. Pacjentka zapytała, czy w klinice są lekarki, gdy dowiedziała się, że nie, poprosiła, aby zbadała ją Cassidy. Pielęgniarka odparła, że nie posiada odpowiednich kwalifikacji. Shahin odparła, że nie podda się badaniu, bo żaden mężczyzna, oprócz jej męża, nie może dotykać jej w intymny sposób. Nalegała też, by obejrzała ją arabska lekarka. Cassidy poinformowała ją, że najbliższa arabska lekarka pracująca jako wolontariuszka dla UNRWA jest dostępna raz w miesiącu w objazdowej klinice z siedzibą w obozie Deir El Balah w Gazie i że z przyjemnością załatwi jej wizytę. Shahin odmówiła, twierdząc, że Gaza jest zbyt daleko. Wobec tego Cassidy dała za wygraną i zanotowała: „Pacjentka nadal pozostaje w fazie odmowy co do niepłodności oraz stanu jej małżeństwa. Być może pozwoli na badania, gdy napięcie w związku wzrośnie jeszcze bardziej”.

Ostatnia wizyta Shahin była dwa dni temu. Cassidy określiła dziewczynę jako „pogrążoną w głębokiej depresji”. Mąż dokonał *talaq* i pacjentka nie miała dokąd pójść i co jeść. Została zważona i okazało się, że od ostatniej wizyty, która miała miejsce miesiąc wcześniej, straciła trzy kilogramy. Wyjaśniła Cassidy, że straciła apetyt i od czasu wypędzenia z domu nie jadła ani nie spała. Schroniła się pod jednym ze starych drzew niedaleko Ogrodu Oliwnego i nie dba o to, czy przeżyje. Cassidy stwierdziła, że ciśnienie pacjentki jest bardzo niskie, dała jej trochę jedzenia i zleciła kąpiel oraz usiłowała dać jej „wsparcie”. Shahin wyznała, że się

obawia, że straci rozum, i powiedziała, że jej matka jest psychicznie chora i mąż stale jej powtarzał, że odziedziczyła szaleństwo po matce. Cassidy zaleciła odpoczynek w łóżku w jednej z sal szpitalnych oraz ewentualne umieszczenie w schronisku dla kobiet. Shahin odmówiła, ale przyjęła jedzenie. Po czym, według słów Cassidy, opuściła szpital wbrew zaleceniom medycznym. Al Bijadi nie widział jej tym razem, ale podpisał notatki Cassidy i zgodził się z nimi.

Daniel uniósł wzrok znad swego streszczenia.

– Trzy kobiety pozbawione korzeni, dwie spośród nich przerażone, przygnębione i opuszczone, trzecia umyślowo niedorozwinięta narkomanka, pozbawiona rodziny uciekiniarka. Ofiary doskonałe, jak zauważył Jossi. Z jednym wyjątkiem, zabójca nie wziął pod uwagę, że miłość Abdina Barakata do żony przetrwa. Gdyby Eliasowi nie udało się go nakłonić do wyznań, nadal nie znalazłbyśmy wspólnego ognia.

Daoud przyjął komplement lekkim skinieniem głowy.

– Cassidy i Bijadi widzieli wszystkie trzy – rzekł Daniel. – Carter jedną z nich. Kontakt chorych z lekarzami wydaje się minimalny. Szybki rzut okiem i po wszystkim. Biorąc pod uwagę liczbę pacjentek w szpitalu, jest możliwe, że nazwiska Fatmy i Juliet nic dla lekarzy nie znaczą. Ale Peggy Cassidy spędziła z nimi sporo czasu, na pewno je zapamiętała, więc w najlepszym razie zachowała tę wiedzę dla siebie. W najgorszym...

– Najgorszy jest bardziej prawdopodobny – powiedział Shmeltzer. – Motyw, okazja. Ona i jej ukochany, razem.

– Jaki motyw? – zapytał Chińczyk.

– Dani powiedział: obydwójce są sympatykami Organizacji Wyzwolenia Palestyny, chcą nas szczuć na Arabów, doprowadzić do przelewu krwi.

Daniel spostrzegł przelotny uśmiech, którym Daoud skwitował słowo „nas”. On także był nie ogolony i zmęczony. Siedział obok starszego mężczyzny. Sponiewierani towarzysze broni.

– Doskonałe miejsce – ciągnął Shmeltzer. – Setki pacjentów defilujących codziennie. Kobiety dziś, mężczyźni jutro. Cassidy obserwuje, wybiera najwrażliwsze. Będąc kobietą, łatwo zyskuje ich zaufanie. Nawiązuje z nimi kontakt. Zapewnia, że zastrzyk przyniesie im ulgę, uspokoi je. Wchodzi jej ukochany i... – Shmeltzer przejechał sobie palcem po szyi.

Obserwuje stado, pomyślał Daniel, i wybiera najsłabsze.

– Trzy miejsca zbrodni – mówił Shmeltzer. – Jaskinia oraz ich pokoje. – Zwrócił się do Daouda: – Pokaż im plany.

Daoud rozwinął kserokopie planu parteru Amelia Catherine i rozpostarł ją na stole. Wszyscy się nachylili. Daoud wskazał kilka, zakreślonych na czerwono, pokoiów w zachodnim skrzydle.

– Poprzednio były pomieszczeniami dla służby – wyjaśnił Daoud. – Teraz mieszkają w nich pracownicy. Nahum zapamiętał tabliczki na drzwiach.

– On także – powiedział Shmeltzer, robiąc minę do Daouda. – Falszywa skromność nie jest cnotą.

– Pokój Al Bijadiego jest tutaj, na końcu, najbliższej tylnego wyjścia – mówił Daoud. – Pokój Cassidy bezpośrednio z nim sąsiaduje. _

– Nic dziwnego, skoro pomiędzy pokojami są drzwi – dodał Shmeltzer. – Dwie umywalki, dwie wanny, mnóstwo miejsca na rzeź i mycie. Łatwy dostęp do narkotyków, noży, prześcieradeł, ręczników i mydła oraz do szpitalnej pralki. Kilka kroków do tylnego wyjścia i krótki spacer po ciemku do tunelu, który znaleźliśmy.

– Jak daleko jest od wyjścia z tunelu do pieczary? – zapytał Daniel.

– Parę kilometrów – odparł Shmeltzer. – Ale nocą można przejść niezauważonym. Jedno z nich niesie ciało, drugie sprzęt. Zarośla doskonale maskują przejście ze szpitala na pustynię. Z lotu ptaka widoczne jest jako jedna z wielu zielonych kresiek. Prawdopodobnie będziemy to

mogli udowodnić, posługując się zdjęciami lotniczymi.

– Po co im pieczara, skoro mają do dyspozycji dwa pokoje? – zapytał Chińczyk.

– Kto ich tam wie. To szaleńcy – rzekł Shmeltzer. – Zajmują się polityką, ale to dwoje wariatów, diabelska para.

Daniel obejrzał plan, po czym zwinął go i umieścił obok swoich notatek.

– Czy ktoś was widział?

– Raczej nie – powiedział Shmeltzer. – Nikt się mną nie interesował. Baldwin prawdopodobnie uznał, że jeszcze jeden stary Arab powlókł się gdzieś, żeby umrzeć. Prawdopodobnie przywykli tam do tego.

Daoud poparł go skinieniem głowy.

– A co z brakującymi kartami? – spytał Daniel.

– Zorientują się, gdy ktoś ich zacznie szukać – odrzekł Shmeltzer. – Ale po co?

– Dlaczego Cassidy i Al Bijadi mieliby robić coś tak oczywistego, jak zabijanie własnych pacjentek? – zapytał Daniel.

– I po co zostawialiby ich karty? Dlaczego ich nie zniszczyli?

– Przez arogancję – odparł Shmeltzer. – Typowa amerykańska arogancja. Począwszy od 1948 Amerykanie łamią prawo dzień w dzień, więc wyobrażają sobie, że są nietykalni. A Cassidy i Al Bijadi są na domiar złego aroganczy jako jednostki. Ona to zimna suka, a on obnosi się, jakby szpital stanowił jego własność, traktuje pacjentów jak podludzi.

– Jak każdy lekarz – wtrącił Chińczyk.

Daniel przypomniał sobie swoje pierwsze i jedyne spotkanie z Al Bijadim, jego pełne wrogości zdenerwowanie. Przypomniał sobie zimne przyjęcie przez Baldwina oraz to, jak wszyscy w Amelia Catherine dali mu odczuć, że jest obcy na swojej własnej ziemi.

Wielki różowy budynek był miejscem, od którego należało zacząć. Zabójca wykonał swoją pierwszą brudną robotę tuż obok swego domu, zapoznawszy się z niezmienną marszrutą Yaakova Schlesingera i wiedząc, że może bezpiecznie przeciąć drogę i wyrzucić ciało Fatmy. Potem, dla odwrócenia uwagi od Scopus, wyrzucił ciała Juliet i Shahin po przeciwnej stronie miasta.

Teraz śledztwo zatoczyło pełny krąg.

Po znalezieniu dwóch kolejnych ofiar.

– Każdy pracownik szpitala mógł wypatrywać wrażliwych pacjentek – powiedział. – Nie tylko Al Bijadi i Cassidy. Każdy miał dostęp do tych kart chorób. Sami widzicie, jak łatwo udało się wam je zdobyć. I pamiętajcie o Amerykaninie z bezbarwnymi oczami, o którym mówiła Czerwona Amira Nasser. Al Bijadi nie wygląda na przybysza z Zachodu. Z tego, co wiemy, opowieść Amiry może dotyczyć kogoś innego, ale i tak byłoby miło uzyskać od niej dokładny opis. Nahum, czy Mosad nadal twierdzi, że nie mogą jej odnaleźć w Jordanie?

– Ani śladu dziewczyny – odrzekł Shmeltzer. – Może to prawda, a może wciskają nam ciemnotę. Tak czy siak, myślę, że jej opowiadka to lipa, jedna z fantazji Małego Hooka. Nie znaleźliśmy żadnego śladu wskazującego, że była leczona w Amelia Catherine. Nie pasuje do sprawy. A jeśli potrzebny ci jest dziwnie wyglądający Amerykanin, dlaczego nie Cassidy? Mogła się przebrać za mężczyznę; nie jest ani trochę kobieca. Może właśnie to wydało się Amirze takie dziwaczne.

– Możliwe – powiedział Chińczyk – że jest po operacji, zmiany płci. – Zachichotał. – Może zaszyła sobie jaja, żeby stać się jeszcze jedną Goldą.

Słabe uśmieški.

– Klinika działa w każdy czwartek, więc skąd przerwa? – zauważył Avi. – Dwa morderstwa w odstępie tygodnia, a potem nic, aż do ostatniego piątku.

– Jeżeli opowieść o Amirze Nasser jest prawdziwa – powiedział Daniel – morderca przymierzał się do niej dokładnie w tydzień po zabiciu Juliet. Przerwa w działaniu. Ale Ben David twierdzi, że psychopaci czasem robią coś takiego. To dowód kontroli nad impulsami.

Może niepowodzenie z Amirą spowodowało przerwę; stał się bardziej ostrożny.

– Historia z Amirą to wymysł – rzekł Shmeltzer. – Bardziej prawdopodobne jest to, że w klinice nie pojawiła się następna odpowiednia kandydatka na ofiarę. Nie było wystarczająco głupiej lub wrażliwej pacjentki.

– Słuszna uwaga, Nahum. Ale mamy osiem amerykańskich zabójstw, które nie są wymysłami. Gdy Al Bijadiemu odmówiono wizy, dokładnie zapoznano się z jego przeszłością. Z danych w naszym archiwum wynika, że był w Ammanie do 1975 roku i nie podróżował do Stanów. To wyklucza pierwsze zabójstwo w Los Angeles i drugie, w Nowym Orleanie. Wziąłem na serio twoją sugestię, że mógł kursować pomiędzy Jordanem i Stanami przed rokiem 1975 jako turysta. Zwróciłem się do Amerykanów, aby sprawdzili ich dane. Ale sprawa musi dotrzeć do Departamentu Stanu, co oznacza mnóstwo papierkowej roboty i długie czekanie. Poszedłem więc na skróty i poprosiłem porucznika Brookera, aby użył swoich amerykańskich powiązań i pomógł mi namierzyć poczynania personelu Amelia Catherine w Stanach. Sprawdzić, czego jeszcze możemy się dowiedzieć o Al Bijadim, o Cassidy i innych pracownikach szpitala.

Skoro mowa o innych, Kanadyjczyk, Carter, badał Shahin za pierwszym razem. Ma jasne włosy, bez trudu może się dostać do Stanów. Wszystko, co o nim wiemy, pochodzi z raportu Korpusu Pokoju. Przyjrzyjmy się mu dokładniej. No, i jest jeszcze ten administrator, Baldwin, który jest Amerykaninem. Kieruje szpitalem, ma łatwy dostęp do wszystkich kart, klucze do każdego gabinetu. Mam również wrażenie, że łączy go coś z jego libańską sekretarką. Może pozostaje w stosunku miłość/nienawiść do kobiet arabskich. Doktor Darousha i Hadżab wydają się czyści – ciągnął. – Według Szin Bet, żaden z nich nie opuszczał kraju od 1967. Hadżab nigdy nie posiadał paszportu. Ale i tak będziemy ich śledzić. To samo, jeśli chodzi o starą pielęgniarkę, Hauser. Nie potrafię sobie jednak wyobrazić, by mogła kogokolwiek skrzywdzić. Wolontariusze stanowią większy problem. Z Szin Bet przysłano mi listę ponad dwudziestu zagranicznych lekarzy, pielęgniarek i techników, którzy okazjnie pracują na rzecz Amelia Catherine. Ogólnie rzecz biorąc, są stowarzyszeni z jedną z grup kościelnych oraz UNRWA i spędzają większość czasu w obozach dla uchodźców. Szin Bet dysponował starą listą i obecnie nie chce się włąmywać do ONZ. Tę dla nas otrzymała z jednego z obozów w Gazie. Sam zestaw nazwisk, nie dający odpowiedzi, czy i który z wolontariuszy był w Amelia Catherine w dniach, gdy badano nasze ofiary.

Chińczyk zapalił papierosa i poczęstował zebranych. Avi i Daoud także zapalili. Powietrze w pokoju było gęste od dymu.

– Jeszcze jedna informacja – dodał Daniel. – Zanim tu przyszedłem, miałem telefon z Amsterdamu.

Opowiedział o swojej rozmowie z van Gelderem.

– Nikt spośród stałego personelu ani wolontariuszy pracujących w Amelia Catherine nie figuruje na liście z indonezyjskiej uczelni medycznej. Możliwe, że ktoś z nich studiował w St. Ignatius pod przybranym nazwiskiem lub pod nazwiskiem prawdziwym, które później zmienił. Szkoła cieszyła się złą reputacją i w końcu ją zamknięto. Lekarz, któremu udało się przenieść do akredytowanej instytucji, z pewnością zechce wyrzec się wszelkiego związku z Sumbok. To mi nasuwa myśl o Baldwinie – zawodowym administratorem medycznym. Czasami ludzie, którym nie udało się zostać lekarzem, pracują z lekarzami.

– Szef lekarzy – skwitował Shmeltzer.

– Właśnie. Mógł rozpocząć studia medyczne w Sumbok, nie udało mu się przenieść na legalną uczelnię, więc został gryziپیórkiem. To samo może się odnosić do któregoś z pracujących ochotniczo techników. W każdym razie holenderskie morderstwo może nam pomóc. Gaikena została zabita piętnaście miesięcy temu. Van Gelder jest pewien, że Interpol nie odkrył w Europie podobnego zabójstwa, ale ja nadal staram się to jeszcze potwierdzić.

Jeżeli zabójca przybył z Amsterdamu wprost do Izraela, prawdopodobnie w paszporcie figuruje używane obecnie nazwisko. W Amsterdamie pracują nad danymi paszportowymi. Spodziewam się, że wkrótce zatelefonują. Zwróciłem się także o oryginalne dane dotyczące zabójstw w Ameryce, w których mogą się znajdować pomocne szczegóły oraz o listę studentów i pracowników uczelni w Sumbok. Będziemy się starali dociec, dokąd odeszli studenci St. Ignatius – dyplomowani oraz ci, którzy odpadli – jeśli któryś z nich wystąpił o zmianę nazwiska. Gene Brooker zajmie się Amerykanami, a ja wszystkimi innymi. Jeżeli uda się nam uplasować kogoś w Amsterdamie w czasie, gdy zamordowano Gaikeneę, oraz tutaj, w czasie naszych zabójstw, zajmiemy się nim.

– A jeśli nie? – zapytał Chińczyk.

– Jeżeli żaden ze śladów nie okaże się skuteczny, będziemy się musieli zająć wszystkimi podróżnymi, którzy opuścili Amsterdam po śmierci Gaikeny, a także tymi, którzy przedtem przybyli do Amsterdamu samolotem lub statkiem. To będą wielkie liczby.

– Rozrosną się jeszcze bardziej – wtrącił Shmeltzer – jeżeli zabójca udał się z Amsterdamu do Paryża, Londynu, Zurichu, Istambułu, Aten, Rzymu i tak dalej i nikogo w tych miastach nie zabił. Po prostu spędził dosyć czasu, by wyrobić sobie fałszywy paszport, zanim wsiadł do samolotu lecącego na lotnisko Ben Gurion.

– To także możliwe – zgodził się Daniel.

– Czy to znaczy, że będziemy sprawdzać każdego, kto przybył do naszego kraju po śmierci Gaikeny? W tym czasie, za pięć dni, do szpitala przyjdzie nowe stado potencjalnych ofiar. Dlaczego, u diabła, nie pójdziemy prosto do Amelia Catherine i nie sprawdzimy, czy w pokojach nie ma jakichś dowodów rzeczowych?

– Ponieważ góra kategorycznie tego zabroniła. Są wściekli, że wynieśliśmy karty z Amelia Catherine, nie poinformowawszy ich o tym. Próba dostania się tam legalnie także jest niemożliwa – ONZ się nie zgodzi. Góra podchodzi do sprawy w kategoriach politycznych. W ciągu ubiegłego tygodnia ONZ potajemnie udaremniła siedem prób oskarżenia nas przez Arabów przed Radą Bezpieczeństwa z powodu morderstw. Od czasu zamieszek w Beit Gwura doszło do trzech dalszych usiłowań aktów zemsty na kobietach żydowskich. W jednym przypadku omal nie doszło do tragedii. Nic o tym nie wiedziałem, dopóki nie poinformował mnie Laufer. A wy?

Wszyscy zgodnie pokręcili głowami.

– Z tego widać, jak bardzo chcą sprawę zachować w tajemnicy. Wczesne zidentyfikowanie Shahin pozwoliło nam nie podać do gazet informacji o jej zabójstwie. Mimo to dwa arabskie dzienniki i tak to zwąchały, dzięki plotkom krążącym po Starym Mieście, i usiłowały przemycić informacje na ostatnich stronach. Ich drukarnie były zamknięte przez siedemdziesiąt dwie godziny. Ale nie mamy wpływu na UNRWA. Konfrontacja z nimi doprowadzi do tego, że sprawa wypłynie na światło dzienne. Tak samo nieudolne wtargnięcie. Wiem, Nahum, że do tego by nie doszło, ale faceci w gabinetach wyłożonych drewnem nie podzielają mego optymizmu. W każdym razie nie zechcą ryzykować specjalnej sesji Rady Bezpieczeństwa z powodu trzech kart zdrowia.

– A może Laufer po prostu się nas czepia? – zapytał Avi.

– Nie. Od czasu wizyty burmistrza Laufer jest stosunkowo spokojny, chociaż znów zaczął mnie przynaglać. Naciskają na niego, by sprawa została szybko wyjaśniona. Góra daje nam jasno do zrozumienia, że musimy dać im więcej dowodów, zanim uzyskamy zgodę na jakiś ruch.

– *Szmuki* – powiedział Shmeltzer. – Mamy im dać dowody, zanim nam pozwolą je zdobyć. Niby jak mamy to zrobić?

– Obserwować szpital i wszystkich, którzy tam pracują. Zapisywać wszystkie wejścia i wyjścia.

– Inwigilacja. Bardzo twórcze – stwierdził Shmeltzer. – My będziemy siedzieć na

tyłkach, a tymczasem wilki zajmą się owieczkami.

– Tak jak powiedziałeś, zostało nam pięć dni do najbliższej kliniki – powiedział Daniel. – Jeżeli do tego czasu nic się nie wyjaśni, do szpitala wślizgnie się para oficerów Latam. A na razie porozmawiajmy o inwigilacji.

Shmeltzer wzruszył ramionami.

– Mów.

– Latam uzyskał pozwolenie, by dać nam dziesięcioro oficerów: ośmiu mężczyzn i dwie kobiety. Biorąc pod uwagę liczbę ludzi Amosa Harela, to bardzo hojne posunięcie. I to naprawdę dobrzy specjaliści: ludzie kalibru Shimshona Katza, Itzika Nasha. Miałem z nimi odprawę dziś po południu. Będą nadzorować szpital, śledzić wolontariuszy i czekać na nasze dyspozycje. Lepsze to niż nic, Avi. Chcę, żebyś się zajął Markiem Wilburem, a zwłaszcza jego skrzynką na listy. Ten zabójca jest mocno pokrecony, łącznie wszelkiego rozgłosu. Będzie szukał w gazetach czegoś na temat Shahin. Gdy nic nie znajdzie, może się wściec i zrobić coś dramatycznego, by zwrócić na siebie uwagę Wilbura. Ważne, żebyś nie został rozpoznany, więc często zmieniaj charakterystykę. *Kipot*, kapelusze, okulary, brudne ubrania. Jednego dnia śmieciarz, innego wózek z falafelami.

– Śmieciarz, to twoje ulubione zajęcie – powiedział Chińczyk, zatykając sobie nos i klepiąc Aviego po plecach.

Młody detektyw potarł wygolony podbródek i zrobił minę nieszczęśnika.

– Chętnie się poświęcę. Gdy go złapiemy, będę mógł z powrotem zapaść brodę. A to zadania dla pozostałych.

Wróciwszy do swego gabinetu, Daniel sprawdził na biurku, czy nie nadszedł telegram z Amsterdamu. Stwierdziwszy, że nie, zlecił telefonistce, by połączyła go z Bij Duurstedem.

– Nic nie mamy, pakad. Otrzymaliśmy pańską wiadomość, by natychmiast dać znać, gdybyśmy coś wiedzieli.

Daniel odłożył słuchawkę, po czym połączył się z Gene'em w Laromme.

– Jak dotąd, nic interesującego – powiedział czarny policjant. – Dotarłem do wszystkich uczelni medycznych i szkół pielęgniarstwa oraz do college'u Baldwina w San Antonio w Teksasie. Z tego, co się dowiedziałem, wszyscy podali miejsca studiów zgodnie z prawdą. Mówię tylko o rozpoczęciu studiów. Urzędniczki we wszystkich biurach obiecały mi, że sprawdzą pozostałe dane. Mam się do nich odezwać pod koniec dnia pracy, wtedy przekonam się, czy dotrzymały słowa. Myślę, że telefonuję z LA. Na wypadek gdyby zechciały sprawdzić, zawiadomiłem mego sierżanta, żeby mnie krył. Mogą jednak trafić na kogoś innego, więc trzymaj kciuki, by się udało. Co z tymi danymi na temat lekarzy? Czy macie je w bibliotece?

– Tylko spis lekarzy w Izraelu.

– Szkoda. Słuchaj, mogę zadzwonić do jednego kumpla i poprosić, żeby coś dla mnie zrobił. A co u ciebie?

Daniel opowiedział mu o rozmowie z policjantem z Amsterdamu.

– Hmm. Interesujące – powiedział Gene. – Obieżyświat.

– Rany zadane ofierze w Amsterdamie są identyczne jak u naszej pierwszej zabitej. A nasze powtarzają schemat amerykański. Wygląda na to, że potraktował Amsterdam jako wprawkę. Szykując się do większego wyczynu u nas.

– Może ma jakieś powody osobiste – powiedział Gene. – Na przykład jest antysemitą. – Zamilkł. – Myślę, że spis nazwisk z tej szkoły medycznej na wyspie przyspieszy sprawę.

– Możliwe. Muszę kończyć. Sprawdzę, czy nie nadszedł telegram. Dzięki za wszystko, Gene. Gdy się czegoś dowiem, dam ci znać. Kiedy się wyprowadzacie?

– Właśnie to robię. Złapałeś mnie przy drzwiach. Jesteś pewien, że to konieczne?

– Jestem. Twój rachunek telefoniczny jest już i tak niebotyczny. Jeżeli nie chcesz pozwolić, żebym ci zwrócił pieniądze, przynajmniej korzystaj z mojego telefonu.

– A tobie kto zwróci pieniądze?
– Wpiszę to na listę kosztów. W końcu mi zapłacą. Trudniej byłoby wpisać twoje połączenia telefoniczne.
– Dobrze. Ale już podałem hotelowy adres w połowie biur, z którymi rozmawiałem. Ktoś będzie musiał przez cały czas sprawdzać, czy nic nie nadeszło.
– Zajmę się tym, a ty dzwoń. Laura spodziewa się ciebie. Uprzątnęła biurko w pracowni. Znajdziesz kanapki i...
– I coś do picia, w lodówce. Wiem. Lu i ja byliśmy u was na lunchu w szabat. Shoshi wszystko przygotowała własnoręcznie i pokazała, że zawija wszystko w plastikową folię. Dziś wieczorem wybierają się na lody. Zadzwoń, to jeszcze ich zastaniesz.
– Dziękuję za dobrą radę. *Szalom*.
– *Szalom* – odparł Gene. – I *Szawua tow*. – Było to, składane po szabacie, tradycyjne życzenie pomyślnego tygodnia.
– Gdzie się tego nauczyłeś?
– Twoje dzieci mnie edukują.
Daniel się roześmiał, walcząc z tęsknotą i samotnością.
– *Szawua tow* – odparł.
Pobożne życzenie.
Po rozmowie z Gene'em zapragnął zatelefonować do domu. Laura odezwała się tonem pełnym napięcia.
– *Szawua tow* – powiedział. – Przepraszam, że dzwonię dopiero teraz.
– Pies uciekł, Danielu. Zniknął. Nie wychodził dziś po południu, więc Shoshi wzięła go na spacer po parku. Spotkała przyjaciółkę, zagadały się i spuściła go ze smyczy. Gdy się rozejrzała, nigdzie go nie było. Przeszukały cały park. Zniknął. Bała się wrócić do domu. A teraz zamknęła się w swoim pokoju i histerycznie płacze.
– Daj mi ją.
– Poczekaj.
Po chwili wróciła Laura.
– Jest zbyt zdenerwowana i zawstydzona, żeby rozmawiać.
– Kiedy to się stało?
– Zaraz po szabacie.
Ponad godzinę temu. I nikt do niego nie zatelefonował.
– Nigdy przedtem tego nie robił – powiedziała Laura. – Zawsze był taki tchórzliwy, trzymał się przy nodze pana.
Pana chwilowo zabrakło, pomyślał Daniel.
– A chłopcy?
– Dziwnie spokojni. Mikey usiłował nawet pocałować Shoshi. Więc wyobrażasz sobie, jaki nastrój panuje w domu.
– Pies wróci, Lauro.
– Ja też tak myślę. Na wszelki wypadek zostawiłam uchylone drzwi na klatkę. Mieliliśmy zamiar pójść na lody, ale nie chcę, żeby biedaczek przydreptał do domu i nikogo nie zastał.
– Wkrótce przyjdzie Gene. Gdy tylko się pojawi, idźcie na lody. A na razie spytaj Berkowitzów z drugiego piętra. Dayan lubi ich kota. I w sklepie Liebermana. Shoshi często go tam zabierała. Lieberman daje mu okrawki z kurczaka.
– Berkowitzowie nie widzieli psa. I nie kręcił się w pobliżu sklepu. Przed chwilą rozmawiałam z Liebermanem. Jest w domu i otworzy sklep dopiero jutro o dziesiątej. Prosiłam go, żeby poszukał Dayana, gdy przyjdzie do sklepu. Dobrze sobie radzę, panie detektywie?
– Na piątkę z plusem. Tęsknię za tobą.
– A ja za tobą. Coś nowego?

- Jest pewien postęp. Sprawa daleka od rozwikłania, ale pętla się po trochu zaciska. Wiedziała, że lepiej się nie dopytywać o szczegóły.
- Złapicie go – powiedziała. – To tylko kwestia czasu. Wrócisz do domu na noc?
- Mam nadzieję. Czekam na telegram z zagranicy. Gdy tylko nadejdzie, wrócę do domu. Dokąd się wybieracie na lody? Mogę zabrać Gene'a i do was dołączyć.
- Jakie są na to szanse? – roześmiała się Laura.
- Pytam na wszelki wypadek – odparł Daniel.
- Myślałam o Cafe Max. Chłopcy długo spali po południu. Wytrzymają do późna. Jeśli będą śpiący, szybko zjemy i może wpadniemy do twego ojca. – Laura posmutniała. – Tak mi żal naszego małego pieska. Najpierw w ogóle nie chciałam psa, ale teraz stał się częścią rodziny. Wiem, że to nieważne w porównaniu z tym, czym ty się zajmujesz, ale...
- To także jest ważne. W drodze do domu rozejrzę się za nim. Miał na obroży numerki?
- Oczywiście.
- W takim razie jakoś go odnajdziemy. Nie martw się.
- Masz rację. Dlaczego uciekł i nie wraca, Danielu?
- Wszystkiemu winne hormony. Jest pewnie w nastroju do romansów. Może znalazł sobie narzeczoną. Na przykład wielką sukę rasy dog.
- Laura znów się roześmiała, ale tym razem ciszej.
- Jeśli tak, to nie musimy się nad nim użalać.
- Pewnie – odparł Daniel. – Zazdroszczę mu.

ROZDZIAŁ 60

Zniknęły wszystkie trzy karty.

Do przewidzenia. Nużące.

Nuuudy.

Myślał o tym, rozciągając usta w szerokim uśmiechu, aż zląkł się, że twarz rozpadnie mu się na dwie części, wyobraził sobie, że każda z połówek się regeneruje. Mitoza – to by było coś. Dwie aryjskie półtwarze Schwanna, toczące się po kraju icków, niczym jądra komórkowe, wprawiając w wir zupeę, ubijając pianę.

Trzy karty, wielkie mi co. Pewnie sobie wyobrażają, że zdobyli pieprzoną biblię, ale przecież są ciężko myślący. Pozwólmy, by ich uspiło fałszywe poczucie wyższości.

W tym czasie on będzie twórczy. Kreatywność to podstawa.

Trzymać się planu, ale pozwalać sobie na improwizację. Unosić się ponad szumowinami w kloace, przehandlowując tożsamość za triumf.

Sprzątanie później.

Z całą pewnością mają się na bacności.

Z całą pewnością wyobrażają sobie, że wszystkiego się domyślili.

Tak samo jak Fields, dawno temu. Grand prix Bojo, wszystkie potraktowane naukowo dziewczyny.

Wszystkie małe zwierzaki, teraz już oczyszczone, stanowiące część jego samego.

Nightwing. Skrzydłonocy.

Imiona zwierzaków, prywatna tożsamość. Ich wspomnienie powodowało wzwód.

Dziewczyna Gauguina, piorąca w rzece, gdy ją odnalazł. Cześć!

Królowa Voodoo, mamrocząca zaklęcia w świetle wilgotnego żółtego księżyca w Luizjanie. Zabrała go na cmentarz, chciała zapanować nad złem. Ale zgasła bez walki, tak samo jak wszystkie inne.

Pocahontas. Gotowa oddać wszystko za świecidełka i błyskotki.

Więźniarka. Smarkula. Narkomanka. Gudłajka. Te wszystkie nieruchome, białe powłoki, wypatroszone, przebadane. Wszystkie te upragnione otwory, obraz na zawsze utrwalony w pamięci. Wszystkie inne. Tyle innych. Przewiska jak dla zwierzaków, bezwładne członki, ostatnie spojrzenia, zanim osiągną ostateczny błogostan.

Ostatnie, pełne ufności spojrzenia.

I tutaj: Mała Zagubiona Dziewczynka. Dziwka z Bejrutu. Bezpłodna.

Te pustynne samiczki, najbardziej ufne z wszystkich; szanujące mężczyznę, podziwiające mężczyznę z pozycją, mężczyznę wykształconego.

Tak, panie doktorze.

Niech pan robi, co pan chce, doktorze.

Przyjechał do kraju icków z ledwo zarysowanym projektem *Untermensch*. Odkrycie tej pieczary podczas wycieczki pozwoliło zaprowadzić porządek – nagle olśnienie w mózgu w członku.

Nightwing II.

Władza wykonawcza dla Dietera II, wprost od führergod.
Jego wędrówka z Małą Zagubioną Dziewczynką.
Wilgotna praca w pieczarze, a potem uczta.
Wykończyć je wszystkie, w calutkim kraju icków.
Zaczął pieścić samego siebie, trzymając drugą rękę na obroży psa, trącając numerek z
gudłajskimi literami. Co oznaczają? Pies ickek?
Wiedząc, że to nie potrwa długo. Safari dobiega końca.
Spoczywaj w pokoju. Kawałki. Czas na sprzątanie.
Niespodzianka, niespodzianka!
Hau, hau, hau.

ROZDZIAŁ 61

Telefon z Amsterdamu zadzwonił o dziesiątej wieczorem. Pracownik van Geldera mówił powoli, niskim głosem. Nie policyjne ploteczki, lecz istotna i poważna sprawa.

– Czy to nadinspektor Daniel Sharavi?

– Tak.

– Mówi Pieter Bij Duurstede z policji amsterdamskiej. Czy otrzymał pan spis studentów uczelni St. Ignatius?

– Jeszcze nie, panie nadinspektorze.

– Wysłaliśmy telegram jakiś czas temu. Zaraz sprawdzę.

Bij Duurstede odszedł na chwilę od telefonu.

– Tak – powiedział, wróciwszy. – Sprawdziłem. Telegram został wysłany i przyjęty. Dwadzieścia minut temu.

– Sprawdzę u siebie.

– Najpierw dodam coś jeszcze. Chciał pan, abyśmy sprawdzili osiem nazwisk na naszej liście paszportowej z czasu, gdy zamordowano Anjanettę Gaikeenę. Znaleźliśmy pięć spośród ośmiu podanych. Przeczytam je panu w porządku alfabetycznym: Al Bijadi H. M., Baldwin S. T., Carter R. J., Cassidy M. P., Hauser C.

Daniel zapisał nazwiska w notesie, po to, by zająć czymś ręce.

– Przylecieli z Londynu pięć dni przed zabójstwem Gaikeeny – mówił Bij Duurstede. – Wszyscy pięcioro podróżowali tym samym samolotem – Pan American Airlines, lot numer dwadzieścia jeden, pierwsza klasa. Zatrzymali się w Londynie na jeden dzień. Przylecieli tam samolotem Pan American, lot numer dwa, z Nowego Jorku, pierwsza klasa. W Londynie zatrzymali się w hotelu Hilton. W Amsterdamie w Hotel de l'Europe. Spędzili tam sześć dni, wzięli udział w trzydniowej konferencji ONZ, dotyczącej uchodźców przetrzymywanych w Hadze. Po konferencji trochę zwiedzali: przejażdżki kanałami, Volendam i Marken, Edam, dom Anny Frank. Wycieczki organizowała tutejsza agencja. Mam dokumenty.

Dom Anny Frank. Nasz Mengele z za rogu byłby zadowolony.

– W konferencji wzięło udział stu delegatów – dodał Bij Duurstede. – Odbywa się co roku.

– Jak daleko jest z Hotel de l'Europe do miejsca, gdzie znaleziono Gaikeenę?

– Dość blisko. Rozdziela je dzielnica czerwonych latarni.

Daniel wspomniał wąskie, brukowane kocimi łbami uliczki. Muzyka heavy rockowa sącząca się z pobliskich barów, wilgotne powietrze nocy, czarna i nieruchoma woda w kanałach. Sportowcy pozerający wzrokiem mlecznoskóre blondynki i skośnookie piękności egzotyczne, wystawiające się na sprzedaż jak czekoladowe batoniki. Jedne, pracujące na ulicy, inne, półnagie, upozowane w niebieskim świetle na wystawach sklepowych, nieruchome jak posągi.

Bierne.

Wyobraził sobie nocną przechadzkę, samotny spacer po kilku koktajlach i pogawędkę w hotelowym holu. W de l'Europe? Budzący zaufanie zabójca w długim płaszczu z głębokimi

kieszeniami na noże. Wybierający spośród stada, lustrujący długorzęse dziewczyny. Wymiana guldenów. Dodatkowe pieniądze na coś specjalnego, na małe szaleństwo. Zamiary skrywane za maską nieśmiałości. Może nawet pełen zakłopotania uśmiech:

„Moglibyśmy pójść w pobliże doków?”

„Po co, skarbie? Mam mile, przytulne łóżko”.

„Wolę doki. Proszę. Zapłacę”.

„Lubisz wodę, przystojniaku?”

„T-tak”.

„Mamy tu wkoło mnóstwo wody”.

„Lubię doki. Tyle wystarczy?”

„Jasne, skarbie. Anjanette także lubi doki. Kołyszące się fale”.

– Gaikeena została zabita następnego dnia po konferencji – powiedział Bij Duurstedde. – Pańska piątka odleciała rankiem do Rzymu, wraz z dwudziestoma trzema innymi członkami ONZ. Alkalia, lot trzysta siedemdziesiąt jeden, pierwsza klasa. Ci z ONZ zawsze podróżują pierwszą klasą.

Daniel sięgnął po zestawioną przez Szin Bet listę wolontariuszy z Amelia Catherine.

– Mam jeszcze kilka nazwisk, panie nadinspektorze. Będę wdzięczny, jeżeli zechce pan sprawdzić, czy ktoś spośród nich również uczestniczył w konferencji.

– Proszę je przeczytać – powiedział Bij Duurstedde. – Mam przy sobie spis uczestników.

Po chwili Daniel dodał jeszcze pięć nazwisk do stałego zespołu Amelia Catherine: trzech lekarzy i dwóch pielęgniarzy. Fin, Szwed, Anglik i dwóch Amerykanów. Te same samoloty, ten sam hotel.

– Wiadomo, po co polecieli do Rzymu?

– Nie mam pojęcia – odparł Bij Duurstedde. – Może na audiencję u papieża?

Zatelefonował do Biura Kontroli Paszportów na lotnisku Ben Gurion, gdzie poinformowano go, że dziesięcioro członków personelu ONZ przybyło z Rzymu lotem Lufthansy, w tydzień po morderstwie Gaikeeny. Jeszcze dwa telefony: do Scotland Yardu i do policji w Rzymie upewniły go, że w przedziale czasu od morderstw w USA po morderstwo w Tel Awiwie nie popełniono podobnych w Londynie ani w Rzymie. Odłożył słuchawkę o wpół do jedenastej. Czterdzieści osiem godzin, odkąd się wykapał i ogolił. Ostatnim posiłkiem był biszkopt o ósmej rano.

Zaswędziała go skóra na głowie. Podrapał się, przyglądając się zapiskom w notesie.

Po znalezieniu kart w Amelia Catherine i po telefonie od van Geldera poczuł, że sprawa jest bliska rozwikłania. Pętla się zaciskała. Pokładał nadzieję w drugim telefonie z Amsterdamu. Zbyt wielką nadzieję. Ufał, że dane magicznie się skrzyżują, wskazując pojedyncze nazwisko winowajcy. Tymczasem pętla się poluzowała, bo podejrzanych przybywało.

Miał teraz dziesięć podejrzanych osób. Działających w pojedynkę lub parami albo trójkami, istna kabała. Może teoria Shmeltzera dotycząca grupowego spisku nie była wcale głupia.

Wszyscy spośród dziesięciorga. Nikt z pośród nich.

Dziesięcioro podejrzanych. Jego ludzie i tajniacy Amosa Harela będą mieli pełne ręce roboty. Szansa na to, że znajdą coś przed czwartkową kliniką dla kobiet, stała się minimalna.

Telegram z listą nazwisk z Sumbok. Bij Duurstedde wysłał go, ale Daniel go nie otrzymał. Wszedł ze swego gabinetu, aby sprawdzić, czy telegram nadszedł. W połowie drogi spotkał na korytarzu policjantkę niosącą wydruk.

Odebrał go i przebiegł wzrokiem nazwiska studentów St. Ignatius. Ich liczba przygnębiła go jeszcze bardziej.

Czterystu trzydziestu dwóch studentów, piętnastu wykładowców, dwudziestu członków personelu pomocniczego. Ani jednego nazwiska spośród listy dziesięciorga podejrzanych.

Czterysta sześćdziesiąt osiem nazwisk poprzedzonych inicjałami imion. Bez podania narodowości. Niemal połowa nazwisk miała anglosaskie brzmienie, co oprócz Amerykanów mogło równie dobrze oznaczać Brytyjczyków, Australijczyków, Nowozelandczyków oraz mieszkańców Południowej Afryki. A także Argentyńczyków, jak choćby Eduardo Smith. Ponadto niektóre włoskie, francuskie, niemieckie i hiszpańskie nazwiska także mogły należeć do Amerykanów.

Na nic.

Przejrzał listę, szukając arabskich nazwisk. Trzy niewątpliwe: Abdallah, ibn Azah, Maiki. I kilka możliwych, które jednak mogą należeć do Pakistańczyków, Irańczyków, Malajczyków lub Afrykanów z północy: Shah, Terrif i Zorah.

Znowu strata czasu.

Poczuł nagle zmęczenie i wrócił do swego biura. Zmusił się by zatelefonować do Gabi Weinrotha, który zajmował stanowisko obserwacyjne na dachu budynku wydziału prawa na kampusie Uniwersytetu Hebrajskiego, przy teleskopie naceLOWANYM na Amelia Catherine.

– Stypendysta – zgłosił się Weinroth.

– Sharavi – powiedział Daniel, nie bawiąc się w szyfry. – Masz coś nowego?

– Nic.

Piąte „nic” tego dnia. Podał tajniakowi swój numer domowy i opuścił komendę.

Objechał Talbieh i okolice Kolonii Niemieckiej, wypatrując psa, ale dostrzegł tylko świecące oczy błakających się kotów. Zwykły widok, od stuleci charakterystyczny dla Jerozolimy.

Po trzech okrążeniach dał za wygraną, wrócił do domu, otworzył drzwi mieszkania, spodziewając się, że usłyszy gwar, lecz powitała go cisza.

Wszedł, zamknął drzwi i usłyszał chrząknięcie dochodzące z pracowni.

Przy stole do rysowania siedział Gene, otoczony stertami papierów. Podobrazia, palety i pudełka z farbami zgromadzono po jednej stronie pokoju. Pracownia zmieniła się nie do poznania.

– Witaj – powiedział czarnoskóry mężczyzna, zdejmując okulary do czytania i wstając. – Dziś rano przysły dane z Arizony i Oregonu. Nie dzwoniłem do ciebie, bo nie ma w nich nic nowego. Śledztwo miejscowych organów policji niewiele dało. Twój synowie zasnęli na dziadku. Damy oglądają film. Właśnie zadzwonił szef nocnej zmiany w Laromme. Bardzo odpowiedzialny facet. Nadeszła dla mnie nowa przesyłka. Wybierani się, by ją odebrać.

– Ja ją odbiorę.

– Nie ma mowy – odparł Gene, obrzucając go wzrokiem. Doprowadź się do porządku. Zaraz wrócę, nie nalegaj.

Daniel ustąpił, poszedł do sypialni i rozebrał się do naga. Na dźwięk zatrząskiwanych drzwi wzdrygnął się. Nerwy miał jak postronki.

Piekły go oczy. Miał pusty żołądek, ale nie odczuwał głodu. Może napije się kawy.

Włożył szlafrok i wszedł do kuchni, zaparzył sobie mocną kawę. Powlókł się do łazienki i wziął prysznic, omal nie zasnąwszy pod strumieniem wody. Przebrawszy się w czyste ubranie, wrócił do kuchni, nalał sobie kawy i usiadł, by ją wypić. Gorzka, ale rozgrzewająca. Zrobił dwa łyki i oparł głowę na stole. Obudził się z dziwnego snu: płynął łodzią, ale nie po wodzie, lecz po piasku, w suchym doku.

– Witaj, kochanie.

Zobaczył uśmiechniętą twarz Laury.

– Która godzina?

– Dwadzieścia po jedenastej.

Spał pół godziny.

– Gene nie miał sumienia cię budzić.

Daniel wstał. Przeciągnął się. Bolały go stawy. Laura dotknęła jego nie ogolonej twarzy,

objęła w pasie.

– Schudłeś – powiedziała. – Choć i tak nie miałeś z czego.

– Nie znalazłem psa – powiedział, lekko ją przytulając.

– Ciii. Obejmij mnie.

Przez chwilę tulili się w milczeniu.

– Jaki film oglądałaś?

– *Świadek*.

– Dobry?

– Policyjny. Naprawdę chcesz słuchać?

– Nie – odparł z uśmiechem.

Wreszcie pocałowali się. Laura smakowała orzeszkami arachidowymi.

– Gdzie jest Shoshi?

– W swoim pokoju.

– Porozmawiam z nią!

– Idź.

Przeszedł przez salon, potem korytarzem w stronę sypialni, mijając pracownię. Gene siedział przygarbiony nad stołem, jedząc i pracując. Z piórem w jednej dłoni i kanapką w drugiej wyglądał jak student, wkuwający do egzaminów. Na kanapie leżała Luanne, bosa, z książką.

Drzwi do pokoju Shoshi były zamknięte. Daniel zastukał cicho. Bez odpowiedzi. Zastukał głośniejsze.

Drzwi się uchylły. Zjrzał w zielone, zapuchnięte od płaczu oczy.

– Witaj, *motek*.

– Witaj, *abba*.

– Mogę wejść?

Skinęła głową i otworzyła drzwi szerzej. Pokój był mały, oblepiony plakatami i fotosami wyciętymi z magazynów. Nad łóżkiem wisiała trzcinowa półka z gałgankowymi lalkami i pluszowymi zwierzątkami. Na biurku piętrzyły się podręczniki i zeszyty oraz pamiątki: modele na prace ręczne, muszla z Eilat, czerwony beret komandosa i medale z 1967 roku, menora z łusek karabinowych.

Nieprawdopodobny rozgardiasz, ale schludny. Shoshi zawsze utrzymywała ład. Już jako niemowlę usiłowała sprzątać po sobie okruchy.

Usiadł na łóżku. Shoshi oparła się o fotel i wbiła wzrok w podłogę.

– Jak tam film?

– Fajny.

– *Ima* powiedziała, że to kryminał.

– Mhm. – Obgryzła skórkę. Daniel omal jej nie powstrzymał.

– Wiem o psie, *motek*. To nie twoja wina.

– Moja.

– Shoshi.

Wrzasnęła na niego, mała śliczna twarzyczka wykrzywiona wściekłością:

– Byłam za niego odpowiedzialna, zawsze mi to powtarzasz! Jak głupia paplałam z Dorit...

Wstał, żeby ją objąć. Wywinęła się. Chudym knykciem trafiła go pod żebro.

– Głupia, głupia, głupia! – krzyczała, bijąc się pięściami po udach.

– Chodź tu – powiedział i przyciągnął ją do siebie. Opierała się przez chwilę, a potem dała za wygraną. Jeszcze jedna gałgankowa lalka.

– Och, *abba!* – załkała. – Wszystko się wali!

– Wcale nie. Wszystko będzie dobrze.

Płakała w milczeniu, zraszając łzami jego czystą koszulę.

– Wszystko będzie dobrze – powtórzył. Pocieszając i ją, i siebie.

ROZDZIAŁ 62

Niedzielne południe, spokój w Amelia Catherine, medyczne czynności zawieszono, by uczcić chrześcijański szabat.

W kampusie na Scopus odbywały się jak zwykle zajęcia i Daniel przeszedł niezauważony przez tłumy studentów i profesorów, krętym chłodnikiem dla pieszych i przez frontowe drzwi wydziału prawa. Przeciął hol i wspiął się po schodach na najwyższe piętro. Zbliżył się do nieoznakowanych drzwi na końcu korytarza i zastukał w umówiony sposób. Drzwi się uchylły. Na Daniela spojrzwały podejrzliwe oczy i drzwi otworzyły się na tyle, by go wpuścić. Gabi Weinroth, w szortach i koszulce, skinął głową na powitanie i wrócił na swoje stanowisko przy oknie. Daniel poszedł za nim.

Obok krzesła człowieka z Latam stał metalowy stół, a na nim radiostacja, para walkietalkie, książka raportowa, trzy puste zgniecione puszki po coli, karton marlboro, popielniczka wypełniona niedopałkami oraz zatłuszczony papier śniadaniowy, w którym znajdował się nie dojedzony kawałek pity ze stekiem. Pod stołem ustawiono trzy czarne skrzynki z wyposażeniem. Obok stał nowoczesny teleskop szerokokątny, skierowany na wschód, tak że obejmował cały teren Amelia Catherine.

Weinroth zapalił papierosa, odchylił się na oparcie krzesła i postukał kciukiem w teleskop. Daniel pochylił się, aby przezeń spojrzeć. Zobaczył kamienie, żeliwo, siatkę, pinie.

Odstąpił od teleskopu i spytał:

– Pokazał się ktoś poza dozorcą?

Człowiek z Latam sięgnął po książkę raportową, otworzył ją i odnalazł właściwe miejsce.

– Starszy lekarz, Darousha, wyszedł pięćdziesiąt trzy minuty temu i odjechał białym renault z tablicami ONZ. Skierował się na północ. Patrol graniczny namierzył go na drodze do Ramallah. Nasz człowiek potwierdził jego przyjazd do domu. Dozorca pokazał się kilka minut później. Obydwaj weszli do domu Daroushy i zamknęli okiennice. Prawdopodobnie południowa schadzka. Te typki z ONZ nie pracują zbyt ciężko, prawda?

– Coś jeszcze?

– Kilka szybkich wejść i wyjść – powiedział Weinroth. – Także romantycznych: Al Bijadi i Cassidy truchtali przez pół godziny, od jedenastej jednaście do jedenastej czterdzieści trzy. W dół drogą na Górę Oliwną i z powrotem, obok szpitala, aż do wschodniej bramy kampusu. Musiałem nachylić teleskop prawie pionowo w dół i straciłem ich na chwilę z pola widzenia, ale złapałem ich, gdy wracali do Amelia Catherine. Krótka przebieżka, prawie pięć i pół kilometra, i z powrotem do środka. Od tamtej pory już ich nie widziałem. Ona biega lepiej od niego, ma dobre silne łydki, w ogóle się nie zasapała, ale zwalniała, prawdopodobnie nie chciała go upokorzyć. Administrator, Baldwin, poszedł na spacer z arabską sekretarką, jeszcze jeden Romeo i jego Julia. Gdybyś nam nakazał podsłuch, miałbym tu czułe słówka.

Daniel się uśmiechnął. Człowiek z Latam odwzajemnił uśmiech i wydmuchnął kółka z dymu. Weinroth nastawał, by podłączyć mikrofony – technicy uwielbiali swoje zabawki. Szyfry i zabawia. Lecz Daniel obawiał się ryzykować: gdyby zabójca/zabójcy zdali sobie

sprawę z obserwacji, sprawa utknęłaby w martwym punkcie. A należało skończyć z tym szaleństwem.

– Chcesz, żebym coś nagrał na wideo? – spytał Weinroth, zaciągawszy się papierosem.

– Mogę z łatwością zgrać magnetofon z teleskopem.

– Jasne. Coś jeszcze? Widziałeś Cartera lub Hauser?

Weinroth pokręcił głową, naśladując chrapanie.

– Miłych snów – zażartował Daniel. Zanim doszedł do drzwi, człowiek z Latam wstał i zajął się otwieraniem zamka przy skrzyni z wyposażeniem.

Niedziela, ósma wieczorem, stary umarł, Shmeltzer był tego pewien. Poznał po tonie pielęgniarki, z którą rozmawiał przez telefon, po przygnębieniu brzmiącym w każdym słowie, po gniewie, z jakim poinformowała go, że pani Schlesinger nie jest w stanie z kimkolwiek rozmawiać.

Poinformowała go, właściwie nie informując.

– Ze mną porozmawia – upierał się.

– Jest pan krewnym?

– Tak. Jestem jej bratem. – Niewielkie kłamstwo, biorąc pod uwagę to, co ich łączyło.

Gdy przekłeta pielęgniarka nic nie odrzekła, powtórzył:

– Jej bratem. Zechce ze mną rozmawiać.

– Nie jest w stanie rozmawiać z kimkolwiek. Powiem jej, że pan dzwonił, *adon* Schnitzer.

– Shmeltzer. – Idiotka.

Odłożyła słuchawkę.

Miał ochotę zadzwonić do suki jeszcze raz i wrzasnąć: „Nie znasz mnie? Jestem tym *szmukiem*, który zawsze przy niej tkwi, spędza z nią każdą wolną chwilę. Tym, który czeka na korytarzu, gdy ona całuje zimny policzek i ociera zimne czoło”.

Ale pielęgniarka była tylko jeszcze jednym gryzipiórkiem i miała wszystko w nosie. Przepisy!

Odłożył słuchawkę, przeklinając niesprawiedliwość panującą na świecie. Od czasu pierwszego spotkania z Evą przylgnął do niej jak klej do papieru, wyciągając z niej ból, niczym jakiś kataplazm. Obejmując ją, poklepując, spijając jej przygnębienie. Wypłakała na jego ramieniu tyle łez, że był przemoczony do nitki.

Wierny, pocziwy Nahum, odgrywający rolę wielkiego silnego mężczyzny. Wprawiając się w nieuniknionym.

A teraz, gdy to się wreszcie stało, został odcięty. Zostali od siebie odcięci. Więźniowie. Ona, przykuta do cholernego łoża śmierci. On, przygwożdżony do swego służbowego zadania.

Nie spuszczaaj oka z pieprzonego szejka i jego pieprzonej przyjaciółki o psiej twarzy. Ze szpitala, za jego wielkim zielonym mercedesem, na zakupy po najlepszych sklepach we wschodniej Jerozolimie. A potem przyglądaj się, jak jedzą późną kolację przy odosobnionym stoliku w Chez Ali Baba.

Jak się napychają wraz z innymi bogatymi Arabami i turystami, zamawiając dania u wszystkich kelnerów, jakby byli jakąś parą monarchów.

Dwa stoliki dalej para z Latam także dostała zamówione potrawy. Ugotowany na węglu drzewnym kebab i szaszłyk, pieczone jagnię i nadziewane jagnię, półmiski z sałatkami, dzbany mrożonej herbaty. Bukiecik dla damy...

Tymczasem Pocziwy Szmuk Nahum, przebrany za żebraka z wymalowanymi ranami, siedzi na chodniku przed restauracją. Wdychając odór odpadków, słuchając arabskich przekleństw, obrywając kopniaki, rzadziej zyskując datek, ale nawet te kilka przeklętych drobników, które zarobił za swój żalony wygląd, będzie musiał zwrócić policji i przez pół godziny wypisywać odpowiednie papierki.

Gdyby chodziło o coś innego, już dawno powiedziałby: pieprz się i pobiegłby do Evy.

Ale nie teraz. Dranie muszą zapłacić. Za wszystko.

Znów zajął się obserwowaniem restauracji.

Al Bijadi strzelił palcami na kelnera i warknął, gdy facet podszedł. Kiedy kelner się oddalił, lekarz spojrział na zegarek. Wielki złoty zegarek, ten sam co w szpitalu, nawet ze swego miejsca Shmeltzer mógł dostrzec, że to złoto. W ciągu ostatniej pół godziny łądak często spoglądał na zegarek. Czyżby coś knuł?

Para z Latam pożywiała się, jakby nic nie zauważając. Ale na tym polegała ich praca, zauważać, nie będąc zauważonym. Obydwoje byli młodzi, jasnowłosi, przystojni, ubrani w kosztowne importowane ciuchy. Sprawiali wrażenie zajętych wyłącznie sobą bogatych nowożeńców w podróży poślubnej.

Czy on i Eva wybiorą się w podróż poślubną?

Czy ona zechce jeszcze mieć z nim coś wspólnego, po tym jak opuścił ją w przełomowej chwili? A może i tak był skończony, opuszczenie nie ma z tym nic wspólnego. Cierpiała przy boku nieuleczalnie chorego starca. Teraz, gdy umarł, będzie mogła wreszcie urządzić sobie życie i nie zechce się wiązać z następnym starcem.

Była przystojną kobietą, z takimi piersiami przyciągała mężczyzn jak magnes. Młodszych mężczyzn, krzepkich.

Nie potrzebowała przemokniętego ramienia.

Kelner przyniósł do stolika Al Bijadiego jakiś chłodzony napój. Wielki przerośnięty kieliszek do koniaku, napełniony czymś zielonym i pienistym. Prawdopodobnie mleczkiem pistacjowym.

Al Bijadi uniósł kieliszek, Cassidy chwyciła go pod rękę, roześmiali się, wypili i cmoknęli jak para uczniów. Znów wypili i znów się pocałowali.

Miał ochotę ich zabić, tutaj i natychmiast.

O jedenastej w nocy Gabi Weinroth zakończył swoją zmianę na najwyższym piętrze budynku wydziału prawa i zastąpił go niski, siwowłosy tajniak, Shimshon Katz. Katz właśnie zakończył trwające trzy miesiące śledzenie targu Mahane Jehuda i nosił sporą chasydzką brodę. Dwanaście tygodni odgrywania roli rabina i wypatrywania podejrzanych paczek. Cieszył się, że nic się nie wydarzyło, ale był śmiertelnie znudzony.

– Tutaj wcale nie jest lepiej – zapewnił go Weinroth, uprzątając papierosy i wskazując na teleskop. – Zazwyczaj nic się nie dzieje, a gdy zobaczysz coś seksownego, nagrywasz to na taśmę. Przyjdą po to inni faceci.

Katz sięgnął po leżący na stole stos fotografii i szybko je przejrzał.

– Mam to wszystko zapamiętać.

– Tych ośmioro to główni podejrzani – odparł Weinroth, zabierając mu zdjęcia i wyjmując fotografie stałych członków personelu Amelia Catherine. Ułożył je na stole. – Reszta to wolontariusze. Dotychczas nie widziałem nikogo z nich.

Katz przyglądał się ośmiu fotografiom, pochylając się nad zdjęciem nachmurzonego Walida Daroushy.

– Paskudny typas – stwierdził.

– Jest w Ramallah ze swoim przyjacielem i według wydziału zabójstw należy do najmniej podejrzanych. Więc nie baw się w psychoanalitka, tylko patrz i notuj.

– Dobra – odparł Katz jowialnie. – A którzy należą do najbardziej podejrzanych?

Weinroth zgarnął fotografie.

– Z tego, co wiem, oni.

Katz wpatrywał się w zdjęcia, kreśląc sobie linie na czole.

– Wryli mi się w pamięć.

– Z tego, co wiem – powtórzył Weinroth. – Spadam. – Zrobił dwa kroki, obejrzał się i zapytał: – Chcesz, żebym się zaopiekował twoją żoną?

– Jasne, czemu nie? Twoją już się ktoś zajął.

Avi siedział w nieoznakowanym samochodzie i wyteżał wzrok, wpatrując się w drzwi do budynku na *rechow* Alharizi, w którym mieściło się mieszkanie Wilbura. Biały rożek księżycy świecił nisko na niebie. Na ulicy osłoniętej od wschodu masywem wysokich domów wcześniej zapadł zmrok. Główny Rabinat, Agencja Żydowska, Solel Boneh Builders, Kings Hotel. Ważne budynki, urzędowe.

Jako dziecko spędził wiele letnich dni w urzędowych budynkach. Pozostały po nich niejasne wspomnienia urzędowych wizyt, postrzeganych z niewielkiej wysokości. Lśniące klamry u pasków, wydatne brzuchy, żarty, których nie rozumiał. Jego ojciec skręcający się ze śmiechu, jego wielka dłoń, zaciskająca się z rozbawienia, grożąc zmiążdżeniem małej rączki Aviego.

Zapomnij o tych bzdurach i skup się.

Pomruk silnika samochodu, ale brak błysku świateł, żadnego ruchu na ulicy.

Nic podejrzanego w skrzynce na listy w biurze Wilbura w Beit Agron. Mógł ją osobiście sprawdzić, ponieważ przynosił do biura pocztę, obsługując cały budynek prasowy. Przez cały dzień do apartamentu Wilbura nie zbliżył się nikt prócz odźwiernego. O szóstej dziennikarz wyszedł, bez marynarki i bez aktówki i poszedł do Finka na zwykłą popijawę. O ósmej jeszcze nie wrócił, a Avi, zgodnie z planem, został zluzowany przez jednego z dwóch ludzi Latam, którzy śledzili mieszkanie dziennikarza. Pojechał do Alharazi i zaparkował w odległości połowy przecznicy od domu Wilbura, dobrze utrzymanego trzypiętrowego budynku. I czekał.

Czekał.

Wyglądało na to, że lajdak nie wrócił tej nocy do domu, poderwał jakąś cizię i spał u niej.

Ulica była pusta, co oznaczało, że nie musi się przebierać za zamiatacza, listonosza, sprzedawcę kielbasek, studenta *jesziwy*. Sterta kostiumów leżała zmiętoszona w bagażniku nieoznakowanego samochodu.

I to jakiego! Jego własna bryka była nie do pomylenia, czerwone bmw rzucało się w oczy jak plama świeżej krwi – Zamiast tego w Latam wytrzymało skądś zdychającego volkswagena, małe pudełko, którego biegi protestowały przy najmniejszym ruchu gałki, a podarte siedzenia odsłaniały gąbkę. W środku śmierdziało psującym się jedzeniem, benzyną i zatechłym dymem papierosowym.

A on nie mógł palić, żarzący się papieros zdradziłby go. Siedział więc beczynnym, mając za jedyną towarzyszkę dwulitrową plastikową butelkę po coli, do której się odlewał. Po służbie opróżniał ją do kanału.

Siedział od czterech godzin, tyłek mu zdrętwiał, musiał się szczypać w pośladki, by wróciło mu czucie.

Nash, facet z Latam, za budynkiem, miał lepszą, fuchę: przecierał uliczkę wilgotnym mopem. Ruch na świeżym powietrzu.

Co pół godziny komunikowali się ze sobą.

Ostatni raz dziesięć minut temu.

Tu Alef.

Tu Bet. I tyle.

Niezbyt towarzyski facet, ten Nash, ale większość tajniaków nie dostało tej pracy ze względu na talent do konwersacji. Wprost przeciwnie: mieli być widoczni, a nie słyszalni.

Spojrzał na zegarek. Jedenasta czterdzieści. Sięgnął po butelkę po coli.

Północ, Talbieh, mieszkanie Sharavich pogrążone w ciszy, kobiety i dzieci śpią.

Zamiast samotnie wracać do hotelu, Luanne wolała zostać na noc i spać w łóżu małżeńskim na miejscu Daniela. Obie z Laurą weszły do pracowni, ubrane w koszule nocne i nasmarowane kremem – pożyczona koszula była na Luanne za krótka – ucałowały mężów i wróciły do sypialni. Daniel słyszał ich chichoty i konspiratorskie szepty, zanim zasnęły.

Pizamowe przyjęcie. Niech się bawią. Cieszył się, że znalazły sobie zajęcie. Nigdy nie

widział, by Laura była taka zaganiana. Zwiedzanie muzeów, zakupy w butikach na Dizengoff Circle i w straganach na pchlim targu w Jaffie, czytanie książek, późne wyjścia do kina. Laura nigdy dotąd nie była kinomanką i rzadko kładła się później niż po dziesiątej.

Zmiany.

Czemu nie? Nie było powodu, by rezygnowała z życia, bo śledztwo wymiotło jej męża z domu. Ale jakaś mała, samolubna cząstka Daniela wołała, by Laura była od niego bardziej uzależniona. Bardziej go potrzebowała.

Skończył przeżuwanie jednej z kanapek przygotowanych przez Shoshi. Kanapka była wyschnięta, ale stanowiła arcydzieło architektoniczne, przygotowane z miłością: chleb okrojony ze skórki, ogórki podzielone na ćwiartki, z których każda została osobno zawinięta. Czuł się winny, rozgryzając je na kawałki.

Otarł usta.

– Spójrz – powiedział Gene. – Spójrz na to.

Daniel wstał i podszedł do kolegi. Obok trzech kanapek i spisu studentów z Sumbok na blacie stołu leżała świeżo nadesłana teczka dotycząca zabójstwa Lilah „Nightwing” Shehadeh, otwarta na jednej z końcowych stron. Teczka była gruba, rozsadzała metalowe zszywacze. Gene przytrzymał ją grubym kciukiem.

– Co tam masz? – Daniel pochylił się nad stołem, zobaczył kserokopie zdjęć ofiary na jednej stronie i spisane na maszynie sprawozdanie na drugiej. Jakość kopii fotografii była kiepska, obraz ciemny i zamazany, część tekstu wyblakła.

Gene poklepał sprawozdanie.

– Wydział w Hollywood nie uznał tego morderstwa za seryjne, bo nie nastąpiły po nim następne. Mieli roboczą hipotezę, że było to zabójstwo imitujące mord seksualny, mające na celu ukrycie wojny pomiędzy alfonsiem Shehadeh i jego rywalem. Alfons, Bowmont Alvin Johnson, został zamordowany kilka miesięcy przed Shehadeh; przesłuchano garstkę innych kochasiów i wszyscy mieli alibi. Shehadeh i Johnson rozstali się przed jego śmiercią, ale obie sprawy prowadzili ci sami detektywi i przypomnieli sobie, że w jego mieszkaniu znaleziono torebkę, którą inne dziewczyny rozpoznały jako własność Shehadeh. Torebka została zachowana jako dowód i po zamordowaniu Shehadeh przejrano jej zawartość. Nie było tam notesu z nazwiskami klientów, prawdopodobnie odchodząc, zabrała go ze sobą. Ale znaleziono coś niemal równie ciekawego: skrawki papieru z nazwiskami dostawcy narkotyków lub klientów. Dwadzieścia nazwisk. Osiem pozostało niezidentyfikowanych. Jednym z nich był D. Terrif. Było również kilka inicjałów D. T. No a teraz bomba. Spójrz na to.

Przesunął palec wskazujący na środek listy z Sumbok.

Terrif, D. D.

Daniel pamiętał to nazwisko. Jedno z trzech, które mogły należeć do Arabów.

Poczuł, że drżą mu ręce. Oparł dłoń na ramieniu Gene’a.

– Nareszcie.

– Bingo – uśmiechnął się Gene. – Mielśmy rację, że to Amerykanin.

Detektyw z Latam o nazwisku Avram Comfortes siedział na miękkiej mierzwi pod drzewami pomarańczowymi, otaczającymi wdzięczną willę Walida Daroushy, wdychając cytrusową woń i odganiając ćmy, które zbierały nektar z kwiatów.

Kwadrans po północy metalowe okiennice w oknie sypialni Daroushy były otwarte na oścież. Wcześniej, gdy Darousha i dozorca skończyli kolację, przez godzinę pozostawały zamknięte.

Godzina. Comfortes dobrze wiedział, co się działo w środku, i był zadowolony, że nie musiał na to patrzeć.

Przez małe, kwadratowe, osłonięte staromodną, ozdobną jak w meczecie kratą widoczna była sypialnia doktora. Duży pokój o niebieskich ścianach i białym suficie.

Comfortes podniósł do oczu lornetkę i dojrzał utrzymaną w tonach sepii fotografię rodzinną, wiszącą na przeciwległej do okna ścianie, obok starej mapy przedstawiającej Palestynę przed 1948 rokiem. Nigdy nie zrezygnują. Pod mapą stało wysokie, szerokie łóżce, przykryte białą kordonkową narzutą.

Darousha i Zja Hadżab siedzieli pod narzutą, ramię przy ramieniu, nadzy do pasa, oparci o haftowane poduszki o jaskrawych barwach. Po prostu siedzieli, nie rozmawiając. Wreszcie Hadżab powiedział coś i Darousha wstał. Doktor miał na sobie workowate bokserki. Jego ciało było miękkie, białe, owłosione, z wałkami sadła wylewającymi się ponad gumką spodenek, z kobiecymi piersiami, które chwiały się, gdy się poruszał.

Wyszedł z sypialni. Hadżab wygładził narzutę, potarł oczy i patrzył przez okno, wydawało się, że wprost na Comfortesa.

Tajniak wiedział, że tamten widzi wyłącznie ciemność.

O czym tacy faceci mogą myśleć?

Darousha wrócił z tacą, na której niósł dwa drinki z lodem. Wysokie szklanki napełnione czymś przejrzystym i złotym. Obok leżało kilka czerwonych papierowych serwetek. Podał szklankę Hadżabowi, pochylił się i pocałował dozorcę w policzek. Hadżab nie zareagował i pił łączywie.

Darousha coś powiedział. Hadżab pokręcił głową, opróżnił szklankę i otarł usta wierzchem dłoni. Darousha podsunął mu serwetkę, odebrał pustą szklankę i podał mu drugą, przeszedł na swoją stronę łóżka i usiadł, patrząc, jak Hadżab pije. Szczęśliwy, że mógł mu usłużyć.

Dziwne, pomyślał Comfortes. Spodziewałby się raczej, że będzie odwrotnie. Ale przecież to zbrodnie. Nie można przewidzieć ich zachowań.

Co sprawiało, że warto było ich obserwować.

Sięgnął po książkę raportów i zanotował. Pisał po ciemku, nie widząc liter. Ale wiedział, że będą czytelne. Miał w tym praktykę.

O dwunastej trzydzieści Shimshon Katz dostrzegł jakiś ruch przez teleskop, ustawiony na najwyższym piętrze wydziału prawa. Jakiś człowiek pojawił się za budynkiem Amelia Catherine, obszedł go i ruszył na południowy wschód drogą na Górę Oliwną.

Mężczyzna. Ze zwisającymi luźno ramionami, idący długim swobodnym krokiem kogoś, kto się niczym nie przejmuje.

Mężczyzna przystanął, obejrzał się. Katz zobaczył fragment jego twarzy, wystarczający, by porównać z fotografią. Ruszył znowu i Katz śledził go przez teleskop, jednocześnie włączając taśmę wideo. Usłyszał szmer pracującej kamery.

Prawdopodobnie nic takiego. Przechadzka przed snem. Administrator, Baldwin, przed dwudziestoma minutami spacerował ze swoją milutką małą Libaneczką. Przeszli wzdłuż skarpy, przystanęli, by popatrzeć na pustynię i wrócili. Pogasły światła.

Ten spacerowicz jednak szedł w kierunku miasta. Katz patrzył na malejącą sylwetkę, nastawił powiększenie i podążał za odchodzącą sylwetką.

Obserwował ją i filmował do chwili, gdy droga zeszała w dół i sylwetka zniknęła z pola widzenia. Następnie włączył radiostację, wystukał kod do ochrony i wezwał zespół sektora południowo-wschodniego.

– Tu Stypendysta. Postęp.

– Tu Zabytek. Sprecyzuj.

– Kędzierzawy, pieszo drogą na Górę Oliwną, zbliża się w twoim kierunku.

– Ubranie i charakterystyka.

– Ciemna sportowa kurtka, ciemne spodnie, ciemna koszula, ciemne buty. Brak cech szczególnych.

– Kędzierzawy, bez pojazdu, wszystko ciemne. To wszystko, Stypendysto?

– Tak jest.

– *Szalom.*

– *Szalom.*

Połączenie było kontrolowane przez jednostki patrolu granicznego, stacjonujące na pustyni poniżej góry Scopus oraz obok meczetu Ras el Amud, gdzie droga do Jerycha skręcała nagle ku wschodowi. Wiadomość przyjął człowiek z Latam o pseudonimie Zabytek, stacjonujący niedaleko wejścia do Muzeum Rockefellera, przy skrzyżowaniu drogi do Jerycha z drogą Sułtan Suleiman. Zabytek stanowił pierwsze ogniwo zespołu sektora południowo-wschodniego. Drugie i trzecie ogniwo stanowili tajniacy zajmujący pozycje na *rechow* Habad w centrum Starego Miasta oraz w ogrodzie Zurich u podnóża góry Syjon.

Czwartym był Elias Daoud, czekający niecierpliwie przy stacji Kiszle i spodziewający się wiadomości, że podejrzany kieruje się na zachód, ku murom.

Radiostacja w mieszkaniu Daniela odezwała się, gdy nadinspektor telefonował do biura Amerykańskiego Stowarzyszenia Medycznego w Waszyngtonie, DC, usiłując ustalić, czy doktor D. Terrif jest lub był członkiem organizacji. Sekretarka powiedziała, żeby poczekał, aż skonsultuje się z przełożonym. Daniel podał słuchawkę Gene'owi, a sam słuchał, co mówi Katz.

Zastanawiając się, wraz z resztą zespołu, czy tego wieczoru doktor Richard Carter ma zamiar zrobić coś więcej, niż przejść się przed snem.

ROZDZIAŁ 63

To cud, pomyślał Avi, patrząc, jak Wilbur zatacza się ku drzwiom na klatkę swego domu, niosąc coś w papierowej torbie. Wziąwszy pod uwagę ilość napitków, które ten *szikur* wlał w siebie, prawdziwy cud, że nie skończył w rynsztoku.

Pierwsza czterdzieści trzy w nocy – wraca z przyjęcia czy urwał się z całonocnej hulanki?

Dostrzegł przez lornetkę, że korespondent ogląda klucze, wreszcie znajduje właściwy, usiłuje trafić do dziurki w zamku.

Spróbuj po palcu. Chociaż w jego stanie i to by nie pomogło.

Wilbur wreszcie włożył klucz do zamka, otworzył drzwi i zniknął za nimi. Avi włączył radiostację, by przekazać Latamnikowi, że obiekt wrócił do domu.

– Tu Alef.

Brak odpowiedzi.

Może dziennikarz przeszedł przez budynek bezpośrednio do alejki w głębi, żeby puścić pawia albo zabrać coś z samochodu, a tajniak milczał, by nie zdradzić swojej obecności.

Avi postanowił zaczekać, spoglądając w okna Wilbura.

Przez dziesięć minut niecierpliwził się w volkswagenie. Wreszcie w pokoju dziennikarza zabłyśło światło.

– Tu Alef.

Drugie wezwanie także pozostało bez odpowiedzi. Podobnie jak trzecie, po dalszych pięciu minutach.

W końcu Avi wysiadł z samochodu, przebiegł w nowiuteńkich nike'ach pół przecznicy dzielące go od domu Wilbura i jeszcze raz spróbował się połączyć.

Nic.

Może Nash zobaczył coś i poszedł za Wilburem do budynku.

Ale Sharavi wyraźnie powiedział, że mają być w kontakcie.

Słuchaj poleceń, Cohen. Nie pakuj się w kłopoty.

Znajdował się przed domem. Dookoła panowała ciemność. Światło w mieszkaniu korespondenta nadal się paliło. Zamglony bursztynowy prostokąt za zaciągniętymi żaluzjami.

Avi rozejrzał się wkoło, wyjął latarkę i udał się pomiędzy dom Wilbura i budynek sąsiadujący z nim od południa. Wszedł na wilgotną trawę, usłyszał chrzęst tłuczonego szkła, zatrzymał się, nasłuchując, po czym powoli ruszył dalej, aż obszedł dom i znalazł się na jego tyłach.

Tylne drzwi były uchylone. Wewnątrz było widać ciemny korytarz. Wynajęta alfasud Wilbura stała na małym parkingu obok trzech innych samochodów. Avi zapamiętał ich numery rejestracyjne i ostrożnie ruszył ku drzwiom.

Coś śmierdziało. Gównem. Gdzieś w pobliżu musiało leżeć gówno. Zastanawiał się, czy w nie nie wdepnął. Szkoda byłoby nike'ów!

Zrobił krok naprzód. Odór stał się mocniejszy. Zapalił latarkę, oświetlił własne spodnie, buty i ziemię przed sobą.

Pył, kapsel od butelki i coś dziwnego: buty.

Ale sterczące noskami w górę. Para butów do biegania, przymocowana do białych kostek... do czystych nóg, ubranych w spodnie. Pasek. Koszulka. Rozrzucone ramiona.

Twarz.

W ułamku sekundy zdał sobie sprawę, że to ciało członka Latam. Szyja nieszczęśnika była ciasno obwiązana jakimś sznurkiem. Otwarte oczy wyszły z orbit, rozdęty język wystawał z opuchniętych warg.

Spieniona ślina.

Odór.

Nagle przypomniał sobie kurs, na który uczęszczał, i napisany po angielsku podręcznik. Zrozumiał, skąd brał się smród gówna: śmierć przez uduszenie, odruchowe rozluźnienie kiszek.

Natychmiast wyłączył latarkę, zaalarmowany sięgnął pod koszulę, gdzie miał ukrytą berettę. Zanim zdążył ją wyjąć, poczuł ogłuszający, promieniujący ból w podstawie czaszki, okrutny błysk intuicji.

A potem nic.

Wilbur wyszedł spod prysznic. Kręciło mu się w głowie, w ustach czuł gorzyc. Wytarł się i włożył szlafrok.

Co za noc. Dopadli go. Naród Wybrany.

NW: 1. MW: 0.

Żadnych historyjek o Rzeźniku, ani jednego zdania, odkąd Sharavi i jego ludzie przepuścili go przez to ich gestapo...

Jezu, bolała go głowa, czuł, że ma gorączkę.

Głupia baba i jej tanie brandy. Dzięki Bogu miał dość przytomności umysłu, by kupić butelkę Wild Turkey.

Dzięki Bogu nie zmarnował whisky dla niej. Butelka czekała. Nie odkorkowana, na stoliku nocnym.

Kostki lodu w zamrażalniku. Napelnił tackę dziś rano. A może to było wczoraj rano? Nieważne. Liczyło się to, że miał lód. I Indyka.* Zdrapać lak, rozdziewiczyć butelkę i wprowadzić coś dobrego do organizmu.

Jedyna radosna myśl pod koniec nieudanego dnia.

Po kilku nieudanych dniach.

Nadawał swoją korespondencję, szukał jej w gazetach, ale nie znalazł ani linijki podpisanej swoim nazwiskiem. Dobry materiał: humanitarne zainteresowanie rodziną Rashmawich. Większość zmyślona, ale chwytająca za serce. Wiedział, że artykuł jest wzruszający. Inny na temat psychologa z Tel Awiwu, analizującego Rzeźnika. I wywiad z niezadowolonym byłym członkiem Gwury, ujawniającym, jak Kagan wyciąga fundusze od bogatych, szanowanych Żydów amerykańskich, wpływowych gości, którzy nie życzą sobie, by ujawniano ich nazwiska. To, co napisał, wywołałoby skandal. Podał tam nazwiska wraz z wyasygnowanymi sumami. Podlał całą rzecz sosem socjologicznym: konflikt między starym idealizmem syjonistycznym a nowymi militarystami...

Pieprzona sprawa.

Pozbawili go tożsamości... Zamordowali go dla praktycznych celów.

Na początku myślał, że to tylko opóźnienie. Nadmiar materiału spowodował, że musieli wstrzymać na jakiś czas jego historie. Ale po czterech dniach wiedział, że to coś innego. Złapał za telefon i zadzwonił do Nowego Jorku. Narobił hałasu o cenzurę. Spodziewając się wsparcia. Oczekując słów o Wolności Prasy. Jesteśmy z tobą, Mark. Stary, chłopie. Zajmiemy się tym. Ta-jest.

Zamiast tego usłyszał pochrząkiwanie i pokastywanie. Mowę trawę, kit, który politycy wciskają, nie chcąc odpowiedzieć na pytanie.

* Wild Turkey (ang.) – Dzikie Indyki.

Stał za tym Nowy Jork.

Złożono go na ołtarzu ofiarnym.

Tak jak ofiary Rzeźnika: cicha, nie opiewana ofiara. Kiedy go pochowają?

Nebraska. Albo Cleveland. Jakaś zabita deskami dziura, nie kończąca się robota w czyścicu. Jedyne, co mógł zrobić w tej sytuacji, to wykorzystać czas, pracować nad swoim scenariuszem, ślać pisma do agentów w Los Angeles. A jeśli nie wypali, pieprzyć sprawę, będzie jadł pizzę w Spago...

Ale do tego czasu pasmo pustych, zmarnowanych dni.

Dobre rżnięcie zmniejszyłoby ból.

Rżnięcie i Turkey.

Dzięki Bogu nie zmarnował dla niej whisky.

Australijska korespondentka. Bary jak u futbolisty. Ale miła twarz. Nie Olivia Newton-John, ale dobre, czyste rysy. Ładne jasne włosy. Dobra skóra. Wszystkie mleczne piegi na szyi i piersi. Był cholernie ciekawy, jak nisko sięgają.

Weszła do Finka i już wiedział, że znalazł to, na co czekał. Kupił Wild Turkey od barmana – podwójna cena plus napiwek, dopisane do rachunku. Dosiadł się do jej stolika. Po pięciu minutach trzymała dłoń na jego kolanie.

Gwizdnął, puścił oko. U ciebie czy u mnie?

U niej.

Rozkoszne gniazdko, kilka przecznic od jego mieszkania. Prawie bez mebli. Dopiero co przyjechała z kraju kangurów. Ale wszystkie niezbędne rekwizyty: stereo, zbiór kaset z łagodnym rockiem. Materac na podłodze. Świece. Butelki.

Mnóstwo butelek: tanie brandy, dziesięć odmian. Z wszystkich owoców, jakie można sobie zamarzyć. Entuzjastka taniego brandy.

Pili jednego za drugim, z jednego słoika po dżemie. A potem mały sekret: okruszki haszyszu o czekoladowej barwie w filtrze dunhilla. Interesująca mieszanka. Haszysz łagodzący kiepski napitek.

Balsam na duszę, wyszeptala, liżąc go w ucho.

Przyćmione światło, łagodny rock z magnetofonu.

Pojedynek na języki. I hop, na materac. Gotowi zanurzyć się w ich osobistej głębi. Milutko, prawda?

Otóż nie.

Odrzucił ręcznik na podłogę, poczuł chłodne płytki pod stopami, zadrżał i zachwiał się, tracąc równowagę. Obraz stał się zamazany, poczuł mdłości.

Boże, czuł się, jakby miał wyrzygać wnętrzności. Ile tych pomyj wprowadził do organizmu?

Nachylił się nad umywalką, zamknął oczy, skręcany torsjami, które osłabiły go, aż stracił oddech i musiał się chwycić brzegu umywalki.

Pomyje, nie chciał nawet myśleć, jak bardzo uszkodziły mu jelita. I czy ten haszysz to na pewno haszysz? Przypomniał sobie noc w Rio. Szaleństwo karnawału. Trawka z czymś halucynogennym. Przez trzy dni wydawało mu się, że stąpa po gumowych trotuarach.

Ale ona wlała w siebie calutką butelkę i nawet nie mrugnęła okiem.

Australijczycy – bezdenne studnie, gdy chodzi o alkohol i narkotyki. Potomkowie kryminalistów, pewnie mają to w genach...

Poczuł łomot serca. Nieregularny. Pozbył się myśli o ataku serca, zamknął komodę i usiadł na niej, oddychając z trudem. Starał się nie myśleć o nieudanej przygodzie. Ale im bardziej się starał, tym więcej wspomnień dobijało się do jego zamulonej świadomości.

On i ona, leżący razem na materacu. Jego dłoń na jej udzie – muskularnym, piegowatym udzie. Popijając pomyje i paląc haszysz, i popijając więcej pomyj. Jego dłoń pod jej bluzką, ona przyzwalająca, uśmiechająca się głupkowato i powtarzająca: na zdrowie, i bekająca,

jakby piła gazowaną wodę.

Wszystko szło świetnie, cholerne zbawienie po gównianych dniach. I wtedy nagle powiada mu, że jedyne, na co ma ochotę, to pogadać.

Ściągnął z niej bluzkę – wielka dziewczucha, wielkie piegowate cycki, takie, jak sobie wyobrażał. Wielkie brązowe brodawki; pozwoliła mu possać, bawić się nimi – zmierzamy do celu, Marko. Ale upierała się, żeby rozmawiać.

Głupie, pijackie gadanie. Szybkie i gniewne słowa, histeryczny ton. Jeden nieostrożny ruch, a zacznie łkać, wrzeszczeć, że ją gwałcą lub coś w tym rodzaju.

Głupie gadanie. Przeskakiwała z tematu na temat, kompletnie bez logicznego związku.

Jej były mąż. Egzotyczne ptaki. Ulubione meble rodziców. Popijawy w ogólniaku. Kolekcja kaktusów, którą miała w latach przedszkolnych. Tęsknota za domem. Aborcja w college'u. Jej brat, postrzygacz owiec.

A potem kupa głupot na temat owiec: strzyżenie owiec. Kapanie owiec. Podglądanie, jak owce się pieprzą. Kastrowanie baranów. Co ona gada? Najwyraźniej kompletna wariatka.

Głowa pękała mu z bólu. Po kilku nieudanych próbach wstał, dotarł do sypialni, sięgnął po butelkę Wild Turkey. Lód może poczekać.

Światło było zgaszone. Dziwne, przysięgłby, że zostawił je zapalone.

Tracił pamięć, komórki mózgu doszczętnie wypalone – z całą pewnością dodała czegoś do haszyszu. Albo to ta chara.

Ale i tak wolał ciemność. Czuł się tak, jakby miał żwir pod powiekami. Ciemność działała kojąco. Wystarczy odrobina łagodnego światła dochodzącego z foyer. Tyle, żeby dostrzec kontury...

Podszedł do stolika nocnego i natrafił ręką na pustkę.

Butelki nie było.

Cholera, widocznie postawił ją gdzie indziej. Naprawdę musiał być nieźle struty. Głupia dziewczucha otruła go swoim porzeczkowo-brzoskwiniowo-gruszkowym bimbrem. Zwabiła do siebie i otruła.

I jak go zwodziła. Pozwoliła mu na wszystko. Wsadził rękę do jej majtek. Zniosła to spokojnie, jak pogrążona w śpiączce. Pozwoliła, żeby rozsunął jej wielkie piegowate nogi. Nie stawiała oporu, gdy wślizgiwał się w nią, jak palec w nasmarowanej tłuszczem rękawiczce. Wszedł tak łatwo, że zastanawiał się, czy w ogóle coś poczuła. Może przywykła do czegoś większego? Poruszył się, żeby go poczuła, gładził ją, próbował wszystkich sztuczek, jakie znał, ale ona tylko leżała, gapiąc się w sufit i mówiąc, jakby on robił to z kimś innym, a ona w tym nie uczestniczyła. Zupełnie nie z tego świata.

Nie stawiała najmniejszego oporu, ale gadała, aż minął mu wzwód, wyszedł z niej i wstał.

Gadała z rozrzuconymi nogami, podczas gdy się ubierał, sięgnął po nie napoczętą butelkę Wild Turkey. Słyszał jej gadaninę, zamykając za sobą drzwi jej mieszkania...

Zataczał się po pokoju, szukając po omacku whisky.

Gdzie się, do diabła, podziała ta przeklęta butelka?

Tracił pamięć, tracił rozum. Sprawdził na podłodze, w łóżku, na toalecie, w szafie, czując narastającą panikę...

– Szukasz czegoś? – zapytał jakiś głos.

Serce podskoczyło mu w piersi i uwięzło w gardle. Stracił oddech.

Sylwetka w drzwiach do foyer, oświetlona od tyłu. Jakiś facet, kapelusz, długi płaszcz. Błysł światła w okularach. Broda.

Facet podszedł bliżej. Uśmiechając się. Szczercząc zęby.

– Co, do cholery...

– Cześć, jestem doktor Terrific. Co panu dolega?

Lśnienie zębów. Szeroki uśmiech.

Bardzo dziwaczne.

O cholera. Doktor Terrific. D. T.

Demon *Delirium Tremens*. Wciąż się słyszy, że coś takiego przytrafia się komuś innemu, ale nie bierze się pod uwagę, że może przytrafić się tobie. Przypomniał sobie ostrzeżenie brazylijskiego lekarza o wilgotnych, miękkich dłoniach: „Pańska wątroba, panie Wilbur. Ostrożnie z *daiquiris*”.

Koniec z pijaństwem, obiecał sobie następnego dnia. Trzy spaceru dziennie, więcej witamin B...

– Tego szukasz, Mark? – zapytał D. T. Demon, pokazując mu butelkę Wild Turkey.

Zatruty haszysz. Zmieszany z jakimś świństwem – LSD... Demon w kapeluszu uśmiechnął się szerzej. Jak na halucynację wyglądał cholernie prawdziwie...

Wilbur przysiadł na brzegu łóżka, zamknął oczy, przetarł je, otworzył znowu, w nadziei, że demon zniknie.

Ale nie zniknął.

– Co, do cholery...

Demon-człowiek pokręcił głową.

– Więcej szacunku, Mark.

Po imieniu, jakby się dobrze znali. Jakby był jego częścią. Jak na kreskówce, którą oglądał w dzieciństwie. *Tu mówi twoje sumienie, Mark.*

Wyparł to z pamięci.

Demon sięgnął pod płaszcz i wyjął coś długiego i lśniącego. Nawet w mroku Wilbur wiedział, co to takiego.

Nóż. Największy cholerny nóż, jaki widział w życiu. Ostrze mierzące stopę długości, a może jeszcze więcej. Lśniące metalowe ostrze. Perłowy uchwyt.

– Z szacunkiem, Mark.

Wilbur patrzył na lśniący nóż. Zimny i czysty, okrutny i realny... Czy to możliwe? O Boże...

– Brakuje mi twoich historyjek na mój temat, Mark. Czuję się tak, jakbyś mnie porzucił.

Teraz już wiedział.

– Posłuchaj – wydusił z siebie. – Ja chciałem. Oni mi nie pozwolili.

Mężczyzna słuchał, szczerząc zęby.

Przez głowę przemknęły mu setki wywiadów z psychiatrami: Graj na zwłokę. Nawiaź porozumienie. Empatia.

– Cenzura. Wiesz, jak jest – powiedział. Zmusił się do uśmiechu. Jezu, jaki bolesny uśmiech. Ten nóż... – Napisałem kilka kawałków, mogę ci je pokazać. Są na biurku w salonie.

– Przeciągał słowa w pijackim bełkocie. Mów wyraźniej!

– W salonie – powtórzył. – Pokój od frontu...

– Jeszcze coś, Mark – powiedział szczerzący zęby bękart, jakby nie usłyszał ani słowa. – Nazwałś mnie Rzeźnikiem. To implikuje fuszerkę. Brak umiejętności. Ja jestem profesjonalistą. Prawdziwym naukowcem. Zawsze po sobie sprzątam.

Nie, nie, nie, niech to zniknie. Zniknie z mego pokoju...

– Przepraszam. Nie chciałem...

– Mimo to naprawdę brakuje mi twoich historyjek, Mark. Jesteśmy ze sobą związani. Nie masz prawa tego kończyć bez porozumienia ze mną.

Mężczyzna w długim płaszczu i kapeluszu podszedł bliżej. Jaka dziwna twarz, coś z nią nie w porządku. Jakby popsuta. Nie rozumiał, co go w niej raziło... Do diabła z tym, nie trać czasu na rozmyślanie o głupotach.

Graj na zwłokę.

– Wiem, co masz na myśli. Na twoim miejscu czułbym to samo. Ale system cuchnie. Naprawdę. – Teraz on pyłował jak najęty. O Nowym Jorku, Narodzie Wybranym, o tym jak obydwa są ofiarami syjonistycznej cenzury. Szczerzący zęby mężczyzna stał, w jednej ręce

miał butelkę, w drugiej nóż. Stał i słuchał.

– Możemy pracować razem, doktorze. Opowiedz mi swoją historię, po swojemu. Powstanie wielkie dzieło, nikt się nigdy nie dowie, kto mi to opowiedział. Będę cię osłaniał, kiedy wydostaniemy się z tego cuchnącego kraju. Żadnej cenzury, obiecuję. Hollywood będzie zachwycone...

Uśmiechający się mężczyzna już go nie słuchał. Wyglądał na roztargnionego. Wilbur przesunął bolące oczy z dziwacznej twarzy na rękę dupka: butelka Wild Turkey w jednej dłoni, nóż w drugiej. Zdecydował się zaatakować, zastanawiał się, co chwycić.

Nóż.

Przygotował się. Długa chwila milczenia. Serce galopowało. Wstrzymał oddech, dławił go strach... Przestań! Precz z negatywnym myśleniem. Graj na zwłokę.

Zagadnij dupka.

– A więc – powiedział – opowiedz mi coś o sobie.

Mężczyzna o szerokim uśmiechu podszedł bliżej. Wilbur zobaczył jego oczy i wiedział, że wszystko na nic. Już po wszystkim.

Chciał wrzasnąć. Ale nie mógł wydobyć głosu. Spróbował zerwać się z łóżka, ale bezsilnie upadł do tyłu.

Sparaliżowany strachem. Słyszał o tym, że zwierzęta, które mają być rozdarte przez drapieżnika, zapadają w stan ochronnego paraliżu. Ich świadomość się zamyka. Anestezja – o Boże, spraw, by tak było naprawdę. Uczyń ze mnie zwierzę, ogłusz mnie, odbierz myśli, świadomość oczekiwania...

Brodąta twarz zawisła ponad nim, uśmiechając się.

Wilbur wydał z siebie słaby skrzek, zakrył oczy ręką, aby nie widzieć noża, starał się wypełnić umysł obrazami, wspomnieniami, czymkolwiek, co złagodziłoby ból oczekiwania.

Boże, jakże on nienawidził noży. To takie niesprawiedliwe, przecież był gościem w porządku.

Ręka trzymająca nóż pozostała nieruchoma.

Poruszyła się ta z butelką.

ROZDZIAŁ 64

Bar Ali Baba zamykano o północy, ale Al Bijadi wsunął kelnerowi kilka dolarów. On i Cassidy mogli wypić jeszcze jedno pistacjowe mleko, podczas gdy gaszono światła.

Musiał mu dać niezłą sumkę, myślał Shmeltzer, patrząc, jak kelner przynosi im stos ciastek i podaje do stołu, kłaniając się uniznienie.

Cassidy sięgnęła po ciastko i zaczęła się nim bawić. Wyglądała na znudzoną, jej bezpłciowa twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu. Al Bijadi napił się, spojrzął na zegarek. Jeszcze jedna para na randce, ale instynkt Shmeltzera podpowiadał mu, że coś się kroi. W ciągu ostatniej godziny *szmuk* zerkał na zegarek czternaście razy.

Im bardziej im się przyglądał, tym gorzej wydawali się dobrani. Szejk w szytym na miarę ciemnym garniturze i lśniących butach. Cassidy bez powodzenia usiłująca wyglądać kobieco z uczesanymi do góry włosami, z dyndającymi kolczykami i w koronkowej sukni. Od czasu do czasu dotykała ramienia mężczyzny, ale w zamian otrzymywała tylko uśmiech, albo i to nie.

Szmuk był bez wątpienia zdenerwowany, błędził myślami gdzieś daleko. W głębi restauracji ukazała się młoda ciemnowłosa kobieta w białym ubraniu roboczym, wyposażona w wiadro i zmywak. Uklękła i zaczęła myć podłogę. Al Bijadi i Cassidy nie zwracali na nią uwagi, odgrywając swoje przedstawienie.

Czekali? Na co?

Para z Latam już dziesięć minut temu zapłaciła czekiem i wyszła z restauracji. Odbyła krótką naradę z Shmeltzerem i odeszła, trzymając się za ręce, na północ w Salah E-Din. Dla niezorientowanego obserwatora – para gojów, zamierzająca się zabawić w hotelu Amerykańskiej Kolonii.

Al Bijadi znów rzucił okiem na zegarek. Istny nerwowy tik. Cassidy odłożyła ciasteczko, oparła dłonie na kolanach.

Sprzątaczką przybliżyła się do ich stolika, zataczając szmatą wilgotne kręgi. A potem wstała i podeszła jeszcze bliżej. Uklękła. Shmeltzer widział jej wąskie plecy i poruszające się ramiona. Spodziewał się, że Al Bijadi powie jej coś niemiłego – facet pogardzał niższymi klasami społecznymi.

Ale on patrzył na nią, jakby jej słuchał. W napięciu. Skinął głową. Cassidy udawała, że nic nie zauważa.

Sprzątaczką przestawiła wiadro, myła podłogę przez kilka sekund, a potem podniosła się z klęczek i zniknęła w głębi restauracji. Połowa podłogi została nie umyta. Al Bijadi położył na stoliku jeszcze kilka banknotów, przycisnął je świecznikiem, wstał i wygładził spodnie.

Cassidy także wstała i wzięła go pod rękę. Ściskając go za ramię. Shmeltzer widział przez lornetkę, że jej palce wpijają się w ciemną tkaninę rękawa.

Al Bijadi zdjął jej dłoń, lekko pokręcił głową, jakby mówił: nie teraz.

Cassidy opuściła rękę wzdłuż ciała. Tupnęła nogą.

Stali na chodniku.

Po chwili Shmeltzer usłyszał odgłosy dochodzące z zaplecza sali restauracyjnej.

Otworzyły się drzwi, wpuszczając snop światła i szczęk garnków. Wcisnął się w ciemny narożnik i zobaczył sprzątaczkę, teraz ubraną w ciemną sukienkę, wychodzącą i poprawiającą sobie włosy. Niska dziewczyna... drobna. Ładny profil.

Ruszyła na północ, w Salah E-Din, w ślad za parą z Latam.

Shmeltzer zauważył, że ma lekkiego platfusa, słyszał człapanie. Gdy kroki ucichły, przesunął się do przodu i patrzył, jak się oddala. A potem znów zajrzał do Ali Baby.

Światła od frontu zgasły. Kelner składał obrusy, zbierał świece i składał stoliki.

Al Bijadi i Cassidy także ruszyli na północ, za sprzątaczką.

Przeszli w odległości dwóch metrów od Shmeltzera, szybkim krokiem, w milczeniu. Shmeltzer połączył się z parą z Latam. Odpowiedziała kobieta.

– Tu Żona.

– Właśnie wyszli. Idą za niską kobietą w ciemnej sukience. Ciemne włosy do ramion. Po dwudziestce. Wszyscy troje idą tą samą drogą co wy. Salah E-Din. Gdzie jesteście?

– Minęliśmy Az-Zahara, niedaleko biura podróży Joulani.

– Zostańcie tam. Będę szedł za nimi.

Ukrył nadajnik pod łachmanami zebraka, w kieszeni wiatrówki, i przeklinając upał i wszystkie te łachy, ruszył, trzymając się w pewnej odległości za śledzonymi.

Cholerna karawana.

Szejk i jego dziewczyna szli szybko. Na ulicach wciąż kręcili się ludzie – odźwierni i pomoce kuchenne, pracownicy z arabskich hoteli, wracający po swojej zmianie do domu. Ale on znalazł sposób, by nie stracić z oczu swojej zdobyczy. Wpatrywał kobiecej głowy w sąsiedztwie męskiej. We wschodniej Jerozolimie nie widuje się wielu mężczyzn idących z kobietami.

Minęli ulicę Az-Zahara, minęli biuro podróży Joulani, gdzie czekała niewidoczna para z Latam. Przeszli obok Amerykańskiej Szkoły Badań Wschodu i zmierzali ku anglikańskiej katedrze Saint George i jej gotyckiej wieży z czterema iglicami.

Przy katedrze zrównali się ze sprzątaczką, zamienili kilka słów, których Shmeltzer nie usłyszał, i szli dalej. Dziwna trójka. Najpierw na wschód, potem na południe ku Ibn Haldoun. Ulica była wąska i krótka, ślepo zakończona poprzeczną Ibn Batuta i frontową fasadą hotelu Ritz.

Przystanęli tuż przed jej końcem, przeszli przez żeliwną bramę na podwórko eleganckiego starego domu arabskiego i zniknęli.

Shmeltzer czekał po przeciwnej stronie ulicy na parę, spostrzegł, jak weszli w ulicę Ibn Haldoun i zbliżali się do niego. Wszyscy troje odeszli jakieś dwadzieścia jardów, gdzie nie docierało światło latarni ulicznych.

– Weszli tam?

Shmeltzer skinął głową.

– Przed minutą. Wiecie coś o tym budynku?

– Nie było go na żadnej liście – odrzekła kobieta. – Ładna jak na sprzątaczkę.

– Podobna jest do trzech pierwszych ofiar Rzeźnika – powiedział Shmeltzer. – Mała, ciemna, niebrzydka. Myśleliśmy, że wyszukują swoje ptaszki w szpitalu, ale może nie tylko. Może nawiązują kontakt w trakcie wizyt u lekarza i umawiają się na spotkania gdzie indziej. Seks za pieniądze. – Zamilkł. Dwie kondygnacje, elegancki, rzeźbiony kamień. – Ciekawe, do kogo należy ten pałac.

– Połączę się z kim trzeba – rzekła kobieta, wyjmując nadajnik z torebki.

– Nie ma na to czasu – powiedział Shmeltzer. – Mogą jej właśnie wstrzykiwać narkotyki, układać do operacji. Połącz się z Francuskim Wzgórzem, powiedz im, co się dzieje i że wchodzimy. I poproś o wsparcie. Niech szykują karetkę. – Spojrzał na mężczyznę. – Chodźmy.

Pobiegli w stronę domu, otworzyli zardzewiałą bramę, weszli na podwórze z berettami w

gotowości. Dojście na tyły uniemożliwiały gęsto rosnące cyprysy, tworzące zwartą ścianę. Obejrżeli front domu: pojedyncze drzwi pośrodku, zakratowane okna, większość z nich z zamkniętymi okiennicami. Dwa balkony. Podwórze z ładnie utrzymanymi rabatami. Może podzielony na mieszkania – większość dużych domów w Jerozolimie została podzielona – ale z jednymi drzwiami?

Shmeltzer machnął ręką w kierunku drzwi. Człowiek z Latam pobiegł za nim.

Zamknięte. Facet z Latam wyjął wytrychy. Działał szybko: otworzył zamek w dwie minuty. Spojrzał na Shmeltzera, czekając na jego sygnał.

Shmeltzer wiedział, co on myśli. Dom jest elegancki, może mieć alarm, a jeżeli służy do mordowania, nawet pułapkę.

Pomyślał, że jest za stary na takie rzeczy. I żeby ratować Arabkę? Ale praca to praca.

Pchnął drzwi, wszedł do domu. Człowiek z Latam za nim. Żadnego wycia ani dzwonienia. Spokój i bezruch. I żadnego szrapnela rozrywającego pierś. Dobrze. Uratowany dla następnego dnia błogosławionej egzystencji.

Kwadratowy hol, okrągły dywan perski, dwoje małych drzwi w głębi. Shmeltzer i człowiek z Latam przywarli do dwóch przeciwległych ścian. Każdy z nich zmierzał do innych drzwi. Ujęli klamki.

Jednak drzwi były otwarte. Za nimi znajdowała się klatka ze spiralnymi schodami. Kamiennymi, bez dywanu.

Shmeltzer wszedł na górę. U szczytu znajdował się podest. Ściany obite boazerią. Powietrze było pełne kurzu, pachniało pleśnią i zaniedbaniem. Spróbował poruszyć boazerię. Chwytał mocno, żadna z płyt nie drgnęła. Dziś w nocy nikt tu nie wchodził.

Z powrotem na dół. Sygnał dla faceta z Latam, żeby otworzył drugie drzwi. Zamknięte na zamek. Dwa zamki. Jeden nad drugim. Pierwszy łatwo ustąpił, drugi był oporny.

Płynęły minuty. Shmeltzer wyobrażał sobie, że wraz z nimi płynie krew. Miał spotniałe dłonie. Beretta była zimna i śliska. Czekał, podczas gdy drugi mężczyzna mocował się z zamkiem, i myślał o sprzątacze, nagiej na jakimś stole, ze zwieszoną głową, wykrwawiającej się na dywan...

Za stary na takie gówno.

Człowiek z Latam pracował cierpliwie, obracając, przekręcając.

Wreszcie drzwi stanęły otworem.

Weszli do dużego, ciemnego pokoju frontowego. Lśniaca kamienna posadzka, ciężkie kotary zasłaniające okna, z prawej strony wahadłowe drzwi prowadzące na korytarz. Kinkiet ze słabą żarówką oświetlał na pomarańczowo ciężkie, kosztowne meble – w starym stylu brytyjskim: stoły na wygiętych nogach, sztywne kozetki. Koronkowe serwetki. Inne stoliki inkrustowane, w stylu arabskim. Ogromny inkrustowany komplet do trik traka, gablotka pełna sreber, naczyń, bibelotów. Gitara na sofie. Rzeźby z kości słoniowej. Mnóstwo dywaników.

Bogato. Ale znów zgrzybiała woń starych ubrań i zaniedbania. Jak na scenie teatralnej, bez życia. Od dawna.

Z lewej strony pokój frontowy otwierał się na dużą staroświecką kuchnię. Człowiek z Latam zajrzał do niej i cofnął się, sygnalizując: nic.

W takim razie zostawały tylko wahadłowe drzwi.

Cholerstwo skrzypiało. Przytrzymał je dla faceta z Latam. Weszli na orientalny chodnik. Czworo drzwi. Sypialnie. Pod jednymi z nich smuga światła. Słumione głosy.

Zbliżyli się do drzwi, wstrzymując oddech. Nasłuchiwali. Rozmowa. Podniesiony w podnieceniu głos Al Bijadiego. Po arabsku. Kobięcy głos niewyraźnie odpowiadający.

Shmeltzer i Latamnik spojrzeli po sobie. Shmeltzer skinął, przodem. Facet był młodszy, miał lepsze nogi.

Latam kopnął drzwi i obydwoj wpadli do środka, z wycelowanymi berettami, krzycząc:

– Policja! Padnij! Policja!

Żadnego morderstwa, ani kropli krwi.

Al Bijadi i obie kobiety, stojący z rozdziawionymi ustami w nieumeblowanym, jasnym pomieszczeniu pełnym drewnianych skrzyń. Większość pak nakryta płóciennym brezentem, kilka odkrytych. Shmeltzer zauważył napis po hebrajsku i po arabsku: MASZYNY ROLNICZE.

Na zasłanej trocinami podłodze leżał łom. Skrzynia pośrodku pokoju była częściowo otwarta.

Wypełniona po brzegi karabinami. Wielkimi, ciężkimi rosyjskimi karabinami. Shmeltzer nie oglądał takich od czasu, gdy zabierali broń Egipcjanom w 1967 roku.

Al Bijadi trzymał jeden w rękach i wyglądał jak dzieciak przyłapany z ręką w pudełku z biszkoptami. Obie kobiety padły na podłogę, ale *szmuk* wciąż stał.

– Rzuć to! – wrzasnął Shmeltzer i wycelował berettę w nadąsaną twarz szejka.

Lekarz zawahał się, spojrzął na karabin, a potem znów na Shmeltzera.

– Rzuć to, ty mały pieprzony szczurze!

– O Boże – jęknęła z podłogi Peggy Cassidy.

Al Bijadi rzucił karabin.

– Na podłogę, na brzuch! – rozkazał Shmeltzer. Al Bijadi usłuchał.

Trzymając swoją berettę wycelowaną w kręgosłup Al Bijadiego, Shmeltzer podszedł ostrożnie i kopnął karabin poza zasięg łajdaka. Chwilę potem miał się dowiedzieć, że broń nie była załadowana.

ROZDZIAŁ 65

Taki ładny, pomyślał Człowiek o Szerokim Uśmiechu, spoglądając na nagie ciało młodego gliniarza, leżące na stole.

Każdziutki mięsień ukształtowany jak na pięknej rzeźbie, skóra jędrna i gładka, idealnie uformowane rysy twarzy.

Adonis. Bez haczykowatego nosa.

Trudno uwierzyć, że to żydowski pomiot. Przejrzał zawartość kieszeni dupka, mając nadzieję, że znajdzie kartę tożsamości, stwierdzającą, że to nie ick. Jakiś dowód wskazujący, że chłopak jest aryjczykiem, który w jakiś sposób został zmuszony, by pracować dla icków.

Ale nie znalazł portfela ani żadnych dokumentów. Tylko gwiazda Dawida na cienkim złotym łańcuszku, wepchnięta do jednej z kieszeni.

Ukrywający swoje żydostwo. Dupek był żydowskim pomiotem.

Niesprawiedliwość, obelga.

Dupek był genetycznym wybrykiem, złodziejem aryjskich genów.

Ale ładnym. Od ostatniego razu, gdy widział równie ładnego samca, minęło wiele lat. Był to czternastoletni chłopiec, jak z obrazu Gauguina, którego przyniesiono martwego do pracowni anatomicznej. Rodzina tanio sprzedała jego ciało. Dziewięćdziesiąt funtów materiału badawczego.

Dziewięćdziesiąt funtów pierwotnej protoplazmy: miedziana skóra, zamglone oczy o długich rzęsach, lśniąca czarna włosy. Mały żółtek kipnął od ostrego bakteryjnego zapalenia opon mózgowych; kiedy przepiłował mu czaszkę i odsłonił korę mózgową, ujrzał oczywiste uszkodzenia, cały ten żółtozielony śluz oblepiający opony.

Ale pomimo zgniętego mózgu ciało pozostało piękne; jędrne i gładkie jak u dziewczyny. Jak u Sarah. Trudno uwierzyć, że to stuprocentowy żółtek, trudno uwierzyć, że to samiec.

Ale przegniły do szpiku kości.

Ten mały żółtek zrujnował jego plany!

To umocniło jego kodeks.

Z samcami trzeba kończyć szybko: śmiertelny cios w twarz lub śmiertelne udławienie przez przerwanie tchawicy. Silny wstrząs i to ostatnie zdziwione spojrzenie, zanim zgaśnie światło.

Teraz wiesz, kto tu rządzi.

Pa, pa.

Samiczki były po to, by się nimi rozkoszować. Oszczędzał je dla prawdziwej nauki.

Ale ten na stole był taki ładniutki. Omal kobiecy.

Wystarczająco kobiecy?

Pierwsza myśl po znokautowaniu dupka była, by z nim skończyć od razu. Dobry kopniak w twarz i zostawić za domem dziennikarza, razem z drugim ickiem.

Ale spojrzał na jego twarz, na ciało, i zobaczył coś, co sprawiło, że zadrżał.

Taki ładny.

Poczuł wzwód.

W jego głowie pojawiły się niepokojące myśli, kłające jak żądła:

Ładny jak pedał.

Dziewczyna czy chłopak?

Pozbył się myśli, skoncentrował na dupku, który leżał nieruchomo. W jego władzy.

Dupek był pedziem.

SS wiedziało, co robić z pedziami.

Dziadek Hermann wiedział, co robić z pedziami.

Prawdziwa nauka. Perspektywa przygody: oto, co sprawiało, że dostawał wzdodu.

Wziął głęboki wdech i zatrzymał powietrze w płucach; żądłace myśli odleciały. Szybko przeszukał kieszenie bajeranckich dzinsów dupka, znalazł kluczyki do samochodu, wziął je razem ze spluwą, którą pedzio upuścił, po czym zrobił mu usypiający zastrzyk z H, aby był spokojny. I na ulicę, gdzie próbował, do którego z samochodów pasują kluczyki.

Ryzykując, ale czerpiąc przyjemność z adrenalinowego kopniaka. Bliskowschodnie safari dobiegało końca, dlaczego nie wycisnąć ostatniej kropli przyjemności, zanim przeniesie się gdzie indziej?

Wkrótce odnalazł samochód: rozklekotany volkswagen garbus, którego pedzio nie zamknął. Zajechał nim w alejkę, wrzucił nieprzytomnego pedzia do bagażnika. Znalazł kostiumy. Pedzio dobrze wiedział, jak zmieniać tożsamość! Pięciominutowa jazda do Niemieckiego Domu, garbus pozostawiony obok jego mercedesa. Jeszcze pięć minut i pedzio adonis leżał rozciągnięty i związany na stole jadalnym.

Icek adonis. Zbyt ładny, bardzo zły. Afront dla kodeksu Schwanna. On musiał to pomścić.

Improwizuj.

Niby czemu nie? Improwizacja jest w porządku, jeśli wykonuje się ją z zachowaniem stylu. Zresztą ostatni akt będzie wielką improwizacją, ostatecznym wybuchem, który zmiecie projekt *Untermensch* z powierzchni ziemi.

Niespodzianka, niespodzianka. Pozwólmy, by gra się zaczęła.

Dupek poruszył się na stole. Wydał metaliczny dźwięk z głębi gardła.

Podszedł bliżej, sprawdził tętno i oddech pedzia, upewnił się, że nie zwymiotuje i nie udławi się rzygowinami.

Wszystkie układy funkcjonowały normalnie.

Dupek ucichł. Pięknie.

Tak, zdecydowanie pięknie, jak na przygodę z prawdziwą nauką.

Badanie jamy ciała pedzia – dziadek Hermann byłby zadowolony.

Coraz szersze granice: samce, samice, psy, koty, szczury, gady. *Arachnida*, *Coelenterata* – wszystkie tkanki miękkie i receptory bólu. Jeśli się w tym zagłębisz, różnice stają się minimalne. Arbitralne. Gdy otworzysz ciało, spojrzysz w upragnioną jamę, na malowidło trzewi, dojdiesz do wniosku, że zawsze jest jednaka. Każdy jest tym samym.

W kategoriach mięsa.

Nie umysłu.

Precyzyjny aryjski umysł Schwanna jest inną sferą poznawczą niż nic niewarte mózgi *Untermensch*.

A ten młody golas na jego stole jest ickiem-mośkiem, pedziem i wypierdkiem, no nie?

Ładny.

Ale samiec.

Przebadał kiedyś jednego samca. I zrujnował swoje plany.

Od tamtej pory stał się zdyscyplinowany. Samców wykańczać błyskawicznie. Samice pozostawiać do badań.

Ale od tamtego czasu przebył długą drogę. Nauczył się, jak być ostrożnym i jak skutecznie idealne porządki.

Żądło.

Uderzenie.

Pieprz się! On tu rządzi. Nie ma potrzeby, by ograniczać się z powodu tego, co zrobił mu chłopiec jak z Gauguina.

Wprost przeciwnie – musi zrzucić więzy.

Uwolnić się. Dieter Schwann i dziadek Hermann pragnęliby tego, byliby dumni z jego kreatywności.

Nagle zrozumiał, dlaczego dostarczono mu młodego gliniarza: duppek był tutaj, aby go ocalić. Aby on mógł się nim rozkoszować. Deser po ostatnim akcie. Bukiet róż rzucony na scenę po brawurowym przedstawieniu.

Róże od Dietera, wiadomość: „Uwolnij się”.

Łatwa decyzja.

Trzymaj dupka związanego i cacy, cacy, napompuj go H, żeby był spokojny; a potem, gdy kurtyna po ostatnim akcie opadnie, wróć, obudź go, daj mu jeszcze trochę H albo nie, kurary, tak jak psu. Paraliż funkcji motorycznych przy zachowaniu całkowitej świadomości!

Leżące nieruchomo jak kamień bezsilne ciało, ale słyszające, widzące i odczuwające zapachy. Oraz świadome!

Tego, co się dzieje.

Tego, co z nim robią.

Przerażanie w jego oczach.

Hau, hau, hau.

Wspaniały plan. Doprowadził go w wyobraźni do końca i zaczął przygotowywać serię nowych igieł. Myśląc: To mnie na zawsze uwolni od wspomnień z Sumbok.

Ale gdy o tym pomyślał, wspomnienia z Sumbok poczęły drażnić jego umysł, czyniąc piskliwy, mechaniczny hałas, niczym termity wgryzające się w budowlę.

Dotykał się, pieścił, usiłując uciszyć hałas. Upuścił szklaną strzykawkę na podłogę i usłyszał, jak się tłucze. Jednocześnie walczył z powracającymi obrazami: tłusta, gładka twarz doktora:

„Dobrze, w końcu znalazłem odpowiednie dla ciebie miejsce. Nie całkiem akademii medyczna, ale zawsze uczelnia medyczna. Przekonanie ich, żeby cię tam przyjęli, kosztowało mnie majątek. Jeżeli uda ci się przebrnąć przez cztery lata studiów i zdasz egzamin, będziesz sobie mógł znaleźć jakąś praktykę”.

Pieprzony układny uśmiech. Oznaczający: nigdy tego nie osiągniesz, głupku.

Pokazał, ile on wie, przeklęty chuj. A przecież, biorąc pod uwagę praktykę, już jest lekarzem. Pozostało tylko połączyć doświadczenie doktora Terrifica z nudnymi podręcznikami i formalnościami biurokratycznymi. A potem dopomnieć się o prawa przynależne mu z tytułu urodzenia.

Dieter Schwann II, doktor medycyny, doktor nauk filozoficznych, aryjski zdobywca upragnionej jamy. Mengele-magik-rzemieślnik tworzący freski trzewiowe.

Ciągłość rodu!

Wypełnił formularze, odczuwając radość z celowego działania, szykując się na przygody, masturbując do wtóru obrazów z uroczystości ukończenia studiów: on, liczący dziesięć stóp wzrostu w czarnej todze z aksamitnym kołnierzem i w jedwabnej, zawadiacko przekrzywionej czapce z płaskim kwadratowym wierzchem. Odbierający wyróżnienia, wygłaszający mowę pożegnalną, dziękujący Dieterowi Schwannowi, doktorowi medycyny, Przewodniczącemu Chirurgii Patologicznej i Badań Trzewi na Uniwersytecie Berlińskim.

Brawo.

Karmiąc się tymi obrazami przez dwa dni nudnej podróży samolotem do Dżakarty, tylko po to, by cała radość zgasła, gdy rozsypujący się gruchot wylądował na tej cuchnącej, wilgotnej, zapomnianej przez Boga wysepce.

Brązowa plamka. Wszędzie wokół woda. Piasek, błoto i obwisłe drzewa.

– Gdzie jesteśmy?

Pilot, półkrwi tubylec, wyłączył silnik, otworzył drzwi i postawił bagaż na pasie.

– Witaj w Sumbok, doktoru.

Ponura rzeczywistość: moskity i bagna, trzciniowe chaty i dziobate szumowiny rodem z płócien Gauguina snujące się w przepaskach na biodra i w podkoszulkach. Świnie, kozy i kaczki w chatach razem z ludźmi, wszędzie pełno gówna. W południowej części wyspy zatęchła, pełna gnoju zatoka. Plaża, na którą morze wyrzucało meduzy, ślimaki morskie i inne paskudztwa, które gniły na oślizgłym, cuchnącym piasku. Reszta wyspy porośnięta dżunglą: węże, koszarne owady wielkie jak szczury, szczury wielkie jak psy, owłosione bestie piszczące i mamroczące nocami.

I tak zwana szkoła: garstka rdzewiejących bud. Akademiki: drewniane chaty z cementowymi podłogami, łóżka z moskitierami. Jeden wielki, rozsypujący się otynkowany budynek z klasami. W piwnicy pracownia anatomiczna.

Nad drzwiami ręcznie wymalowany szyld: Znakomita Uczelnia Medyczna St. Ignatius.

Znakomity żart. Ha, ha.

Tylko że on ma tu mieszkać.

Tak zwani studenci: garstka nieudaczników. Kretyni, narkomani, zboczeńcy o dziwnym pochodzeniu. Wykładowcy: skośnookie nieudałoty z tytułami doktora z wątpliwych uczelni. Prowadzący zajęcia w łamanej angielszczyźnie, której normalny człowiek nie mógł zrozumieć, czerpiący niezdrową przyjemność ze znieważania studentów, upierający się, by ich tytułowano profesorami.

Kompletny tumiwizizm. Większość studentów dawała za wygraną po kilku miesiącach i wracała do domów, rezygnując z czesnego, opłaconego na dwa lata z góry. Inni, wypruci z energii, całymi dniami wałkonili się na plaży, nocami palili trawkę, wymykali się spod moskitier i włoczyli po wyspie, usiłując uwieść gauguinowskie dwunastolatki.

Zdeprawowani. Wiedział, że jeśli podda się takiej jak oni apatii, nie wykona misji Schwanna. Przemyśliwał, jak się od nich odizolować, i uznał, że wskazana będzie zmiana tożsamości – zmiany tożsamości zawsze oczyszczały umysł, odnawiały ducha.

I wiedział, jaką tożsamość przyjąć, jedyną, która pozwoli mu unosić się ponad tym wszystkim.

Poszedł porozmawiać z dziekanem. Najbardziej skośnooki z wszystkich żółtków, mały, paskudny gnojek z tłustymi włosami jak u Draculi, z tłustą żółtą skórą, świńskimi oczkami, cieniutkim wąsikiem i brzuchem, jakby połknął melona. Ale z fikuśnym holenderskim nazwiskiem: profesor Anton Bromet van der Veering, doktor medycyny, doktor nauk przyrodniczych.

Pretensjonalny mały worek mosznowy.

Siedzący za wielkim, zawalonym papierzyskami biurkiem, otoczony książkami, których nigdy nie przeczytał. Pałacy piankową fajkę o kształcie nagiej kobiety.

Żółtek długo zapalał fajkę, każąc mu czekać, zanim raczył zauważyć jego obecność. On tymczasem wyobrażał sobie, że rozwala chujowi gębę, a kawałki pianki zdobią skrwawioną żółtą miazgę, niczym lukier pokrywający tort cytrynowy...

– Tak, o co chodzi?

– Chciałbym zmienić nazwisko, panie dziekanie.

– Co? O czym pan mówi?

– Chcę zmienić nazwisko.

– To kwestia prawa, załatwi pan to z...

– Tu chodzi o sprawę osobistą, panie dziekanie.

Mówił cicho i poważnie, jak lekarz do lekarza, w sposób, w jaki Doktor omawiał przypadek ze swymi współpracownikami.

Chujek był zakłopotany. Spięty.

– Naprawdę nie widzę powodu...

– Od tej chwili chcę być znany jako Dieter Terrif.

Przeliterował to.

Zmieszanie w świńskich oczkach:

– To pańskie prawdziwe nazwisko? Terrif?

– W pewnym sensie.

– Ja nie...

– To jest moje prawdziwe nazwisko.

– To dlaczego zapisał się pan jako...

– To długa historia, panie dziekanie. – Czarujący uśmiech. – I nie związana z tematem.

Istotne jest to, że od tej chwili będę znany jako Dieter Terrif. Gdy ukończę studia, na dyplomie będzie napisane: Dieter Terrif, doktor medycyny, doktor filozofii.

Błąd. Chujek podchwycił to i powiedział:

– Nie przyznajemy tytułu doktora filozofii, panie...

– Zdaję sobie z tego sprawę. Mam zamiar kontynuować studia po otrzymaniu tytułu doktora medycyny. Patologię chirurgiczną, badania histologiczne.

Chujek był całkowicie skolowany. Na tym polegał kłopot z istotami niższymi.

– Naprawdę, to jest niezgodne z przepisami.

Chujek pogładził cycki piankowej damy. Rozwarł świńskie oczka na widok forsy lądującej na blacie biurka.

Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć banknotów studolarowych, ułożone jak wachlarz kart w ręku pokerzysty.

– Czy to pomoże uregulować sprawę?

Chciwie wysunięta dłoń. A potem wahanie. Znow chciwość.

Jeszcze pięć stówek.

– Co pan teraz powie, panie dziekanie?

– Cóż, przypuszczam...

Od tamtej pory gnojek spoglądał na niego niechętnym wzrokiem, ilekroć się mijali.

Nieważne. Nowa tożsamość oczyściła go. Pół roku studiów zleciało szybko, pomimo tropikalnych burz i ulewnych deszczów, które sprowadziły na wyspę jeszcze więcej moskitów, plagi kosmatych pajaków, pokrytych łuskami jaszczurek i innych pełzających stworzeń, włączających do sypialni i przemykających po pościeli, sprawiając, że koszmary zlewały się z rzeczywistością.

Jego koledzy studenci budzili się z krzykiem – Nowi kretyni rezygnowali z nauki, opowiadając, że będą studiować farmację lub kręgarstwo.

Nie dla niego te bzdury niższej kategorii.

On był ponad to. Wkuwał z podręczników, nabijając sobie głowę terminami medycznymi. Czerpiąc szczególną przyjemność z zajęć w pracowni anatomii, spędzając tam nadliczbowe godziny. Sam w piwnicy.

Nie tracił czasu na jedzenie i spanie, przygotowywał się do należyj mu roli zdobywającego nagrody patologa w Prezbiteriańskim Szpitalu Columbia.

A potem nadszedł ów dzień, gdy do laboratorium przywieziono Gauguinowskiego Chłopca, o przegniłym mózgu, lecz o tak pięknym ciele.

Ciało przydzielono innemu studentowi. Przekupił kretyna, aby zamienić obrzydliwego, wyschniętego starca oraz pieniądze na chłopca.

Przyszedł nocą do pracowni. I ciął. Zapalił lampę nad stołem sekcyjnym, pozostawiając resztę pomieszczenia nie oświetloną. Otworzył czarne skórzane pudełko, wyjął tancerkę i wykonał prawdziwie naukowe cięcie w kształcie Y. Otworzył mostek i przypiął rozchyloną skórę.

I ujrzał wewnętrzne piękno.

Pragnął ryc głębiej, pływać pośród barw, jednoczyć się z komórkami, strukturą, pierwotnym bulionem życia.

Stać się jednością.

I czemuż by nie?

Działając automatycznie, bez zastanowienia, zdjął z siebie ubranie. Własna nagość zachwycająca i święta. Pracownia, przegrzana i wilgotna, cuchnąca formaliną i rozpadem, świerszcze grające w środku i na zewnątrz. Lecz on się nie bał ani nie pocił, na chłodno realizował cel, unosząc się ponad tym wszystkim.

A potem opadając. Na ciało chłopca, w otwór stanowiący wlot do piękna, zapraszający go.

Zanurzył się.

Zimne mięso.

Chwila nieopisanej ekstazy, a potem zdrada:

Przekleństwa w łamanej angielszczyźnie. Światło ostre jak błyskawica.

Profesor Anton Bromet van der Veering, doktor medycyny, doktor nauk przyrodniczych, stojący w drzwiach, z fajką w dłoni, naga piankowa dama podobna do małej ofiary płci żeńskiej, wyrrywająca się z jego oślizgłych żółtych palców.

Gapiący się, wybałuszający skośne świńskie oczka, aż stały się okrągłe.

Skurwysyn wyrzucił go tamtej nocy, dając trzy dni na opuszczenie wyspy. Stanowczo, nie dając się skusić pieniędzmi.

Pierwszy przypadek w historii St. Ignatius. Pakował się, dygocząc ze wstydu i gniewu. Zastanawiał się, czy nie zatańczyć ostrzem po własnych nadgarstkach, ale uznał, że być usuniętym to wielki honor.

Miał szczęście: uwolnił się od tej kupy gówna, od smrodu. Zbyt czysty, zbyt szlachetny na takie miejsce. To wszystko należało do planu, planu Schwanna.

Tata Dieter umyślił dla niego coś lepszego. Coś czystsze.

Wyzbył się smętnych myśli o porażce i urządził pożegnalne przyjęcie. Gauguinowska dziewczyna nad rzeką, piorąca ubrania. Wymiana uśmiechów. „Cześć, jestem doktor Terrific”. Słodki błogostan prawdziwej nauki, w zawieszistej ciszy zielonej dżungli.

Umył ją, używając jej wiadra i rzecznej wody. Pozostawił ułożoną pod ogromnym mangowcem, jeszcze jeden krwawy owoc, pasujący do miękkich, dojrzałych owoców, które spadły na ziemię.

Pa, pa, cuchnąca dziuro.

Przystanek w Amsterdamie, dziwki na wystawach, chętnie zabawiłby się z nimi w prawdziwą naukę, ale nie miał czasu.

Wróciwszy do domu, poszedł do gabinetu w szpitalu, by zobaczyć się z Doktorem. Pieprzony icked nic nie powiedział. Milcząco dał do zrozumienia: „A-nie-mówilem”.

– Znajdziesz mi inną szkołę. Prawdziwą.

– O, jasne. Tak po prostu.

– Założymy się. – Wiedząc, że ma jego pieprzone jaja w kieszeni.

Ale w tydzień po tym skurwysyn przeszedł do historii. Skonał w sali operacyjnej. Padł martwy prosto na swego pacjenta.

Dowcip pierwszej klasy: słynny kardiochirurg umiera na zawał. Robiąc bypasy na arteriach innych ludzi, podczas gdy zatykały się jego własne.

Zabawne, ale nie do śmiechu. Okazało się, że pośmiertnie wykręcił ostatni numer: wydziedziczył go, zapisując wszystko Sarah.

Jakby tego potrzebowała, po Harvardzie, psychiatra z praktyką w Bostonie. I zameżna z małym tłustym ickiem o haczykowatym nosie, także psychiatrą. Na domiar wszystkiego jego rodzina była obrzydliwie bogata. Oni dwoje tarzali się w pieniądzach, z posiadłością w

Beacon Hill, z letnim domem przy plaży, z mercedesem, eleganckimi ciuchami, biletami do teatru.

On i Sarah ledwie na siebie spojrzeli podczas pogrzebu. On gapił się na jej cycki, ale trzymał się na uboczu. Z nikim nie rozmawiał. Ona uznała to za wielki smutek, napisała list cuchnący fałszywym współczuciem, przenosząc na niego tytuł własności różowego domu.

Rzuciła kość głupiemu młodszemu bratu.

Pewnego dnia zabije ją za to.

Pozbawiony możliwości dojenia Doktora, zajął się oceną własnej sytuacji: miał jego samochody. Pieniądze ulokowane w banku – kilkaset tysięcy. Na koncie pieniądze zaoszczędzone przez lata pracy w szpitalu – czterdzieści dwa tysiące. Jego ubrania, jego garnitury. Książki w bibliotece. Wielką zieloną księgę. Biblię Schwanna. Tancerki w skórzano-aksamitnym pokrowcu.

Sprzedał różowy dom, szybko i tanio. Wziął za niego czterysta tysięcy. Po zapłaceniu podatków i opłaceniu agencji nieruchomości zostało mu dwieście trzydzieści tysięcy.

Złożył wszystko w banku. Spakował książki, wsadził do plymoutha i jeździł, szukając miejsca do zamieszkania. Znalazł mieszkanie niedaleko Nasty: dwie sypialnie, dwie łazienki, czysto i tanio. Plus dwadzieścia dolców miesięcznie za parking dla dwóch samochodów.

Spędził dwa dni na czyszczeniu mieszkania od podłogi po sufit, po czym urządził sobie w drugiej sypialni pracownię. Poszedł do szpitala i dostał z powrotem pracę gońca, ukradł więcej pigułek niż kiedykolwiek dotychczas i sprzedał je z wysokim zyskiem. Wolny czas spędzał w bibliotece.

Urlop był przeznaczony na podróże. Konferencje i zjazdy lekarzy, wycieczki dla przyjemności. Przywłaszczając sobie interesujące tożsamości, stawał się ciągle kimś nowym.

Podróże były fajne. Tropienie i polowanie.

Teraz mógł rozszerzyć horyzonty, stać się myśliwym na międzynarodową skalę.

Powrót do Europy: nocna praca w Amsterdamie. Po latach znowu tam wrócił, znalazł sobie dziwkę z wystawy, zabrał ją do doków i wprowadził w świat prawdziwej nauki.

Kupił H od obwieszonego brylantami czarnucha na Kalverstraat niedaleko Dam Square, spakował ją bez obaw – amerykański bagaż zapewniał specjalne traktowanie. Zresztą kto by wpadł na pomysł, by nosić drwa do lasu?

I w drogę do ojczyzny icków.

Bo tak trzeba.

Planując safari w Nowym Jorku, wiedział, że pragnie innego miejsca, własnego, z dala od innych myśliwych. Na Broadwayu, niedaleko Times Square, był całodobowy kiosk z gazetami. Poszedł tam pewnej piątkowej nocy i kupił „The Jerusalem Post”, wydanie na Stany. Zabrał je do domu i szukał pod Mieszkania, Jeruzolima, Wynajem i znalazł magiczne słowa:

WILLA, KOLONIA NIEMIECKA, 3 POK., WYGODY, UMEBLOWANIE, MIN. I Rok.

I numer telefonu w Nowym Jorku.

Kolonia Niemiecka. Poszukał wiadomości na ten temat w Encyclopedia Judaica w głównym oddziale Nowojorskiej Biblioteki Publicznej. Stara część południowej Jeruzolimy, nazwana tak od niemieckiej sekty templariuszy, którzy mieszkali tam od roku 1870 do czasu Świętej Wojny Führera, kiedy to zostali wykopani przez Brytyjczyków za dystrybucję literatury nazistowskiej.

Aryjczycy w Żydkowie, duchowi bracia! Tak trzeba!

Pieprzony ick, który dał ogłoszenie, był profesorem o nazwisku Gordon, na urlopie naukowym na City University w Nowym Jorku. Nie posiadał się z radości, że może wynająć swój dom, zwłaszcza że zaoferowano mu opłatę za rok z góry oraz depozyt za ewentualne zniszczenia.

Fałszywe nazwisko, skrzynka pocztowa na Manhattanie jako adres.

Cała operacja przeprowadzona przez telefon.

Gotówka doręczona przekazem pocztowym, w trzy dni później klucze przesłane do skrzynki pocztowej.

Po upływie miesiąca spacerował po willi, wiedząc, że to odpowiednie miejsce.

Stary, ciemny, kryty dachówką *Haus*, ocieniony wielkimi drzewami, niewidoczny z ulicy. Frontowe wejście oraz drugie, tylnymi drzwiami. Zamykany garaż na dwa samochody. I premia, o której dowiedział się po miesiącu: tuż obok Parku Dzwonu Niepodległości, hop i jesteś przy wieżowcu, w którym mieszka ten czarnuch-icek, Sharavi.

Idealny widok na wieżowiec.

Na icka, jego psa, jego przyjaciół czarnuchów i jego ickową rodzinę.

Los tak chciał, wszystko układało się w całość.

Zadomowił się w swoim niemieckim *Haus*. Dałby wszystko, żeby zobaczyć minę haczykowatonosego Gordona, gdy wróci w przyszłym roku i zobaczy, co zrobiono z jego gniazdkiem. Zamianę za pieprzony depozyt za ewentualne zniszczenia.

Ale wtedy doktor Terrific będzie już daleko. W poszukiwaniu nowych przygód.

Pedzio-gliniarz poruszył się na stole. Piękne rzęsy zadrżały, usta rozchyliły się jak do pocałunku.

Napełnił strzykawkę H, lecz uznał, że jej nie użyje.

Niech się obudzi, zobaczy swastyki na ścianach, głowy i skóry oraz przesłania od Dietera. Dopiero potem dostanie zastrzyk.

Pedzio szeroko otworzył oczy. A potem usta, które szybko zostały zakneblowane.

Przełykał ślinę, wił się, starając wyswobodzić.

– Cześć, jestem doktor Terrific. Coś panu dolega?

ROZDZIAŁ 66

Poniedziałek, druga nad ranem. Daniel opuścił pokój przesłuchań. W jego uszach wciąż rozbrzmiewał płacz i skargi Margaret Pauline Cassidy.

Ochroniarz z Mosadu przyniósł mu informację: raw pakad Harel musi z nim natychmiast porozmawiać. Daniel wyszedł z podziemnych pomieszczeń, gdzie prowadzono przesłuchania, wszedł po schodach na drugie piętro, zastanawiając się, co chce od niego szef Latam. Potem jego myśli wróciły do Cassidy.

Żałosna młoda kobieta. Na początku przesłuchania pląta nienawiścią, wierząc, że Al Bijadi zamierzają poślubić, że ich stosunki mają coś wspólnego z miłością.

Shmeltzer szybko pozbawił ją tych złudzeń.

Wystarczyło, by natychmiast się otworzyła. Magnetofon nagrywał nazwiska, daty, cyfry. Wtedy do pokoju przesłuchań wtargnęli przełożeni: Laufer, szef Daniela, wysocy fanga chłopcy z Mosadu i z Szin Bet. Koniec. Sprawa znalazła się w gestii organów bezpieczeństwa narodowego. Shmeltzer i Daniel mogli zostać, ale wyłącznie w charakterze obserwatorów. Postawa Laufra jasno wskazywała, co jest sprawą większej wagi. Od czasu obserwacji Amelia Catherine zastępca komendanta porzucił swoją pełną dystansu postawę. Dopominał się o codzienne sprawozdania, kopie kart zdrowia, spis nazwisk z Sumbok, wyniki śledzenia z okna uniwersyteckiego budynku prawa. Ale dziś rano nie miał na to czasu, nie okazał najmniejszego zainteresowania sprawą Rzeźnika.

„Dobrze, w porządku”, Sharavi. Szybko splawił Daniela, by zacząć wypytywanie terrorystów.

Daniel przyglądał się zza specjalnego lustra, jak śledczy z Mosadu wkracza na grunt przygotowany przez Shmeltzera.

Trzy przesłuchania jedno po drugim. Prawdziwy maraton.

Al Bijadi w jednym pokoju. Obok jego kuzynka, rzekoma sprzątaczką. Obydwoje milczeli zawzięcie.

Ale Cassidy zaczęła opluwać Nahuma. Lekceważył jej wyzwiska, antysemickie ataki. Cierpliwie wykazywał, że była wykorzystywana i poniżana.

Gdy to do niej dotarło, wykonała natychmiastową wolnę, kierując całą swoją nienawiść przeciwko Al Bijadiemu, rzygając swoją hańbą i bólem, mówiąc tak szybko, że musieli ją przyhamować, aby magnetofon mógł uchwycić coś więcej niż bełkot.

Opowiedziała o tym, jak Hassan ją uwiódł, oszukiwał obietnicami małżeństwa, wabił wielkim domem w Ameryce, w Huntington Beach w stanie Kalifornia. Dzieci, samochody, wspaniałe życie.

Ale przed nastaniem domowego błogostanu musiała mu pomóc w ostatnim zadaniu. Jeszcze tylko to jedno, po dziesiątkach innych.

Zaczynała jeszcze w Detroit, od pisania i rozprowadzania literatury na temat Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Przepisując na maszynie i poprawiając angielskie wersje, dostarczając gdzie trzeba całe pudła pisemek. Spotykała się z mężczyznami w kawiarniach. Z uśmiechniętymi Arabami. Patrząc wstecz, zdała sobie sprawę, że w ogóle jej nie szanowali,

kpili z niej. Ale w tamtych czasach wydawali jej się tajemniczy i czarujący.

Wypełniała rozmaite prace. Odbierała przesyłki na Metropolitan Airport w Detroit. Przekazywała przez telefon zaszyfrowane wiadomości i przyjmowała niezrozumiałe polecenia. Odbывała podróże do Kanady, przewożąc paczki do Montrealu i wracając z innymi paczkami do Michigan. Podawała kawę i pączki przyjaciołom Hassana podczas spotkań w podziemiach meczetu Czarnych Muzułmanów. Wszystko w czasie wolnym od pracy. Wychodziła po dyżurze w Harper Hospital i szła wykonywać drugie, niepłatne zajęcia. Ale wynagradzana miłością, odciążając ukochanego, aby miał czas na studia medyczne. Brak romantyzmu bywał czasami bolesny. Ale tłumaczyła sobie, że Hassan jest patriotą, dla którego istnieją ważniejsze sprawy niż kino czy kolacje. Patriotą w niebezpieczeństwie. Śledzonym przez syjonistów. Dlatego musi zachować apolityczną postawę.

Kochali się rzadko. Hassan powtarzał jej, że jest bohaterską bojowniczką, kobietą, jakiej on pragnie na matkę swoich dzieci.

Razem starali się o pracę w ONZ, planowali wspólną działalność w Palestynie. Tutaj także on pełnił obowiązki lekarza, podczas gdy ona parała się brudną robotą.

Zredagowała dwadzieścia różnych broszur propagandowych. Znalazła drukarza w Nablus, który mógł je wydrukować w językach francuskim, angielskim i arabskim. Nawiązała kontakt z działaczami OWP, którzy przyszli do Amelia Catherine przebrani za pacjentów. Zbliżyła się z jedną z nich, kuzynką Hassana, Samrą. Ładną, ciemną dziewczyną, która z wykształcenia była pielęgniarką, ale pracowała na pełnym etacie na rzecz wyzwolenia Palestyny. Hassan przedstawił je sobie w jednym z gabinetów lekarskich. Wkrótce zawiązała się przyjaźń. Dwie kobiety darzyły się zaufaniem.

Samra instruowała. Peggy była zdolną uczennicą.

W lutym powierzono jej bardziej odpowiedzialne zadanie: miała służyć za kanał pomiędzy Hassanem a przemytnikami broni w Jordanie. Uiszczala opłaty, doglądała poranych dostaw drewnianych skrzyń do wielkiego domu przy Ibn Haldoun.

Samra zajmowała mieszkanie przy Sheikh Jarrah, ale dom należał do niej, odziedziczyła go po rodzinie – bogatej rodzinie, równie bogatej jak rodzina Hassana. Jej ojciec był sędzią we wschodniej Jerozolimie, zanim uciekł do Ammanu w 1967 roku.

Dobra przyjaciółka, kuzynka Samra.

W rzeczywistości wcale nie była kuzynką, lecz żoną. Jediną panią Hassanową Al Bijadi. Dowodziło tego jordańskie świadectwo ślubu, znalezione w jej torebce. Poświadczone podpisem jej ojca sędziego.

Shmeltzer zamachał zmiętoszonym dokumentem przed twarzą Cassidy, powiedział jej, że była idiotką, głupią, naiwną dziewczyną, która zasłużyła sobie na to, by ją oszukiwać.

Gwałtownie zaprzeczyła. Stary detektyw spoliczkował ją, by przerwać histeryczne wrzaski, i ruszył do werbalnego ataku. Tak okrutnego, że Daniel miał zamiar interweniować. Ale zrezygnował. W końcu Peggy Cassidy usiadła na krześle, dygocąc i szybko zaczęła się bełkotliwie wywnętrzać.

Tak, wiedziała, że dwie pierwsze ofiary Rzeźnika były pacjentkami Amelia Catherine. Pacjentkami Hassana. Chciała o tym komuś powiedzieć – przynajmniej panu Baldwinowi. Ale Hassan zabronił jej tego. Powiedział, że ich bezpieczeństwo jest ważniejsze, nie mogą sobie pozwolić, by policja weszła wokół szpitala.

Zaczęła popłakiwać: „Te biedne kobiety!” Ale Hassan wcale się nie przejął. Nie dbał o nikogo! To świnią – wszyscy Arabowie to świnię. Brudne, seksistowskie świnię, ma nadzieję, że wszyscy szczną w piekle. Ma nadzieję, że Żydzi wybiją ich wszystkich w pień.

Z jednej sprzeczności w drugą.

Nieznównoważona dziewczyna. Daniel zastanawiał się, jak sobie poradzi w więzieniu.

*

Amos Harel czekał przed swoim biurem, spacerując i paląc papierosa. Taka nerwowość

nie była w jego stylu; coś było nie w porządku.

Podłogę zaścielały niedopałki gauloisów. Drzwi były zamknięte. Podszedłszy bliżej, Daniel zobaczył wyraz twarzy szefa Latam i poczuł ucisk w żołądku.

– Jeden z moich ludzi nie żyje – powiedział Harel ochryple. – Itzik Nash, zaduszony w przejściu za domem dziennikarza. Twój człowiek, Cohen, zniknął. Nie ma śladu po samochodzie, który od nas dostał. Znaleźliśmy jego radiostację przy ciele Itzika. Mieli utrzymywać stały kontakt. Cohen prawdopodobnie sprawdzał, co się stało z Itzikiem, i wtedy na niego napadnięto. Dziennikarz także nie żyje, pobity na miazgę we własnym mieszkaniu. Na ścianach sypialni wymalowano krwią swastyki. Jego krwią, według ekipy sądowej. Wciąż tam są, pobierają próbki. Kanadyjczyk, Carter, jest jedynym z podejrzanych, który wychodził tej nocy. Nikt nie ma pojęcia, gdzie teraz się znajduje.

Daniel znał Itzika Nasha – razem wstąpili do Szkoły Policyjnej. Wesoły facet z arsenałem sprośnych dowcipów. Daniel wyobraził go sobie z idiotycznie rozdziawionymi ustami ofiary uduszenia. Pomyślał o Avim w łapach Rzeźnika i zaczął dygotać.

– Boże. Co się stało?

Harel ujął kłamekę i otworzył drzwi. W jego biurze siedział Latamnik, ten, który nadawał jako Zabytek. Wzrok miał utkwiony w podłodze. Harel chrząknął i facet uniósł twarz. Daniel zobaczył, że jego oczy są pozbawione życia, zasnute mgłą. Wyglądał na wykończonego, cień człowieka. Zaszyfrowane imię dziwnie do niego pasowało.

– Wynos się stąd i opowiedz mi, co się stało – rozkazał Harel.

– Oszukał nas – powiedział Latamnik, podchodząc do drzwi.

Harel zbliżył twarz do jego twarzy i spryskując go śliną, zagrzmiał:

– Bez *widduj*, same fakty.

Zabytek oblizwał wargi, skinał głową i zaczął recytować:

– Carter poszedł, tak jak się spodziewaliśmy, Ben Adajh do Sułtan Suleiman. Minał mnie. Ruszyłem za nim, gdy był przy Rockefeller. Szedłem za nim drogą Nablus i do hotelu Pilgrim's Vision. Wewnątrz było pusto. Tylko nocny recepcjonista. Carter się zameldował i wszedł po schodach. Recepcjonista podał mi numer jego pokoju – 302 – i powiedział, że Carter zamówił prostytutkę. Spytałem, czy Carter kiedykolwiek się u nich zatrzymywał i czy miał na myśli jakąś szczególną prostytutkę. Facet odpowiedział przecząco na obydwa pytania. Powiedział, że tak późno pracują tylko tanie dziwki. Jest teraz u klienta w jednym z pokoi i skończy za piętnaście minut. Wtedy wysłał ją do Cartera. Ostrzegłem go, żeby nic jej o mnie nie mówił. I schowałem się na zapleczu. Gdy przyszła, dał jej klucz. Ruszyłem za nią do 302. Oczekałem jakieś piętnaście sekund i także wszedłem. – Latamnik pokręcił głową z niedowierzaniem. – Była sama, pakad. Siedziała na łóżku i przeglądała komiks. Ani śladu Cartera. Okno było zamknięte. Zakurzone. Nikt go od dawna nie otwierał. Szukałem go wszędzie. Zajrzałem do innych pokoi. Do wspólnej umywalni. Nikogo. Musiał się wyslizgnąć tylnymi schodami na Pikud Hamerkaz.

– Nie wezwałeś posiłków? – zapytał Daniel. Zaciśnął pięści. W brzuchu czuł piekący ból. Mięśnie miał tak napięte, że omal nie rozerwały mu skóry.

– Jasne, pewnie. Znam układ hotelu. Obserwowaliśmy go zeszłej zimy w związku z narkotykami. Gdy tylko mogłem, wezwałem pomoc przez radiostację, czekając w recepcji na przyjście prostytutki, jakieś trzy minuty po wejściu Cartera. Najbliżej był jeden z waszych ludzi, Vestreich, na ulicy Habad. Ale gdyby odszedł ze swego miejsca, Stare Miasto zostałoby bez nadzoru. Więc po jakichś pięciu, może sześciu minutach, przyszedł z Kiszle inny wasz człowiek, Arab, Daoud, i stanął przy tylnym wyjściu.

– Czy Carter mógł się domyślać, że go śledzimy?

– W żadnym razie. Trzymałem się dwadzieścia metrów za nim, zawsze w mroku. Sam Bóg by mnie nie zauważył.

– Czy ktoś mógłby ostrzec Cartera, że jest śledzony?

Zabytek rozpląszczył się przy ścianie korytarza, starając zniknąć.

– Niemożliwe. Przez cały czas nie spuszczałem oka z recepcjonisty. Nikogo innego nie było. Chciałem mu powiedzieć, żeby zatelefonował do pokoju Cartera i sprawdził, czy drań tam jest, ale hotel Pałace to dziura, pół gwiazdki, nie ma połączenia z pokojami, nie ma jak przesłać wiadomości. Daoud przybył na miejsce po pięciu minutach i nie widział, żeby ktoś wychodził.

– Plus trzy minuty, zanim zadzwoniłeś, to razem osiem minut – powiedział Daniel. – Kupa czasu.

– Nawet cztery by nie wystarczyły. Przede wszystkim drań w ogóle nie wszedł do pokoju! Wcale nie wchodził na drugie piętro. Prawdopodobnie wszedł na pierwsze piętro. Przeszedł do tylnych schodów i wyslizgnął się, zanim pojawił się Daoud. Wykorzystał hotel jako tunel.

– Gdzie teraz jest Daoud?

– Szuka Cohena – powiedział Zabytek. – Jeżeli Carter poszedł na południe, z powrotem na Sułtan Suleiman, Daoud wpadłby prosto na niego, więc musiał pójść na północ Pikud Hamerkaz albo na zachód w kierunku Mea Szearim lub prosto do Sheikh Jarrah. Zaalarmowaliśmy sektory północno-zachodni i północno-wschodni, ale nikt nic nie widział. – Latamnik zwrócił się do swego szefa. – Pieprzony drań wystrychnął nas na dudka, Amos. Powiedziano nam, że prawdopodobnie nie wie, że jest śledzony, ale to bzdura. Ze sposobu zachowania wynika, że coś musiał podejrzewać. Zapłacił gotówką, nie zameldował się pod prawdziwym nazwiskiem...

– Terrif – mruknął Daniel. – Zameldował się pod nazwiskiem D. Terrif.

– Tak – powiedział Zabytek słabym głosem, jakby następna niespodzianka pozbawiła go sił. – Skąd wiesz?

Daniel nie odpowiedział i szybko odszedł.

*

Zbiegł, przeskakując po cztery stopnie, do podziemi i domagał się, żeby zastępca komendanta wyszedł z przesłuchania.

Laufer pojawił się zaczerwieniony i pełen oburzenia, gotów się awanturować. Zanim zdążył otworzyć usta, Daniel powiedział:

– Niech pan nic nie mówi, tylko słucha. Itzik Nash od Harela nie żyje. Avi Cohen także może już nie żyć. – W miarę jak zdawał sprawę z niepowodzenia prowadzonej obserwacji, Laufer zapadał się w sobie jak przekłuta dętka.

– Cholera. Cohen. Czy dzieciak był przygotowany do takiej pracy?

Głupi łajdak, pomyślał Daniel. Nawet w takiej sytuacji szuka kozła ofiarnego.

– Carter jest gdzieś w mieście – rzekł, zlekceważywszy pytanie komendanta. – Samochód Cohena zniknął, co oznacza, że może być w jakimś garażu. To potwierdzałoby nasze podejrzenia, że istnieje drugie miejsce zabijania, poza szpitalem. Potrzebny mi jest nakaz na wejście do Amelia Catherine i przejrzanie pokoju Cartera w poszukiwaniu adresu. I trzeba rozesłać jego zdjęcie do prasy, żeby ukazało się w jutrzejszych wydaniach gazet.

Laufer przestąpił z nogi na nogę.

– Sam nie wiem.

Daniel z trudem się powstrzymał, by nie chwycić idioty za kołnierz.

– O co chodzi?

– Pora nieodpowiednia, Sharavi.

Daniel zacisnął w pięść swoją uszkodzoną dłoń i podsunął zniszczone ciało pod nos zastępcy komendanta.

– Mam maniaka na wolności, nowego pracownika w niebezpieczeństwie – na co więcej czekać?

Laufer postąpił krok do tyłu, zrobił zatroskaną minę, niemal współczującą.

– Niech pan poczeka – powiedział i wrócił do pokoju przesłuchań. Daniel czekał, a minuty ciągnęły się bez końca. Pomimo lodowatej klimatyzacji pocił się zimnym potem. Czuł kwaśny odór własnego ciała. Zatrutego złością.

Zastępca komendanta wrócił, kręcąc głową.

– Nie teraz. Mosad nie chce zwracać uwagi na szpital. Dopóki wszyscy członkowie terrorystycznej komórki Al Bijadiego nie znajdą się w więzieniu. Większość z nich to miejscowe osły. Już ich okrażamy. Ale sam szef, ten, który kieruje Al Bijadim, w zeszłym tygodniu wyleciał przez Damaszek do Paryża. Czekamy na potwierdzenie, że nasi francuscy detektywi go mają.

– Cholera, a co z moim detektywem? Co z Cohenem, który być może leży już na stole operacyjnym i czeka na pokrojenie?

Zastępca komendanta zlekceważył ten brak subordynacji i przemawiał do Daniela cicho i rytmicznie, tonem przeznaczonym dla upośledzonych umysłowo oraz ludzi, którzy trzymają zakładników.

– Nie chodzi o długotrwałą zwłokę, Sharavi. Kilka godzin, aby zakończyć miejscowe aresztowania. Dane z Paryża mogą nadejść lada minuta. Najwyżej dzień.

– Dzień! – Daniel splunął na podłogę i wskazał na zamknięte drzwi do pokoju przesłuchań. – Niech mi pan pozwoli tam wejść i porozmawiać z nimi. Pokażę im fotografie, żeby wiedzieli, co ten potwór robi ze swoimi ofiarami.

– Zdjęcia nie zrobią na nich wrażenia, Sharavi. Mają dość swoich: szkolny autobus w Maalot, Qiryat Szemona, Naharija. Ten dom to istny arsenał – pistolety, karabiny Kałasznikowa, granaty, pieprzona wyrzutnia raketowa! Planowali wysadzić Zachodni Mur podczas szabasowej modlitwy *szacharit*. Najlepiej w trakcie wielkiej *bar micwy* dla turystów. Wykresy najlepszych miejsc do umieszczenia bomb na Placu Zabaw Rabinovitz, w sierocińcu Tiferet Shlomo, w zoo, parku Dzwonu Wolności. To dopiero byłyby zdjęcia, Sharavi! Setki zabitych dzieci. Cassidy mówi, że są jeszcze dwa magazyny broni. W Beit Jalla i w Gazie. Uporządkowanie tej kolosalnej sprawy jest ważniejsze niż jeden maniak. – Zamilkł i zawahał się. – Ważniejsze niż jeden detektyw, który prawdopodobnie i tak już nie żyje.

Daniel odwrócił się, by odejść.

Laufer chwycił go za ramię.

– Nie zostaje pan całkiem spławiony. Szukanie Cartera jest nadal ważne. Szpital pozostaje pod obserwacją. Niech no dupek tylko się pokaże, a ani się obejrzy, będzie w więzieniu. Chce pan ludzi, będzie ich pan miał. Całe cholerne Latam, patrol graniczny, samoloty, co tylko. Każdy samochód policyjny ma zdjęcie Cartera...

– Sześć samochodów – powiedział Daniel. – Jeden w naprawie.

– Nie tylko w Jerozolimie – dodał Laufer. – We wszystkich miastach. Obawia się pan, że pięć samochodów nie wystarczy do patrolowania ulic? Niech pan weźmie moje przekłete volvo. Wyślę mego cholernego szofera, żeby patrolował, dobra? Chce pan adresu Cartera? Sprawdźcie rachunki za wynajem mieszkań, za telefon, za prąd – każdy urzędnik i komputer w całym cholernym mieście jest do waszej dyspozycji. Niech tylko zlikwidują komórkę terrorystyczną, a szpital stanie otworem.

– Chcę dostępu do danych ONZ.

– Na to musi pan poczekać – powiedział Laufer. – Jeden z terrorystów Al Bijadiego jest sekretarzem w siedzibie ONZ na wzgórzu Evil Council. Zaskoczony?

Palce Laufra na ramieniu Daniela zwilgotniały. Daniel je strząsnął.

– Muszę wracać do pracy.

– To nie żarty.

– Nie jest mi do śmiechu. – Daniel odwrócił się i ruszył przed siebie.

– Pan i Shmeltzer macie zasługi w wykryciu arsenału – krzyknął za nim Laufer. –

Dostaniecie medale!

– Wspaniale – rzucił Daniel przez ramię. – Oddam je matce Cohena.

O trzeciej połączył się z Chińczykiem. Z Daoudem pięć minut później. Obydwaj krążyli po mieście, wypatrując śladów Aviego lub jego volkswagena. Przywołał ich do komendy i zarządził spotkanie swoich trzech detektywów i Amosa Harela.

– Przeklęty szczeniak – powiedział Chińczyk. – Pewnie odgrywał Johna Wayne’a i wtedy oberwał.

– Wszystko wskazuje na to, że postępował zgodnie z zasadami – rzekł Daniel. Ale wciąż prześladowało go pytanie zadane przez Laufra. Na dzieciaku nie można było polegać. Czy był gotowy?

– A co teraz? – spytał Chińczyk. – Fotografie drania ukażą się w gazetach?

– Nie. – Daniel poinformował ich o restrykcjach Mosadu. Wyczuł, że ich gniew wzrasta.

Daoud westchnął, zamknął oczy i roztarł sobie skronie, jakby miał migrenę. Shmeltzer wstał i zaczął krążyć po pokoju jak stary szakal. Harel wyjął gauloisa i nie zapalonego zgniótł w palcach.

– Cholerne skurwysyny! – nie wytrzymał Chińczyk. – Powiem wam...

– Nie ma na to czasu, Jossi – przerwał mu Daniel. – Zorganizujmy się. Postarajmy, by tym razem nam nie umknął. Amos daje każdego, kto będzie nam potrzebny. Będzie koordynował sprawdzanie drogi z Jerozolimy do Tel Awiwu, drogi wzdłuż wybrzeża, stacji kolejowych, przystanków autobusowych, lotniska Ben Gurion, wszystkich przystani, łącznie z dokami frachtowców w Eilat. Kiedy skończę, poda wam szczegóły.

– Wojsko jest zaalarmowane w związku z terrorystami. Marciano zajmuje się Judea, Jinon Samarią, Barbash Gazą. Patrol graniczny prowadzi poszukiwania na Allenby Bridge i Metulla oraz na Starym Mieście. Sprawdzają także obszary zalesione i stacjonują w pobliżu jaskini mordercy. Oprócz teleskopowego nadzoru Amelia Catherine prowadzone są obserwacje za pomocą podczerwieni wysyłanej od strony pustyni na tyły terenu szpitalnego.

Rozwinął kilka arkuszy papieru.

– To są numery domowe regulatorów i ich szefów z kompanii telefonicznej, biura udzielającego koncesji na lokale, ministerstwa budownictwa i mieszkań, ministerstwa energii, wszystkich banków. Zaczniście ich budzić, postarajcie się znaleźć inne miejsce zamieszkania Rzeźnika. Szukajcie Carterów albo Terrifów, łącznie z wszelkimi odmianami pisowni. Teraz, kiedy wiemy, kim jest, trudno mu będzie daleko uciec.

Jednocześnie pomyślał: Niby czemu znalezienie szaleńca miałyby być łatwiejsze od odnalezienia mego własnego psa?

Pracował do szóstej, zlecając poszukiwanie Richarda Cartera, zanim pozwolił sobie na filiżankę kawy, którą wysuszone gardło i obolały żołądek odrzuciły. Dziesięć po szóstej wrócił do swego biura i wyciągnął notatki z pierwszego i ostatniego spotkania z Carterem. Odczytał je po raz dwudziesty i wywołał wspomnienia.

Nie rzucająca się w oczy twarz. Nic potwornego. Żadnego zła. Zawsze się tak kończyło. Wszyscy ci Eichmanni, Landru, Kurten i Barbie. Okazywali się zaskakująco ludzcy i zadziwiająco zwyczajni.

Amira Nasser wspomniała podobno o oczach szaleńca, o bezbarwnych oczach. O uśmiechu mordercy. Jedyne, co zapamiętał, to że oczy Cartera były przymrużone i szare. Szare oczy za staroświeckimi okrągłymi okularkami. Broda. Szuranie nogami.

Były hipis. Marzyciel.

Może to i marzenia. Producent koszmarów.

Zmusił się, by przełknąć kawę, i przypomniał sobie coś jeszcze – niestosowną, chichotliwą odpowiedź na zadane pytania.

„Co pana tak rozbawiło, panie Carter?”

Duże paluchy głaszczące brodę. Uśmiech – jeżeli w tym uśmiechu kryło się jakieś zło,

Danielowi całkowicie umknęło.

„Właściwie nic. Tylko że to zupełnie jak jeden z tych filmów o gliniarzach: gdzie pan był w nocy i takie tam”.

Drań sprawiał wrażenie takiego nonszalanckiego, tak bardzo wyluzowanego.

Daniel miał do siebie pretensje. Czyżby był niedbały, czyżby coś przeoczył? Psychopatyczny błysk w szarych oczach? Jakieś minimalne świadectwo zła, które on, jako detektyw, powinien wychwycić?

Jeszcze raz przebiegł pamięcią z rozmowę z Carterem. Jeszcze raz przejrzał notatki. Pytania, odpowiedzi, uśmiechy.

„Gdzie pan był w nocy i takie tam”.

A gdzie jesteś teraz, Richardzie Carter, ty mordercza szumowino?

ROZDZIAŁ 67

O siódmej Shmeltzer przyniósł mu spis nazwisk zestawiony na podstawie książek telefonicznych, rachunków i spisów lokatorów. Dwóch Carterów w Jerozolimie, pięciu w Tel Awiwie, w tym jeden starszy oficer z Ambasady USA. Jeden w Hajfie, trzech innych rozsianych po Galilei. Żadnego Richarda. Trzech Trifów, czterech Trifuse, ale żaden z nich nie miał na imię Richard ani nie posługiwał się inicjałem D. Żadnych Tarrifów ani Terrifów. Wszystkie spisy były sprzed lat. Daniel wyznaczył ludzi, którzy mieli sprawdzić aktualne spisy lokalne, i zlecił, by to samo uczyniono w innych okręgach.

O siódmej dwadzieścia zatelefonował do domu. Odebrała Laura. Słyszał krzyki chłopców i muzykę sączącą się z radia.

- Dzień dobry, detektywie.
- Witaj, Lauro.
- Aż tak źle?
- Jeszcze gorzej.
- Chcesz o tym porozmawiać?
- Nie.

Chwila ciszy.

- W porządku.

Zaczynała go denerwować. A przecież była jego ukochaną, jego najbliższą przyjaciółką, zasługiwała na coś lepszego niż spławienie, jakby była podwładną. Usiłując nadać głosowi łagodniejsze brzmienie, powiedział:

- Przepraszam. Naprawdę nie chcę o tym mówić.
- Rozumiem – odparła mechanicznie.
- Nie wiem, kiedy wrócę do domu.

– Nie przejmuj się. Rób swoje. Cały ranek będę zajęta dokańczaniem obrazu dla Lu i Gene'a. Potem ja i Lu odbierzemy chłopców ze szkoły i pójdziemy do zoo. A później na obiad. Shoshi nie chciała iść z nami. Nocuje w domu Dorit Shmagar. Numer telefonu znajdziesz na lodówce.

Daniel wyobraził sobie Mickeya i Benny'ego, uganiających po zoo, przypomniał sobie, co Laufer powiedział o wykresach znalezionych w domu przy Ibn Haldoun. Przez głowę przemknęły mu straszliwe obrazy wybuchającej bomby. Pozbył się ich. Ciągłe karmienie się takimi myślami może doprowadzić do szaleństwa.

– Dlaczego nie chce iść do zoo? – zapytał.

– Mówi, że to dobre dla dzieci. Ona i Dorit mają ważniejsze sprawy. Chce spędzać czas po swojemu, Danielu. Buduje swoją tożsamość.

– A nie dlatego, że wciąż zamartwia się psem?

– To też. Ale jakoś sobie radzi... O, jest Gene. Pracował przez większą część nocy, nie chce wracać do domu, żeby odpocząć.

- Daj mi go. Pa.
- Pa.

– Danny – powiedział Gene. – Poszedłem tropem tego Terrifa i...

– Terrif to nazwisko używane przez Richarda Cartera – powiedział Daniel. Opowiedział przyjacielowi o zdarzeniach minionej nocy. Męska rozmowa z kumplem po fachu, po splawieniu żony.

Gene słuchał.

– A to dopiero. Carter, powiadasz? Sukinsyn. Wszystko, co o nim wiedzieliśmy, było takie idealne. Dane od McGill... facet z uczelni powiedział, że Carter był doskonałym studentem, prowadził badania nad chorobami tropikalnymi. W Korpusie Pokoju kontynuował te prace, wyratował wielu ludzi. Poza aresztowaniem za marihuanę w latach szkolnych, czysty jak łąka.

– Dane są prawdopodobnie sfałszowane.

– Znalazłem nowe informacje. Masz chwilkę?

– Jasne.

– Zacząłem się zastanawiać nad lokalizacją miejsc, w których popełniono morderstwa w Stanach. Tak jak mówiłeś – sprzyjający klimat, ładne okolice. Takie miejscowości wybiera się nie tylko na urlop, ale także na organizowanie zjazdów, na przykład medycznych. Zbierałem informacje na temat Nowego Orleanu i Miami. I odkryłem, że coś je łączy: odpowiednio w latach 1973 i 1978 miały tam miejsce zjazdy przedstawicieli chirurgii patologicznej. To stosunkowo niewielka grupa specjalistów, ale w zjazdach bierze udział mnóstwo ludzi: naukowcy, technicy, studenci. Zatelefonowałem do ich zarządu w Waszyngtonie D. C. Lista uczestników z 1973 została wyrzucona. Ale mają listę z sierpnia 1978. D. Terrif wziął udział w zjeździe w Miami, zarejestrowawszy się jako student. Zjazd zaczął się na dwa dni przed morderstwem, a zakończył pięć dni po nim. Z tego, co wiem, Richard Carter był studentem w 1978, tytuł doktora medycyny uzyskał w 1979. Ale tego lata był z Korpusem Pokoju w Ekwadorze.

– Skąd mamy wiedzieć, czy nie wyjechał z Ekwadoru i nie poleciał na tydzień do Miami? Tam zarejestrował się pod nazwiskiem D. Terrif, aby zatrzeć ślady, po czym wrócił do Ekwadoru, by wypełniać dobre uczynki jako doktor Carter.

– Doktor Carter, Mr Terrif. Rozszczepiona osobowość?

– Albo po prostu sprytny psychopata.

– Tak. To by się zgadzało z czymś, co znalazłem. Po znalezieniu nazwiska Terrifa w notatkach Shehadeh, zatelefonowałem do kumpla w Parker Center i poprosiłem, żeby poszukał tego nazwiska we wszystkich aktach. Nic nie znalazł, nawet w ubezpieczeniu społecznym. Nikt taki nie ma tam swojej karty, a mają taką wszyscy, którzy w Stanach płacą podatki. Carter jest Kanadyjczykiem, więc nic dziwnego, że nie figuruje w rejestrach. Ale mój kumpel powiedział coś ciekawego: że Terrif nie wygląda mu na nazwisko bona fide, że gdy je usłyszał, od razu pomyślał, że to skrót od Terrific.*

Daniel się zastanowił. Lingwistyczny niuans, na który nie zwrócił uwagi.

– D. Terrific – powiedział Gene. – D. może oznaczać jakieś nazwisko lub doktora.

– Doktor Terrific.

– Superheros. Zabijając, łądak przybiera alter ego.

– Tak – rzekł Daniel. – To się trzyma kupy.

– W tej chwili nie na wiele się zda – powiedział Gene. – Ale w czasie rozprawy może się okazać pomocne. – Słumił ziewnięcie.

– Jasne – odparł Daniel. – Dzięki za wszystko, co dla mnie robisz, Gene. A teraz pójdz do hotelu i prześpij się trochę.

– Już niedługo. Najpierw chcę poszukać kanadyjskich Terrifów, a potem przejrzeć stare rezerwacje na loty z Ekwadoru do Miami. Może znajdę jakichś Carterów lub Terrifów. Mało prawdopodobne, bym do nich dotarł, bo to już siedem lat, ale nigdy nie wiadomo, co wypali.

* *Terrific* (ang.) – 1. straszliwy, przerażający, okropny; 2. kapitalny, wspaniały, znakomity.

Gdzie będziesz w ciągu dnia?

- Tu i tam – powiedział Daniel. – Zadzwoń do ciebie pod wieczór albo i wcześniej.
- Dobrze. Powodzenia. I koniecznie zadzwoń, gdybyś schwytał parszywca.

ROZDZIAŁ 68

Poniedziałek, piąta po południu. Jeden z miejscowych członków z terrorystycznej komórki Al Bijadiego wciąż nie daje się schwytać, ani słowa z Paryża, a Mosad nadal obstaje przy swoim.

Na terenie państwa Izrael namierzono szesnastu Richardów Carterów. Od dalekiej północy w Quneitra, po samo południe w Eilat. Szesnastu jasnowłosych mężczyzn z żółtaworudymi brodami zgarnięto z ulic, by po przesłuchaniu zwolnić: pięciu Izraelitów, czterech Amerykanów, dwóch Brytyjczyków, dwóch Niemców, jednego Szweda, jednego Duńczyka oraz niefortunnego turystę z Kanady, którego detektywi z Tel Awiwu przetrzymali przez pięć godzin, w wyniku czego nie zdążył na grupowy lot do Grecji.

Zlokalizowano i zatrzymano dwa volkswageny odpowiadające opisowi tego, którym jeździł Avi Cohen: jeden w kibucu Lavi, drugi w Safed. Obydwaj właściciele byli intensywnie przesłuchiwani. Volkswagen z Safed należał do znanego artysty o miernym talencie, który głośno protestował przeciwko nękanu go z powodu lewicowych poglądów. W końcu uzyskano potwierdzenie własności oraz rejestracji obu samochodów.

O szóstej Daniel i Amos Harel przejrżeli pisemne raporty z obserwacji Amelia Catherine:

Szósta trzdzieści: Niebieska ciężarówka marki Renault z Kompanii Wytwórczej Al Aswadeh we wschodniej Jerozolimie wjechała na tyły szpitala. Brama w siatkowym ogrodzeniu była zamknięta. Z ciężarówki wysiadł jeden mężczyzna i podszedł do frontowych drzwi. Naprzeciw wyszła sekretarka Sorrela Baldwina, Ma'ila Khoury. Rozmawiała z nim chwilę i wróciła do środka. Po minucie Khoury otworzyła bramę i podpisała odbiór dostawy. Po wyładowaniu towarów ciężarówka odjechała o szóstej dwadzieścia osiem rano. Sprawdzono numer rejestracyjny i potwierdzono, że ciężarówka należy do Al Aswadeh.

Siódma dziesięć: Zia Hadżab przybył na dworzec autobusowy we wschodniej Jerozolimie jednym z autobusów linii Ramallah-Jerozolima. Kupił napój chłodzący u ulicznego sprzedawcy, poszedł pieszo z dworca do szpitala. O ósmej rano zasiadł na swoim stanowisku.

Dziewiąta piętnaście: Doktor Walid Darousha przyjechał peugeotem z Ramallah, zaparkował z tyłu i wszedł do szpitala.

Dziesiąta piętnaście: Ma'ila Khoury wyjechała ze szpitala czarną lanią beta Sorrela Baldwina i udała się do Hamashbir Letzarkhan przy King George. Spędziła w magazynie dwie godziny, kupując rajstopy, bieliznę i piankową poduszkę. Zapłaciła za zakupy kartą U. N. Visa, należąca do Sorrela Baldwina. Numer karty zanotowano i sprawdzono. Zjadła lunch w Cafe Max i wróciła do szpitala o pierwszej czterdzieści trzy po południu.

Jedenasta: W kolejce do szpitala ustawiło się czternastu pacjentów płci męskiej. Zia Hadżab kazał im czekać przez dwadzieścia dwie minuty, zanim ich wpuścił. Do godziny drugiej czterdzieści pięć po południu wszyscy wyszli i zostali policzeni.

Piętnasta jedenaście: Ciężarówka marki Mercedes z zieloną szoferką i metalową przyczepą z wymalowanym nazwiskiem, adresem i numerem telefonu, należąca do firmy Świeże Czyste Pranie z Betlejem wjechała na tyły szpitala. Zabrano dziesięć worków, dostarczono sześć worków oraz wiele poskładanych obrusów i prześcieradeł. Niektóre z

worków oceniono na wystarczająco duże, by pomieścić ludzkie ciało. Powiększone fotografie dostawców ukazały, że wszyscy byli Arabami, żaden z nich nie miał brody ani nie wykazywał najmniejszego podobieństwa do Cartera. Ciężarówka odjechała o trzeciej dwadzieścia cztery po południu. Zanotowano i zweryfikowano tablice rejestracyjne jako należące do firmy Świeże Czyste Pranie.

Szesnasta czterdzieści dwa: nowy autobus Mercedes, z oszklonym dachem, przywiózł do szpitala Amelia Catherine grupę chrześcijańskich turystów z Intercontinental Hotel na Górze Oliwnej. Dwudziestu trzech turystów. Dziewięciu mężczyzn, nie licząc kierowcy i przewodnika. Kierowca i przewodnik okazali się Arabami, niewysokimi, ciemnowłosymi, jeden z nich miał brodę. Ich wzrost został oceniony na metr siedemdziesiąt. Zia Hadżab pobrał pieniądze od przewodnika i wpuścił turystów na podwórze szpitala, gdzie wolno im było robić zdjęcia. Autobus odjechał o czwartej pięćdziesiąt siedem. Zanotowano numery rejestracyjne i potwierdzono, że autobus należy do Agencji Turystycznej Góra Oliwna, we wschodniej Jerozolimie.

Siedemnasta czterdzieści osiem: Biały mercedens-benz diesel sedan z tablicami Organizacji Narodów Zjednoczonych wjechał na tyły szpitala. Mężczyzna noszący *kaffiję* i arabskie szaty wyjął z samochodu kilka kartonowych pudeł z arabskim napisem ARCHIWA i wniósł je do szpitala. Dwa spośród pudeł zostały ocenione na wystarczająco duże, by pomieścić ludzkie ciało, gdyby zostało ono złożone. Wzrost mężczyzny został uznany za zbliżony do wzrostu Richarda Cartera. Zrobiono i powiększono kilka fotografii. Nakrycie głowy i pozycja mężczyzny uniemożliwiły sfotografowanie całej twarzy. Zdjęcie z profilu ujawniło brak brody oraz małe ciemne wąsiki, brak okularów, brak podobieństwa do komputerowego portretu Richarda Cartera. Tablice rejestracyjne zweryfikowano jako należące do Centrali ONZ w Domu Rządowym.

– Nie jest napisane, że odjechał – powiedział Daniel.

– Przyjechał dopiero przed kwadransem, Dani – rzekł Harel, wskazując na zegarek. – Cierpliwości. Jeżeli spędzi tam noc, dowiesz się pierwszy.

O szóstej piętnaście Daniel pojechał do domu, aby wziąć prysznic i zmienić ubranie, zaparkował escorta przy wejściu do swego bloku. Wiał lekki wietrzyk, poruszający liśćmi jacarandy.

Podszedł do oszklonych drzwi na klatkę i stwierdził, że są zamknięte na klucz. Czyżby wrócił pies?

Włożył klucz do zamka, usłyszał krzyki, obejrzał się i w odległości przecznicy zobaczył okrągłą postać truchtającą w jego kierunku i machającą rękami. Na wietrze powiewały poły białego fartucha.

Lieberman, sklepikarz.

Pomachał mu w odpowiedzi i czekał. Sklepikarz podbiegł zadyszany, ocierając pot z czoła.

– Dobry wieczór, panie Lieberman.

– Pakad – wysapał sklepikarz – to... pewnie nie ma znaczenia, ale... i tak chcę panu... opowiedzieć.

– Spokojnie, panie Lieberman.

Sklepikarz wziął głęboki oddech i poklepał się po piersi.

– Czasy gry w piłkę... dawno minęły. – Uśmiechnął się.

Daniel także się uśmiechnął. Zaczekał, aż sklepikarz złapie oddech.

– O co chodzi, panie Lieberman?

– Pewnie nic się nie stało. Jednak chcę, żeby pan wiedział... Wie pan, ile widzę, wysiadując za ladą: parada ludzi. Sądzę, że moim obowiązkiem jest pana powiadomić.

– Oczywiście, panie Lieberman.

– Jakaś godzinę temu pańska córka wyszła z jakimś facetem. Dużym, czarnym.

Powiedział, że znalazł jej psa.

– Mój amerykański gość jest czarnoskóry – powiedział Daniel, myśląc: Brawo, Gene. Oto prawdziwy detektyw.

– Nie, nie. Poznałem pana Brookera. Nie *szwarce*... ortodoks, w długim czarnym płaszczu, czarnym kapeluszu, z długą brodą.

– Chasyd? Soshi poszła z chasydem?

– Przecież to panu mówię. Właśnie wyszła z mego sklepu. Ona i jej przyjaciółka piekły ciasteczka, skończyła im się czekolada i Shoshi przyszła do mnie, żeby dokupić. Obsłużyłem ją, wyszła, przeszła jakieś pięć metrów, a wtedy ten czarny wysiadł z zaparkowanego samochodu i coś do niej mówił. Pomyślałem sobie, że może któryś z jej nauczycieli albo przyjacieli...

– Jaki samochód?

– Biały mercedes, diesel, robił straszny hałas...

Serce Daniela przestało bić.

– Widział pan tablice rejestracyjne?

– Nie, przykro mi, ja...

– Co dalej? Co się stało?

– Ten czarny powiedział jej coś na temat psa. Że go znalazł. Że jest ranny... i że go ją do niego zawiezie. Shoshi zastanawiała się chwilę. Potem wsiadła do mercedesa i odjechali. Po kilku minutach zacząłem o tym rozmyślać. Facet był religijny, ale wyglądało na to, że Shoshi go nie znała. Zatelefonowałem do pańskiej żony, nikt nie odebrał. Pomyślałem, że może powinienem...

Jakiś wewnętrzny głos krzyczał: Nie, nie, nie! Chwycił Liebermana za miękkie ramiona.

– Niech mi pan powie, jak ten chasyd wyglądał.

– Już mówiłem, duży. W pańskim wieku, może starszy, może młodszy. Duża ruda broda, okulary. Szeroki uśmiech, jak u polityka. Sam nie wiem, co jeszcze...

Daniel ścisnął go mocniej.

– W którą stronę pojechali?

Sklepikarz się wzdrygnął.

– Tam – powiedział, wskazując na północ. – Nic jej nie będzie, prawda?

Daniel wypuścił go i popędził do escorta.

ROZDZIAŁ 69

Nie! Boże, proszę. Bożeproszę, Bożeproszę.

Modlił się, dusząc gaz do dechy. Zaciskając dłonie na kierownicy.

Tylko nie moje dziecko, moje pierwsze dziecko, mój mały mieszaniec.

Bezcenny, bezcenny. Tylko nie ona. Każdy, byle nie ona.

Nierzeczywiste. A jednak zbyt rzeczywiste.

Koszmary, maszyna produkująca koszmary.

Ucisz ją!

Łzy płynęły mu z oczu jak krew ze śmiertelnej rany. Zmuszał się, by przestać płakać, by zachować jasność myśli.

Nie zwalniasz, przegoń czas.

Boże, proszę.

Czerwone światło na skrzyżowaniu z King David; bulwar zapchany samochodami. Skrecające samochody zablokowały mu drogę.

Nacisnął klakson. Nikt się nie ruszył. Skierował escorta na chodnik, klucząc, by wyminąć przerażonych przechodniów. Spacerujących turystów w barwnych strojach. Matkę popychającą wózek z niemowlęciem.

Z drogi.

Muszę ratować swoje dziecko!

Gwizdy i krzyki, wściekłe trąbienie klaksonów. Uderzył o krawężnik i wjechał na wysepkę pośrodku jezdni.

Drapiąc podwozie escorta, rozrywając metal, gubiąc felgi.

Znowu krzyki. Wariat! Dureń!

Zjechał z wysepki, skręcił w lewo, wyprzedzając przeklinających kierowców. Rozwścieczonych. Taksówkarzy.

Pieprz się. Nie twoje dziecko jest złożone na ołtarzu.

Krzyczący i gestykulujący policjant w pobliżu King David Hotel usiłował zagrozić mu drogę.

Usuń się, bo zginiesz, idioto.

Nie twoje dziecko.

Idiota zszedł z drogi w ostatniej chwili.

Boże, proszę, Boże proszę.

Przyspiesz.

Umowa z Wszchemogącym:

Stanę się lepszym człowiekiem. Lepszym mężem ojcem Żydem istotą ludzką.

Oszczędź ją...

Ścisk na jezdni, nieskończone fale pojazdów, plaga metalowej szarańczy.

Nie zwalniasz.

Wyprzedzaj, wymijaj, objeżdżaj chodnikami, przewracaj śmietniki.

Pisk hamulców. Nowe przekleństwa.

Poskramianie zdziczałej kierownicy.
Wysiłki, by nie stracić panowania.
Nie ma czasu, by włączyć migacz sygnalizujący.
Brak czasu, by zatelefonować o posiłki. Nie zrobiłby tego, nawet gdyby miał dość czasu.
Jeszcze jedno niepowodzenie: „Przepraszamy, pakad. Zgubiliśmy go”.
Nie, gdy chodzi o moje dziecko.
Opróżnił umysł.. Na chłodno wymiół zeń czas, przestrzeń, wszystko. Nawet Boga.
Miasto jak lodowa pustynia. A on pędzi poprzez warstwy brudnego lodu, supersanki typu escort.
Gładko. Bez ryzyka.
W Szlomo Hamelekh i w dół na złamanie karku.
Znowu jazda na czerwonych światłach.
Liczy się tylko moje dziecko.
Jadę do ciebie, *motek*.
Stromy spadek. Hop, w górę, a potem w dół, tak gwałtownie, że po kręgosłupie przemknął prąd.
Dobry ból, upragniony ból.
Żywa. Zachowaj ją przy życiu. *Abba* jedzie do ciebie, *motek*, mój słodki mały kundelku.
Szkoda, że escort to nie samolot, odrzutowiec bojowy, mknący na północ, tak jak o poranku miesiąc temu.
Ciało Fatmy w białym prześcieradle.
Shoshana.
Piękno. Niewinność.
Ładne twarze, ciała obok siebie, siostry... Nie, wracaj na lodowiec!
Pod górę. Walcz, escorcie. Jedź szybciej, cholerny, przeklęty samochodzie, jedź szybciej, bo cię rozerwę na kawałki...
Jego rozerwę.
Krew w nim zawrzała. Broń: tylko kaliber 9 mm. Uzi na komendzie.
Ale są jeszcze ręce.
Jedna wciąż do użytku.
Śmignął przez Zahal Square. Nowe wrzaski, pełne nienawiści okrzyki nieświadomych sytuacji. Gdyby znali prawdę, wiwatowaliby na jego cześć.
W Sułtan Suleiman, poprzez stadko przerażonych twarzy.
Stare Miasto. Teraz wcale nie piękne. Krwawe miasto. Podbój za podbojem, cmentarz na cmentarzu.
Lamentujący Jeremiasz.
Matki zjadające niemowlęta, gdy Rzymianie zdobywają mury.
Krew spływająca po wapieniach. Ołtarze.
Krucjaty chrześcijan, brnące po kolana we krwi, rzeź niewiniątek...
Ale nie mego niewiniątka.
Shoshi.
Fatma. Shoshi.
Fatmashoshi.
Torturując się swoją policyjną wiedzą, która kruszy lodowiec:
Jego *motek*, Ofiara Numer Cztery – nie!
Amsterdam, wprawka.
Izraelskie rzezie, powtórki z amerykańskich rzezi.
Amerykanka Numer Cztery.
Głos Gene’a: „Straszliwie pokiereszowana, Danny... wszystkie organy wewnętrzne”...
Nie!

Abba jedzie do ciebie, aniołku.

Motek, motek, trzymaj się, wytrzymaj. Żyj. Zmuś się do życia.

Dosłownie skóra i kości...

Nie!

Powinienem był tam być, powinienem był być lepszym tatusiem.

Obiecuj, że będziesz lepszy.

Boże, pozwól. Targi z Najwyższym.

Stary Arab popychający na drugą stronę jezdni wózek pełen melonów. Daniel przemknął tuż obok. Autobus nadjeżdżający z przeciwnej strony nie pozwolił mu odbić wystarczająco, i tylny zderzak escorta zahaczył o przód wózka.

Ciąg dalszy w lusterku wstecznym: melony toczące się w dół Sułtan Suleiman. Stary człowiek, leżący płasko na brzuchu, podnoszący się, wygrażający pięściami.

Pieprzę twoje melony.

Mój owoc jest bezcenny.

Nie mogę jej stracić.

Ben Adajh pusta, łatwy przejazd: Bóg mnie wysłuchał.

Tylko autobus toczący się w dół po drodze na Górę Oliwną.

Odskakujący w bok, by uniknąć kolizji z escortem.

Idioci, pokazują na Daniela palcami.

Leć, leć dalej!

Na Scopus.

Krwawe oko krwawego miasta.

Abba jedzie do ciebie!

Cholerna rzeźnia, różowy szpital, róż rozcieńczonej krwi.

Skręcił w stronę wejścia, zahamował gwałtownie, blokując drzwi. Chwycił berettę, sprawdził magazynek i wyskoczył z samochodu.

Arabski dozorca, Hadżab, zerwał się z krzesła. Wygraża pięścią.

– Stój! Tu nie wolno parkować!

Zlekceważ idiotę. Pędem przez podwórze.

Hadżab usiłuje zagrozić mu drogę.

Twarz idioty zaczerwieniona z oburzenia. Otwarte usta idioty:

– Stój! Blokujesz wejście! Wdzierasz się na teren własności ONZ!

Szarżuj na idiotę.

Idiota rozstawia ramiona, by go zatrzymać.

– Ostrzegam, gdy wróci pan Baldwin, będziesz miał poważne kłopoty...

Zamach berettą i prosto w pysk idioty. Trzask kości, kasznięcie i łomot padającego ciała.

Pędź, leć przez podwórze, tratuj kwiaty. Ślizgaj się na jedwabistych płatkach róż.

Pogrzebowe kwiaty.

Dziś nie będzie pogrzebu – idę do ciebie, *motek*!

Do środka, przypominając sobie plan szpitala.

Zachodnie skrzydło: pomieszczenia dla służby. Pomieszczenia dla personelu. Drzwi z tabliczkami.

Rzeźnia całkiem pusta.

Biegiem z berettą w dłoni.

Ktoś go usłyszał i wyrwał przez uchylone drzwi.

Stara pielęgniarka, Hauser, ubrana w wykrochmaloną biel, biały czepek. W przerażeniu zatykająca sobie dłońią usta.

Coś krzyczy. Ma'ila Khoury, libańska sekretarka, wyszła na korytarz na niedorzecznie wysokich obcasach. Zobaczyła twarz Daniela, cofnęła się do pokoju, zatrzasnęła drzwi i przekreśliła zamek.

Zmienił się w pocisk. Strzał za róg.
Nazwiska na drzwiach. Baldwin. Darousha Hadżab. Ple, ple, ple. Carter.
Carter.
Nazistowska szumowina.
Przekręcił gałkę, spodziewając się, że drzwi będą zamknięte na klucz. Gotów rozwalić zamek strzałem z beretty.
Otwarte.
Carter w łóżku. Niebieska piżama. Pod kołdrą.
Upiornie błądy, wsparty na poduszkach, otwarte usta, czarna dziura w zaroście.
Wydłużone O.
Nie ma Shoshi! Za późno... Och, nie, o Boże!
Gdzie ona jest?
Carter szeroko rozwarł oczy. Żółta rogówka dookoła szarych tęczówek.
Cholera.
Daniel podszedł bliżej.
Carter zakrył twarz ramieniem.
Podbiegając do łóżka, Daniel rozejrzał się po pokoju.
Bałagan. Nazistowska świnia. Wszędzie brudne ubrania i papiery. Na nocnej szafce pełno fiolek z tabletkami, rurki. Talerz z nie dojedzonymi resztkami. Stetoskop.
Pokój cuchnął lekami, odchodami i rzygowinami.
Odór choroby.
Odciągnął ramię Cartera. Zdarł okulary z nosa nazisty i cisnął je na podłogę.
Tłuczone szkło.
Carter zamrugał szybko. Zadrżał.
– O Boże.
Naziści także się modlą.
Przycisnął kolanem pierś Cartera. Nazista stracił oddech.
Przełożył broń do uszkodzonej ręki, a zdrową chwycił Cartera za gardło. Gruba szyja, ale miękka.
Ścisnął.
– Gdzie ona jest, do cholery? Gdzie ona jest? Powiedz mi, do cholery!
Nazista zabulgotał. Wydał niezdrowy odgłos z głębi ciała.
Puścił go. Carter zakaszłał i zaczerpnął powietrza.
– Gdzie ona jest?
– K-kto?
W pysk potwora. Ślady palców zmateriałizowały się na bladej twarzy nazisty, niczym zdjęcie polaroidu.
Przyduś potwora.
Carter wywrócił oczami.
Daniel zwolnił uścisk.
– Gdzie ona jest?
Carter pokręcił głową, usiłował wrzasnąć, ale tylko zaskrzeczał.
– Mów, bo odstrzelę ci łeb!
– K...
– Moja córka!
– Nie znam...
W pysk.
Łzy, łkania.
– Gdzie ona jest?
– Przysięgam... Nie wiem, o co... o co... chodzi.

– Moja córka! Piękna dziewczynka! Zielonooka!
Carter kręcił głową, zaczął płakać, krztusić się, kaszleć.
– Cohen – zawołał Daniel. – Nash. Fatma. Juliet. Shahin.
Wszystkie inne, łajdaku.
Podniósł rękę.
Carter krzyknął przerażony, usiłował skryć się pod kołdrą.
Daniel chwycił go za włosy, szarpnął. Czaszka nazisty była gorąca, włosy lepkie od potu.
– Ostatnia szansa, zanim odstrzelę ci ten brudny łeb!
W pokoju rozniosła się kwaśna woń, na prześcieradle w pobliżu pachwin Cartera ukazała się żółta plama.
– O B-Boże – zaskrzeczał Carter. – Przy-przysięgam.
Błagam, uwierz mi. Cholera... nie wiem, o czym mówisz.
Złap go za gardło.
– Powiedz mi, ty...
Za nim głos kobiecy, pełen oburzenia:
– Co pan wyrabia? Niech go pan puści!
Ręce na koszuli Daniela. Strząsnął je, przydusił Cartera kolanem, przystawił lufę do skroni potwora i szarpnął się.
Gwałtowny ruch zwałił Catherine Hauser z nóg. Upadła, ukazując tłuste uda, wciśnięte w białe pończochy. Ortopedyczne buty.
Wstała, poprawiła na sobie fartuch. Na twarzy pojawiły się czerwone plamki. Dygotały ręce.
– Wyjść – rozkazał Daniel. – Policja.
Stara kobieta ani drgnęła.
– Czego pan chce od nieszczęsnego Richarda?
– To morderca. Przetrzykuje moją córkę.
Hauser spojrzała na niego jak na szaleńca.
– Bzdury! On nikogo nie zabił. Jest chory!
– Wynoś się! – warknął Daniel.
– Zapalenie żołądka i jelit – powiedziała Hauser. – Biedak od czterech dni nie rusza się z łóżka.
Daniel obejrzał się. Kanadyjczyk się nie ruszał. Oddychał szybko, płytko.
Tożsamości.
Aktor. Manipulator.
– Nie taki znowu chory. Dziś rano przespacerował się do miasta i zabił trzech mężczyzn i uprowadził moją córkę.
– Bzdury! – ucięła Hauser. – O której godzinie?
– Wyszedł koło północy i wrócił przed szóstą.
– Kompletna bzdura! Richard jest w pokoju od ósmej do teraz. Wymiotuje, ma biegunkę. Opiekuję się nim osobiście. O dwunastej trzydzieści opróżniłam i wymyłam miskę, do której wymiotuje. Umyłam gąbką koło drugiej i czwartej. Co godzinę sprawdzam, jak się czuje. Dwadzieścia minut temu zmierzyłam mu temperaturę. Ma gorączkę. Niech pan dotknie jego czoła. Jest odwodniony. Przyjmuje antybiotyki, z trudem chodzi.
Daniel odsunął berettę od skroni Cartera, dotknął wierzchem dłoni twarzy Kanadyjczyka.
Rozpalona.
Carterem wstrząsały łkania.
Hauser podniosła głos:
– Nieszczęsny człowiek nie może zrobić dwóch kroków, a gdy zostaje sam, idzie do miasta. Ostrzegam pana, inspektorze jak-mu-tam. Zawiadomiono władze ONZ. Jeżeli nie przestanie się pan nad nim znęcać, będzie pan miał poważne kłopoty.

Daniel spojrział na nią, potem przyjrzał się Carterowi, który mazgał się i oddychał z trudem. Jego szyja była czerwona, zaczynała puchnąć. Kaszłał i bulgotał.

Daniel odstał od łóżka. Hauser stanęła pomiędzy nim a Carterem.

– Przykro mi z powodu pańskiej córki, ale torturuje pan niewłaściwego człowieka.

Stara kobieta o niezłomnym wyrazie twarzy.

Popatrzył na nią i wiedział, że mówi prawdę.

Carter zwymiotował na pościel. Hauser podała mu basen, ujęła pod brodę, otarła ręcznikiem.

Poważnie chory. Od czterech dni w łóżku.

Nie nadaje się na nocne przechadzki.

Zmiany tożsamości.

Psychopata manipulant.

Carter gwałtownie dygotał i kiwał się na łóżku. Splunął śluzem i jęczał.

Nie udawał.

– Proszę wyjść, inspektorze.

Nie Carter. A więc kto?

Boże, kto?

Nagle przypomniało mu się ostrzeżenie dozorcey: „Gdy pan Baldwin wróci, będzie pan miał poważne kłopoty...”

Gdy pan Baldwin wróci skąd?

Według śledzących szpital, administrator nie opuścił Amelia Catherine od soboty rano.

Zmiana tożsamości.

Różnych tożsamości.

Doktor Terrific.

Prowadzi szpital. Szef ponad lekarzami.

Przybiera alter ego, gdy idzie zabijać.

Carter na nocnej przechadzce, ale nie Carter.

Podrobiony chasyd.

Fałszywy Arab, jadący białym mercedesem z silnikiem diesla. Niosący kartonowe pudła z napisem: REJESTR. Bez brody.

Wystarczająco duży, by, pod przebraniem, zamaskować ludzkie ciało, pod warunkiem że jest ono pokieroszowane.

Albo małe.

Ciało dziecka.

Usłuchał pielęgniarki Hauser. Pobiegł do drzwi opatrzonej tabliczką BALDWIN, S. T.

Zamknięte na klucz.

Wycelował beretkę, roztrzaskał zamek, wszedł do środka, gotów zabić.

Duży pokój, z wyłożoną płytkami podłogą, o bielonych wapnem ścianach, dwa razy większy niż pokój Cartera.

Wspomnienie planu pomieszczeń: dawna spiżarnia.

Wielkie żeliwne łóżko. Pościel złożona w kostkę, jak w wojsku. Czysto i schludnie. Wszystko na miejscu.

Na łóżku starannie złożone ubranie chasyda. Sztuczna ruda broda, okulary.

Coś zielonego i lśniącego.

Spinka z motylem, srebrny filigran o malachitowych oczach.

Ani śladu potwora.

Ani Shoshi.

Z wycelowaną beretką zajrzał do łazienki.

Nikogo.

W rogu pokoju bagaż: trzy walizki, zapakowane i zapięte na rzemieniu.

Otworzył je.

W dwóch większych tylko ubrania, starannie poskładane. Wsunął dłonie pod rzeczy, zajrzał pod spód. Otworzył najmniejszą walizkę.

Przybory toaletowe. Zestaw do golenia. Sztuczne wąsy, peruki, brody, butelka z farbą do włosów, tuby z makijażem teatralnym.

W zestawie do golenia bilet na rejs na Cypr, statkiem odpływającym jutro z Ejlat Harbor.

Przechrzył nas, pakad.

Zajrzał do szafy: pusta.

Sprawdził, czy nie ma jakichś ukrytych drzwi, przejść na strych.

Nic.

Gdzie? W pieczarze? Patrol graniczny czuwa, zauważyliby.

Uklęknął i zajrzał pod łóżko. Głupi nawyk, jakby szukał duchów.

Spostrzegł mosiężne zawiasy, wyrzucenie w płytkach podłogi.

Drzwiczki w podłodze.

Wspomnienie planu szpitala: zapasowa piwnica na wino.

Przesunął łóżko.

Drewniane drzwi, prostokąt od środka pokoju do jednej ze ścian. Klamka usunięta, otwór zatkany kawałkiem drewna.

Ślady wyważania. Łomem lub czymś podobnym.

Rozejrzał się za narzędziem. Nic. Łajdak zabrał je z sobą.

Usiłował je utworzyć, łamiąc paznokcie i zdzierając skórę z palców. Wreszcie udało mu się uchwycić wystarczająco mocno. Pociągnął. Otworzył drzwi, odstąpił do tyłu.

Przed nim czarna dziura.

Wśliznął się do środka.

Abba idzie do ciebie!

ROZDZIAŁ 70

Powoli, niecierpliwie schodził po wąskich stopniach. Niektóre z nich były ustawione bardzo stromo.

Absolutna ciemność. Zawroty głowy. Wilgotne kamienne ściany, których dotykał dla równowagi i orientacji.

Boże, proszę.

Kręte, zmieniające kierunki przejście. Znowu schody, chłód napływający z niewidzialnych głębin.

Szedł po omacku.

Głęboka piwnica. Dobrze, może nie dotarł do niej odgłos wystrzału.

Znów zakręt. Nowe schody.

Wreszcie dno. W zdrowej ręce ścisnął beretę, uszkodzoną dłonią macał przed sobą. Metal. Badał go pokiereszowanymi palcami, wstrzymując oddech. Niskie metalowe drzwi, zaokrąglone u szczytu. Metalowa blacha. Wyczuł spoiny, rygle. Trafił na zasuwę, przekręcił i pchnął.

Pomieszczenie. Cisza. Nie ma potwora.

Oślepiło go lodowato białe światło.

Cofnął się instynktownie, zasłaniając oczy dłonią i mrugając. Źrenice skurczyły się boleśnie. Gdy wzrok przywykł do jasności, zrobił krok naprzód. Stwierdził, że znajduje się w małym, piwnicznym pomieszczeniu, pustym, z wyjątkiem podwójnego zlewu i dwóch odpływów w podłodze, zapchanych czymś o niemiłym wyglądzie.

Podłoga, ściany i sufit z chropowatego kamienia. Całość wykuta w skale. Czerniałą skałę porastał zielononiebieski mech. Grube sosnowe stemple podtrzymywały ściany i podpierały sufit. Połączone u stropu belki, a z nich zwisały się na łańcuchach kasetony z jarzeniówkami.

Dziesiątki jarzeniówek, pół setki rurek emitujących potoki oślepiającego światła.

Usłyszał śmiech i zwrócił się w jego kierunku.

W końcu pomieszczenia znajdowały się drzwi. Stare, zniszczone, drewniane, okute zardzewiałym żelazem. Podbiegł do nich, uchylił je i wszedł do następnego pomieszczenia, nieco większego niż pierwsze, jaśniej oświetlonego, z wymalowanymi na dziwaczny srebrzystolawendowy kolor.

Zimne powietrze o gorzkim chemicznym zapachu. Znów rynna i odpływy.

Na środku długi, stalowy stół na grubych metalowych nogach, przymocowanych do podłogi.

Daniel stanął przy końcu stołu i ujrzał delikatną biel, białe pączki – podeszwy dwóch małych stopek. Dwie kruche łydki, bezwłose łono, wypukłe żebra, wklęsły brzuch, płaska pierś.

Nagie ciało jego dziecka, smągła skóra wybielona jaskrawym światłem.

Leżała nieruchomo, na podściółce z białego prześcieradła. W zgięciu jednego beładnego ramienia – czerwony punkcik.

Szyja i ramiona wsparte na kilku zwiniętych poduszkach. Głowa odchylna do tyłu, broda wysunięta ku górze, usta otwarte. Jej gardło, podobne do łodygi lilii, dziwacznie wygięte.

Rytualny łuk.

Zapraǳnął podbiec do niej, okryć ją, lecz wrósł w ziemię na widok noża, który pieścił jej tchawicę. Długie, dwustronne ostrze, perłowy uchwyt.

Biel na bieli.

Taki nieruchomy. Boże, ale żadnej krwi poza śladem igły, idealnie rzeźbione ciało, bez ran. Pierś wznosiła się i opadała w płytkim, narkotycznym oddechu.

Dar czasu...

Za nią biel. Białe dłonie, wielkie dłonie o grubych palcach. Jedna z nich trzymająca trzonek noża. Druga zanurzona w lokach, zaplątana. Głaszcząca, pieszcząca.

Paskudny śmiech.

Baldwin stojący u szczytu stołu, pochylony, nagi. Głowa Shoshi skrywała jego pierś. Jej życie zależne od ruchu nadgarstka.

Przebiegły. Pewny siebie.

Blat stołu na wysokości jego pępka. Tors masywny, umięśniony, namaszczony jakąś oleistą substancją.

Jarzeniówki nadawały mu nieziemską lawendowoszarą barwę. Pomimo zimna pocił się. Rzadkie włosy lepiły się do skroni, wilgotne kosmyki na nagiej szarej czaszce.

Ciało miał bezwłose jak kobieta i pokryte gęsią skórą. Lśniło wilgotne i śliskie, jak jakiś nocny drażący ziemię robak.

Stał nieco na prawo od środka stołu, ukazując lewą nogę. Na udzie widniały blizny układające się w kształt swastyk. Złowieszcze purpurowe znaki. Tuż nad kolanem wyciętą miał świeżą swastykę. Przylegająca skóra różowiła od rozmazanej krwi.

Wpatrywał się w Daniela. Jego oczy były zimne, bezbarwne, dwie dziury wiodące do piekła.

Przed nim, na precyzyjnie udrapowanej serwetce z białego lnu, leżał lśniący zestaw narzędzi chirurgicznych: noże, igły, nożyczki, szczypce. Obok serwetki napelniona do połowy jakąś mętną cieczą strzykawka do zastrzyków śródskórnych.

Shoshi nieruchoma.

Abba jest tutaj.

Tętnica szyjna pulsująca pod ostrzem noża. Daniel wycelował berettę.

Baldwin podciągnął wyżej głowę Shoshi, tak że jej loki wyglądały jak jego broda. Znow się roześmiał, bez lęku.

– Cześć, jestem doktor Terrific. Co panu dolega?

Ostrze noża zaczęło piłować ponad szyją Shoshi. Daniel wstrzymał oddech, zaczął krzyczeć, ostrze drasnęło skórę, ale krew się nie pokazała.

Śmiech.

Zabawa. Uśmiech coraz szerszy. Piłowanie.

– Podoba ci się mój smyczek, żydowski wypierdku?

Perłowy trzonek noża odbił światło, które padło na twarz Daniela.

Biel na bieli.

Na bieli.

Biała swastyka wymalowana niezręcznie na ciemnej kamiennej podłodze. Wymalowane słowa. Znane już drukowane litery angielskiego alfabetu:

HEIL SCHWANN!! NASIENIE SCHWANNA ŻYJE!!!

Twarc Baldwina ściągnięta w ekstatycznym grymasie. Pijany grą, nie zauważył, że Daniel przesunął się w prawo. Zrobił krok. A potem następny.

– Nie ruszaj się, pieprzony icku.

Ostrzeżenie rzucone przez wyszczerzone w szerokim uśmiechu zęby. Ochryply głos. Mechaniczny. Ani śladu po kowbojskim zaśpiewie.

Głęboki, ale pobrzmiwały w nim piskliwe nuty – echa.

Echo wrzasków porzuconych, katowanych kobiet Daniel mógłby przysiąc, że słyszy ich głosy. Zapragnął zakryć uszy rękami.

Wargi Baldwina rozciągnęły się jeszcze szerzej.

Rozczapierzone palce lewej dłoni spoczęły na twarzy Shoshi. Szpatułkowate opuszki muskały jej policzki, usta. Prawa dłoń ani drgnęła, trzymając nóż na miejscu. Baldwin piłował nim w upiornej pieśczoście.

– Nigdy nie miałem takiej delikatnej – zachichotał.

Daniel przesunął się o centymetr w prawo.

– Rzuć tę pukawkę, albo poderżną jej gardło. – Uśmiech. Długie białe zęby. Purpurowy język. Lawendowe usta.

Daniel powoli opuścił beretę, patrząc, jak oczy Baldwina śledzą broń. Słaba koncentracja. Przesunął się do przodu. Jeszcze ćwierć kroku i jeszcze. Znalazł się po prawej stronie stołu. Bliżej celu.

– Powiedziałem rzuć, żydowski czarnuchu. Całkiem. – Baldwin przycisnął ostrze na płask do szyi Shoshi, przykrywając puls. Szczycił się swoją władzą, ale jednocześnie przesuwał się w prawo, nieświadoma obrona.

Ten ruch odsłonił jego krocze. Penis był na wpół wzwiedziony, biały cylinder, wyglądający czujnie zza poznaczonego bliznami uda.

Zdjął lewą dłoń z twarzy Shoshi, opuścił ją i zaczął się brandzlować. Łypiąc złośliwie okiem.

– Dwa narzędzia zbrodni. – Chichot. – Prawdziwa nauka.

Daniel zniżył beretę tak, że znalazła się na poziomie członka.

Jeszcze jeden krok naprzód.

Baldwin roześmiał się, przyśpieszył ruch dłoni. Nie przestając piłować nożem.

– Jeden milimetr i pa, pa, Żydóweczko.

Jego głos nabrał piskliwych tonów, erekcja postępowała, członek wznosił się bardziej.

Dla takiego typu liczyła się tylko władza. Kontrola.

Daniel postanowił zagrać według jego zasad.

– Proszę – powiedział pokornie.

– Proszę – roześmiał się Baldwin. Masturbował się jeszcze chwilę, przestał i przejechał palcem po górnej krawędzi ostrza noża. Dolna krawędź nadal spoczywała na tchawicy Shoshi.

– To nóż amputacyjny Listona, żydowski wypierdku. Umie szybko tańczyć, tnie kości, jakby to było masło. – Uśmiech. Chichot. Nóż w górę, a potem w dół.

– Proszę, nie rób jej krzywdy.

– Tylko mrugnij, a zagramy w futbol jej pieprzoną głową.

– Proszę. Błagam.

Baldwin uniósł brwi. Oblizął wargi.

– Naprawdę, ty nic nie znaczący wypierdku karalucha?

– Tak. – I naprzód.

– Tak, doktorze.

– Tak, doktorze. – Błagalnie, z unizonym wyrazem twarzy, starając się, by Baldwin nie patrzył na jego nogi. Przysuwając się do Shoshi na tyle, by móc chwycić jej kostkę i pociągnąć ku sobie. Ale nóż jest wciąż na jej gardle. Jedno mgnienie, a przetnie tętnicę szyjną.

– Tak, proszę, *Herr Doktor Professor*.

– Tak, proszę, *Herr Doktor Professor*.

Baldwin uśmiechnął się, westchnął. A potem jego twarz zmieniła się w nienawistną maskę.

– WIĘC RZUĆ PUKAWKĘ, PIERDOŁO!

Daniel opuścił berettę nieco niżej. Jednocześnie błagając o litość. Rozglądając się po piwnicy.

Nie ma następnych drzwi. Ostatnie pomieszczenie.

– Proszę, doktorze. Nie krzywdź jej. Weź w zamian mnie.

Idiotyzm, ale rozbawił łajdaka, pozwolił zyskać na czasie.

Lśniące przedmioty wiszące na gwoździu wbitym w drewnianą listwę. Złote kolczyki w kształcie obręczy. Trzy pary.

W rogu – lodówka. Obok niej łom. Za daleko.

Półka przy ścianie, a na niej dwie duże latarki, prześcieradła, poduszki. Stosiki poskładanej odzieży: suknie, bielizna. Biała sukienka w niebieskie prążki, rozdarta, brak strzępka materiału.

Obok ubrań słoiki wypełnione przezroczystym płynem i zaopatrzone w nalepki. Wewnątrz miękkie, różowawe przedmioty.

Dwa z nich rozpoznał jako nerki.

Inne nie znane. Okrągłe, najwyraźniej jakieś wnętrzności.

– RZUĆ BRONŃ, GNOJKU, BO JĄ POTNĘ!

Ryk z nutą paniki.

Tchórz.

Pasywny potwór, wybierający słabe ofiary. Nawet gdy ma już w swoich szponach, usypia je, zanim zacznie swoją brudną robotę – ze strachu przed oporem. Kaleczy sam siebie, ale tylko powierzchownie, by mieć pewność, że nic mu nie zagraża.

Opuszczał broń coraz niżej. Baldwin znów się zdekoncentrował, śledząc jej drogę.

Daniel zbliżył się do szczytu stołu, spojrzął na Baldwina, a potem poza niego, na wypchane zwierzę obok słoików. Spozobegł czarną łatkę nad okiem i rozpoznał Dayana. Sztywny jak zabawka. Nieżywy. Nie – sparaliżowany. Jego wielkie brązowe oczy śledzące ruchy Daniela, błagające o ratunek.

– NA PODŁOGĘ, ALBO FUTBOL! – wrzasnął Baldwin tonem dziecka w napadzie złości.

– Tak, doktorze – powiedział Daniel i rzucił berettę w lewo, przez cały pokój. Uderzyła w brzeg zlewu i upadła na podłogę.

Baldwin śledził jej trajektorię i uniosł dłoń trzymającą nóż.

Milimetr powietrza między ostrzem a gardłem.

Daniel obydwo rękami chwycił Baldwina za nadgarstek, unosząc nóż wyżej. Pochylił głowę i z całej siły uderzył nią w natłuszczony brzuch Baldwina, odpychając potwora w tył.

Potwór był ciężki, ważył ze dwadzieścia kilo więcej niż Daniel. I twardy jak skała. Grube nadgarstki. Wyższy o głowę. Obie ręce zdrowe.

Daniel włożył w atak całą swoją wściekłość. Baldwin zatoczył się w tył, na półki przy ścianie. Jeden ze słoików zachwiał się, upadł, roztrzaskał na kawałki. Coś wilgotnego i lśniącego potoczyło się po podłodze.

Zabrzęczały kolczyki.

Baldwin rozdziawił usta, ryknął, natarł na Daniela, wymachując nożem.

Daniel uskoczył. Baldwin kilkakrotnie dźgnął powietrze. Siła bezwładu spowodowała, że stracił równowagę.

Duży i silny, ale nie umiał walczyć.

Daniel wykorzystał tę chwilę, by jeszcze raz uderzyć go głową, okładał pięściami brzuch i pachwiny potwora, kopnął go, chwycił za nadgarstek, walcząc o nóż.

Baldwin walił na oślep. Nie trafiał. Nastąpił na potłuczone szkło, wrzasnął.

Daniel postawił nogę na jego zranionej stopie, sięgnął zdrową ręką po nóż, usiłując podrapać pierś Baldwina uszkodzoną dłonią. Paznokcie ześlizgnęły się po naoliwionym ciele.

Rozejrzał się za bronią. Za daleko. Kopnął Baldwina w kolano. Uchwycił obydwoma dłońmi jego rękę, poczuł gładkość perłowego trzonka noża.

Palce, staraj się trafić na zakończenia nerwów.

Usiłował wyłamać palec wskazujący Baldwina, ale on był silniejszy. Ręka Daniela ześlizgnęła się tuż obok ostrza noża. Baldwin natarł naprzód, wymachując nożem, w górę i w dół, w tył i w przód, podczas gdy Daniel uskakiwał, by uniknąć ciosu.

Ostrze noża drasnęło różową bliznę na uszkodzonej ręce Daniela. Rozpłatało mu paznokcie i nacięło ciało pod spodem. Przeszywający ból. Gorąca fala krwi.

Chwycił trzonek zdrową ręką, orząc paznokciami palce Baldwina.

Baldwin zobaczył krew. Roześmiał się, odzyskał siły.

Schylił się nad ramieniem Daniela i wbił w nie zęby.

Daniel wywinął się, ranny, czując palący ból. Głęboka rana, znowu krew – jego koszula zaczęła nasiąkać szkarłatną posoką. Nie szkodzi, miał jeszcze wiele krwi, będzie walczył do ostatniej kropli.

Ale wyswobodzenie się ze szczęk Baldwina kosztowało go utratę noża.

Baldwin wzniósł ogromne ostrze.

Daniel osłonił się dłonią uszkodzonej ręki.

Nóż upadł na nią.

Przeszył ją.

Było w niej wystarczająco wiele nerwów, by przewodzić ból.

Stary ból, wspomnienie bólu.

Wzgórza. Teatr Rzeźnika.

Baldwin obrócił nóż, świdrował nim, oburącz ściskając trzonek. Ogromne ostrze pożerało mięśnie, ciało ścięga, omal nie rozdzieliło kości śródreżca, omal nie rozpłatało ręki na dwoje, aż po palce.

Potwór gulgotał. Zaciskał zęby. Oczy miał puste, plugawe.

Wyprostował się na całą wysokość, naciskając na nóż. Wgniatając Daniela w podłogę.

Straszliwy nacisk, miazdzący, nieustępliwy. Daniel poczuł, że uginają mu się kolana, że się cały ukośnie zapada.

Uśmiech Baldwina stał się jeszcze szerszy. Triumfujący. Napierał w dół, dysząc, zlewając się potem, który mieszał się z olejem i spływał po ciele wijącymi się strużkami.

Daniel spojrział w górę i spostrzegł blizny w kształcie swastyk.

Łom – zbyt daleko.

Baldwin śmiejący się, krzyczący, obracający nożem w ciele Daniela.

Daniel z całych sił odepchnął się w górę. Ostrze noża nadal pożerało jego rękę, poszerzając szkarłatne dominium.

Zagryzł zęby, nie wrzeszczeć z bólu, przywarł wzrokiem do oczu Baldwina, opierał się, walczył.

Baldwin roześmiał się, połykając powietrze.

– Najpierw... ty... ona... na... deser.

Daniel poczuł, że opuszczają go siły, słabną mięśnie i wiedział, że długo nie wytrzyma.

Uderzył jeszcze raz, zmieniając swoją rękę w sztywne, pozbawione stawów stalowe ramię. A potem nagle opadł, wycofał się, zaprzestał wszelkiego oporu, upadając, turlając się do tyłu. Przebita ręka uderzyła o podłogę, a nóż za nią. Ale nie celowo, lecz pod wpływem grawitacji.

Gwałtowna zmiana sprawiła, że Baldwin stracił czujność. Zatonął i niezręcznie upadł za nożem, aby go nie stracić.

Daniel wymierzył kopniaka w jego kolano.

Tym razem usłyszał trzask.

Baldwin zawył, złapał się za nogę i z całej siły runął na Daniela, z jedną ręką uwieczoną pod ciałem przeciwnika, podczas gdy w drugiej wciąż ścisnął nóż.

Zacisnął powieki i szarpnął nóż w górę, usiłując wyrwać ostrze z ręki Daniela, by tym razem zadać śmiertelny cios.

Ale ostrze uwieźło pomiędzy kośćmi i nie dawało się wyjąć. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to piłować nim w przód i w tył, otwierając więcej naczyń krwionośnych. Wiedział, że czas pracuje na jego korzyść. Ból, który zadawał czarnemu ickowi, musiał być straszliwy. Icek był istotą gorszą, słabowitą, stworzoną, by przegrywać.

Ale ten mały gnojek trzymał się i wciąż walczył!

Silne ciosy trafiały w aryjski nos Baldwina, w jego policzki, brodę, usta. Dolna warga pękła. Poczłł smak własnej krwi, połknął ją – słodka krew bohatera, ale przyprawiła go o odruch wymiotny.

Razy nie ustawały, bombardowały go jak grad ciosów brzytwą i jego ból narastał, jakby żydowski czarnuch z nawiązką oddawał mu swoje cierpienie.

Zmusił się do uśmiechu i spojrzał w dół, wypatrując oznak wyczerpania.

Żydowski wypierdek odpowiedział mu uśmiechem!

Szumowina, ta pieprzona *Untermensch* szumowina, nie przejmowała się bólem, nie przejmowała się tańczącym Listonem, który pożerał go żywcem.

Zebrał wszystkie siły i pociągnął nóż w górę. Gnojek szarpnął przytwierdzoną do noża rękę w przeciwną stronę.

Nagle brązowe palce wpiły mu się w policzek i rozorały ciało, które opadało płatami, niczym łuszcząca się kora drzewa.

O nie!

Krew, jego krew, zalewająca mu twarz, oczy. Wszystko stało się czerwone.

Żałował z rozpacz, pożegnał się z Listonem i wypuścił go. Jedną ręką tamował nie kończące się potoki krwi, a drugą usiłował zacisnąć na gardle pieprzonego czarnucha.

Daniel poczuł wielkie wilgotne paluchy drapiące jego grdykę.

Wywinął się. Rąbnął Baldwina pięścią w nos, w usta, w brodę. Celował w bruzdy na policzkach. Zetrzeć z nich ten uśmiech, na zawsze.

Uśmiechaj się. To przeraża tchórza.

Baldwin zebrał siły.

Znów chwycił za gardło. Dusił, gruchotał. Starając się wyrwać grdykę z gardła Daniela.

Daniel poczuł smutny świst powietrza opuszczającego płuca. Skraj pola widzenia stał się szary, a potem czarny. Czerń rozlewała się ku centrum, wypierając światło. W głowie rozległo się dudnienie. Kołatki śmierci. Płuca wypełniały się wilgotnym piaskiem.

Nie przestawał drapać twarzy potwora. Wielkie paluchy dławiły go.

Nóż wciąż tkwił w jego ręce, zaklinowany, zadając piekący ból.

Dwa źródła bólu.

Baldwin zaklął, splunął, nie przestając dusić. Czerń była prawie wszechobecna. Fale kwasu paliły w piersi, ich jęzory wznosiły się, parząc podniebienie, dosięgając mózgu.

Tak gorąco, a jednak zimno.

Zamieranie...

Potwór, silniejszy od niego. Zawzięty niszczyciel.

Ona na deser.

Nie!

Sięgnął do wewnątrz, poza siebie, poza odczucia, wydobył ostatnie włókno siły, wykorzystał ból. Wygiął ciało w łuk, ślepy, bez tchu. Szukał po omacku, natrafił na jeden z palców Baldwina.

Chwycił go, wygiął w górę, wylamując jednym gwałtownym szarpnięciem.

Trzask, a potem docierający z daleka krzyk. Uścisk na gardle zelżał. Łyk powietrza.

Dwa następne palce za jednym razem. Wygiąć. Wyłamać. Następny.

Ręka Baldwina pacnęła luźno. Wrzasnął, wymierzył cios i chybił.

Daniel odepchnął go, rzucił się na wielkie, natłuszczone cielsko.

Baldwin wrzeszczał jak niemowlę. Upadł płasko na wznak, ściskając obolałe palce drugą dłonią. Odsłonięty.

Daniel wyciągnął nóż z przebitej ręki. Baldwin szarpnął się dziko, jedna z jego pięści trafiła Daniela w splot słoneczny, pozbawiając go tchu.

Daniel zacharczał, chwytając powietrze. Nóż upadł z brzękiem na podłogę.

Słyszając to, Baldwin otworzył oczy, usiadł i sięgnął po broń zdrową dłonią.

Daniel rzucił się na Baldwina, uskakując przed kłapiącymi zębami i drącymi paznokciami. Baldwin warknął, rzucił głową, usiłował odgryźć Danielowi nos. Daniel natrafił na coś miękkiego. Znajomego. Ustupującego pod naciskiem.

Jego palce rozpoznały oko Baldwina. Zaciśnął je wokół gałki, szarpnął, wyrwał.

Baldwin wrzasnął, zakrył twarz dłonią, wymacał pusty oczodół, wrzasnął jeszcze raz i wpił zęby w ramię Daniela. Natrafił na ranę. Kąsał, powiększając ją.

Daniel poczuł, że ciało ustępuje, jest pożerane.

Oślepiiony bólem, zmusił się, by myśleć o Shoshi. Walczył, by nie stracić przytomności. Przyłgął do wspomnień o Teatrze Rzeźnika. I szukał drugiego oka. Zorientowawszy się, o co chodzi, Baldwin zwinął się w kłębek. Ale Daniel wiedział, co ma robić. Jego wygłodniała dłoń macała, bezlitośnie szukając zdobyczy. Znalazła, uchwyciła i wydarła.

Zdawszy sobie sprawę, że jego świat na zawsze poczerniał, Baldwin zaczął płakać, ścierając krew z pustych oczodołów. Ale jego zęby pozostały wbite w ramię Daniela. Kąsały, rwały z siłą, którą wznagało cierpienie.

Daniel wymierzył cios pięścią w szkarłatną twarz Baldwina. Jego pięść zmiażdżyła kość, chrząstkę, skórę. W końcu udało mu się umieścić zdrową dłoń pod brodą Baldwina i pchnąć z całej siły. Baldwin automatycznie rozwarł szczeki. Daniel wyswobodził ramię.

Baldwin poderwał się na kolana; jęczący, omdlewający upiór. Widoczna spod krwi blada twarz wyglądała jak pośmiertna maska z czarnymi, bezdennymi dziurami po oczach.

Wrzeszczał, dziko wymachując rękami, w poszukiwaniu przeciwnika.

Daniel podniósł nóż, uchwycił go zdrową ręką. Nastąpił na krew, poślizgnął się i zatoczył do tyłu.

Baldwin usłyszał odgłos upadku. Wstał, chwiejąc się i z trudem chwytając równowagę.

Powyłamywane palce namacały zimny metal brzegu stołu chirurgicznego.

Na obolałej i pozbawionej oczu twarzy potwora ukazał się diabelski uśmiech.

Dłoń o nie naruszonych palcach, wielka, okrwawiona, opadła na twarz Shoshi i wpiła w nią paznokcie.

Teraz wrzasnął Daniel. Natarł w przód i w górę, wysyłając cios w twarde jak kamień tors Baldwina i odpychając go od stołu.

Baldwin zamachał rękami, zatoczył się do tyłu i objął Daniela, wpijając paznokcie w jego plecy. Zakrwawione zęby kłapały w poszukiwaniu celu.

Daniel starał się wyrwać, poczuł, że uścisk Baldwina staje się mocniejszy. Pomimo poniesionych ran, potwór wciąż walczył. Daniel zaciśnął dłoń na trzonku noża, ale ostrze uwieźło pomiędzy nimi. Płasko między dwoma torsami. Bezużyteczne i nieruchome.

Baldwin zdawał się nie czuć zimna chirurgicznej stali na swoim ciele. Uniósł rękę i chwycił Daniela za włosy. Szarpnął. Daniel poczuł, jak skalp odchodzi od czaszki.

Baldwin szarpnął jeszcze raz.

Daniel wyswobodził nóż, znalazł miejsce, którego szukał. Tuż pod zębami Baldwina.

Palce Baldwina wędrowały w dół, przez włosy, na czoło, i wreszcie oczy Daniela.

Namacał gałkę oczną, uchwycił ją pomiędzy kciuk i palec wskazujący, wydał okrzyk

triumfu, dokładnie w chwili, gdy Daniel pchnął go nożem. Ostrze szybko i cicho zagłębiło się w ciele, przebiło przeponę, płuco i utknęło w sercu Baldwina.

Baldwin odpadł do tyłu, wstrząsany drgawkami, zaskoczony rozwarł usta, z których buchnęła krew. Sciskając Daniela w ostatnim spazmie, skonał w jego objęciach.

ROZDZIAŁ 71

Nowi goście, wszyscy w bieli.

Chronili go, zabawiali. Obstąpili łóżko dookoła. Śmiejąc się, kiwając głowami, mówiąc mu, jak świetnie sobie radzi, doskonale pozszywany. Udając, że nie zauważają bandaży, torebek z krwią, butelek z glukozą, rurek wystających z jego ciała.

Przemawiając gulgotliwie. Przeważnie nie miał pojęcia, co do niego mówią, ale, aby nie sprawiać im przykrości, starał się sprawiać wrażenie, że słucha.

Dawali mu coś, żeby uśmierzyć ból. Działo, ale spowijało go wilgotnym cementem, zmieniało powietrze w płyn, utrudniało zachowanie przytomności. Jakby deptał wodę, niosąc worki z piaskiem.

Chciał im powiedzieć, że czuje się dobrze, poruszał ustami. Ludzie w bieli kiwali głowami i uśmiechali się. Gulgotali.

Deptał wodę jeszcze chwilę, a potem dał za wygraną i opadł na dno.

Następnego dnia rozjaśniło mu się w głowie, ale wciąż był osłabiony i wrócił ból, silniejszy niż kiedykolwiek. Odłączono go od rurek, pozwolono popijać płyny, podawano pigułki przeciwbólowe, które umieszczał pod językiem i wypluwał po odejściu pielęgniarki.

Przy łóżku siedziała Laura, która wiedziała, czego mu potrzeba. Gdy odpływał w sen, czytała albo szydełkowała. Gdy się budził, była obok, trzymając go za zdrową rękę, ocierając czoło, przytykając do warg szklanekę z wodą, zanim zdążył o to poprosić.

Raz, pod wieczór, obudził się i zobaczył, że Laura coś szkicuje. Chrząknął, a ona odwróciła szkicownik i pokazała, nad czym pracuje.

Martwa natura. Miska z owocami i butelka wina.

Usłyszał własny śmiech. Pogrążył się w bólu, a potem zasnął i śnił mu się dzień, gdy się poznali – gorący suchy ranek, pierwszy wrzesień zjednoczonej Jerozolimy. Tuż przed Rosz ha-Szana,* narodzinami nowego roku, który nic nie obiecywał.

Był policjantem patrolującym, jeszcze w mundurze. Popijał wodę mineralną w Cafe Max. Odpoczywając po paskudnym dniu w Katamonim: pokierszowana ręka bolała, czuł rozgoryczenie z powodu docinków *pusztakim* i wciąż nie był pewien, czy podjął słuszną decyzję. Czy był pionkiem Gavrielego?

Po przeciwnej stronie kawiarni siedziała grupa studentów sztuk pięknych z Bezalel. Młodzi mężczyźni i kobiety, długowłose, ekstrawaganckie, o uśmiechniętych twarzach i zręcznych dłoniach. Ich wesołość drażniła go. Zsunęli trzy stoliki, popijali mrożoną kawą, pochłaniali grzanki z serem i ciastka z kremem, wypełniając maleńką kawiarenkę papierosowym dymem i ploteczkami.

Uwagę Daniela zwróciła jedna z dziewczyn. Szczupła, o długich, falistych jasnych włosach i niebieskich oczach, niezwyklej urody. Wyglądała na zbyt młodą, by studiować w instytucie.

* Rosz ha-Szana (z hebr. „Początek roku”) – święto Nowego Roku, które zaczyna się z nadejściem *tiszri* (siódmego miesiąca księżycowego, w połowie września).

Uśmiechnęła się do niego i zdał sobie sprawę, że się na nią gapi. Zakłopotany, odwrócił się i dopił wodę mineralną. Poprosił o rachunek i sięgnął do kieszeni po portfel, chwycił go niezręcznie i upuścił na podłogę. Schylając się, by go podnieść, pochwycił spojrzenie jasnowłosej dziewczyny.

Odsunęła się od pozostałych studentów, przestawiła swoje krzesło tak, aby siedzieć twarzą do Daniela i rysowała coś w szkicowniku. Patrząc wprost na niego i uśmiechając się.

Rysowała jego portret! Miała tupet!

Spojrzał na nią. Uśmiechnęła się szerzej, nie przerywając szkicowania.

Daniel poczuł gniew. Odwrócił się do niej plecami. Położył na stoliku kilka monet i wstał, żeby wyjść z kawiarni.

Gdy był w drzwiach, poczuł na łokciu czyjąś dłoń.

– Coś nie w porządku?

Patrzyła na niego, zadzierając głowę, była niska. Wyszła razem z nim. Miała na sobie czarną haftowaną tunikę i wyblakłe džinsy, a na stopach sandały. Na szyi czerwoną bandanę – wielka artystka.

– Coś nie tak? – powtórzyła. Po hebrajsku z akcentem amerykańskim. Świetnie, jeszcze jedna zepsuta dziewczucha, wydająca pieniądze tatusia na głupie zachcianki. Marzył jej się flirt z policjantem?

– Nie – odpowiedział po angielsku.

Siła, z jaką wypowiedział to krótkie słowo, tak ją zaskoczyła, że się cofnęła. Daniel poczuł się gburowaty i zapomniał języka w gębie.

– Och – powiedziała, patrząc na jego obandażowaną rękę.

– To dobrze. Najpierw patrzył pan na mnie, a potem nagle się rozgniewał. Pomyślałam, że może ma mi pan coś za złe.

– Nie – powtórzył, zmuszając się do łagodniejszego tonu.

– Zobaczyłem, że rysuje pani mój portret, i to mnie zaskoczyło.

Nic więcej.

Dziewczyna uniosła brwi. Roześmiała się. Przygryzła palec, nie przestając chichotać.

Zepsuta smarkuła, pomyślał Daniel, znów rozgniewany. Odwrócił się, by odejść.

– Nie. Niech pan zaczeka – zawołała dziewczyna, ciągnąc go za rękaw. – Proszę spojrzeć.

– Otworzyła szkicownik i zwróciła ku niemu, by mógł się przyjrzeć.

Martwa natura. Misa z owocami i kieliszek wina.

– Nie bardzo udane, co?

– Nie, nie. – Ty idioto, Sharavi. – Jest bardzo ładny.

– Wcale nie. Jest okropny. To kicz, żart, żart studentki sztuk pięknych.

– Jest pani bardzo zdolna. Przepraszam, myślałem...

– Nic się nie stało. – Dziewczyna zamknęła szkicownik i uśmiechnęła się do Daniela.

Cudowny uśmiech. Daniel zdał sobie sprawę, że chowa za plecami zabandażowaną rękę.

Zapanowało niezręczne milczenie. Przerwała je dziewczyna.

– Chciałby pan mieć portret?

– Nie. Nie chciałbym. Muszę już...

– Ma pan świetną twarz – powiedziała dziewczyna. – Naprawdę. Doskonały owal. – Uniosła dłoń, by dotknąć jego policzka, ale szybko ją cofnęła. – Proszę. Przyda mi się takie ćwiczenie.

– Naprawdę nie...

Ujęła go za rękę i poprowadziła wzdłuż King George. Kilka minut potem Daniel siedział na zielonej trawie pod pinią w Parku Niepodległości. Dziewczyna siedziała naprzeciw i szkicowała w skupieniu.

Wreszcie skończyła. Wydarła arkusz ze szkicownika i podała Danielowi. Zauważył, że ma piękne, pomazane paluszki.

W tym momencie we śnie zaczęły się dzieć dziwne rzeczy.

Papier rósł w jego dłoni, podwoił się i potroił, stał się wielki jak prześcieradło. A potem jeszcze większy, zmienił się w transparent zakrywający niebo. Stał się niebem.

Kilometry bieli.

A na niej cztery twarze naszkicowane węglem.

Zamyślony Daniel, przystojniejszy niż w rzeczywistości.

I trzy uśmiechnięte okrągłe twarzyczki dzieci.

To nie ma sensu, powiedział sobie. Ale jest przyjemne. Nie walczył z tym obrazem.

Portret nabierał barw, głębi, stawał się realistyczny jak fotografia. Malowidło wielkości całego nieba.

Cztery gigantyczne twarze – jego własna zaczęła się uśmiechać. Promieniała radością w przestworzach.

– Kto to? – zapytał, patrząc na dzieci. Wydawało mu się, że się do niego uśmiechają, wodzą za nim wzrokiem.

– Nasze dzieci – odpowiedziała dziewczyna. – Pewnego dnia zrobimy sobie śliczne dzidziusie. Będziesz najlepszym ojcem na świecie.

– Jak? – zapytał Daniel, znając ją i nie znając, wciąż otumaniony snem. – Skąd będę wiedział, co mam robić?

Jasnowłosa dziewczyna uśmiechnęła się, pochyliła i lekko ucałowała w usta.

– Dowiesz się, gdy nadejdzie na to czas.

Daniel zastanowił się nad tym. Brzmiało sensownie. Przyznał jej rację.

O wpół do dziewiątej przyszli Gene i Luanne z kwiatami i czekoladkami. Gene pogadał z Danielem, wsunął chyłkiem cygaro i powiedział, że spodziewa się szybkiej poprawy. Luanne pochyliła się i pocałowała Daniela w czoło. Ładnie pachniała. Czystością i miętą. Gdy skończyli wizytę, Laura wyszła z nimi.

Następne popołudnie minęło na odwiedzinach Laufra i innych ludzi z wierchuszki. W czasie przemowy, wygłoszonej przez zastępcę komendanta, Daniel udawał, że drzemie.

W porze obiadu wróciła Laura z dziećmi i z ojcem Daniela, przyniosła szwamę, stek i pite, zimne piwo i wodę sodową. Daniel wszystkich uściskał i ucałował, pogłodził aksamitne policzki Mikeya i Benny'ego, pozwolił im, by się pobawili fotelem na kółkach i ustawili telewizor. Patrzył na Shoshi wyglądającą przez okno i nie wiedział, co jej powiedzieć.

Ojciec został do późna, wyjął tehilim i śpiewał psalmy, słodkim, kojącym głosem, posługując się starymi *nigunim* z Jemenu, spokojnie jak rytm serca.

Daniel obudził się pięć po czwartej. W pokoju było ciemno, ojciec wyszedł. Została po nim tylko księga psalmów, zamknięta, na szafce nocnej. Daniel otworzył ją, posługując się jedną ręką i cicho śpiewał stare melodie.

Po kilku minutach do pokoju wpadł Shmeltzer. Za nim weszła gruba pielęgniarka, protestując przeciwko odwiedzinom po wyznaczonych godzinach. Pacjent i tak miał już zbyt wielu gości.

– Odczep się, *jenta** – powiedział stary detektyw. – Zbyt długo podporządkowywałem się waszym przepisom. To oficjalna sprawa policyjna. Powiedz jej, Dani.

– Oficjalna sprawa policyjna – powiedział Daniel z uśmiechem. – W porządku, siostró.

Pielęgniarka podparła się pod boki, poprawiła czepek i oznajmiła:

– Może dla pana, ale nie pan tu ustanawia przepisy, pakad. Zawołam lekarza.

– Idź, wołaj go – rzekł Shmeltzer. – Jak go znajdziesz, poigraj z nim w szafie z prześcieradłami.

Siostra podeszła do niego, prychnęła, odwróciła się i szybko wyszła. Shmeltzer przyciągnął sobie krzesło do łóżka i usiadł.

– Bękart nazywał się Julian Heymon – powiedział. – Amerykanin, z Los Angeles, bogaci

* *Jenta* – plotkara, złoźnica.

rodzice, obydwójce nie żyją. Nieudacznik od samego początku, wykopany z Sumbok. Nie wiemy, za co. Ale skoro usunięto go z takiego miejsca, musiał zrobić coś naprawdę poważnego. Nie udało mu się dostać na żadną inną uczelnię medyczną. Włóczył się po Stanach, żyjąc ze spadku i biorąc udział w zjazdach medycznych, posługując się fałszywymi nazwiskami. Nasze śledztwo pomogło FBI zamknąć czternaście przypadków morderstw. Istnieje możliwość jeszcze co najmniej pięciu innych.

Prawdziwy Sorrel Baldwin był administratorem medycznym z Teksasu, młodym, błyskotliwym człowiekiem, robiącym karierę w zawodzie. Magister uniwersytetu amerykańskiego, który został w tamtejszym szpitalu, gdy Bejrut był jeszcze Zurichem Wschodu. Po roku, w 1974, wrócił do Stanów i objął stanowisko w pracowni patologii w Houston, związanej z oddziałem kardiochirurgii. Ojciec Heymona był kardiochirurgiem. Żydem, uwierzysz? Więc pewnie łączyły ich jakieś dziwaczne stosunki. W gównie, które znaleźliśmy w domu w German Colony, pełno jest wzmianek o drugim ojcu, facecie o nazwisku Schwann. Ciągłe staramy się to uporządkować, tak samo jak skrzynki z ciałami zwierząt i nazistowskim szajsem nabazgranym na ścianach. Zapisał także kilka notatników, zatytułował je: DANE EKSPERYMENTALNE. PRAWDZIWA NAUKA. Ale przeważnie są to niespójne gryzmoły, rojenia psychologa, opis tortur. Z tego, co tam znaleźliśmy, wynika jedno. Facet był rasistą. Określenie „Projekt *Untermensch*” powtarza się kilkakrotnie, jako coś, co ma wykorzystywać morderstwa do szczucia nas przeciwko Arabom, aż się nawzajem po wykańczamy. Ostatecznym zwieńczeniem wyprawy do Izraela miało być skończenie z...

Shmeltzer zamilkł. Odchrząknął i spojrzał w okno.

– Tak to wygląda w skrócie.

– Ostatecznym zwieńczeniem miało być zamordowanie Shoshi – dopowiedział Daniel. – Planował, że ją zmasakruje i zostawi przy ciele wiadomość, że to sprawa grupy mścicieli arabskich.

Shmeltzer skinął głową.

– Według notatek, następnym punktem przeznaczenia była Afryka. Jakieś miejsce w Afryce Południowej czy w Zimbabwie. Szczuć białych przeciwko czarnym. Wydaje mi się, że to brednie. *Szmuk* po prostu lubił zabijać. Usiłował to ubrać w polityczne, motywacje. Cokolwiek z nim zrobiłeś, okazałeś mu zbyt dużą łagodność.

Daniel zamknął oczy.

– Co się stało z prawdziwym Baldwinem?

– Temu należy się współczucie – powiedział Shmeltzer. – Nieszczęśnik znalazł się na szczycie. W 1975 roku wziął udział w zjeździe dotyczącym finansowania medycyny. Poszedł na kolację z innymi administratorami, a potem na przechadzkę i nigdy więcej o nim nie słyszano.

– Dziesięć lat temu – dodał Daniel, przypominając sobie słowa Gene'a: „Wielki kraj, wielki bałagan?”. Osoby zaginione, które nigdy się nie odnalazły.

– Heymon był cierpliwy. To mu trzeba przyznać – powiedział Shmeltzer. – Przywłaszczył sobie dokumenty Baldwina. Przez cztery lata wyrobił sobie duplikaty, odpisy. W domu w German Colony znaleźliśmy inne dowody tożsamości. Drań nie zadowolił się jednym. W 1979 dostał pracę jako Sorrel Baldwin – administrator w klinice specjalizującej się w aborcjach, w Long Beach w stanie Kalifornia. Cztery lata później podłączył się do ONZ. Życiorys Baldwina był pierwszorzędny, nic dziwnego, że go przyjęli. Zajmował się biurokracją ONZ w Nowym Jorku. Prawdopodobnie podobało mu się, że pracuje dla Waldheima. Uczył się arabskiego, a potem złożył podanie o pracę w Amelia Catherine i dostał ją.

– A co z tą Khoury? Przyjaciółką Baldwina?

– Twierdzi, że jest wstrząśnięta. Jak wszyscy. Nie mamy nic, co by temu przeczyło. Mówi, że uważała Baldwina-Heymona za dziwaka. Nigdy nie próbował pójść z nią do łóżka,

zadowalał się trzymaniem jej za rękę i wpatrywaniem się w gwiazdy. Ale nigdy go nie podejrzewała... i takie tam bla-bla. Ale na wszelki wypadek mamy na nią oko. Może zajmie się nią Cohen, jest niezła.

– Co u Cohena?

Shmeltzer wzruszył ramionami.

– Twierdzi, że wszystko świetnie. Wielki bohater, John Wayne. Przynajmniej na razie. Gdy z nim pogadać dłużej, okazuje się, że zanim wykończyłeś Heymona, dawka heroiny przestała działać. Cohen obudził się, zobaczył głowy zwierząt i chyba pomyślał, że znalazł się w piekle. Ale twierdzi, że dobrze się bawił – niezły dowcip, co? Dotarł do telefonu i trzymanym w zębach ołówkiem wykręcił 100. Zanim Daoud i Chińczyk dotarli na miejsce, wyswobodził się z więzów i chełpił się, że przyszło mu to bez trudu. Ty jeden odniosłeś obrażenia, pieskie szczęście, co?

– Ja i Richard Carter – sprostował Daniel.

– Tak. On też miał parszywe szczęście – przyznał Shmeltzer. – Jest w Hadassah. Wyliże się. Dozorca, Hadżab, ma rozciętą wargę. Zęby, które mu wybiłeś, były sztuczne, niech pieprzone ONZ zafunduje mu nowy mostek. Mieli cię postawić w stan oskarżenia, ale góra i major wstawili się za tobą.

Daniel zakaszał. Shmeltzer nalał mu wody i przytknął szklanekę do ust.

– I jeszcze dwie nowiny, adon pakad. Okazało się, że Amira Nasser, rudowłosa dziwka, była na liście płac Szin Bet. Oprócz pracy na ulicy dorabiała sobie, słuchając rozmów o podkładanych bombach. Kiedy trafiła na Heymona, zaczęła o tym opowiadać i Szin Bet wysłało ją w bezpieczne miejsce do Negew.

Daniel usiadł i poczuł gwałtowny ból.

– Miłe chłopaki, nie ma co. Nie mogli nam o tym powiedzieć. Twoja przyjaciółka nie jest za bardzo rozmowna.

Shmeltzer wzruszył ramionami i poprawił okulary.

– Moje pieskie szczęście. Ona myśli, że wciąż jestem do wzięcia.

– A druga nowina?

– Pamiętasz tę ciężarną z kibucu, z którą rozmawiałem? Nurit Blau, przewodniczkę wycieczek Ochrony Przyrody, która miała całkowitą amnezję? Zobaczyła dziś rano zdjęcie Baldwina w gazecie. Zatelefonowała do mnie i powiada: tak, ten facet był na jednej z moich wycieczek i węszył wkóło. Jeśli mogę się przydać, ple, ple, ple. Idiotka, prawdopodobnie urodzi kapustę.

Daniel się roześmiał.

Otworzyły się drzwi. Wkroczyła gruba pielęgniarka. Za nią młody lekarz.

– To on – powiedziała, wskazując Shmeltzera.

– Szybko skończyliście – rzekł Shmeltzer. – Csk, csk – cmoknął. – Niedobrze, trzeba dbać o kondycję.

– Adon... – zaczął doktor z zakłopotaniem.

– Dobranoc, pakad. – Shmeltzer zasalutował i wyszedł.

ROZDZIAŁ 72

Na stoliku nocnym paliła się świeca.

Co najmniej dwa kilo więcej, ocenił Daoud, patrząc, jak Mona szykuje się do snu. Rozplotła warkocze i rozpuściła włosy, które jak czarna, lśniąca tkanina sięgały aż do pasa. Do jakiego pasa! Jej pulchność przykryta była miękką bawełnianą koszulą nocną, ale bujne kształty, wszystkie te zachwycające krągłości i tak były widoczne.

Ułożyła się obok niego, aż skrzyknęło łóżko, oparła głowę na piersi męża i westchnęła. Woń wody kolońskiej i słodczy, które *jej* kupił: lukrowane migdały, szwajcarska czekolada nadziewana owocami, figi w miodzie.

– Smakował ci obiad? – zapytała nieśmiało.

– Tak.

– Chciałbyś coś jeszcze zjeść albo wypić?

– Nie.

Leżała obok, oddychając ciężko. Czekając, tak jak wypada kobiecie, aby wykonał pierwszy ruch.

W maleńkiej sypialni zaległa cisza, przez otwarte okno widoczne było rozgwieżdżone betlejemskie niebo. Sześcioro dzieci i babcia nareszcie poszły spać. Dywaniki wytrzepane, kuchnia wysprządana i wywietrzona.

Czas na spoczynek, ale nawet po obfitym posiłku i słodkiej herbacie nie mógł się odprężyć. Wszystkie godziny spędzone w mroku, czekanie, śledzenie, a teraz nagle po wszystkim. Ot, tak.

Dzięki Bogu obeszło się bez dalszych morderstw. Ale i tak zawiedzione nadzieje.

Ze swojego zadania wywiązał się należycie, były napomknienia o awansie, ale gdy nadszedł koniec, on siedział i wypatrywał, wyczekiwał.

Dużo gadania na temat ich bohaterstwa, ale prawdziwym bohaterem był tylko Jemeńczyk, spotkał się z mordercą twarzą w twarz, umył ręce w diabelskiej krwi.

Daoud odwiedził Sharaviego w szpitalu, przyniósł mu ciasto, które upiekła Mona, wilgotne i bogate, pachnące anyżkiem, nadziane rodzynekami i figami.

Jemeńczyk jadł razem z nim. Powtórzył obietnicę awansu.

Ale on i tak zastanawiał się, co go czeka.

Przejdźcie na drugą stronę. Służba u obcych.

Przypadki takie jak Rzeźnik zdarzały się raz na sto lat. Jaką będą mieli dla niego pracę, wyczekiwanie i śledzenie? Zdradzanie swoich braci Arabów? Przysparzanie sobie wrogów, tak jak ten z Gazy?

Pulchna dłoń Mony musnęła jego policzek. Mruczała jak dobrze odżywiona kotka, gotowa, chętna na przyjęcie go, spłodzenie następnego dzidziusia.

Przeturlał się na bok, spojrział na nią. Zobaczył ładną twarz, krągłą i pełną.

Zamknęła oczy i złożyła w ciup usta.

Pocałował ją, uniósł się, zadarł koszulę nocną i przygotował do zdobycia góry.

Mona rozsunęła uda i wyciągnęła ku niemu ramiona.

Wtedy w salonie rozległ się dźwięk telefonu.

– Och, Elias – wymamrotała.

– Chwileczkę – powiedział, wstając z łóżka i idąc, by odebrać telefon.

Podniósł słuchawkę. Dzwonek obudził dziecko. Zakrywając jedno ucho przed płaczem niemowlęcia, przyłożył do drugiego słuchawkę.

– Daoud? Mówi Chińczyk.

– Dobry wieczór.

– Jestem na Francuskim Wzgórzu. Mam dla ciebie zadanie, przesłuchanie.

– Tak – powiedział Daoud, nagle rozbudzony, wygładzając koszulę nocną. – Jakie?

– Słyszałeś o tych wszystkich przyznających się do winy, odkąd zamknęliśmy sprawę Rzeźnika? W końcu mamy jednego, który wygląda obiecująco – Szary Człowiek. Stary hydraulik, w szarym ubraniu roboczym, wmaszerował kilka godzin temu do Kiszle, niosąc nóż i krzycząc, że on to zrobił. Już mieli go wykopać, jako jeszcze jednego kłamcę, ale ktoś był wystarczająco przytomny, by spostrzec, że nóż pasuje do opisu sporządzonego przez patologa. Przesłaliśmy go do Abu Kabir, ostrze idealnie odpowiada ranom. Facet jest Arabem, więc pomyśleliśmy, że ty będziesz najlepszy. Zgadzasz się?

– Zgadzam.

– Kiedy możesz przyjechać?

Niemowlę zasnęło. Daoud usłyszał szmer od strony sypialni. Obejrzał się i zobaczył Monę, wypełniającą całą szerokość drzwi. Jej twarz miała żaloszny wyraz, jak twarz dziecka, które błaga o smakołyki, wiedząc, że ich nie dostanie.

Daoud zaczął obliczać w myśli.

Mona złożyła ręce na swoim obwisłym brzuchu, marszcząc koszulę. Kolczyki zaśniły w blasku świecy.

– Za półtorej godziny, może wcześniej – powiedział Daoud. Odłożył słuchawkę i zdjął koszulę.

ROZDZIAŁ 73

Najlepsza dyskoteka w Tel Awiwie: wielkie tropikalne motywy, jedwabne paprocie i palmy z papier-mache, zielono-czarne obite aksamitem ściany i aluminiowy tezewy sufit, migoczące światła, niemieckie nagłośnienie, od którego pękały bębni.

I najlepsze drinki. Rosyjska wódka, irlandzka whisky, amerykański bourbon, francuskie wina. Świeży sok pomarańczowy i grejpfrutowy. I wyżerka: jagnięce żeberka z rusztu. Pieczone bakłażany, steki z bambusem, krewetki, chińska sałatka z kurczęcia.

Amerykański rock, perkusja i wyjące gitary.

Najpiękniejsze dziewczyny, oszołomione przez muzykę, kochające się na całość. Tabuny dziewczyn, a każda piękna jak lalka, jakby jakiś chutliwy Frankenstein wymyślił Maszynę do Produkcji Dupencji i włączył ją na pełne obroty. Jędrne piersi, burza włosów i oślepiająca biel zębów w uśmiechu, wszystko w wielobarwnych światłach.

Rozkołysane biodra, podrzucane tyłki, jakby taniec był seksem samym w sobie.

Avi palił papierosa, siedząc w rogu w pobliżu baru, sam. Zastanawiając się, czy przychodząc tu, postąpił słusznie.

Szczupła brunetka przy barze od pięciu minut robiła do niego słodkie oczy, zakładając nogę na nogę, popijając przez słomkę, huśtając opadającym pantofelkiem na wysokim obcasie.

Ale zniechęcał go wygłodniały wyraz jej twarzy.

Nie zwracając na dziewczynę uwagi, jadł krewetkę, która wydawała mu się pozbawiona smaku.

Podszedł jakiś facet i zaprosił dziewczynę do tańca. Odeszli.

Dwadzieścia doliczając wejście, plus drinki i jedzenie. Myślał, że się zabawi, ale czy się bawił?

Hałas, drinki i wrzaski tylko pogarszały sprawę. Pogłębiając różnicę między nim a rozbawioną młodzieżą. Jakby to, *co mu* się przytrafiło, ujęto w ramki i zawieszono na ścianie, wystawiając na widok publiczny.

Głupota, ale on czuł się tak, jakby wszyscy wiedzieli, co zrobił mu ten pieprzony zboczeniec.

Te oczy. Rozbiegane i przyprawiające o mdłości. Patrzył w nie, widział uśmiech, poznał znaczenie zła.

– Oszczędzę cię, piękniśiu. Podziękuj mi za to...

Przy barze usiadła następna dziewczyna. Płowa blondynka, wysoka i o jasnej cerze, nie w jego typie. Ale miła. Powiedziała *coś* do barmana, zapaliła papierosa, podczas gdy barman przygotowywał jej coś zielonego i pianistego, z plasterkiem ananasa zaczepionym o brzeg kieliszka do koniaku.

Paliła, bębniąc palcami o blat baru, kiwała się w takt muzyki, a potem zaczęła się rozglądać. Jej wzrok spoczął na Avim. Lustrowała go od stóp do głów. Uśmiechnęła się, popiła drinka, zaciągnęła się dymem i zatrzepotała rzęsami.

Ładne rzęsy. Miły uśmiech. Ale on nie był jeszcze gotowy.

Nie wiedział, czy kiedykolwiek będzie.
Oprawiony i zawieszony na pieprzonej ścianie.
Niech się wszyscy dowiedzą. Tajemnica dławiła go jak kamień na piersi.
Minionej nocy obudził się przywalony kamieniem, zziębnięty i spocony, niespokojny.
Walczący z koszmarami, z trudem chwyający oddech...
Piękniś.
Płowa blondynka okręciła się na stołku. Dobra figura, pełna i gdzie trzeba zaokrąglona.
Czerwony brokatowy króciutki zakieciak na czarnym trykocie. Głęboki dekolt. Zdrowa klata z obfitym biustem. Długie lśniące włosy, którymi potrząsała, wiedząc, że są wspinałe. Może kolor naturalny – siedział zbyt daleko, by mieć pewność.
Bardzo milutka.
Zielone światło upodobiło ją do jakiegoś gada. Tylko na chwilę, ale Avi poczuł niechęć. Gdy spojrział znowu, skąpiana była w ciepłych barwach, ładniutka.
On palił.
Ona paliła.
Świetna sprawa, kochasiu.
Wszyscy mieli dla niego miłe słowa. Sharavi, Arab, nawet stary Shmeltzer.
Myśleli, że przespał całe zdarzenie, oszołomiony heroiną.
Nie wiedzieli, że maniak pozwolił mu się obudzić, nie wiedzieli, co pieprzony gnojek z nim robił.
Co z nim robił.
Traktując go jak kobietę. Nazywając piękniśkiem, przeklinając po niemiecku i odgrywając swoje brudne...
Męka, wstyd. Gdy pieprzony gnojek wyszedł, Avi uwolnił się, raniąc do krwi rękę i szybko się ubrał, żeby nikt nie poznał prawdy.
Następnego dnia pojechał do Hajfy, znalazł lekarza przy Carmel i, podając fałszywe nazwisko, opowiedział historyjkę o krwawiących hemoroidach, w którą lekarz nie uwierzył. Zapłata z góry uciszyła wszelkie pytania. Maści, balsamy, wyniki badań krwi. Wczoraj.
Wszystko w porządku, panie Singel.
W porządku.
Tajemnica zachowana. Powrócił do komendy jako bohater.
Rozpaczliwie pragnął pozbyć się wspomnień, ale one wciąż powracały w snach i na jawie, zaprzatając jego myśli.
Brud. Chciał wyjąć z głowy mózg i zanurzyć go w kwasie.
Płowa blondynka wstała, szła ku niemu.
Pochyliła się nisko, ukazując brodawki.
Naprawdę świetna.
Wyprostowała się, uśmiechnęła, tupnęła nogą, zatrzęsła piersiami.
Poczuł ciepło. Ale niejasne, dalekie, jakby w cudzym ciele.
Nie odezwał się, nie poruszył.
Spojrzała zaskoczona.
– Hej. Zatańczysz?
Avi spojrział na nią, usiłując zebrać myśli.
– Hej – powiedziała dziewczyna, uśmiechając się, ale urażona. – Nie wiedziałam, że to taka trudna decyzja.
Odwróciła się, by odejść.
Avi wstał i chwycił ją za ramię.
– Nie jest taka trudna – powiedział, obracając ją ku sobie i uśmiechając się tym swoim uśmiechem, który jedna z dziewczyn z Południowej Afryki nazwała demonicznym, uśmiechem, za którym wszystkie szalały.

Z przylepionym do twarzy uśmiechem poprowadził ją na parkiet.

ROZDZIAŁ 74

Czwartego dnia Daniel wrócił do domu i spał aż do wieczora. Gdy się obudził, w jego pokoju była Shoshi. Siedziała w fotelu przy oknie. Wielkooka, cicha, ogryzająca skórki.

Daleka...

Daniel przypomniał sobie wczorajszą wizytę Ben Davida. Uczucie niepokoju, gdy oczekiwał, jaka będzie opinia obcego człowieka na temat jego córki.

„Nie powiedziałbym, że jest w idealnym stanie. Przeżyła wielki wstrząs. Należy się spodziewać bezsenności, być może koszmarnych snów, utraty apetytu, bojaźliwości, lgnięcia do rodziców. To normalne. Ale trzeba czasu, by sobie z tym poradzić”.

„A co z narkotykami?”

„Nałóg nie wchodzi w rachubę. Nie martw się. Prawdę powiedziawszy, heroina okazała się błogosławieństwem. Dzięki niej zatarły się krwawe szczegóły. Pamięta tylko tyle, że nagle została porwana, unieruchomiona na czas zastrzyku, a potem obudziła się w karetce pogotowia”.

Na wspomnienie o porwaniu z trudem się opanował. Wydawało mu się, że dobrze skrywa uczucia. Ale Ben David spojrział na niego przeszywającym wzrokiem. Szacująco.

„O co chodzi, Eli?”

„Szczerze mówiąc, najbardziej niepokoi się o ciebie. Że już nigdy nie będziesz taki jak dawniej, że jest wszystkiemu winna, że nigdy jej nie przebacysz”.

„Nie ma nic do wybaczenia, Eli”.

„Jasne, że nie. Powiedziałem jej to. Dobrze będzie, gdy to usłyszy od ciebie”.

– *Motek?*

– Tak, *abba*.

– Chodź tu do mnie. Do łóżka.

– Nie chcę cię urazić.

– Nie urazisz mnie. Jestem twardym facetem. Chodź.

Podniosła się z fotela. Przysiadła przy prawym ramieniu Daniela.

– Jak nasz pies, Shoshi?

– Pierwszej nocy skomlał aż do rana. Wzięłam go do łóżka. Ale tej nocy spał dobrze.

Dziś rano zjadł wszystko, co mu dałam.

– A ty? Dobrze śpisz?

– Dobrze.

– Nie masz złych snów?

– Nie.

– Co zjadłaś na śniadanie?

– Nic.

– Dlaczego?

– Nie byłam głodna.

– Odchudzasz się?

Na jej ustach pojawił się lekki uśmiech. Nakryła usta dłonią. Gdy ją opuściła, uśmiech

zniknął.

– Nie.

– Więc co? Jom Kippur? Śpię tak długo, że straciłem rachubę czasu?

– Och, *abba*.

– A więc nie Jom Kippur. A może chodzi o jakiegoś chłopca? Chcesz być szczupłą, by spodobać się chłopcu.

– *Abba!*

– Nie przejmuj się tym, co myślą chłopcy, co myśli ktokolwiek. Jesteś piękna, taka jaka jesteś. Doskonała. – Uniósł jej dłoń do ust, przycisnął do nie ogolonego policzka. Poczł ciepł, naczynia krwionośne tętniące życiem.

– Gładki czy drapiący. – Stara zabawa.

– Drapiący, *abba*...

– Jesteś doskonała – powtórzył i zamilkł. – Oczywiście z wyjątkiem tego, jak traktujesz braci.

Uśmiech, ale smutny. Nawinęła na palec kosmyk włosów, a potem dotknęła skrzydeł srebrnego motyla.

– Odrobiłaś już lekcje?

– Nie mam lekcji. Nauczyciele pozwalają nam się bawić. To dzikie zwierzęta.

– Twoi nauczyciele to dzikie zwierzęta?

– Mikey i Benny!

– Jakie gatunki?

Zesztywniała, cofnęła rękę.

– Zachowujesz się niemądrze, *abba*. Traktujesz mnie, jakbym była małym dzieckiem, i unikasz poważnych tematów.

– Jakich tematów?

– Że byłam na tyle głupia, żeby pójść z obcym, chociaż ty i *ima* tyle razy przestrzegaliście mnie przed tym, a ja poszłam. Myślałam, że to rabin...

– Martwiłaś się o Dayana...

– Byłam głupia! Nieodpowiedzialna! Przeze mnie jesteś ranny, ciężko ranny... twoje ramię, twoja ręka. To wszystko moja wina!

Szarpała włosy, małą twarzyczkę wykrzywił wyraz bólu. Daniel przyciągnął ją do siebie, ujął pod brodę, poczuł, że jej ciałem wstrząsają łkania.

– Nie będę cię okłamywał, Shoshi. To był błąd. Ale nawet pomyłki wychodzą na dobre, bo dzięki tobie został schwytyany zły człowiek, który już nigdy nikogo nie skrzywdzi. Taki był plan Boga.

Milczenie.

– Zabiłeś go, prawda, *abba*?

– Tak.

Usiadła i przez dłuższą chwilę spoglądała przez okno.

Daniel skierował wzrok w tę samą stronę, na kopuły i wieże Starego Miasta. Zachodzące słońce rzucało różowe cienie na Pustynię Judzką. Róż nakrapiany łagodnym błękitem. Żałował, że nie jest artystą...

– Cieszę się, że go zabiłeś. Ale i tak byłam głupia i masz uszkodzoną rękę.

– Jest zraniona, nie uszkodzona. Wyleczy się. Wszystko będzie dobrze.

– Nie! – Shoshi gwałtownie pokręciła głową. – W szpitalu... słyszałam lekarza w szpitalu. Powiedział, że jest do niczego... będziesz miał szczęście, jeżeli będziesz się mógł nią posługiwać.

Znowu się rozpląkała. Daniel przygarnął ją do siebie i także zapłakał.

Tulił ją, starając się przejąć jej smutek. Poczekał, aż się uspokoiła, ujął ją pod brodę i zajrzał w ogromne załzawione oczy. Poglądził ją po włosach, ucałował mokre policzki i

zapomniał o bólu.

– Nie jestem do niczego, Shoshele. Jestem w doskonałej formie. Uwierz mi. *Abba* nigdy cię nie okłamał, prawda?

Pokręciła głową.

– Więc uwierz mi, proszę, kochanie. Jestem cały, nie tknięty. Najbardziej z wszystkich ludzi. Wierzysz mi?

Skinęła głową.

Otoczył ją ramionami, wspominając czasy jej niemowlęctwa, zmienianie pieluszek, kąpiele, pierwsze niezdarne kroki, nieuniknione upadki. Radość z patrzenia, jak rosła, jak rośli wszyscy troje.

W pokoju zapadł zmrok.

– Podaj mi *siddur, motek* – powiedział Daniel. – Czas odmówić *maariw*.

Podczas gdy szukała modlitewnika, zmówił w myśli *Mode ani*, dziękując Wszechmogącemu za pokrzepienie duszy. Modlitwa poranna, dwanaście godzin po czasie.

Lecz on czuł się jak o poranku.